

# ZDANIE

„Trzech na jednego”  
z JANUSZEM GAJOSEM

W numerze: MICHAŁ BOHUN, EDWARD CHUDZIŃSKI, STEFAN CIEPŁY, STANISŁAW CIOSEK,  
JACEK CYGAN, STANISŁAW GĘBALA, TOMASZ GOBAN-KLAS, EUGENIUSZ KABATC,  
KRZYSZTOF KOMORNICKI, ADAM KOMOROWSKI, PAWEŁ KOZŁOWSKI, WIKTOR KUBICA,  
MARCIN KULA, ADAM KULAWIK, ANDRZEJ LAM, JAROSŁAW ŁADOSZ, BRONISŁAW ŁAGOWSKI,  
ANDRZEJ MENCWEL, KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI, KRZYSZTOF MROZIEWICZ,  
LECH M. NIJAKOWSKI, JAN ORDYŃSKI, JAN PIESZCZACHOWICZ, FILIP RATKOWSKI,  
ADAM DANIEL ROTFELD, MARIAN STĘPIEŃ, MICHAŁ ŚLIWA, MAREK TABIN,  
JERZY J. WIATR, JACEK WOJCIECHOWSKI, ROMAN WYSOGLĄD, MAREK ZAGAJEWSKI

1-2 (184-185) 2020



# Podatek tam, gdzie Ty!

**PIT**

**KRAKÓW**

**Rozliczaj PIT w Krakowie  
i korzystaj z Karty Krakowskiej.**

# ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (184–185) 2020

## OD REDAKTORA

Ze „ZDANIEM” jestem związany od 1978 roku, kiedy zaczęło się ukazywać w formacie książkowym jako wydawnictwo »Kuźnicy«. Status czasopisma uzyskało w 1981 roku. W latach 80., będąc członkiem kolegium redakcyjnego, kierowałem w „ZDANIU” działem kultury. Po czteroletniej przerwie (1990-1993) pismo odrodziło się jako kwartalnik, a ja w nim zostałem zastępcą redaktora naczelnego. Od 2000 roku jestem jego redaktorem naczelnym.

W moim medialnym życiorysie zapisało się trwałe kilka tytułów prasowych, które współzakładałem i współtworzyłem („Student”, „Małopolska”, „Kraków”),

ale tylko „ZDANIE” wypełniło połowę mojego życia. Nadszedł jednak czas, aby się rozstać – nie z pismem, lecz z funkcją redaktora naczelnego, którą pełniłem przez 20 lat. Decyzję tę podjąłem z własnej woli. Wraz ze mną z redakcji odchodzi jej sekretarz – Andrzej Ruchałowski, któremu serdecznie dziękuję za długoletnią współpracę.

Naszym następcom życzę sukcesów w redagowaniu „ZDANIA” oraz w pozyskiwaniu nowych Autorów i Czytelników.

EDWARD CHUDZIŃSKI

JANUSZ GAJOS ARTYSTA MOŻE SIĘ UWIARYGODNIĆ TYLKO POPRZEZ KREACJĘ <i>(Trzech na jednego)</i>	3
Michał Śliwa NIEPODLEGŁOŚĆ I DEMOKRACJA W MYŚLI PPS	11
Jerzy J. Wiatr 1945 – SENS ZWYCIĘSTWA	17
Marek Tabin KONFLIKT POLSKI	19
Marek Zagajewski GRUZIŃSKIE KŁAMSTWO	25
Adam Daniel Rotfeld SPECYFIKA MYŚLI I RZĄDÓW PUTINA	30
Stanisław Ciosek DOKĄD ZMIERZA ROSJA?	35
Jacek Wojciechowski DWADZIEŚCIA LAT Z PUTINEM	38
Michał Bohun W TYCH PRZEKŁĘTYCH DNIACH...	44
Lech M. Nijakowski KRÓTKA HISTORIA OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH	48
Stanisław Gębala POLITYCZNY GENIUSZ PREZESA	53
Bronisław Łagowski POCHWAŁA GRZEGORZA KOŁODKI	56
Stefan Ciepły BOLESNY TEMAT – ZDROWIE	59
Filip Rátkowski KTO SIĘ BOI »MARYCHY«?	66
Jarosław Ładosz W KWESTII SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ	68
Tomasz Goban-Klas OLGI TOKARCZUK WPROWADZENIE DO ŚWIATA MEDIÓW	70

76	Jacek Cygan WIERSZE
78	Adam Komorowski A POTEM BYŁA ZMIANA: KOT GONIŁ BOCIANA
81	Marian Stępień LOSY WZŁOTU JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA
87	Eugeniusz Kabatc IWASZKIEWICZ I HERLING-GRUDZIŃSKI
89	Adam Kulawik PAN IGNACY RZECKI I JEGO PAMIĘTNIK
94	Roman Wysogład DZIELIŁA ICH ZNACZNA RÓŻNICA
96	Wiktor Kubica KULT CARGO
97	Andrzej Mencwel PRZED WOJNĄ
100	Jan Pieszczechowicz WOKÓŁ JANA BŁONSKIEGO
102	Andrzej Lam ZNANI I NIEZANI POECI HELIONU
105	Krzysztof Miklaszewski W OBJĘCIACH SERIALI
109	Paweł Kozłowski OFICER I SZPIEG ROMANA POLAŃSKIEGO
110	Marcin Kula ODKOPYWANE ZAKOPANE
113	Krzysztof Mrożewicz STARE BAŚNIE
125	Krzysztof Komornicki KACZKA CIĄGLE GRA NA DUDACH
126	Józef Rozwadowski LATARNIE SĄ OŚWIETLONE
127	Tomasz Goban-Klas SPODZIEWAJ SIĘ NIESPODZIEWANEGO
128	Sceptyk KASTA



Fot. Krzysztof Żuczkowski

# trzech na jednego

JEDEN:

**JANUSZ GAJOS**

TRZECH:

**EDWARD CHUDZIŃSKI**

**KRZYSZTOF MROZIEWICZ**

**JAN ORDYŃSKI**

## ARTYSTA MOŻE SIĘ UWIARYGODNIĆ TYLKO POPRZEZ KREACJĘ

**EDWARD CHUDZIŃSKI:** **Pan niejedyn raz dawał dowody, że mówi po śląsku. A przecież Dąbrowa Górnicza, gdzie się Pan urodził, to Zagłębie. Co zatem łączy Pana ze Śląskiem? – oprócz gwary, którą się Pan niekiedy postuguje.**

**JANUSZ GAJOS:** Gwarą śląską postugiwałem się dosyć biegle, ponieważ część wczesnej młodości spędziłem na Górnym Śląsku. Mieszkałem wtedy z rodzicami w Zabrze. Tam chodziłem do szkoły podstawowej. Większą część moich szkolnych kolegów stanowili Ślązacy, ale byli tam także uczniowie przesiedleni z dawnych wschodnich terenów Polski. Można ich było rozpoznać po charakterystycznym zaśpiewie.

**CHUDZIŃSKI:** **Czy pochodzi Pan z rodziny zasiedziałej na tym terenie – myślę o Zagłębiu – czy mamy do czynienia z „elementem napływowym”?**

**GAJOS:** Urodziłem się w Dąbrowie Górniczej. Tak więc jestem tzw. Zagłębiakiem, ale rodzina jest w połowie zasiedziała, a w połowie napływowa. Dziadek ze strony mamy był majstrem, czyli mistrzem w Hucie Bankowej, to było nie byle jakie stanowisko. Musiał być dobrze sytuowany, skoro wybudował dom dla całej rodziny składającej się z moich dziadków i ich sześciorga

dzieci. Wśród nich była moja mama, kobieta – jak patrzę dzisiaj na Jej zdjęcia z młodości – o niepośledniej urodzie. Natomiast ojciec był wędrownikiem. Pochodził z małej wsi. Z jego opowiadań wiem, że bardzo mu się tam nie podobało. Najprawdopodobniej była to biedna, podkielecka wioska, w której nie widział dla siebie żadnych perspektyw. Był bardzo krytyczny wobec kleru. Mama natomiast była religijna. Nie wiem, jak oni sobie z tym problemem dawali radę.

**JAN ORDYŃSKI:** **Ale mama wychowywała was po katolicku, a ojciec się temu nie sprzeciwiał?**

**GAJOS:** Nie pamiętam, żeby były z tego powodu jakieś niesnaski. Ojciec swoją wieś rodzinną opuścił we wczesnej młodości. Wyjechał z niej w świat na rowerze, który sam złożył sobie ze starych części. Objechał na tym rowerze ładny kawałek świata. Kiedyś opowiadał o tej swojej wędrowce. Podobno zdarzało się, że kiedy jechał na tym swoim wehikule musiał się często ratować ucieczką, gdyż chłopcy rozpuszczali wieści, że przez wieś jedzie diabeł, bo nie może być tak, żeby człowiek jechał na dwóch kółkach, jedno za drugim i się nie przewracał. Był m. in. na Ukrainie, pracował u hrabiny Uznańskiej, zajmował się ogrodnictwem. Na-

uczył się tego fachu i po wojnie prowadził własne gospodarstwo ogrodnicze.

**ORDYŃSKI: Czy ojciec opowiadał o tych czasach przedwojennych i swoich wędrówkach po ziemiach ówczesnej Rzeczypospolitej?**

GAJOS: Kiedy był w dobrym humorze, opowiadał wiele ciekawych rzeczy. Szkoda, że nie zapisywałem tych opowieści. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że kiedyś mogłoby się to do czegoś przydać. Zastanawiałem się często, czym ojciec zaimponował mamie. Był dość przystojny, zwiedził kawał świata, nauczył się fachu. Był ogrodnikiem. Pewnie nieźle mu się powodziło no i pobrali się.

**KRZYSZTOF MROZIEWICZ: I przyszły na świat dzieci. Ile was było w rodzinie?**

GAJOS: Troje, ja jestem najstarszy. Po siedmiu latach urodził się brat, a po następnych siedmiu – siostra.

**MROZIEWICZ: Gdyby próbować umiejscowić rodzinę społecznie, to obracał się Pan w środowisku robotniczym niedużego miasta.**

GAJOS: Ja w tej Dąbrowie w sumie niedługo mieszkałem. Urodziłem się tuż po wybuchu wojny. Musiałam się nauczyć np. jak należy reagować na różne odgłosy. Kiedy wyła syrena to znaczyło, że w hucie zmieniają się robotnicy. Kiedy zbliżał się front, wycie syreny oznaczało, że trzeba uciekać do piwnicy. Tuż po wyzwoleniu podjęła pracę Huta Bankowa, ja znalazłem się pewnego dnia w jej pobliżu i nagle zawyła syrena. Zacząłem panicznie uciekać do domu. Dopiero mama mnie uspokoiła i wytłumaczyła, że teraz syrena znowu oznacza, że robotnicy idą na zmianę.

**ORDYŃSKI: Czy jakieś inne wspomnienia z tamtych czasów przechowałeś w pamięci? [Panowie się od dawna znają, więc są na „ty” – red.]**

GAJOS: Pamiętam taki obrazek: zbiegowisko ludzi, trzepoczące flagi ze swastyką i głos z głośników. To było przemówienie Hitlera, ale to już dopowiedziała mama.

**MROZIEWICZ: Czy z czasów dzieciństwa zapamiętał Pan, w co się bawiliście na podwórku, bo wtedy chłopcy bawili się w wojnę.**

GAJOS: Mama była, jak już mówiłem, osobą głęboko wierzącą. Kiedy mieszkaliśmy w Dąbrowie, każdego niedzieli chodziliśmy z sąsiadami i ich synem, moim rówieśnikiem do kościoła. Potem odgrywaliśmy tę mszę przed rodzicami. Ja przebierałem się za księdza, pamiętałem większość jego gestów i zachowań. Podobno robiłem to bardzo wiarygodnie. Ale to długo nie trwało, bo przeprowadziliśmy się do Zabrze, a tam już bawiłem się w Indian. To był całkiem inny teatr.

**CHUDZIŃSKI: Kutz w rozmowie z nami sprzed przeszło 30 lat wspominał, że na Śląsku zabawy w Indian były popularne. Gdzie Pan chodził do szkół?**

GAJOS: Do szkoły podstawowej zacząłem chodzić w Zabrze, dokąd się przeprowadzili moi rodzice. Całą edukację podstawową przeszedłem właśnie tam. A propos – w pierwszych klasach podstawówki nie używaliśmy zeszytów, tylko tabliczki, na której uczyliśmy się pisać rysikami. Ojciec założył gospodarstwo ogrodnicze i – jak na tamte czasy – całkiem nieźle nam się powodziło.

**CHUDZIŃSKI: Można powiedzieć, że był badylarzem...**

GAJOS: Wtedy jeszcze do określenia nie było w obiegu. Mówimy o końcówce lat 40.

**CHUDZIŃSKI: No więc chłopak urodzony w Zagłębiu, do szkoły podstawowej chodzi na polniemieckim Śląsku, ale naukę w liceum pobiera w Będzinie, czyli wraca na małej ojczyzny tono i tam zdaje maturę.**

GAJOS: W szkole w Zabrze była mieszanina: autochtoni, czyli Ślązacy, repatrianci ze Wschodu i tacy jak ja, których rodzice przyjechali tu zwabieni możliwością otrzymania mieszkania i lepiej płatnej pracy. Ja miałem ucho na te różnice w języku i z łatwością je sobie przyswajałem. Mama miała pretensje, że mówię po śląsku, bo ze Ślązakami porozumiewałem się gwarą.

**MROZIEWICZ: A z tymi innymi?**

GAJOS: W ich języku, czyli też polskim, tylko z trochę innym akcentem i słownictwem.

**ORDYŃSKI: Skoro już mówimy o Ślązakach, to miałeś okazję poznać – oczywiście trochę później – tych największych. Zetknąłeś się z generałem Ziętkiem, powojenną legendą Śląska.**

GAJOS: Ziętka poznałem w latach mojej „pancernej” popularności. Mieszkałem już w Warszawie, grałem w jednym z najgorszych teatrów, bo w lepszych nikt mnie wtedy nie chciał. Ojciec w tym czasie zaczął poważnie chorować. Po jego śmierci mama została sama z moją niepełnoletnią wtedy siostrą. Brat był w wojsku w jakiejś jednostce, z której nie można go było zwolnić. Ktoś mi poradził, żeby pojechać do Katowic do Ziętka i zapytać, czy jest możliwe zwolnienie mojego brata z wojska. Pamiętam, że Ziętek miał olbrzymi gabinet, w nim olbrzymie biurko z niezliczoną liczbą telefonów. Przywitał mnie bardzo życzliwie:

– Pójdźcie sam, pójdźcie, siednijcie się – zaczął po śląsku. – Co tam macie za sprawę?

Pytam, czy jest możliwe przedterminowe zwolnienie brata ze służby wojskowej.

– Ja, to nie będzie łatwe – powiedział. Po czym uruchomił jeden z piętnastu telefonów: – Słuchajcie ino – tu obywatel mo tako sprawa, brat jest we wojsku, matka sama, no tuż musicie go z tego wojska wyciągnąć do cywila. – Chwila ciszy i Ziętek mówi do mnie:

– No to macie to załatwione.

A na koniec zapytał, czy nie przeniósłbym się do Teatru im. Wyspiańskiego – Dali by my wom tukej jako wilka.

Bardzo serdecznie mu podziękowałem, wilki nie wziętem i wróciłem do swojej kawalerki wynajmowanej w Warszawie za dwie trzecie mojej teatralnej pensji. Wkrótce po tej rozmowie dostałem list:

„Wasza sprawa została pozytywnie załatwiona.

Życzę wam sukcesów w waszym pięknym fachu.

Jerzy Ziętek”.

To był wspaniały gość. Spotkałem Go jeszcze chyba raz z okazji jakiejś uroczystości w Katowicach. Jedliśmy wtedy kaszankę i piliśmy piwo

**ORDYŃSKI: Kazimierz Kutz uważał go za swojego patrona.**

**CHUDZIŃSKI: Bez zaangażowania Ziętka Zespół Filmowy „Silesia” by nie powstał... Ale my musimy wraz z Panem wrócić do Zagłębia.**

**MROZIEWICZ: W tym Zagłębiu urodziło się sporo znanych ludzi, m. in. mój były naczelny w „Polityce” – Jan Bijak.**

**CHUDZIŃSKI: A w Sosnowcu nie tylko Jan Kiepara, ale także obecny prezydent Krakowa – Jacek Majchrowski.**



Fot. Krzysztof Żuczkowski

GAJOS: Ja o tym nie wiedziałem, ale jadąc kiedyś taksówką w Krakowie coś się na ten temat zgadzało i taksówkarz powiedział o prezydencie miasta: – E, panie, to przecież Ślązak...

**MROZIEWICZ: Do szkoły średniej Pan chodził i maturę zdawał w Będzinie. Czy wtedy już Pan wiedział, co będzie robił w życiu?**

GAJOS: Kiedy zdawałem maturę, to już było wiadomo, że będę zdawał do szkoły teatralnej. Teatralnej, nie filmowej. Wtedy były w Łodzi dwie szkoły aktorskie.

**CHUDZIŃSKI: Jaki wpływ na taki wybór miało zetknięcie się z Teatrem Dzieci Zagłębia Jana Dormana?**

GAJOS: Podstawowy i rozwiewający wszystkie wątpliwości – tak można by to określić. W liceum uczyłem się dosyć przyzwoicie, przez bodajże dwa pierwsze lata byłem bardzo dobry w matematyce. Dość poważnie myślałem wtedy o architekturze. Ale w 1955 roku z okazji setnej rocznicy śmierci Mickiewicza polonista postanowił zrobić szkolne przedstawienie na kanwie *Pana Tadeusza*, a konkretnie była to inscenizacja fragmentu XII Księgi i mnie obsadził w roli tytułowej. Graliśmy to przedstawienie w Teatrze Dzieci Zagłębia, a jego dyrektor Jan Dorman sprawował nad nim pieczę artystyczną. Ja wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem teatr od kulis i to zdarzenie mnie zafascynowało. Czuję się tak, jakbym zobaczył świat przed jego powstaniem.

**CHUDZIŃSKI: Jak długo trwała ta fascynacja?**

GAJOS: Trwa do dziś. Po maturze miałem okazję rozmawiać z Dormanem. Powiedział mi wtedy, że mój plan jest ambitny, a nawet szlachetny, ale szklanka zimnej wody mi nie zaszkodzi. Oświadczył, że jak się

nie dostanę do tej wymarzonej szkoły, co jest wysoce prawdopodobne, to on mnie chętnie zatrudni u siebie w teatrze.

**MROZIEWICZ: Jak Pan zapamiętał pierwszy egzamin do szkoły teatralnej?**

GAJOS: Zdawałem go do Łódzkiej Szkoły Aktorskiej im. Leona Schillera na wydział aktorski, który wtedy nie był jeszcze częścią „filmówki”. Pamiętam, że w komisji egzaminacyjnej była m.in. Jadwiga Chojnacka, bardzo wtedy znana aktorka. Nie zostałem przyjęty.

**MROZIEWICZ: Zapytałem o ten egzamin, bo jak Verdi ubiegał się o przyjęcie do konserwatorium w Mediolanie, to też go nie przyjęli, a później poprosili o zgodę na nadanie tej szkole jego imienia.**

**ORDYŃSKI: Łódzka szkoła jest już zajęta, bo nosi imię Leona Schillera.**

**MROZIEWICZ: Natomiast Pan jest jej profesorem i doktorem honoris causa.**

GAJOS: Tak się złożyło po latach. Jednak wtedy, kiedy mnie nie przyjęto, skorzystałem z propozycji Dormana i zacząłem u niego terminować. Moja pierwsza pensja wynosiła 850 zł.

**CHUDZIŃSKI: Co Pan w tym teatrze robił?**

GAJOS: Właściwie wszystko. Nauczyłem się obsługiwać sprzęt nagłaśniający, światła i inne urządzenia techniczne, a także kleić i uruchamiać lalki oraz podkładać pod nie głos. Ja dopiero po latach uświadomiłem sobie, ile się wtedy o teatrze nauczyłem. Ale za drugim podejściem do szkoły znowu się nie dostałem.

**CHUDZIŃSKI: Może trzeba było starać się na wydział lalkarski, bo u Dormana w tej dziedzinie najwięcej się Pan nauczył.**

GAJOS: Nauczyłem się o wiele więcej, nauczyłem się istoty rzeczy. Zrozumiałem to wiele lat później. Tymczasem upominało się o mnie wojsko. Żeby nie pójść do tego wojska, złożyłem papiery na dodatkowy termin egzaminacyjny do szkoły krakowskiej. Przygotowałem końcowy fragment *Kwiatów polskich* Tuwima i stanąłem przed komisją. Pamiętam wygaszone światła, tylko ja oświetlony jak coś bardzo cennego. Stoję przed tą ciemnością i gdyby nie to, że wiem, iż stoję, przysięgłbym że wiszę przygotowany jak do jakiejś strasznej operacji bez znieczulenia. Słyszę głos jakby z kosmosu: – Co pan nam powie? – Odpowiedziałem, że zakończenie wspomnianego utworu Tuwima. – Proszę pana, odezwał się znowu głos, proszę zacząć mówić, nie wymieniając tytułu utworu ani nazwiska autora. Czy pan to rozumie? – grzmi głos. Odpowiedziałem, że oczywiście rozumiem. – Proszę zacząć mówić. No i zacząłem: Julian Tuwim, *Kwiaty polskie*. I wtedy nie tylko głos główny, ale również inne głosy pomocnicze zaczęły się po prostu irytować: No nie, panie kolego, w żadnym wypadku, panie kolego, inteligencja, panie kolego, inteligencja... I w ten sposób znalazłem się w Pułku Artylerii Haubic w mieście Żary.

W książeczce wojskowej w rubryce „zawód” miałem wpisane „aktor”, bo pracowałem u Dormana. Wiedział o tym oficer – kaowiec i wysłał mnie na konkurs recytatorski. Poszedłem i wygrałem w Żarach, potem w Zielonej Górze i Wrocławiu, recytując oczywiście *Kwiaty polskie* Tuwima. Euforia, prasa, nagroda – radio „CO-LIBER”. To było coś!

ORDYŃSKI: **Jak te studia w „filmówce” wyglądały, bo jak się tam wreszcie dostałeś, to wydział aktorski był już integralną częścią Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej i Teatralnej.**

GAJOS: Szkoły się połączyły. My z wydziału aktorskiego od czasu do czasu grywaliśmy w etiudach kolegów z reżyserii czy wydziału operatorskiego.

CHUDZIŃSKI: **Ta „filmówka” nas interesuje nie ze względu na nazwiska twórców z nią związanych, lecz z tego powodu, żeby dowiedzieć się, czego ona Pana nauczyła. A konkretnie: czy ona nauczyła Pana grać w filmie. Bo to była wtedy jedyna szkoła teatralna w Polsce, której studenci mieli szansę stanąć przed kamerą.**

GAJOS: Nie można się nauczyć „grać w filmie”. Trzeba się nauczyć obcowania ze sprzętem. Ja się przestałem „bać” kamery dopiero po paru miesiącach zdjęć do *Pancernych*. Nie nauczy się Pan jeździć samochodem teoretycznie, trzeba jeździć praktycznie. Teoretycznie taką szansę mieliśmy. W praktyce to wyglądało marnie.

ORDYŃSKI: **Kto był Twoim mistrzem w szkole, jeśli takiego miałeś?**

GAJOS: Ponieważ praktyka u Dormana dała mi pewne pojęcie o abstrakcyjnej formie w teatrze, w szkole z zajęć praktycznych interesowały mnie te, które uczą panowania nad ciałem i świadomego wykorzystywania go w praktyce. Tak więc wszystkie zajęcia ruchowe, taniec, szermierka, gimnastyka, ale także nauka artykulacji, która miała mnie uniezależnić od mojego prywatnego sposobu mówienia. Myślę, że nauka aktorstwa to jest rodzaj wtajemniczenia. Coś, co trudno nazwać i opisać. Ryszard Bolesławski (1889-1937), Polak wykształcony w Odessie, były członek Moskiew-

skiego MCHAT, aktor i reżyser, od 1922 roku w USA, znany i ceniony reżyserfilmowy, pytany czy można się nauczyć aktorstwa, odpowiadał, że nie. Twierdził, że można tylko pomóc uzdolnionej osobie. Pomoc w porządkowaniu wszystkiego, czym obdarzyła ją natura.

CHUDZIŃSKI: **Dopytujemy się o mistrzów w szkole, choć wiemy, że największe gwiazdy teatru wtedy uczyły studentów w Warszawie. Ten kompleks miała też długo szkoła krakowska. Ale jak się przyjrzymy karierom absolwentów, to się okaże, że w relacjach mistrz–uczeń nie ma prostej zależności. Przed laty w podobnej rozmowie Zbigniew Zapasiewicz, pytany o swojego mistrza, wskazał Mariana Wyrzykowskiego, a przecież w rodzinie miał o wiele większe nazwiska.**

GAJOS: Trudno mi wskazać jedno nazwisko. Spotkałem wielu ludzi, którym wiele zawdzięczam. Mam także poczucie, że potrafiłem czasem intuicyjnie dokonywać wyboru, który z nich jest dla mnie najbardziej wiarygodny. Wzorców szukałem wszędzie, gdzie się dało. W praktyce w literaturze, w różnych rodzajach teatrow.

MROZIEWICZ: **Czy mógłby Pan wymienić jeśli nie osoby, to jakieś wydarzenia artystyczne: spektakle, filmy wystawy, koncerty, które Pana ukształtowały głównie jako artystę, choć przecież jako człowieka też, bo to idzie ze sobą w parze. Mam na myśli głównie filmy: włoskie, francuskie, amerykańskie czy zjawiska takie, jak neorealizm na przykład.**

GAJOS: Wszystko co zechciał Pan wymienić, jest zapisane przez ludzi, którzy chcieli to sformułować i zapisać dla potomnych. Wszystkie trendy w sztuce mają swój początek i koniec. Niektóre pozostają jako szlachetne i wyjątkowe zapisy ludzkiej wrażliwości, inne nie. Pewne rzeczy sam dla siebie odkrywałem. Na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego wieku jazz oficjalnie uchodził za muzykę wielce podejrzaną i w ogóle niepotrzebną. Byłem wtedy w wojsku. Pewnego dnia zostaliśmy wraz z kolegą służbowo wysłani do Wrocławia. Kolega ów – student Wyższej Szkoły Muzycznej – trafił do wojska za niesubordynację; po prostu grał jazz, wykorzystując do tego szkolny fortepian. Podobno oskarżono go o to, że celowo psuje szkolny instrument i za to wyłądownął w tzw. leśnej jednostce. Delegacja do Wrocławia stała się atrakcją w momencie, kiedy zauważyliśmy plakat, który zawiadamiał, że wieczorem w Pałacyku odbędzie się wieczór jazzowy z udziałem amerykańskich muzyków, którzy przyjechali do Wrocławia z Kalifornijską Orkiestrą Symfoniczną. Nie pamiętam jak, ale dostaliśmy się wtedy do tego znanego klubu studenckiego. Trwała przerwa. Amerykanów można było poznać po ubraniach i ich amerykańskości ogólnie. W pewnym momencie mój kolega podszedł do fortepianu i zaczął grać jakiegoś evergreena. Jeden z Amerykanów też podszedł do estradki, wziął do ręki trąbkę, za chwilę dołączył do niego perkusista, potem dołączył puzon i bas. Grali wspólnie około 10 minut. Myślałem, że mi się to śni. Co zaś tyczy się poszukiwania prawdy w moim zawodzie („szukaj synku prawdy”) doznałem uspokojenia dopiero po przeczytaniu eseju księdza Tischnera pt. *Myślenie w żywiole piękna*, w którym znajduje się następujący fragment: „Iluzją jest byt jako byt. Byt jako trwająca prawda bytu. Wszystko co jest, jest jakąś iluzją, mniej lub bardziej trwałym złudzeniem –



udawaniem substancjalnego istnienia. W języku filozofii piękna należy powiedzieć inaczej: wszystko co jest, jest tworzywem. Tworzywem są barwy, kształty, ciężary rzeczy i tworzywem są dramaty ludzkie. Jeśli coś jest tworzywem, to znaczy, że jeszcze nie jest naprawdę. Coś z tego dopiero będzie, jeśli wejdzie w zasięg zainteresowań artysty i stanie się dziełem sztuki”.

Nie chcę, żeby to zbyt pompatycznie zabrzmiało, ale każde poszukiwanie czegoś, czego jeszcze nie ma, zakończone sukcesem jest powołaniem artysty i najprostsza definicją dzieła sztuki.

**CHUDZIŃSKI: W rozważaniach o twórczości mówi się w takich ramach o kreacjonizmie. W związku z tym mam pytanie, gdzie Panu bliżej – do aktorstwa transformacyjnego, jeśli można go tak określić, polegającego na wcieleniu się w postać, czy do aktorstwa intelektualno-refleksyjnego, zmierzającego do zaprezentowania postaci, same-mu będąc niejako obok niej. Nawiązując do Pana doświadczenia w pracy z lalką: miał ją Pan przed sobą, a zarazem za sobą jako efekt swoich działań aktorskich.**

GAJOS: Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie dlatego, że samo nazwanie gry aktorskiej, sprowadzenie jej do jakiegoś stylu czy konwencji jest w gruncie rzeczy jej ograniczeniem. A lalkę mam ciągle przed sobą.

**MROZIEWICZ: Panuje opinia, że Pan potrafi zagrać wszystko, jeżeli zaakceptuje projekt artystyczny, w którym uczestniczy. Czy na przykład widział Pan przedstawienia Grotowskiego, a jeśli tak, w którym wzięłby Pan udział, gdyby dostał taką propozycję?**

GAJOS: Widziałem *Apocalypsis cum figuris*, to było bardzo dawno temu i nic z tego nie zrozumiałem. Zobaczyłem tylko formę, w której nie znalazłem dla siebie miejsca. Poszukiwanie w teatrze czegoś, co jest nieweryfikowalne, mnie nie interesuje.

**CHUDZIŃSKI: Od początku swojej drogi aktorskiej Pan zachowuje bardzo duży dystans do eksperymentu i nowatorstwa w teatrze. Są takie jego rodzaje, w których Pan nie znajduje dla siebie miejsca. I dlatego, jak przypuszczam, w wielu spektaklach uznanych za nowatorskie Pan by w ogóle nie zagrał, bo ma w sobie mechanizm blokujący: to nie jest dla mnie. Aktorzy mający dużą samoświadomość takie decyzje podejmują i Pan jest tego przykładem.**

**ORDYŃSKI: Czy Ciebie interesuje to, co w zakresie nowatorskich poszukiwań dzieje się we współczesnym teatrze. Czy śledzisz to zjawisko, chodzisz na przedstawienia reprezentujące ten nurt?**

GAJOS: Do teatru chodzę, choć nie jestem zawodowym oglądaczem, jak krytyk teatralny. Nie ukrywam, że niektóre „odkrycia” wydają mi się naiwne.

**CHUDZIŃSKI: Bo Pan znany jest z tego, że przystępując do jakiegoś projektu mówi jak pokerzysta – sprawdzam. Oczekuje Pan precyzyjnego objaśnienia, jakie reżyser stawia przed Panem zadanie. Z jednymi porozumiewa się Pan w pół słowa, a innym oddaje rolę. Tak było, zdaje się, w przypadku Warlikowskiego.**

GAJOS: Dla mnie największym wyzwaniem jest poszukiwanie odpowiedniej formy. To są naprawdę często nieprzespane noce. Tak było w przypadku *Mszy za*

*miasto Arras* w Teatrze Narodowym. Absolutna asceza wydała mi się najbardziej odpowiednia.

**MROZIEWICZ: Maksymalna oszczędność środków okazała się najlepszym pomysłem.**

**ORDYŃSKI: Szczypiorski, autor powieści, widział pierwszą wersję, czyli spektakl w Teatrze Powszechnym. Co Ci powiedział po jego obejrzeniu?**

GAJOS: Rozmawialiśmy krótko. Przyszedł za kulisy, podziękował i powiedział: – Dużo pan zrobił dla tej powieści.

**CHUDZIŃSKI: Skoro już dotykamy tajemnicy aktorstwa, to jak Pan rozstrzyga dylemat: grać czy być na scenie? Być może to nie jest Pański problem, bo w Pana przypadku wystarczy być, ale wielu aktorów przed takim dylematem staje.**

GAJOS: Grać czy być? Odpowiadając wprost: być na scenie to jest obowiązek aktora wynikający z umowy o pracę. Ale Panu przecież nie o takie „być” chodzi. Na scenie, skoro się na nią wychodzi, trzeba grać. Widzowie wiedzą, kim jest aktor. Oglądanie spektaklu przypomina czytanie książki: jeśli nas wciągnie, to zapominamy, że znajdujemy się w jakiejś innej rzeczywistości dla nas stworzonej.

**CHUDZIŃSKI: I tu dochodzimy do owego być. Aktor oczywiście gra jakąś postać, ale jeśli to robi po mistrzowsku – jak Pan, to dla widza jest na scenie, wypełnia ją całym swoim jestestwem.**

GAJOS: Miło mi to słyszeć. Na początku lat 80. trafiłem do Teatru Dramatycznego w Warszawie, którego dyrektorem był Gustaw Holoubek. Po jednej z prób poprosił mnie na rozmowę i dał taką uwagę: „Bardzo ładnie to proponujesz, ale wiesz co – widać, że się bardzo starasz. Gdybyś mógł to staranie trochę zniwelować, to będzie bardzo dobrze”. To była najwspanialsza uwaga, jaką usłyszałem od doświadczonego aktora. W wielkiej sztuce nie może być widoczny wysiłek, który towarzyszył jej powstawaniu.

**CHUDZIŃSKI: Z Krzysztofem mamy ulubionego poetę – Stanisława Grochowiaka, dla którego poezja była mozołem. Ale jak go czytamy, to tego mozołu nie widać. I na tym polega tajemnica poezji i zapewne także tajemnica aktorstwa.**

GAJOS: W ostatnim filmie Tarantino *Pewnego razu w Hollywood* jest taka scena: na plan przychodzi aktor w bardzo złej formie, widać, że ma potężnego kaca. Mimo to usiłuje wykonać swoje zadanie. Na drugi dzień powtarzają tę scenę i aktor gra ją bezbłędnie. Otóż za pierwszym razem on ją też zagrał bardzo dobrze, tylko mnie oszukał sugerując, że ją spartaczył, bo nie był w dobrej dyspozycji. To są tajniki aktorstwa, nie zawsze dostrzegane przez widzów. I nie muszą być zauważane, bo dla nich liczy się efekt końcowy.

**MROZIEWICZ: Na tym przykładzie widać, na czym polega „podpatrywanie” kolegów, o którym Pan mówił wcześniej.**

GAJOS: Moglibyśmy długo jeszcze zgłębiać tajniki aktorstwa, lecz wszystkiego, co jest istotą tego zawodu, wyjaśnić się chyba nie da.

**ORDYŃSKI: Może to jest kwestia talentu?**

**MROZIEWICZ: Talent – według Dostojewskiego – to jest celne wykorzystywanie tego, co miernota robi nieudolnie.**

**CHUDZIŃSKI: W rozmowie z Panem, wybitnym aktorem teatralnym i filmowym, musi pojawić się**



Fot. Krzysztof Żuczkowski

**kwestia nie tylko talentu, ale właśnie tych dwóch rodzajów aktorstwa. Co je łączy, a co różni?**

GAJOS: Z punktu widzenia aktora pierwsza, ale istotna różnica jest taka, że wychodząc na scenę musi umieć cały tekst na pamięć, a film powstaje z planów i ujęć, i uczymy się tekstu kawałkami. Inaczej wygląda też przygotowanie się do zagrania roli. W teatrze myślimy całościowo, nawet jak próbujemy poszczególne sceny. Film powstaje częściami, w różnym porządku czasowym i wymaga znacznie głębszego osadzenia w rzeczywistości. Forma teatralna jest umowna, film musi być prawdziwy także w potocznym tego słowa rozumieniu.

CHUDZIŃSKI: **Oddaje to slogan: prawda ekranu.**

GAJOS: Film musi udawać rzeczywistość. Teatr nie.

MROZIEWICZ: **A jak to jest z wyborem ról. Czy są takie, o których Pan marzył, a nie zagrał?**

ORDYŃSKI: **W jednym z wywiadów powiedziałeś: Nietknięte Szekspiry.**

GAJOS: Rzeczywiście, „Szekspirów” się nie nagrałem. Trochę żal.

MROZIEWICZ: **Król Lear ciągle na Pana czeka.**

GAJOS: Czyli wszystko jeszcze przede mną.

ORDYŃSKI: **Której nie zagranej roli żałujesz najbardziej?**

GAJOS: Chyba jednak Prospera w *Burzy*.

CHUDZIŃSKI: **Zapasiewicz na to pytanie odpowiedział bez wahania: Papkin. I tym nas zaskoczył, bo przecież z tą rolą nikomu się nie kojarzył. A ona mu grała w duszy, bo pasowała do jego koncepcji aktorstwa transformacyjnego. Pan taką szansę dostał w kabarecie Olgi Lipińskiej, kreując postać Tureckiego.**

GAJOS: Oldze Lipińskiej jestem bardzo wdzięczny za *Przedstawienie Hamleta we wsi Głucha Dolna*, a Andrzejowi Wajdzie za Cześnika w *Zemście*.

MROZIEWICZ: **Od komedii i kabaretu do estrady już jest bliżej. Co Panu dało to doświadczenie, które ominęło Pańskich wielkich kolegów?**

GAJOS: Kabaret zacząłem robić już w szkole teatralnej na trzecim roku. Nie mieliśmy własnych autorów, więc korzystaliśmy z tzw. gotowców. Sztuka kabaretowa to poważne wyzwanie dla aktora, jeśli traktuje się ją serio, a nie tylko jako sposób na zarabianie pieniędzy.

CHUDZIŃSKI: **Pan zaczął karierę aktorską w kulturze popularnej i odniósł w niej wielki sukces jako bohater *Czterech pancernych i psa*. Rola Janka Kosa zrosła się z Panem na lata, a każda próba uwolnienia się od niej przypominała zmagania Syzyfa. Kiedy wreszcie to nastąpiło, stał się Pan gwiazdą kabaretu o dużej renomie, krytyka – publiczność też – doceniła postać Tureckiego, od której znowu przez kilka lat nie mógł się Pan oderwać. I dopiero w trzecim etapie kariery aktor Gajos wybił się na pełną niepodległość. Takiej drogi emancypacyjnej nie przeszedł żaden z Pańskich wielkich kolegów, żeby wymienić Łomnickiego, Holoubka, Zapasiewicza, Trelę czy Seweryna. Z tak zarysowanej drogi twórczej chciałby Pan coś wyrzucić, czy gotów jest Pan zaakceptować ją w całości?**

GAJOS: Nie można wyrzucić z biografii czegoś, co zaistniało. Propozycję zagrania czołgisty dostałem na czwartym roku studiów. I nie bardzo wiedziałem, co mam z tym zrobić. Mikulski już został uwięziony w Kłose, to wiedziałem. Poprosiłem o radę kolegę. On pyta:

– Ile dostałeś dni zdjęciowych? Odpowiadam: – Sto! – To nad czym ty się zastanawiasz? Wtedy na studencką kieszeń to był majątek. Konsekwencje przewidywałem. Kiedy z kolei Olga Lipińska zobaczyła we mnie Turckiego, pomyślałem: – Dobra, zagram tego gburę – z nadzieją, że ta postać się do mnie nie przyklei. Nie stety, pomyliłem się.

**MROZIEWICZ:** Kabaret to jest już początek polityki w teatrze. Kontrkultura lat 70. wyręczyła teatr instytucjonalny w krytyce ówczesnej rzeczywistości, potem był bojkot i odmowa w stanie wojennym, a w 1989 roku aktorzy zaczęli recytować w telewizji apel: nie stój, nie czekaj, pomóż. Wtedy ktoś z mądrych ludzi powiedział, że głupota ludzka nie zna granic. Teraz przyszedł znowu czas, żeby teatr zabrał głos w ważnych kwestiach społecznych – byle mądrze.

**CHUDZIŃSKI:** Tzw. nowy teatr jest dziś zaangażowany politycznie, lecz nie zawsze potrafi znaleźć dla głoszonych przez siebie prawd i idei odpowiedni wyraz artystyczny. Natomiast Pan raczej unikał angażowania się w politykę. Od pewnego czasu jednak zabiera Pan głos w sprawach publicznych, bądź bierze udział w wydarzeniach artystycznych o określonej wymowie. Za przykład może tu posłużyć film *Kler*.

**GAJOS:** Ja jestem takim samym obserwatorem życia politycznego jak wszyscy. Przyznaję, że coraz częściej z niedowierzaniem patrzę na to, co się dzieje i nie pozostaję obojętny.

**ORDYŃSKI:** W jednym z wywiadów powiedziałeś: Ludzie dają się prowadzić Kaczyńskiemu w stronę piekła.

**GAJOS:** Tak powiedziałem? Bo czy piekłem nie jest takie skłócenie ludzi? Nie będę zaprzeczał, że wielu rzeczy w polityce nie rozumiem i nie akceptuję. Jeśli więc w jakiejś telewizji czy gazecie pytają mnie, co o tym sądzę, to mówię.

**MROZIEWICZ:** Do partii wstąpił Pan na studiach. Co o tym zdecydowało?

**GAJOS:** Banał. Pewnego dnia w Będzinie ukradziono mi rower – sprzed sklepu! Wtedy nowy rower to było prawie to samo, co 20 lat później maluch. Poszedłem na posterunek milicji, żeby zgłosić kradzież. Siedziało tam dwóch milicjantów i jeden z nich mówi: – Złapcie złodzieja, a my go ukarzymy. To mnie tak wk...to, że nie mogłem zasnąć. Kiedy już byłem na III roku filmówki cieszyłem się opinią jednego z najzdolniejszych studentów. Pewnego razu podszedł do mnie jeden z profesorów, którego bardzo ceniłem i powiedział: – Słuchaj, ja jestem w partii, mnie też nie podoba się wiele rzeczy, ale kto ma naprawić to, co zostało spartaczone jeżeli nie wy, młodzi i zdolni. Uwierzyłem mu. Wstąpiłem do partii. Minęło parę miesięcy, miałem mnóstwo zajęć, bo zaczęły się zdjęcia do *Czterech pancernych*, jak dostałem pismo z Komitetu Uczelnianego wzywające mnie do usprawiedliwienia nieobecności na zebraniach partyjnych. Wyjaśniłem, że z powodów obiektywnych być nie mogłem, ale chyba towarzyszy nie do końca przekonałem. Wkrótce skończyłem szkołę. Cała sprawa przestała mnie interesować. W stanie wojennym oddałem legitymację.

**ORDYŃSKI:** Jak traktujesz swój udział w filmie *Kler*? Czy wynajęłeś się do zagrania roli biskupa,

mającego zresztą swój realny pierwowzór, czy to była w jakimś sensie deklaracja polityczna?

**GAJOS:** Decyzja o zagranju w jakimś filmie to nie jest deklaracja polityczna. Otrzymuję propozycję, czytam scenariusz, ewentualnie dopytuję o różne szczegóły i wchodzę w to, albo nie.

**CHUDZIŃSKI:** Ale Pan ma świadomość, jaką wymowę ma ten film? To nie jest jeden z wielu, jakie powstają w Polsce co roku. Jego znaczenie wynika z faktu, że podjęty w nim został ważny temat społeczny, a jego rangę artystyczną wyznaczyliście między innymi wy – aktorzy w nim grający.

**GAJOS:** Jak już powiedziałem, ja swój udział w tym filmie potraktowałem zawodowo. Nie miałem zamiaru nikomu niczego zamanifestować ani składać deklaracji politycznych.

**CHUDZIŃSKI:** Nie neguję faktu, że Pan podszedł do tego filmu bardzo zawodowo. Mam jednak nieodparte przekonanie, że o wielu kwestiach i problemach podjętych przez Smarzewskiego – reżysera Pan myśli podobnie jako obywatel i jako aktor.

**ORDYŃSKI:** O właśnie, chyba się z tym zgodzisz?

**GAJOS:** Chyba w tych dociekaniach idziecie za daleko. W punkcie wyjścia rzecz wyglądała bardziej prozaicznie. Natomiast film, kiedy wszedł na ekrany, został odczytany na wiele różnych sposobów i te wazsze są też uprawnione, a nawet trafne. Ale to się stało po ukończeniu filmu, a ja się skupiłem na motywacjach, które przesądziły o moim w nim udziale.

**CHUDZIŃSKI:** Trzy dni po premierze *Kleru* rozmawialiśmy – też w cyklu *Trzech na jednego* – z biskupem Tadeuszem Pieronkiem. Jak łatwo się domyśleć, w tej rozmowie musiał się ten film pojawić, a przy okazji Pańska osoba. Okazuje się, że znaliście się od wielu lat i darzyliście wzajemną sympatią. Nieżyjący już biskup był do filmu krytycznie nastawiony, choć z innych powodów niż inni jego przeciwnicy w sutannach. Kiedy ta znajomość się zaczęła i co Was łączyło?

**GAJOS:** Poznaliśmy się w Rzymie z okazji watykańskiego spotkania twórców reprezentujących różne dziedziny sztuki. Biskup Pieronek okazał się bardzo interesującym człowiekiem, zachowywał się nie jak hierarcha i może dlatego przypadliśmy sobie do gustu. Potem spotkaliśmy się na Wybrzeżu, gdzie na wspólnej wystawie pokazywaliśmy nasze prace fotograficzne, bo on też miał to hobby. Bardzo go ceniłem jako człowieka, a rozmowy z nim dawały wiele satysfakcji.

**MROZIEWICZ:** Na jubileusz 80-lecia przyjaciele zrobili Panu prezent, wydając nietypową książkę. Złożyły się na nią wspomnienia i charakterystyki kilkudziesięciu osób, których bohaterem jest Janusz Gajos. Czego się Pan z tej książki o sobie dowiedział?

**ORDYŃSKI:** Uprzedzając odpowiedź przypomnę opinię Jana Englerta: Takiej relacji z widownią, jaką ma Janusz Gajos, nie ma żaden aktor w Polsce.

**GAJOS:** Miło jest coś takiego przeczytać.

**ORDYŃSKI:** Nie jest przecież tajemnicą, że do Teatru Narodowego – nie umniejszając wielkości i popularności innych aktorów – chodzi się na Gajosa.

**CHUDZIŃSKI:** To jest stara tradycja w tzw. teatrze gwiazdorskim. Dziś do niej sięga się rzadko, bo nawet jeśli w zespole są wybitni aktorzy, to nie



Fot. Krzysztof Żuczkowski

**stwarza im się pola do popisu. Za gwiazdę „robi” z reguły reżyser – kreator.**

GAJOS: Wracając do wspomnianej książki. Po jej lekturze mam wrażenie, jakbym się oglądał w lustrze. Jest w niej wiele bardzo cennych dla mnie spostrzeżeń i uwag, choć z niektórymi nie do końca bym się zgodził.

MROZIEWICZ: **Nie jest Pan, czy nie chce pozo-  
wać na outsidera?**

GAJOS: Ja oczywiście nie jestem królem bufetu i nie mam zamiaru zabiegać o to miano. Ale cichą trusią bywam do czasu.

ORDYŃSKI: **O najpełniejszy Twój portret chyba się pokusiła Krystyna Janda, z którą zagrałeś swoją życiową rolę w filmie Ryszarda Bugajskiego *Przesłuchanie*. Ona zresztą też.**

GAJOS: Postać przesłuchującego ją ubeka, wzorowana na Różańskim, była dla mnie nie lada wyzwaniem. Powiedziałem do Krystyny: Ja tu nie mam nic do zagrania. Tu nie ma człowieka, jest samo zło, którego emanacją jest twój prześladowca. Trzeba było to zło uczłowieczyć na różne sposoby. Film, jak wiadomo, został na 10 lat „półkownikiem”, ale kolportowany był w drugim obiegu na kasetach video. Pewnego razu przyleciałem z Gdańska na Okęcie, bardzo mi się spieszyło, więc zajęty odbiorem bagażu poprosiłem kogoś, żeby mi zarezerwował taksówkę, co w tamtym czasie nie było takie proste. – Dla pana to zrobię – powiedział. Wtedy zrozumiałem, że coś mi się udało tchnąć w tego oprawcę z *Przesłuchania*, bo w przeciwnym razie spotkałbym się z inną reakcją na Okęciu.

CHUDZIŃSKI: **Czym się Pan kierował, wybierając do swojej roli w *Kamerdynerze* gwara kaszubską. Zadania Pan sobie nie ułatwił.**

GAJOS: Powiedziałem Filipowi Bajonowi, że jeśli przywódca Kaszubów ma być w jego filmie wiarygodny, to musi mówić gwarą. – Tak uważasz? – odpowiedział pytaniem. Rzeczywiście, wziąłem na siebie trudne zadanie. Co prawda miałem konsultanta i tekst zapisany fonetycznie, ale życia sobie nie ułatwiłem. A ponieważ mówiliśmy tu o prawdzie w kinie, to żeby ją osiągnąć, trzeba było grać Kaszubów w ich języku, bo nie tylko ja w tym filmie nim się posługiwałem.

MROZIEWICZ: **Kaszubi mają status mniejszości narodowej, dlatego ich język widnieje na tablicach informacyjnych miast i wsi tego regionu.**

GAJOS: Żeby zapewnić komunikację z widownią, kwestie wypowiedane po kaszubsku w tym filmie są tłumaczone na język polski w formie napisów.

CHUDZIŃSKI: **Jest Pan tytularnym profesorem Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Lubi Pan zawód pedagoga?**

GAJOS: Uprawiałem go przez 10 lat dojeżdżając do Łodzi. Później przez sześć lat w Akademii Teatralnej w Warszawie. Prowadzenie zajęć ze studentami dawało mi wiele satysfakcji. Robiłem z nimi głównie tzw. sceny, na różnym materiale, ale też pod moją opieką powstało przedstawienie dyplomowe oparte na *Zbrodni i karze* Dostojewskiego w adaptacji Andrzeja Domalika.

CHUDZIŃSKI: **Dziękujemy za rozmowę.**

Rozmawiali:  
**Edward Chudziński**  
**Krzysztof Mroziewicz**  
**Jan Ordyński**

Warszawa, 25 stycznia 2020 r.

MICHAŁ ŚLIWA

# NIEPODLEGŁOŚĆ I DEMOKRACJA W MYŚLI PROGRAMOWEJ POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ\*

Wraz z nasilającymi się u schyłku XIX wieku procesami industrializacji i urbanizacji intensywnie rozwijało się społeczeństwo przemysłowe. Zmieniało się uwarstwienie społeczno-zawodowe, kształtowała się nowa struktura polityczna i następowały gruntowne przeobrażenia w sferze kulturowej i moralnej. Coraz większą rolę w życiu społecznym zaczęła odgrywać nowa klasa społeczna – robotnicy i inne grupy ludności pracującej. Zmiany te zachodziły gwałtownie również na ziemiach polskich, zwłaszcza w Królestwie Polskim po zniesieniu poddaństwa i reformie agrarnej 1864 roku. Wzorem krajów zachodnioeuropejskich dokonywała się modernizacja społeczeństwa polskiego. Następowano uprzemysłowienie kraju, rozwój miast, migracja ludności, zmieniało się gruntownie społeczeństwo polskie. Zaczęły się organizować nowe środowiska społeczne – robotnicze i pracownicze, i już od początku lat siedemdziesiątych XIX wieku rozwijał się ruch socjalistyczny.

Wskutek jednak złożoności polskiego procesu dziejowego, uwarunkowanego utratą niepodległości i znacznym zapóźnieniem cywilizacyjnym oraz szczególnym położeniem między Wschodem a Zachodem, przed polskimi socjalistami jawiły się o wiele trudniej-

sze i bardziej skomplikowane problemy, aniżeli wobec ich współtowarzyszy w społeczeństwach o wyższym poziomie cywilizacyjnym i funkcjonujących w ramach własnych struktur państwowych. Formując bowiem program budzącego się nowego ruchu wyzwolenieckiego – ruchu socjalistycznego nie można było nie podnieść kwestii narodowej i sprawy demokratyzacji stosunków społecznych jako warunku emancypacji robotników i innych warstw pracujących. Toteż wartości wolności narodowej i demokracji miały dla polskich socjalistów pierwszorzędne znaczenie i były głównym i niezwykle żywym przedmiotem ich debat i sporów ideowo-politycznych. Podejmując kwestię niepodległości narodowej krytykowanym się było za zdradę interesów klasowych, a znowu nie doceniając jej – oskarżanym o nihilizm narodowy. Podobnie było ze sprawą stosunku do demokracji, ponieważ żądanie np. demokratyzacji władzy państwowej rodzić mogło niebezpieczeństwo współdziałania z zaborcą i legitymizowania jego władzy, gdy znowu ograniczenie aktywności politycznej jedynie do walki z obcą władzą ograniczać miało możliwości emancypacyjne nowych warstw społecznych i ich ruchów politycznych. Tym bardziej że w warun-

kach ucisku narodowego i absolutyzmu państwowego, w szczególności pod zaborem rosyjskim, nie było warunków do rozwijania w sposób legalny, demokratyczny akcji niepodległościowej i politycznej, i co więcej nie było możliwości na większą skalę praktykowania demokracji i obywatelskości, i przygotowania robotników do funkcjonowania w przyszłości w demokratycznym społeczeństwie i państwie.

Ważnym etapem w rozwoju myśli politycznej polskich socjalistów było przyjęcie postulatów programowych i skonsolidowanie ruchu socjalistycznego poprzez zapoczątkowanie działalności Polskiej Partii Socjalistycznej. Dokonało tego osiemnastu socjalistów obradujących w mieszkaniu emigranta Bolesława Jędrzejewskiego w Montrouge, na przedmieściu Paryża, w dniach 17 – 23 listopada 1892 roku, wywodzących się z różnych organizacji i środowisk z kraju i emigracji, głównie II Proletariatu, Zjednoczenia Robotniczego, Związku Robotników Polskich i Gminy Narodowo-Socjalistycznej. Uczestnicy tego spotkania, które określono w przyszłości mianem zjazdu paryskiego PPS, w większości bardzo młodzi ludzie, odznaczali się wysokimi walorami intelektualnymi oraz znaczącym już doświadczeniem w pracy teoretycznej, publicystycznej i organizacyjnej.

W przyszłości wielu z nich, m. in. Edward Abramowski, Stanisław Grabski, Jan Lorentowicz, Stanisław Mendelson, Witold Jodko-Narkiewicz, Feliks Perl, Jan Strożecki i Stanisław Wojciechowski odegrało wybitną rolę w polskim życiu umysłowo-kulturalnym i w świecie polityki. Przewodził im najstarszy wiekiem i doświadczeniem, uczestnik manifestacji antycarskich poprzedzających wybuch powstania styczniowego, uznany już wówczas historyk i socjolog – Bolesław Limanowski. Miało ono burzliwy przebieg, gdyż dotyczyło wytyczenia celów i zadań budzącego się nowego ruchu społecznego, w tym przede wszystkim stosunku do kwestii narodowej, a właściwie dróg prowadzących do odzyskania niepodległości, charakteru społecznego odrodzonego państwa polskiego i jego ustroju politycznego, sposobów i środków walki w warunkach niewoli narodowej i ucisku społecznego, stosunku do innych ugrupowań polskich i rosyjskiego ruchu rewolucyjnego itp.

Na spotkaniu przyjęto postulaty programowe przyszłej partii, do których w styczniu następnego roku S. Mendelson napisał w formie wstępu obszerny komentarz. Rozwinięty w ten sposób dokument ogłoszono w maju 1893 roku w emigracyjnym „Przedświcie” pod łącznym tytułem *Szkic programu Polskiej Partii Socjalistycznej*. Jego treść zdominowała idea odbudowy „Samodzielnej Rzeczypospolitej Polskiej”, złożonej z ziem zaboru rosyjskiego, chociaż w dyskusjach socjalistycznych wówczas i w następnych latach przewijały się różne propozycje zasięgu terytorialnego odrodzonej Rzeczypospolitej o charakterze trójzaborowym, a więc np. w granicach historycznych lub etnograficznych.

W ten sposób po raz pierwszy od upadku powstania styczniowego wpisano znowu do programu ruchu politycznego hasło niepodległości Polski. Ustalono także koncepcje taktyczne partii, wyłoniono organizację, zrzeszającą emigrację socjalistyczną – Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich i postanowiono wysłać kilku uczestników zjazdu ze S. Mendelsonem na czele

do kraju, czyli Królestwa Polskiego, w celu połączenia działających tam grup socjalistycznych i utworzenia Polskiej Partii Socjalistycznej.

Na efekty działalności Mendelsona nie trzeba było długo czekać. Już bowiem w końcu lutego 1893 r. udało mu się połączyć działające w Warszawie grupy socjalistyczne II Proletariatu, Związku Robotniczego i Związku Robotników Polskich w jednolitą organizację – Polską Partię Socjalistyczną. Pół roku później w Berlinie na konferencji polskich socjalistów z terenu zaboru pruskiego i Niemiec powstała bratnia jej Polska Partia Socjalistyczna zaboru pruskiego pod przewodnictwem Franciszka Morawskiego i Stanisława Przybyszewskiego. Wcześniej zaś, bo już w 1890 roku, grupie socjalistów pod zaborem austriackim z Ignacym Daszyńskim na czele udało się utworzyć Partię Robotniczą w Galicji, która po siedmiu latach działalności przyjęła nazwę Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska.

W ten sposób w ostatnim dziesięcioleciu zorganizował się na ziemiach polskich i emigracji polski ruch socjalistyczny w nowoczesne partie polityczne. Od początku swej działalności partie te występowały na forum międzynarodowym jako jednolita reprezentacja polskiego ruchu socjalistycznego – trójzaborowa Polska Partia Socjalistyczna. Powstanie polskich partii socjalistycznych wzorem krajów zachodnioeuropejskich było wyrazem procesów unowocześniania i modernizacji społeczeństwa polskiego w wyniku rozwoju kapitalizmu i industrializacji – kształtowania się społeczeństwa przemysłowego oraz wzmożenia się aspiracji niepodległościowych u schyłku dziewiętnastego wieku.

Jednak część socjalistów, związana wcześniej z Ludwikiem Waryńskim i rozwijająca ideę powszechnej rewolucji socjalnej w imię obrony międzynarodowych zasad ruchu proletariackiego i negacji wszelkich koncepcji powstania narodowego i walki narodowo-wyzwoleńczej jako tamujących postępy socjalizmu, nie uznała nowego programu partyjnego i następnie wystała z PPS. Zorganizowała się w nową partię: Socjaldemokrację Królestwa Polskiego (od 1899 Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy). Jej oczekiwania ideowe spełniała twórczość zuryskiej grupy polskiej młodzieży socjaldemokratycznej skupionej wokół Róży Luksemburg i wydającej czasopismo „Sprawa Robotnicza”. Wyrażała ona negatywny stosunek do idei niepodległości Polski, dowodząc, iż jej urzeczywistnienie w warunkach kapitalizmu jest niemożliwe, a po zwycięstwie socjalizmu zbędne, tym bardziej że wskutek rozwoju kapitalizmu ziemie polskie zrosły się z organizmami gospodarczymi państw zaborczych, co jest przejawem ogólnego procesu integracji poszczególnych terytoriów, i nie ma już żadnych warunków, by odbudować państwo narodowe. W tej sytuacji proletariat polski powinien wspólnie z robotnikami całej Europy dążyć do wzniesienia rewolucji powszechnej, w wyniku zwycięstwa której utworzy się wolny związek ludów europejskich lub całego świata bez granic państwowych i wszelkich form panowania jednych grup społecznych i narodowych nad drugimi.

Do koncepcji tej nawiązywał po 1918 roku polski ruch komunistyczny.

Powoli jednak od początku lat siedemdziesiątych XIX wieku coraz szersze poparcie wśród socjalistów

zyskiwało stanowisko ideowe Bolesława Limanowskiego, które ostatecznie na zebraniu założycielskim PPS przyjęto za podstawę postulatów programowych nowej partii socjalistycznej. Wychodził on bowiem z założenia, iż wartości patriotyzmu, demokratyzmu i socjalizmu nie są sobie przeciwstawne, ale wzajemnie się dopełniają, i wysunięcie postulatu niepodległości Polski wcale nie prowadzi do zatarcia klasowych dążeń robotników i odejścia od programu rewolucji socjalnej – wręcz przeciwnie, wzmocni tylko dążenia socjalistyczne, które będąc stałym komponentem świadomości ludzkiej od czasów zamierzających jeszcze się wzmocniły w postawach i zachowaniach Polaków wskutek utraty niepodległości. Wartości socjalizmu wzbogaciło bowiem w Polsce poczucie patriotyzmu, słabiej akcentowane przez narody zorganizowane w samodzielne państwa.

W kulturze polskiej wartości socjalizmu i patriotyzmu tworzą integralną całość. Patriotyzm jest najwyższym przejawem swoistości kultury narodowej, a socjalizm – najpełniejszym wyrazem kultury ludowej. Lud, najlicniejsza warstwa narodu, wyznacza zaś charakter całej kultury narodowej. „Patriotyzm i socjalizm – przekonywał Limanowski w broszurze ogłoszonej w Genewie, w 1881 roku, pod takim właśnie tytułem jak brzmiały pierwsze owe słowa cytowanej wypowiedzi – nie tylko nie są przeciwnymi sobie, ale wzajemnie się potęgują. Prawdziwy patriotyzm zwraca się przede wszystkim ku temu, co stanowi podstawę i rzeczywistą siłę narodu, ku ludowi pracującemu, a więc musi być socjalistyczny, szczerzy, zaś socjalizm wypływając z miłości narodu, musi być patriotyczny”. Ruch socjalistyczny w Polsce jest zatem naturalnym spadkobiercą i kontynuatorem polskiej tradycji postępowo-demokratycznej. Dlatego „socjaliści polscy – konstatował Limanowski w wydanej dwa lata wcześniej we Lwowie rozprawie *Socjalizm jako konieczny objaw dziejowego rozwoju* – podnoszą więc na nowo sztandar demokratyczny Wiśniowskich, Worcellów, Goslarów, Ściegiennych, ów sztandar, na którym czytaliśmy, że wszechwładztwo wróci do ludu; stan niegdyś panujący rozwiąże się ostatecznie, między lud zstąpi, stanie się ludem; wszyscy będą równi, wszyscy wolni, wszyscy dziećmi jednej matki Ojczyzny”.

Rozwijana przez autora *Historii demokracji polskiej w epoce porozbiorowej* teza o socjalizmie jako niezbędnym etapie w rozwoju społecznym spełniała doniosłe funkcje. Wskazywała, że socjalizmem przemawiają dotychczasowe dzieje ludzkości i że nie narusza on ciągłości historii, bo jest ważnym jej składnikiem, warunkiem koniecznym i wystarczającym dla dopełnienia się procesu historycznego. Uwidaczniała, że przeobrażenia socjalistyczne, tak jak dzieje ludzkości, mają charakter postępowy, a sama idea socjalistyczna jest istotnym składnikiem kultury ludzkiej od czasów najdawniejszych. Wytrącała argumenty przeciwnikom socjalizmu, którzy przedstawiali go jako przejaw patologii społecznej, ostatniej okrutnej „choroby ludzkości”, naruszającej ciągłość dziedzictwa społecznego lub upatrywali w nim nowy projekt ideologiczny, nie mający za sobą żadnej rodzimej tradycji, importowany na grunt polski. Jednocześnie pozwalała przyswoić przez obóz robotniczy najlepsze tradycje narodowe – postępowo-demokratyczne i je odpowiednio rozwijać i wzbogacać.

Jego wizja socjalizmu i sposób jej uzasadnienia – jak już wcześniej stwierdziłem – zyskała z czasem uznanie większości polskich socjalistów. Przyjęli ją na zjeździe paryskim i rozwijali przez następne dziesięciolecie. Skupieni w trójzaborowej PPS, jako pierwsi stanowiąc znaczącą siłę polityczną po upadku powstania styczniowego postawili nie tylko na nowo problem odzyskania niepodległości, lecz wykazali realne możliwości urzeczywistnienia wolnej, suwerennej, demokratycznej Polski poprzez walkę zbrojną warstw ludowych w warunkach rewolucji europejskiej lub konfliktu zbrojnego między państwami zaborczymi.

Twórcy PPS byli przekonani, iż patriotyzm jest zespolony z ideami demokratycznymi i egalitaryzmem społecznym; że jest związany z ludem, szczególnie zaś z proletariatem, że odzyskanie niepodległości odpowiada proletariatu polskiemu, ponieważ odrodzone państwo kapitalistyczne posiadać będzie ustroj bardziej postępowy niż zapóźniona ekonomicznie carska Rosja, i jest ono warunkiem wstępnym dla stworzenia Polski socjalistycznej. Tym bardziej iż tylko w państwie narodowym – wnioskowali – może być urzeczywistniona idea demokracji, gdyż jej niezbędną przesłanką jest wspólnota językowa, fundamentalna bowiem zasada demokracji – zasada większości – może być stosowana jedynie wewnątrz jednego narodu.

Odrodzenie się państwa polskiego jako państwa narodowego – „nowoczesnego pola walki klasowej”, jak mawiał Ignacy Daszyński – jest zwieńczeniem procesu narodotwórczego i rozwoju nowoczesnej demokracji. Konieczność organizacji narodu polskiego w samodzielne, niezależne państwo uzasadnione jest w istocie potrzebą rozwiązania problemu narodowego, utrudniającego walkę o socjalizm zarówno robotnikom narodu panującego, jak i narodu podbitego. Państwo narodowe jest jedyną, właściwą formą organizacyjną narodu w schyłkowej fazie kapitalizmu, zapewniającą optymalne warunki dla rozwoju sił wytwórczych i kultury narodowej oraz urzeczywistnienia ustroju sprawiedliwej społeczności.

Upowszechniali odtąd socjaliści projekt polityczny odrodzonej Rzeczypospolitej – „Niepodległej Republiki Demokratycznej Polskiej”, której system ustrojowy pragnęli oprzeć na instytucji parlamentu jednoizbowego, wyłonionego na podstawie pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego, uzupełnionego prawodawstwem ludowym (referendum i inicjatywa ustawodawcza), szeroko rozbudowanym samorządem terytorialnym, obieralnością urzędników państwowych i samorządowych, itp. W swych programach partyjnych, deklaracjach politycznych, w bogatej publicystyce partyjnej, w bezpośrednich wypowiedziach na wiecach i zgromadzeniach socjalistycznych oraz w licznych rozprawach i wydawnictwach upowszechniali i uzasadniali na niespotykaną dotąd masową skalę wartości demokracji i parlamentaryzmu. Rozbudzali w ten sposób w warstwie robotniczej poczucie obywatelskości i demokratyzmu, przekonując, że tylko w niepodległym państwie o ustroju demokratyczno-parlamentarnym robotnicy i inne grupy ludności pracującej mogą stać się pełnoprawnym podmiotem nowoczesnego narodu i dochodzić swych racji i praw w sposób pokojowy, demokratyczny.

Najpełniejszego wówczas uzasadnienia doktrynalnego dążeń niepodległościowo-socjalistycznych doko-

nał wybitny teoretyk socjalizmu i współtwórca polskiej socjologii – Kazimierz Kelles-Krauz. Uznawał on, iż głównym dążeniem nowego ruchu społecznego jest w istocie zaprowadzenie „powszechnego ludowładztwa”, czyli „rządów ludu przez lud cały”. Dlatego tak ważne są współcześnie wzajemne związki demokracji i narodu, gdyż jedyną przestrzenią społeczno-polityczną i prawną urzeczywistnienia zasady ludowładztwa jest naród.

Częścią składową pojęcia demokracji jest więc niepodległość narodowa. Demokracja nie może być urzeczywistniona i nie może istnieć w warunkach braku wolności narodowej. Tworzy ona bowiem z państwem narodowym „absolutną nierozłączną” całość. Wynika to przede wszystkim z faktu, że zarówno demokracja polityczna, jak i „demokracja gospodarcza” („ludowładztwo ekonomiczne”) opierają się na zasadzie większości, a ta stosowana może być jedynie wewnątrz jednego narodu. Bo decyduje o tym sposób komunikowania się pomiędzy ludźmi, czyli język jako „narzędzie obiegu myśli i wszelkich stosunków ludzkich”. Ludzie mogą się porozumiewać pomiędzy sobą jedynie w zrozumiałym dla siebie języku, a więc w ramach jednego tylko narodu.

Nawet w silnie skonfliktowanych wspólnotach narodowych zawsze pojawiają się zbieżne cele i dążenia, dobro wspólne, przejawiające się trosce o istnienie wspólnoty, jej rozwój i właściwe funkcjonowanie. Ale mogą być one realizowane jedynie w toku nieustannych sporów i wymiany myśli pomiędzy skonfliktowanymi grupami społecznymi, i wzajemnym się ich przekonywaniu oraz pozyskiwaniu dla określonych projektów i wizji organizacji społeczeństwa nowych zwolenników. Możliwe to jest tylko w warunkach demokracji stwarzającej swobodę wyrażania myśli i wypowiedzi oraz ustalenia preferencji dla większościowych wyborów i zapewnienia im uznania przez mniejszość. A to znowu można osiągnąć tylko w ramach jednego narodu – społeczności komunikującej się w zrozumiałym dla siebie języku.

O integralnym związku demokracji z państwem narodowym, według ideologa PPS, decydowały również czynniki wynikające z istoty nowożytnego rozwoju ekonomicznego o charakterze kapitalistycznym. Niezbędnym bowiem zabezpieczeniem dla funkcjonowania nowego ładu społecznego – kapitalizmu okazało się państwo narodowe, bo tylko ono mogło zapewnić najlepsze warunki dla rozwoju przemysłu i jego ekspansji na rynkach międzynarodowych. Ono najlepiej zabezpieczało interesy nowej klasy społecznej – burżuazji. Dlatego niezbędną dla państwa narodowego stała się demokracja, w swej naturze będąca zaprzeczeniem wszelkich partykularizmów oraz przywilejów jednostkowych i grupowych, które utrudniały rozwój kapitalizmu i niezbędny dla niego proces centralizacji i konsolidacji władzy państwowej. Ona też sprzyjając ujednocnieniu systemu prawnego na możliwie największym terytorium, koniecznym dla rozwoju kapitalizmu, stała się czynnikiem konsolidacji i spójności państwa narodowego.

Demokracja i państwo narodowe – przekonywał K. Kelles-Krauz – są również potrzebne nowej klasie społecznej – robotnikom. Aczkolwiek w przeciwieństwie do burżuazji – robotnicy nadają im nową treść, wyrażając

się przede wszystkim w konsekwentnym zrealizowaniu „demokracji całkowitej”, „demokracji najczystszej” oraz uczynienia z państwa narodowego płaszczyzny współdziałania i przyjaźni z innymi narodami w celu budowy trwałego pokoju i związku państw w świecie. „Proletariat potrzebuje – konstatował w rozprawie *Niepodległość Polski a materialistyczne pojmowanie dziejów*, ogłoszonej w 1905 roku na łamach krakowskiej „Krytyki” – wolności i jedności narodu dla siebie samego już dlatego, że ona jedynie – oczywiście zawsze przy demokracji – umożliwia swobodny obieg myśli między wszystkimi częściami i warstwami narodu, należyty, nie tamowany rozwój oświaty i kultury, które są koniecznymi warunkami zwycięstw ekonomicznych i politycznych klasy robotniczej. Ale oprócz tego ta potrzeba polityczna proletariatu zupełnie tak samo wypyływa z potrzeb ekonomicznych jego i jest warunkiem niezbędnego ich zaspokojenia”.

Nie bez powodu teoretyk PPS poszukiwał argumentów uzasadniających dążenia demokratyczne i narodowe robotników w sferze ekonomicznej, ponieważ – jak każdy zresztą socjalista – postrzegał ograniczony charakter demokracji urzeczywistnionej przez burżuazję, limitowanej wymogami rozprawy z feudalnym porządkiem społeczno-politycznym. Poprzestała ona bowiem na wdrożeniu demokracji politycznej, znacznie jeszcze okrojonej poprzez zachowanie niesprawiedliwych stosunków ekonomicznych. W tej sytuacji nie jest możliwe zaprowadzenie pełnej demokracji w warunkach nierówności i ucisku ekonomicznego. Dlatego pojawia się rządów dyktatorskich – podkreślał Kelles Krauz – nie jest następstwem, jak twierdzą oponenti demokracji, np. konserwatyści i reakcyoniści, przerostu i panoszenia się demokracji z jej naczelną zasadą równości politycznej, lecz narastania sprzeczności pomiędzy urzeczywistnioną równością i wolnością polityczną a uciskiem ekonomicznym jednych grup społecznych przez drugie. Wywłaszczone grupy społeczne szybko rozczarowują się bowiem do urzędów demokratycznych, stają się podatne na demagogię i szukają ratunku w rękach tyranów i dyktatorów.

Dlatego socjaliści nie poprzestają na realizacji politycznego modelu demokracji, lecz dążą do urzeczywistnienia demokracji ekonomicznej poprzez przejęcie środków produkcji na własność całego społeczeństwa, w którym to dziele spełni się misja dziejowa klasy robotniczej jako wyzwoliciela nie tylko wywłaszczonych, ale wszystkich ludzi wyobcowanych za sprawą niesprawiedliwych stosunków społecznych. Przeto tym bardziej niezbędna jest robotnikom demokracja, gdyż socjaliści nie przewidują tworzenia jakis nowych form organizacji społeczeństwa przyszłości.

Zakładają bowiem przejęcie istniejącego już państwa narodowego jako najlepszej formy organizacyjnej, w ramach której może być urzeczywistnione społeczne kierownictwo procesem produkcji. Nie sposób go wprowadzić na zbyt wielkich obszarach, np. na danym całym kontynencie lub w skali ogólnoświatowej, nie tylko ze względu na skuteczność i efektywność zarządzania, lecz przede wszystkim z powodu porozumiewania się, możliwego jedynie w warunkach „wspólnoty językowej” i urzędów demokratycznych. Ponieważ system uspołecznienia środków produkcji i zarządzania nimi wymaga porozumiewania się w konkretnym języku



i przestrzegania demokratycznej zasady większości. Choć nie jest wykluczone – przewidywał autor – pojawienie się w odległej przyszłości nowych form komunikowania się między ludźmi oraz uzgadniania decyzji w procesie kierowania i zarządzania życiem społecznym. Tym bardziej iż procesowi nieustannego budzenia i umacniania świadomości narodowej robotników towarzyszy proces żywiołowego kształtowania się pod wpływem rozwoju kapitalizmu ich świadomości narodowej. To znowu wzmacnia u nich poczucie godności i człowieczeństwa. W konsekwencji rozwija i utrwała się jego świadomość narodowa, demokratyczna, ogólnoludzka i klasowa. Nic też dziwnego, iż robotnicy już dzisiaj chcą uczestniczyć w kulturze narodowej, korzystać z osiągnięć oświaty i decydować o sobie, o losie swojej klasy społecznej i losie swojego narodu.

Na końcu owej drogi wielkiego ruchu emancypacyjnego jawi się idea ludowładztwa, której urzeczywistnienie przyspieszy nowoczesny rozwój ekonomiczny, ponieważ „z siłą niezmożonej konieczności – konkludował we wspomnianej wyżej rozprawie – wytwarza się wszędzie klasę robotniczą, ale także skupia ją, popycha i zaprasza do walki, budzi w niej poczucie godności, solidarności i oporu, buntu, pociąga ją do udziału w oświacie i kulturze, napełnia ideałem demokracji, więc równie niezbędnym następstwem niepowstrzymanego rozwoju ekonomicznego jest określanie się świadomości narodowej w proletariacie, obrona narodowości przez tę klasę i dążenie jej do niepodległego demokratycznego państwa narodowego. Urzeczywistnienie niepodległości narodu musi być takim samym następstwem nowoczesnego rozwoju ekonomicznego, jak urzeczywistnienie demokracji, z którą stanowi ona jedną nierozłączną całość”.

Na tej podstawie dowodził konieczności odrodzenia polskiego państwa narodowego o ustroju demokratyczno-parlamentarnym na miarę przeżywanego epoki dziejowej, czyli zorganizowanego w nowoczesne instytucje polityczne i urzędnictwo ekonomiczne, ponieważ ono jedynie może umożliwić warstwom pracującym pełne unarodowienie i upodmiotowienie polityczne. W konsekwencji ułatwią przejęcie władzy na drodze demokratycznej, co pozwoli urzeczywistnić nowy ład społeczny, oparty na zasadach sprawiedliwości i równości społecznej. W ten sposób swym prawem retrospekcji przewrotowej zamknął wieloletni spór o rodowód nowego ruchu społecznego, gdyż przekonująco dowiódł, iż złudzeniem jest dążenie do wyzwolenia się od tradycji, ponieważ dzieje społeczne są procesem odradzania się przeszłości, aczkolwiek w innej, wyższej postaci.

Dlatego aspiracje socjalne i narodowe warstw pracujących są ściśle zespolone z ideami demokratycznymi, i że tylko w państwie niepodległym może być urzeczywistniona idea demokracji, gdyż jej niezbędną przesłanką jest zasada większości, możliwa tam, gdzie nie ma ucisku narodowego i panuje równość praw. Warstwom tym niezbędne są więc instytucje demokratyczno-parlamentarne republikańskiego państwa, które każdemu narodowi umożliwiają rządzenie sami sobą, co jest „ogromnie dobre dla narodu i sprawiedliwe”, ponieważ „wszystkie urzędnictwa, co służą do tego – objaśniał lapidarnie Kelles-Krauz w popularnej broszurze pt. *Jak się narody rządzą?*, ogłoszonej w Krakowie w 1904 roku – żeby naród sam sobą rządził, to są

dopiero wtedy zupełnie doskonałe, jak każdy naród u siebie jest niezależny i nikt mu się obcy nie wtrąca do tego, jak on sobą rządzi (...). A jeżeli inne narody mają takie urzędnictwa, to i nam się one należały. Dlaczego my byśmy sami nie mieli sobą rządzić? Czy my gorsi od innych? (...). Oto najpierw musimy chcieć, żeby Polska była niezależna, żebyśmy Polacy sami sobą rządzili, nie żeby nami rządzili Rosjanie, ani Niemcy. A po wtóre powinniśmy chcieć, żeby ta nasza Polska była rzeczpospolitą, bośmy widzieli, że w Rzeczypospolitej najłatwiej narodowi sobą samym rządzić i nikt mu w tym nie przeszkadza”. Dlatego, jego zdaniem, warstwy pracujące kontynuują dzieło odbudowy demokracji, podjęte przez burżuazję, by przywrócić panujące niegdyś w okresie wspólnotowym „powszechne ludowładztwo”, czyli rzeczywistą wolność, równość i solidarność między ludźmi. Urzeczywistnienie go w Polsce umożliwi odrodzenie państwowości narodowej w formie republiki demokratyczno-parlamentarnej.

Propagując ideę odrodzenia Polski demokratycznej, socjaliści ożyli w społeczeństwie na przełomie dwóch poprzednich stuleci zainteresowanie sprawami ustrojowymi. Tym bardziej że uzasadniali potrzebę budowy demokratyczno-parlamentarnej wzorca ustrojowego jako najlepszego sposobu realizacji dążeń emancypacyjnych warstw pracujących, wyrażając przy tym nowatorską tezę o rozwoju nowoczesnej demokracji w wyniku nasilenia się ich ruchu wyzwolającego. Dostrzegali nowe zjawisko społeczne – demokracja zyskuje nowego potężnego sojusznika i obrońcę – warstwy pracujące, u których żywiołowo wzrasta się świadomość demokratyczna, i które tworząc szeroką podstawę społeczną procesów demokratyzacyjnych społeczeństwa i przyszłego państwa polskiego stanowią najpewniejszą gwarancję rozwoju demokracji i modernizacji stosunków polskich. W ten sposób wykazali, że dążenia nowego ruchu społecznego do wykorzystania współczesnego państwa i jego przebudowy w procesie urzeczywistnienia celów socjalistycznych nie są sprzeczne z zasadami socjalizmu, i że służy on w równym stopniu sprawom narodowej i społecznej.

Spełniało to wobec warstwy robotniczej, wywodzącej się w większości z niedawnych jeszcze chłopów pańszczyźnianych, którzy uzyskali prawa cywilne dzięki reformom agrarnym rządów zaborczych i skorych w wyniku wielowiekowej niewoli do rozstrzygnięcia konfliktów międzygrupowych na drodze stosowania siły i przemocy, istotne funkcje społeczne i psychologiczne. Kierowało aktywność publiczną tych warstw na tory pokojowe i demokratyczne, nowoczesnej kultury politycznej, tym bardziej że w warunkach polskich niedorozwoju struktury społeczno-politycznej społeczeństwa i słabości liberalnych sił politycznych przyszło socjalistom wypełniać role, które w rozwiniętych krajach z sukcesami realizowali liberałowie jako pierwszorzędni promotorzy demokracji i parlamentarizmu. Rozbudzenie poczucia obywatelskości i demokracji wśród warstw pracujących przyspieszało proces ich unarodowienia i pozwalało oprzeć dzieło odzyskania niepodległości narodowej na szerokim i pewnym podłożu społecznym, i zapewnić odrodzonemu państwu ustrój demokratyczny, a następnie w przyszłości jego obronę. Wzrastało w świadomości robotników poczucie więzi

z państwem i jego instytucjami demokratycznymi. Rozbudzało uczucie dumy z odzyskanego państwa, zorganizowanego w sposób nowoczesny, demokratyczny. Jednocześnie ułatwiało rozwiązanie podstawowych problemów społeczeństwa, wyrażających się przede wszystkim w potrzebie modernizacji i unowocześnienia stosunków polskich.

Socjaliści nie poprzestali na proklamowaniu idei odbudowy niepodległości w ramach demokratycznego państwa narodowego, gdyż nieustannie mobilizowali warstwę pracującą do walki z caratem i o wyzwolenie społeczne, organizując demonstracje, strajki, manifestacje pierwszomajowe itp. Jako pierwsi ze wszystkich grup politycznych po 1864 roku wznowili – jak już wspominałem – ideę powstańczą i z ideą tą wiązali nowe warstwy społeczne, z robotnikami na czele, przyspieszając proces ich unarodowienia i uobywatelnienia. Przez opór i walkę z zaborcami wzmagali wśród nich poczucie patriotyzmu i wolę odzyskania niepodległego bytu państwowego oraz umacniali poczucie więzi narodowej wśród robotników polskich, rozdzielonych kordami granicznymi państw zaborczych.

W istotnym stopniu przyczynili się do ukształtowania nowoczesnego społeczeństwa polskiego i odzyskania wolności narodowej. Odegrali pierwszorzędną rolę w urzeczywistnieniu celów politycznych całego obozu niepodległościowego. Stanowili bowiem niezwykle aktywny i nowoczesny ośrodek polskiej myśli państwowej. W ostatnich miesiącach wojny przystąpili bezpośrednio do dzieła odbudowy niepodległości Polski i nadania jej demokratycznego ustroju społeczno-politycznego. Współtworzyli pierwsze struktury państwowe odradzającej się niepodległości polskiej, między innymi Polską Komisję Likwidacyjną w Krakowie i Radę Narodową Śląska Cieszyńskiego oraz rządu ludowo-socjalistyczne Ignacego Daszyńskiego i Jędrzeja Moraczewskiego. Współorganizowali jego podstawowe struktury i instytucje i zapewniali im kompetentne i sprawne kadry. Jako pierwsi też ze wszystkich ówczesnych polskich ruchów politycznych połączyli się w jednolitą ogólnopolską partię socjalistyczną na kongresie zjednoczeniowym w Krakowie – kwiecień 1919 roku – w Polską Partię Socjalistyczną.

Socjaliści odegrali więc wybitną rolę w procesie integracji proletariatu polskiego i narodu polskiego, podzielonych przez państwa zaborcze, i zachowania ich tożsamości narodowej oraz odbudowy niepodległości Polski. Przejawili największą ze wszystkich ugrupowań polskich aktywność państwowotwórczą. Współtworzyli wspomniane już pierwsze ośrodki władzy polskiej na ziemiach polskich.

Dwaj jej czołowi politycy: Ignacy Daszyński i Jędrzej Moraczewski stanęli na czele pierwszych dwóch ogólnopolskich rządów odrodzonej Polski. Ich niedawny współtowarzysz – Józef Piłsudski został naczelnikiem państwa i stał się faktycznym współtwórcą wolnej Polski. Jego i rządu Moraczewskiego pierwsze decyzje polityczne nadały państwu polskiemu nowoczesny i demokratyczny charakter, gdyż wprowadziły system demokracji parlamentarnej (demokratyczne pięcioprymiotnikowe prawo wyborcze, jednoizbową konstytuante, wolność i równość polityczną wszystkich obywateli), obudowanej szeroko instytucjami demokracji społecznej między innymi ośmiogodzinnym dniem

pracy, inspekcją pracy, wolnymi związkami zawodowymi, opieką nad młodocianymi pracownikami, ochroną pracy kobiet, przymusowymi urlopami (z wyjątkiem rolnictwa), rozbudowanymi świadczeniami socjalnymi, zasiłkami chorobowymi, reprezentacją robotniczą w zakładach pracy i szeroko rozwiniętym ustawodawstwem pracy, szkołą siedmioklasową, powszechną, bezpłatną i obowiązkową itp.

Wszystko to spowodowało, iż w przyszłości nie było już możliwe zupełne porzucenie demokratycznego kierunku rozwoju kraju. Uważano bowiem, iż najpewniejszym gwarantem niepodległości Polski jest zapewnienie warunków dla wszechstronnego rozwoju społeczeństwa i wszystkich jego obywateli, gdyż najlepszym oparciem niezawisłości narodowej jest społeczny ruch warstw pracujących. Dlatego odbudowę i umacnianie niezawisłości narodowej należy dopełnić głębokimi przemianami społecznymi, zgodnie z nowym zadaniem przyjętym w programie PPS w 1920 roku, iż „utrwalenie niepodległości jest jednym z najważniejszych zadań polskiej klasy robotniczej”.

Urzeczywistniany demokratyczny wzorzec ustrojowy miał zadość uczynić Polakom za ponad wiekową niewolę i niesprawiedliwość dziejową oraz stanowić przykład możliwości urzędzenia lepszego niż dotychczas ładu społecznego i zapewnienia każdemu obywatelowi warunków godnego życia. Realizowano ów demokratyczny wzorzec ustrojowy państwa w myśl koncepcji „rewolucji w majestacie prawa”, sformułowanej przez redaktora „Robotnika” – Feliksa Perla na progu niepodległości w opozycji do komunistycznego programu dyktatury proletariatu. W reakcji na wojnę i dotychczasowe doświadczenia rewolucji robotniczych wyrażać ona miała wizję przewrotu społeczno-politycznego w formach demokratycznych, humanitarnych. To też w odrodzonej Polsce jej promotorzy usiłowali nadać państwu najbardziej demokratyczny ustrój i jako jedni z nielicznych bronili konsekwentnie demokratyczno-parlamentarnego wzorca ustrojowego.

I pomimo upływu już wielu lat od czasu nie zawsze docenianych zasług socjalistów w dziele odbudowy państwowości i unowocześnienia społeczeństwa polskiego, nadal współcześnie, choć w zupełnie odmiennych warunkach rodzimych i międzynarodowych, w nowej perspektywie i w nowym blasku jawi się idea socjalizmu demokratycznego i humanistycznego, stanowiąca wielkie dziedzictwo narodowe i spuściznę działalności kilku pokoleń Polaków. Upowszechniała ją i realizowała PPS wyrosła z ogólnoludzkich, narodowych i społeczno-wolnościowych dążeń polskich warstw pracujących, wnosząc do kultury polskiej nieprzemijające wartości, a to przede wszystkim idee demokracji, humanizmu, wolności i niezawisłości narodowej.

#### MICHAŁ ŚLIWA

*\*Niniejszy tekst stanowi fragment wystąpienia na konferencji naukowej w Muzeum Niepodległości w Warszawie w dniu 20 I 2020 r., na temat **Ludowa i socjalistyczna wizja niepodległej Polski**.*

JERZY J. WIATR

# 1945 – SENS ZWYCIĘSTWA

Należę do odchodzącego pokolenia, które pamięta ten majowy dzień 1945 roku, gdy dowiedzieliśmy się o kapitulacji nazistowskich Niemiec. Przebywałem wtedy w Zakopanem, gdzie trafiłem wygnany z powstańczej Warszawy. Miałem trzynaście lat i za sobą dwa lata pracy w kolportażu gazetek podziemnych, co bardzo rozbudziło moje zainteresowania polityką. Pamiętam, jak bardzo niejednoznaczne były nasze ówczesne odczucia. Oczywiście radości ze zwycięstwa nad wrogiem, który zadał nam tak bolesne ciosy, towarzyszyła niepewność i obawa przed niejasną przyszłością. Kilka miesięcy wcześniej zwycięska ofensywa wojsk radzieckich – i, nie zapominajmy o tym, także polskich – przyniosła nam wyzwolenie spod niosącej zagładę tyranii hitlerowskiej. Dla nas, wygnańców z powstańczej Warszawy, o pół roku za późno.

Odradzało się polskie państwo, ale nad jego dalszymi losami wisiła perspektywa trwałej dominacji radzieckiej, zaakceptowanej przez mocarstwa zachodnie na lutowej konferencji w Jałcie. Mimo wszystko, wbrew obawom co do przyszłości dominowało wówczas poczucie, że zaczęta atakiem na Polskę wojna kończy się zwycięstwem. Naszym zwycięstwem.

Tak pamiętam tamten czas. Zdaję sobie, rzecz prosta, sprawę z tego, jak dalece różne były wtedy odczucia Polaków, ale z pewnością nie były one tak jednoznaczne, jak usiłuje nam obecnie wmówić propaganda obozu rządzącego. Obóz ten, wbrew prawdzie historycznej, usiłuje przedstawić rok 1945 jako po prostu przejście z jednej do drugiej okupacji, mającej trwać przez następne czterdzieści pięć lat. To deprecjonowanie zwycięstwa nie tylko zakłamuje historię, ale także wytwarza szkodliwe kompleksy narodowe. Odbieranie nam poczucia udziału w wielkim zwycięstwie może jedynie tworzyć postawę bycia wieczną ofiarą niesprawiedliwej historii.

Druga wojna światowa, znacznie bardziej niż pierwsza, zaważyła nad losami świata, a więc także Polski. Coraz częściej postrzega się ją jako ostatnią, decydującą, fazę nowej „wojny trzydziestoletniej”, do której doszło po strzałach w Sarajewie. Prawdą jest bowiem, że konsekwencje drugiej wojny okazały się znacznie trwalsze niż pierwszej. Dotyczy to zwłaszcza zmian terytorialnych, które okazały się trwalsze niż rozwiązania polityczne.

W zwycięstwie 1945 roku można wyróżnić trzy podstawowe aspekty: światowy, niemiecki i polski.

W skali światowej rok 1945 oznaczał definitywną klęskę faszyzmu, którego najbardziej okrutną postacią był niemiecki nazizm. Ludobójstwo prowadzone przez niemal cały okres wojny przez hitlerowskie Niemcy nie miało odpowiednika w poprzednich wojnach czasów nowożytnych. Oznaczało dla wielu narodów całkowicie realną groźbę zniknięcia z powierzchni ziemi. Dotyczyło to przede wszystkim Żydów europejskich, ale nie tylko ich. Nie jest żadną tajemnicą, że w dalszej perspektywie podobny los czekał inne, przeznaczone do zagłady społeczności, których eliminacja miała stworzyć „narodowi panów” upragnioną „przestrzeń życiową”. Skala zbrodni hitlerowskich powoduje, że pokonanie tego mocarstwa było aktem ratującym miliony przed śmiercią lub zniewoleniem. Tego wyzwolicielskiego aspektu zwycięstwa nie mogą przekreślić oczywiście zbrodnie stalinowskie.

Zwycięstwo odniesione przez antyhitlerowską koalicję stało się podstawą zbudowania w Europie ładu międzynarodowego opartego na podziale kontynentu na strefy wpływów wielkich mocarstw. Dało to Europie najdłuższy w erze nowożytnej pokój, ale ceną za ten ład było uzależnienie od ZSRR narodów Europy Środkowej i Wschodniej – wbrew ich woli, a z woli zwycięskich mocarstw. W roku 1945 ta strona sprawy była już dla wszystkich oczywista, chociaż niewiadomą pozostawały skala i stopień trwałości tego uzależnienia. Wielu sądziło wówczas, że po względnie krótkim okresie pokoju nastąpi kolejne starcie, trzecia wojna światowa, na co między innymi liczyła najbardziej bezkompromisowa część polskiej emigracji i opozycji wewnątrz kraju. Tak się nie stało i polityczne skutki drugiej wojny światowej zmienione zostały dopiero czterdzieści pięć lat później pod wpływem sił wewnętrznych, a nie w wyniku kolejnej wojny.

Aspekt niemiecki roku 1945 jest bardzo szczególnym paradoksem. Niemcy nie tylko wojnę przegrały, ale poniosły największą klęskę w ich historii. Choć wywołanych przez wojnę cierpień narodu niemieckiego nie da się porównać z losem ofiar hitlerizmu, to jednak lekceważenie ich byłoby bezduszością. Zarazem jednak rok 1945 oznaczał dla Niemiec wyzwolenie spod władzy ludobójczego reżymu, któremu naród niemiecki nigdy nie potrafił skutecznie przeciwstawić się własnymi siłami. Gdy dziś wybitni politycy niemieccy świętują wraz z nami rocznicę zwycięstwa, dają wyraz temu, że

także dla przyszłości Niemiec taki wynik wojny – choć doraźnie bolesny – okazał się błogostawieństwem. Gdy w grudniu 1970 socjaldemokratyczny kanclerz Niemiec Willy Brandt klękał przed warszawskim pomnikiem Bojowników Getta, gestem tym pokazał, że to co najlepsze w narodzie niemieckim zostało w 1945 roku wyzwolone spod zbrodniczej dyktatury.

Dla Polski rok 1945 to gorzkie zwycięstwo, a zarazem punkt wyjścia procesu, z którego mamy prawo być dumni, gdyż w niezwykle trudnych, niekorzystnych warunkach potrafiliśmy jako naród odnieść wielkie, pokojowe zwycięstwo. We wrześniu 1946 roku Julian Hochfeld, wówczas jeden z przywódców i główny teoretyk Polskiej Partii Socjalistycznej, na spotkaniu z młodymi socjalistami mówił, że Polska wojnę przegrała i zachęcał do takiej pracy dla Polski, dzięki której można będzie tę przegraną przekuć w trwałą sukces narodowy.

„Kto się nie chce liczyć z faktami geografii i historii – mówił Hochfeld – ten musi zawsze w danym położeniu geograficznym i w toku historii dostać cięgi. Te cięgi dostała Polska niejednokrotnie. Ale cięgi, które polska polityka wewnętrzna i zagraniczna, oficjalna linia polityki poniosła w tej wojnie, nie dadzą się porównać z żadnymi innymi. Z tego punktu widzenia można by powiedzieć, że Polska tę wojnę przegrała, bo przegrała oficjalna koncepcja polityki zagranicznej, którą kierowała emigracja polityczna. (...) Przegrała w rachunkach oparcia się na mocarstwach zachodnich, oparcia się na Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych w polityce przeciwko Niemcom i Rosji. Przegrała dalej koncepcja ekspansji na wschód i przegrała koncepcja polityki wewnętrznej Polski”.

Wypowiedź Hochfelda została opublikowana dopiero w 1992 roku (na łamach miesięcznika „Dziś”) – wiele lat po śmierci tego polityka i w nowych warunkach historycznych. Z tej szokującej czytelnika wypowiedzi Hochfeld wyprowadzał realistyczny wniosek, że trzeba dla Polski pracować w takich warunkach, jakie istnieją, by przekuć przegraną w trwałe zwycięstwo. Reprezentowany między innymi przez niego nurt socjalistycznego realizmu odegrał wielką rolę w tym, że tak właśnie po latach się stało.

W 1945 roku dla Polski koniec wojny oznaczał dwa wielkie wyzwania: walkę o państwo i walkę o jego granice.

Mówię, że staliśmy przed zadaniem „walki o państwo” mając na myśli to, że dalszy los polskiej państwowości nie był wówczas przesądzony. W kraju trwały walki z silnym podziemiem nazywanym obecnie „niepodległościowym”. Daleki jestem od negowania patriotycznych motywów, które pchały do lasu tysiące młodych ludzi. Ocena ich działań powinna jednak uwzględniać realne skutki, a nie intencje. Gdyby podziemie antykomunistyczne osiągnęło sukces wojskowy i polityczny (gdyby na przykład na jego stronę przeszły dywizje polskiego wojska), jedyną realnie istniejącą konsekwencją byłoby pełne zaangażowanie się wojskowe ZSRR i w konsekwencji wcielenie Polski do ZSRR, jak to się stało z Estonią, Litwą i Łotwą. Mocarstwa zachodnie zapewne protestowałyby i nie uznałyby aneksji (jak to zrobiły w wypadku republik bałtyckich), ale sytuacji by to nie zmieniło. Po 1945 roku Polska mogła istnieć tylko jako państwo zależne od ZSRR. Natomiast skala i charakter tej zależności nie były raz na zawsze przesądzone.

Rok 1956, moment wielkiego antystalinowskiego zrywu, a zarazem moment, gdy górę wzięli realizm polityczny, stał się ważną cezurą oznaczającą bardzo znaczne choć nie całkowite ograniczenie dominacji radzieckiej, a tym samym wzmocnienie polskiej państwowości. Bez tego nie byłaby możliwa (jak to nazwał w 1982 roku Zbigniew Pelczyński) „polska droga od komunizmu” – stopniowy, rozłożony na dwa pokolenia proces wybijania się Polski na pełną suwerenność.

Drugim wyzwaniem była sprawa granic. Utrata ziem wschodnich była w 1945 roku odczuwana jako cios, nie tylko przez polskich mieszkańców tych ziem, którzy tracili swą „prywatną ojczyznę”, lecz przez przytłaczającą większość społeczeństwa. Dopiero wiele lat później, między innymi w czasie krwawych walk etnicznych na terenie byłej Jugosławii, w pełni jasne się stało, jakich tragedii uniknęliśmy w wyniku tej wymuszonej wbrew naszej woli decyzji mocarstw. Pozostawała sprawa ziem zachodnich. Konferencja poczdamska oddała je „pod polską administrację” do czasu zawarcia traktatu pokojowego, w czym wyrażała się dwuznaczna polityka USA i Wielkiej Brytanii gotowych ograniczyć zasięg otrzymanej przez Polskę rekompensaty i mających na widoku przyszłe relacje z Niemcami. Paradoksem ówczesnej sytuacji było to, że tylko ZSRR – we własnym zresztą interesie – popierał jednoznacznie granicę na Odrze i Nysie. W tych warunkach praca nad repolonizacją tych ziem i gra polityczna prowadząca do uzyskania międzynarodowego uznania nowej granicy stanowiły realizację podstawowego interesu narodowego. Polska Ludowa ten interes potrafiła w pełni zrealizować.

Jeśli więc przyjąć retorykę Juliana Hochfelda, to godzi się powiedzieć, że Polska odniosła dziejowy sukces, gdyż potrafiła w ciągu niespełna pół wieku usunąć negatywne skutki wojny, odbudować zniszczony kraj, ze znaczną nadwyżką odrobić wielkie straty demograficzne, utrwalić dobre i bezpieczne granice, odzyskać pełną suwerenność narodową. To jest największe zwycięstwo Polski na przestrzeni wielu stuleci, dzieło, z którego nasze pokolenie ma prawo być dumne.

Pozostaje sprawa sposobu, w jaki to zwycięstwo chce się pamiętać. Uporczywe trzymanie się anachronicznej koncepcji, według której Rosja nie tylko była, ale i nadal jest wrogiem wobec Polski mocarstwem, powoduje, że obchody rocznicy zwycięstwa rodzą w Polsce poważne dylematy. Dwadzieścia pięć lat temu (w 1995 roku) prezydent Lech Wałęsa bardzo ostro zaatakował premiera Józefa Oleksego za jego zamiar uczestniczenia w moskiewskich obchodach półwiecza zwycięstwa. Ostatnio podano do wiadomości wypowiedź byłego prezydenta, iż chętnie weźmie udział w tegorocznych uroczystościach w Moskwie. To ciekawy i dobry znak pokazujący, że możliwa jest rewizja błędnego stanowiska. Ale Lech Wałęsa nie reprezentuje dziś głównego nurtu polskiej polityki. W tym głównym nurcie nie ma nadal klimatu pozwalającego na szukanie porozumienia z Rosją. Będzie więc zapewne tak, że wielcy sojusznicy z lat drugiej wojny światowej świętować będą rocznice wspólnego zwycięstwa razem (w Moskwie, w Londynie, w Paryżu) ale bez nas. Takie są skutki działań, które polską politykę zagraniczną wprowadziły na manowce. Czas na zmianę.

JERZY J. WIATR

MAREK TABIN

# KONFLIKT POLSKI

Nawet dla pobieżnych obserwatorów polskiej sceny politycznej jest oczywiste, że od stu lat państwo polskie obija się od jednej ściany – demokratycznej – do drugiej – autokratycznej. Najpierw, tuż po odzyskaniu niepodległości Polska była demokracją parlamentarną. Wkrótce nastąpił przewrót majowy, a postępująca autokratyzacja kraju pod hasłem odnowy moralnej była tak energicznie wspomagana przez instytucje państwowe, że wielu historyków nazywa te czasy okresem faszyzacji kraju. Po wojnie – autokracja o wiele silniejsza niż za czasów sanacji, w zupełnie odmiennej scenerii ideologicznej, stopniowo łagodniała, ale jednak nigdy nie zrezygnowała z zasady autokratycznego prowadzenia państwa. Rok 1989 był kolejnym wprowadzeniem demokracji parlamentarnej, a rok 2015 – kolejnym odwrotem od niej.

O co chodzi w tym wszystkim i co jest motorem tych zmian? Poniżej kilka refleksji na ten temat. Wydaje mi się, że w końcu trzeba go poruszyć, gdyż powołując się ciągle na Europę Zachodnią i inne kraje rozwinięte, i głośno deklarując zamiar ich „gonienia” zapominamy o roli, jaką w rozwoju odgrywa stabilność ustrojowa i instytucjonalna oraz rozumienie polityki jako budowania na już zbudowanym, a nie niszczenia osiągnięć poprzedników i ewentualnego budowania od nowa.

W tym tekście będę operował przede wszystkim przeciwstawieniem autokracji i demokracji. Różnica między tymi dwoma typami ustrojów wydaje mi się sprawą zasadniczą dla przebiegu procesów politycznych w Polsce – mimo tego, że istnieje wiele form pośrednich, nie będących ani czystą demokracją, ani czystą autokracją. Zdarzają się przecież ustroje demokratyczne pod względem większości rozwiązań instytucjonalnych, ale z cenzurą, a przecież wolność słowa uważana jest za jeden z zasadniczych elementów demokracji. Z drugiej strony – wybory parlamentarne w skali całego kraju są często uznawane za zasadniczy probierz demokracji, czyli władzy ludu, choć w rzeczywistości mają one znaczenie jedynie dla personaliów, nie dla treści polityki, która może być daleka od interesów społeczeństwa czy państwa.

Jedną ze stron polskiego konfliktu są właśnie ludzie, którzy zdobycze demokratyczne roku 1989 uważają za najważniejszy sukces Polski współczesnej. Podzielając ten pogląd chciałbym jednocześnie stwierdzić, że nasza demokracja realizowana była w sposób bardzo odstręcający dla wielu obywateli i to właśnie oni stali się drugą stroną polskiego konfliktu. Nie oznacza to jednak, że konfliktu tych samych z grubsza warstw społecznych wcześniej nie było. Chłopi przeciwko szlachcie, robotnicy

przeciwko pionierom kapitalizmu, lud przeciwko wyzyskiwaczom, inteligencja z ludem przeciwko elitom pochodzenia ludowego dawno już wyalienowanym i wreszcie dziś – lud pod wodzą cwaniaków przeciwko ideologom demokracji.

Tu chciałbym podkreślić ważną rzecz. Opisuję w tym tekście dwie grupy społeczne. Jedną są zwolennicy demokracji (inteligencja, liberałowie), drugą – zwolennicy autokracji (lud, antyliberałowie). Zróżnicowania wewnątrz tych grup – np. różnice między inteligencją a zwolennikami demokracji, aczkolwiek ważne, w tym tekście mnie nie interesują. Opisuję natomiast grupy społeczne, a nie ich przywódców. W szczególności piszę o zwolennikach Prawa i Sprawiedliwości, o elektoracie tej partii, a nie o czołowych jej politykach; o poszukujących sprawiedliwości, a nie o kłamcach i demagogach, o oszukiwanych, nie o oszukujących, o poszukujących wyjścia z patologicznej sytuacji, w jaką wpędziły nas rządy 1989-2015, a nie o pogłębiających tę patologię.

W pewnym sensie można uznać, że autor tego tekstu jest symetrystą. Innym jednak niż symetryści aktualnie obecni w dyskursie publicznym. Nie o to mi chodzi, że najpierw, tak jak PiS, mówimy „my wszystko naprawimy”, a potem, siejąc znacznie większe zło niż poprzednicy, mówimy „wy też tak robiliście” – a przecież właśnie o takiej postawie myśleli twórcy pojęcia „symetryzm”. Chodzi mi raczej o to, że dojście PiS do władzy jest naturalnym skutkiem wszystkich poprzednich rządów od 1989 roku poczynając, a zatrzymanie gangreny wymaga od opozycji myślenia, a nie pokrzykiwania na rzecz demokracji.

Uważam, że błędny jest, skądinąd powszechny pogląd, iż okres od 2015 roku poczynając jest jakąś nienormalnością, aberracją historyczną lub wynikiem złego zaplanowania kampanii wyborczej, lub psychopatycznych skłonności do zemsty, lub władzy ze strony jednego lub kilku polityków, lub błędów Bronisława Komorowskiego, lub wreszcie beznadziejnego poziomu umysłowego obecnej opozycji, czyli zwolenników demokracji. „Przeгляд” (nr 6/2020) doniósł, że nawet pewien sędzia Międzynarodowego Trybunału Karnego uważa, że „kiedys obecny reżim upadnie i powrócą normalne czasy”.

Wszystkie te czynniki zapewne grały jakąś rolę, ale nie zasadniczą. Mamy raczej do czynienia z konfliktem dwóch grup historycznie ukształtowanych choć różnie nazywanych. Z funkcjonalnego punktu widzenia jest to spór o to, czy ważniejsza jest noga lewa czy prawa. Warian, że ważne są obie, jest z przyczyn ambicjonalnych

(prezentowanych jako ideologiczne) wykluczony przez obie strony. Podkreślam, że nie chodzi tu o ten rodzaj ważności, o którym orzekamy po starannej analizie wkładu tej czy innej grupy w istnienie lub w rozwój kraju, albo w historię. Chodzi raczej o rozmiary nadęcia się i pomiatania drugą stroną – znaczne, likwidujące kulturę rozmowy i upowszechniające przekonanie, że istotnymi narzędziami polityki są tylko siła i kłamstwo.

### Demokracy

Wysokie społeczne uznanie demokracji w Polsce płynęło w okresie do 1989 roku głównie stąd, że każdy wkładał w to pojęcie inną, w znacznej mierze swą własną, życzeniową treść. Jedynym chyba elementem wspólnym tych treści jest przekonanie, że demokracja to coś dobrego, co zapewnia każdemu dobrobyt i spokojne życie. W 1989 roku tylko tyle wiedzieliśmy o demokracji i w rezultacie dość bezmyślnie przejęliśmy od krajów Europy Zachodniej wszystkie rozwiązania instytucjonalne znane z systemu demokracji parlamentarnej.

Zasób ideowy demokratów jest znany: demokracja proceduralna, w tym demokratyczne metody wyboru władz, trójpodział władz i niezależne sądownictwo, rządy prawa i kontrola obywatelska. Także prawa człowieka i wolności obywatelskie, w tym wolność słowa i wolność wyznania, szacunek dla mniejszości, solidarność ekonomiczna, warunki do przedsiębiorczości, samorządność, stabilność instytucji społecznych. Idee te od dość dawna kształtują życie polityczne krajów najbardziej rozwiniętych i są dla olbrzymiej większości obywateli atrakcyjne mniej może przez swą treść, a bardziej przez skutki, przede wszystkim wysoki poziom życia.

Istotne odmienności kulturowe Polski od rozwiniętych krajów Zachodu spowodowały, że demokratyczne rozwiązania instytucjonalne wcale u nas nie doprowadziły do szybkiego wyrównywania potencjału przemysłowego i poziomu życia. [Chodzi tu przede wszystkim o trzy sprawy; po pierwsze, ambicje i niechęci są u nas zawsze ważniejsze niż zysk, po drugie, każda ideologia jest traktowana jako obejmujący wszystkie dziedziny życia nakaz postępowania, a nie jako ogólny kierunek, po trzecie, nie istnieją uniwersalne normy moralne.] Zwolennicy demokracji oceniają jednak rok 1989 przede wszystkim poprzez przywiązanie do zdobyci demokratycznych zarówno tych rzeczywistych, jak wolności obywatelskie, a także tych bardziej wątpliwych jak warunki do rozwijania prywatnej przedsiębiorczości, stabilność instytucji społecznych, rządy prawa czy solidarność ekonomiczna.

Pierwszy akt upadku PRL, czyli okres 1980-81 był jednocześnie pojawieniem się „nowego sprzeciwu” wobec demokratów, choć nie wobec demokracji. Tej ostatniej chcieli wszyscy, ale po niemal pół wieku zastój umysłowego w sprawach politycznych wielu Polakom nie udało się dojść do wniosku, że jedno wiąże się z drugim. „Prawdziwi Polacy” (tym utożsamieniem poglądów politycznych z narodowością nie będziemy się tu zajmować) przez następne 40 lat rośli w siłę przede wszystkim dzięki demokratom, a ściślej – dzięki ich polityce: wyniosłości, protekcjonalności, oczekiwania podziwu i uznania za obalenie komunizmu. Towarzyszyło temu przekształcanie państwa na wzór ściśle ideologiczny, co w praktyce oznaczało masowe bezrobocie, znaczny upadek wytwórczości i oparcie konsumpcji na imporcie. Propaganda nieustannie podkreślała niższość Polski w stosunku do

rozwiniętych krajów zachodnich, a kryterium oceny rzeczywistości – lub projektów – była, zupełnie jak w PRL, ich zgodność z ideologią, a nie z potrzebami. Karol Modzelewski w jednym z wywiadów tak niedawno mówił o tej sytuacji:

„Ale w czasie pierwszych swoich rządów, w tzw. IV RP, PiS nie zrobiło nic, by pomóc tym ludziom (przegranym po 1989 roku – przyp. MT). Teraz zaś wyciągnęli wnioski z własnych błędów i zaniedbań oraz ustawili się w roli obrońców ludu, czego nie zrobiła lewica. Na opuszczone pole weszło PiS. Można użyć epitetu „populiści”, ale odradzam, bo słowo jest cudzoziemskie i niezrozumiałe po tamtej stronie muru. Po prostu PiS zrozumiało, że takie postępowanie wymości mu pewną drogę do władzy. Jak będziemy wrzeszczeć, że kupili ludzi za 500 zł, to dowiedziemy tylko własnej głupoty oraz wyniosłości i chamstwa wobec ludu. Także twierdząc, że ten prosty lud nic nie rozumie ze sprawy Trybunału Konstytucyjnego, a chce się tylko nażreć i napić. Grając w ten sposób, mamy gwarantowaną przegraną.”

Historycznie, tradycją lewicy było stanie po stronie biedniejszych, słabszych, przegranych, a tradycją prawicy było popieranie władzy i warstw uprzywilejowanych. We współczesnej Polsce ułożyło się dokładnie odwrotnie: lewica (ta skłaniająca się ku demokracji) została utożsamiona z wygranymi, prawica – z przegranymi i z autokracją. Dałoby się zidentyfikować kolejne historyczne etapy tej zamiany ról, której niektórzy lewicowcy wciąż nie chcą przyjąć do wiadomości i w której gry polityczno-propagandowe odegrały istotną rolę. Tu jednak przestaniemy na stwierdzeniu, że taka zamiana zaszała, a jednym z jej głównych elementów jest przekonanie współczesnej polskiej lewicy o decydującej, niemal wyłącznej roli czynników materialnych w historii. Pogląd ten przekłada się na post-fukuyamowskie (ewentualnie postmarksistowskie) przekonanie, że aktualny neoliberalizm jest punktem szczytowym i zarazem końcem historii – nic lepszego nie może już nas czekać. Dlatego zdaniem demokratów (inteligencji, liberałów) każdy sprzeciw wobec polityki kontynuowanej w okresie 1989-2015 jest błędem, tak jak i przypisywanie czynnikom religijnym, tożsamościowym, wykluczeniowym, godnościowym czy narodowym roli sprawczej w historii. Istotne dla ukształtowania się tego podziału jest i to, że ludzie lewicy znacznie lepiej poradzili sobie z rosnącymi wymaganiami profesjonalnymi, czego wyrazem są na przykład takie, skądinąd mocno niechętnie określenia jak „dyktatura ignorancji” (o PiS).

Lata rządów demokratycznych odebrały znacznej (tej słabszej!) części społeczeństwa poczucie bezpieczeństwa. Gdyby jeszcze towarzyszyła temu propaganda podkreślająca jedynie, że jest to konieczne dla zbudowania „światlanej, kapitalistycznej przyszłości”, to może by to przeszło dzięki przyzwyczajeniu społeczeństwa do dyskursu nachalnego i zamykającego. Ale propaganda mówiła również: „jesteście bez sensu, jesteście gatunkiem *homo sovieticus*, a nie *homo sapiens*, jesteście niepotrzebni”. To była naprawdę wielka zniewaga, w całości niezasłużona i mająca fundamentalne znaczenie dla ukształtowania się poglądów antydemokratycznych – nawet jeśli rzeczywiście w wielu zakładach pracy nastąpił przerost zatrudnienia.

Myślę jednak, że istnieje jeszcze jeden czynnik warunkujący obecny podział społeczeństwa – związany z ideologią neoliberalną, a ściślej, z naszym jej prymi-

tywnym rozumieniem. Chodzi o hasło: „każdy kowalem swego losu”, które miało być głównym, a było jedynym sposobem przybliżenia szerokim warstwom ludności nowej ideologii panującej – neoliberalizmu. Dobrze było w tym hasle nakłanianie do inicjatywy gospodarczej, choć warunki do samodzielnego gospodarowania nie były najlepsze. Ale zastosowano je także wobec inteligencji, która przyjęła to potulnie, a nawet z pewnym zadowoleniem.

Inteligencja zawsze była warstwą wynagradzaną z budżetu – dawniej były to dobra arystokratów, jeszcze wcześniej Kościoła lub władcy. Wyniki pracy inteligencji nie są ludowi bezpośrednio potrzebne; były one i są częścią dóbr wspólnych, których istnienie w roku 1989 zostało zanegowane. Są one natomiast czymś podstawowym dla ludzi, którzy chcą utrzymać co najmniej całość państwa, lub – lepiej – jego rozwój.

Tymczasem od 1989 roku całość miała układać się sama dzięki neoliberalnej ideologii. Inteligencja poszła za ideologią i wyrzekła się intelektualnej roli kierowniczej. Zanegowała ideę dobra wspólnego oraz ideę namysłu nad sobą, krajem i ludźmi. Rezultatem był zanik polityki we wszystkich właściwie dziedzinach funkcjonowania państwa. Ukazała się ostatnio bardzo dobra książka (*Polityka wschodnia Polski między fatalizmem geopolitycznym a klątwą niemocy*, red. Stanisław Bieleń) na temat faktycznego braku polskiej polityki wschodniej. Ale zastąpienie polityki przekupywaniem niektórych grup ludności, awanturczym i nonsensownym reformowaniem oraz mnogością różnych „programów” dotyczy także polityki zdrowotnej, oświatowej przemysłowej, naukowej i każdej innej.

A uczeni zaczęli „sobie radzić”. Zamiast pisać prace naukowe, brali 3-4 etaty w różnych prywatnych tzw. szkołach wyższych. Nauczyciele masowo brali prywatne korepetycje, lekarze – dodatkowe dyżury itd. Było jasne, że zgodnie z doktryną neoliberalizmu inteligencja stała się grupą niepotrzebną, gdyż niepotrzebne jest kształcenie młodzieży w duchu wartości, podtrzymywanie tradycji i obmyślanie przyszłości. O to wszystko zatroszczy się przecież jedynie słuszny ustrój. Elity polityczne tego okresu koncentrowały się raczej na taktyce walki partyjnej, integracji zwolenników demokracji, na docieraniu do wyborców przez spotkania w terenie, konstruowaniu odpowiednich koalicji, haseł wyborczych, list wyborczych, na wymyślaniu jak najskuteczniejszej kielbasy wyborczej oraz zwyczajnych, karczemnych kłótniach z użyciem aparatu państwa. Innymi słowy – nie zasadnicze kierunki zmian w Polsce były przedmiotem zainteresowania, lecz sprawy techniczne, często zabawowe, a wszystko w stylu kopiowanym z USA.

Ta wiara w automatyzm ustrojowy była powtórką myślenia dominującego w elitach okresu PRL. Ale władza po 1945 roku już po 10 latach zorientowała się, że inteligencja jest potrzebna i termin „inteligencja pracująca”, pomysły jako wstęp do likwidacji tej warstwy i roztopienia jej w morzu ludu, powoli zanikał. Politykom, którzy uformowali PiS, trzeba było – licząc od początku ich działalności, czyli od 1989 roku – prawie ćwierć wieku, by ostatecznie stwierdzić, że dotychczas inteligencja była jako warstwa utrzymywana z litości, że wykonała już swoje zadanie w postaci uformowania ideowego elektoratu Prawa i Sprawiedliwości i że „wykształciuchy” nie są „dobrej zmianie” potrzebne. W PRL o przyszłości myślała partia. W okresie 1989-2015 – dokładnie nikt,

obecnie – Jarosław Kaczyński, choć, jak się zdaje, jego całościowa koncepcja przyszłości Polski wciąż istnieje jedynie w sferze propagandy.

Julien Benda, publicysta i filozof francuski opublikował w 1927 roku książkę *Zdrada klerków*. Pisał w niej o tym, że w narodach europejskich od bardzo dawna istniały grupy ludzi prowadzących działalność naukową i filozoficzną, a także formułujących ogólne zasady postępowania wyznaczone przez takie pojęcia, jak dobro czy sprawiedliwość. Nazwał ich klerkami; w średniowieczu klerkami byli przede wszystkim ludzie Kościoła. Najistotniejszą cechą tych ludzi była ich intelektualna niezależność, za którą czasem płacili wysoką cenę. Opiswana przez tego autora zdrada klerków polegała na porzuceniu tych zainteresowań i „rozbiegnięciu się” klerków po różnych stronnictwach politycznych ze szczególnym uwzględnieniem grup nacjonalistycznych. Ta zdrada ideałów ogólnoludzkich na rzecz bieżącej przydatności politycznej spowodowała, że stronnictwa polityczne zaczęły wykorzystywać umiejętności intelektualne klerków. Stali się oni przez to organizatorami nienawiści, co nie pozostało bez wpływu na całą organizację społeczeństwa. Tak Benda podsumował swoje rozważania:

„...i wprawdzie nie powstrzymali (klerkowie – przyp. M.T.) ludzi świeckich od zapełnienia kart historii wrzawą nienawiści i zbrodni, lecz powstrzymali ich od uczynienia z tych odruchów religii i od przekonania, że prawdziwa wielkość polega na ich udoskonalaniu. To dzięki nim, można by rzec, ludzkość przez dwa tysiące lat czyniła zło, lecz považała dobro”.

Polska zdrada klerków nastąpiła niemal wiek później. W okresie zaborów nie mogło być o niej mowy – jakiegokolwiek zróżnicowania polityczne musiały ustąpić przed naczelnym celem odzyskania niepodległości. W okresie międzywojennym ledwie się ta zdrada zaczęła, już się skończyła. W latach Polski Ludowej wszechobecna cenzura uniemożliwiała pluralizację inteligencji, aż wreszcie przyszedł rok 1989. Nastąpiło zróżnicowanie polityczne polegające, niestety, przede wszystkim na zwalczaniu przeciwników metodami coraz bardziej topornymi i dalekimi od jakiegokolwiek etyki. Innymi słowy, polska zdrada klerków oznacza nie tylko zanik grupy prowadzącej refleksję nad całym społeczeństwem ale i postępujący zanik jednostek, które w ogóle byłyby w stanie to robić, gdyż mają potrzebne ku temu umiejętności intelektualne i moralne. Jediną nadzieją na zmianę w tym zakresie jest ponowna utrata niepodległości, czego jednak – z innych względów – nie uważam za wskazane.

Przesilenia politycznego roku 2015 opozycja w ogóle nie uznała za jakiś sygnał czy za powód do przemyśleń. Stwierdziła, że jest to wynik zrzecznej kampanii politycznej przeciwnika, być może także pewnych błędów taktycznych ze strony demokratycznej. W dodatku nie widzi, że samo to postawienie sprawy jest wyrazem pogardy wobec ludu: uznania ich za ludzi, którymi można sterować za pomocą głupot, podatnych na głupoty i żyjących głupotami. Nie twierdzą, że tylko strona demokratyczna żywi takie przekonania – patrz Jacek Kurski i wszyscy jego ideowi towarzysze. Jeśli opozycja demokratyczna wygra – powiedzmy w 2023 roku – to kolejne wybory znowu będą należały do „obrońców ludu” (choć na pewno nie będzie to już Jarosław Kaczyński, będzie dużo gorzej!). Wiele wskazuje na to, że opozycja demokratyczna wygrywając niezmiernie się ucieszy i uzna, że

wreszcie sytuacja jest normalna, a zmieniać niczego nie trzeba, trzeba jedynie powrócić do 2015 roku.

### Autokraci

Niemal całe dzieje to historia różnych rodzajów władzy autokratycznej. Gdyby je jednak wszystkie zebrać, wątpię, czy dałoby się przypisać im jakiś jeden, definicyjny trzon poza oczywistością, że ważne decyzje państwowe podejmowane są przez jednostki lub grupy nie pochodzące z wolnych wyborów. W tym tekście jednak zajmujemy się współczesnym polskim konfliktem i opis autokracji będzie opisem polskiej współczesności, a nie historią polityczną.

Liczba zwolenników jakiejś formy autokracji zawsze rośnie w sytuacjach kryzysowych – na przykład, gdy grozi wojna. Współcześni polscy autokraci – czyli elektorat Prawa i Sprawiedliwości – nie stąd się wzięli, gdyż nasza sytuacja geopolityczna jest jak na razie dosyć pewna. Zagrożenie zewnętrzne odegrało pewną rolę w postaci straszenia społeczeństwa przez PiS imigrantami, ale elektorat tej partii został zbudowany przede wszystkim przez rządy ugrupowań demokratycznych, o czym pisałem wyżej.

Psychiatrzy i psychologowie interpretują zachowanie zwolenników PiS jako lęk przed opuszczeniem i samotnością. Ta samotność przez poprzednie rządy była ideologicznie wychwalana – tak właśnie stworzono wspólnotę opuszczenia, która objawiła się w wynikach wyborów 2015 r. Dodatkowo jej liczebność i aktywność zwiększyły dwa czynniki: ujawnienie się możliwości autentycznie demokratycznego głosowania w wyborach oraz pojawienie się grupy polityków, którzy na resentymentach znacznej części społeczeństwa postanowili zrobić karierę.

Najważniejszy w tym wszystkim jest jednak fakt, że elektorat Prawa i Sprawiedliwości naprawdę istnieje. Nie został wykreowany przez polityków PiS, nie pojawił się w wyniku działania chochlika historii, zaniedbań propagandowych, czy innych zjawisk opisywanych przez demokratów zbiorczo terminem „przypadkowe społeczeństwo”. Gdy ludzie ci usłyszeli określenia takie, jak „wykształtciuchy” czy „wstańmy z kolan” – poczuli wiatr w żaglach i jeszcze trochę czasu musi minąć, by zrozumieli, że wstawanie z kolan akurat ich dotyczy najmniej.

Przeciwnie niż demokraci, autokraci nie określają się przez jedną, konkretną doktrynę polityczną. Definiuje ich bardziej styl sprawowania władzy niż cel ideowy. Stąd wielość określeń rządów autokratycznych: populizm, autorytaryzm (lewicowy, prawicowy, centrowy), państwo wyznaniowe i inne. Tendencje autokratyczne są ponad ideologią, a egzemplifikacjami tego poglądu są bardzo liczni obywatele, w tym także czołowi politycy. Oczywiście ideologię aktualnie panującą trzeba odpowiednio udawać, ale jej autentyczne wyznawanie nie jest nikomu do niczego potrzebne.

Wizja pożądanego ustroju: wódz – w tym przypadku Jarosław Kaczyński – jest softysem całej Polski. Rozstrzyga wszystkie sprawy i konflikty. Dokładniej, robią to jego urzędnicy, ale zawsze w jego imieniu, dzięki czemu każda decyzja nosi jego *placet*, a każdy sprzeciw wobec tej decyzji może być interpretowany jako sprzeciwienie się wodzowi. Zakłada się, że Polacy są wspólnotą ludzi o identycznych poglądach i postawach, dzięki czemu każdy konflikt da się łatwo rozwiązać, gdyż w sytuacji

jednolitości światopoglądów łatwo stwierdzić, kto ma rację. Dlatego kraj powinien być zbiorem ludzi identycznych pod wszystkich względami, które mogłyby generować konflikt nierozwiązywalny, a więc pod względem religii, światopoglądu, narodowości, itd. Koncepcja „Polak – katolik” jest najbardziej chyba znanym tworem tej ideologii.

Autokraci są z zasady aintelektualni. Polega to między innymi na tym, że do każdego pojawiającego się problemu dobierają jakieś rozwiązanie z przeszłości, w skrajnych – jak najbardziej istniejących w historii – przypadkach może to także być agresja wobec grupy uznanej za wroga. Ale nie jest to namysł nad źródłem problemu i nad znalezieniem sposobu jego rozwiązania opartego o współczesne warunki, a nie o historię. Założenie główne: problemy przychodzą z zewnątrz i przynoszą je ludzie złej woli.

W sprawie uniwersalizmu norm moralnych autokraci są na etapie przedchrześcijańskim, także ci z kręgów Kościoła katolickiego. Nigdy i w żadnej sprawie nie jest ich zdaniem tak, że zasadnicze normy moralne obowiązują obie strony. Kłamstwo, oszustwo, kradzież i wszelkie inne możliwe grzechy, jeśli dotyczą „naszych” (a tym bardziej, gdy zostały poczynione na rzecz „nas”) – są postępkiem nadającym się do usprawiedliwienia lub po prostu słusznym. Przeciwnie – gdy są to czyny pochodzące z kręgów uznanych za wroga.

Państwo demokratyczne to zdaniem autokratów państwo słabe. Silne może być jedynie państwo wodzowskie. Siła państwa polega bowiem na zdolności do szybkiego podjęcia decyzji i szybkiej reakcji, także represyjnej, wobec ludzi uznanych za źródło zła. Władzom państwowym powinno zależeć na szybkim i jasnym korygowaniu wszelkich nieprawidłowości, szczególnie jeśli uderzają one w lud. Alternatywą jest demokratyczne, czyli – zdaniem autokratów – powolne i niezgurowate uwzględnianie różnych podejść i poglądów. W tej postawie najlepiej widać psychologiczne źródła autokracji: rządzący autokrata jest przekonany, że właśnie on najlepiej ocenia zagrożenie i wymyśla środki zaradcze – w związku z tym pytanie o zdanie innych osób w ogóle nie jest potrzebne. Takie postawienie sprawy ma oczywiście dwie wady. Pierwszą jest to, że autokrata niekoniecznie jest najmądrzejszy i najlepiej ocenia zarówno zagrożenie, jak i środki zaradcze. Drugą to – że jest to system podejmowania decyzji, który z założenia odrzuca głos ludzi innych niż dominujący autokrata, co jest budowaniem frontu sprzeciwu przeciwko niemu zupełnie niezależnie od ewentualnie posiadanej przez niego racji.

Zauważmy, że ta koncepcja siły państwa mówi jedynie o sile skierowanej do wewnątrz. Nie tylko pomija całkowicie problem siły (dyplomatycznej lub wojskowej) w relacjach z zagranicą, ale – przy okazji – stopniowo zniechęca do siebie coraz więcej ludzi, czyli automatycznie państwo staje się coraz słabsze.

Prawo dla autokratów jest częścią planu działania. Ma być takie, jakie będzie potrzebne. Zmiana potrzeb czy zamiarów władzy oznacza również zmianę prawa. Ta koncepcja praworządności została żywcem przejęta z PRL, gdzie po 1956 roku bardzo dbano o praworządność, ale nie o akceptowalność społeczną czy funkcjonalność poszczególnych rozwiązań prawnych. Jest ona obliczona na to, by wszystko, co robią władze, było prawnie dozwolone. Koncepcją przeciwną jest demokra-



tyczne prawo realizujące pewien określony ład społeczny i wyznaczające trwale ogólne reguły gry, ustalone niezależnie od zamiarów aktualnej władzy. Ten względnie ponadczasowy sens prawa kontrastuje szczególnie silnie z koncepcją autokratyczną, wg niej nie ma sprawy, która nie nadaje się do uchwalenia nowej ustawy – może to też być chęć pozbawienia stanowiska jednego, niechcianego urzędnika.

Ważną różnicą między zwolennikami autokracji i demokracji jest język. Do demokratów najłatwiej trafia język ideologiczny, czyli ocenianie działań przez użytek lub szkodę dla demokracji. Język zrozumiały dla autokratów jest o wiele bardziej konkretny i nakierowany na jednostkę. Woli pojęcia takie jak sprawiedliwość, pieniądze, spokój, normalność itd., itp. Nieważne, że obietnice te bez demokracji są w ogóle nierealizowalne. Ważne przede wszystkim jest to, co się mówi. W jednym z sondaży postawiono Polakom pytanie, za co cenią PiS. Z odpowiedzi wynikało, że ludzie niechętnie przyjmują język Platformy Obywatelskiej, dla nich niezrozumiały, chętnie natomiast słuchają tego, że partia Jarosława Kaczyńskiego skutecznie (!!!) oczyszcza kraj z korupcji, podnosi ich poziom życia oraz nie zgadza się z Unią Europejską w forsowanej siłowo polityce migracyjnej.

Wagę języka widać też po tym, że to co się mówi, jest o wiele ważniejsze (dla elektoratu PiS) niż to co się robi. Z setek możliwych przykładów wybierzmy jeden z nowszych: przemówienie premiera Morawieckiego obiecujące od teraz „normalność”. Tymczasem, następnego dnia po tym przemówieniu rozpoczęto wielkie polowanie na trzecią osobę w państwie przy użyciu policyjnych zasobów tegoż państwa, czego w każdym razie nie da się nazwać normalnością. W sferze werbalnej osiągnięcia rządu PiS są znaczne: troska o najuboższych, obdarowanie ich poczuciem sprawczości (oczywiście czysto deklaratywne), zadbanie o ich godność przejawiającą się przede wszystkim w prawie do pomiatania przeciwnikami, wreszcie – dzięki PiS-owskim mediom – poczucie, że wszystkie ważne sprawy przebiegają coraz lepiej, mimo istnienia „wrogich sił”.

### Stosunki wzajemne

Nieraz już w tym tekście wspominałem, że nie były one pełne sympatii. Nawet w tak ważnym momencie jak pierwsza „Solidarność” (1980-81) rezerwa i brak zaufania były wyraźnie widoczne. Wzajemne emocje studziła wówczas funkcjonalna współzależność obu stron. O czasach wcześniejszych, o II RP Bartłomiej Sienkiewicz w jednym ze swych wywiadów mówił:

»...to nie był tylko konflikt różnych partii czy środowisk politycznych o reformę rolną (w okresie międzywojennym – przyp. M.T.), ale także wielki konflikt społeczny między post-feudalną klasą biurokratyczną II RP a wsią .... Jedną z jego konsekwencji były wiejskie ugrupowania zbrojne, jakie powstały pod koniec 20-lecia, z których potem między innymi rekrutowały się Bataliony Chłopskie. Sprzeciw wsi wobec państwa polskiego był bardzo silny i z czasem narastał... Istnieją wiarygodne świadectwa, wedle których Niemcy, kiedy bezpośrednio po wkroczeniu do Polski zaczęli kupować towary po godziwych cenach, byli witani jako wybawiciele od nędzy. (Postępowanie okupanta uruchomiło – przyp. M.T.) na powrót mechanizm podziału „swój-obcy”. Nie zmienia to faktu, że upadkowi II RP część wsi przyglądała się z mściwą satysfakcją«.

Ukrywanie lub łagodzenie wzajemnych niechęci wymagało czasem nawet łamańców ideologicznych. Przed wojną istniała w kraju niezbyt liczna, choć dobrze widoczna grupa rentierów przepuszczających resztki swej dawnej świetności. Przypisywanie im tradycyjnych funkcji inteligentkich, czyli transmisji wartości narodowych i państwowych, byłoby kompletnym nieporozumieniem. Siedliskiem tych wartości była raczej kilkuset tysięcy rzesza nauczycieli, lekarzy i innych osób z wyższym wykształceniem. Po 1945 roku nowa, ludowa władza mocno przeceniła znaczenie grupy rentierskiej i w celu pozbawienia ich wpływu dokonała manewru werbalno-ideologicznego dotyczącego inteligencji. Podzielono ją na dwie grupy: inteligencję pracującą – czyli liczbowo prawie wszystkich – oraz inteligencję pozostałą, w domyśle rentierów, których określono jako obiboków, wrogów ludu i socjalizmu, nadających się, zdaniem władzy, wyłącznie do wytępienia, a co najmniej do wyśmiania (por. postać Augusta Bęc-Walskiego w „Przekroju”). Co prawda w praktyce podział ten funkcjonował zupełnie inaczej niż to zostało założone, ale to już inna sprawa. Inteligencję pracującą przydzielono politycznie do Stronnictwa Demokratycznego razem z rzemieślnikami, co jasno wskazywało, że nie oni będą odtąd strażnikami wartości cennych dla całej polskiej wspólnoty. W ten sposób inteligencja została symbolicznie sprowadzona w dół – zamiast warstwy ideowo przywódczej stała się warstwą „samozatrudnionych na państwowym etacie”, a na pewną sprzeczność wewnętrzną tej formuły nie zwracano uwagi. Była to metoda – przyznać trzeba – wypracowana. Autokraci obecni zadają sobie o wiele mniej trudu w propagandowym niszczeniu przeciwnika, ale za to ich styl jest barwniejszy. Najlepszym chyba tego przykładem jest wypowiedź Krzysztofa Szczerskiego, szefa gabinetu prezydenta Dudy, w okresie przed strajkiem nauczycieli w 2019 roku: „nauczyciele nie mają obowiązku życia w celibacie – ich też dotyczy 500+”. Osobom słabo obeznanym z językiem „dobrej zmiany” wyjaśniam iż chodzi tu o to, że nauczyciele nie muszą strajkować, mogą sobie zrobić wiele dzieci i wtedy dzięki programowi 500+ będzie im materialnie lepiej.

Jednym z zawsze obecnych celów dawnej (sprzed I wojny światowej) inteligencji było „podniesienie” ludu. W sposób raczej niespodziewany cel ten został częściowo osiągnięty w wyniku wojennych strat wśród inteligencji. Nowy zaciąg przejął inteligentkie poczucie wyższości może nawet szybciej niż etos i umiejętności inteligentkie. Pewnie właśnie z tego powodu po 1989 roku ci, którzy pozostali ludem, stwierdzili, że wcale nie chcą być „podnoszeni”, w szczególności zaś nie chcą mieć do czynienia z tymi „co się tak puszą”. Zdobyty chwilę temu autentycznie wolny głos wyborczy bardzo sprzyjał realizacji tego celu. Tak powstały elity „prawdziwych Polaków”, a z czasem Prawo i Sprawiedliwość. Nawiasem mówiąc partia ta bynajmniej nie dąży do jakichś autonomicznych celów innych niż inteligencja (chyba że za taki cel uznamy pogńębienie prestiżowe i finansowe teje) lecz wykorzystuje niechętnie inteligencji nastroje do zdobycia i utrzymania władzy.

Klasyczny model demokracji parlamentarnej przyjmuje, że wszyscy wyborcy zastanawiają się zarówno nad swoją sytuacją (niektórzy także nad krajem) jak i nad propozycjami polityków. Następnie wybierają tych polityków, którzy proponują im rozwiązania ich zdaniem

najlepsze. Innymi słowy, politycy poprzez swoje wygrane i przegrane dowiadują się, co myślą wyborcy. Bardzo podobny konstrukt wymyśliła klasyczna ekonomia kapitalizmu ze swoją grą popytu, podaży i informacyjnej wartości cen. Modele te nie uwzględniają jednak ani reklamy, ani kampanii wyborczej, która w naszym wydaniu jest równie niemerytoryczna, agresywno-zabawowa i bezmyślna jak reklama handlowa. Jest oczywiste, że podatność na hasła typu „jutro lepiej”, „my za Polską” lub „chodź z nami” określona jest przez poziom umysłowy adresata, a pośrednio – przez stan systemu oświaty.

We współczesnej Polsce ta podatność po stronie autokratycznej wydaje się znaczna. Sposób reagowania na aktualne wydarzenia, szczególnie na te niewygodne, jest ustalany w centrali szybko i sprawnie. Dla wiarygodności takiego przekazu ważne jest, że przekazuje się go następnie bez nadęcia, trybun i kilkugodzinnych przemówień, lecz raczej mało formalnie, przez każdego działacza PiS w innym stylu, najczęściej jako odpowiedź na pytanie dziennikarza, co znakomicie zwiększa wiarygodność. Miejsca na indywidualny namysł nad własnymi preferencjami czy interesami i nad programami poszczególnych polityków nie ma tu w ogóle. Marketing polityczny całkowicie falsyfikuje podstawowe założenie demokracji parlamentarnej, co – zauważmy – nie jest w ogóle zauważane, choć przyczyny tego wydają się całkiem interesujące.

Drugim czynnikiem falsyfikacji modelu demokracji parlamentarnej jest stałość związków wyborców z daną partią – zjawisko bynajmniej nie tylko polskie. Ujawnienie afery PiSowskiej jest dla wyborców skłaniających się ku PiS bodźcem do obrony swojej partii, a w każdym razie nie do przemyśleń nad decyzją wyborczą. Oczywiście, to zjawisko musi mieć swój pułap – ale jeszcze do niego nie dotarliśmy. Związek wyborców z partią nie ma charakteru intelektualnego lecz emocjonalny, dzięki czemu tworzą się tak zwane stałe elektoraty. W takim kraju pierwszoplanową myślą obywatela stykającego się z jakimś zjawiskiem, poglądem, wydarzeniem, itp. jest: czy to jest „nasze”, czy to jest „ich”. Jeśli ten pogląd jest „ich”, to dla mnie oczywiście słuszny staje się pogląd przeciwny. Jeśli mój rozmówca należy do „nich”, to w żadnej sprawie się z nim nie zgodzę, nawet w zupełnie niepolitycznej. (W innych krajach, np. w USA zjawisko stałych elektoratów nie przybiera form aż tak radykalnych, jak u nas).

Inną formą tego samego zjawiska jest fakt, że autokraci nie uznają istnienia zasobu spraw wspólnych, na przykład konieczności ochrony klimatu czy przyrody. Stały elektorat oznacza emocjonalne przypisanie się do określonej grupy polityków; dużo bardziej właśnie do osób niż do idei politycznej. Walka polityczna polega na przyciąganiu zbrzydzonej polityką lub indyferentnych. Chyba jednak nie tak opozycja demokratyczna wyobrażała sobie demokratyczną Polskę przed 1989 rokiem!

### Podsumowanie

I tak mamy w kraju dwie grupy wrogie sobie, a obie są przekonane (obie słusznie!) o swoich racjach, nieprzystawalnych ale skądinąd wcale nie sprzecznych. Bowiernie traktowanie poważnych zasad demokratycznych wcale nie kłóci się z szanowaniem ludzi bardziej niż ideologii. Natomiast niszczenie demokracji tylko dlatego, że

zależy na niej ludziom, „co się tak puszą” jest podcinaniem gałęzi, na której siedzimy wszyscy.

Tego konfliktu nie zlikwiduje się ani propagandą, ani zwycięstwem (zawsze ograniczonym i czasowym) jednej ze stron. Mógłby się zakończyć, gdyby strona autokratyczna przekonała się ostatecznie o nieszczerości polityków występujących w jej imieniu, czyli Prawa i Sprawiedliwości. Ale na to są niewielkie szanse, a w dodatku byłaby to zgoda krótkotrwała – sytuacja wróciłaby w tym przypadku do okresu przed 2015 czyli okresu budowy sprzeciwu wobec demokracji.

Trudno byłoby wyliczyć dziedziny życia społecznego, które padają ofiarą tego konfliktu, jest ich zbyt wiele. Niszczy on ideę służby publicznej, gdyż każdy musi stać po jakiejś stronie i uważa to za oczywiste – nawet prezydent, mimo że konstytucja wyraźnie mówi, że powinien reprezentować cały naród. Niszczy też państwo, prawo, wytwórczość, oświatę, a przede wszystkim sens życia w Polsce wszystkich, którym zależy na czymś więcej niż tylko by przeżyć.

Istnieją w Polsce dwie zasadniczo odmienne preferencje ustrojowe. Jedna: demokratyczna. Rośnie ona w siłę, choć bardzo powoli. Dzięki Jarosławowi Kaczyńskiemu grupa ta dorasta, mężnieje, coraz rzadziej plecie naiwne głupoty o demokracji i coraz więcej wie o trójpodziale władzy i jego funkcjonowaniu, o prawach dla mniejszości, o znaczeniu niezależności sądownictwa i o kulturowych uwarunkowaniach sensownego funkcjonowania demokracji parlamentarnej. To jest optymistyczne. Niestety, pesymistyczne jest to, że grupa ta po odzyskaniu władzy chyba nie zmieni swego stosunku do identyfikujących się z ludem. Tak jakoś mamy, że pogarda wobec stojących niżej to obowiązek. Zdaniem niektórych: chrześcijański.

Olbrzymim błędem ugrupowań demokratycznych było założenie w 1989 roku, że demokracja parlamentarna jest bezsprzecznie atrakcyjna dla wszystkich Polaków. O błędności tej tezy nie przekonał ich nawet fakt, że w wyborach 4 czerwca 1989 roku nie uczestniczyło 38 proc. wyborców. Nie zauważyłem w ciągu ostatnich 30 lat, by ktokolwiek zainteresował się głębiej tą grupą. Dopiero niedawno niektórzy odważniejsi publicyści zaczęli wzmiankować, że być może byli to ludzie trwale zniechęceni do polityki. Przedtem – dominowała teza, że są to ludzie marginesu, nie-obywatele, najczęściej stale pijani, obojętni na wszystko co wyrasta ponad ich kieszeń.

### MAREK TABIN

*Post scriptum:* Artykuł ten kończyłem w dniach poprzedzających rocznicę wyzwolenia Auschwitz i zaraz po przejmującym przemówieniu Mariana Turskiego. Nie chciałbym, by ten tekst został uznany za usprawiedliwienie tych, którzy faszyzm wprowadzają „krok po kroczku, aż w końcu spada on z nieba w postaci dojrzałej” (cytuję M. Turskiego z pamięci – M.T.). Nie piszę tu o tym, że rządzący politycy PiS mają swoją rację, gdyż jej nie mają. Piszę o ludziach, których nadzieje na sprawiedliwość i na uznanie, a czasem również chęć zemsty są wykorzystywane przez niosących faszyzm. A ponieważ ci ostatni w polityce zawsze będą, więc za właściwe postępowanie uważam uczenie obywateli odporności na nich i nieobojętności – dokładnie tak samo jak Marian Turski. (M.T.)

MAREK ZAGAJEWSKI

# GRUZIŃSKIE KŁAMSTWO

## Prawda polityczna jako poszukiwanie

Metaforycznie rzecz ujmując, prawda jest pierwszą ofiarą polityki. Taki pogląd nie ma jednak oznaczać, że polityka żywi się „stkiem” kłamstw i oszustw. Rzecz w tym, że zwłaszcza w życiu politycznym prawda jest raczej procesem niż stanem, wymaga intensywnych poszukiwań i przedzierania się przez gąszcz półprawd, manipulacji i mniej lub bardziej świadomych zafałszowań i złudzeń. Oczywiście, że proces dochodzenia do prawdy nie ma granic czasowych, jak wiemy z historii, czasami trwa nie tylko lata, ale i stulecia. Ta podróż prawdy ma swoje przystanki, kiedy ludzie dochodzą do pewnych „twardych” ustaleń towarzyszących im owocnie w życiowych zmaganiach.

Godzi się zaznaczyć, że w polityce prawda ma także swoje „opaczne” kotwice – choćby w dyplomacji, stanowiącej sedno polityki międzynarodowej, niejednokrotnie rozstrzygając o losach świata. Chodzi tutaj o przesławne *dementi*, które w języku dyplomacji pełni funkcję prawdy „na opak”, a które jest swego rodzaju retoryczną osobliwością stosowaną wówczas, gdy przez zaprzeczanie faktom polityk daje publiczny sygnał, że określone zdarzenie miało rzeczywiście miejsce. Mamy tutaj do czynienia ze swoistym „potwierdzeniem przez zaprzeczenie” stosowanym często ze względu na wymogi protokołu dyplomatycznego czy racji stanu.

## Gruzińska wojna

Klasycznym i stosunkowo świeżym przykładem dociekań w obszarze prawdy politycznej jest spór o przebieg pięciodniowej gruzińskiej wojny toczony w sierpniu 2008 roku. Należy dodać, że w tej sekwencji dramatycznych wydarzeń Polska zajęła poczesne miejsce także ze względu na osobisty udział ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

I tak rozpoczęcie wojny w nocy z 7 sierpnia 2008 roku na czwartek 8 sierpnia 2008 roku przedstawiane jest na trzy sposoby: pierwszy, dominujący pogląd, iż to Rosja napadła na Gruzję; drugie stanowisko, mniejszościowe, które początek wojny odnajduje w napaści Gruzji na Rosję, ściśle rzecz biorąc na Osetię Południową będącą pod rosyjskim „patronatem” i trzeci – niezwykle rzadki neutralny punkt widzenia, bez opowiadania się po którejkolwiek stronie, jak chociażby Kersti Kaljulaid, aktualnej prezydent Estonii, która wypowiada się w tym duchu. Te trzy różne opcje niezwykle łatwo rozpoznać, bowiem posługują się one czytelnym nazewnictwem. W pierwszy przypadku będzie zwykle mowa o wojnie „rosyjsko-gruzińskiej”, w drugim, odwrotnie – o wojnie „gruzińsko-rosyjskiej” a przy ostatniej opcji najczęściej stosowana jest prosta formuła: „wojna gruzińska”. Trzeba jednak od razu zaznaczyć, że nierzadko te na-

zwy używane są zamiennie, bez należytej staranności w uwzględnianiu ich semantycznych kontekstów.

## Rosja agresor

Wiadomo, że w ocenie każdej wojny „domowej”, „światowej” czy jakiegokolwiek innej kluczowa jest odpowiedź na pytanie: „kto zaczął?” W bardzo klarowny sposób odnosi się do tej kwestii Irena Lasota, obecnie waszyngtońska korespondentka „Rzeczpospolitej”. W marcu 1968 roku należała ona do ścisłej grupy przywódczej studenckiego protestu, po czym była represjonowana i już jako weteranka na emigracji niezwykle aktywnie wspierała demokratyczne ruchy sprzeciwu wobec rozlicznych światowych dyktatur, rosyjskiej w szczególności. Słowem, niezwykle kompetentna osoba. Jej zdaniem, „Rosja zaatakowała Gruzję”, ale na szczęście rosyjski scenariusz aneksji Gruzji jednak się „nie sprawdził za sprawą pięcioosobowej armii prezydentów i premierów, z prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele. Ta niewielka armia swoim niespodziewanym przylotem do Tbilisi ograniczyła inwazję do zagarnięcia Osetii Południowej, choć wojska rosyjskie zbliżyły się już do stolicy” – pisze Lasota w „Rzeczpospolitej”. (27-28. 05. 2017.).

Ofensywa dyplomatyczna w obronie Gruzji rozpoczęła się już 7 sierpnia, niemal natychmiast po wybuchu wojny, gdy Saakaszwili o 23:35 wydał rozkaz przeprowadzenia zbrojnej operacji „przywrócenia konstytucyjnego porządku” w Osetii Południowej, która wraz ze stolicą Chinwali została, pochłaniając wiele ofiar, na kilka dni opanowana przez wojska gruzińskie. Od razu Bernard Kouchner, minister spraw zagranicznych Francji, jako specjalny wysłannik Sarkozy’ego, który w tym czasie pełnił rotacyjną funkcję przewodniczącego Unii Europejskiej i Alexander Stubb, minister spraw zagranicznych Finlandii, zgodzili się pilnie przeprowadzić misję pokojową jako przedstawiciele UE i OBWE, która wówczas dowodziła misją obserwatorską w Gruzji.

Po przybyciu 9 sierpnia do Tbilisi ministrowie Francji i Finlandii przygotowali wstępną wersję porozumienia o zawieszeniu broni, która po uzgodnieniu z ministrem spraw zagranicznych Gruzji Ekaterine Tkeszelaszwili została następnego dnia (10. 08. 2008.) podpisana przez Saakaszwilego w ich obecności. Tego dnia doszło także do spotkania pani minister z szefami MSZ Litwy i MSZ Ukrainy oraz ambasadorami NATO i UE.

Przed południem 12 sierpnia Rosjanie ogłosili zawieszenie broni tuż przed wylądowaniem samolotu przybywającego do Moskwy z misją pokojową prezydenta Sarkozy’ego, ale mimo to rosyjskie oddziały nadal stopniowo zbliżały się do Tbilisi. Przylot Sarkozy’ego na bezpośrednie rozmowy oznaczał zarazem zakończenie

misji Stubba i Kouchnera, który w sarkastycznym tonie streścił przebieg zakończonej misji. „Amerykanów tam w ogóle nie było. Nie brali w niczym udziału. Dzwonili do nas, a my oddzwanialiśmy do nich. Wystali jeden ze swoich okrętów marynarki wojennej do regionu Morza Czarnego, ale co z tego? Nic! Musieliśmy więc sami powstrzymać Armię Czerwoną [*sic!* Tak w oryginale – przyp. tłum.] i to było naszym głównym, a nawet jedynym celem – nie pozwolić Rosjanom na zdobycie stolicy [Gruzji]”. (cyt. za: Ronald D. Asmus, *Mała wojna, która wstrząsnęła światem: Gruzja, Rosja i przyszłość Zachodu*, tłum. Jan Tokarski, wstępem opatrzyli Radosław Sikorski i Strobe Talbot, Warszawa 2010, s. 351-352.)

Jeszcze przed włączeniem się Sarkozy'ego w pokojowe mediacje Saakaszwili z całą oczywistością uświadomił sobie, że wojna z Rosją została przez niego przegrana. W tej sytuacji jedynym wyjściem było przekucie militarnej klęski w propagandowe zwycięstwo, skoro w *realium* sukces okazał się nieosiągalny. Cała operacja rozpoczęła się w Tbilisi już w poniedziałek 12 sierpnia serią wieców i demonstracji pokojowych z poparciem Saakaszwilego przez tłumnie zebranych Gruzynów, których kulminacją stał się ponad stu-sięcny wiec przed parlamentem. Było już późno, gdy Sarkozy podjechał pod budynek akurat w trakcie przemówienia Saakaszwilego, któremu zresztą odmówił swego udziału w tej manifestacji politycznej rozumnie objaśniając, że „przyjechał w celu zakończenia wojny, a nie dla publicznych wystąpień” (tamże, s. 353).

W tym miejscu należy się wyjaśnienie, że Sarkozy przylatując bezpośrednio z Moskwy musiał mieć zapewniony przez rosyjskie siły powietrzne bezpieczny przelot nad Gruzją i zapewne leciał swoim wojskowym samolotem z towarzyszeniem stosownej rosyjskiej eskorty. Tymczasem lecąc z Polski na wiec solidarności prezydencka delegacja z Lechem Kaczyńskim na czele nie miała tego udogodnienia i musiała lądować w Gandzy na terenie Azerbejdżanu, ale blisko granicy z Gruzją, skąd samochodami politycy udali się do nieodległego Tbilisi.

W przedstawionej sytuacji zawiera się pewien niuans, który ujawnia Irena Lasota. „Gdy Rosja napadła na Gruzję jesienią 2008 r. prezydent Lech Kaczyński zwołał czterech innych przywódców, wspólnie polecieli do Tbilisi i nie ulega wątpliwości, że powstrzymali wojska rosyjskie, które były już kilkanaście kilometrów od stolicy Gruzji”. („Rzeczpospolita”, 20-21. 05. 2011). Doszło zatem do narzuconego przez Kaczyńskiego swego rodzaju „prezydenckiego wyścigu”, który chciał, uprzedzając Sarkozego, na wiecu w Tbilisi, wspólnie z kolegami prezydentami, udzielić Saakaszwilemu moralnego i politycznego wsparcia przed jego rozmowami z francuskim prezydentem w sprawie zawieszenia broni, zwłaszcza w sprawie wstrzymania pochodu rosyjskich wojsk na stolicę Gruzji.

Sarkozy w miarę komfortowo doleciał do Tbilisi i jako pierwszy przybył do budynku parlamentu, nie poszedł na wiec, ale rozpoczął negocjacje z Saakaszwilim. Kiedy „komando Kaczyńskiego” dojechało spóźnione na wiec z powodu zamknięcia przez Rosjan przestrzeni powietrznej nad Gruzją, jej prezydent przerwał na chwilę negocjacje z francuskim odpowiednikiem, aby przywitać się ze swoimi gośćmi, po czym zostawił ich na wiecu z około stutysięcznym tłumem Gruzynów i wrócił do rozmów.

W tej perspektywie nie powinna dziwić, całkowicie niedopuszczalna awantura Kaczyńskiego z dowódcą jego samolotu, który nie miał problemu z przelotem nad Ukrainą do granic Gruzji, ale kategorycznie odmówił kontynuowania rejsu nad Gruzją bez stosownych zezwoleń i zabezpieczeń, i poleciał lądować do Azerbejdżanu. Polski prezydent słusznie domagał się takiego równego traktowania z prezydentem Francji, ale spotkał się z odmową Moskwy, która w pełni kontrolowała przestrzeń powietrzną Gruzji i nie była skłonna do wdrożenia wymaganych w wojennej sytuacji ponadnormalnych procedur do przemieszczania się polityków mało życzliwych wobec Rosji.

W tym kontekście należy rozpatrywać wiecową mowę Kaczyńskiego, która była wcześniej przygotowana na okoliczność stworzenia odpowiedniego klimatu politycznego przed rozpoczęciem negocjacji z Sarkozym. Miała ona spełnić ważną rolę w toczącej się od pewnego czasu w światowym wymiarze standardowej „operacji marketingowej” zamiany Saakaszwilego ze sprawcy tragedii na jej ofiarę. Cynizm tych zabiegów jest tak oczywisty, że aż kłuje w oczy a warto dodać, że gdy czytamy czy słyszymy o czymś, co rzekomo „nie ulega wątpliwości”, to należy zachować wielką ostrożność.

Kończąc ten wątek trzeba dodać, że jeśli ktokolwiek spowodował, że rosyjskie czołgi nie wjechały do Tbilisi w celu obalenia rządu Saakaszwilego, to na pewno Sarkozy i polityczna Zachodnia Europa, a nie Kaczyński i jego „komando”. A Saakaszwili i tak musiał odejść i do dzisiaj błąka się na politycznych peryferiach.

W każdym razie, wedle komunikatu Biura Prasowego Kancelarii Prezydenta RP zadaniem delegacji była realizacja misji poparcia dla suwerenności i integralności terytorialnej Gruzji oraz sprzeciw wobec agresji wojskowej Federacji Rosyjskiej, łamiącej prawo międzynarodowe i humanitarne. W tym celu na głównym wiecu przed budynkiem parlamentu pojawili się prezydenci: Polski – Lech Kaczyński, Litwy – Valdas Adamkus, Estonii – Toomas Hendrik Ilves, Ukrainy – Wiktor Juszczenko oraz premier Łotwy Ivars Godmanis. Wówczas późną nocą w świetle reflektorów główne przemówienie wygłosił Lech Kaczyński.

„Jesteśmy tutaj, przywódcy pięciu państw: Polski, Ukrainy, Estonii, Łotwy i Litwy. Jesteśmy po to, żeby podjąć walkę. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nasi sąsiedzi ze Wschodu pokazali twarz, którą znamy od setek lat. Ci sąsiedzi uważają, że narody wokół nich powinny im podlegać. My mówimy: nie! Ten kraj to Rosja!

Ten kraj uważa, że dawne czasy upadłego niecałe 20 lat temu imperium wracają. Uważają, że dominacja będzie cechą tego regionu. Nie będzie! Te czasy skończyły się raz na zawsze! Nie na 20, 30 czy na 50 lat.

Wszyscy w tym samym okresie lub zbliżonych okresach poznaliśmy tę dominację, która była nieszczęściem dla całej Europy. To łamanie ludzkich charakterów, narzucanie obcego ustroju, narzucanie obcego języka. Ale czym się różni sytuacja z dzisiaj od tej sprzed wielu lat? Dziś jesteśmy tu razem. Dziś świat musiał zareagować, nawet jeśli był tej reakcji niechętny! I my jesteśmy tutaj po to, żeby ten świat reagował jeszcze mocniej, w szczególności Unia Europejska i NATO!

Gdy zainicjowałem ten przyjazd, niektórzy mówili, że prezydenci będą się obawiać. Nikt się nie obawiał, wszyscy przyjechali. Bo Środkowa Europa ma odważ-

nych przywódców. I chciałbym to powiedzieć nie tylko wam, chciałbym to powiedzieć również tym z naszej wspólnej Unii Europejskiej, że Europa Środkowa, Gruzja, że cały nasz region będzie się liczył. Że jesteśmy podmiotem! I my też świetnie wiemy, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a potem może czas na mój kraj, na Polskę! Byliśmy głęboko przekonani, że przynależność do NATO i Unii zakończy okres rosyjskich apetytów, a okazało się, że nie, że to błąd. Ale potrafimy się temu przeciwstawić, jeżeli te wartości, o które miałyby się Europa opierać, mają jakiegokolwiek znaczenie w praktyce. Jeżeli mają mieć to znaczenie, to my musimy być tu. Cała Europa musi być tutaj! Tu są cztery państwa należące do NATO – jest i Ukraina, wielkie państwo. Jest pan prezydent Sarkozy, przewodniczący Rady Europejskiej. A powinno tu być państw 27!”. („Rzeczpospolita”, 13. 08. 2008).

Wkrótce po powrocie do Warszawy w „Newsweeku” Lech Kaczyński zasadniczo określił Rosję jako agresora, który nie radzi sobie z suwerennością słabszych sąsiadów i dobitnie kolejny raz zarzucił Rosji dokonanie inwazji na Gruzję (17. 08. 2008.).

### Gruzja agresor

Zabierając głos w sprawie gruzińskiej wojny Janusz Korwin-Mikke sensownie przypomniał, że „absurdalne jest oskarżanie Rosji np. o to, że napadła na Gruzję. Wszystkim wiadomo, że to prezydent Gruzji, p. Michał Saakashvili, najprawdopodobniej agent amerykański, postanowił wykorzystać, że prezydent Rosji jest na otwarciu Igrzysk Olimpijskich w Pekinie – i najechał na Południową Osetię. Rosjanie rzucili się na pomoc i odrzucili Gruzynów. Przy okazji wjechali kawałek na teren Gruzji i w mieście Gori rozwalili pomnik najwybitniejszego Gruzina, Józefa Stalina” („Angora”, 19. 01. 2020).

Już na wstępie trzeba odnotować ujawnienie się w pierwszej dekadzie listopada ruchu protestu domagającego się między innymi rozliczenia Saakaszwilego z decyzji o zaatakowaniu Osetii Południowej i przyspieszonych wyborów, których wyrazem są dochodzące do 10 tysięcy uczestników antyrządowe przemarsze. W pierwszą rocznicę brutalnego rozpędzenia z użyciem gazu łzawiącego i armatek wodnych manifestacji przeciwko nepotyzmowi i autokratyzmowi Saakaszwilego szereg opozycyjnych ugrupowań połączyło swoje siły w celu doprowadzenia do przyspieszonych wyborów i zmiany rządu, rozpoczynając rozplanowany na pięć miesięcy protest społeczny.

Jeśli zważyć, że według oficjalnych danych w gruzińskiej wojnie zginęło 183 gruzińskich żołnierzy i policjantów, 63 żołnierzy rosyjskich i około 150 osetyjskich (wliczając ochotników), a wśród cywilów było 365 ofiar po stronie osetyjskiej i 228 po stronie gruzińskiej, to Saakaszwili ma się z czego tłumaczyć. Równocześnie w rezultacie wojny z Osetii Południowej i Abchazji niemal całkowicie zniknęła ludność gruzińska, a przynajmniej 130 tysięcy osób zostało zmuszonych do tymczasowego opuszczenia swoich domów. Obok tego bezmiaru tragedii nie da się przejść obojętnie.

Nie da się ukryć, że w tej wojnie Polska też ma nie byle jaki udział, tym razem związany z dostawą broni, która była skutecznie wykorzystywana przez Gruzynów w walce z Rosjanami. Chodzi o nowocześniejszą wersję rakiet Grom o zasięgu ponad 6,5 km

i pułapie 4 km, i wielu rozlicznych zaletach, teraz pod nazwą Piorun. Podobnie, użyto ukraińskich wyrzutni raketowych, chociaż rzekomo żołnierze gruzińscy niezbyt sobie z nimi radzili i Ukraińcy zmuszeni byli je sami obsługiwać. W każdym razie „spadło” kilka rosyjskich samolotów i teraz można się zastanawiać, czy było „do twarzy” prezydentom Polski i Ukrainy przybycie do Tbilisi z jakąś misją i czy aby na pewno był ona pokojowa.

Godzi się już w tym punkcie zauważyć, że wbrew panoszącej się propagandzie pogląd przypisujący Gruzji napaść na Osetię Południową i w konsekwencji zaatakowanie Rosji opiera się głównie na dobrowolnych zeznaniach podsądnego. Wszak to sam Saakaszwili w swoim gabinecie spontanicznie opowiada przed kamerami CNN, jak starannie wybierał dzień ataku na Cchinwali i Osetię Południową. Ostatecznie jego wybór padł na noc z 7 na 8 sierpnia, o czym ze swadą, żując nerwowo kolorowy krawat, poinformował „na żywo” zaskoczonych widzów; wtedy też doszła do niego wieść o pojawieniu się nad Gruzją rosyjskich samolotów. Otóż, na 8 sierpnia zaplanowano ceremonię otwarcia w Pekinie igrzysk olimpijskich 2008, gdzie tradycyjnie meldują się główne figury światowej polityki, w tym także Putin czy Miedwiediew, Bush czy Sarkozy, którzy w tym czasie oczywiście nie mogli mieć „głowy” do zajmowania się jakąś kaukaską strzelaniną.

Zatem Saakaszwili spokojnie odczekał do wyjazdu premiera Putina do Pekinu i prezydenta Miedwiediewa na urlop, po czym wydał rozkaz do ataku na Osetię Południową 7 sierpnia o godz. 23.35 kiedy obydwaj przywódcy prawdopodobnie byli już w drodze. Niestety, tym samym prezydent Gruzji złamał stosowaną przez starożytnych Greków zasadę „świętego pokoju” zgodnie z którą w czasie igrzysk nie prowadzi się żadnych wojen ani napaści zbrojnych.

Saakaszwili się nie oszukał i później słusznie chwalił trafnością dokonanego wyboru daty zbrojnego ataku na Osetię Południową, bowiem faktycznie po wybuchu wojny w Pekinie doszło do dwu krótkich spotkań prezydenta Busha z *ówczesnym premierem* Putinem, po otrzymaniu na podstawie danych amerykańskiego wywiadu informacji o rozpoczęciu przez Rosjan ostrzału Gruzji. Z kolei kilkakrotne próby Sarkozy’ego dotarcia do Putina spaliły na panewce. Inauguracja igrzysk rzeczywiście była świetną okazją do przeprowadzania rozmaitych światowych awantur politycznych.

W krótkim czasie władze Gruzji wypuściły komunikat o rozpoczęciu wojskowej operacji „przywrócenia konstytucyjnego porządku” w Osetii Południowej, która zdaniem premiera Lado Gurgenidze będzie kontynuowana aż do ustanowienia „trwałego pokoju”. Pierwszego dnia inwazji Gruzji na Osetię Południową – 8 sierpnia – po zajęciu osetyjskich wsi wojska gruzińskie ruszyły na stolicę Osetii Południowej Cchinwali. Po zaatakowaniu rano przez Gruzynów batalionu sił pokojowych stacjonujących w Osetii Południowej zginęli pierwsi rosyjscy żołnierze.

Kiedy Rosja odpowiedziała mobilizacją swoich sił w tym rejonie oraz wystaniem ochotników z Osetii Północnej i Abchazji do Osetii Południowej, to Saakaszwili oskarżył Federację Rosyjską o „prowadzenie zakrojonej na szeroką skalę operacji wojskowej przeciwko Gruzji”. Gdy wojsko gruzińskie zajęło południo-

we przedmieścia Cchinwali i Saakaszwili ogłosił, że większa część Osetii Południowej „została wyzwolona i znajduje się pod kontrolą Gruzji”, Rosjanie zareagowali na prośbę osetyjskiego rządu o pomoc w obronie przed gruzińską agresją i kontratakowali przeciwko najeźdźcom. Rosjanie zaatakowali gruzińskie siły okupacyjne w Osetii Południowej oraz z powietrza port, bazy, lotniska i radary wojskowe w Gruzji

Gruzini od początku inwazji fałszowali opis przebiegu wydarzeń, że Rosja jest agresorem, a oni tylko się bronią – szeroko rozpowszechniany przez zachodnie media i polityków. Tymczasem gruzińskie samoloty bombardowały mieszkalne dzielnice, szpitale i uniwersytet w stolicy Cchinwali. Z kolei w Abchazji wybuchły walki między Gruzinami i Abchazami, którzy uzyskali wsparcie wojsk rosyjskich.

Załamanie się ofensywy gruzińskich najeźdźców doprowadziło do ogłoszenia przez Gruzję jednostronnego rozejmu i apelu do Rosji o zaprzestanie walk. To posunięcie Saakaszwilego zostało szeroko nagłośnione w zachodnich mediach w celu stworzenia fałszywego obrazu dążącej do pokoju Gruzji pokrzywdzonej przez rosyjskiego agresora.

W tym kontekście warto przypomnieć wywiad udzielony rosyjskim i gruzińskim mediom przez Miedwiediewa krótko przed trzecią rocznicą gruzińskiej wojny 2008 roku. Jego zdaniem, obok Saakaszwilego, także Amerykanie ponoszą odpowiedzialność za jej wybuch, ponieważ wydawało się, że w końcówce okresu przedwojennego Saakaszwili sprawił wrażenie osoby skłonnej do kompromisu. Jednak wiele się zmieniło po wizycie sekretarza stanu USA Condoleezy Rice, która co prawda nie popychała Gruzji do wojny, ale za pomocą wypowiedzi typu „pora przywrócić konstytucyjny porządek” czy „pora działać zdecydowanie” mogła naprowadzać na myślenie, że w razie konfliktu „Amerykanie nas nie opuszczą, a jeśli okaże się to konieczne, to pójdą na wojnę z Rosją”.

Odmienne opinie wymieniano też na waszyngtońskich korytarzach, także *wśród pracujących* w Rosji dyplomatów i doradców, z którymi w sprawie wojny nieustannie konsultował się Saakaszwili. „Politycy w Waszyngtonie byli wściekli na to, że Gruzini zdecydowali się na uderzenie pomimo ustawicznego powtarzania im od wielu miesięcy, by tego nie robili” (cyt. za: Ronald D. Asmus, *Mała wojna ...*, tamże, s. 304). Jednak Amerykanie włączyli się w swoich mediach w wojnę propagandową przemilczając rzeczywisty przebieg wydarzeń w Gruzji, skoro dopiero 7 listopada ujawnili informacje, z których wynikało, że Gruzini zaatakowali Cchinwali ostrzałem artyleryjskim powodując ofiary w ludziach.

Saakaszwili był *w pełni świadom tych uwarunkowań*, a mimo to, wedle Wojciecha Jagielskiego, weterana wśród wojennych korespondentów, „Wierzył, »że jednym szybkim ciosem uda się ogłuszyć potężnego, ale nieruchawego przeciwnika – Rosję, zając zbuntowaną prowincję. Potem schować się przed rozsierzonym, ryczącym z wściekłości Kremlem za plecami zachodnich przyjaciół«” (Igor T. Miecik, *Wszystkie szklanki prezydenta*, „Gazeta Wyborcza”, 16-17. 09. 2017).

W tym kontekście należy też przypomnieć, że krótko przed atakiem Gruzji na Osetię Południową zakończyły się manewry amerykańsko-gruzińskie, w których ćwiczone mobilizację wojsk do wojny zaczepnej. W połowie lipca 2008 roku w Gruzji rozpoczęły się dwutygodniowe

manewry „Immediate Response 2008” (*Natychmiastowa odpowiedź 2008*) zorganizowane w ramach natowskiego programu „Partnerstwo dla pokoju”, w których uczestniczyło około tysiąca żołnierzy amerykańskich i sześciuset gruzińskich. Wówczas coraz częściej wybuchły incydenty zbrojne między Gruzinami a Osetyńcami. Na początku sierpnia obie strony rozpoczęły ewakuację cywilów: Osetyjczycy z Cchinwali, a Gruzini z enklaw na terytorium Osetii. Ale też równocześnie na południu Rosji, tuż przy granicy z Gruzją rozpoczęły się wielkie manewry wojskowe. Ćwiczenia obu stron w niewielkiej odległości od siebie stwarzały w regionie nader napiętą sytuację.

Gruzini wypominają też Rosjanom zbudowanie wojskowej bazy w Giumri na terenie Armenii, nie mówiąc o bazach w Osetii. Warto dodać, że w Erewaniu, stolicy Armenii, zwraca uwagę znakomicie położona nad rzeką potężna ambasada Stanów Zjednoczonych, która szczyci się posiadaniem w tak małym kraju ponad tysiącem współpracowników, co może mieć pewien związek z regularnie wybuchającymi tam zamieszkami ulicznymi i kryzysami politycznymi.

Z tego medialnego chaosu wyłania się dodatkowe objaśnienie sekwencji gruzińskich wydarzeń w postaci koncepcji prowokacji, niezwykle popularnej w kręgach przyjaciół USA. Jej treść sprowadza się do rozlicznych sformułowań różnych wariantów, których przesłanie wyraża się mniej więcej tak: „Saakaszwili co prawda napadł na Osetyńców, ale dał się sprowokować, bo taki impulsywny i porywczy”; skrótowo i obiegowo: „Saakaszwili dał się sprowokować”, „Saakaszwili dał się wplątać w konflikt z Rosją”.

### Międzynarodowa komisja

W tym przeglądzie wydarzeń swego rodzaju podsumowaniem może być opublikowany 30 września 2009 ponadczterdziestostronicowy raport opracowany przez niezależną międzynarodową komisję do zbadania konfliktu w Gruzji powołaną przez Unię Europejską, składającą się z europejskich ekspertów w dziedzinie wojskowości, prawa i historii, w tym dwu Polaków. W rezultacie podjętych prac powstał raport, który jednak nie znalazł uznania w naszych medialno-politycznych elitach.

Wedle raportu wojna została rozpoczęta atakiem Gruzji, który był niezgodny z prawem międzynarodowym. Ten gruziński atak poprzedzono trwającymi przez miesiące prowokacjami obciążającymi obie strony, które gwałciły wtedy prawo międzynarodowe. „Ostrzał artyleryjski Cchinwali (stolicy Osetii Południowej) przez gruzińskie siły wojskowe nocą z 7 na 8 sierpnia 2008 stał się początkiem zbrojnego konfliktu na dużą skalę” – stwierdza raport. Potem dodaje: „Powstaje pytanie, czy owo użycie siły [...] było uzasadnione w rozumieniu prawa międzynarodowego. Otóż nie było”. Raport stwierdza dalej, że zarzuty Gruzji, iż miało miejsce rosyjskie militarne wtargnięcie na dużą skalę na teren Południowej Osetii przed wybuchem wojny, nie mogło być „wystarczającym uzasadnieniem”, chociaż, przynajmniej raport, fakt ten był sprzeczny z prawem międzynarodowym.

[„The shelling of Tskhinvali (the South Ossetian capital) by the Georgian armed forces during the night of 7 to 8 August 2008 marked the beginning of the large-scale armed conflict in Georgia,” the report says. It adds later: “There is the question of whether [this] use of force... was justifiable under international law. It was not”.]

Gruzja „pogwałciła prawo międzynarodowe”, próbując rozwiązać za pomocą wojska kryzys powstały wokół prorosyjskiej separatystycznej Osetii Południowej – oświadczył niemiecki wiceminister spraw zagranicznych Gernot Erler. W tej mierze ten, kto podejmuje próbę działania z użyciem wojska, narusza prawo międzynarodowe – powiedział Erler.

Praca i raport międzynarodowej komisji powołanej do zbadania konfliktu w Gruzji stworzyły niepowtarzalną szansę wypracowania stosownych środków do rozwiązania konfliktu pokojową drogą. Niestety sprzeczności interesów współczesnego świata nie dają obecnie takiej możliwości. Walka o hegemonię skutecznie blokuje wszelkie inicjatywy pokojowe i w efekcie pojawiła się groźba powrotu amerykańskiego imperializmu. W odniesieniu do Gruzji widać wyraźnie, jak zimnowojenny amerykański kierunek antykomunistycznej polityki został z łatwością przetransformowany na antyrosyjskie

tory. „Kłamstwo gruzińskie” w tej operacji pokazało swoją wielką użyteczność w ramach polityki międzynarodowej analogicznie jak „kłamstwo założycielskie” na potrzeby polityki wewnętrznej.

Dla przypomnienia, wyjściowym założeniem tego ostatniego kłamstwa jest uznanie okresu PRL jako formacji komunistycznej, chociaż w praktyce mamy w tym czasie do czynienia z kapitalizmem państwowym w gospodarce, strukturami państwa stanu wyjątkowego w polityce oraz ideologią narodowo-katolicką. Taka struktura społeczna jest formacyjnie kontynuacją naszego międzywojnia i z okupacyjną przerwą przetrwała przez czasy powojenne, i trwa do dzisiaj, trwale zakotwicząc się we współczesności. Trudno zatem tu odnaleźć znaczące ślady komunizmu, jeśli chce się zrozumieć aktualnie toczące się procesy historyczne.

**MAREK ZAGAJEWSKI**



Anna Sobol-Wejman, *Pulapka* (grafika, 2014). Reprod. Piotr Witostawski

ADAM DANIEL ROTFELD

# SPECYFIKA MYŚLI I RZĄDÓW PUTINA\*

Stanisław Ciosek został za czasów Michaiła Gorbaczowa ambasadorem nietypowym – bo potrójnym. Rosjanie powiadają, że *Boh trojcu ljubit*. Najpierw był ambasadorem PRL w Związku Radzieckim, potem ambasadorem Trzeciej RP nadal w ZSRR, wreszcie złożył listy uwierzytelniające na ręce nowego prezydenta Federacji Rosyjskiej, Borysa Jelcyna. Był świadkiem przełomu – czasów nadziei i smuty.

Moje uwagi mają nieco inny charakter. Wynikają z obserwacji nie tyle od wewnątrz, co z zewnątrz. Rosja była przedmiotem moich zainteresowań i badań głównie z zakresu bezpieczeństwa międzynarodowego. Zajmowałem się też relacjami polsko-rosyjskimi, kiedy powierzono mi współprzewodnictwo Polsko-Rosyjskiej Grupy ds. Trudnych. Wynikiem prac tej grupy jest m.in. tom pt. *Białe Plamy – Czarne Plamy*, w którym obie strony – polska i rosyjska – przedstawiły swoje postrzeganie najtrudniejszych spraw we wzajemnych relacjach w latach 1918 – 2008.

Dziś staje przed nami wszystkim pytanie: Dokąd zmierza Rosja? Moja odpowiedź brzmi – nie wiem i myślę, że nikt nie wie. Nie wiedzą tego politycy

w Waszyngtonie, w Warszawie, ale też nikt nie wie w Moskwie! Myślę, że nie wie tego również Putin. Co najwyżej możemy rozważać, jakie są cele Putina. Można postawić to pytanie nieco inaczej, czyli co będzie po Putinie. Moja odpowiedź brzmi: po Putinie będzie Putin. Nie wiem zresztą, czy wszyscy sobie zdają sprawę, że stosunkowo niedawno, bo 9 września 2019 roku minęła dwudziesta rocznica przekazania władzy przez prezydenta Jelcyna młodemu podpułkownikowi, ówczesnemu sekretarzowi Rady Bezpieczeństwa Narodowego, Władimirowi Putinowi.

Tego dnia Jelcyn mianował Putina premierem Rosji. Uznał, że sam – ze względu na stan zdrowia – władzy nie utrzyma. Było kilku kandydatów, z których najważniejszym był Jewgienij Primakow. Jednak doradcy Jelcyna preferowali Putina jako człowieka młodego, zdolnego i, co najważniejsze, lojalnego. Putin dawał swojemu szefowi gwarancje, że nie obarczy odpowiedzialnością swojego poprzednika za nieudane rządy i nie zacznie od rozliczania Jelcyna i jego rodziny. Co więcej, jest gotów dać gwarancje na piśmie. Także Primakow dawał pewne gwarancje na piśmie. Otoczenie Jelcyna, jego doradcy wskazali jednak Putina.

Powiadają niektórzy, że była to przyczyna dalszego rozwoju wypadków. Tak nie jest. Przyczyny są według mnie głębsze. Oto po upadku ZSRR nastąpił niemal całkowity rozkład wszystkich instytucji „państwa radzieckiego”, które od pewnego czasu funkcjonowały na zasadzie inercji. Zresztą tak się działo po każdej

\* Udostępniamy autoryzowane wypowiedzi prof. Adama Daniela Rotfelda i ambasadora Stanisława Cioska - uczestników panelu *Polska-Rosja*, którego gospodarzem był Klub Księgarza w Warszawie (wrzesień 2019), a organizatorami: Karol Drozd (dyplomata, b. konsul w Izraelu i członek Centrum dla Pokoju Szymona Peresa) oraz dr Ireneusz Bil (dyrektor Fundacji Amicus Europae). Red.



zmianie kierownictwa partii – po śmierci Stalina, obaleniu Chruszczowa i odejściu na wieczny spoczynek Breżniewa, Andropowa i Czernienki.

Jedyne instytucje państwa, które nie poddały się rozkładowi, to były służby specjalne – w szczególności wywiad i kontrwywiad. Putin miał więc gwarancję, że one będą mu posłuszne, bo przecież właśnie te środowiska reprezentuje. Jest ich wychowankiem, reprezentantem i nie musiał się z tymi siłami układać, chociaż każdy inny premier, a następnie prezydent musiałby to robić.

Była zresztą pewna zbieżność kwalifikacji obu kandydatów. Primakow, jak się ocenia – człowiek o szerszych horyzontach niż Putin, też wywodził się z tej samej wspólnoty wywiadowczej. Z Primakowem spotkałem się, kiedy nie byłem jeszcze ministrem spraw zagranicznych, ale sekretarzem międzynarodowej grupy badania problemów bezpieczeństwa europejskiego i później – w czasie, kiedy zostałem dyrektorem SIPRI (Stockholm International Peace Research Institute). Instytut został założony w 1966 roku przez szwedzki Riksdag dla upamiętnienia 150. rocznicy nieprzerwanego pokoju w Szwecji. Primakow uczestniczył w grudniu 2000 roku w uroczystości wręczenia nagrody Nobla z zakresu fizyki rosyjskiemu uczonemu Zoresowi Ałfiorowowi, który miał prawo, jak każdy laureat, zaprosić rodzinę i najbliższych przyjaciół. Przed przyjazdem zadzwonił wówczas do ambasadora Rosji w Sztokholmie Olega Griniewskiego z sugestią, by SIPRI zorganizował dla niego wykład. Na prośbę rosyjskiej ambasady odpowiedziałem, że Primakow jest szefem wywiadu zewnętrznego Rosji, więc jego gospodarzem w Szwecji jest szef wywiadu Szwecji. Do SIPRI mogą przyjść wspólnie.

I tak się stało.

Miałem z Primakowem wówczas długą rozmowę. Zadałem mu kilka mało dyplomatycznych pytań. Wymieniłem jedno: Dlaczego nie dokonacie wyboru na rzecz głębokich przemian demokratycznych, na rzecz dogłębnej transformacji. Primakow odpowiedział: „Rosja nie jest do tego gotowa. Gleba rosyjska nie dojrzała do demokracji. Na Zachodzie demokracja była przez setki lat budowana od dołu. U nas każda próba kształtowania prawdziwej demokracji prowadziła do kolejnej smuty: anarchii, bandytyzmu, powstawania struktur mafijnych. Dlatego należy u nas demokrację odgórnie dawkować i wychować pokolenia, które będą gotowe do jej wprowadzenia”.

Putin, moim zdaniem, jest w swoim myśleniu bardziej taktikiem, jakkolwiek, podobnie do Primakowa, nie ma zaufania do rosyjskiego społeczeństwa. Jest zdolny, ma dobrą pamięć, szybko się uczy. Nie jest to typ myśliciela, raczej pragmatyka, który reaguje doraźnie, ale nikomu nie ufa. Wykorzystuje każdą sposobność, by, po pierwsze – umocnić swoją władzę, po drugie – zapobiec rozpadowi, jaki był udziałem ZSRR, i po trzecie – zmierza do tego, żeby przywrócić Rosyjskiej Federacji pozycję, jaką Rosja miała w okresie największego rozkwitu, przez co w praktyce rozumie się w Moskwie pierwsze 5-6 lat rządów Breżniewa. Dla osiągnięcia tych celów Putin zmienia swoje podejście, ale cele pozostają niezmiennie. Zauważę na marginesie, że czasy Breżniewa – wspomniane w Rosji z nostalgia – też nie były sielanką.

Pamiętam, jak wspólnie z ambasadorem Andrzejem Towpikiem (wówczas młodym pracownikiem naukowym PISM) i ogromną polską delegacją, której przewodniczył nowo mianowany przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju (OKP) – Józef Cyrankiewicz, byłem w Moskwie na Światowym Kongresie Budowniczych Pokoju. Był to listopad 1973 roku. Pewne wrażenie zrobiło na mnie to, że co 15 minut do mównicy podchodził defiladowym krokiem oficer w stroju kelnera, który stawał przed Breżniewem szklankę czegoś, co wyglądało jak herbata. Po chwili zabierał niedopitą szklankę i stawał nową. Wtedy zrozumiałem, że stan zdrowia szefa mocarstwa pozostawia zapewne wiele do życzenia i zmiany zbliżają się nieuchronnie.

Kongres otwarto w dniu, kiedy rozpoczął się drugi już, poważny konflikt zbrojny nad rzeką Ussuri pomiędzy ZSRR a Chinami. Rzeczą charakterystyczną było, że ani wtedy, ani dzisiaj wrogości między Rosją a Chinami światowe media nie nadawały i nie nadają specjalnego rozgłosu. Najwyraźniej przyjęto założenie, że to ich bilateralna sprawa i nikt na świecie nie zamierza się w to mieszać. Wtedy – bodaj po raz pierwszy – Breżniew wygłosił ostre antychińskie przemówienie.

Ten problem rzutuje również dziś na ostatni z celów Putina. Rosja bowiem w próbach przywrócenia swojej pozycji globalnej szuka roli języczka u wagi w rywalizacji między Stanami Zjednoczonymi a Chinami. Konflikt między tymi potęgami – choć nie zbrojny – określa rozwój sytuacji w skali globalnej. Rosja upatruje w tym wielką szansę. Z kolei Stany Zjednoczone pod rządami prezydenta Trumpa przechodzą do porządku dziennego nad negatywnymi aspektami rządów Putina. Gotowe są do uznania faktów dokonanych: aneksji Krymu czy rosyjskiej interwencji w regionie Donbasu. Amerykanie nie chcą zrazić sobie Rosji jako potencjalnego sojusznika w globalnej konfrontacji z Chinami.

Putin ze swej strony zmierza do poróżnienia Ameryki z Unią Europejską i do podkreślenia tendencji dezintegracyjnych w ramach całej transatlantycznej wspólnoty. Uparuje swoje szanse w słabościach Zachodu. Wspiera skrajne ruchy prawicowe i lewicowe – we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech i Niemczech. Zarządza złożoną maszyną wielonarodowej, wielowyznaniowej i bardzo zróżnicowanej Federacji. Trzeba pamiętać, że Rosja to jedna siódma obszaru lądowego całego globu! To 17 mln km kw. i to, co się dzieje w Chabarowsku czy Władywostoku, ma niewiele wspólnego z tym, co się dzieje w Moskwie czy Sankt-Petersburgu. Stąd także demonstrowanie przez Putina cech dobrze postrzeganych przez miliony prostych ludzi, np. fizycznej wydolności swego organizmu i wszechstronności – pokazuje, że umie jeździć konno, prowadzić czołgi i transportery opancerzone, kieruje łodzią podwodną, steruje lotnią, a przy tym prowadzi stado dzikich gęsi czy żurawi, które uznają go za swego przewodnika. Leciał tak blisko 300 km, żurawie za nim, a telewizja pokazywała to na żywo. To wszystko ma przekonać społeczeństwo, że przywódca jest energiczny, a nie zgrzybiały starzec. Uprawia różne popularne sporty, np. hokej, a jego najbardziej ulubionym są wschodnie sztuki walki, np. dżudo. W tej dziedzinie zdobył wszystkie stopnie wta-

jemniczenia, które – podejrzewam – i tak zostałyby mu przyznane, gdyby nawet nigdy nie wszedł na matę. On jednak chodzi na te ćwiczenia i wygrywa ze swym trenerem.

Putin jest zbyt inteligentny i doświadczony, by odważyć się, wbrew własnemu społeczeństwu, wyjść z ideą, która w Rosji nie jest popularna. W rosyjskich elitach, do których pasuje popularne u nas od niedawna słowo „kasta”, Putin z pewnością straciłby na popularności, gdyby podjął program prawdziwych reform. Wymagają one głębokiej decentralizacji, wzajemnego zaufania obywateli i władzy, a władzy przynajmniej do szefów wielkich przedsiębiorstw, do miejscowych samorządów, do ludzi...

Rządy w Rosji nigdy jednak nie opierały się na zaufaniu ani na decentralizacji. Od wieków była umacniana potężna władza centralna właśnie ze względu na obszar imperium, euroazjatycką mentalność i tradycję.

Spirałbym się z ambasadorem Cioskiem, że Polska nic dla Rosji nie znaczy. W polityce sąsiadujących państw o długiej historii relacje nie sprowadzają się do porównania krajowych produktów brutto. Tak nie jest. Rosja postrzega Polskę jako kraj nieporównanie ważniejszy niż jakikolwiek inny w naszym regionie i nie tylko. Gdyby w Rosji Polskę sprowadzano do relacji w kategoriach wymiaru produktu krajowego brutto, to przecież jest on 3,5 raza mniejszy niż w Rosji. Tylko 3,5 raza?! I oto uprzytomniłem sobie, że jeszcze niedawno, w 1989 roku Polska była ponad sześć razy słabsza od Rosji. A więc w ciągu tych 30 lat nasz rozwój był dwukrotnie szybszy niż rosyjski, mimo że nie mamy takich zasobów gazu i ropy, i całej tablicy Mendelejewa. Jednak Polsce przyglądano się w Rosji z wielką uwagą nie tylko z tego powodu.

Kilka lat temu Wydział „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego zaproponował mi, bym współprzewodniczył konferencji zorganizowanej wspólnie z uniwersytetami działającymi na Syberii (obrady toczyły się w Ułan-Ude, stolicy Buriat-Mongolii). Byłem wtedy współprzewodniczącym Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych. Zawsze fascynowała mnie Jakucja, a szansa, by mnie tam zestano do wyrębu drzew czy kopania złota, była coraz mniejsza, więc podjąłem nad Bajkałem decyzję, że wspólnie z sekretarzem grupy, panią Katarzyną Rawską-Górecką pojedziemy do Jakucka. Gospodarze zorganizowali mi tam kilka wykładów, spotkałem się z mnóstwem ludzi. Wybraliśmy się nad brzeg Leny, który ma w tym miejscu kilkaset metrów urwiska nad lustrem wody, a sama rzeka kilka kilometrów szerokości. Daje to wyobrażenie o skali; Rosja to całkowicie odmienna rzeczywistość również w sensie geograficznym. Byłem oczywiście w muzeum „wiecznej zmarzliny”, jakucy szamani okadzali mnie w Muzeum Etnograficznym ziołami – w trakcie tej operacji zasnąłem...

Opowiadam to, bo przez cały czas pobytu w Ułan-Ude i w Jakucku zadawano mi to samo pytanie: Jak to zrobiliście, że doszło u was pokojowo do fundamentalnej zmiany i macie tak szybki rozwój? Co my powinniśmy zrobić, żeby takie tempo rozwoju osiągnąć? Czułem się bardzo niezręcznie. Jestem ostatnią osobą, która mogłaby coś w tej sprawie doradzić. Skoro jednak nalegali powiedziałem, że gdy jechałem

z lotniska do Ułan-Ude, to widziałem całe osiedla domków z drewnianych bali, jak nasze góralskie, tylko prostsze. Gdybyście zaczęli produkować takie domki i zaoferowali je do sprzedaży w Polsce, to jestem przekonany, że cieszyłyby się u nas ogromnym popytem i za umiarkowane pieniądze stalibyście się właściwie monopolistą. Zamiast czekać na to, że z Moskwy ktoś wam przywiezie gotowe rozwiązanie, musicie myśleć kategoriami swoich interesów i wykazać się innowacyjnością. Przecież Rosja to jest wasze wspólne państwo.

– Tak – odpowiedzieli – ale Moskwa nam na to nie pozwoli!

A teraz trochę z innej beczki... Kiedy Jelcyn mianował Putina premierem, w Rosji było 89 jednostek administracyjnych różnego typu – republiki autonomiczne, kraje, obwody. Gdy Putin został prezydentem, zmniejszył ich liczbę do 81 i podzielił Rosję na siedem okręgów federalnych, którymi kierowali jego ludzie. Większość z nich miało doświadczenie głównie z działalności w KGB, byli to generałowie, niektórzy nawet ze stażem jeszcze z NKWD. Mianował też dwóch cywilów, jeden z nich – Leonid Draczewski był wcześniej ambasadorem w Warszawie. Tak więc pierwszą myślą Putina było to, że należy scentralizować zarządzanie i utrzymać kontrolę nad całym krajem przez ludzi dyspozycyjnych i nawykłych do dyscypliny, a nie do tego, by zajmować się polityką i zabiegać o popularność.

Był to okres, kiedy Putin chciał modernizować Rosję. Słowo to było przez kilka lat odmiennie przez niego i przez Miedwiediewa we wszystkich przypadkach, w każdym przemówieniu po kilka razy. Niestety, gdy Miedwiediew zaczął zyskiwać popularność na świecie, Putin jako premier doszedł do wniosku, że „modernizacja” w Rosji będzie wymagać decentralizacji i demokratyzacji. Modernizacja się nie powiodła, ale przecież mamy utarte szlaki i ludzie wiedzą, jak i co robić, i czego się trzymać, kiedy postawimy na rozwój kompleksu wojskowo-przemysłowego.

Nowo-starym pomysłem stała się militaryzacja. Putin doszedł do wniosku, że aby uczynić Rosję znowu wielką, trzeba przywrócić wielki kompleks wojskowo-przemysłowy. To się udało. W historycznie krótkim czasie Putin odniósł na tym polu niewątpliwy sukces. Rosja znowu stała się globalnym mocarstwem – nie tylko dogoniła, ale wyprzedziła Stany Zjednoczone w rozwoju broni jądrowo-rakietowych. W jakiejś mierze dotyczy to również ciężkiego transportu wojskowego. Rosyjska „armata”, czyli najnowszy czołg, choć ciągle niedoskonały, jest jednak produktem rosyjskiej myśli technicznej. Rosjanie zainwestowali też w „buriewiestnik” – międzykontynentalną raketę z silnikiem napędzanym paliwem jądrowym, czy też podwodną łódź, która jest zasilana małymi silnikami atomowymi i może schodzić w głąb oceanu na sześć tysięcy metrów.

W efekcie Putin mógł oświadczyć: teraz to nie my doganiamy Zachód, ale „oni usiłują nas dogonić”. Wcielił w życie swoją koncepcję, że „nasi przeciwnicy będą nas szanowali, jeśli będą się nas bali”. Jest to strategia bezpieczeństwa oparta na strachu i destabilizacji porządku międzynarodowego opartego na wynikach II wojny światowej i przyjętych później uzgodnieniach

w Helsinkach. Rosjanie odnieśli w militaryzacji bezsprzeczny sukces. Putin Rosję uporządkował. Jednak jest to porządek autorytarny, który wiąże się z powrotem do kolejn narzuconych narodom Rosji przez Stalina.

Zbrojenia są kosztowne. Amerykanie wydają na nie ponad 10 razy więcej niż Rosjanie. Ilustrują to wydatki: 61 mld dolarów w Rosji i ponad 700 mld dol. rocznie w USA. Różnica polega na tym, że w Ameryce inwestycje w kompleks wojskowo-przemysłowy po dwóch-trzech latach przynoszą ogromny zwrot w sferze cywilnej produkcji. Niemal wszystkie nowe technologie, z których korzystamy: telefony komórkowe z setkami i tysiącami funkcji, tylko częściowo przez nas wykorzystywanymi, GPS, wreszcie cały internet – to wkład głównie amerykańskiej produkcji pierwotnie przeznaczonej na cele wojskowe.

Pozwolę sobie przy tej okazji postawić pytanie: czy ktoś z Państwa może wymienić choćby jeden produkt rosyjski z ostatnich 80. lat, który służyłby zwykłym ludziom i byłby autentycznym wkładem rosyjskiej myśli technicznej? Zadałem to pytanie także rosyjskiej delegacji, która odwiedziła SIPRI, żeby dowiedzieć się, jak zutilizować ponad 100 tys. ton broni chemicznych wyprodukowanych w Rosji. Zniszczenie tej broni jest średnio sześć razy droższe niż jej wyprodukowanie, a niekiedy nawet 200 razy droższe! Rosja nie tylko podpisała stosowne porozumienia o eliminacji tych broni, ratyfikowała je, ale stoi wobec wyzwania natury technicznej – jak je zniszczyć?

Zapytałem więc: Podpisując te porozumienia przecież mieliście świadomość, że jakoś to zniszczyć trzeba? – Nasi wojskowi – odpowiedzieli – zaproponowali, żeby broń chemiczną zniszczyć podziemnym wybuchem jądrowym, za zgodą wszystkich państw, bo przecież broń jądrowa też wymaga zniszczenia.

– A czy wyobrażacie sobie, jakie będą skutki dla całego świata, a przede wszystkim dla Rosji? Przecież wszystkie wody podziemne, wszystkie rzeki Syberii – bo tam planowano wybuch – będą skażone na miliony lat!

– Wiemy o tym, dlatego pytamy was, czy ktoś ma lepsze rozwiązanie? – Odpowiedzi nie udało się znaleźć do dziś.

W Rosji jest nieprawdopodobnie wielki kapitał intelektualny. Są tam miliony ludzi zdolnych, prawdziwych talentów. Jednak myślenie przywódców sprowadza się głównie do tego, że Rosja musi być znów wielka i współrządzić światem. Nie za 20, 30 czy 50 lat! Ma to się stać już teraz. Argumenty, które słyszymy, są zadziwiające: bo dysponujemy przecież bronią, jakiej nie mają nawet Amerykanie. ani Chińczycy!

Rosyjska państwowa telewizja emituje programy, w jaki sposób NATO czyha na Rosję. Kłamstwo jest instrumentem codziennej propagandy. To kłamstwo o krótkich nogach. Wielu Rosjan wyjeżdża przecież za granicę i widzi, że rzeczywistość wygląda inaczej. Jednak tych „niewyjeżdżających” jest znacznie więcej, a stugębna propaganda wbija ludziom taki obraz do głowy i kłamstwo staje się czynnikiem sprawczym. Ogromną popularnością cieszą się teorie spiskowe. Myśl przewodnią propagandy: w świecie zachodnim dominuje rusofobia, a „my jesteśmy »oblężoną twierdzą«”.

Od setek lat włacza się jednak Rosjanom, innym narodom i narodowościom w tym ogromnym kraju, że „Ruś jest święta” i ma do spełnienia świątówą „misję”. Przez 70 lat była to „świątowa rewolucja proletariacka”. Dziś stawiamy czoła międzynarodowemu terroryzmowi i moralnemu upadkowi Zachodu – „jesteśmy otoczeni wyłącznie przez wrogów”.

Rosyjski minister nauki i szkolnictwa wyższego wydał niedawno niezwykle szczegółowe rozporządzenie, zawierające inwokację o wsparciu współpracy międzynarodowej. Jednak współpraca ta nie może przynosić uszczerbku dla narodowych interesów Rosji. W rozporządzeniu tym jest przepis, że pracownik naukowy, który chce się spotkać z uczonym zagranicznym, musi tydzień wcześniej napisać do szefa, a szef wyżej do ministerstwa skierować prośbę o zgodę. Rozmowa nie może się odbywać w cztery oczy, musi być przy tym obecny ktoś jeszcze z uniwersytetu lub Rosyjskiej Akademii Nauk czy zgoła z ministerstwa. W czasach stalinowskich kontakty takie były niezmiernie rzadkie i zapewne w praktyce wyglądało to podobnie, ale przypuszczam, że zarządzenia takiego nie było!

Oczywiście NKWD kontrolowało wówczas wszystkich i wszystko, lecz wydać takie rozporządzenie w 2019 roku to coś z kategorii schizofrenii i kabaretu. Pojawił się w jednym z czasopism artykuł krytyczny na ten temat, podkreślający że takie zarządzenie Rosję ośmiesza. Trudno jednak sobie wyobrazić, żeby zarządzenie ministra powstało bez namysłu. Musiały nad tym pracować kolektywy, na pewno każde słowo przedyskutowano. Chyba nic nie oddaje lepiej tej atmosfery i biurokratycznej „rosyjskiej mentalności” opartej na podejrzliwości i braku zaufania do uczonych jak ten dokument.

Oglądałem przed laty rosyjską telewizję – niedługo przed śmiercią poprzedniego patriarchy Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Aleksieja. Na końcu swego wywiadu patriarcha powiedział do dziennikarza: „Musi pan pamiętać, że my nie mamy przyjaciół – mamy wokół tylko wrogów!” Pomyślałem: jak tak może mówić osoba duchowna, patriarcha, który mógłby przynajmniej zauważyć przyjaciół wśród milionów prawosławnych poza Rosją?

W drugiej połowie XIX w. w carskiej Rosji uważano, że Rosja ma jednego autentycznego przyjaciela, którym jest Czarnogóra. Każdy, kto tam był wie, że rosyjski ambasador miał znacznie większy murowany pałac niż miejscowy władca i jego rząd. Dziś, mówią Rosjanie, nawet Czarnogóra jest naszym wrogiem, bo stała się członkiem NATO. Czy trzeba lepszego dowodu na to, że „podstępny Zachód” czyha na nas i naszych przyjaciół?

A swoją drogą: żaden z Rosjan – również wśród rosyjskich dysydentów i innych osób mających jakikolwiek związek ze sprawami zagranicznymi, w takiej teorii nie wierzy, jakkolwiek wielu ucieka się do tej frazeologii. Jest to swoisty rytuał. Były szef delegacji ZSRR na rokowania o kontroli zbrojeń i późniejszy ambasador w Szwecji, Oleg Griniewski opublikował przed śmiercią pamiętniki. Pisze tam, jak to na posiedzeniach Biura Politycznego KC KPZR podejmowano decyzję o tym, jakich sformułowań ma używać przewodniczący delegacji na sztokholmskiej konferencji

o środkach budowy zaufania wojskowego. Poważni ludzie, o wielkiej sile sprawczej obejmującej ogromne imperium, czelowali bez końca zwroty i formuły, które i tak nie miały w procesie rokowań najmniejszego znaczenia! Co więcej – po wyjściu Griniewskiego z sali posiedzeń Biura Politycznego, łąpał go za guzik znajomy generał – ówczesny szef Sztabu Generalnego – i tłumaczył mu, że Biuro dało się zwieść tym podstępny szakalom z NATO, które jest „bezwzględnym wrogiem i przygotowuje agresję przeciwko ZSRR i jego sojusznikom”!

Sam Griniewski napisał też coś takiego: Stalin obrał strategię, aby z Zachodem podzielić świat, gotów był nawet na zjednoczenie Niemiec pod warunkiem, że Niemcy będą neutralne i powstanie neutralny pas przez środek Europy – Niemcy, Szwajcaria Austria... Ale gdy się zorientował, że z chwilą powstania NATO jest to niemożliwe, a co więcej, do NATO dołączają Niemcy Zachodnie, to – jak pisze – podreptał chwilę przy tej linii, po czym zwrócił wzrok na Wschód, na Koreę i dał zgodę, by Kim Ir Sen zaatakował południe, co ten wykonał z przyjemnością i w ciągu kilku dni opanował prawie cały kraj. Gdyby Amerykanie nie wkroczyli, to Korei Południowej, nie byłoby i koreańskich samochodów też. A poziom życia i swobód mieszkańców tego kraju byłby taki, jakim szczyli się Korea Północna.

Mam przed sobą artykuł opublikowany w poważnym piśmie amerykańskim „American Interest”. Autorzy piszą, że ogólny produkt krajowy brutto Rosji wynosi wedle amerykańskich ocen 1 bilion 650 mld USD. PKB Unii Europejskiej, wedle tych samych autorów, to 18 bln 8 mld., a USA 20 bln. (szacunki te według Banku Światowego są nieco inne: dochód UE jest wyższy niż Stanów Zjednoczonych). Innymi słowy – Rosja jest prawie piętnastokrotnie uboższa, a mimo to jest taktowana jako globalne mocarstwo. Zachód się Rosji boi. W amerykańskich pismach poświęca się Rosji więcej miejsca niż wielu innym krajom łącznie. Granie strachem z jednej strony, a z drugiej rozbijanie jedności Zachodu – to główne instrumenty w rosyjskiej polityce zagranicznej!

Z tego źródła dowiemy się jeszcze, ile energii Rosjanie władowali w to, żeby Borys Johnson utrzymał wysoką popularność i doprowadził w istocie rzeczy do upadku autorytetu Wielkiej Brytanii, najstarszej demokracji świata. Na naszych oczach obserwujemy, że nie tylko te brytyjskie tradycje demokratyczne zostały ośmieszone, ale że zaczyna się proces rozpadu Wielkiej Brytanii. Szkocja i północna Irlandia, a po pewnym czasie zapewne też Walia nie pogodzą się z wyjściem z Unii. Moim zdaniem, po wyjściu Wielkiej Brytanii może nastąpić reakcja, której rezultatem będzie konsolidacja i wzmocnienie UE, a ci, co nie pójdą tą drogą, zostaną zmarginalizowani.

Tak więc ostatecznie Rosjanie wnoszą swój niezamierzony „wkład” we wzmocnienie Unii. Po pewnym czasie może się to okazać równie oczywiste jak to, że ingerowali w wybory w USA. Po jednym ze spotkań Trump–Putin dziennikarz zadał prezydentowi USA pytanie: czy zapytał pan Putina, czy Rosja będzie w dalszym ciągu ingerowała w wybory w USA? Trump odpowiedział: – Oczywiście, pytałem i ...obaj wybuchnęli śmiechem.

To wcale nie jest śmieszne. Rosjanie włożyli ogromne pieniądze w rozwój informatyki na potrzeby

polityczne. Jeżeli w naszych krajach informatyka służy potrzebom gospodarczym, komercji, to Rosjanie czynili z tego broń, bo taka broń nie napotyka na żadne granice, nie jest limitowana umowami międzynarodowymi, niewielu jeszcze zwraca na nią uwagę. Jeśli zatrudni się grupę ludzi mówiących dobrze po angielsku z amerykańskim akcentem, bardzo często zresztą Amerykanów, to może ona skutecznie ingerować nie tylko w amerykańskie wybory.

Dwa lata temu byłem na krótkim pobycie naukowym w Austrii – w tamtejszym Instytucie Wiedzy o Człowieku i przy okazji, jeszcze przed moim wykładem, poproszono mnie o wywiad dla „Neue Wiener Presse”, starej austriackiej gazety, która ma dziś nieco lewicujący charakter. Pytano mnie o Putina: – Czy sądzi pan, że Putin jest wielkim strategiem? Odpowiedziałem: – Nie, nie jest wielkim strategiem. Wcale nie jest strategiem, natomiast jest bardzo zdolnym taktikiem. To zresztą wybili w tytule...

Dwie godziny później na stronie internetowej gazety ukazało się 30 reakcji na mój tekst, w których wyraźnie widać, „jakim alfabetem” były pisane. Powtarzała się fraza: „Rotfeld mówi, że Putin nie jest strategiem tylko taktikiem – a ten Rotfeld to kim jest? Ani strategiem, ani taktikiem i w ogóle kim on jest?”. Nie omieszkałem wykorzystać tego odkrycia, kiedy przedstawiałem się słuchaczom przed wykładem, podkreślając, że „jestem nikim”, mam zatem pełną swobodę w mówieniu tego co myślę.

Przy okazji: spędziłem w Szwecji kilkanaście lat. Szwedzi często odwołują się do Jantelagen, czyli zasady (prawa) Jantego. Głosi ono, że nie powinieneś myśleć o sobie, że jesteś kimkolwiek, ponieważ jesteś kimś. Ktoś, kto jest kimś pretenduje do bycia nikim, ponieważ każdy może być nikim, a ten, kto jest nikim, w istocie chciałby być postrzegany jako ktoś w oczach każdego. Skomplikowane? Ale polecam tę regułę Jantego pod rozważę.

## ADAM DANIEL ROTFELD

### *Post scriptum:*

W czasie autoryzacji tego tekstu prezydent Putin wystąpił w roli historyka. Zaprezentował kilka razy śmiałą tezę, że „odpowiedzialność za wybuch II wojny światowej ponoszą solidarnie dwa kraje: Niemcy i Polska”. Zapowiedział, że pracuje nad artykułem zawierającym tezę, że ofiara hitlerowskiej agresji, która od pierwszego do ostatniego dnia wojny jako pierwsza stawiła zbrojny opór napaści III Rzeszy i to na wszystkich frontach: na Wschodzie i Zachodzie, na Północy i Południu, a jej formacje wojskowe uczestniczyły w pokonaniu agresora – była sojusznikiem Hitlera i działała z nim w zмовie. Jest to echo rozumowania Wielkiego Językoznawcy Józefa Stalina zaprezentowane członkom Biura Politycznego CK WKP(b) w liście z 19 lipca 1934 roku w sprawie artykułu Fryderyka Engelsa pt. *Polityka zagraniczna rosyjskiego caratu* oraz tegoż autora broszury opublikowanej 15 lat później pt. *Falsze-rze historii* (1948).

Mój komentarz sprowadza się do skrótu CDN, czyli ciąg dalszy nastąpi... (ADR)

STANISŁAW CIOSEK

# DOKĄD ZMIERZA ROSJA?

Najpierw z pozoru banał. Nie tylko dla Polski, ale i dla całego regionu Europy Środkowej rozstrzygnięcie dylematu rosyjskiego ma znaczenie fundamentalne. Powtarzam to bezskutecznie od lat. W polskim urzędowym myśleniu politycznym Rosja jest postrzegana jedynie jako zagrożenie, z którym sami sobie nie poradzimy, szukamy więc ratunku głównie za oceanem. Wypychamy się tym sami poza europejską debatę o politycznej przyszłości naszego kontynentu, jesteśmy przez to izolowani jako kraj peryferyjny, niezbyt pasujący do starej Europy, żywiący się jedynie antyrosyjskimi fobiami. Prowadzimy politykę obłądną.

Tak jakbyśmy zapomnieli o wnioskach z naszej historii. Jakby Polska nie tkwiła już między dwoma kamieniami młyńskimi: Rosją i Niemcami. A trwa nadal przecież, mimo gigantycznych geopolitycznych przekształceń. Sposobem na nasze przetrwanie jest budowanie i utrzymywanie dobrych, przyjaznych stosunków z sąsiadami, jacy by oni nie byli! Myślą przewodnią polityki kraju o takim jak my położeniu, rozmiarze i potencjale powinno być krzewienie współpracy, dobrosąsiedztwa, pokojowego współistnienia i przyjaźni, a nie generowanie nieufności, podejrzliwości, kłótni czy wręcz wrogości. Szczęśliwym trafem losu, czego do tej pory w historii naszego kontynentu nie było, jest to, że wraz z jednym owych kamieni, z Niemcami znaleźliśmy się w jednej rodzinie. Z drugim, z Rosją też powinniśmy poszukiwać sposobów na dobre, przyjazne relacje. Rzecz jasna, to karkołomne zadanie wobec napaści rosyjskiej na Ukrainę, na co przecież nie można zamknąć oczu.

Za czasów prezydenta Kwaśniewskiego, a i trochę później Polska potrafiła budować przyjazne stosunki ze wszystkimi sąsiadami wokół. Teraz, ze względu na wspomnianą napaść, będzie to zadanie trudniejsze, ale polska polityka wschodnia nie powinna się sprowadzać do trwożliwego wskazywania Zachodowi i Amerykanom palcem na Rosję – patrzcie, jaki ten niedźwiedź straszny, jakie ma pazury i zębiska, pomagajcie nam w obronie przed jego agresywnymi zamiarami! Narażamy się na śmieszność pewnie, a już z całkowitą pewnością na bezskuteczność naszej polityki. Zachód przecież poszukuje sposobów na poukładanie sobie stosunków z Rosją ze względu na geopolityczne zagrożenia, a jest ich niemało. Myślę, że byłibyśmy świadkami daleko lepszych relacji rosyjsko-euroatlantyckich, gdyby nie owa agresja wobec Ukrainy. Widać coraz wyraźniej, że był to strategiczny błąd rosyjskiej polityki, przynosi Rosjanom dużo szkód materialnych i wizerunkowych. Ale poszukiwania wyjścia ze złożonej

sytuacji trwają po obu stronach. My, jak wspomniałem, sami wypchnęliśmy się poza margines tych poszukiwań, znaleźliśmy się poza wielką polityką, w najlepszym przypadku na jej peryferiach. Nie ma nas również w sprawie naszego sąsiada, Ukrainy.

Prawdziwą katastrofą dla polskiej polityki wobec Rosji była, nomen omen, katastrofa polskiego samolotu pod Smoleńskiem, w której zginął Prezydent RP i towarzyszące mu osoby. Gdyby to była właśnie katastrofa, to oczywiście ogromne nieszczęście, ale to był mord zaplanowany i dokonany przez Rosjan – tak przecież, bezpodstawnie, głosiły polskie władze. Tym napędzano polską politykę wobec sąsiada. W wyniku rozpętanej historycznej kampanii stosunki wzajemne sięgnęły dna, a wciąż co rusz coś stuka od dołu i końca nie widać. Przez ciąg licznych negatywnych zdarzeń doszło ostatecznie do oczywiście kłamliwych oskarżeń Polski o przyczynienie się do rozpętania II wojny światowej. Ciekawe co tu może jeszcze się zdarzyć. Stosunki wzajemne stały się irracjonalne i neurasteniczne.

A prezydent Rosji chyba nie budzi się codziennie z myślą „jak dokuczyć Polsce?”, ma do zmartwień inne poważne, tematy. Trzeba przerwać ten idiotyczny (bardziej dyplomatycznego słowa tu nie widzę) łańcuch zdarzeń. Dopiero co była dla nas dobra do tego okazja zaproszenia rosyjskiego prezydenta na okrągłą rocznicę wyzwolenia obozu śmierci Auschwitz-Birkenau, to przecież radzieckie wojska wyzwalały ten obóz. Nie! Naszego zaproszenia nie otrzymał. Dlaczego? Po co? Odkuli się Rosjanie w Jerozolimie organizując tam konkurencyjne obchody. I łańcuszek głupoty trwa! Ciśnie się na usta staropolskie: Kończ waść, wstydu oszczędź!

Z siedmioletniego pobytu w Rosji i ogromnie licznych kontaktów prywatnych wyciągam wnioski, że jeżeli Rosja jest dla Polaków sprawą fundamentalną, to dla Rosjan nasze relacje są zagadnieniem znacznie mniejszej rangi, jeżeli nie marginalnym. Bez Polski Rosja nie tylko „może istnieć”, ale i „docierać do świata”! Łatwo to sprawdzić, patrząc jak sobie Rosja układa relacje z Europą Zachodnią. Jeszcze za czasów mojego ambasadorowania Rosja budowała „infostradę” z krajami Unii Europejskiej omijając nas przez Skandynawię. Gaz i ropa płyną teraz morzem, linie elektryczne też pójdą poza nami. Pamiętam wizytę ministra Czubajsa u prezydenta Kwaśniewskiego. Padła propozycja zbudowania przez Polskę mostu energetycznego dla Europy Zachodniej. Różnica ceny wynosiła wtedy 30 procent, więc Kwaśniewski przytomnie spytał: Ile z tego dostanie Polska? – Damy wam, za prawo zbudowania sieci przesyłu, około 10 procent – odpowiedział Czu-

bajs. Inna sprawa, że rzecz rozbiła się nie tylko o niechęć polskiego rządu (AWS), ale również o stanowisko zachodnich koncernów energetycznych, które twardo broniły swoich interesów.

Ale przecież do dziś mamy w Polsce kolej szero-kotorową, możemy być gigantycznym terminalem przeładunkowym dla wielkich potoków towarów do Europy z Chin i innych regionów Azji. Mogą one jednak docie-rać tam przez terytorium naszych południowych są-siadów, do Wiednia. Powinniśmy być mostem między Wschodem i Zachodem, a staliśmy się wyspą, którą Rosja może omijać jak zadżumioną, bo to już nie są czasy, gdy potrzebna była wymiana koni na stacjach popasowych w drodze z Paryża do Petersburga.

I co najważniejsze – Rosjanie wcale nie chcą na nas napadać, co wynika z realnej oceny rzeczywistości. Władze Rosji nie potrafią zagospodarować nawet własnego terytorium i do niczego im nie jesteśmy potrzebni. Powiększenie terytorium to tylko powiększenie skali problemów.

Także w sferze mentalnej nasze myślenie rozcho-dzi się diametralnie. Rosjanie nie są w stanie zroz-u-mieć, w jakiej to sprawie miałyby między nami dochodzić do „pojednania”, za co powinni specjalnie Polaków „przepraszać”. Jako odpowiedź na Katyń wymyślili so-bie los jeńców wziętych do niewoli w wojnie 1920 roku, a ponadto podkreślają, że wywózki, „akcja polska” lat 30., czy Katyń to w istocie kropla w morzu wobec tego, co sami od Stalina wycierpieli. My tego nie przyjmujemy do wiadomości.

Każdy uprawia swoją politykę historyczną. Wraz z nowym rządem zmarł kilka lat temu zespół do spraw trudnych, wynikiem którego było fundamentalne dzieło *Białe Plamy i Czarne Plamy*. Z kłótni politycznych o in-terpretację zdarzeń historycznych udało się przejść do rzeczowej, naukowej debaty wybitnych historyków obu stron. Efektem było owo dzieło – księga pod redakcją profesorów Rotfelda i Torkunowa. Polskie nowe wła-dze uznały widać, że to instytucja zbędna. Teraz, po latach, gdy my chcemy jednak do tego wrócić, bo wojna o historię zaczyna być dla nas kłopotliwa, Rosjanie, jak słyszałem, pokazują nam gest Kozakiewicza. Czapla i żuraw – jak w znanej bajce. Zlikwidowano zresztą praktycznie wszystkie platformy dialogu pozarządowe-go. Uśmiercono działanie forum dialogu obywatelskie-go, urażając wybitnego reżysera K. Zanussiego, który kompetentnie i wielkodusznie przewodniczył polskiej stronie.

Nieco osobistej refleksji. W czasie wielkich prze-mian w Polsce świadomie postawiłem na porozumie-nie, niejako na „innego konia” i nie chciałem, żeby i ten się ochwacił. Najlepiej życzę polskiemu rządowi, nawet temu obecnemu, pod warunkiem, że prowadzi mądrą, służącą krajowi politykę. Moja główna teza w sprawach rosyjskich, jest taka: im bardziej będziemy wtopieni w cywilizację zachodnią, co nam się szczę-śliwie już w znacznej mierze udało i udaje, tym cieplej i przyjaźniej powinniśmy budować relacje z Rosją. Na razie jednak dzieje się odwrotnie... Byłem świadkiem, jak w latach 90. Rosja naprawdę chciała stać się „Za-chodem”. Gajdar i Jelcyn naprawdę w tym kierunku zmierzali. Można to porównać z myśleniem Piotra I, który też był zapatrzony w Zachód i stamtąd ciągnął do Rosji nowe obyczaje, również technologie i specja-

listów. Gdyby Zachód wykazał dość wyobraźni, to by z tego „zapatrzania” skorzystał. Niestety, nie doszło do tego, a koszt byłby pewnie mniejszy niż ratowanie Grecji! Istniała obawa, że po takiej operacji ponownie doszłyby w Rosji do głosu agresywne siły imperialne? Takiej gwarancji nie było, ale nawet nie podjęto żadnej próby, żeby się o tym przekonać.

Powiem podręcznikowo – demokracja gwarantuje przejrzystość. Toteż gdyby udało się tam stworzyć sieć rzeczywiście demokratycznych instytucji, to nie trze-ba by się bać. Dziś ściany Kremla znowu są nieprze-niknione i my tu wszyscy gdybamy, mówiąc o Putinie. Rozmawiałem na ten temat w Moskwie z Jeffreyem Sachsem, który również u nas wdrażał „neoliberalizm”, na czym ostatecznie nie wyszliśmy jednak najgorzej. W Rosji było inaczej. Zachód proponował Rosji wędkę, by sami sobie ryb nałapali, ale tam tych ryb zwyczajnie nie było! Wielu Rosjan autentycznie umierało z głodu. Tam nie było niczego! Państwo nawet przez pół roku nie było w stanie płacić pensji, nie mówiąc o emeryturach. Rosja tkwiła w rozpadzie i do dziś na słowa „reforma” i „demokracja” u wielu z nich nóż w kieszeni się otwiera.

Wyobraźmy sobie przez chwilę, co by mogło być, gdyby Zachód pomógł Gajdarowi dokończyć reformy? Byłby to dziś zupełnie inny kraj! Dobrobyt, powodzenie, rozwój z własnych, a w przypadku Rosji ogromnych tak materialnych, jak i intelektualnych zasobów, sprzyjają otwartości i przyjaznym stosunkom ze światem. Jestem zwolennikiem myślenia, że należy „uprzyjaźnić” Rosję, a nie zwalczać. Wiem, że Rosjanie szanują tylko sil-nych, dlatego jestem zwolennikiem silnej armii i tego, żebyśmy byli niezależni energetycznie, bo wtedy i od Rosji będzie można gaz kupować taniej. Ale dlaczego zakładamy, że to przeciw Rosji? Znamy przecież nasze fobie i z wyraźną lubością nas drażnią i straszą. Czy nie lepszą jest filozofia zaprezentowana swego cza-su przez ówczesnego ministra obrony R. Sikorskiego w *Kropce nad „i”* w odpowiedzi na pytanie, po co nam silna armia: – Pani redaktor (do M. Olejnik), czy zamyka pani drzwi na klucz wychodząc z mieszkania? Po oczy-wistym „tak”, dodał: – Przecież nie zamyka Ppani tych drzwi przeciwko konkretnemu złodziejowi!

Wtedy była szansa, powtarzam, ale Zachodowi za-brakło wyobraźni. W USA cieszą się, że konkurent padł i pozwolono reformom upaść. Ich nieśmiałe próby wdrażania kończyły się niepowodzeniem, bo sama su-gestia, że państwo może uchylać się od odpowiedzial-ności, wywoływała bunt.

Putin był wynikiem zapotrzebowania. Reformy zo-stały przerwane w połowie, na etapie oligarchizacji, gdy banda przestępców zrobiła „wielki skok” na bogactwo Rosji. Zastugą Putina było to, że potrafił oligarchów złapać za przysłowiową mordę rosyjskim jednak spo-sobem – jednego posadził, drugiego zlikwidowano, trzeciego inaczej uciszył. Uporządkował sytuację, pod-porządkował ich sobie i przy ich pomocy sprawuje dziś władzę. To było bulwersujące – sam to oglądałem! Taki Bieriezowski wchodził na Kreml do gabinetu prezyden-ta niemal kopnięciem nogą w drzwi. Zastugą niewątpli-wą Putina było, że to ukrócił.

Uważam, że Putin ciągle ma szansę, ale musiałby przejść samego siebie i uruchomić gigantyczne rezerwy tkwiące w tym jakże utalentowanym, narodzie. Rosja ma znakomitą inteligencję, kadrę twórczą, kreatywną

– taką, która pokazała, że może przetrwać najgorsze... Jednak Putin nie umie wykorzystać tego potencjału. Zachodnia cywilizacja odkryła na to sposoby kilkaset lat temu i dała wolność, a w warunkach wolności nastąpiła eksplozja kreatywności, przedsiębiorczości, zaradności... Na Wschodzie do tego nie doszło. Nawet Katarzyna Wielka, chociaż Niemka z pochodzenia, mówiła, że demokracją nie można sprawnie zarządzać takim potężnym terytorium. I tak właściwie pozostaje po dziś dzień.

Słowem – Rosja zatrzymała się w pół drogi. Z zachodniego wzorca wzięła fasady – parlamenty, sądy, i całą demokratyczną z pozoru strukturę, która jest jednak pusta. Nieco inaczej jest z częścią mediów (tych papierowych). Efekt jest taki, że Rosjanie nie potrafią nikomu zaimponować cywilizacyjnie. My jednak na Zachodzie też wypadliśmy nienajlepiej, bo pozwoliliśmy, by jeden procent (ujmując to symbolicznie) ludności władał 90 procentami bogactwa planety. Też więc zesłaliśmy na manowce.

Oczywiście Rosję trzeba by przebudować. Mówi o tym bardzo wiarygodny instytut badawczy Lewada. Jedno z ich opracowań utkwilo mi szczególnie w pamięci: 86 proc. Rosjan pytanych, czy odważyliby się zdecydować na podjęcie własnej przedsiębiorczości, odpowiada: – Nie! Bałbym się, że w pewnej chwili przyjedzie „czynownik”, odbierze, jeszcze do więzienia wsadzi! Nie zaryzykuję własnych pieniędzy, nie wezmę kredytu w banku, nie pożyczę od ciotki i nie ruszę do przodu – jak to się stało u nas.

Historyczne doświadczenia uczą, że w Rosji modernizacja udaje się, jeśli idzie od góry, a na samej górze jest Putin. Gdyby on się odważył podjąć przebudowę państwa, to żeby tych 86 proc. przestało się bać, trzeba by do gruntu przebudować system prawny. I prawną świadomość, co jest jeszcze trudniejsze, żeby ludzie przestali się bać państwa, a w szczególności jego aparatu.

Resztki mojej nadziei tkwią w tym, że Putin nie skrócił o głowę wszystkich inaczej myślących. Tam ciągle są całe państwowe instytucje, które myślą, kombinują... I nie chodzi tylko o to, żeby gospodarka rozwijała się w tempie szybszym niż te dwa, trzy procent, jak obecnie obserwujemy, co daje w sumie efekt cofania się. Rosja potrzebuje, aby utrzymać obecny stan, 4-5 proc., a najlepiej, popuszczając wodze fantazji, jak Chiny – osiągnąć 7 -10 proc. Przy tym Rosjanie boją się najbardziej, że Ukrainie może się udać, a to przecież bracia młodszy, w dodatku jakby gorsi – „Chochły”...

Mógłby Putin uzyskać tytuł „Wielkiego”, „Odnowiciela”, ale boję się, że nic z tego nie wyniknie, bo ciągle obserwuję obojętność Zachodu wobec zachodzących tam procesów.

Nie jestem znawcą Chin, ale byłem autentycznie wystraszony, gdy przeczytałem program Xi Jinpinga, zakładający chińską dominację w świecie. Do niedawna Deng Xiaoping tłumaczył, że trzeba robić swoje, nie straszyć... Ten mówi otwarcie: złapiemy świat za przysłówiowy pysk. No, w tej sytuacji wolę już dominację rosyjską, na co szczęśliwie się nie zanosi, albo amerykańską, co bardziej realne. Ale najlepiej, naiwnie, żadną.

Nasza polska polityka powinna zachęcać Rosję do zmian, a my, zamiast dawać przykład i tym przykładem

zachęcać, bo jak dotąd Polsce się udaje, zamykamy granicę z Kaliningradem, a co gorsza, przejmujemy pewne „wschodnie” obyczaje w sposobie rządzenia. To „rosyjskie podejście” objawia się i w Europie, w krajach takich jak Węgry czy pewne siły we Włoszech lub w Niemczech, odrzucające tzw. „liberalną demokrację”. Można by poszerzać tę listę. Nieprzypadkowo wzorec Putina uzyskuje wzięcie u skrajnej prawicy na Zachodzie.

Zdawałoby się, że Putina powinna popierać komunistyczna resztką europejskiej lewicy, dogmatyczna, sekciarska, tymczasem popierają go ekstremiści i konserwatyści. Trzeba przykładów? Hasła *America be great again*, kaczyńskie *wstawanie z kolan*, brytyjski *brexit*, który też ma w sobie nadzieję, że *Britannia be great again*, to zjawiska, nacjonalizmy rozlewające się już od jakiegoś czasu choćby w Iranie, Turcji, nieustannie obecne w napięciach między Indiami a Pakistanem, to chyba odpowiedź lokalnych elit na proces globalizacji, czy u nas „europeizacji”.

A dlaczego Rosja tak mocno eksponuje motyw zagrożenia przez Zachód? Przecież nigdy jeszcze w historii nie miała tak bezpiecznych granic na zachodzie jak ma dziś? Eksponowanie zagrożenia Zachodem to wielki fałsz wykorzystywany jedynie dla polityki wewnętrznej. Po to, żeby utrzymać imperium w ryzach, trzeba pokazać wroga, najlepiej zewnętrznego, który chce napaść, zniewolić i tak dalej...

Zadałem kiedyś Gorbaczowowi pytanie, nie był już prezydentem, dlaczego nie przyjęli modelu chińskiego? – Też rozważaliśmy taki wariant – powiada, ale po to, żeby chiński model u nas zastosować, trzeba by zamiast Rosjan mieć Chińczyków!

Europejską cywilizację możemy obronić tylko w sojuszu amerykańsko-rosyjsko-europejskim i myślę, że wielu europejskich przywódców to rozumie. Myślę też, że rozumie to ten ekstrawagancki Trump i stąd jego twardo-miękka postawa wobec Putina, i umiarkowane i wyrozumiałe reakcje drugiej strony... Ja uważam, że do tego porozumienia wcześniej czy później dojdzie z tysiąca i jednej przyczyny, a my z naszą krótkowzroczną polityką zostaniemy zmarginalizowani jeszcze wyraźniej niż się to dzieje dziś.

Prędzej też czy później pokonamy kryzys w UE choćby pod wpływem zagrożenia wewnętrznego, jakie narasta. Wydaje mi się, że będzie też problem z tymi, którzy są nieobecni wśród jednego procenta władców gospodarki światowej. Nie wierzę w nową rewolucję światową, ale opór będzie narastać, przybierając różną postać. Coraz wyraźniej będzie więc potrzebna zarysowanie choćby kierunku, w jakim będziemy poszukiwać wyjścia z tej niesprawiedliwej sytuacji.

Polski w tych debatach i poszukiwaniach nie ma! Również w debacie wewnętrznej jesteśmy zaściankowi. Wstyd przyznać, ale gdy chcę głębiej dowiedzieć się o problemach świata, przełączam się na BBC, CNN lub któryś z licznych rosyjskich kanałów (bezpłatny streaming!) dostępnych w sieci i tv kablowej. U nas tylko PO/PiS oraz PiS/PO – spoza optyków widać tyle, co kot napłakał.

JACEK WOJCIECHOWSKI

# DWADZIEŚCIA LAT Z PUTINEM

W 1998 roku były pułkownik KGB i przez kilka lat wicemer Petersburga, **Władimir Władimirowicz Putin**, protegowany potężnego wówczas petersburskiego mera Anatolija Sobczaka (któremu odwdzieczył się potem), został szefem FSB, czyli całej rosyjskiej służby bezpieczeństwa. Rok później prezydent Borys Jelcyn powołał go na premiera, a w 2000 roku uczynił swoim prezydenckim następcą. I tę funkcję Putin pełni nadal, z jedną *konstytucyjną* przerwą na premierowanie w latach 2008-2012, kiedy to z powodu prawnego ograniczenia liczby dopuszczalnych, następujących po sobie kadencji, prezydentem był Dmitrij Miedwiediew (też z Petersburga) – późniejszy oraz aktualny premier.

Pierwsze premierostwo i pierwsza prezydentura Putina przypadły na czas dramatyczny. Rządy liberałów, a zwłaszcza tak nazwany *bandycki kapitalizm*, wdrażany wstrząsowo przez ministra i poprzedniego premiera Jegora Gajdara, doprowadziły kraj do egzystencjalnej rujnacji. Choć sklepowe półki nagle stały się pełne, to jednak ludzie nie mieli jak ani za co żyć.

Po nieudolnym prezydencie M. Gorbaczowie przyszedł czas wiecznie pijanego B. Jelcyna, który zupełnie nie radził sobie z rządzącą ekipą liberałów, a tym bardziej z wolonorynkowymi pomysłami J. Gajdara. Równocześnie nastąpiło apogeum rozkradania krajowego majątku i powstała – z **niczego** – elitarna grupa nowobogackich oligarchów.

Putin odstąpił od praktyk wolnorynkowych – za co Gajdar długo potem obrzucał go inwektywami – wprowadził podatek liniowy i znacząco zredukował zadłużenie państwa. Odtąd życie codzienne w Rosji stało się znośniejsze, tym bardziej że i ogólna światowa koniunktura gospodarcza nieoczekiwanie okazała się przychylna. Był więc odtąd Putin autentycznie i rozlegle tam akceptowany. Przynajmniej dopóki te rozwiązania przynosiły pożytek.

Później, kiedy w reakcji na rosyjskie poczynania siłowe oraz mocarstwowe zagrożenia nastąpiły różne międzynarodowe sankcje i ograniczenia, w tym embargo na liczne transakcje handlowe – zresztą nawet w sporcie: restrykcje za masowy a beczelny doping farmakologiczny – popularność Putina prawdopodobnie zaczęła maleć. Jakkolwiek świadectw **twardych** zawsze brakowało. Dopiero niedawne, a rzeczywiście masowe, antyrządowe demonstracje w największych miastach zasygnalizowały, że **coś** jest inaczej. Albo – było, bo już ucichły.

Krążą opinie, że przesłanką postulowanych zmian są ewentualne ciągoty ku demokracji, którą podpatrzyli co młodsi Rosjanie jeżdżąc teraz częściej za granicę. Jakkolwiek żadnej pewności nie ma. Natomiast z tego punktu widzenia, likwidacja ułatwień na przejściach granicznych między obwodem kalingradzkim a województwem warmińsko-mazurskim, to błąd nasz poważny a bezsensowny.

A już inna sprawa, że demokracja w Rosji generalnie ma tradycje bliskie zeru, zaś doświadczenia z nią były tam wyłącznie koszmarnie. Niedawne rządy liberałów, bezpodstawnie kojarzone z demokracją, przyparowały Rosjan o torsje. Poprzednia próba demokracji w 1917 roku doprowadziła kraj do leninizacji i stalinizacji. A jeszcze wcześniej caryca Katarzyna, po wstępnym sondażu demokratycznym (przyjechała wszak z Zachodu), dała sobie spokój i w rezultacie nazwano ją Wielką. Być może więc Rosji trzeba przepisać inną receptę.

Dość długo wydawało się, że lekarstwami są wielkomocarstwowość oraz zamordyzm, zaordynowane w pierwszej wersji przez Iwana Groźnego, a perfekcyjnie wdrożone przez Piotra I. Współczesny zarządca kraju podjął się więc częściowej kontynuacji, znajdując rozległą akceptację na miejscu oraz na bliskogranicznych obrzeżach, przy marnej zaś przeciwwadze zagranicznej. Ale przedsięwzięcia i ewentualne sukcesy okazały się jednak połowiczne, z czasem więc nawet na użytek wewnętrzny mogły już nie wystarczać. Sama wyprzedaż surowców nie stanowiła zapewne oraz nie stanowi antidotum odpowiednio skutecznego. No i to wszystko zbiegło się w czasie z nasileniem protestacyjnych demonstracji wielkomiejskich: w kronikarskich relacjach telewizyjnych widać było, że w tych marszach zdecydowanie przeważały młode twarze. Wydaje się więc, że istotnie sytuacja gospodarczo-ekonomiczna zapoczątkowała tam rozbrat z zadowoleniem.

Pojawiają się jednak pytania, mniej lub bardziej dociekliwe, jak to jest naprawdę. Oraz – co dalej. Putin prezentuje się dobrze, w końcu dopiero dobiega siedemdziesiątki, ale już na radykalne a długotrwałe przedsięwzięcia nie ma zbyt wiele czasu. Z kolei zaś utrzymanie *status quo* wydaje się coraz trudniejsze. A poza tym nie widać potencjalnego a sprawnego sukcesora.

Dmitrij Miedwiediew i Siergiej Szojgu, nie dość że niewiele młodsi, to po prostu ewentualni kontynuato-



rzy. Czy ktoś tego naprawdę chce, poza klasą urzędniczą? Były premier, wciąż liczący się Siergiej Kirijenko sygnalizuje nieco inną linię polityczną, lecz ma swoje lata oraz egzystuje w cieniu. Pozostaje więc najmłodszy z wymienianych kandydatów na ewentualnego następcę, Aleksiej Diumin. Ale Putin jest akurat teraz w świetnej politycznej formie. Czemu miałby spasować?

Owszem: opinie światowe nie są Putinowi przychylnie. Lecz często mijają się z prawdą, bo to na pewno nie jest polityk przeciętny, toteż przyprowadzenie mu prymitywnej otoczki wygląda na fundamentalny błąd. Wielokrotnie potwierdzał swoją polityczną skuteczność, choćby ostatnio w Syrii, jakkolwiek niekoniecznie zgodną z oczekiwaniami zagranicy. Jednak to jest prezydent Rosji, toteż ma troszczyć się głównie o nią, a nie o cały świat. Lecz nawet w tej perspektywie nikt nie powiedział, że jego ewentualny następcą będzie w kategoriach globalnych bardzo dla innych *strawny*. Na razie nie wskazuje na to nic.

Do tego trzeba dodać uwagę, że rozgryźć Putina jest trudniej niż trudno. Kiedy pokazuje się publicznie, mówi, pływa, prowadzi kombajn, pozuje na krzepkiego osiłka. Nad Wołgą takich twardzieli ceni się szczególnie.

Maszerując po czerwonym dywanie przez kremłowskie korytarze – a telewizyjna kamera podąża tuż przed nim – daje **swaim** znać, że oto idzie następcą i kontynuator carskich poprzedników. Teraz oni tam też to lubią.

Natomiast gdyby chciało się wiedzieć, ku czemu tak **naprawdę** Putin zmierza – oprócz uczestnictwa w zarządzaniu światem – to takiego klarownego objaśnienia nie widać. Sam mówi o tym niewiele, a nieprawda, że wszystkie dialogi piszą mu doradcy; to jest wysoce inteligentny gość. Poza tym, jak zawsze władcy i współwładcy Rosji, prawdy nie ceni przesadnie. Trzeba więc zgadywać.

Według tego co o nim mówią oraz piszą inni. Ale z tym też bywa rozmaicie. Zależy kto wypowiada się, gdzie, oraz w którym momencie.

Ostatnie kłamstwa na temat rzekomej kolaboracji polskich przedwojennych władz z Hitlerem, które ktoś mu podpowiedział (wszak czytał z kartki), nie wiadomo czemu mają służyć. Więc też trzeba zgadywać. Jeżeli warto. Bo różnych efemerycznych wypowiedzi rosyjskich, z czasem *zapominanych*, bywało już mnóstwo. W wykonaniu Putina też.

#### AKCEPTACJA WSTRZEMIĘŻLIWA

Nikołaj Zeńkowicz, *Kak Putin Jelcinskuju zagogulinu wypramliat*. Moskwa, Jauza-Press, 2017, s.576, ISBN 978-5-9955-0925-7.

W rejestrze opinii zagranicznych funkcjonuje pełne ujęcie – kąś 360° stopni – do wyboru, do koloru, z marnym przeważnie uzasadnieniem. Nie zawsze warto to uwagi. O wiele ważniejsze są więc referencje krajowe, no bo wypowiadający się przynajmniej na własnej skórze doświadczają *Putiniady*.

Ale i tam opiniodawczej wiarygodności ani dobrego udokumentowania i uzasadnienia w nadmiarze nie ma. Wskutek zakazów, represji, z obaw, z wyrachowania? Różnie.

Przeważa wykładnia lizusowska, na którą szkoda czasu. Są też głosy przeciwstawne oraz nawet inwektywy, lecz niekoniecznie racjonalne bądź poparte argumentami. A niekiedy odnoszę wrażenie, że publikacje niby to opozycyjne są w istocie lipnym kamuflażem. Atakują Putina celowo tak idiotycznie, żeby negacja była w rzeczywistości aprobatą. Tym trudniej dociec z tego, jaka jest prawda.

Wśród rosyjskich autorów, umiarkowanie Putinowi życzliwych, wyróżnia się znany dziennikarz **Nikołaj Zeńkowicz**, zwłaszcza w interesującej książce (jak wyżej), mimo że najwięcej pisze w niej o sobie. Aprobatę uzasadnia generalnie w tytule, tak jak prawie wszyscy tam, akceptując normalizację egzystencji po Jelcynowskim bałaganiarstwie i dramatycznych skutkach wolnorynkowych reform J. Gajdara.

Autor uważa, że Putin jest (był?) w zasadzie prawdomówny i potrafi – wciąż jeszcze – wzbudzać nadzieje, chociaż już nie w takim stopniu, jak dawniej. Natomiast trudno wyczuć, w jakiej mierze przedstawia kraj na drogi rozwojowe, a jak dalece nawraca ku przeszłości. Bo jednak częściowe nawroty są oczywiste, także symboliczne – choćby przywrócenie radzieckiego hymnu. Ale to nie bierze się z niczego. Według ewentualnie wiarygodnych sondaży, 79 proc. Rosjan tęskni za ZSRR.

Zeńkowicz odnosi się też (ale pośrednio) do rozpaśanej korupcji, której Putin przecież nie ukrócił, mimo że kilka pokazowych procesów było. Wojnę wypowiedziano tylko niektórym oligarchom, a przecież wszyscy sprzeniewierzyli środki publiczne. Jednak są wśród nich i tacy, którzy Putina poparli, no i tych nikt nie tępi. Autor sygnalizuje wartość zagrabień w miliardach dolarów. Michaił Chodorkowski 2,4, Władimir Potanin 1,8, Władimir Bogdanow 1,6, Roman Abramowicz 1,4, Wagit Alekpierow 1,3, Michaił Friedman 1,3, Wiktor Czernomyrdin 1,1. W sumie to podobno równowartość półrocznego budżetu całej Rosji.

Z kolei zrozumiała wydaje się autorska aprobatą dla zakończenia krwawej wojny w Czeczenii, nawet jeżeli ugoda z Kadyrowem nie budzi entuzjazmu. Jednak ustały okrutne czeczeńskie akty terrorystyczne i przestali ginąć ludzie. A zginęło 19 000 Czeczenów i 2 800 Rosjan. Porównując więc rządy Putina z poprzednimi, Zeńkowicz nie ma wątpliwości: pomimo różnych niepowodzeń, obecnie jest lepiej.

O różnych innych decyzjach politycznych, administracyjnych i organizacyjnych Putina powiadamia Zeńkowicz neutralnie, często sprawozdawczo – bez negacji, lecz też bez chwaleń. A niektóre były zasadnicze.

Wszak nastąpiła zmiana administracyjnego podziału kraju. Bywały różne personalne roszady na



stanowiskach rządowych i innych centralnych. Na świecie pisywano, że awansowała głównie grupa kolegów z petersburskiego KGB, jednak w książce żadnych takich opinii nie ma. Są natomiast sygnały krążących o Putinie anegdot, raczej przyjaznych niż wrednych, a podobno bywały też pieśni... To *jakaś* otoczkę tworzy.

W niekoniecznie długim rejestrze rozwiązań aprobowanych, lokuje autor zmianę trybu aresztowań za Putina – już nie z nakazu prokuratora, lecz wyrokiem sądu. Formalnie to postęp, choć dla politycznej opozycji zmieniło to tyle co nic.

Jednak o represjach wobec opozycjonistów Zeńkowicz nie wypowiada się prawie wcale. Jest tylko kilka zdań, mimochodem, że wśród ogólnie licznych zabójstw, bywały też polityczne: Anny Politkowskiej oraz Borysa Niemcowa. Trudno je przypisać bezpośrednio decyzjom władz, szczególnie zastrzelenie Niemcowa byłoby politycznym idiotyzmem. Ale ogólna atmosfera przyzwolenia na polityczne skrytobójstwa jest w Rosji obecna od bardzo dawna w stopniu znacznie wyższym niż w innych krajach. Dla niejkiej równowagi, autor przypomina z kolei próby zamachu na Putina.

Lista rozmaitych ważnych rozwiązań prezydenckich, jednoznacznie w tej książce aprobowanych, jest długa i trudno byłoby je przywołać w komplecie. Za szczególnie korzystne Zeńkowicz uważa m.in. długotrwałe już, dobre relacje z cerkiewną hierarchią, a w innym obszarze – wprowadzenie wojsk kontraktowych. Ta, rozpowszechniona już na świecie formuła, zmierza bowiem do całkowitej profesjonalizacji sił zbrojnych. A czy coś w przypadku Rosji zmieniła? Autor żadnej opinii na ten temat nie wyraża. Trudno zaś powiedzieć o tym cokolwiek konkretnego – opierając się tylko na doniesieniach z Krymu, z Donbasu albo z Syrii. Ale z drugiej strony – lepiej, żeby innych doniesień nie było.

W ocenie dotychczasowych rządów Putina, balansuje Zeńkowicz pomiędzy aprobatą – i to wyraźnie przeważa – a umiarkowaną krytyką. Główne zarzuty dotyczą niestabnej a rozległej korupcji oraz odradzania się ambicji imperialnych. Poza tym narzeka na ugruntowany już, wysoce dokuczliwy paternalizm władzy. Sam autor deklaruje się jako zwolennik demokracji, której wprawdzie teraz w Rosji nie ma, ale po zmianie ekipy rządzącej – jego zdaniem – czas na demokrację może przyjść.

Jednak dla tego prognostycznego poglądu nie przywołuje żadnych konkretnych przesłanek, bo też trudno się ich doszukać. Ani w tradycji, ani też w aktualności. Wszak w przeszłości Rosja nigdy nie miała z demokracją doświadczeń dobrych, a obecnie też nie widać tam żadnej realnej siły politycznej, która by naprawdę nastawiła się na demokrację. Wbrew więc deklaracji autora, tamtejsza przyszłość polityczna wygląda na mocno przygnioną.

## OPOZYCJA – PRAWDZIWA lub UDAWANA

Jurij Muchin, *I snowa Putin. Komu i zaczem on nužen.* Moskwa 2019, Algoritm, s. 239, ISBN 978-5-907120-64-8.

Aleksiej Kungurow, *W. W. Putin. Rol w istorii.* Moskwa 2015, Algoritm, s. 222, ISBN 978-5-906798-91-6.

Wśród tamtejszych wystąpień aprobatywnych dla władzy niełatwo wyszukać **umiarkowane i racjonalne**. Ale jeszcze trudniej natrafić na **krytyczne**, lecz przy tym **rozumne** i w dodatku możliwe znośnie uargumentowane. Są wprawdzie autorzy opozycyjni, jednak ich główne narzędzie to inwektywy wobec Putina, społeczeństwa, a nawet wobec... samej opozycji. Co zresztą potwierdza, że ta opozycja jest słaba.

Poza tym etykieta opozycjonisty nie zawsze w pełni pokrywa się z prawdą, a weryfikacja na dystans nie jest możliwa. Funkcjonują bowiem teksty niby to wobec władzy krytyczne, ale sprowadzające tę krytykę do jakości bzdurnej i w ten sposób – pośrednio, ukradkiem – inspirującą prorządową aprobatę. Jakkolwiek z ich ogólnej tonacji oraz z tematów takich publikacji można jednak wywnioskować, jakie są tam na temat władzy obiegowe opinie. Przynajmniej ich część.

Wśród publikacji jako tako udokumentowanych zwracają uwagę wypowiedzi opozycyjnego pisarza i publicysty, **Jurija Muchina**. To autor szeroko już znany i nieraz represjonowany, usiłujący nakreślić *jakiś* polityczny wizerunek Rosji w epoce Putina. Ma jednak krytyczny stosunek nie tylko do władzy, lecz również do opozycji – wśród której

niby to korzystnie wyróżnia Nawalnego. Ale w końcu i jemu przypina łatę zła.

Charakteryzując system Putinowskiej władzy, Muchin stanowczo wyklucza, by miał z demokracją cokolwiek wspólnego. W jego opinii to jest faszyzm, ale bliżej tego nie uzasadnia. Tymczasem, chociaż niektóre cechy tożsamościowe faszyzmu można obecnie Rosji przypisać (zresztą nie tylko Rosji), to jednak nie wszystkie i nie wyłącznie. Brak tam na przykład zdecydowanych tendencji antykapitalistycznych, skoro współrządzą oligarchowie. Lecz łatki faszyzmu rozdaje autor bardzo chętnie innym również, zwłaszcza Ukrainie, więc to jest inwektywa, a nie charakterystyka.

Poniechanie demokracji – ale wypada powtórzyć: kiedy taka w Rosji była? – sprawia, że Kreml nie potrzebuje ludzi mądrych, tylko posłusznych. Dlatego tępi opozycję na różne sposoby, przeszkadzając *innym* w kandydowaniu do organów wybieralnych oraz fałszując wyniki wyborów. Z tym, że przedstawione w książce *świadectwa* takich fałszerstw są mało wiarygodne. Bliższe prawdy natomiast wydają się doniesienia o antyliberalnych represjach, sankcjonowanych częściowo nawet przez prawo. No bo chociaż konstytucja Rosji dopuszcza wolność wypowiedzi, to kodeks karny już nie.

Sporo uwagi – jak właściwie wszyscy – poświęca Muchin tamtejszej korupcji, zakorzenionej w Rosji od za-



rania, ale zmieniały się jej warianty. Obecny polega podobno głównie na opłacaniu zgody urzędników państwowych i samorządowych na zamówienia oraz na zakupy u oferentów prywatnych po horrendalnie zawyżonych cenach. I władze z tym nie walczą. Przeciwnie.

Obsesję Muchina (i podejrzewam, że wielu innych Rosjan) stanowi natomiast przeświadczenie, że współwinę za kłopoty Rosji ponosi zagranica i to wcale nie przez sankcje, ale w wyniku **wielu** perfidnych decyzji. No i tak też **argumentuje**. Otóż według niego, wszyscy tamtejsi gubernatorzy są wykształceni za granicą, zatem muszą być obcymi agentami, a znowu wśród dziesięciu dyrektorów ważnego giganta ROSNIEFT-u, aż sześciu to nie Rosjanie. Czyli wiadomo... No i kto tu kogo oskarża o faszyzm?

W sumie jednak Muchin ma do Putina pretensje bardzo standardowe, ogólnikowe, wolne od dowodów i od faktografii. Może więc uzasadnione, ale może nie. To zresztą częściowo wynika ze sposobu funkcjonowania rosyjskiego prezydenta. Niby ekspozuje się publicznie, jest na widoku, w telewizyjnych programach bywa niemal codziennie, choćby migawkowo, no i sporo jeździ po całym kraju. Wszędzie filmowany i nagrywany. Lecz kiedy przychodzi do **ważnych** konkretów, to o nim wiadomo niewiele, albo jeszcze mniej.

Autor sugeruje też, że Putin często mija się z prawdą. Ale wskazanie polityka – również poza Rosją – który tego nie robi, jest w zasadzie wykluczone. Dopowiada też Muchin, że Putin obwołany po Rosji wygłasza przemówienia z **postulatami** (*należy*) rozwijania: ekonomiki, technologii, służby zdrowia oraz kształcenia. Ale potem nikt ich nie wprowadza w życie. Owszem, choć trzeba powiedzieć, że podobne praktyki bywają normą wszędzie.

O rosyjskiej opozycji wyraża się Muchin gorzej niż źle, z wyjątkiem **Aleksieja Nawalnego**, któremu w prawie całej książce przypisuje zdolności nieomal nadprzyrodzone. To w jego mniemaniu jedyny opozycjonista, zdolny do wyciągnięcia Rosji z marazmu. Gdyby dostał taką szansę. No bo w wyborach na mera Moskwy, do których jakimś cudem został dopuszczony, uzyskał 27 proc. głosów. Ale oto w ostatnim rozdziale książki autor tego samego Nawalnego odsądza nagle od czci i wiary. Trudno to zrozumieć.

Jak wielu innych opiniodawców, główną słabość Rosji oraz źródło Putinowego powodzenia kojarzy Muchin z niskim poziomem świadomości tamtejszego społeczeństwa. Nie krępując się pisze wręcz, że naród jest głupi. Oraz dopowiada, za Ksienią Sobczak, że rozumie jedynie decyzje proste.

Zaś dla zilustrowania opinii potocznych przywołuje wyniki ogólnokrajowych sondaży. Otóż za czołową osobowość historyczną Rosji uznano kolejno: J. Stalina, W. Wysockiego, W. Lenina, Iwana Groźnego, Piotra I, A. Czechowa oraz J. Gagarina. A znowu spośród politycznych ugrupowań, funkcjonujących tam tuż przed rewolucją 1917 roku, najbliższe współczesnym poglądom

okazały się podobno: bolszewicy – 43 proc., kadeci – 18 proc., monarchiści – 17 proc., eserowcy – 8 proc. To bardziej lub mniej miarodajny, ale jednak sygnał sentymentów postsowieckich oraz wielkoruskich, o których W. Putin także przecież wie.

Inny opozycyjny dziennikarz i bloger **Aleksiej Kungurow**, też represjonowany, nie szczędząc wyzisk Putinowi, również serwuje ostre inwektywy całemu rosyjskiemu społeczeństwu. A to dlatego, że akceptuje taką władzę oraz że zachowuje się tak właśnie, a nie inaczej.

Bez zabawy w elegancję pisze, że to bydlę, głupole, a nawet *gębosraki*. Mentalnie prymitywni Papuasi, przepychający się wzajemnie w walce o dostęp do koryta, bo wszyscy marzą o zachodnim stylu i poziomie życia. W rezultacie przejadają krajowy budżet, przy niskiej produkcji – deficytowy, więc w końcu musi nastąpić krach, bo 90 proc. środków (tak twierdzi) przeznaczają się na konsumpcję. No i w imię tej konsumpcji – mizernej zresztą, ale jednak ponad stan – Rosjanie dają się obecnej władzy wodzić za nos, bo pamiętają jeszcze dramatyczne czasy rządów Jelcyna. Taka jest główna autorska diagnoza, też zresztą nie obciążona nadmiernie racjonalną argumentacją dowodową.

Zdaniem Kungurowa (być może jakieś dane ma), już od dawna wywozi się z Rosji więcej niż przywozi, a to jest – podobno – charakterystyczna cecha kraju kolonialnego. Tak więc z potężnego ZSRR zrobiło się oto terytorium zależne. Od kogo? Oczywiście od **wstrętnego** Zachodu. I to bynajmniej nie w następstwie gospodarczych sankcji, o których w tym tekście nie ma ani słowa. Nie

wnikając zatem już w szczegóły, trzeba powiedzieć, że jest to opinia co najmniej niecodzienna.

O samym Putinie autor pisze, że kradnie (ale bez konkretów) i wobec tego pozwala również kraść innym. Podobno jeszcze w Petersburgu sterował grupowymi przekrętami, w których miał również uczestniczyć Miedwiediew – ale i na to żadnego świadectwa ani przykładu nie ma.

Po aneksji Krymu, Putina obwołano w Rosji patriotą. Jednak autor jest innego zdania. No bo przecież Putin – oto **autentyczny cytat** z książki – posłał swoje córki do obcojęzycznych szkół w Rosji, a potem na zagraniczne studia... No właśnie: – na takim **poziomie** (???) jest spora część autorskich wypowiedzi, więc zaufanie musi być ograniczone.

Według Kungurowa, krajowy balans finansowy Rosji tylko pozornie wygląda na zrównoważony. Opiera się głównie na eksploatacji surowców oraz na ogromnym imporcie żywności. Jak długo tak można? W świetle wielu innych wypowiedzi akurat te autorskie zastrzeżenia mogą być uzasadnione. Zwłaszcza że – jak twierdzi – dług publiczny rośnie tam z roku na rok, a już o 1/4 zmalały krajowe rezerwy złota.

Podobnie jak inni sygnalizuje Kungurow zastraszające rozmiary korupcji, którą wycenia na 30 miliardów dolarów rocznie. To zresztą akurat budzi wątpliwość: skąd



można wiedzieć, że to właśnie tyle jest? Zaś przy tej okazji dopowiada jeszcze, że liczbą miliardów Rosja ustępuje tylko USA i Chinom.

Według licznych opinii, korupcyjne są tam wszystkie styki sektora publicznego z biznesem. Jest ich dużo w samej Moskwie, stąd tak ostre starcia przed wyborami w stolicy – walka o elekcję to zabieg łapówkobiorny. Kungurow jednak eksponuje szczególnie podejrzane a gigantyczne wydatki zagraniczne na wyposażenie armii – bez jakiegokolwiek potwierdzenia ich zasadności i użyteczności. Chociaż, szczerze mówiąc, z naszej perspektywy najlepiej byłoby darować sobie taką weryfikację.

Na temat krajowej opozycji autor wypowiada się jeszcze zjadliwiej niż Muchin. Jego zdaniem: jest w całości do kitu. Dlatego nawet ewentualne przejście władzy nie przyniosłoby niczego pozytywnego. Przeciwnie... Odnoszę wrażenie, że z taką argumentacją zgodziłoby się również otoczenie Putina oraz on sam. No to jaki sens mają zawarte w tej książce inwektywy wobec niego i pomówienia? Mocno to niejasne oraz pokrętnie. Ale niezrażony Kungurow formułuje **własne** wnioski końcowe.

Postuluje otóż, żeby ponownie upaństwić skradzione społeczeństwu przedsiębiorstwa kluczowe. Oraz przywrócić karę śmierci za korupcję, zabójstwa i za dystrybucję narkotyków. Jest też w książce sugestia priorytetów w polityce państwowej: ochrona socjalna, gwarancja pracy, dostępność mieszkań, sprawna służba zdrowia, oraz... pewność jutra. A obok hasel socjalistycznych Kungurow wnioskuje o wolność osobistą, sprawiedliwość i o szanse twórczej samorealizacji. W sumie więc – żeby było dobrze.

Skojarzenia z postsowiecką mitologią – no bo jednak nie z minioną **rzeczywistością** – są więc oczywiste. Prawdopodobnie takie też przeświadczenia obiegowe występują, bądź nawet dominują w tamtejszej świadomości potocznej. Stąd ich echa w książce. I to musi niepokoić.

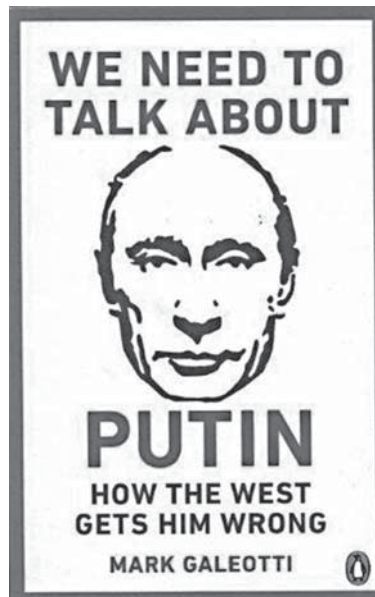
Jak zresztą również cały ten ponury pejzaż, nakreślony przez Muchina i przez Kungurowa. Chociaż trudno ustalić, ile w nim prawdy, ile plotkarstwa, a ile zmyślenia tendencyjnych.

#### RZUT OKA Z DYSTANSU

Mark Galeotti, *We need to talk about Putin. Why the West gets him wrong*. London 2019, s.143, ISBN 978-1-5-29103-595.

Może więc trafniejsze oraz bardziej racjonalne są niektóre opinie zagraniczne, bo serwowane z dystansu, zatem mniej emocjonalne, nawet jeżeli niekiedy błędne w odniesieniach detalicznych. W tym zakresie dobrą opinię w Europie ma angielski slawista i rusycysta **Mark Galeotti**, publicysta i ekspert od spraw rosyjskich w Londyńskim Royal United Services Institute, a także wykładowca kilku uniwersytetów europejskich.

Otóż jego zdaniem w Rosji oraz poza Rosją wie się o Putinie mało, albo jeszcze mniej. Aktualny prezydent



kształtował bowiem swoje nawyki przez 17 lat w służbach specjalnych, a tam uczył, żeby samego siebie eksponować jak najmniej. No i on tak postępuje, mimo że jest z natury ambitny. Zachowuje się nie jak przebiegły szachista, lecz jak judoka: wykorzystuje okoliczności doraźne czasem ryzykując, ale nie nadmiernie i potrafi wycofać się w sytuacjach krytycznych. Dlatego jest nieprzewidywalny.

Dotyczy to również przyszłości najbliższej. W kontekście licznych wypowiedzi różnych autorów, zwiastujących rychły kres Putinkracji, Galeotti zwraca uwagę, że Putin nie dobiega jeszcze siedemdziesiątki, a z kolei chętnie eksponuje swoją krzepę. Zatem może jeszcze trochę porządzić, a może nie.

Zdaniem autora, obecny prezydent Rosji komunistą nie jest, mimo

że przywrócił sowiecki hymn, ale – jak większość Rosjan – to jednak *homo postsovieticus*. Z tym, że nie wnika w ideologię. Jest instrumentalny – wierzy w siłę oraz w pragmatyzm.

W myśleniu kierunkowym nastawił się na budowę **wi-zerunku** Rosji potężnej. A potęgę utożsamia z wpływami, dlatego liczba ingerencji zagranicznych, dialogowych ale i siłowych, jest duża. Ma przy tym świadomość, że im bardziej świat jest podzielony, tym słabszy, toteż próbuje dzielić i skłócać, ile się da. Generalnie – zrećnie wykorzystuje błędy popełniane przez innych.

Natomiast – podobno – nie zajmuje się tym, co Rosjanie **myślą**, byle byli posłuszni. Tak przynajmniej uważa Galeotti, ale w obserwacjach niewiele na to wskazuje. W okolicznościach *niezręcznych* (np. bezsensowne zabójstwo Borysa Niemcowa) Putin stosuje uniki, a znowu kiedy jest szansa, to z kolei gra pod publiczność. Taki przecież był jeden z głównych aspektów zajęcia Krymu, co przełożyło się następnie na niebywały wzrost popularności. Z tym, że – jak trafnie zauważa autor – **osoby**, a nie jego polityki jako takiej.

W tej chwili nie widać tam **nikogo**, kto mógłby konkurować z Putinem o szeroką akceptację. Nie jest to ani Dmitrij Miedwiediew, ani mer Moskwy Siergiej Sobianin – żeby już darować sobie innych popleczników – ale nie jest też Aleksiej Nawalny, nieustannie i (na razie) skutecznie represjonowany. Z tym, że wszystko nieoczekiwanie może się odmienić.

W polityce bowiem nie sposób utrzymać się na fali poprzez same uniki. Czasem trzeba podejmować decyzje, niepopularne też. Tak więc Putin ich nie uniknął. No i – zdaniem autora – zaszkodziło mu szczególnie podniesienie w Rosji wieku emerytalnego. Oraz tragiczna katastrofa *Kurska*, o którą Galeotti, tak jak prawie wszyscy, obwinia Putina. Tymczasem wygląda na to, że bezzasadnie.

Główna awaria tego atomowego podwodnego giganta (Putin był już wtedy prezydentem, ale od niedawna) w pierwszej fazie kosztowała życie 118 marynarzy. Okręt osiadł na głębokości 100 m. i zagrażał eksplozją jądrową. W jednym segmencie ocalały 23 osoby. Proponowano zagraniczną pomoc przy wydobyciu, jednak w pierwszej chwili ówczesny wicepremier – zapamiętałem jego

wystąpienie w telewizji – stwierdził, że Rosjanie poradzą sobie z tym sami. Wkrótce okazało się, że to niemożliwe. Ale kolejną tragedię spowodowało tradycyjne rosyjskie niechlujstwo, a nie żadna odgórna decyzja.

Sporządzony mianowicie własny sprzęt ratowniczy okazał się skorodowany i niezdatny do użytku, a z kolei ratownicy nie mieli pojęcia, co robić. Podpłynęli jednak do wraku i dali sygnał uwięzionym, że są. Dlatego marynarze nie skorzystali z szansy wypłynięcia w specjalnych skafandrach – bo to groziło ciężkimi obrażeniami, a nawet utratą życia.

Jednak obarczanie winą samego Putina – a robią to **prawie wszyscy** – nie ma żadnego uzasadnienia. To zresztą w ogóle mit, że panuje nad każdym szczegółem i że wszystko trzyma w rękę. Rosja to ogromny kraj. Ale odium zostało jednak przyklejone i na wizerunek prezydenta wpłynęło niekorzystnie. To było przed aneksją Krymu, która spowodowała odzyskanie popularności. Natomiast *ponadczasowo* odnosi się Galeotti do problemu korupcji. Mianowicie zarzuca Putinowi nie tylko, że jej nie ukrócił (to stwierdzają wszyscy), ale że ją poniekąd zalegalizował. Zdaniem autora, ludzie władzy kradną i prezydent im w tym nie przeszkadza. Przynajmniej nie wszystkim.

Co więcej: Galeotti twierdzi – tak jakby był świadkiem – że z czołówką defraudantów, czyli z oligarchami, zawarł Putin ugodę, w zamian za lojalność. Jakiego rodzaju? Wyjaśnienia nie ma.

Galeotti komentuje za to liczne zamachy i skrytobójstwa, dokonywane zarówno w interesie władzy, jak i przeciw niej. Przywołuje niektóre nazwiska ofiar: Jandarbajew, Niemcow, Litwinienko, Skripal. Według niego, nie wszystkie bywały inspirowane przez Kreml, ale generalnie władze tolerują również taką formę osiągania celów. W zapleczu etyczno-ideowym jest tam bowiem przyzwolenie na unicestwianie **zdrajców** także bez sądowego wyroku. A za zdrajcę może uchodzić każdy, kto sprzeciwia się władzy.

Istotną część książki stanowi wyliczanka społecznych i gospodarczych niepowodzeń Putina. Oto – zdaniem autora – co ważniejsze. No więc (mankamentalną) podstawą krajowej ekonomiki nadal jest ropa i gaz, a to na dłuższą metę formuła bardzo niebezpieczna. Z kolei najważniejsze kraje zachodnie bronią dostępu do nowoczesnych technologii, a w ostatnich latach dodały do tego rozmaite sankcje. W każdym razie więc żadnego zbliżenia z Zachodem nie ma. A i rozpętane konflikty oraz wojny nie przynoszą spodziewanych pożytków.

Przy tym ludziom żyje się na ogół zgrzebnie: około 12 proc. egzystuje poniżej granicy ubóstwa. O postjelcynowskiej poprawie standardów już na ogół zapomniano. Na to zaś nałożył się kryzys demograficzny. Zdolna młodzież emigruje, emerytów jest stanowczo za dużo, a całe rzesze imigrantów i swoich pracują *na czarno*. Obraz jest więc mroczny, a obecna stagnacja nie zapowiada poprawy.

Jednak w konkluzji finalnej Galeotti unika prognoz na bliższą i dalszą przyszłość, zgodnie z wstępną deklaracją, że Putin jest nieprzewidywalny. W jego otoczeniu są tacy, którzy z obawą liczą się z możliwością zmian i lokują swoje oszczędności w zagranicznych bankach. Z kolei inni – mówi się o nich *smysłowicy* – próbują utrzymać dotychczasowy porządek dowolnym sposobem i za

każdą cenę. Stąd tak liczne ostatnio interwencje siłowe, wyjątkowo brutalne. Natomiast nastroje **ogólnospołeczne** nie są rozpoznane. Żadnej więc klarowności w tym wszystkim nie ma.

No i tak też to Galeotti widzi. Jego zdaniem nie każdy zwolennik Putina jest automatycznie wrogiem Zachodu. Tak jak też, z kolei, nie każdy przeciwnik obecnego prezydenta musi Zachodowi sprzyjać. Bo Rosja to duży kraj i świadomościowo z całą pewnością niejednolity.

## JACEK WOJCIECHOWSKI

### Post scriptum:

Czas nie stoi w miejscu. Nieco późniejsze wydarzenia, które poprzedzały rosyjskie wybory lokalne i municypalne – masowe demonstracje w Moskwie i Petersburgu oraz udawanie przez członków partii prezydenckiej kandydatur niezależnych w tych wyborach – jak też wyborcze wyniki, wywołały w świecie, a nawet i w samej Rosji, spekulacje o **rychłym** (r.r. 2023, 2024, 2025...?) końcu władzy Putina. Nawet głośny dziennikarz niezależny Leonid Rogozin, a także znany ekspert, prof. Walerij Sołowiej (wydalony za to z moskiewskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych), przychylił się do opinii, że ten kres może nastąpić niebawem, ponieważ Rosjanie przejrzeni na oczy.

Może. Lecz czy jednak nie jest to myślenie życzeniowe? Rozruchy były wszak tylko w dużych miastach: oprócz nich jest jeszcze **reszta** Rosji. No i nawet tam, przy **niskiej** frekwencji wyborczej, przewagę w radach lokalnych zachowali *Putinowcy*, a większość wybranych obecnie radnych *opozycyjnych* to jednak pseudoopozycjoniści: ludzie Żyrinowskiego lub postkomuniści. Zatem czy istotnie **większość** Rosjan dojrzała już do zmian? Tego nie wiadomo.

Ważne zaś, że przecież sam Putin nie zgłosił chęci odejścia. Kiedy ogłaszano wyniki poprzednich wyborów prezydenckich, wyraz jego twarzy promieniał taką radością, jak chyba jeszcze nigdy na ekranach rosyjskiej telewizji, chociaż on zwykle nie eksponuje swoich emocji. Czemu więc nagle miałoby się to zmienić? Jest przecież młodszy od Jarosława Kaczyńskiego i **znacznie** młodszy, aniżeli Donald Trump.

Opiniodawcy podpowiadają, że po dwudziestu latach rządzenia zatracił poczucie rzeczywistości i nie odgaduje oczekiwań społeczeństwa. Trudno to wykluczyć, lecz żadnych konkretnych dowodów nie ma – wszystko spekulacje. Tymczasem to jest bardzo zręczny gracz, zatem nie wycofa się tak łatwo, jeżeli nie będzie chciał. A już udowodnił, że potrafi sprawnie balansować pomiędzy poplecznikami i oponentami oraz między stronnikiem silnej władzy i zwolennikami liberalizmu.

Putin nigdy nie sygnalizował szczególnego zainteresowania Polską, chociaż na pewno musiał (co najmniej) zaakceptować kłamliwą interpretację wydarzeń z września 1939 roku. W sumie jednak możliwe, że ma do nas stosunek obojętny, albo umiarkowanie niechętny. Natomiast nie da się wykluczyć, że w obecnej i w przyszłej tamtejszej elicie władzy, nastawienia wobec nas są albo będą gorsze. Bowiem nasza polityka wschodnia nie sprzyja poprawie relacji – z **Rosją**, nie z Putinem – ani choćby mitygowaniu nastrojów. Trudno więc o jakiś skonkretyzowany optymizm. (J.W.)

MICHAŁ BOHUN

# „W TYCH PRZEKLĘTYCH DNIACH, SKĄPANYCH W KRWI I WÓDCE”

1. W prezentowanym tutaj szkicu chciałbym przedstawić niektóre z refleksji na temat rosyjskiej rewolucji lat 1917-1919 obecne w bezpośrednich świadectwach tego czasu autorstwa Iwana Bunina i Maksyma Gorkiego. Już choćby ze względu na miejsce, jakie obaj zajmują w dziejach kultury rosyjskiej i literatury światowej, zamiar taki wydaje się usprawiedliwiony. Znakomitych pisarzy przedrewolucyjnej i porewolucyjnej Rosji połączyły więzi i relacje nader skomplikowane, które wymagałyby odrębnego przedstawienia w samodzielnym szkicu. Bliskie początkowo stosunki, wzajemne zainteresowanie i współpraca uległy później rozluźnieniu, by przekształcić się w nieskrywaną ze strony Bunina niechęć, której dawał wyraz także w interesującym mnie okresie.

Twórczość i losy każdego z nich nadal stanowią niewyczerpane źródło inspiracji i długo będą skłaniać do coraz to nowych dociekań i komentarzy. Moje zadanie jest dużo skromniejsze i dotyczy zaledwie wycinka obszernego terytorium, chociaż, śmiem sądzić, niezwykle ważnego fragmentu zarówno intelektualnej biografii obu, jak też dziejów ich ojczyzny. Odwołując się do dwojakiemu rodzaju literacko-publicystycznych świadectw – dziennika Bunina *Nieszczęsne dni* oraz cyklu artykułów Gorkiego *Niewczesne rozważania*, drukowanych na łamach redagowanej przezeń gazety „Nowaja żyzn” – chciałbym zastanowić się nad samym fenomenem rewolucji, przechodząc niejako od artystyczno-dziennikarskiego oglądu i opisu pewnego sta-

nu rzeczy do próby zrozumienia jego natury<sup>1</sup>. Dlatego pozostawiam na uboczu zarówno problem biograficznych powiązań, jak też mnóstwo szczegółów, pomimo ich często dużej dokumentalnej wagi. Rysuję raczej zgrubny szkic, by zrozumieć, czym jest rewolucja, a nie jej epicką panoramę, będącą szczegółowym sprawozdaniem z jej przebiegu.

Bunin i Gorki, obserwując te same wydarzenia i opisując je w podobny sposób, proponują nieco odmienne interpretacje i wnioski. Tę zasadniczą różnicę hermeneutyczną łatwo wyjaśnić, wskazując na dalece różniące się doświadczenia i sympatie polityczne. Bunin utwierdza się w swym kulturowym konserwatyzmie, skłaniając się coraz wyraźniej do jego tradycjonalistycznej wersji. Gorki spogląda na rewolucję leninowską coraz bardziej zatroskany o przyszłość swojego socjalistycznego ideału.

Tym niemniej istota opisywanych przez nich zjawisk wydaje się, jeśli nie taka sama, to niezwykle podobna.

<sup>1</sup> I. Bunin, *Nieszczęsne dni*, [w:] tenże, *Późna godzina. Opowiadania emigracyjne i Nieszczęsne dni* (dziennik z lat 1918-1919), wybór, przekład i komentarze R. Lis, Warszawa 2012 (cytuję w tekście jako ND); wcześniejsze tłumaczenie: I. Bunin, *Przeklęte dni*, przełożyła i przypisami opatrzyła J. Kornel, Warszawa 2000. M. Gorki, *Myśli nie na czasie*, [w:] tenże, *Rosja*, przekład M. Buchalik, Kraków 2016. Cytuję w tekście jako NR – pragnąc zachować nietzscheańskie, a więc bliskie Gorkiemu, konotacje tytułu, por. inne fragmenty: M. Gorki, *Niewczesne rozważania*, przełożył J. Gondowicz, „Literatura na Świecie” 1998, nr 10 (327). Tytuł mojego szkicu zaczerpnąłem z Gorkiego (NR,520), ale formuła ta jest niezwykle bliska zarówno tytułowi, jak i zawartości dzienników Bunina.

Bolszewicki zamach stanu, a zwłaszcza to, co dzieje się w jego wyniku w Rosji i z Rosją, to dla obu triumf chaosu i barbarzyństwa, katastrofa, której pierwszą i najpoważniejszą ofiarą jest kultura. Zamęt rebelii prowadzi do jej zniszczenia, pociągając za sobą rozpad więzi społecznych i degenerację osobowości zarówno jej ofiar, jak i prowodyrów. Bunin za istotę rewolucyjnego procesu uznaje szatańską karnawalizację życia oraz dewastację jego dawnych form i osiągnięć. Umacnia się w swoich antyrewolucyjnych przekonaniach, a jako remedium – inna rzecz, czy skuteczne – wskazuje kulturalną kontrrewolucję i powrót do złotego blasku starodawnej Rusi.

Nie on jeden marzył o restytucji dawnego porządku dzięki Armii Ochotniczej generała Denikina. Oczywiście, dawny porządek niekoniecznie oznaczał tutaj schyłek dynastii Romanowów w latach bezpośrednio poprzedzających wojnę i rewolucję. Gorki natomiast w destrukcyjnych poczynaniach bolszewików, niegdysiejszych swych towarzyszy, odkrywa rewolucyjną pseudomorfozę, zwyrodnienie wzniosłych ideałów proletariackich, przekształconych w antykulturalną kontrrewolucję, która niszczy humanistyczne wartości i zaprzepaszcza przyszłe szanse Rosji na wolność, demokrację, rozwój przemysłowy i kulturalny, oświatę, dobrobyt i normalne życie, bo tym właśnie był dla niego socjalizm.

Obrazy lat 1918-1919 rysuje Bunin nieodmiennie w czarno-czerwonych, inferalnych barwach. Ulice wypełnia bezforemna, pijana tłuszcza, wśród której – niczym na średniowiecznych płótnach – wyróżniają się szatańskie typy pełne wulgarnej agresji lub ogarnięte moralnym odrętwieniem. Nie jest to gwałtowna zmiana społeczna, ani nawet wojna domowa, lecz piekielny karnawał. Ustalone kształty dawnego życia, procedury, nawyki i obyczaje wyradzają się w swoje przeciwieństwa. Biorą górę bałagan, zabawa, kłamstwo. Nie ma w tym zresztą nic specyficznie rosyjskiego, jest to w istocie powtarzający się mechanizm rozpadu, którego analogie dostrzec można w rewolucyjnej Francji końca XVIII wieku: „Wszystko to powtarza się głównie dlatego, że jedną z najbardziej wyróżniających się cech rewolucji jest szalone pragnienie zabawy, udawania, pozy, wzniesienia zamętu. W człowieku budzi się małpa. (...) Orgia śmierci, w której żyjemy dzień i noc. A wszystko w imię >>światlanej przyszłości<<, która jakoby ma się wyłonić z tego diabelskiego mroku. Powstał już nawet na ziemi cały legion specjalistów, kontraktowych budowniczych ludzkiego szczęścia”(ND,149-150). To jest właśnie krwawa „rosyjska zabawa”, którą w kwietniu siedemnastego roku zainicjowało dwóch „jarmarcznych błaznów”: Lenin i Majakowski (ND,181).

Ten piekielny karnawał pozbawiony jest jednak radosnej żywiołowości i nieskrępowanej swobody. Unosi się nad nim duch otępienia i beznadziejności. Obietnica szczęścia spływa krwią, a groza rewolucji polega na spowszednieniu przemocy, na unieważnieniu moralności i prawa. To ostatnie zastępuje „ludowa” sprawiedliwość będąca w istocie żądzą zemsty i ujściem dla zwierzęcych instynktów ludzkiego stada. Karnawałowe odwrócenie to nic innego jak resentyment: zemsta ludu na spauperyzowanych i zastraszonych niegdysiejszych elitach. Zemsta ta przybierać może różne oblicza: wy-

szczydanie i wykpiwanie dawnych form, świadoma degradacja osiągnięć kulturalnych, aż po fizyczną eksterminację wczorajszych „panów” i socjety, przy czym najczęściej ofiarą bywa tutaj żywiąca się miłością do ludu, zaślepiona inteligencja.

Gorki jeszcze przed październikowym zamachem stanu uświadamiał sobie niebezpieczeństwo, jakie niesie ze sobą rewolucyjny żywioł, z którym igrają bolszewicy. Doskonale znał zagrożenia i cenę przedwczesnego przewrotu również dlatego, że osobiście poznał wielu z tych, którzy żywioły owe rozbudzali. Ostrzegał, że niszczyielskie wzmoczenie zrewoltowanych mas będzie śmiertelnym ciosem dla ludzkiej indywidualności, rozwoju osobistego, swobód i praw człowieka. Wymachująca sztandarem wolności, równości i braterstwa masowa rebelia prowadzi do zwycięstwa nieokrzesanej głupoty, okrucieństwa, anarchicznych emocji i recydywy przezwyjęzionych niegdyś skłonności. Tak oto „wielki, święty sztandar socjalizmu przejmują brudne łapy, szemrane interesy” (NR,427).

To nie ma nic wspólnego z rewolucją, która miała być nowym odrodzeniem, rozkwitem i rozwojem ludzkich zdolności, triumfem humanizmu i kultury. To eksplozja ciemnoty i bestialstwa, „powrót do średniowiecza” z jego prymitywizmem i okrucieństwem. „Rosyjska zabawa” demaskowana przez Bunina, u Gorkiego okazuje się rosyjskim buntem bez socjalistycznej mentalności, wybuchem zwierzęcych instynktów, a nie rewolucją społeczną (NR,439). I podobnie, jak u Bunina, przekleństwo rosyjskiego buntu, niszczącego w zaślepieniu wszystkie załóżki kulturalnego życia, wynika z recydywy barbarzyństwa, zacofania i niewiedzy – w destrukcyjnym żywiole na powierzchnię wypływają wszystkie najgorsze elementy rosyjskiej historii. Bolszewicy – pomstuje Gorki – pozbawili rewolucję jej moralnego i kulturalnego wymiaru, zamieniając rewolucyjne ideały w bezsensowną, krwawą reż. Masowe zabójstwa i mordy polityczne to nie jest rewolucja socjalistyczna, lecz erupcja „zoologicznej anarchii” wywołana przez bolszewickich przywódców. I trudno tu o jakąkolwiek nadzieję, trzeba zatem ratować co się da. „W naszych koszmarnych czasach sumienie wyzionęło ducha” – konstatuje gorzko pisarz (NR,494,496).

Autor *Matki* jest niezwykle przenikliwy w rozpoznawaniu przyczyn i prognozowaniu dynamiki rewolucyjnej destrukcji, wszak dobrze znał jej inspiratorów i kierowników. Sam nazywany wcześniej „zwiastunem burzy”, obserwując realia bolszewickiego przewrotu dochodzi do wniosku, że Rosją zawładnęli żądni krwi utopiści. Ostrzega robotników przez Radą Komisarzy Ludowych – to „rząd eksterminatorów i fantastów” (NR,521), który eksperymentuje na żywych ludziach, urzeczywistnia utopię środkami tyrańskiej inżynierii: „W praktyce jednak maksymalizm anarchokomunistów<sup>2</sup> i fantastów ze Smolnego jest zgubny dla Rosji i przede wszystkim rosyjskiej klasy robotniczej. Komisarze ludowi odnoszą się do Rosji jak do materiału doświadczalnego, lud rosyjski jest dla nich jak koń, któremu uczeni-bakteriolodzy wszczepiają tyfus, żeby zwierzę wyprodukowało w swojej krwi przeciwciała. Właśnie takie okrutne i z góry skazane na niepowodze-

2 W tym przypadku chodzi o bolszewików a nie o zwolenników Piotra Kropotkina [przypis – M.B.]

nie eksperymenty komisarze przeprowadzają na ludzie rosyjskim, nie biorąc pod uwagę, że zmęczony, wygłodzony konik może zdechnąć. (...) Reformatorom ze Smolnego nie zależy na Rosji, z zimną krwią składają ją w ofierze swojemu marzeniu o wszechświatowej czy europejskiej rewolucji” (NR,520). Warto zwrócić uwagę na dwa motywy, obecne w tym cytacie. Po pierwsze, w całym cyklu publicystycznym Gorkiego często pojawia się obraz bolszewików w ogóle, a zwłaszcza samego Lenina jako bezwzględnie, fanatycznego uczonego, szalonego inżyniera, który zniewolony własnymi dogmatami przeprowadza krwawe doświadczenia z całym społeczeństwem, nie zważając na ludzkie ofiary, cierpienia i strach. Eksperymentalna inżynieria społeczna przeradza się w systematyczną eksterminację. Po drugie, Gorki doskonale zdawał sobie sprawę, że Lenin (tak samo jak Trocki) uzależniał powodzenie rosyjskiej rewolucji od szybkiego wybuchu rewolucji proletariackiej na Zachodzie, gdzie dojrzały już obiektywne, społeczno-gospodarcze warunki dla socjalistycznych przemian.

Zgodnie z taką koncepcją Rosja miała być jedynie iskrą, która rozpali rewolucyjne zarzewie w nowoczesnym świecie. Celem nie było zatem podniesienie jej poziomu kulturalnego i cywilizacyjnego, doszlusowanie do najbardziej nowoczesnych społeczeństw, lecz wywołanie globalnej pożogi, której Rosja miała być jedynie instrumentalnym zarzewiem. To jest działanie po omacku, i na próbę, pozbawione odpowiedzialności i troski o przyszłość społeczeństwa: „>>Rząd Sowietów<< wmawia robotnikom, iż w Rosji możliwe jest wprowadzenie socjalistycznego ustroju. (...) w naszym kraju brak odpowiednich warunków dla wprowadzenia socjalizmu i że władza w Smolnym traktuje robotnika rosyjskiego jak chrust: podpala go, by sprawdzić: a nuż od rosyjskiego ogniska rozgorzeje ogólnoeuropejska rewolucja? (...) Tak postępują fanatycy i utopiści, lecz nie może tak działać myśląca i kulturalna część klasy robotniczej. Twierdzą więc: na proletariacie rosyjskim przeprowadza się eksperyment, za który proletariaci ów zapłaci własną krwią, życiem, a co najgorsze – długotrwałym rozczarowaniem do samej socjalistycznej idei”<sup>3</sup>.

2. Bunin brał w obronę kulturę i splendor dawnej Rosji, którą przeciwstawiał rozjuszonemu wandalizmowi społecznych nizin, otumanionych socjalistycznym fantazmatem oraz ich cynicznym hersztom, którzy z satysfakcją zajęli miejsce burżuazji. Gorki przeciwnie, bronił socjalizmu przed anarchicznością lub zastojem (w zależności od rozbudzonych skłonności) obskurantkiej i barbarzyńskiej, chłopskiej Rosji. Socjalizm był dla niego zasadniczo ideałem kulturowym, który prowadzi od zacofania i nędzy do cywilizacji nowoczesnej, to znaczy humanitarnej i humanistycznej, w polityce realizującej zasady demokratyczne, a przede wszystkim służącej maksymalizacji ludzkich potencji rozwojowych: moralnych, artystycznych, intelektualnych.

Rewolucja, która nie prowadzi do kulturalnego rozkwitu, do modernizacji i wyplenienia ciemnoty staje się swoją własną karykaturą. Tymczasem, to co wyrabiają

bolszewicy przyczynia się do podniesienia fali plebejskiej zemsty i przemocy a nie do odrodzenia człowieka i ludzkości. Pisarz nie uważał, ażeby przemoc była akuszerką dziejów. Przeciwnie. Jest złem prowadzącym do moralnego rozkładu i powrotem do barbarzyństwa. Destrukcja i przemoc nie są rewolucją społeczną. Swoje stanowisko pojmował Gorki jako wytrwały opór kultury wobec zanarchizowanego żywiołu, ocalenie cywilizacji przed fizyczną siłą motłochu. Dlatego jak tylko mógł, walczył o kulturę i twórców kultury, apelował w ich imieniu do nowych władz i opinii publicznej, osobiście interweniował u dawnych towarzyszy w obronie ludzi i instytucji.

Barbaryzacja rosyjskiej rewolucji ma dwa czytelne źródła – zdeformowała się w wyniku długotrwałego okrucieństwa wojny światowej oraz, a może przede wszystkim, zrodziła się w wyniku prymitywizmu życia, którego ostoją były chłopskie masy. Takie przekonanie łączyło Gorkiego i Bunina. Realia bolszewickiego reżimu, jego taktyka i strategia utwierdziły obu pisarzy w krytycznym dystansie wobec mitologizowanej przez inteligencję wsi. Bunin oskarżycielsko demaskuje bogobojne jakoby chłopstwo jako ogarniętych żądzą mordy i gwałtu świętokradców (ND,137). Pod tym jednym względem władza bolszewików utrzymuje jedność z ludem – jest emanacją jego niszczycielskich namiętności, które sprawnie i bezwzględnie urzeczywistnia. Namiętności te sprowadzają się zaś do odrzucenia wszystkich wyższych wartości, czyli negacji kultury, oświaty, cywilizacji, prawa, sztuki i religii (ND,155-156).

Dociekając przyczyn tego stanu Bunin i Gorki mówią niejako jednym głosem. Ciekawe, że w tym kontekście Bunin używa fraz typowych dla Gorkiego, na przykład „zhańbiono imię człowiek”, czy „hańba ruskiej historii” (ND,210). Humanistyczne nadzieje pogrzebane zostały pod ciężarem ponurych dziejów Rusi z jej buntowniczymi, anarchicznymi i rozbójniczymi skłonnościami. To spod ich zwalisk, aby przeżyć, należy wydobyć dawne wartości, symbolizowane przez złote kopuły cerkiewne. Ale na razie triumfują historyczny fatalizm i nieszczęsna powtarzalność zła w dziejach, będące przyczyną destrukcyjnych ekscesów diabolicznej rewolucji: „Každy rosyjski bunt (a szczególnie obecny) przede wszystkim dowodzi, jak bardzo *stare* jest wszystko na Rusi i jak bardzo pragnie ona przede wszystkim *bezformia*. (...) Ruś to klasyczny kraj awanturników. Był tu człowiek święty, był również budowniczy, obdarzony wielką, choć okrutną siłą. Lecz trwali oni w długiej i zaciętej walce z awanturnikiem, burzycielem, z wszelką samowolą, niezgodą, krwawym >>bezładem i bezsenssem<<” (ND,249-250)<sup>4</sup>. Nieszczęście Rosji polega na tym, że górę wzięły te ostatnie siły.

W przekonaniu Gorkiego bolszewicka, pseudosocjalistyczna rebelia w fatalny sposób połączyła dwie siły: fanatyczny utopizm leninowców, którzy za pomocą terroru chcą dokonać rewolucji przedwcześnie i jakby na siłę, zespolił się z antycywilizacyjnymi, barbarzyńskimi skłonnościami ludu wiejskiego, obcego

3 M. Gorki, *Niewczesne rozważania*, przeł. J. Gondowicz, „Literatura na Świecie” 1998, nr 10(327), s. 97.

4 Wyróżnienia kursywą autorstwa Bunina. Janina Kornel używa bardziej potocznego słowa „bezsztalność”, mając na uwadze podkreślaną przez autora rosyjską skłonność do uwalniania się od porządkujących form i trwałych reguł.



kulturze, wolności i demokracji. Zacołanie wiejskiej Rosji połączyło się z maksymalistycznym progresywizmem bolszewików, tworząc zabójczą mieszankę. Warto zauważyć, że humanistyczny socjalizm autora *Na dnje* był koncepcją konsekwentnie antyrustykalną, której celem było wydzwignięcie kraju z chłopskiego niedorozwoju gwoili rozkwitu prometejskiej kultury robotniczej. Gorki pisze: „Nigdy nie zachwycam się rosyjską wsią i nie mogę zachwycić się >>wiejską biedotą<<, organiczne wrogą psychice, ideom miejskiego proletariatu” (NR,529). Bolszewicy natomiast pod pozorem socjalistyczno-proletariackich haseł rozbudzają włościański egoizm i żądzę zemsty, grzebiąc ducha braterstwa i wspólnoty, który tlił się w „sumieniu społecznym” chłopca.

Tak oto dokonuje się zdrada rewolucji i kompromitacja socjalistycznych ideałów – to „kurs na prawo”, który szuka oparcia w biedocie wiejskiej, porzucając wartości i interesy robotników. Bolszewików i chłopskich nędzarzy łączy wiara w przemoc, rosyjskie, nawykowe bestialstwo i brak szacunku dla jednostki. Konkluzja była pesymistyczna, a dla bolszewików i ich akolitów druzgocąca, tym bardziej że formułował ją ceniiony i najbardziej znany pisarz kojarzony z rosyjską socjaldemokracją: „W obecnych warunkach w Rosji nie ma miejsca na rewolucję społeczną, bo nie da się ot tak przerobić na socjalistów osiemdziesięciu procent chłopskiej populacji kraju” (NR,520).

I chodzi tu o rozbieżność niemal istotową i nieprzewidywalną, wynikającą z odmiennego charakteru pracy na wsi i pracy fabrycznej. Robota chłopska jest katorżnicza i mało innowacyjna, uzależniona od kaprysów przyrody, opierająca się na dawnych obyczajach i reprodukcją prymitywne techniki. Praca fabryczna zaś wzmaga ludzką kreatywność, wykorzystuje najnowsze zdobycze nauki i technologii, rodzi solidarność pomiędzy pracownikami, rozbudza pragnienie wyzwolenia pracy najpierw od administracyjnych ograniczeń, potem od wyzysku, stając się źródłem socjalistycznych ideałów. Podkreślić też należy prometejską etykę pracy: etos uczciwej roboty, dającej ludziom wolność w formie władztwa nad przyrodą i własnym losem. Pod tym względem Gorki był dużo bliższy inspiracjom autentycznie Marksowskim niż leninowcy podkreślający na każdym kroku własną ortodoksyjność. Ci ostatni swój ideał społeczno-gospodarczy sprowadzili do hasła „grab zagrabione”, które z łatwością przyswoiły sobie i praktykowały masy prymitywnego chłopstwa.

Ujawnia się tutaj tragiczny paradoks myśli i losu Gorkiego. Rewersem jego socjalistycznego ideału był strach przed barbarzyństwem wsi rosyjskiej, tkwiącej w okowach przeszłości i ciemnoty. Obawiał się, że nieokielzany chłopski bunt zniszczy z trudem wypracowaną, kruchą i niezbyt grubą warstwą cywilizowanego, europejskiego życia. Bezpośrednio przed wyjazdem za granicę, wymuszonym przez nowe władze, miał powiedzieć: „Potężna chłopska fala pochłonie w końcu wszystko. Chłop zostanie panem Rosji dzięki samej tylko liczebności. I to będzie dla naszej przyszłości katastrofa”<sup>5</sup>. Być może ten właśnie lęk pchnął Gorkiego na przełomie lat trzydziestych w objęcia Stalina. Kolek-

tywizacja wsi, forsowne uprzemysłowienie, fasadowa, acz robiąca wrażenie modernizacja, wielkie budowy wieloletnich planów mogły wydawać mu się szansą dla Rosji na zrzucenie balastu barbarzyńskiej przeszłości i chłopskiego zacołania.

Marksizm Gorkiego był powierzchowny i raczej deklaracyjny, ale pod jednym względem w pełni zgadzał się z Karolkiem (jak kordialnie nazywał Marksa): rozwój technologiczno-przemysłowy i rozwój społeczny dokonują się kosztem chłopstwa i gospodarki naturalnej. Warunkiem socjalizmu jest przewyższenie „idiotyzmu wiejskiego życia”, o jakim mówi *Manifest komunistyczny*.

**3. Odwołanie do klasyki pozwala na sformułowanie krótkich wniosków.**

Po pierwsze, wydaje się, że Bunin i Gorki nie byli w stanie (o co trudno mieć do nich pretensje) uchwycić nowości i wyjątkowości, jaką przyniósł przewrót bolszewicki i jego konsekwencje. Na październik siedemnastego patrzyli jak na polityczny zamach stanu, który rozpętał negatywne masowe emocje i pobudził niesterowalne procesy socjoekonomiczne, co bynajmniej w żadnym stopniu nie usprawiedliwiało w ich oczach bolszewików. Tymczasem, strategia Lenina prowadziła do rewolucji nowego typu – rewolucji permanentnej pojmowanej jako trwały reżim, zinstytucjonalizowana wojna przeciwko własnemu społeczeństwu i reszcie świata.

Po drugie, byli w stanie (i w tym ich zasługa) dostrzec, wbrew deklaracjom samych bolszewików, że nie była to rewolucja proletariacka ani socjalistyczna, ale sprytnie wywołany przez bezwzględnych manipulatorów masowy bunt chłopski. Późniejsze wielkie rewolucje dwudziestego wieku od Zapato do Mao miały podobny charakter: powszechnej rebelii wiejskiej.

Po trzecie, zdawali sobie sprawę, że w Rosji nie triumfuje klasa robotnicza, ani nawet chłopstwo, lecz zdyscyplinowana partia kadrowa, która kieruje niszczycielskimi instynktami mas.

Po czwarte wreszcie, nakreślone przez obu pisarzy wizje doskonale ilustrują i potwierdzają syndrom „rewolucji dla utopii”: całościowej zmiany społecznej, polegającej na pełnym zniszczeniu zastanego porządku i stworzeniu „innego świata”, będącego totalnym zaprzeczeniem tego, co zostało obalone<sup>6</sup>.

**MICHAŁ BOHUN**

5 Cyt. za: O. Figes, *Tragedia narodu. Rewolucja rosyjska 1891-1924*, tłum. B. Hrycak, Wrocław 2009, s. 812.

6 Zob. J. Goćkowski, *Za rewolucją i przeciwko rewolucji. Dwa światopoglądy wojujące*, Pułtusk 2006, s. 7, 87 i in.

LECH M. NIJAKOWSKI

# KRÓTKA HISTORIA OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH

Obozy koncentracyjne powstały na długo przed II wojną światową. Pierwsze Hiszpanie założyli na Kubie. To zbrodnicze narzędzie stało się bardzo popularne i w kolejnych dekadach wykorzystywały je nie tylko rządy totalitarne. Kluczowe znaczenie w społecznej świadomości, ale również dla badaczy ma jednak system obozów niemieckich z lat 1933-1945. Niemieckie obozy służyły początkowo nazistom do walki z przeciwnikami politycznymi. Pierwsze założył minister spraw wewnętrznych (i późniejszy premier Prus) Hermann Göring. Niemal równocześnie powstawały obozy „konkurencyjne” (w Szczecinie, Wrocławiu, w pobliżu Berlina), zwalczane przez Göringa. Kolejnym inicjatorem systemu obozowego stał się Heinrich Himmler, który w 1933 r. w pobliżu miasta Dachau założył obóz pod komendą Theodora Eickego. Rywalizację w 1934 r. wygrał Himmler, uzyskując kontrolę nad wszystkimi obozami<sup>1</sup>. Obozy koncentracyjne trzeba odróżniać od obozów zagłady – te drugie powstały dopiero wtedy, gdy zdecydowano, że „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” dokona się na drodze eksterminacji.

Dziś obozami koncentracyjnymi nazywa się także obozy dla uchodźców czy ośrodki przestępstwa. Aby odpowiedzieć na pytanie, czy jest to uprawnione, trzeba się najpierw przyjrzeć historii obozów koncentracyjnych. Są to bowiem jedne z najważniejszych narzędzi władzy i transformacji społecznej w XX wieku.

## Czym jest obóz koncentracyjny?

Wbrew pozorom, bardzo trudno zdefiniować obóz koncentracyjny. Dostępne definicje słownikowe są niezadowolające, zwłaszcza gdy bierzemy pod uwagę zróżnicowane formy obozów w XX wieku. Bez wątpienia nazwa oddaje główną cechę – koncentrację ludności bez jej zgody w celu jej izolacji. Ale to łączy obóz koncentracyjny z takimi instytucjami jak więzienia, szpitale psychiatryczne, getta, obozy pracy czy jenieckie. Obóz koncentracyjny jest bowiem wiązką różnych funkcji, które mogą być wobec siebie konkurencyjne.

Niemiecki system obozowy w czasie II wojny światowej był bardzo rozbudowany i łączył obozy o różnych nazwach i funkcjach. Obozy koncentracyjne wypeł-

niały zaś jednocześnie takie funkcje jak izolacja, kara, eksploatacja siły roboczej, wydobywanie zeznań, eksterminacja, przetrzymywanie zakładników czy nawet „wychowanie” dzieci i małoletnich<sup>2</sup>.

Niektóre z nich w tym samym czasie pełniły również inne nazistowskie instytucje. Różnice między nimi często były różnicą skali, a nie jakości. Na przykład do aresztów i więzień trafiały konkretne osoby podejrzane o popełnienie przestępstw lub skazane wyrokami sądowymi. Ale zarazem osadzano tam osoby, które na celowniku aparatu sprawiedliwości znalazły się jako członkowie stygmatyzowanych kategorii społecznych (np. narodów okupowanych), zaś samo śledztwo było częścią rasistowskiej polityki okupacyjnej. Z drugiej strony – do obozów koncentracyjnych trafiały osoby, które traktowano jako członków wrogich kategorii społecznych (co uwidocznił system obozowych „winkli”), ale zarazem zamykano w nich osoby, które popełniły konkretne przestępstwa w świetle nazistowskiego prawa, np. homoseksualnych mężczyzn.

Pierwsze obozy koncentracyjne pełniły niewiele funkcji. Miały na celu izolowanie ludności cywilnej w czasie wojny partyzanckiej. Hiszpanie, Amerykanie i Anglicy zamykali Kubańczyków, Filipińczyków i Burów po to, aby odciąć partyzanckie oddziały od zaplecza. Masowa śmiertelność była w tych obozach przede wszystkim następstwem panujących w nich warunków. Największe żniwo śmierci zbierały epidemie. Nie stosowano rozbudowanego systemu niewolniczej pracy czy tortur i kar. Podobne rozwiązania pojawiały się także później w czasie wojen partyzanckich, np. w Algierii, gdzie Francuzi prowadzili politykę „przegrupowywania” ludności wiejskiej, czyli przymusowe deportowanie jej do strzeżonych obozów – bez opieki medycznej, pracy czy nauki. Do końca wojny znalazło się tam około dwóch milionów Algierczyków, a więc co piąty mieszkaniec kraju<sup>3</sup>.

2 J. Grabowska, *Dzieci i więźniowie małoletni w obozie koncentracyjnym Stutthof*, „Zeszyty Muzeum Stutthof” 1977, nr 2, s. 36.

3 J. Modrzejewska-Leśniewska, *Wojna w Algierii 1954-1962*, w: P. Ostaszewski (red.), *Konflikty kolonialne i postkolonialne w Afryce i Azji 1869-2006*, Książka i Wiedza, Warszawa 2006, s. 376. Szerzej: K. Sutton, *Population Resettlement - Traumatic Upheavals and the Algerian Experience*, „The Journal of Modern African Studies” 1977, Vol. 15, No. 2, s. 286.

1 R. Hilberg, *Zagłada Żydów europejskich*, t. 1-3, przeł. J. Giebułtowski, Wydawca: Piotr Stefaniuk, Warszawa 2014, s. 1070-1071.

Aby zrozumieć rolę obozów należy zatem uwzględnić kontekst społeczny. Bez wątpienia wpływ na funkcjonowanie obozów ma występowanie lub nie wojny partyzanckiej, wojny między państwowej, rewolucji lub buntu społecznego, ludobójstwa. Gdy radykałowie planują głęboką transformację społeczną, to obozy zyskują nowe funkcje. Z drugiej strony radykalna zmiana społeczna może przebiegać bez tworzenia systemów obozów koncentracyjnych. Niemcy i sojusznicy stworzyli zarówno system obozów koncentracyjnych, jak i zagłady, które odgrywały kluczową rolę w ramach ludobójstwa Żydów i Romów. Z kolei Hutu i Turcy przeprowadzili ludobójstwa totalne bez stworzenia systemu obozowego (odpowiednio w Rwandzie w 1994 r. i w Imperium Osmańskim w latach 1915-1918), choć w tym drugim przypadku można mówić o docelowych miejscach koncentracji na pustyni (które były jednak „obozami zagłady”).

Doświadczenia II wojny światowej sprawiły, że pojęcie obozu koncentracyjnego zyskało szczególnie negatywne konotacje. Dlatego dziś bardzo trudno używać go, nie budząc sporych emocji. Przykładem jest dyskusja publiczna o „polskich obozach koncentracyjnych” po II wojnie światowej<sup>4</sup>. Powojenne obozy w Polsce często nie tylko korzystały z infrastruktury obozów niemieckich, ale również pełniły niektóre funkcje nazistowskich obozów koncentracyjnych<sup>5</sup>. W dyskusji tej rzadko wspomina się obóz w Berezie Kartuskiej z okresu międzywojennego, który jeszcze lepiej spełniał nasze wyobrażenia obozu koncentracyjnego<sup>6</sup>. Nie jest to tylko polska specyfika – w USA na przykład spore emocje od lat siedemdziesiątych XX wieku budziła debata na temat wojennych obozów internowania dla Japończyków jako obozów koncentracyjnych. Jednym z pierwszych naukowców, którzy nazwali je obozami koncentracyjnymi, jest Roger Daniels, który w 1971 r. opublikował książkę *Concentration Camps USA: Japanese Americans and World War II*. Jest to sytuacja podobna do tej, w której badacze *genocide studies* (studiów nad ludobójstwem) rozstrzygają o tym, czy mieliśmy w danym przypadku do czynienia z ludobójstwem. Odpowiedzią uznania jakiegos przypadku prowadzi do oskarżeń o uprzedzenia, polityczne interesy lub brak uznania dla cierpienia ofiar. Rezygnacja z tych obciążonych terminów i zastąpienie ich technicznymi neologizmami nie wydaje się jednak ani płodna poznawczo, ani skuteczna, biorąc pod uwagę obieg naukowy.

### Początki obozów

Obozy pojawiły się na hiszpańskiej Kubie jako element strategii walki z powstaniem. Generał Valeriano Weyler y Nicolau walcząc z powstańcami skoncentrował w 1896 r. około 400 tysięcy starców, kobiet i dzieci, odcinając powstańców od zaplecza<sup>8</sup>. Cywile byli

przymusowo przesiedlani w obręb ufortyfikowanych miast. Wcześniej pozbawiano ich majątku. Ci, którzy się ukrywali poza obozami, byli zabijani. Cywile mogli swobodnie poruszać się wewnątrz otoczonych drutem kolczastym miast, ale pozostawiono ich samych sobie, nie dostarczając im ziarna, narzędzi i zwierząt rolniczych. Słoczenie i głód przyniosły epidemie i masową śmierć – jak się szacuje, w półtora roku zmarło około 150 tys. cywilów (10 proc. przedwojennej populacji wyspy)<sup>9</sup>. Strategię tę określano jako *reconcentración*. Sytuację wykorzystali Amerykanie, którzy od dawna chcieli opanować Kubę ze względów wojskowych i gospodarczych. 25 kwietnia 1898 r. USA wypowiedziały wojnę Hiszpanii i szybko ją wygrały.

Po wygranej w wojnie z Hiszpanią USA, dławiąc opór powstańców, wprowadziły koncentrację ludności na Filipinach, hiszpańskiej kolonii od XVI wieku<sup>10</sup>. Wpływ na to miało przekonanie, że „tubylcy” są zbyt zacofani, by sami sobą rządzić. Prezydent USA William McKinley zauważył: „Nie pozostało nam nic innego, jak przejąć Filipiny, ucywilizować ich mieszkańców, wykształcić, nawrócić na chrześcijaństwo i z łaski bożej robić dla nich to, na co nas stać, jak dla ludzi, za których Chrystus oddał życie”<sup>11</sup>. Amerykanie dopuścili się na Filipinach wielu zbrodni<sup>12</sup>. Ponownie żniwo śmierci zbierały epidemie. Ogółem wojna na Filipinach doprowadziła do śmierci kilkuset tysięcy cywilów, z czego ponad 11 tysięcy ofiar wynikało z zamknięcia ludzi w obozach koncentracyjnych<sup>13</sup>. Ciekawe w tym kontekście są spostrzeżenia afroamerykańskich żołnierzy, którzy sami doświadczali przejawów rasizmu i obserwowali, jak biali Amerykanie traktują Filipinczyków<sup>14</sup>. Jak widać, potępiana strategia walki z powstańcami, która uzasadniała wojnę z Hiszpanią, została szybko przejęta ze względu na jej skuteczność.

Następnie Brytyjczycy założyli obozy dla Burów w czasie wojny imperialnej 1899–1902<sup>15</sup>. Należy pamiętać, że Burowie – jako biali potomkowie m.in. holenderskich osadników – nie budzili takiej niechęci, jak „obcy rasowo” autochtoni. Obozy nie miały ich eks-terminować, ale pozwolić wygrać wojnę z partyzantami. Początkowa śmiertelność *wynikała z fatalnych warunków* panujących w obozach koncentracyjnych. Anglicy zaangażowali spore siły i środki, aby powstrzymać epidemie w obozach dla Burów. W 1901 r. uwięzieni byli w złej kondycji zdrowotnej i odnotowano wysoką śmiertelność<sup>16</sup>. Sprowadzono zatem nowych lekarzy i pielęgniarki oraz zaangażowano się w leczenie chorób

Przedświt, Warszawa 1990, s. 33.

4 Por. M. Łuszczyna, *Mała zbrodnia. Polskie obozy koncentracyjne*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2017.  
5 E. Nowak, *Obozy na Śląsku Opolskim w systemie powojennych obozów w Polsce (1945-1950). Historia i implikacje*, Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2002.  
6 W. Sleszyński, *Utworzenie i funkcjonowanie obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej (1934-1939)*, „Dzieje Najnowsze” 2003, nr 2, s. 35-53.  
7 Szerzej: N. Filinowicz, *Życie amerykańskich Japończyków w obozach internowania*, „Białostockie Teki Historyczne” 2013, tom 11, s. 211-230.  
8 A.J. Kamiński, *Koszmar niewolnictwa. Obozy koncentracyjne od 1896 do dziś. Analiza*, przeł. H. Zarychta i autor, Wydawnictwo

9 A. Pitzer, *Noc, która się nie kończy. Historia obozów koncentracyjnych*, przeł. B. Pietrzyk, Znak Horyzont, Kraków 2020, s. 39-42, 51.  
10 A.J. Birtle, *The U.S. Army's Pacification of Marinduque, Philippine Islands, April 1900-April 1901*, „The Journal of Military History” 1997, Vol. 61, No. 2, s. 255-282.  
11 Cyt. za: L. Mularska-Andziak, *Wojna o Kubę i Filipiny (1898)*, w: P. Ostaszewski (red.), *Konflikty kolonialne i postkolonialne w Afryce i Azji 1869-2006*, Książka i Wiedza, Warszawa 2006, s. 64.  
12 R.E. Welch Jr., *American Atrocities in the Philippines: The Indictment and the Response*, „Pacific Historical Review” 1974, Vol. 43, No. 2, s. 233-253.  
13 A. Pitzer, *Noc, która się nie kończy...*, s. 63.  
14 T.D. Russell, „I feel sorry for these people”: *African American soldiers in the Philippine-American war, 1899-1902*, „The Journal of African American History” 2014, Vol. 99, No. 3, s. 206-207.  
15 E. van Heyningen, *A tool for modernisation? The Boer concentration camps of the South African War, 1900-1902*, „South African Journal of Science” 2010, Vol. 106, No. 5/6, Art. #242.  
16 Tamże, s. 3.

i poprawę higieny. O wiele gorsza sytuacja panowała w obozach dla czarnoskórych mieszkańców, która nie budziła oburzenia brytyjskiej opinii publicznej<sup>17</sup>. Zmarło ponad 27 tys. internowanych Burów, prawie 80 proc. zmarłych stanowiły dzieci<sup>18</sup>.

Szczególnie wyrazistym przykładem ludobójstwa częściowego jest mord na ludach Herero i Nama w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej (dzisiejszej Namibii) w latach 1904–1908. W 1884 r. cesarstwo niemieckie ogłosiło protektorat nad tym krajem. Zapoczątkowało to (niezbyt dynamiczny) proces kolonizacji<sup>19</sup>. Napływ osadników, którzy traktowali rdzenną ludność z rasową pogardą, doprowadził do licznych konfliktów. W 1904 r. wybuchają powstania – najpierw Hererów (12 stycznia), a później Namów (w październiku). Mimo przewagi w uzbrojeniu Afrykanie stawiali heroiczny opór, co wzbudziło gniew Niemców. Berlin przysłał zatem korpus ekspedycyjny pod dowództwem Lothara von Trothy, który postanowił nie tylko zdławić powstanie, lecz także ostatecznie rozwiązać „problem” rdzennych mieszkańców. Odrzucono wszelkie negocjacje z Hererami, nawet jeśli domagali się oni przestrzegania praw wcześniej zagwarantowanych przez niemieckiego protektora. Opinia publiczna żądała bowiem ukarania rebeliantów<sup>20</sup>. W bitwie pod Waterbergiem (11-12 sierpnia) Niemcy odnieśli ostateczny sukces nad Hererami.

Po zdławieniu powstania niemieckie siły zbrojne wymordowały i doprowadziły do śmierci w wyniku pragnienia i głodu około 65 tys. Hererów<sup>21</sup> i ponad 10 tys. Namów<sup>22</sup>. Choć w pierwszej fazie mamy do czynienia z typową pacyfikacją powstania rdzennej ludności w kolonii (a nie ludobójstwem), niezadowolonej z eksploatacji przez osadników i kolonialną administrację, to po szybkim zwycięstwie doszło do eksterminacji cywilów. Większość tubylców zmarła na skutek odizolowania ich na pustyni Omaheke (Kalahari), pracy niewolniczej i rozmyślnej kłęski głodu. Należy przy tym podkreślić, że Niemcy celowo zmusili Hererów do ucieczki na pustynię, po czym kontrolując źródła wody i ustanawiając kordon, uniemożliwili im powrót. Złapanych Afrykańczyków, jeśli nie odsyłano na pustynię, osadzano ich w obozach koncentracyjnych, gdzie masowo umierali<sup>23</sup>. Smutną zapowiedzią nazistowskich praktyk było pozyskiwanie czaszek Hererów i Namów oraz przeprowadzanie na nich eksperymentów medycznych. Obozy koncentracyjne zamknięto dopiero w 1908 r., a ocalałą ludność przydzielono jako niewolników poszczególnym osadom.

Oboz koncentracyjny narodził się zatem w krwawych wojnach kolonialnych. Cztery imperia zastosowały ten wynalazek na trzech kontynentach, odwołując

się do moralności tylko wtedy, gdy atakowały wrogów i uzasadniały własne brutalne rządy.

W kolejnych dekadach powstawały kolejne obozy koncentracyjne. Najstraszniejsze – w ZSRR i w III Rzeszy. W ZSRR obozy funkcjonowały w latach 1918-1957, a w III Rzeszy w latach 1933-1945. Cesarstwo Japonii prowadziło obozy w latach 1937-1945, używając ich jako narzędzia władzy i dominacji już podczas II wojny chińsko-japońskiej. Satelickie państwo III Rzeszy – Niezależne Państwo Chorwackie – prowadziło obozy w latach 1941–1945, zamykając w nich poza Żydami i Romami także Serbów.

Koniec II wojny światowej nie zakończył historii obozów koncentracyjnych. Wykorzystywały je m.in. państwa kolonialne, walcząc z powstaniami rdzennej ludności – Francja w Algierii (1954-1962) i Wielka Brytania w Kenii (1952-1960). Demokratyczna Kambodża (Kambodża) cała zamieniła się w obóz koncentracyjny, ale uruchomiła też specjalne obozy (1975–1979). Wreszcie pod koniec XX wieku obozy prowadziły wszystkie strony wojny domowej w Bośni i Hercegowinie (1992-1995).

A to tylko wybrane przykłady! Pomijam tu m.in. chińskie (komunistyczne), włoskie (faszystowskie), hiszpańskie (frankistowskie) czy północnokoreańskie obozy koncentracyjne. Spróbujmy zatem spojrzeć na zmieniające się funkcje obozów koncentracyjnych, porzucając – z braku miejsca – szczegółową narrację historyczną.

## Masowa izolacja

To co łączy wszystkie przeanalizowane obozy, to przymusowa izolacja mas ludności. Obozów nie tworzone jako stałych instytucji życia społecznego, które miały funkcjonować obok więzień, pełniąc nowe funkcje (choć mogły działać przez kolejne dekady). Postrzegano je jako rozwiązania ekstraordynaryjne, związane z poważnymi wyzwaniem dla społeczności sprawców. Mogła to być wojna międzynarodowa (prowadzona przez Cesarstwo Japonii) wojna partyzancka (Filipiny, Transwal i Orania), czystka etniczna (Niezależne Państwo Chorwackie, Bośnia i Hercegowina), poskromienie zbuntowanych ludów kolonialnych (Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia, Algieria, Kenia), walka z kontrrewolucją (ZSRR) i wrogami politycznymi oraz „rasowymi” (III Rzesza), stworzenie „nowego człowieka” i stosunków społecznych (Kambodża) itd. Zakładano, że wraz z realizacją tego planu społecznego, obozy przestaną być potrzebne.

Więźniów obozów, nawet jeśli formalnie zamykano za konkretne przestępstwo, postrzegano jako członków określonej kategorii społecznej, która stanowiła zagrożenie dla społeczności sprawców. Mogła to być ludność cywilna, która zapewniała wyżywienie, schronienie i opiekę medyczną powstańcom (np. Kuba), osoby zagrażające obyczajności publicznej i kondycji społeczności sprawców (np. homoseksualiści w III Rzeszy), wrogowie polityczni (np. ZSRR), byli powstańcy i buntownicy (np. ludność Kikuju w Kenii) czy też członkowie wrogiego narodu (np. Chińczycy w obozach japońskich). Obozy były zatem mechanizmem polityki populacyjnej, która stawiała sobie za cel makrospołeczne cele. Uzasadnienia ideologiczne tych projektów (i wzięcia na celownik danej kategorii społecznej)

17 A. Pitzer, *Noc, która się nie kończy...*, s. 79-81.

18 Tamże, s. 91.

19 D. Olusoga, C. Erichsen, *Zbrodnia kajzera*, przeł. P. Tarczyński, Wydawnictwo Wielka Litera, Warszawa 2012, s. 63-96.

20 I.V. Hull, *Military culture and the production of „final solutions” in the colonies*, w: R. Gellately, B. Kiernan (red.), *The Specter of Genocide. Mass Murder in Historical Perspective*, Cambridge University Press, Cambridge 2003, s. 141–162.

21 Ph.W. Blood, *Siepacze Hitlera. Oddziały specjalne SS do zwalczania partyzantki*, przeł. S. Patlewicz, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2008, s. 41.

22 F. Chalk, K. Jonassohn, *The History and Sociology of Genocide. Analyses and Case Studies*, Yale University Press, New Haven, London 1990, s. 246.

23 D. Olusoga, C. Erichsen, *Zbrodnia...*, s. 216-230, 270-303.

mogły być bardzo różne – od dyskursu *Realpolitik*, nakazującego postrzegać wszystkich cywilów jako potencjalnych wrogów, niezależnie od ich indywidualnych działań, poprzez dyskurs rasistowski (np. „przestępcy żydowscy” w III Rzeszy), po ideologię komunistyczną, wyróżniającą kategorię kontrrewolucjonistów, którzy pojawiają się wraz z zaostrzeniem walki klasowej.

Bez wątplenia skazanie ludności na izolację wiązało się z postrzeganiem jej jako osób, które nie korzystają ze wszystkich praw człowieka Zachodu. W skrajnych przypadkach była to rasistowska dehumanizacja i wyłączenie ofiar „poza świat moralnych zobowiązań”<sup>24</sup>. Ale mogła to też być nieczułość militarnych strategów oraz poczucie wyższości, nakazujące „cywilizować” poddanych mieszkańców.

W części przypadków obozy spełniły swą rolę założoną przez sprawców, w innych nie. Generalnie wygrana lub przegrana w wojnie była głównym czynnikiem decydującym o sukcesie twórców obozów. I tak Brytyjczycy w Transwalu i Oranii oraz Amerykanie na Filipinach wygrali wojnę partyzancką, a izolacja ludności cywilnej odegrała w tej walce istotną rolę. Podobnie Cesarstwo Niemieckie ostatecznie poskromiło ludy Herero i Nama (winne jest zresztą ludobójstwa częściowego na tych społecznościach), zaś Wielka Brytania – Kikujów w Kenii. Z kolei Francuzi musieli wycofać się z Algierii, która uzyskała niepodległość. O klęsce projektów Niemców, Chorwatów i Japończyków zdecydowała przegrana w II wojnie światowej, zaś Czerwonych Khmerów klęska w wojnie z komunistycznym Wietnamem. Chorwaci i Serbowie w Bośni nie zrealizowali zaś swych projektów wielkich republik narodowych pod wpływem interwencji mocarstw (choć przeprowadzono czystki etniczne). Jedynie ZSRR przez dekady skutecznie wykorzystywał Gułag do utrzymywania totalitarnej i autorytarnej władzy, kolonizacji dalekiego wschodu i działalności gospodarczej.

Skutki zamknięcia w obozach były bardzo różne. Negatywne są oczywiste, a wystarczy już wskazać te dotyczące wszystkich przypadków: pozbawienie domu rodzinnego, nadzór i kontrolę, głód (wynikający także ze zmiany diety na nieznaną zamkniętej ludności) czy epidemie. Skupienie takich mas ludności sprawiało, że nasilało się myślenie w kategoriach biopolitycznych. Wyzwalało je przede wszystkim zagrożenie epidemiami, które stanowiły także zagrożenie dla strażników.

### Władza i okrucieństwo w obozach

Obozy stawały się przestrzeniami dominacji, w której funkcjonariusze państwa zamykającego zyskiwali znaczącą władzę. W części obozów strażnicy mieli skodyfikowane prawa i obowiązki, związane z eksploatacją, karaniem i torturowaniem więźniów. W innych dzięki swej pozycji mogli dopuszczać się ekscesów, nawet jeśli chodziło o możliwie humanitarne przetrzymywanie ludności cywilnej. W każdym jednak przypadku formalnym działaniom towarzyszyła nieformalna, a nawet nielegalna działalność strażników, którzy mogli realizować swe potrzeby – sadystyczne, seksualne czy ekonomiczne.

Tak było w przypadku Kenii. Stopniowo powstawał tam system więzień, ośrodków przesłuchań, obozów

pracy i koncentracyjnych oraz zamkniętych wsi (które od obozów koncentracyjnych różniły się tylko nazwą; więziono w nich głównie kobiety i dzieci). Zapędzono do nich mężczyzn, kobiety i dzieci. Jak szacuje Caroline Elkins<sup>25</sup>, pozbawiono wolności około półtora miliona ludzi, czyli prawie całą populację Kikujów. Więźniów obozów i zamkniętych wsi przetrzymywano – najczęściej bez żadnych wyroków – w strasznych warunkach. Zabijano mężczyzn, kobiety i dzieci. Głodzono, pozbawiano wody i opieki medycznej. Poddawano wymyślnym torturom (popularną metodą było rażenie prądem i przypalanie). Gwałcono – i to nie tylko kobiety. Mężczyzn kastrowano. Jeden z dowódców wzięty ranny do niewoli został publicznie spalony żywcem<sup>26</sup>. Pewien kolonista swą gorliwością dorobił się przydomka „Kenijski Joseph Mengele”, zaś Wydział Specjalny, stosujący masowo tortury, nazywano „kenijskim SS”<sup>27</sup>.

Zjawiska te nie należą tylko do odległej przeszłości i dalekich krajów. W czasie wojny w Bośni i Hercegowinie wszystkie strony tworzyły obozy, w których przetrzymywano wrogów, dopuszczając się wobec nich bestialstwa<sup>28</sup>. Szczególnie znane stały się obozy serbskie: Omarska (zlokalizowany w byłej kopalni rudy żelaza), Keraterm (fabryka wyrobów ceramicznych na obrzeżach Prijedoru), Trnopolje, Manjača<sup>29</sup>. Chorwaci prowadzili m.in. obóz Dretelj („bito tam mężczyzn i gwałcono kobiety”), zaś Bośniacy w Čelebići na południe od Sarajewa<sup>30</sup>. Niejednokrotnie strażnicy i więźniowie znali się wcześniej.

Generalnie postępowanie ze społecznością obozową zależało od tego, czy twórcy obozów stawiali sobie bardziej „ambitne” cele niż tylko izolację ludności. W obozach, które miały karać i resocjalizować lub wręcz kształtować „nowego człowieka” obserwujemy intensywne działania strażników i innych nadzorców. Podobnie było w przypadkach, gdy sprawcy planowali przeprowadzić czystkę etniczną lub ludobójstwo częściowe. Postawy wobec więźniów określały uprzedzenia narodowościowe, rasowe i ideologiczne, czasami trudne do uzasadnienia na gruncie dogmatyki oficjalnej ideologii. Na przykład, choć Czerwoni Khmerzy legitymizowali swe działania ideologią komunistyczną, w kreowanym przez nich dyskursie publicznym odnajdujemy wiele elementów rasistowskich, których ofiarą byli zwłaszcza Wietnamczycy, ale także Chińczycy<sup>31</sup>.

Hannah Arendt w *Korzeniach totalitaryzmu uznaje obozy koncentracyjne i zagłady reżimów totalitarnych (III Rzeszy, ZSRR i ChRL) za laboratoria, w których „poddaje się sprawdzeniu podstawowe założenia totalitaryzmu, głoszące, że wszystko jest możliwe”*. Dlatego obozy stanowią „wzór społeczeństwa dla totalnego pa-

24 H. Fein, *Genocide. A Sociological Perspective*, Londyn, Newbury Park, New Delhi 1993, s. 36.

25 C. Elkins, *Rozliczenie z imperium. Przemilczana historia brytyjskich obozów w Kenii*, przeł. K. Kopcińska, Świat Książki, Warszawa 2013, s. 13.

26 M. Pawelczak, *Kenia*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2004, s. 193.

27 C. Elkins, *Rozliczenie z imperium...*, s. 101, 125.

28 E. Markusen, *Genocide in Bosnia*, w: *Samuel Totten (red.), Teaching About Genocide: Issues, Approaches, and Resources*, Information Age Publishing, Greenwich 2004, s. 196-197.

29 E. Vulliamy, *Wojna umarła, niech żyje wojna. Bośniackie rozrachunki*, przeł. J. Ochab, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016, s. 13.

30 Tamże, s. 62-63.

31 C. Etcheson, *The Cambodian genocide*, w: *S. Totten (red.), Teaching About Genocide: Issues, Approaches and Resources*, Information Age Publishing, Greenwich 2004, s. 170.

nowania w ogóle<sup>32</sup>. Nawet jeśli Arendt ma rację, to tylko w odniesieniu do części obozów koncentracyjnych w XX wieku. Co więcej, obozy w III Rzeszy i ZSRR nie były jądrem systemu, ale jedynie jego – bez wątpienia ważną – częścią. Były co najwyżej laboratorium dla „podludzi” i „dewiantów”, a nie wszystkich członków wspólnoty państwowej, której wizja wyłania się z takich dokumentów, jak nazistowski Generalny Plan Wschodni (Generalplan Ost).

Kambodżańskie komuny (najbardziej odległe od potocznego wyobrażenia obozu koncentracyjnego) były miejscem tworzenia nowego, autarkicznego społeczeństwa chłopów. Wymagało to eksterminacji wrogów i reedukacji podejrzanych. Czerwoni Khmerzy na celownik wzięli nie tylko mniejszości etniczne i religijne (Wietnamczyków, Czamów, Chińczyków, Laotańczyków i Tajów) oraz mnichów buddyjskich, ale również etnicznych Khmerów (stąd pojęcie „autoludobójstwa”). Kluczowy okazał się podział na „Starych” i „Nowych” ludzi. Ci pierwsi (*multethan*) pochodzili z regionów, które na długo przed końcem wojny domowej znajdowały się pod panowaniem komunistów. Ci drudzy (*bennheu*), zwani też „ludźmi 17 kwietnia” (tego dnia w 1975 r. Czerwoni Khmerzy wkroczyli do stolicy), zamieszkali enklawy, które pozostawały najdłużej pod władzą Lon Nola (generała i prezydenta, który zdobył władzę w wyniku zamachu stanu)<sup>33</sup>. Także mieszkańcy miast postrzeganych jako siedliska zepsucia i zagranicznych wpływów zostali wypędzeni i zagnani do komun. Podobny los spotkał studentów i osoby wykształcone. Byli oni poddani drakońskiej dyscyplinie, wyczerpującej pracy i karani za najmniejsze przewinienia. Często padali też ofiarą mordów.

Wypędzenie Khmerów z miast i zamknięcie ich w komunach, w których podlegali totalitarnemu nadzorowi (nie udało się go osiągnąć na poziomie państwa) pozwala postrzegać komuny jako obozy koncentracyjne, choć sytuacja w nich była bardzo zróżnicowana. Obok zwykłych kooperatyw istniały obozy reedukacyjne, w których panowały cięższe warunki pracy<sup>34</sup>.

Okrucieństwa i mordy nie były jedynie następstwem lokalnej wersji „kolektywizacji”, ale wynikiem wcielenia w życie utopijnego projektu społecznego. Władze centralne w Demokratycznej Kampuczy pozostawały słabe, co sprawiało, że znaczną władzę (także interpretacji zaleceń partyjnych) zyskiwali lokalni zarządcy<sup>35</sup>.

Na tym nie kończy się katalog funkcji obozów koncentracyjnych. Można by jeszcze wspomnieć na przykład o „ekonomii niewolników” (widocznej zwłaszcza w obozach w koloniach czy w Gułagu). Niektóre obozy stawały się nie tylko źródłem niewolniczej siły roboczej, ale również obiektów do eksperymentów medycznych i pseudomedycznych oraz źródłem ciał i ich części na potrzeby badań i dydaktyki. Ograniczone ramy tego artykułu wymagają jednak przejścia do konkluzji<sup>36</sup>.

32 A. Hannah, *Korzenie totalitaryzmu*, przeł. D. Grinberg, M. Szawiel, Świat Książki, Warszawa 2014, s. 511, 512.

33 A.W. Jelonek, *Kambodża*, Wydawnictwo Trio, Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2008, s. 153-154.

34 A.W. Jelonek, *Rewolucja Czerwonych Khmerów 1975-1978. Studium autarkicznego rozwoju*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 1999, s. 147.

35 Tamże, s. 75.

36 Szerzej: L.M. Nijakowski, *Obóz koncentracyjny jako narzędzie władzy i transformacji społecznej w XX wieku*, „Kultura i Społeczeństwo” 2019, nr 2, s. 9-38.

## Wielość współczesnych obozów?

Niektórzy badacze wykorzystują pojęcie obozu koncentracyjnego nie po to, aby włączać się w konflikty o interpretację przeszłości, ale by wzmocnić swój przekaz krytyczny. Przykładem może być filozofia Giorgio Agambena, który uznał obóz koncentracyjny za biopolityczny paradygmat nowoczesności<sup>37</sup>. W tej perspektywie za nowoczesne obozy koncentracyjne można uznać obozy dla uchodźców czy więzienie w Guantanamo, ale także państwowe domy starców. Mówi się także o obozach w sensie negatywnym (np. ośrodki zatrzymań) i pozytywnym (np. grodzono osiedla dla bogaczy)<sup>38</sup>. To jeszcze bardziej rozmywa sam termin i czyni debatę naukową bardziej emocjonalną.

Jak widzieliśmy, przymusowa koncentracja ludności jest wspólną cechą obozów koncentracyjnych w bardzo różnych systemach obozowych. Nie ma zatem sensu mówić o obozach koncentracyjnych wtedy, gdy koncentracja oparta jest na – przynajmniej częściowej – dobrowolności. Nielegalni migranci i uchodźcy trafiają do obozów, ale sami podejmują decyzję o przekroczeniu granicy. Mogą także zgodzić się na deportację. Nawet jeśli potępimy same obozy dla uchodźców ze względów moralnych, to widzimy, że trudno mówić o nich jako o obozach koncentracyjnych, nie tylko ze względu na panujące tam warunki życiowe.

Z kolei ośrodki przesłuchań bliższe są instytucji więzienia lub aresztu. Dotyczy to nawet Guantanamo, choć w tym przypadku jest to przypadek pogranicza. Oczywiście, możemy i powinniśmy potępić tortury, ale negatywne zachowania strażników nie charakteryzują tylko obozów koncentracyjnych. W przypadku obozów ważne jest stosowanie odpowiedzialności zbiorowej i postrzeganie ofiar jako członków określonej kategorii społecznej, która stanowi zagrożenie dla społeczności sprawców. Ośrodki przesłuchań, nawet jeśli ich funkcjonowanie łamie międzynarodowe czy krajowe prawo, na cel biorą bardziej precyzyjnie zdefiniowanych wrogów (co nie oznacza, że nie zdarzają się zbrodnicze przypadki).

Obozy koncentracyjne są częścią naszej współczesności, aby wspomnieć tylko o obozach w Korei Północnej. Ale wiele funkcji obozów wykorzystują także inne instytucje, zwłaszcza areszty, więzienia i obozy jenieckie. Krytykując zbrodnie państw nie powinniśmy nadużywać terminu „obóz koncentracyjny”, podobnie jak mówiąc o masowych zbrodniach stosować jedynie terminu „ludobójstwo”. Niestety, wszystko wskazuje na to, że historia obozów koncentracyjnych jeszcze się nie zakończyła.

LECH M. NIJAKOWSKI

37 G. Agamben, *Homo sacer. Suwerenna władza i nagie życie*, przeł. M. Salwa, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008.

38 B. Diken, *Od obozów dla uchodźców do osiedli grodzonych. Biopolityka i koniec miasta*, „Praktyka Teoretyczna” 2011, nr 2-3/2011, s. 134.

STANISŁAW GĘBALA

# POLITYCZNY GENIUSZ PREZESA

Wiele razy zdarzało mi się słyszeć, że Jarosław Kaczyński jest obdarzony geniuszem politycznym i za każdym razem reagowałem w ten sam sposób – po prostu śmiechem. Czuję się więc teraz tym bardziej moralnie zobowiązany wyznać, że zaczynam dzielić tę opinię. Z jednym uzupełnieniem: jest niewątpliwie geniuszem destrukcji, którą nazwałbym symultaniczną. Posługuję się pojęciem raczej z dziedziny teatrologii niż politologii, znanym także szachistom i może właśnie porównanie do równoczesnej gry na wielu szachownicach będzie tu najodpowiedniejsze pod warunkiem, że zdołamy wyobrazić sobie sytuację, w której rozgrywający symultane potrafi skupić uwagę widowni głównie na jednej szachownicy, przedstawiając w tym samym czasie niepostrzeżenie figury również na innych.

A oto pierwszy z brzegu przykład geniuszu Prezesa. Niemal nazajutrz po wygranych przez PiS wyborach w jesieni 2015 rozpoczął spektakularną wojnę z władzą sądowniczą, uderzając w Trybunał Konstytucyjny. Oczywiście, opozycja natychmiast uznała to za zamach na monteskiuszowską zasadę trójpodziału władzy i wezwała do obrony niezależności sądów. Zaczęły się manifestacje organizowane m.in. przez KOD, który wkrótce sam stał się przedmiotem odwetowych ataków, więc opozycja musiała bronić również jego, a Prezes wskazywał coraz to nowych wrogów. W tym samym czasie Sejm i Senat pracowały w dzień i noc, produkując kolejne ustawy w tempie dotąd niespotykanym, którego osiągnięcie umożliwił prosty „myk”: zgłaszanie projektów ustaw, pisanych na kolanie w Ministerstwie Sprawiedliwości (przeważnie przez młodych ludzi o zdrowych kolanach), jako inicjatyw poselskich, które nie wymagają konsultacji społecznych, bo prze-

cież PiSowska większość to społeczeństwo najpełniej reprezentuje. Opozycja wprawdzie natychmiast zaczęła głośno protestować przeciw przekształceniu obu izb parlamentu w „maszynki do głosowania”, ale chyba nie od razu zorientowała się, że właśnie przestała istnieć autonomicznie władza ustawodawcza, całkowicie podporządkowana władzy wykonawczej, gdyż „maszynki” w żadnym wypadku nie są w stanie spełniać funkcji władczych.

Nocne „procedowanie” było pomysłem tyleż genialnym co szatańskim, bo do tego stopnia wyczerpywało fizycznie posłów, że zapewne z wdzięcznością myśleli o władzy, która ich zwolniła z trudu faktycznego tworzenia projektów ustaw i wielu zapewne wrogo odniosłoby się do każdego, kto wymagałby od nich jeszcze umysłowego wysiłku. Tak więc o ile przeważająca większość sędziów stawiała zdecydowany opór władzy wykonawczej, o tyle większość przedstawicieli władzy ustawodawczej w Sejmie i Senacie zapewne z ulgą przyjęła do wiadomości, że oczekuje się od niej tylko podnoszenia jednej ręki przy równoczesnym naciśnięciu drugą odpowiedniego guzika. Niby proste, ale o drugiej, trzeciej czy czwartej nad ranem samo rozróżnianie kolorów guzików nie jest wcale łatwą sprawą. Na dowód, że nie ironizuję, niech wystarczy pokazywane wielokrotnie w telewizji zdjęcia starszego człowieka, Krzysztofa Jurgieła śpiącego w fotelu w jakimś zakamarku sejmowego gmachu.

\*

Ale Prezes, jak wiadomo, nie śpi w nocy. To uciążliwa anomalia – jednak chyba nie na tyle, żeby obalać demokratyczny ustrój państwa? Chociaż... niekiedy

nawet dziecinne resentymenty wyniesione z zabaw na podwórku mogą być – po upływie wielu dziesięcioleci – źródłem niszczących całe społeczeństwa politycznych konfliktów. Na przykład: obserwując (rzecz jasna, tylko w relacjach medialnych) zaciekłość, z jaką Prezes prowadził swoją batalię przeciw I Prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzacie Gersdorf, nie mogłem się oprzeć podejrzeniu, iż zarzewie tej wojny zatliło się jeszcze w piaskownicy.

Drugiego przykładu nie muszę już uzupełniać pracą swojej wyobraźni, gdyż zapamiętałem go z opowieści innego (choć równie znienawidzonego) prezesa, sędziego i profesora w jednej osobie – Andrzeja Rzeplińskiego, który sięgnął w jednej z rozmów przed kamerą TVN 24 do wspomnień z uniwersyteckiego studium wojskowego, kiedy w kolumnie marszowej on sam miał stałe miejsce w pierwszej czwórce, a bracia Kaczyńscy – w ostatniej.

Oczywiście Prezes (przez największe P) z całym swoim geniuszem politycznym nie byłby w stanie dokonać takich spustoszeń w gmachu państwa bez oddanych pomocników, stojących z nim w karnych szeregach. Nie muszę chyba dodawać, kto wyznacza kolejność tych szeregów; ale zanim odważę się wymienić kogoś z pierwszego szeregu, proponuję „ocalić od zapomnienia” zasługi dwóch ostatnich pomocników, którzy jednak zasłużyli się wyjątkową gorliwością.

Cytuję „Onet WIADOMOŚCI” z 22. sierpnia 2019:

„Tomasz Szmydt, sędzia stołecznego Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego pracujący wówczas w Ministerstwie Sprawiedliwości (później został szefem Biura Prawnego Krajowej Rady Sądownictwa), zamieścił na grupie »Kasta« zdjęcie I Prezesa Sądu Najwyższego i napisał:

*Radzę się spakować, pożegnać i wypier...ć!!!*

Innym członkiem grupy »Kasta« [...] był sędzia Arkadiusz Cichoński, obecnie z Sądu Apelacyjnego w Katowicach. Wtedy odpowiadał Szmydtowi, porównując prof. Gersdorf do swojej jamniczki:

*Miałem kiedyś jamnika, suczkę. Brysia też miała taką minę. Ale po wyprowadzeniu jej przechodziło (tu emotikon pokazujący głęboki namysł – red.) Może po prostu wyprowadzić trzeba?”*

\*

Co za finezyjna zabawa porównaniami! I gdzie tu jest hejt? – zapytałby zapewne dziś, gdy już wykorzystano cały słownik wulgaryzmów, nawet bardzo kulturalny (i nie tylko „prawdziwy”) Polak. Zresztą skróć jedynego niewątpliwego wulgaryzmu w powyższym cytacie wszedł w powszechny obieg z „winy Tuska”, który chyba jako pierwszy przytoczył publicznie nowe słowo „wypierpol”, mające zastąpić „polexit”. Ale zostawmy Tuska prokuratorom i sejmowym komisjom śledczym i wróćmy do Prezesa, który (niechcący?) uruchomił lawinę hejtu, zapewniając tuż po zwycięskich wyborach w 2015 roku, że nie będzie żadnych ustaw przeciw mowie nienawiści.

\*

I nie ma – co znakomicie ułatwia profesjonalizowanie i instytucjonalizowanie hejtu, a to z kolei umożliwia wykorzystanie go jako nader skutecznego narzędzia w walce politycznej.

„W państwie PiS nienawiść została upaństwowiona. Dziś ma legalny status. Państwo smaruje wielkimi pieniędzmi aparat kłamstwa i dezinformacji, który działa wedle recepty: kłam, kłam, a zawsze coś się przyklei” – napisał Jarosław Kurski w krótkim wstępie od redakcji w *CZARNEJ KSIĘDZE PiS*, specjalnym dodatku do „Gazety Wyborczej” z 18. września 2019 r. Trzeba koniecznie przeczytać go od deski do deski, żeby uświadomić sobie rozmiary spustoszeń, jakie spowodowały w społeczeństwie *Cztery lata siania nienawiści* – to oskarżenie jest tytułem dodatku, w którym (oczywiście oczywistość) nie mogło również zabraknąć solennego zaprzeczenia Prezesa: „– My nigdy nie sialiśmy nienawiści. Jedyne przedstawialiśmy naszą diagnozę sytuacji w Polsce, dziś dość powszechnie zaakceptowaną i potwierdzaną przez licznych badaczy. Czasem się zdarzało, że dosadnie”. Przytoczyły je Agata Kondzińska i Iwona Szpala, autorki artykułu pt. *Zdradzieckie mordy! Jesteście kanalami!*, zaczynającego się od przypomnienia scenki, która i mnie kiedyś zachwyciła:

„»Cała Polska z was się śmieje...« – krzyczy do mikrofonu Jarosław Kaczyński, a Joachim Brudziński dopowiada: »...komuniści i złodzieje!«. Odgrywają scenkę na dwa głosy, prezes PiS jest z siebie bardzo zadowolony”.

\*

Amatorski teatrzyk PiS-u zawsze mnie intrygował. Przede wszystkim jego infantylizm i – właśnie! – amatorszczyzna, którą cechuje szczególne upodobanie do nadekspresyjności. Teatrzyk rozpoczął ostatniej jesieni (po wyborach parlamentarnych) już piąty sezon. Wspomnianą wyżej scenkę z grudnia 2015 można by uznać za inaugurację pierwszego sezonu, gdyby nie fakt, że prawie pół roku wcześniej zadebiutował w roli prezydenta Andrzej Duda, ujawniając od razu jeśli nie wybitny talent aktorski, to w każdym razie szczególne upodobanie do płomiennych monologów wygłaszanych w tonacji patetycznej i wzmacnianych jeszcze nader wyrazistą mimiką. Przyznam, że na mnie największe wrażenie wywarły słowa „jestem niezłomny”, bo przypomniały mi natychmiast mojego ulubionego bohatera literackiego z *Ferdynand* Witolda Gombrowicza. Chodzi mi, oczywiście, o Syfona, który odważnie powiedział o sobie na słynnej lekcji poświęconej poezji Słowackiego „jestem bezkompromisowy”. Przypomnijmy sobie zresztą krótki cytat:

„– Przepraszam pana profesora [...] ale nie mogę wdawać się w żadne kompromisy, gdyż jestem bezkompromisowy i nie mogę sprzeniewierzać się sobie ani zdradzać siebie.”

Wystarczy wymienić „profesora” na Prezesa i będzie pasować, jak ulał...

No nie... Co ja wypisuję? Odmówić Prezesowi?!

\*

Wróćmy jednak do teatrzyku. Bez wątplenia trzecią jego gwiazdą – zaraz po Prezesie i Prezydencie – jest Zbigniew Ziobro, którego kariera aktorska doznała przed laty załamania, kiedy nagle głos odmówił mu posłuszeństwa w warunkach plenerowych i z jego gardła wydobyło się coś jakby pianie koguta (jest nawet takie powiedzenie: „wyciął koguta”). Ale chyba od tamtego fatalnego zdarzenia mocno pracował nad



właściwym ustawieniem (w szkołach aktorskich to się nazywa „impastacja”) głosu, gdyż operuje nim pewnie zarówno w monologach jak i dialogach. Właśnie jeden z dialogów mocno utkwiał mi w pamięci – co prawda, przede wszystkim ze względu na niewątpliwie dramatyczne okoliczności związane z wizytą przedstawicieli Komisji Weneckiej, którzy przyjechali do nas w styczniu bieżącego roku na zaproszenie marszałka Senatu. Najpierw w monologu zmiażdżył ich słowami o wadze co najmniej tony (każde z osobna):

„– Tym mędrcom, tym pyszałkom, którzy przyjeżdżają do Polski z nadęciem, chciałbym powiedzieć, że tego rodzaju tony obraźliwe nie zostaną nigdy przez Polskę zaakceptowane”...itd. (Łukasz Woźnicki, Tomasz Bielecki: *Komisja Wenecka: Odrzućcie „ustawę kagańcową”*. „Gazeta Wyborcza” z 17. stycznia 2020)

Na czubek piramidy kamieni, którymi przywalił intruzów, wtoczył jeszcze najcięższy głaz, zarzucając im „neokolonialne myślenie”, ale Marcin Warchoła, jego partner w scenie dialogowej, która nastąpiła zaraz po monologu, przeliczył zastępując „neokolonialne” po prostu „kolonialnym” i dodając jeszcze „podwójne standardy”, „zakłamanie”, „hipokryzję”. Pełny zapis tego dialogu powinien znaleźć się w podręcznikach akademickich na wszystkich kierunkach studiów humanistycznych. Nie, sam zapis tekstu nie wystarczy – trzeba koniecznie uzupełnić go filmem pokazującym w częstych zbliżeniach twarze aktorów, wyrażające w sposób niezwykle wyrazisty całą gamę sprzecznych emocji: pogardę dla mędrców-pyszałków, patriotyczne uniesienie i oburzenie („będziemy bronić polskiej godności”), kompleksy niższości i wyższości („Polskę stawia się obok Albanii i Mołdowy”, „Polakom wolno mniej niż Niemcom”, „segregacja”, „jesteśmy gorsi”, „jesteśmy głupszy”, „cywilizacyjnie mniej dojrzały”), a w następnej sekundzie samouwielbienie i człołbitność wobec zwierzchnika.

Jeszcze raz przywołam Gombrowicza: to był dialog „dzieckiem podszyty”. Każde słowo naznaczał nieznośny infantylnizm. Po wdeptaniu w ziemię autorytetów prawniczych z Komisji Weneckiej Zbigniew Ziobro wskazał prawdziwy autorytet – „pana profesora Warchoła”, który też na uniwersytecie kształcił studentów, po czym zachęcił „pana profesora” do oceny raportu sporządzonego przez „mędrców” z Komisji Weneckiej tak, jak ocenia prace swoich studentów, co „pan profesor Warchoła” zrobił z nieukrywaną satysfakcją i radością stawiając im – oczywiście – „dwóję”. W tym momencie doświadczyłem dziwnego złudzenia optycznego: zobaczyłem na ekranie telewizora nie poważnych urzędników państwowych w randze ministra i wiceministra, ale dwóch małych chłopców w krótkich spodenkach. Później (a może wcześniej?) dowiedziałem się jeszcze, że jeden z nich (ten grający rolę „pana profesora”) zrobił „mędrcom” szkolarski kawał: zaprosił ich, zamiast na rozmowy do Ministerstwa Sprawiedliwości, na wycieczkę do Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL.

\*

A premier Mateusz Morawiecki? On chyba zupełnie nie ma ambicji aktorskich i realizuje się artystycznie wyłącznie jako gawędziarz. Po nim spodziewam się więc już tylko np. futurologicznej opowieści o planie re-

gularnego dolewania wody do Wisły, żeby utrzymać jej żeglowność przez cały rok i na całej długości – od źródeł Białej i Czarnej Wisłęki aż do ujścia. Rzecz jasna, jego realizacja nastąpiłaby zaraz po przekopaniu Mierzei Wiślanej, zbudowaniu Centralnego Portu Lotniczego i urzeczywistnieniu pół tuzina innych ambitnych projektów. Wracam zatem do prezydenta Andrzeja Dudy. Ponieważ wspominałem dotąd jedynie o jego debiucie sprzed lat prawie pięciu, trzeba jeszcze chwilę poświęcić pamiętnym wystąpieniom ze stycznia bieżącego roku, które muszę jednak potraktować bez cienia ironii, gdyż od wypowiedzianych wtedy słów powiało grozą. Oczywiście wcześniej były monologi skrzzące się przednimi dowcipami, ale to już temat publicystycznie wyeksploatowany.

17. stycznia w Zwoleniu wykrzyczał słowa, które miały zmobilizować naród (a przynajmniej elektorat zjednoczonej prawicy): „Nie będą nam tutaj w obcych językach narzucali, jaki ustrój mamy mieć w Polsce i jak mają być prowadzone polskie sprawy”. Było to wezwanie do obrony przed „nowym zamachem na suwerenność i niepodległość” (naszą, ma się rozumieć) – a więc w sytuacji najwyższego zagrożenia, nazwanego tak dzień wcześniej przez Prezesa. Obaj panowie najwyraźniej stracili poczucie miary językowej – dość dawno zresztą.

Następnego dnia prezydent Andrzej Duda śmiało popłynął jeszcze dalej, zwracając się na spotkaniu w Katowicach do górniczej „Solidarności” o „wsparcie” w konflikcie z sędziami odmawiającymi podporządkowania się „reformom” PiS. Przyznaję, że najbardziej zgrzytliwie w moich uszach zabrzmiało właśnie słowo „wsparcie” – z powodu jego ogromnej pojemności znaczeniowej. Natychmiast przypomniałem sobie zajęcia sprzed przeszło pół wieku w studium wojskowym, na których to słowo nader często powtarzało się w opisach różnych sytuacji batalistycznych („wsparcie piechoty”, „wsparcie ogniowe... czołgowe... lotnicze...”). Chyba podobne skojarzenia miał senator Marek Borowski, który w rozmowie telewizyjnej zapytał, jakie ma być to „wsparcie” górniczej „Solidarności” – czy kilofami?

Chciałbym wierzyć, że prezydent Andrzej Duda nie takie „wsparcie” miał na myśli – ale nie mam pewności, bo zbyt dobrze pamiętam słowa Jarosława Kaczyńskiego wypowiedziane na konwencji PiS w Katowicach przed jesiennymi wyborami do Sejmu i Senatu: „wielka ofensywa zła”. A prezydent w „karczynie piwnej” popłynął bardzo daleko, mówiąc o „czarnych owcach”, które trzeba eliminować.

\*

„Karczmy piwne” czy po prostu piwiarnie źle się zapisały w historii przełomu lat 20. i 30. ubiegłego wieku – lepiej, żeby prezydent je omijał, wybierając raczej puby lub zwykłe bary.

A Prezes, który kiedyś w rozmowie z Teresą Torąską podobno powiedział żartobliwie, że chciałby zostać emerytowanym zbawcą Polski, ma właśnie okazję, żeby spełnić to swoje życzenie. Po prostu wystarczy odejść na emeryturę i zostawić Polskę w spokoju.

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

# POCHWAŁA GRZEGORZA KOŁODKI

Jak przedstawić osobę (osobistość raczej), która jest powszechnie znana, a dla środowiska, które stanowimy, jest autorytetem intelektualnym i politycznym? Przedstawię na początek trochę faktów i ocen, które następnie uzupełnię treścią nieco bardziej złożoną.

Profesor Grzegorz Kołodko należy do grona najwybitniejszych ekonomistów polskich i nie tylko polskich, bo jest najczęściej cytowanym polskim ekonomistą w publikacjach zagranicznych zarówno zachodnich, jak i dalekowschodnich. Jest świetnym wykładowcą akademickim i frapujące są jego wystąpienia w wielkich mediach, wobec których wcale nie jest posłuszny, a one ze swej strony dopuszczają jego wypowiedzi ostrożnie.

Gdy studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim, do czołowych autorytetów naszej uczelni należeli – tak się złożyło – ekonomiści właśnie tacy jak Oskar Lange, Michał Kalecki, Czesław Bobrowski, Edward Lipiński, a także pod pewnym względem Włodzimierz Brus. Ich oddziaływanie sięgało poza wydział ekonomiczny, a ich wypowiedzi były słuchane z uwagą, ponieważ ekonomia dotykała zasadniczych kwestii ustrojowych i panowało takie przekonanie, że gdyby władza ich słuchała, to w Polsce byłoby lepiej. I to przekonanie było słuszne, tak jak obecnie słuszne jest, że gdyby władza słuchała Grzegorza Kołodkę, to w Polsce byłoby lepiej. On był u władzy jako wicepremier i minister finansów, i wtedy w Polsce prognozy były lepsze niż dziś. M.in. lepsze pod względem optymizmu i wiary w lepszą przyszłość, czego teraz nie widzę.

Jest dziś prawie nie do wiary, jak systematycznie i nielojalnie wicepremier Kołodko był atakowany przez lobby neoliberalne. Z satysfakcją sobie przypominam, że byłem jednym z nielicznych piszących stojących w jego obronie – oczywiście tylko skromnymi i rzadkimi felietonami mogłem go bronić.

Wymieniłem wybitnych ekonomistów szukając sposobu na znalezienie dla Grzegorza Kołodki odpowiedniego sprawiedliwego miejsca w hierarchii uczonych politycznie zaangażowanych. Myślę jednak, że powinienem się powstrzymać przed stawianiem znaku równości lub nierówności między nim a tamtymi uczonymi.

Elżbieta Mączyńska w swoim znakomitym studium o profesorze Kołodce użyła określenia „krynbrność badawcza” charakteryzująca Kołodkę od początku jego

kariery akademickiej. Tamci ekonomiści mieli inne zalety, tej nie mieli. Prawdopodobnie profesor Kołodko jest najbardziej rozpoznawalnym polskim ekonomistą na świecie, ale trzeba coś więcej powiedzieć: jakiej szkoły jest ekonomistą. Bardzo interesujące rozważania na ten temat możemy znaleźć w znakomitej książce jemu poświęconej pt. *Ekonomia i polityka. Wokół teorii Grzegorza W. Kołodki*.

Pójdę tu innym traktem. Profesor kładzie nacisk na interdyscyplinarność ekonomii politycznej. Gospodarka ma się dobrze lub źle – zależnie do jakości instytucji, w ramach których działa. Instytucją dla gospodarki najważniejszą jest państwo i właśnie o jego rolę toczy G. Kołodko ostry spór z neoliberalizmem. Instytucja – łatwo się mówi, ale zrozumienie jej pochodzenia, rozległości oddziaływań wymaga wiedzy pozaekonomicznej. Podobnie wiedza o kulturze jest ekonomistom niezbędna, bez niej nie zauważą pewnych faktów, a innych by nie kojarzyli, jak np. tego, że narody, które jedzą pałeczkami, są zdolniejsze do tworzenia przemysłów precyzyjnych.

Ekonomia w rozumieniu Grzegorza Kołodki wybiega w przyszłość, obejmuje szerszy niż gospodarka zakres stosunków społecznych, jednym słowem jest, moim zdaniem, czego profesor nie dopowiada, filozofią społeczną. Można nie doceniać dzieł i koncepcji tego myśliciela, jeśli się nie weźmie pod uwagę ich wymiaru filozoficznego. Nasuwa się skojarzenie z socjalizującymi filozofami okresu polskiego romantyzmu, którzy byli też ekonomistami, jak August Cieszkowski albo jak Henryk Kamieński, autor dzieła *Filozofia ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa*, o którym znany historyk myśli ekonomicznej Janusz Górski napisał pełną entuzjazmu monografię.

Zainteresowanie instytucjami i różnymi zjawiskami kultury nie są dla Profesora Kołodki przymusem metodologicznym. Z wewnętrznego impulsu czyta literaturę piękną, słucha muzyki poważnej i był dla niej mecenasem, gdy mógł. Ma fantastyczną erudycję, gdy chodzi o historię narodów. Zainteresowanie sztukami plastycznymi wyraża uprawiając fotografię artystyczną. Dziwne, że ma na to wszystko czas, będąc jednym z najbardziej zapracowanych uczonych. I stale w rozjazdach między uniwersytetami Wschodu i Zachodu.

Kariera akademicka Grzegorza Kołodki była błyskotliwa i szybka. Doktorat obronił w wieku 27 lat, co w polskim

szkolnictwie rzadkie. Habilitował się w roku 1984. Między tymi datami był czynny jako doradca prezesa Narodowego Banku Polskiego, a później rozwijał działalność na wielu polach jako profesor SGPiS, wielokrotnie zapraszany na uczelnie zagraniczne. Był m.in. dyrektorem Instytutu Finansów. Brał udział w obradach Okrągłego Stołu i był członkiem Rady Ekonomicznej przy rządach Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego.

W tym miejscu nawet nie próbuję opisać jego międzynarodowej działalności, tak jest ona bogata – zarówno naukowa jak ekspercka. W akademickich kręgach międzynarodowych, żeby nie powiedzieć światowych, według mojej wiedzy Kołodko jest najbardziej znanym polskim ekonomistą i najczęściej cytowanym, jak już powiedziałem. I znanym nie tylko z cytowań, ale również ze współpracy. Jest jednym z nielicznych polskich uczonych, u których chińskie instytucje rządowo-naukowe zasięgały opinii. Znalazł uznanie jako teoretyk i przyjaźń jako człowiek m.in. u noblisty Josepha Stiglitz'a i nie tylko u niego. Dowodem na to co mówię, niech będzie fakt, że za granicą nadano mu jedenaście honorowych profesur i tytułów doktora honoris causa.

Nie jesteśmy uniwersytetem i nie musimy liczyć książek, i innych publikacji profesora. Wymienić trzeba te dzieła, które odniosły największy międzynarodowy sukces, sukces w pełni zasłużony. Nie oceniamy tych książek tylko po powodzeniu rynkowym, ale po treści, która dla czytelników – a w tej dziedzinie czytelnicy są wymagający – okazała się frapująca i rozszerzająca horyzonty. Jego książki były wydane jedne w kilku krajach, inne w kilkunastu, a jeszcze inne w kilkudziesięciu.

Powołam się na autorytety i powiem, że do najwybitniejszych pod względem treści i zalet pisarskich należy książka *Wędrujący świat*. Jeden z czołowych ekonomistów chińskich, były wiceprezydent Banku Światowego, Justin Yifu Lin powiedział o niej, że jest to „arcydzieło stworzone przez myśliciela, który jest jednocześnie praktykiem transformacji gospodarczej i polityki w realnym świecie”. Inny guru światowej ekonomii (Nouriel Roubini z New York University) stwierdził: „Profesor Kołodko uznany w świecie polski ekonomista, od którego możemy uczyć się nowych idei – zaskakuje znowu. Po wszechstronnym *Wędrującym świecie* w nowej książce (*Dokąd zmierza świat. Ekonomia polityczna przyszłości*) sięga w przyszłość. To naukowe ćwiczenie i intelektualna przygoda dotycząca najważniejszych wyzwań, przed którymi stoi ludzkość. Ma rację, że najlepszy sposób przewyższania obecnych trudności to zaatakowanie długoterminowych problemów”.

I jeszcze, korzystając ze świetnego artykułu Elżbiety Mączyńskiej, przytoczę opinię Henry'ego Kissingera o *Wędrującym świecie*: „W tym przekonującym dziele profesor Grzegorz Kołodko łączy wiedzę akademicką z doświadczeniem wyniesionym z wybitnych dokonań w pracy w rządzie w kluczowych okresach polskich reform gospodarczych. Łącząc wiele dziedzin i nigdy nie unikając spornych kwestii, napisał książkę, która wnosi ważny i przydatny wkład do literatury na tematy gospodarki, zmian społecznych i ładu światowego w XXI wieku” (cyt. za: Elżbieta Mączyńska, *Ekonomia i polityka*, s.15).

Na uwagę i aprobatę zasługują nie tylko książki, które stały się znane i głośne. Są inne, które się takimi staną. Moim subiektywnym zdaniem najprzyjemniejsza w lekturze jest książka *Nowy pragmatyzm kontra nowy ra-*

*jonalizm*. Jest to zapis dyskusji dwu błyskotliwych uczonych Andrzeja Koźmińskiego i właśnie Grzegorza Kołodki, którzy krytycznie spoglądają na najbardziej znaczące problemy społeczne i ekonomiczne dzisiejszego świata. Żeby z niej skorzystać, trzeba się w nią wczytać, nie żałując czasu na przygotowanie się do tego, ponieważ błyskotliwość autorów nie jest tylko słowna i retoryczna, lecz polega na rozpoznawaniu rzeczywistości i powiązań między złożonymi zjawiskami. Pobrmiewają w niej pewne nuty katastroficzne, ale znajdźcie mi przykłady poważnej refleksji, w której one dziś nie pobrmiewają.

Kołodko nie jest człowiekiem anielskim, który kocha wszystko, co się w ekonomii pojawia... Zwalcza neoliberalizm i upatruje w tej doktrynie swojego wroga i wroga publicznego. To nie jest spór o rzeczy małe, które z biegiem czasu ulatniają się z debaty publicznej. Nawet jeśli o tym nie mówi, to sprzeciwia się samym podstawom etycznym, na jakich neoliberalizm się opiera. Ta etyka może brzmieć patetycznie, gdy głosi, że jednostka ludzka jest w pełni odpowiedzialna za swój los i na własną odpowiedzialność dokonuje wyboru, a taki wybór jest istotą wolności. Ale jakie społeczeństwo rodzi taka etyka? Społeczeństwo egoistów, zimną konkurencję nie tylko wytwórców towarów, lecz po prostu ludzi. I nic nie pomogą ostrzeżenia von Misesa i innych, że konkurencję należy zatrzymać w granicach rynku; ogarnia ona całe społeczeństwo i doprowadza do zapanowania człowieka jednowymiarowego. Z takich ludzi składa się społeczeństwo zwycięskiego kapitalizmu. Filozofia społeczna Kołodki zawiera w sobie wiele elementów tradycji humanistycznej; liberalizm – tak, ale ten od Milla i Tocqueville'a, socjalizm również, Marks połączony z Saint-Simonem. Oznajmia otwarcie, że pod pewnymi względami jego stanowisko jest eklektyczne, bo rozum i wiedza są rozproszone i niekiedy dla poznania rzeczywistości warto je scalać. Myśli w tym punkcie jak Bergson, który twierdził, że spory nie do przewyższenia występują między uczniami a mistrzowie łatwo dochodzą do zgody.

W ostatnim okresie w twórczości Grzegorza Kołodki na pierwszy plan wysuwają się dwie idee kierownicze dla ekonomii: wspomniany nowy pragmatyzm i ekonomia umiaru. Ta druga wychodzi od faktu nadmiernego zużycia zasobów naturalnych i zatrucia, zanieczyszczenia ziemi i powietrza. Jest to fakt już oczywisty, mierzalny w swoich następstwach bliższych i dalszych. To nie retoryka, to fakt, że istnienie gatunku ludzkiego jest zagrożone.

Nauki ekonomiczne muszą zrewidować swoje pojęcia. Trzeba być może zrezygnować ze wskaźnika PKB i pojęcia rozwoju w dotychczasowym sensie. Rozwój świata nie może iść w kierunku, w jakim szedł i nadal idzie Zachód. Również zaspokojenie potrzeb nie ma już dotychczasowej oczywistości, ponieważ potrzeba wyprzedza każdy poziom produkcji. Trzeba więc zastanowić się, jakie potrzeby są uzasadnione, a jakie (lub jaki poziom) uzasadnione nie są.

Tymczasem rozróżnienie na potrzeby dobre i złe było dotychczas niedopuszczalne jako arbitralne. Rozróżnianie potrzeb zakłada istnienie autorytetu rozróżniającego, a w tym byłby zaatek rządów autokratycznych. Trzeba rozróżniać nie tracąc zasad demokratycznych.

Pohamowanie produkcji jest kwestią istnienia gatunku ludzkiego. Jeżeli nie dokona tego świadoma wola ludzka, dokona się samo wskutek katastrofy.

Przemysł wytwarza towary żywnie potrzebne i towary–zabawki. Ludzie w żadnym wieku nie przestają być trochę dziećmi. Kołodko mówi: trzeba mieszać różne wartości. Tę myśl można wyrazić słowami Ludwiga Erharda, to cenny koalicjant: „Nikt nie powinien być tak dogmatycznym, aby jedynie w postępującej ekspansji gospodarczej, tzn. w kwestiach materialnych dostrzegać lekarstwo na wszystko”.

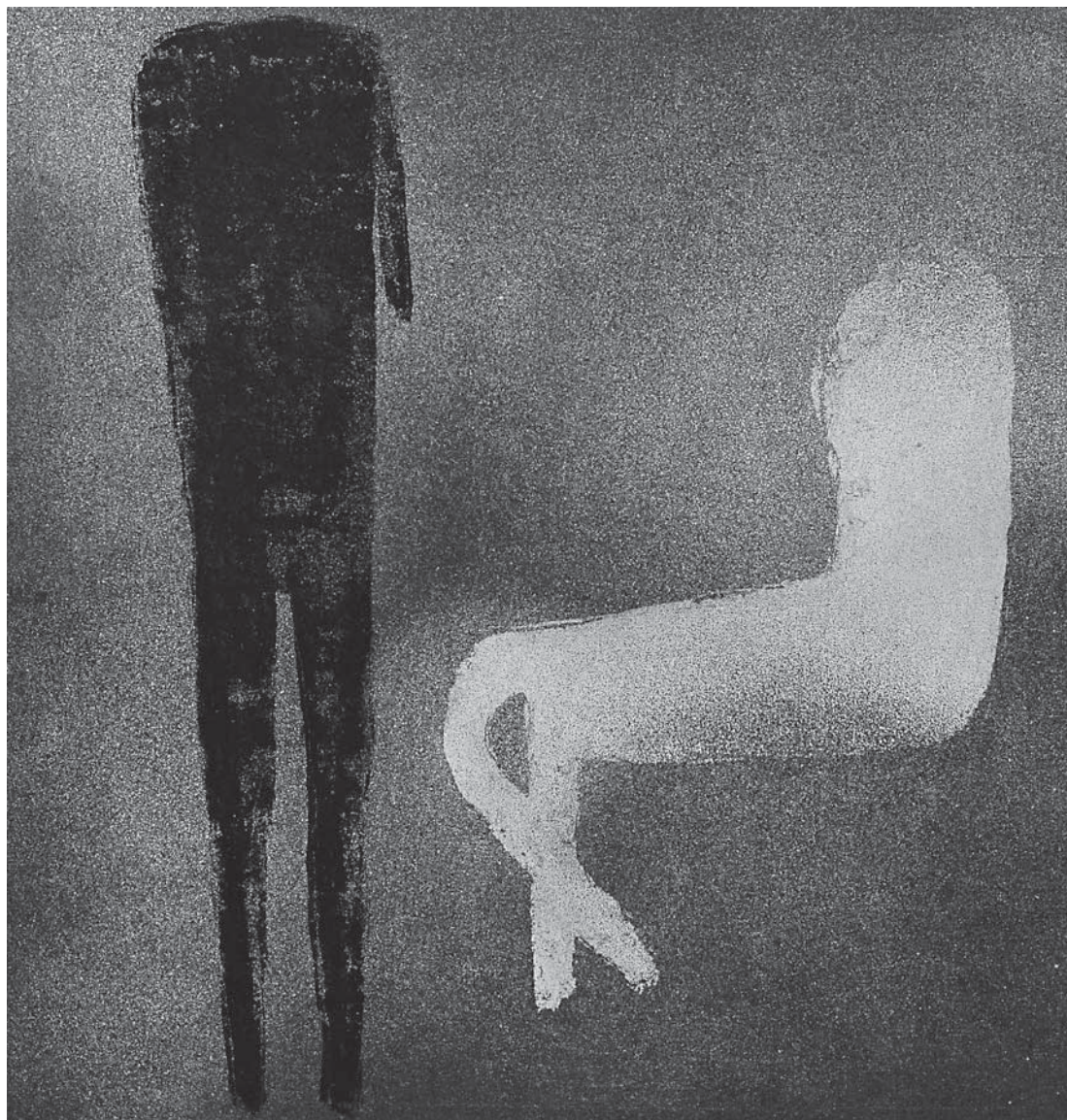
Nasze czasy charakteryzują się nieumiarkowaną konsumpcją w świecie zachodnim, a reszta świata stara się dążyć w tym samym kierunku. Składają się na to czynniki niejednakowej natury. Najważniejszy czynnik to doskonałość, pomysłowość narzędzi produkcji, ale fakt, że geniusz technologiczny poszedł w tym a nie innym kierunku, ma też uwarunkowania etyczne. Etyką naszych czasów jest hedonizm i jest to ety-

ka masowa, nie mająca przeciwwagi w postaci ascezyzmu. Życie jest łatwe pod względem materialnym, a także moralnym.

Niemal wszystkie zachcianki materialne mogą być zaspokojone, ale są jeszcze zachcianki niematerialne, wynikające z gry wyobraźni, których dobrobyt nie zaspokoi. Biblijne wezwanie: czyńcie sobie Ziemię poddaną, dziś powinno brzmieć: ratujcie Ziemię przed waszą zachłannością, przed waszym infantylnym pragnieniem zabawy.

Dwa kluczowe pojęcia teorii Grzegorza Kołodki: ekonomia umiaru i nowy pragmatyzm. Ekonomia umiaru jest środkiem ratunkowym przed zniszczeniami planety, nowy pragmatyzm ukierunkowaniem myślenia na ten problem.

**BRONISŁAW ŁAGOWSKI**



Anna Sobol-Wejman, *On i ona* (grafika, 2018). Reprod. Piotr Witostawski

STEFAN CIEPŁY

# BOLESNY TEMAT

## – ZDROWIE

Zmierzenie się z całokształtem schorzeń ochrony zdrowia w Polsce wykracza poza ramy jakiegokolwiek szkicu publicystycznego. Mamy bowiem do czynienia na płaszczyźnie finansowej ze składką zdrowotną w wysokości jednej czwartej budżetu państwa wynoszącego 434 mld (aktualny plan NFZ to 97 mld, nie licząc ok. 16 mld z resortu zdrowia na szkolnictwo medyczne i ratownictwo). Na płaszczyźnie kadrowej oceny wymaga 194 577 lekarzy (w tym 178 693 wykonujących zawód) plus 257 000 pielęgniarek i położnych oraz kilkaset tysięcy pracowników służb pomocniczych (ratowników, diagnostów, administracji, techników). Na płaszczyźnie edukacyjnej liczyć trzeba 65 000 słuchaczy studiów medycznych w 17 szkołach wyższych oraz ich kadrę naukową. Wreszcie na płaszczyźnie produkcyjno-handlowej wzięć trzeba pod uwagę przemysł farmaceutyczny (ok. 23 000 zatrudnionych) oraz towarzyszącą mu sieć 13 000 aptek i punktów aptecznych (ponad 65 000 zatrudnionych).

Równocześnie z innej perspektywy należałoby przeanalizować system złożony z ok. 800 szpitali różnej własności, z sieci poradni specjalistycznych, wreszcie ok. 100 000 prywatnych gabinetów (które prowadzi ok. 70 proc. lekarzy). Abstrahując równocześnie od kilkuset zakładów opiekuńczo-leczniczych, od towarzyszących im ubezpieczeniowych, od transportu medycznego, kon-

trolu sanitarno-epidemiologicznej, cateringu żywieniowego pacjentów, zaopatrzenia w sprzęt, leki, pościel, odzież. Na dobrą sprawę nie ma dziedziny życia, od żłobka i przedszkola po hospicjum i cmentarz, gdzie nie pojawia się problematyka zdrowia.

Mówienie zatem o jakiejś magicznej reformie systemu ochrony zdrowia, która wszystko uleczy, z góry skazane jest na porażkę. Zmiany możliwe są tylko częściowe, ewolucyjne, z dogłębną analizą skutków każdego posunięcia, często w dość odległych obszarach życia. A wszelkie niedoceny powiązań może przynieść wręcz odwrotne od zamierzonych rezultaty. Nawet efektowne i wskazane podnoszenie wynagrodzeń w szpitalach, np. dla lekarzy, wywołuje jednocześnie kolejne napięcia w pozostałych grupach zatrudnienia. Rezydenci, ratownicy medyczni, pielęgniarki, laboranci, to tylko ostatnie przykłady obszarów iskrzenia.

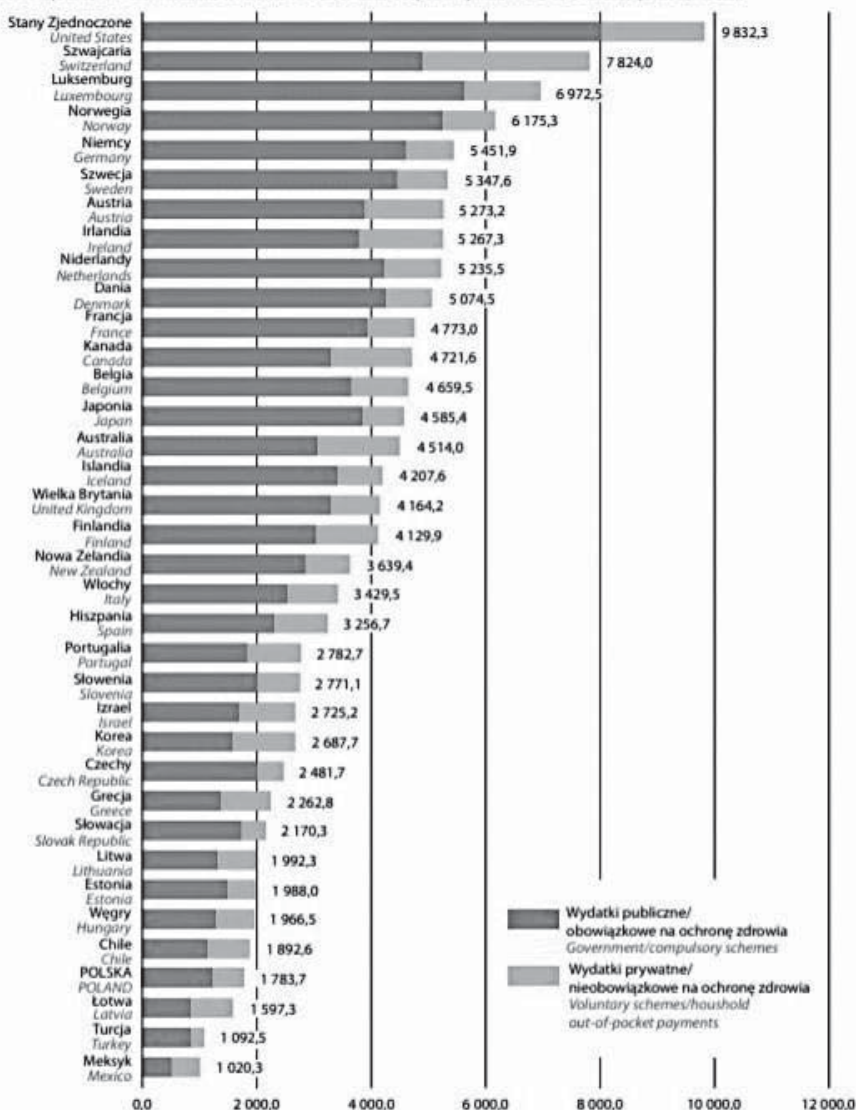
Media niemal codziennie przynoszą informacje o poczynaniach naprawczych systemu, o konieczności zawarcie układu (na kształt okrągłego stołu) ponad podziałami politycznymi, ale na tym się kończy.

### Rzut oka na inwestycje

Podczas ostatnich lat dwa wielkie pomysły racjonalizacji pojawiły się w ochronie zdrowia. Pierwszy był autorstwa profesora Zbigniewa Religi. Z łatwo

**Bieżące wydatki na zdrowie w krajach OECD według parytetu siły nabywczej w USD na 1 mieszkańca w 2016 r.**

*Current expenditure on health care in OECD countries per capita in 2016, current prices, PPPs,*



dostępnych porównań z systemami zagranicznymi, zwłaszcza Holandii, Danii i pozostałych państw skandynawskich wynikało, że najdroższe w ochronie zdrowia jest leczenie szpitalne. Trzeba zatem dążyć do jego ograniczenia na rzecz poradnictwa ambulatoryjnego i leczenia podstawowego. W Polsce koszty szpitali w budżecie NFZ pochłaniają blisko 50 proc. środków przeznaczonych na zdrowie – i nic szczególnie korzystnego dla pacjentów z tego nie wynikło. Ujawniło się natomiast sporo paradoksów. Bo jeśli NFZ płaci szpitalowi więcej za hospitalizację pacjenta niż za usługę ambulatoryjną przy określonym schorzeniu, to przecież bardziej opłaca się pacjenta umieścić w szpitalu niż go leczyć w przychodni. Ale podanie kosztów jednego dnia w szpitalu jest niemożliwe, zależy bowiem od faktu, czy oddział jest opera-

cyjny, a po wtóre, czy łóżko jest „obłożone”, czy też „czeka” na pacjenta. Niemniej średnia wycena kosztu noclegu w hotelu pięciogwiazdkowym powinna być porównywalna.

Pomysł profesora, w wielkim uproszczeniu, zmierzal w kierunku redukcji liczby szpitali, utworzenia ich publicznej sieci obejmującej powiaty czy gminy miejskie, natomiast szpitale będące „nadwyżką” profesor proponował zlikwidować bądź przekształcić w zakłady opiekuńczo-lecznicze. Popyt na te ostatnie, w świetle procesów demograficznych starzejącego się społeczeństwa, jest rosnący.

Ale łatwo też sobie wyobrazić linię oporu. W kilkuset miejscowościach szpital powiatowy to największy zakład pracy, generujący zatrudnienie – i żadna miej-

scowa władza, niezależnie od opcji, nie wyrazi akceptacji dla likwidacji, bo elektorat ją wyklinie.

Jeden z najlepszych menadżerów w ochronie zdrowia w Polsce, prowadzący duży wielospecjalistyczny szpital w zasadzie bez długów, w kilka dni po podaniu do wiadomości publicznej wielkości zadłużenia instytutu resortowego pn. Pomnik–Centrum Zdrowia Dziecka w Wawrze (ok. 300 mln zł. długu) finansowanego centralnie w mgnieniu oka racjonalizację zatrudnienia tam uznał za podstawową drogę naprawy. Późniejsze uczone analizy to potwierdziły. Ale czy coś istotnego zmieniono? Wręcz odwrotnie. Oto przed rokiem pod naciskiem samorządu pielęgniarek i położnych wprowadzono normy ich zatrudnienia proporcjonalnie do ilości łóżek. W całym kraju podniósł się alarm, ponieważ z braku pielęgniarek dyrektorzy szpitali zaczęli likwidować łóżka, a nawet całe oddziały szpitalne. A że to niewiele miało wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, bo ofiarą padał często szczególnie potrzebny oddział, w którym oczywiście brakuje personelu, to już inna sprawa. W ogóle te normatywy to abstrakcja i obowiązują jedynie w szpitalach publicznych. Notabene, zdaniem niektórych był to zmyślny pomysł resortu na ograniczenie kosztów szpitalnictwa. O taką strategię bym go nie posądział.

Drugi natomiast wielki projekt reformy był autorstwa NIK i obejmował całokształt wymagającego zmian systemu. Został przedstawiony niedawno, bo w maju 2019 roku, w 34 konkretnych programach zmian. O ich zakresie niech świadczy jeden przykład – zamiast ujednolicenia w każdym województwie struktury własnościowej szpitali. Wystarczyłoby, bagatela, zmienić kilka ustaw sejmowych.

Niemniej wyobraźmy sobie np. w Krakowie, że wszystkie te szpitale marszałkowskie, miejskie, uniwersyteckie, resortowe, stowarzyszeniowe, a nawet prywatne podlegają jakiejś jednolitej koordynacji (np. w zakresie najpierw zakupu, a potem wykorzystania specjalistycznego sprzętu, hurtowego zamawiania leków, skoordynowania profilu usług itp.). Oszczędności mogłyby być znaczne, ale przecież nikt się nie odważy, bo przecież obowiązuje „święte prawo własności”. Ale zwykły zamiysł przywrócenia koordynatora – lekarza miejskiego wciąż napotyka na przeszkody.

Jak dalece brak koordynacji i racjonalizacji działa widać – by pozostać nadal w Krakowie – na przykładzie likwidacji liczącego blisko sto lat znanego w Polsce szpitala okulistycznego w Witkowicach. Z analiz ksiąg hipotecznych przed sądem wynikało, że teren należy do Uniwersytetu Jagiellońskiego, który zażądał od organu założycielskiego szpitala, czyli od marszałka Województwa Małopolskiego, bagatela, 18 mln zł czynszu. Marszałek nie zdzierzył, wzniesiono zatem na fundamencie dawnych hoteli robotniczych w Nowej Hucie, całkiem nowy szpital na Wzgórzach Krzesławickich. Szczęśliwie, dobre kierownictwo sprawiło, że w nowej lokalizacji jest nawet lepiej. Ale jakim kosztem publicznym?

W Krakowie także niedawno otwieraliśmy nowoczesne centrum medycyny ratunkowej (tzw. CUMRIK), które teraz uruchamiamy ponownie przy nowej siedzibie Szpitala Uniwersyteckiego w Prokocimiu. SOR powinien być zlokalizowany obok wieloprofilowego szpitala specjalistycznego – taka jest (i słusznie) zasada

systemowa. Natomiast i tutaj cena chaosu decyzyjnego gdzieś umknęła, chociaż wszystkie błędne decyzje mają swoich autorów.

Kraków nie jest wyjątkiem. W sąsiednich Katowicach w 2014 roku wyburzono wznoszony od blisko 40 lat ogromny szpital miejski. Budowę wszczęto, zgodnie z ówczesną gigantomanią, w końcu lat siedemdziesiątych. Profesor Zbigniew Religa, by przedsięwzięcie dokończyć, zaproponował usytuowanie tu Akademickiego Centrum Medycznego. Ale koszt dokończenia inwestycji okazał się za wysoki nawet dla Śląska. Zresztą w Łodzi mamy jeszcze lepszy przykład przedsięwzięcia z lat siedemdziesiątych, którego kubatura miała przewyższyć Pałac Kultury (!). Nosiło to nazwę Centrum Kliniczno-Dydaktycznego. Z siedemnastu czy osiemnastu zaplanowanych pięter wybudowano dziewięć. Resztę stanowi szkielec w stanie surowym. Próbuje się na tych wysokich piętrach uruchomić hotel, szuka się inwestorów zastępczych, apeluje do kolejnych rządów RP o pomoc. Ale czy uda się w pół wieku po wszczęciu inwestycji rzecz skończyć, trudno przesądzić.

Nie zawsze zresztą o powodzeniu czy niepowodzeniu decyduje koszt budowy. Bywa, że eksploatacja przedsięwzięcia przewyższa możliwości. Tak jest z supernowoczesnym Centrum Cyklotronowym w Krakowie Bronowicach, administrowanym przez Instytut Fizyki Jądrowej. Wzniesiono go kosztem ok. 260 mln złotych z myślą o zwalczaniu chorób nowotworowych drogą terapii protonowej. Procesem leczenia można tu objąć kilkuset pacjentów rocznie, tymczasem wykorzystywane jest dla kilkunastu. Po prostu nie stać nas na terapię głębokich guzów raka, gdy jedna kosztuje 100 tysięcy złotych.

Poświęciłem chwilę uwagi przedsięwzięciom inwestycyjnym, z którymi zresztą współczesna Polska radzi sobie nie najgorzej, o czym świadczą kolejne zamierzenia podejmowane tak przez władze samorządowe jak centralne. Ich lista, z Centrum Onkologicznym w Warszawie na czele, jest znaczna. Poważna jest też skala przeprowadzanych w kraju remontów szpitali i innych placówek. Ale krzyżujących się interesów również nie brakuje, więc sporo tu potknięć, zwłaszcza że proces konsultacji decyzji inwestycyjnych mocno odbiega od demokratycznych procedur.

### Decydują zbyt niskie nakłady

Ta kwestia, w porównaniach procentu PKB wydatkowanego na zdrowie w innych krajach, wysuwana jest na pierwsze miejsce. Nie znam się wystarczająco na finansach, więc tylko powtórzę kilka obiegowych opinii funkcjonujących w samorządzie lekarskim, który od chwili jego reaktywowania, już w przeddzień transformacji ustrojowej, postulował przeznaczanie na ochronę zdrowia 11 proc. PKB. Nie posłuchano go, zdrowie jako dziedzina „nieprodukcyjna” nie miało sojuszników. Nie będę tutaj szerzej przytaczał historii zmian systemowych w finansowaniu ochrony zdrowia w minionym 30-leciu, wspomnę jedynie kilka istotnych faktów.

I tak w pierwszych latach po transformacji ustrojowej służba zdrowia pozostawała swego rodzaju skansenem PRL, w zasadzie – poza procesami prywatyzacyjnymi sieci poradni podstawowej opieki zdrowotnej oraz aptek, niczego nie tknięto.

Dopiero w lutym 1997 roku – jako czwarta z wielkich reform rządu Jerzego Buzka (w oświacie wprowadzenie gimnazjów; w systemie emerytalnym powołanie OFE; w układzie administracyjnym kraju ustanowienie 16 województw i reaktywacja powiatów) – ustawą „o powszechnym ubezpieczeniu zdrowotnym” wprowadzono kasy chorych. Wzorowano się po części na polskich doświadczeniach przedwojennych, po części na niemieckim modelu bismarckowskim. Generalnie kasy miały charakter mieszany (publiczno-prywatny), terytorialnie pokrywały się zasięgiem z województwami (poza 17 kasą służb mundurowych). A przede wszystkim nadano im osobowość prawną, co wiązało się z niezależnością kadrową i finansową. Istotą było, że „pieniądze mają iść za pacjentem”, a porządek miał gwarantować tzw. rejestr usług medycznych (do dzisiaj nie wprowadzony). W chwili wprowadzania kas uzyskały one 7,5 proc. PKB – zdecydowanie za mało. Ale rząd był nieugięty, poniekąd manipulował opinią publiczną, gwarantując, że wszystko będzie w porządku.

Dopiero dziesięć lat później, w autoryzowanym wywiadzie dla „Gazety Lekarskiej” (nr 2/2013) Leszek Balcerowicz pytany o nakłady powiedział: „Proszę nie mylić teatru politycznego z decyzjami. Nikt nikomu nie dawał 11 proc., tylko obiecywał”.

Kasy przetrwały niespełna sześć lat, już w 2002 roku formalnie obalone przez Sejm na wniosek SLD, w latach 2003/2004 za rządów Leszka Millera, zastąpione przez Narodowy Fundusz Zdrowia. Była to jedna z najgorszych decyzji lewicy, podyktowana sentymentem do systemu nakazowego. Tymczasem kasy niósł postulowaną powszechnie decentralizację, rodziły nadzieję na konkurencję w świadczeniu usług, mogły dać impuls sensownemu systemowi. Ugięły się pod prężeniem krytyki opinii publicznej, zszokowanej ujawnieniem wątpliwych merytorycznie kontraktów kas chorych ze szpitalami i innymi placówkami służby zdrowia. Kasy zastąpiły się „tajemnicą handlową” gwarantowaną w kodeksie handlowym, natomiast nieliczne ujawnione umowy wskazywały na daleko idący woluntaryzm w zarządzaniu publicznymi pieniędzmi. Można było ich decyzjom nadać większą transparentność, wesprzeć ich struktury, aktualny rząd jednak niechętny kasom wrócił z zapalem w stare koleiny nakazowo-centralistyczne. Płacimy za to do dzisiaj.

24 sierpnia 2004 roku powołano formalnie NFZ. Na czele stanął Mariusz Łapiński, który objął urząd prezesa. Wrócił monopol płatnika i odtąd borykamy się z nim bezskutecznie. Wobec potężnej de facto państwowej maszyny bezskuteczny okazał się też samorząd lekarski, na który zwalono część obowiązków administracyjnych państwa, m.in. w zakresie prowadzenia rejestrów lekarzy oraz sądownictwa korporacyjnego. Lata trwały, nim na drodze sądowej udało się samorządowi zaprzestać finansowania tych zadań ze składek członkowskich.

Generalnie finansowanie ochrony zdrowia stało się pochodną wysokości składki ubezpieczeniowej, nie wyższej – co ustanowiono ustawowo – niż 9 proc. od podstawy wymiaru. Jako czynnik de facto podatkowy kolejne ekipy polityczne zabiegały, by nie narazić się elektoratowi na zarzut ich podwyższania. W rezultacie w skali państwa nakłady ustabilizowały się na poziomie około czterech procent PKB, oddalając nas

od wysokości nakładów w innych państwach europejskich.

Co to oznacza, zobaczymy na przykładzie 2017 roku. Oto w budżecie państwa na zdrowie zaplanowano 89,4 mld zł, w tym na NFZ przeznaczono 76 mld, resort dołożył 9,6 mld, ubezpieczenia prywatne 3,5 mld. Polska znalazła się w rezultacie tej polityki na 6 miejscu od końca wśród 38 państw. Lepiej się to rozumie w ujęciu Eurostatu: Luksemburg 5 600 euro, Szwecja 5 100 euro, Dania 5 000 euro, Rumunia 400 euro, Bułgaria 600 euro, Polska 700 euro.

Szczególnie napięcia wywołały w pierwszej dekadzie nowego stulecia upokarzająco niskie wynagrodzenia lekarzy i pielęgniarek. W czerwcu 2007 roku przed siedzibą kancelarii premiera Jarosława Kaczyńskiego na Alejach Ujazdowskich stanęło Białe Miasteczko – namioty strajkujących pielęgniarek, a przez stolicę przeszła ogromna manifestacja lekarzy. Wzrost wynagrodzeń był jednak powolny, w publicznej ochronie zdrowia de facto sytuację zmieniło nieco wprowadzenie kontraktów. Ucierpiała oczywiście opieka socjalna, natomiast niezwykle zwiększyła się liczba godzin pracy lekarzy.

Z czasem zresztą dotkliwy brak lekarzy, określanej publicystycznie mianem tzw. luki pokoleniowej (o której w następnym rozdziale), uregulował płace lekarzy na przyzwoitym poziomie. Jednocześnie zjawiska korupcyjne wśród lekarzy, związane m.in. z tak zwaną „białą mafią” i aferą „łowców skór” znikły samorzutnie wraz z rozwojem prywatnych gabinetów. Nikt już nie oczekiwał ani nie dawał żadnych „kopertówek”, skoro świadczenie można było wykupić legalnie.

Natomiast pielęgniarki doczekały się rzeczywistych podwyżek dopiero w 2015 roku w wyniku indywidualnej decyzji ministra zdrowia Mariana Zembali, wprowadzającej przez 4 kolejne lata podwyżkę wynagrodzenia o 400 zł. W sposób charakterystyczny dla praktyk resortu wprowadzono je, ale bez zaliczenia do wynagrodzenia podstawowego (a więc także do naliczania emerytur). Takich manipulacji finansowych aparatu resortu zdrowia są dziesiątki. Ostatnie podwyżki płac dla części personelu medycznego przekazano szpitalom bez koniecznego procentu odprowadzanego na ZUS.

Spory o wynagrodzenia nieoczekiwanie zmieniły swój ciężar gatunkowy za sprawą środowiska młodych lekarzy. Oto w 2018 roku protest głodowy tzw. rezydentów, wspierany przez Ogólnopolski Związek Zawodowy Lekarzy (z K. Bukielem na czele), położył generalny nacisk na czas pracy lekarza oraz zbyt niskie nakłady państwa na ochronę zdrowia.

Szczególnym przedmiotem krytyki ze strony rezydentów stała się przedstawiona przez rząd ustawa z 24 listopada 2017 roku, która określiła ścieżkę dojścia wysokości nakładów na zdrowie, do poziomu 6 proc. PKB w 2025 roku, przy średniej europejskiej wyższej już w chwili startu. Przytaczam ją poniżej szczegółowo w wersji rządowej, w kolejnych latach. I tak wychodząc od poziomu 4,67 proc. PKB w 2018 roku rząd założył: 4,84% (2019); 5,03% (2020); 5,22% (2021); 5,41% (2022); 5,6% (2023); 5,8% (2024) wreszcie 6% PKB w roku 2025.

Rezydenci zażądali podwyższenia nakładów do 6,8 proc. i to w zdecydowanie krótszym okresie, trzech najbliższych lat. Wymuszone strajkiem głodo-



wym Porozumienie nie zostało właściwie opublikowane. Zaskoczeniem dla opinii publicznej było przyjęcie za punkt wyjścia przez rząd wysokości nakładów na poziomie roku już minionego. Pod koniec 2019 roku rezydenci ogłosili, że rząd nie dotrzymał porozumienia i zapowiedzieli kolejny protest w sprawie nakładów oraz czasu pracy lekarza, poprzez apel do rezydentów o wypowiedzenie klauzuli opt-out zezwalającej na zatrudnienie w wymiarze przekraczającym 48 godzin tygodniowo. Gdyby ją wypowiedziała większość młodych lekarzy, nie byłoby kim obsadzić dyżurów szpitalnych, bo o w pełni wykwalifikowanych lekarzach trudno marzyć.

Inne grupy zawodowe w ochronie zdrowia w ogóle ominęły regulacje wynagrodzeń, co prowadzi do nieustannych napięć. Ratownicy medyczni, laboranci, fizjoterapeuci, farmaceuci, pracownicy techniczni i urzędnicy wciąż czekają na podwyżki, uciekając się do strajków, bo inne środki nacisku nie skutkują. W rezultacie system wciąż jest rozdygotany i alergicznie reaguje także na konieczne reformy informatyczne (e-zwolnienia, e-recepty), rodzące szanse na rzeczywiste oszczędności.

Skala niedofinansowania systemu, w świetle nakładów na inne dziedziny życia, w proporcji do państw Unii Europejskiej jest przyczyną rosnącego niezadowolenia społecznego. Problemy pogłębiają procesy demograficzne, które we współczesnej Polsce wiążą się z wysokim wskaźnikiem starzenia się społeczeństwa, bowiem w wiek emerytalny wkroczyło pokolenie powojennego wyżu demograficznego. Łatwo policzyć – wyż miał miejsce w latach pięćdziesiątych z kulminacją w 1956 roku. A więc dotyczy ludzi wkraczających dzisiaj w 70. rok życia. Będzie o tym jeszcze mowa.

A na koniec tego rozdziału kilka danych ilustrujących poziom ochrony zdrowia w Polsce według Europejskiego Indeksu Konsumpcyjnego Zdrowia (Euro Health Consumer Index).

Jest on sporządzany w państwach OECD przez Health Consumer Powerhouse na podstawie opinii pacjentów z uwzględnieniem około 50 aspektów składających się na ocenę, w rodzaju przestrzegania praw pacjenta, wyników leczenia, prewencji, informacji o lecznictwie, o dostępności świadczeń, o czasie oczekiwania na operację, na rezultaty badań, chemioterapię, operacje zaćmy itp. We wstępie podkreślono wysokie miejsce Polski w kształceniu kadr medycznych oraz kardiologii. Niemniej na 35 objętych badaniem państw Polska zajęła 32 miejsce, za Bułgarią czy Litwą, wyprzedzając jedynie Koreę Płd., Rumunię i Albanie. Najlepiej wypadliśmy pod względem wyszczepialności (to już historia, bo właśnie wkroczyliśmy we wiosnę średniowiecza) i polityki lekowej. Najwyżej w indeksie oceniona została ochrona zdrowia w Szwajcarii, Holandii, Norwegii i Danii.

Można dyskutować z tą oceną, polska ochrona zdrowia na pewno mieści się gdzieś pośrodku państw europejskich choćby ze względu na wspomniany wysoki poziom wykształcenia lekarzy. „Index” jest zresztą krytykowany przez niektóre organizacje ochrony zdrowia, niemniej pod względem proporcji nakładów na zdrowie w budżecie państwa zapowiadany na 2020 rok poziom 5.03 proc. PKB wciąż sytuuje nas pod koniec listy państw OECD.

### Deficyt kadr lekarskich i pielęgniarskich

Wśród problemów polskiej ochrony zdrowia, nawet przed niewystarczającymi nakładami finansowymi, na pierwszym miejscu wielu ekspertów stawia deficyt kadr lekarskich i pielęgniarskich, określane w wypadku lekarzy mianem „luki pokoleniowej”.

Jego przyczyn upatruje się zazwyczaj w zbyt niskich zarobkach lekarzy i pielęgniarek, które wpłynęły na wieloletni exodus obu grup zawodowych za granicę. W wypadku lekarzy oblicza się go (wg NRL) na ok. 10,5 tys. w latach 2004-2018 (premier Morawiecki mówi nawet o 20 tys.). Niewątpliwie szczególnym impulsem wyjazdów było przyjęcie Polski do UE, związane z nostryfikacją dyplomów polskich lekarzy i oczywiście niski poziom zarobków w kraju. Biorąc pod uwagę trud związany z zdobyciem dyplomu lekarza w trakcie sześciu lat studiów, można ten poziom płac uznać za skandaliczny. Nie wiem, czy ktokolwiek z czytelników „Zdania” miał w ręce podręcznik autorstwa około 400 specjalistów, opatrzony przez wydawcę nazwiskiem prof. Szczeklika, *Interna*. Około 1600 stron, formatu B-5, maczkiem! Można się załamać...

Na dalszych miejscach w kwestii deficytu kadr specjalistów wymienia się m.in. utrudnienia w pozyskiwaniu specjalizacji. Państwo zapaliło „zielone światło” dla specjalizacji „lekarze rodzinni”, ale młodzi wcale się nie pchali na tę ścieżkę (po której zresztą nie wskazano żadnej możliwości podniesienia kwalifikacji). Natomiast w pozostałych specjalnościach liczba rezydentur była niewystarczająca, więc wielu lekarzy ze zdobywania specjalizacji rezygnowało. Zapowiadane u progu nowego ustroju wprowadzenie tzw. umiejętności, powiązanych z jakimś systemem nagradzania, nigdy nie weszło w życie. Natomiast pojawiła się jakaś niespotykana w innych krajach europejskich rozległa liczba wąskich specjalizacji (łącznie 84), przy średniej ok. 50 w państwach europejskich.

Do wad systemu kształcenia niektórzy dorzucają jeszcze wieloletnie utrudnienia także ze strony samych środowisk akademickich w otwieraniu studiów lekarskich poza uczelniami ściśle medycznymi. Nawet Kolegium Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych wyrażało tego rodzaju opinie, blokując uruchamianie kierunku lekarskiego np. w prywatnych uczelniach. Artykułowana wówczas obawa przed obniżeniem poziomu kształcenia nie brzmi tu szczególnie przekonująco.

Niemniej wszystkie wymienione tu czynniki składające się na deficyt kadr specjalistycznych, jakkolwiek prawdziwe, nie tłumaczą skali problemu wystarczająco. Dlatego wypada przypomnieć kwestię pomijaną zazwyczaj w publicystyce analizującej przebieg transformacji ustrojowej w Rzeczpospolitej. A ma ona fundamentalne znaczenie dla zrozumienia tzw. „luki pokoleniowej”.

Otóż według dostępnych danych w 1987 roku na wydziały lekarskie przyjęto ponad 6 300 kandydatów. W latach 1987-1989 limit przyjęć obniżono o 40 proc. W roku akademickim 1989/1990 obniżono go o dalsze 12,5 proc. (tj. z 3 800 do 3 335), a w 1990/1991 o następne 20 proc. (z 3 335 do 2 677). Mało tego, w kolejnych latach, do 1994 roku obniżenie naboru wyniosło 22,5 proc. (tj. z 2 677 do 2070). Wreszcie w 2002 roku sięgnęliśmy dna, na studia medyczne przyjęliśmy 1950 przyszłych lekarzy.

Kto i kiedy ocknął się, nie wiem. W każdym razie już pod koniec pierwszego dziesięciolecia nowego stulecia nabór wzrósł w 2009 roku do 3 424 kandydatów, co wiązało się także z uruchomieniem studiów medycznych dla obcokrajowców oraz studiów w języku angielskim. Motywacja zmian nie była jeszcze w pełni demograficzna, chodziło raczej o zdobycie dodatkowych funduszy do uczelnianych budżetów.

Dopiero w drugiej dekadzie skutki przedstawionej wyżej polityki ujawniły się z całą wyrazistością. Pospiesznie zlikwidowano wszelkie bariery formalne związane z wszczęciem kształcenia medycznego. Uruchomiono kilka nowych uczelni (m.in. Zielonej Górze, Kielcach, Rzeszowie, Opolu, Radomiu), zwiększono limity naboru na dotychczasowych akademiach medycznych (które zgodnie z europejskim nazewnictwem przekształcono w uniwersytety medyczne).

Natomiast bariery praktyczne były i są nie do przezwyciężenia, bowiem specyfika sześcioletniego cyklu kształcenia lekarzy wymaga na dwóch ostatnich latach studiów połączenia ich z bazą szpitalną i to wielospecjalistyczną. A ona z natury rzeczy, poza uczelniami uniwersyteckimi, nie jest przystosowana do dydaktyki, tylko do leczenia. Studentów wpuszcza się tam bez zachwyty.

Oczywiście nadal trwają naciski regionalne bądź środowiskowe na dalsze uruchamianie przy uczelniach o różnym profilu dodatkowo kierunków medycznych. Ale bez bazy klinicznej jest to niemożliwe, a w wypadku ustępstw grozi faktycznym obniżeniem poziomu kształcenia. Dlatego wcześniej czy później uciekniemy się do importu kadr ze Wschodu, innego wyjścia nie ma.

Okolicznością, której trudno nie przywołać przy ocenie obecnej sytuacji, jest fakt, że prócz sześcioletniego cyklu nauczania akademickiego na wykształcenie lekarza specjalisty składa się jeszcze 5 lat kształcenia specjalistycznego (aktualnie 3 lata modułowe dla większości specjalizacji + 2 lata ściśle ukierunkowane). Już pojawiają się opinie, by ten cykl skrócić, ale...

Większość młodych lekarzy w trakcie specjalizacji zakłada rodziny, robi sobie „przerwę”, tak więc najmniej dekadę jeszcze potrwa usuwanie luki pokoleniowej. W dodatku pogłębianej – ku utrapieniu władz – ciągłymi wyjazdami młodych lekarzy za granicę, kuszonych wciąż wyższymi zarobkami w Niemczech czy Wielkiej Brytanii. O zakazach, trudno myśleć, podobnie jak liczyć na postawy judymowskie. To nie te czasy. Ale inne rozwiązania są przecież możliwe. A sam pobyt za granicą, jeśli się wiąże z powrotem, jest raczej korzyścią niż stratą. O tym, by zagwarantować staż zagraniczny, na mocy umów o współpracy, nikt na razie nie myśli. Raczej proponuje się stypendia na pierwszych latach studiów, rzadziej oferuje mieszkania, a najczęściej zapowiada obciążenia kosztami studiów.

Mamy aktualnie w Polsce 21 wyższych uczelni, na których jest kierunek lekarski. Niczym na choince wieszka się obok cała gama pokrewnych kierunków medycznych. Obok biologii, farmacji czy zarządzania zdrowiem publicznym – dyplom ukończenia studiów wyższych można zdobyć na kosmologii czy zielarstwie. Łącznie jest tych kierunków ponad 50(!).

Tegoroczne limity naboru na studia medyczne lekarskie i lekarsko-dentystyczne są faktycznie rekor-

## Liczba praktykujących lekarzy na 1000 osób w państwach OECD (2012)

Grecja .....	6,2 (4,9)
Norwegia .....	4,9 (4,1)
Niemcy .....	4,0 (3,9)
Szwajcaria .....	3,9 (3,9)
Hiszpania .....	3,8 (3,7)
Islandia .....	3,6 (3,5)
Słowacja .....	3,4 (3,3)
Australia .....	3,3 (3,3)
Estonia .....	3,3 (3,3)
Średnia państw OECD –	3,2 (3,1)
Węgry .....	3,1 (2,9)
Luksemburg .....	2,8 (2,8)
Irlandia .....	2,7 (2,7)
Słowenia .....	2,5 (2,5)
USA .....	2,5 (2,3)
<b>Polska .....</b>	<b>2,2 (2,2)</b>
Korea Płd. ....	2,1 (1,7)
Turcja .....	1,7 (1,7)

Wg raportu „Health at a Glance” przygotowanego przez OECD i KE, sygnowanego przez polskie Porozumienia Pracodawców Ochrony Zdrowia w 2018 roku sytuacja była relatywnie lepsza (2,4 lekarza na 1000 mieszkańców), tyle że spadliśmy na ostatnie miejsce w Europie. W innym ujęciu polski lekarz przyjmuje rocznie 3104 pacjentów, natomiast szwedzki 679 (mniej niż 2 dziennie).

dowe. Łącznie ilość miejsc wyniosła 8 170, w tym 1398 na stomatologii. Na obu kierunkach jest aktualnie 1900 miejsc z językiem wykładowym obcym. Samorząd lekarski krytykuje w tym ostatnim aspekcie tę politykę, uważając nie bez racji, że uczelnie kształcą lekarzy, którzy w kraju w ogóle nie zamierzają pracować.

Do największych uczelni rekrutujących na studia lekarskie kandydatów na posiadane miejsca w roku akademickim 2019/2020 należały uniwersytety medyczne w Katowicach (690), Łodzi (670), Warszawie (550), Poznaniu (340), Gdańsku (316), Lublinie (310), Wrocławiu (266), Szczecinie (250) i Krakowie (240). Abstrahując tu od uczelni prywatnych, jak Akademia im. Modrzewskiego w Krakowie czy Uczelnia Łazarskiego w Warszawie, w których przyznane limity naboru nie przekraczają 100 miejsc.

Limity naboru niekoniecznie pokrywają się z rangą uczelni. W rankingach prowadzonych od dwudziestu lat przez portal „Perspektywy” i dziennik „Rzeczpospolita” w uczelniach medycznych o pierwsze miejsce z reguły rywalizują Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego z Warszawskim Uniwersytem Medycznym (dawną Akademią Medyczną). Dalej przemiennie sytuuje się Wrocław, Gdańsk, Katowice, Łódź. Rzecz znamienna dla naszych czasów, w związku z wysokimi kryteriami naboru wymaganymi np. przez Uniwersytet Jagielloński ilość kandydatów na 1 miejsce, ubiegających się o indeks, wcale tu nie jest najwyższa.

Ilu mamy aktualnie lekarzy w Polsce, w jakim wieku, jakiej specjalności, gdzie zrzeszonych?

Na początek nieco statystyki. Według rejestru Naczelnej Izby Lekarskiej na koniec października 2019 roku – jak wspominałem na wstępie – było w Polsce 194 577 lekarzy, w tym 151 477 medycyny i 42 490 lekarzy dentyków. Przynależność do izby lekarskiej upoważniająca do wykonywania zawodu jest obligatoryjna. Lekarze zrzeszeni są w 25 izbach, z których największe to warszawska (blisko 30 tys. lekarzy), śląska i krakowska (po ok. 17 tys.). Liczba izb nie pokrywa się z podziałem administracyjnym kraju, niektóre są pozostałością po dawnym podziale na 49 województw. Nadto służby mundurowe zachowały odrębną izbę.

W tym terminie czynnych zawodowo było 178 693 lekarzy, ilu w wieku emerytalnym, nie wiadomo, ale w niektórych specjalizacjach wskaźnik ten jest bardzo wysoki. Zawód jest sfeminizowany, w 2019 roku było 122 102 kobiet (tj. 62 proc.), i tylko 72 475 mężczyzn. Oznacza to blisko dwa razy więcej kobiet.

Z ogromniej palety problemów wybieram na koniec dwa, niekoniecznie najważniejsze, podkreślając że niemal wszystko wymaga komentarza, którego nie sposób tu pomieścić.

Postęp medycyny jest dziś tak prędko, że nadążyć za nim właściwie nie sposób. Kończąc studia ich absolwenci już rozmijają się ze stanem wiedzy na pierwszym roku medycyny. Świadomość konieczności kształcenia permanentnego jest w zawodzie wysoka. Zdecydowana większość lekarzy uczestniczy w wybranych wydarzeniach naukowych, zjazdach, kongresach, targach itp. Ale już z przynależnością do towarzystw naukowych, które w nowej rzeczywistości ustrojowej pozbawiono dotacji budżetowych, jest marnie. Właściwie są to przeważnie organizmy w stanie agonialnym, utrzymywane przy życiu przez hobbyistów. Tymczasem powinny być rozsądnikiem życia naukowego, a aktywność w nich powinna procentować awansem zawodowym.

Kształcenie ustawiczne lekarzy jest wpisane w prawo wykonywania zawodu w wielu państwach, a niedopełnienie obowiązku stanowi przeszkodę w uzyskaniu awansu zawodowego, a nawet wpływa na postępujące ograniczanie np. w zakresie prawa do wykonywania niektórych zabiegów. Tak jest w Niemczech czy Szwajcarii.

W Polsce w październiku 2004 roku ukazało się Rozporządzenie Ministra Zdrowia w sprawie sposobów dopełnienia obowiązku doskonalenia zawodowego lekarzy i lekarzy dentyków. W czteroletnim cyklu każdy powinien uzyskać 200 punktów edukacyjnych, których zdobycie wymaga uczestnictwa w określonych seminariach, sympozjach, zjazdach naukowych, przynależności do towarzystw naukowych, druku publikacji naukowych, uzyskania tytułu naukowego itp. Każda czynność ma znormalizowaną liczbę punktów.

Niestety, obowiązkowi edukacyjnemu nie obciążono żadną sankcją. Nawet oczywisty, w wypadku starań o ordynaturę konieczny limit punktów jest tylko zaleceniem. W pierwszym cyklu 2004-2008 w zbieraniu punktów uczestniczyło 25 proc. środowiska. Obecnie zbiera je 10-12 procent lekarzy. Niektórzy rezygnują

z dokumentowania swych działań szkoleniowych, nawet uczestnicząc w seminariach z własnej woli i za własne pieniądze. Wycena punktowa krytykowana jest generalnie za preferencją lekarzy związanych ze szkoleniem wyższym, z pokrzywdzeniem lekarzy zatrudnionych na prowincji.

A swoją drogą wcześniej czy później szlachetna wiara w lekarskie ambicje samokształcenia, pozbawione nagrody lub kary, musi być zastąpiona jakimś bonusem lub rygiorem. Obecny stan prawny, po 16 latach eksperymentowania wymaga zmian niezależnie od hałasu, który wzniesie przeciwnicy.

Jeszcze większy krąg zagadnień, który dotąd został pominięty, wiąże się z sądownictwem korporacyjnym, kodeksem etyki lekarskiej, klauzulą sumienia, swobodą badań naukowych itp. Wystarczy wymienić kwestie aborcji, leczenia bezpłodności in vitro, badań prenatalnych płodu, cięć cesarskich, by wywołać burzę. Czytelnicy „Zdania” mają w tych sprawach wyrobione zdanie, więc szkoda na te kwestie miejsca.

A cała ta przeszłość związana z akcjami Stowarzyszenia „Non Nocere” Adama Sandauera, błędami medycznymi, posądzeniami o korupcję w zamian za jakieś usługi medyczne – to już historia odgrzewana do doraźnych celów. Rozumiem, gdy ktoś waha się latami z ujawnieniem, iż był ofiarą molestowania. Ale już ujawnianie łapówek przyjmowanych lub wręczanych przed przeszło dziesięć laty pachnie paranoją. A udowodnienie czegokolwiek, w świetle przewlekłości procedur śledczych i eksperckich, wydaje się niemożliwe. Ale rzecz przecież nie w tym, by króliczka złapać...

Oczywiście aparat śledczy korporacji lekarskiej, z natury rzeczy amatorski, wciąż odnotowuje rosnącą liczbę skarg. A to na wadliwy amalgamat, a to na arogancję lekarza, a to znów na kwitnącą biurokrację. Ale prócz nadmiernej lojalności nie pozwalającej ujawnić lekarzowi, który z jego kolegów zaleca poniechanie szczepień ochronnych lub plecie bzdury na temat ich szkodliwości – nic się tu nie dzieje gorszącego, poza rosnącymi monstrualnie wycenami świadczeń w prywatnych gabinetach. No ale tu już obowiązują prawa rynku.

\* \* \*

Poniższy szkic jest wyborem kilkunastu zagadnień z obszaru, który przedstawiłem w pierwszym akapicie, podkreślając, iż jest nie do ogarnięcia w jednej publikacji. Leki, apteki, pierwsza pomoc, systemy leczenia chorób nowotworowych, chorób serca, rzadkich chorób, zasad wystawiania recept, zwolnień, rent – to przecież tylko niektóre tematy. Ogromnym wyzwaniem staje zapewnienie systemu opieki zdrowotnej wspomnianemu pokoleniu powojennemu, które wypełnia dziś korytarze wszystkich niemal placówek ochrony zdrowia. Nie będę jednak kontynuował wyliczenia tematów. Jeśli natomiast przekazane refleksje, zebrane podczas 20 lat towarzyszenia samorządowi lekarskiemu w roli żurnalisty, coś naświetliły Czytelnikom, to jestem ogromnie rad.

FILIP RATKOWSKI

# KTO SIĘ BOI „MARYCHY”?

W szkole pod Tarnowskimi Górami, pod koniec roku szkolnego 2018/19 miała się odbyć prelekcja dla uczniów, jak unikać narkotyków. Zaproszona Straż Graniczna stawiała się z psem, by to śmiertelnie dydaktyczne spotkanie uatrakcyjnić i pokazać, jak zwierzę wykrywa zakazane substancje. Tymczasem zaraz po wprowadzeniu do klasy pies wyczuł narkotyki i poprowadził do dwóch uczniów, którzy mieli przy sobie marihuanę. Normalka, ale i kryminał!

Specjaliści oceniają, że kontakt z „marychą” ma co najmniej 17 procent Polaków, a w dużych miastach, gdzie „kontrola sąsiedzka” jest z natury rzeczy słabsza, wskaźnik wzrasta do 45 procent. W prasie można też znaleźć oceny, że w weekend w Warszawie i suburbiach stolicy wypala się półtorej tony marihuany, choć ciągle jest ona nielegalna.

Tymczasem w Kalifornii od 1 stycznia 2018 marihuana uzyskała legalny status, choć kupować ją mogą, jak i alkohol, tylko osoby powyżej 21 roku życia; na jednym z masowo uczęszczanych deptaków Los Angeles sklepik z marihuaną funkcjonował od lat. Na witrynie znajdowała się informacja, że środek ten sprzedaje się tylko na receptę, oraz... strzałka kierująca zainteresowanych do znajdującego się po sąsiedzku gabinetu lekarza. Na drzwiach owego przybytku znaleźć można było dość długą listę przypadłości, które pozwolą receptę wypisać. Nic więc dziwnego, że władze stanowe zdecydowały się zerwać z fikcją!

W większości krajów Unii Europejskiej, np. w Czechach, Portugalii, Włoszech – marihuana została zdepenalizowana, co oznacza zniesienie karalności za posiadanie do 10 gramów. We Francji posiadanie takich „niewielkich ilości” karane jest mandatem, w Berlinie można mieć ok 15 g „na własny użytek”, a w innych krajach do 6 g. Wbrew powszechnemu przekonaniu, w Holandii zarówno sprzedaż jak i posiadanie konopi jest nielegalne, choć tolerowane. Jednorazowo można tam kupić 5 gramów i tyle też mieć przy sobie. Można też hodować do 5 roślin na własny użytek.

Agencja EMCDDA zajmująca się z ramienia Komisji Europejskiej problematyką narkotyków szacuje, że z marihuaną zetknięto się już 80 mln obywateli Unii. W Europie tylko w kilku krajów z dawnego bloku „demokracji ludowej” oraz krajów skandynawskich posiadanie marihuany jest zagrożone karą więzienia. Skądinąd te właśnie kraje zawsze miały problem z alkoholem, w takiej Szwecji np. przez dziesięciolecia brutalnie eliminowanym z życia społecznego. Bez skutku.

## Nihil novi sub sole!

– Tak długo jak istniała cywilizacja, istniały leki zmieniające umysł – zauważa Andrew Lawler komentator portalu „Science”. Alkohol pojawił się co najmniej 10 tys. lat temu na Żywnym Półksiężycu, mniej więcej w tym samym czasie, w którym rodziło się tam rolnictwo.

Dziś dowody naukowe pokazują, że starożytni używali też innych środków psychoaktywnych, w tym opium.

Diana Stein, archeolog z Uniwersytetu Birkbeck w Londynie, twierdzi, że archeolodzy od zawsze mieli do czynienia ze śladami rytuałów z udziałem narkotyków, nie zdając sobie z tego sprawy. Sceny bankietowe, które często zdobią małe fiołki znajdujące w Anatolii, Syrii, Mezopotamii i Iranie pokazują jej zdaniem, że ludzie tam przedstawieni piją mikstury psychoaktywne i, jak można wnosić z wielkości fiolek, nie jest to alkohol.

Między 1600 do 1000 r. p.n.e. na Cyprze przechowywano alkaloidy w ceramicznych pojemnikach o kształcie makówki, w czym David Collard, archeolog z Melbourne w Australii, upatruje prehistoryczny „znak towarowy”. Wszystkie buteleczki znaleziono w świątyniach i grobowcach, co sugeruje ich rytualne przeznaczenie. Identyczne obiekty zostały odkryte na Lewancie i w Egipcie – to pierwszy przykład międzynarodowego handlu narkotykami.

Egipcjanie eksperymentowali też oczywiście z lokalnymi substancjami. W „Odysei” jest ważna wzmianka o Lotofagach, którzy po zażyciu kwiatu lotosu zapominali o całym świecie. Kiedy w 1922 roku otwarto grób faraona Tutanchamona, datowany na XIV wiek p.n.e., archeolodzy zastali ciało pokryte kwiatami lilii wodnej, która była też częstym motywem w egipskich malowidłach grobowych.

Są dowody, że konopie indyjskie dotarły już wcześniej do Mezopotamii, ich rozprzestrzenienie przypisuje się protoindoeuropejskiemu ludowi Yamnaya, który wyszedł z Azji Środkowej około 5000 lat temu i zostawił swój genetyczny ślad u większości żyjących Europejczyków i południowych Azjatów.

Konopie, bliski krewny chmielu występującego w piwie, wciąż rosną dziko w Azji Środkowej, ale i w Polsce. Według badań pytkowych opublikowanych wiosną br. w „Science Advances”, wyewoluowały około 28 milionów lat temu na wschodnim płaskowyżu tybetańskim, a około 4 tys. lat temu Chińczycy zaczęli uprawiać je na znaczną skalę na olej i na włókno.

Określenie, kiedy ludzie zaczęli wykorzystywać właściwości psychoaktywne konopi, nie jest łatwe, bo dzikie odmiany rośliny, a także odmiany użytkowe hodowane m.in. w Europie mają niski poziom tetrahydrokannabinolu (THC), a więc praktycznie brak im cech psychoaktywnych. Pierwszy bezsporny przypadek wykorzystywania takich własności konopi odnaleziono na pochodzącym sprzed 2500 lat temu cmentarzu Jirzankal, w górach Pamiru, w zachodnich Chinach. Obok kości znaleziono tam drewniane misy i chińskie harfy, a także drewniane piecyki, które zawierały ślady spalonej substancji. Badania za pomocą chromatografii gazowej wskazały na niezwykle wysoki poziom THC, w porównaniu z typowymi dzikimi konopiami. Elementy grobowego wyposażenia wskazują na Sogdian, lud za-

chodnich Chin i Tadżykistanu, na ogół wyznający wówczas zaraozranizm. Także pewne teksty tej perskiej religii sygnalizują już psychoaktywne właściwości konopi.

Odnalezione w Jirzankal szklane koraliki typowe dla Azji Zachodniej i jedwab z Chin potwierdzają handel na duże odległości, więc Jedwabnym Szlakiem przemieszczały się nie tylko zwykłe towary. Zresztą już w 440 r. p.n.e. Herodot napisał, że Scytowie, którzy kontrolowali rozległe obszary od Syberii po Europę Wschodnią, stawiali specjalne namioty i wdychali tam opary konopi, które sprawiały, że „krzyczeli z radości”. W liczącym 2400 lat scytyjskim kurhanie bogato wyposażonym w złote naczynia Andriej Bieliński, archeolog z Muzeum Dziedzictwa w Stawropolu w Rosji, zidentyfikował w 2013 r. pozostałości zarówno opium, jak i marihuany.

### Któredy do „królestwa ducha”?

Wydaje się oczywiste, że starożytni używali narkotyków nie tylko do leczenia, ale także do kontaktów z „królestwem ducha”, w którym uzdrawianie i religia były nierozłączne. Większość z nas daleko już odeszła od tego rodzaju transformacyjnej magii, choć np. minister zdrowia w rządzie PiS, pan profesor Łukasz Szumowski uznał za niezbędne zawierzenie zdrowia Polaków Najświętszej Paniencie! Właśnie może w związku z takim religijnym podejściem do rzeczy polskie prawo antynarkotykowe jest najbardziej restrykcyjne w Europie i w tej dziedzinie zwycięża z nami tylko Białoruś.

W konopiach znajduje się około 350 różnych substancji chemicznych, z których przynajmniej 85 działa na organizm człowieka. Część z nich to substancje psychotropowe. THC, RSO, CBD. To wszystko brzmi niepokojąco, ale, jak zauważał zmarły niedawno prof. Jerzy Vetulani, jeden z niewielu autorytetów medycznych wprost opowiadający się za legalizacją marihuany w Polsce, lęk przed narkotykami można zaliczyć do tak zwanych „panik moralnych” – nieproporcjonalnie silnych reakcji na zjawiska postrzegane jako zagrażające moralności.

Dla twórcy amerykańskiej polityki antynarkotykowej w latach 30., Harry’ego J. Anslingera, jednym z głównych argumentów przeciwko marihuanie było przekonanie, że jej stosowanie prowadzi do rozwiązłości i po jej użyciu „białe kobiety będą częściej uprawiały seks z Murzynami”! W latach 80. i 90. XX w. w USA częste stały się oskarżenia o odprawianie rytuałów satanistycznych, oczywiście z wykorzystaniem dzieci.

### A w konopiach strach?

Fraza „A w konopiach strach” to nie tylko fragment wierszyka Konopnickiej ale też tytuł wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe książki nieodżałowanego profesora Vetulaniego i Marii Mazurek traktującej sprawę „marchy” we właściwym wymiarze. Gdyby marihuana była rzeczywiście szkodliwa, widzielibyśmy to na co dzień na ulicy, tymczasem w Polsce zataczające się postacie to w ogromnej większości ofiary bardziej swojskiego nałogu. I nie tudźmy się – mimo intensywnych działań państwa, jointy są palone masowo. Inna rzecz, że dla mózgu nieukształtowanego, czyli w wieku 18-21 lat, w zależności od cech osobniczych, używanie jakiegokolwiek substancji psychoaktywnej może być niebezpieczne. Dowodzą tego przypadki z czerwca 2018 r., gdy tzw. dopalacze pochodzące z tajemniczego źródła spowodowały w okolicach Trzebiatowa masowe,

śmiertelnie groźne zatrucia wśród młodych ludzi i nie był to jedyny taki przypadek. Jednak jak bez użycia wojska zapanować nad masowym zjawiskiem – marihuaną, które prawo uznaje za proceder nielegalny, a cena gramowej dawki, wynosiła przed wakacjami 2019 r. od trzydziestu do pięćdziesięciu złotych?

Gdy ktoś kupuje dziś marihuanę od ulicznego diletera, nie ma pojęcia co bierze. Profesor Vetulani wskazywał przykład znajomego, który dostał narkotest od policjantów, zapalił kupionego na ulicy jointa, sprawdził efekty i ze zdumieniem odnalazł we krwi mnóstwo benzodiazepin najwyraźniej mających wzmocnić odczucie przyjemności! I dobrze, że nie była to metamfetamina albo inny równie niebezpieczny środek.

Same konopie w zasadzie nie uzależniają, a na pewno mniej niż tytoń czy alkohol, nie wspominając już o innych „mocnych” narkotykach, choć czasem miewamy tu do czynienia z uzależnieniem kontekstualnym, bo sam fakt brania środka nielegalnego pobudza emocje. Profesor ze współpracownikami robił doświadczenia na szczurach uzależnianych od kokainy. Te, które były specjalnie poddawane dodatkowemu silnemu stresowi, uzależniały się szybciej i trudniej się od uzależnienia uwalniały.

### Na własny użytek?

Jak by wyglądał dziś Stanisław Ignacy Witkiewicz *dicte* „Witkacy”, który eksperymentował z całą listą narkotyków, a ich użycie zaznaczał w podpisie tworzonych obrazów? Sprzedaż marihuany, jak i jej posiadanie czy hodowla są w Polsce zakazane i choć w 2011 r. znowelizowano ustawę, co umożliwiła w niektórych przypadkach odstępianie od ścigania za posiadanie nieznacznej ilości marihuany „na własny użytek”, to już przy nieco większym choć prawnie nieokreślonym zapasie można pójść do więzienia na trzy lata. Helsińska Fundacja Praw Człowieka sprawdziła, jak działa nowelizacja ustawy i podkreśla, że prawo, aby być realizowane skutecznie, winno określić tabelę wartości granicznych. Obecnie mamy ponad 10 tys. skazań rocznie!

Naprzeciw tym paradoksom wychodziła inicjatywa Weed like to talk, próba doprowadzenia do ujednoczenia prawa tak, by we wszystkich krajach członkowskich Unii Europejskiej posiadanie i uprawa konopi nie były karane. Miała służyć temu akcja zbierania podpisów, których milion miał zostać przekazany 20 listopada 2018 Komisji Europejskiej i w ostatecznym rezultacie, po odpowiednich krokach legislacyjnych, zapewnić wszystkim obywatelom Unii równość wobec prawa, a także zlikwidować w znacznej mierze czarny rynek.

Niestety, organizatorzy nie wzięli pod uwagę oczywistej przesłanki, że w wielu krajach, np. w Portugalii, przepisy takie dawno zostały wprowadzone, więc brak odpowiednio zmotywowanych, a w dawnych „demoludach” na fali wyborów do Parlamentu Europejskiego i wyborów do sejmów krajowych trudno będzie znaleźć odważnych, którzy opowiedzą się za zmianą. Przecież straszenie obywateli to podstawowy element strategii wyborczej populistów.

Na razie sprawa więc ucichła i pozostaje chyba zwierzyć Najświętszej Paniencie, że rządzący w naszym kraju, tacy lub inni, gdy opadną powyborcze emocje, pójdą po rozum do głowy. ■

JAROSŁAW ŁADOSZ

# W KWESTII SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ<sup>1</sup>

Jan Dziewulski przeprowadził ciekawą i trafną analizę historycznej i aktualnej treści idei *sprawiedliwości społecznej*. Wykazał, że dominują w niej ekonomiczne wątki: krytyki kapitalistycznego wyzysku, wyzucia ludzi pracy najemnej z ludzkich praw, pozbawiania ich bezpieczeństwa socjalnego. Idea sprawiedliwości **społecznej** ukształtowała się w łonie różnorodnych ruchów socjalistycznych i socjalistycznej literatury, stała się sztandarem rewolucyjnego ruchu robotniczego, socjalizmów utopijnych, feudalnych, burżuazyjnych. Przewodziła duchowo politycznym walkom o prawa socjalne, o społeczną gospodarkę rynkową, o socjalizm. Dzisiaj jest nadal w wielu krajach hasłem naczelnym ruchów przeciwko „dzikiemu” kapitalizmowi odradzalnemu przez liberałów i neokonserwatystów.

Dla Dziewulskiego te konstatacje stanowią rację opowiedzenia się w obronie sformułowania zawartego w art. 2 Konstytucji IV RP przyjętej w kwietniu przez Zgromadzenie Narodowe: „RP jest demokratycznym państwem prawnym, **urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej**” – w obronie przed liberałami, którzy postulowali eliminację podkreślonej części i takie żądanie uczynili jednym z haseł rozpoczynanej kampanii wyborczej. Aby uwypuklić wagę powyższego sformułowania dla obrony nabytych w Polsce Ludowej praw socjalnych Dziewulski przypomina, że zostało ono zaczerpnięte z Konstytucji PRL z 1952 r.<sup>2</sup>

Wszystko to jest abstrakcyjnie słuszne. Jednakże zapowiedziany bój w kampanii wyborczej w 1997 roku o ten zapis już się nie sprawdza. Liberałowie pozostają

stają wprawdzie teoretycznie jego przeciwnikami, ale dają temu wyraz bardzo cienkim głosem, albowiem już zawarli „kompromis”. Konkretnie więc nie bardzo jest czego przed nimi bronić. Nic dziwnego – wszak w Konstytucji to sformułowanie nie występuje w izolacji, lecz w całościowym kontekście wynegocjowanego dokumentu. Obok art. 2 mamy w nim m. in. nowatorski art. 8, ust 2, który postanawia: „Przepisy Konstytucji stosuje się bezpośrednio, chyba że Konstytucja stanowi inaczej”. A więc – znów biorąc abstrakcyjnie – niby to i ów art. 2 ma być „stosowany bezpośrednio”, co wydaje się wzmacniać jego moc, jego egzekwowanie!

Jednakże liberałowie zabezpieczyli się już gruntownie przed jego antykapitalistyczną interpretacją, przeciwko słusznej historycznie interpretacji Dziewulskiego. Nie tylko odcięli go od likwidowania wyzysku. To banalne i nie musieli tu zabiegać o kompromis. Uzyskali znacznie więcej – wprowadzili do całego działu Konstytucji, zatytułowanego „Wolności i prawa ekonomiczne, socjalne i kulturalne” sankcję dla dokonywanego już i dla kontynuowanego energicznie dalszego okrawania tych praw, które formalnie mają dziś jeszcze moc obowiązującą z racji zachowanych przepisów socjalnych Konstytucji PRL. Mało tego – zawarowali sobie odrębnym przepisem art. 81 nowej Konstytucji (a także art. 67 i 68, ust. 2), że **podstawowych praw i wolności w tym dziale zapisanych nie stosuje się bezpośrednio!** Nie można więc nawet tych okrojonych praw windykować posługując się art. 2 o sprawiedliwości społecznej!!! Tymczasem te właśnie prawa stanowią jej jądro. Cała operacja jest w tekście zakamuflowana. Na pozór zapis art. 88: „chyba że Konstytucja stanowi inaczej” jest pusty. W całym tekście przyjętej Konstytucji nie uświadczysz formuły „artykuł X, zgodnie z art. 8, wyłącza się z bezpośredniego stosowania”. Napisano chytrze i wstydliwie: „Praw określonych [tu następuje wyliczenie siedmiu spośród trzynastu artykułów wspomnianego działu] można dochodzić w granicach określonych w ustawie”. Tak oto wyrwano w Konstytucji „sprawiedliwości społecznej” ekonomiczne zęby. Czemu więc o taką sprawiedliwość mieliby kopie kruszyć nasi liberałowie i neokonserwatyści?

1 Artykuł został napisany w trakcie kampanii wyborczej do Sejmu w 1997 roku. *Konstytucja* została uchwalona przez Zgromadzenie Narodowe 2 kwietnia 1997, zatwierdzona przez referendum 25 maja, a weszła w życie 17 października 1997 roku. Artykuł ten był opublikowany na łamach bezdebiditowego czasopisma *Nowe Horyzonty. Pismo lewicy* 1997, nr 2., wydawanego przez Stowarzyszenie Marksistów Polskich. Stanowił on komentarz do artykułu Jana Dziewulskiego zamieszczonego w poprzednim numerze czasopisma.

2 Jest to skądinąd nie całkiem ściśle. Nie było w tamtej konstytucji takiego zapisu. Został dodany przez nowelę z początku 1976 roku i umieszczony w art. 5 w takim oto kontekście: PRL... „urzeczywistnia zasady sprawiedliwości społecznej, likwiduje wyzysk człowieka przez człowieka i przeciwdziała naruszaniu zasad współżycia społecznego”.

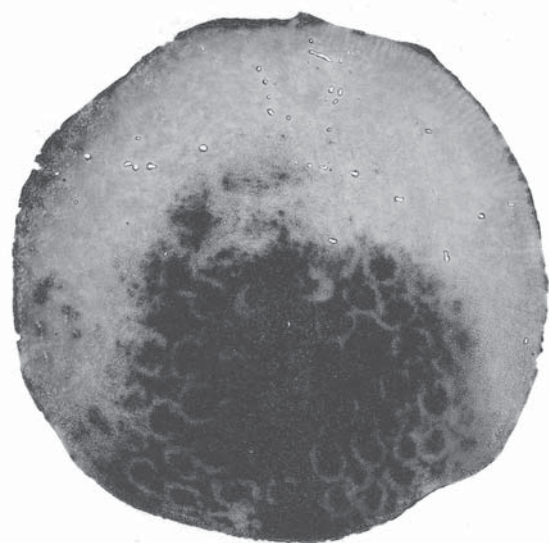
Mamy, oczywiście, nadal do czynienia i mieć będziemy ze zmasowaną kampanią zacierania teoretycznej i historycznej treści kategorii „sprawiedliwość społeczna” w literaturze i propagandzie prawniczej, historycznej, socjologicznej, z „długodystansowym” robieniem narodowi wody z mózgu. Dziewulski wspominał, iż w przedkonstytucyjnej dyskusji pierwszy podjął obronę „sprawiedliwości społecznej” Kołakowski. Poniekąd tak było, lecz jakże osobiwa to obrona. Kołakowski bowiem ogłosił, że sprawiedliwość społeczna jest pojęciem mętnym i wieloznacznym, podobnie jak pojęcie np. godności człowieka. Uznał jednak, że da się w tej mętności wydobyć sensownie dominujący w nich i nie do pogardzenia wątek *moralny*; że natomiast nie mają one **żadnej** wyraźnie określonej treści ekonomicznej. Tu panować ma pełna dowolność, a instytucjonalizowanie tych kategorii (tj. czynienie z nich kategorii prawa pozytywnego) jest szkodliwe. Sprawiedliwość społeczna sprowadza się do niezinstytucjonalizowanego obowiązku moralnego filantropii – i tyle. Ekonomicznie może być wszystkim, co kto zechce – równoprawnie. Kołakowski wręcz utrzymuje, że uprawnione jest traktowanie jako społecznie sprawiedliwego postulatu Milтона Friedmana, by zakazać stosowania progresywnego podatku dochodowego (choć równie uprawnione jest uznanie postulatu przeciwnego). W środkach masowego przekazu bywają upowszechniane dziś poglądy jeszcze „bardziej radykalne”. Korwin Mikke, gwiazdor telewizji, głosi, że sprawiedliwość społeczną narusza nawet podatek o stałej stopie, bez progresji, a jedynie podatek „pogłówny” o jednakiej dla każdego kwocie jest jej prawdziwym uosobieniem.

Jeszcze nie weszła w życie nowa Konstytucja, jeszcze naród może ją odrzucić, a już miesiącami nad obowiązującym zapisem starej, PRL-owskiej pastwi się raz po raz Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy i NSA.

To ulubiony zapis tych gron. „Stosując go bezpośrednio” upominają się o reprivatyzację, o stabilność podatków i o nienaruszalność ulg podatkowych dla kapitalistów; kasują ustawę o zabezpieczeniu władania ogródkami działkowymi przez miliony ludzi pracy itd. itp. A to tylko preludium, bowiem po wejściu w życie nowej konstytucji oczekuje nas prawdziwy koncert stosowania **bezpśrednio** art. 2 przez sądy wszystkich instancji *in concreto*: w obronie praw właścicieli nieruchomości sprzed stuleci, w obronie „klasy średniej” – rzekomego nowego nosiciela i gwaranta owej sprawiedliwości.

Nie warto więc, moim zdaniem, kruszyć kopii o obecność art. 2 i podobnych „ideologicznych” zapisów w Konstytucji, które sankcjonują ogólne humanistyczne „wartości” o wielorakiej historycznej i aktualnej wykładni w interesie różnych klas i ich odłamów. W konkretnej konstelacji mogą one, paradoksalnie, być używane przeciw tradycji, które reprezentują. Bronić zaś warto art. 8<sup>3</sup>, który ma szansę stać się skromnym, lecz wartościowym narzędziem w rękach ludzi pracy. Warto postulować eliminację ograniczeń nakładanych przez art. 81 oraz przywrócenie w dziale praw ekonomicznych i socjalnych nieokrojonych zdobyczy okresu Polski Ludowej. A długofalowo – pracować nad przywróceniem „sprawiedliwości społecznej” jej tradycyjnie rewolucyjnej treści i nad doprowadzeniem tych treści do świadomości nowych pokoleń, które w zmasowanym działaniu oświaty i propagandy chce się dziś z niej gruntownie wypreparować. ■

3 „1. Konstytucja jest najwyższym prawem Rzeczypospolitej Polskiej.  
2. Przepisy Konstytucji stosuje się bezpośrednio, chyba że Konstytucja stanowi inaczej”.



TOMASZ GOBAN-KLAS

# OLGI TOKARCZUK

## WPROWADZENIE

### DO ŚWIATA MEDIÓW

Zaskakująca, więcej – zdumiewająca była godzina noblowska przemowa, co piszę! – wykład Olgi Tokarczuk w Sali Giełdy Akademii Szwedzkiej dnia 7 grudnia roku minionego. Zytułowany *Czuły narrator*, jako esej w całości został upowszechniony w tygodnikach i internecie, jest także po polsku zamieszczony w witrynie Nagrody Nobla<sup>1</sup>. Jego lektura ma – wedle tygodnika „Polityka” trwać 30 minut, więc o połowę krócej niż trwało jego wygłoszenie. Jednak tekst czytany nie oddaje inspirującej mocy wielu stwierżeń Noblistki odnoszących się do współczesnego świata mediów, w których – jak pisała szwedzka prasa – „Oldze Tokarczuk udało się wyjaśnić, dlaczego literatura jest ważna w czasach cyfrowej kakofonii”.

Cóż zatem począć z tym dylematem – słowo czy pismo? Żywe słowa czy martwe litery? Oglądać na przysłowiowym *jutjubie*, czy jednak czytać, powoli i z namysłem? Jest i trzecia droga. Wyróżnić, czyli wybrać szczególnie znaczące fragmenty, przedstawić je oraz opatrzyć kilkudziesięciu komentarzami. Bez wątplenia będzie to subiektywne, autorskie odczytanie mowy, może nawet nadinterpretacja. A co więcej – mogą być różne kryteria wyboru fragmentów, zależne od perspektywy interpretatora. Nie pretendując zatem do uniwersalnej czy to selekcji czy interpretacji, przyjmę akademicką perspektywę medioznawczą. Ona

bowiem, jak uważam, pozwala dostrzec wnikliwość diagnozy współczesnego zmediatyzowanego świata<sup>2</sup>.

Przytaczane fragmenty tekstu przemowy (wszystkie za portalem NobelPrize.org<sup>3</sup>) wyróżnia kursywa, aby oddzielać myśli Olgi Tokarczuk od ich komentowania. Oto pierwszy z nich – pierwsze akapity przemowy noblowskiej.

*1. Pierwsze zdjęcie, jakie świadomie przeżyłam, to zdjęcie mojej matki, jeszcze zanim mnie urodziła. (...) Mama siedzi przy starym radiu, takim, które miało zielone oko i dwa pokrętła – jedno do regulowania głośności, drugie do wyszukiwania stacji.*

*To radio stało się potem towarzyszem mojego dzieciństwa i z niego dowiedziałam się o istnieniu kosmosu. Kręcenie ebonitową gałką przesuwano delikatnie czułej anten i w ich zasięg trafiały rozmaite stacje – Warszawa, Londyn, Luksemburg albo Paryż. Czasami jednak dźwięk zamierał, jakby pomiędzy Pragą*

<sup>2</sup> Zastanawiające, że w artykule *Od fake newsów po rolę literatury. Mowa Olgi Tokarczuk trafia do szkół* zamieszczonym w portalu tvn24.pl 9 grudnia 2019 nauczyciele nie wskazywali bezpośrednich odniesień w przemowie do kwestii medialnych, dostrzegając jedynie kwestie medialnie omawiane, od fake newsów, przez tematy związane z edukacją globalną, wegetarianizm, dostrzeganie zależności w świecie, po rolę technologii czy literatury <https://tvn24.pl/polska/olga-tokarczuk-i-jej-mowa-noblowska-jako-temat-lekcji-od-historii-po-godzine-wychowawcza-ra991777-2565582>

<sup>1</sup> Olga Tokarczuk – *Przemowa noblowska*. NobelPrize.org. Nobel Media AB 2020. Mon. 10 Feb 2020. <<https://www.nobelprize.org/prizes/literature/2018/tokarczuk/104870-lecture-polish/>>

<sup>3</sup> Patrz przypis 1.



a Nowym Jorkiem, Moskwą a Madrytem czułki anteny natrafiały na czarne dziury. Wtedy przechodził mnie dreszcz. Wierzyłam, że poprzez to radio odzywają się do mnie inne układy słoneczne i galaktyki, które wśród trzasków i szumów wysyłają mi wiadomości, a ja nie umiem ich rozszyfrować. (...) byłam przekonana, że mama szukała mnie, kręcąc gałką radia. Niczym czuły radar penetrowała nieskończone obszary kosmosu próbując dowiedzieć się, kiedy i skąd przybędę. (...) I nawet, jeżeli powiem: „Jestem nieobecna”, to i tak na pierwszym miejscu znajduje się: „Jestem” – najważniejsze i najdziwniejsze słowo świata. W ten sposób niereligijna młoda kobieta, moja mama, dała mi coś, co kiedyś nazywano duszą, a więc wyposażyla w najlepsze na świecie **czulego narratora**.

Czymże jest ten wyżej wspomniany, a i wskazany w tytule mowy „czuły narrator”? *Wielki Słownik Języka Polskiego* PAN wskazuje, iż „osoba, która posiada zdolność kontaktowania się z bytami z zaświatów to medium”<sup>4</sup>. I to Olga była tu medium. Ale przecież dla małej Olgi medium, w drugim znaczeniu słownikowym jako przekaźnika, był sam radiodbiornik. To nim była zafascynowana, szczególnie mrugającym wskaźnikiem „zielonym okiem”. To jego czułość punktowała świat – Warszawa, Londyn, Luksemburg, a przez radio odzywał się do niej kosmos. I oto ujawnia się McLuhanowskie „Medium jest przekazem”, maksyma współczesnego pojmowania mediów, w ujęciu Olgi jedności obu znaczeń.

2. Świat jest tkaniną, którą prędziemy codziennie na wielkich krosnach informacji, dyskusji, filmów, książek, plotek, anegdot. Dziś zasięg pracy tych krosien jest ogromny – za sprawą internetu prawie każdy może brać udział w tym procesie, odpowiedzialnie i nieodpowiedzialnie, z miłością i nienawiścią, ku dobru i ku złu, dla życia i dla śmierci. Kiedy zmienia się ta opowieść – zmienia się świat. W tym sensie świat jest stworzony ze słów. To, jak myślimy o świecie i – co chyba ważniejsze – jak o nim opowiadamy, ma więc olbrzymie znaczenie. Coś, co się wydarza, a nie zostaje opowiedziane, przestaje istnieć i umiera. Wiedzą o tym bardzo dobrze nie tylko historycy, ale także (a może przede wszystkim) wszelkiej maści politycy i tyrani. Ten, kto ma i snuje opowieść – rządzi.

Wybitny amerykańsko-węgierski medioznawca George Gerbner często podkreślał znaczenie wielkich narracji w formie powieści (a i mitów) dla życia społecznego. Cytował dawnego szkockiego patriotę i poetę Andrew Fletchera, który pisał: „Gdyby mi wolno było pisać wszystkie ballady, nie musiałbym się przejmować, kto tworzy prawa narodu”<sup>5</sup>.

4 [https://www.wsjp.pl/index.php?id\\_hasla=4104&id\\_znaczenia=773789&l=16&ind=0](https://www.wsjp.pl/index.php?id_hasla=4104&id_znaczenia=773789&l=16&ind=0)  
medium to także: 1. osoba dająca się łatwo zahipnotyzować; 2. osoba obcuja z duchami podczas seansów spirytystycznych; 3. to, za pośrednictwem czego są przekazywane lub wyrażane jakieś treści.

5 Tu warto zacytować Ludwika Dorna (<https://tvn24.pl/magazyn-tvn24/szekspir-w-odzie-do-anglii-wylozyl-wszystkie-motywy-jej-wyjscia-z-ue,256,4465>), który przypominał, że „W przypadku Anglii na znaczeniu nie straciła zakorzeniona w wyobrażeniu wyspiarstwa tożsamość narodowa, (...) poetyckim manifestem brexitowców jest akt strzelisty do Anglii, wygłoszony na łożu śmierci przez księcia Lancaster, w Ryszardzie II Szekspira. „Królewska wyspa, ta

W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, dodawał George Gerbner, „tworzenie ballad – lub, mówiąc szerzej, historii – przeniosło się z rodziców, szkół, społeczności, kościołów i narodów na komercyjny przemysł telewizyjny prowadzony przez korporacyjne konglomeraty medialne. Ta transformacja głęboko zmieniła sposób, w jaki dzieci są socjalizowane i zrobiła wiele, aby ukształtować sposób zarządzania naszym społeczeństwem. Krótko mówiąc, zmieniła nasz styl życia”.

Jako współpracownik profesora Gerbnera, do jego też o znaczeniu „niewinnych” narracji odwołałem się w książce o minionym okresie komunistycznej polityki kulturowej. „Pod rządami totalitarnymi tylko trzy elementy zachowują pewną niezależność od kontroli państwa: rodzina, pamięć i tradycja kulturowa. Nic dziwnego, że tyrani próbują obezwładnić nawet je. Nic nie może lepiej zilustrować polityki Stalina polegającej na zmiżdżeniu wszelkich form swobodnego przepływu ludzi i idei niż kampania przeciwko Ukraińcom na początku lat 30. XX wieku. Po narzuceniu kontroli Moskwy na Ukrainę, jedynym sposobem na podtrzymanie niezależności i siły jej kultury byli *kobzars*, lokalni bardowie, którzy wędrowali po kraju śpiewając ballady i recytując starożytne legendy. Według słów słynnego rosyjskiego kompozytora Dimitri Szostakowicza, byli oni „żywym muzeum, żywą historią kraju: wszystkimi jego piosenkami, całą jego muzyką i poezją”, które podtrzymywały tożsamość narodową narodu ukraińskiego. Stalin nie mógł tego tolerować. Na jego rozkaz kilka setek bardów zaproszono na spotkanie, na którym zamiast uznania zostali aresztowani, a następnie, jak wspomniał Szostakowicz w swoim świadectwie, „zastrzelono prawie wszystkich tych żalonych ślepców”<sup>6</sup>.

3. Chyba jeszcze nigdy w historii człowieka tak wielu ludzi nie zajmowało się pisaniem i opowiadaniem. Wystarczy spojrzeć na pierwsze z brzegu statystyki. (...) Jest to fenomen na wielką skalę także i dlatego, że dzisiaj powszechnie potrafimy posługiwać się piśmem i wielu ludzi osiąga tę kiedyś zastrzeżoną dla nielicznych umiejętność wyrażenia siebie samego w słowie i opowieści. Paradoksalnie jednak wygląda to na chór złożony z samych solistów – głosy nakładają się na siebie, rywalizują o uwagę, poruszają po podobnych trackach, ostatecznie wzajemnie się zagłuszając.

To medialna literacka kakofonia, którą można zaobserwować w każdej nieco większej księgarni, o internetowym Amazon.com już nie wspominając. W pierwszych latach rozwoju tzw. Web 2.0. czyli blogów, postów, haseł Wikipedii, nawet Facebooka, wydawała się triumfem kultury uczestnictwa, aż do krytyki Andrew Keena, „Kult amatora. Jak Internet niszczy kulturę” (2007), która wykazuje, że internet sprzyja powstawaniu nowych form kultury rażących pustką, banalnością, upowszechniając więc w istocie amatorszczyznę. Nie byłoby to tragedią, gdyby kult twórcy-amatora (prosumenta) nie podkopywał kultury opartej na profesjonalizmie. Bankrutują redakcje, wydawnic-

Marsa siedziba, Ten drugi Eden, ta raju połowa, Twierdza natury postawiona ręką, Przeciw napaściom, przeciw dloniom wojny; Ten lud szczęśliwy, sam w sobie świat mały” (cyt. za <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krol-ryszard-ii.html>)

6 Testimony: *The Memoirs of Dmitri Shostakovich*, red. Salomon Volkov; New York: Harper & Row, 1979, s. 165.

twą i producenci muzyczni. Upada, zdaniem Keena, kultura przez duże K..

Tezy Keena subtelniej rozwija najnowsza książka Jay D. Boltera *Cyfrowa obfitość. Upadek kultury elitarniej a rozwój nowych mediów*. Konsekwencją jest medialny, a więc i kulturalny harmider, tak trafnie ujęty przez Olę Tokarczuk. Pisze:

*„instynkt ekspresji – może równie silny, jak inne instynkty, które projektują nasze życie – najpełniej objawia się w sztuce. Chcemy wiele wydawanych książek dotyczy właśnie tego – autorskiego ja. Instynkt ekspresji – może być zauważeni, chcemy poczuć się wyjątkowi. Narracje typu: „Opowiem ci moją historię”, „Opowiem ci historię mojej rodziny”, ewentualnie „Opowiem ci, gdzie byłam” to dziś najpopularniejsze gatunki literackie”.*

Wszakże, gdy wszyscy piszą, niewiele może być dostrzeżone. Aby nieco uporządkować ów bezlik, wprowadza się kategoryzacje wedle rodzajów.

4. *Żeby nie utonąć w wielości tytułów i nazwisk, zaczęliśmy dzielić ogromne lewiatanowe ciało literatury na gatunki, które traktujemy jak dziedziny w sporcie, a pisarzy i pisarki jak wyspecjalizowanych zawodników. Ogólne skomercjalizowanie rynku literackiego doprowadziło do podziału na branże – odtąd odbywają się targi i festiwale literatury takiej czy siakiej, zupełnie osobno, tworząc klientelę czytelników, którzy chętnie zatrzymują się w kryminale, fantasy czy science-fiction. Cechą szczególną tej sytuacji jest, że to, co miało jedynie pomóc księgarzom i bibliotekarzom w uporządkowaniu na półkach ogromu wydawanych książek, a czytelnikom pomagało zorientować się w wielkości oferty, stało się abstrakcyjnymi kategoriami, w które już nie tylko wrzuca się zaistniałe dzieło, ale według których zaczynają pisać sami pisarze.*

*Coraz częściej gatunkowe dzieło przypomina formę do ciasta, która produkuje bardzo podobne rezultaty, ich przewidywalność uważana jest za cnotę, ich banalność za osiągnięcie.*

*Czytelnik wie, czego ma się spodziewać i dostaje dokładnie to, co chciał.*

I oto Olga Tokarczuk przystępnie ujmuje ważne zagadnienie teorii nie tylko literatury, ale i mediów masowych. W analizie przekazów masowych często stosowane i użyteczne jest pojęcie gatunku. W odniesieniu do sztuki wprowadził je już Arystoteles, który dzielił produkty literackie na grupy lub typy (tragedia, komedia, epika, liryka, itd.). W XX wieku termin ten zaczął być używany przez producentów filmowych Hollywoodu do klasyfikacji filmów oraz pomagał usprawnieniu organizacji ich produkcji i marketingu.

Troska o przestrzeganie norm gatunku przenosi wartość dzieła w sferę tradycji kulturalnej, kosztem wartości artystycznej, która wyżej ceni nowatorskie formy ekspresji twórczej. Jednakże w odniesieniu do mediów pojęcie gatunku jest mniej kontrowersyjne niż w sztuce, gdyż ich pożądanym standardem jest nie oryginalność i indywidualność, lecz rutyna i standaryzacja.

W dalszym wywodzie Olga Tokarczuk wprost podejmuje temat nowych form gatunkowych: filmowych seriali telewizyjnych.

5. *Podział na gatunki jest wynikiem skomercjalizowania całej literatury i efektem traktowania jej jako produktu do sprzedaży z całą filozofią brandu, targetu i tym podobnych wynalazków współczesnego kapitalizmu. Możemy mieć dziś wielką satysfakcję, że jesteśmy świadkami powstania nowego sposobu opowiadania świata, jaki niesie ze sobą serial filmowy, a którego ukrytym zadaniem jest wprowadzić nas w trans. (...)*

*Pierwsze dwie dekady XXI w. z pewnością należą do seriali. Ich wpływ na sposoby opowiadania (i przez to też rozumienia) świata jest rewolucyjny. Serial w dzisiejszej postaci nie tylko rozciągnął uczestniczenie w narracji w obrębie czasu, generując jego różne tempa, odnogi i aspekty, ale wniósł także swoje nowe porządki. Ponieważ w wielu przypadkach jego zadaniem jest utrzymanie uwagi widza jak najdłużej – narracja serialowa mnoży wątki, splatając je ze sobą w najbardziej nieprawdopodobny sposób tak bardzo, iż w obliczu bezradności sięga się nawet po stary zabieg narracyjny, skompromitowany kiedyś przez klasyczną operę: „deus ex machina”.*

(...)

*Potencjalne zaistnienie kolejnego sezonu stwarza konieczność otwartych zakończeń, w których nie ma szans pojawić się i wybrzmieć do końca owo tajemnicze katharsis, które było przeżyciem wewnętrznej przemiany, spełnienia się, satysfakcją z uczestniczenia w akcie opowieści. Taki rodzaj komplikowania i niekończenia, ciąglego odraczania nagrody, jaką jest katharsis, uzależnia i hipnotyzuje. Fabula interrupta wymyślona dawno temu i znana z opowieści Szeherazady powróciła w serialach w wielkim stylu, zmieniając naszą wrażliwość i niosąc przedziwne psychologiczne skutki, odrywając nas od własnego życia i hipnotyzując niczym używka.*

*Jednocześnie serial wpisuje się w nowy, rozwlekły i nieuporządkowany rytm świata, w jego chaotyczną komunikację, jego niestałość i płynność. Ta forma opowieści chyba najbardziej twórczo szuka dziś nowej formuły. W tym sensie odbywa się w serialu poważna praca nad narracjami przyszłości, nad dopasowaniem opowieści do nowej rzeczywistości.*

Tokarczuk jakby powtórnie wracała do hipnotyzującej funkcji medium w kształcie już nie radiowym, ale wizualnym – telewizyjnym, gdy ciągnąca się *fabula interrupta* koresponduje z płynną komunikacją, określoną przez Jay Boltera jako *flow*, przepływ, pozostający w opozycji do tradycyjnego teatralnego *katharsis* (oczyszczenia).

Tego *katharsis* nie daje już popkultura, ani informacja masowa. Media współczesne raczej mącą, niż czyszczą świadomość.

6. *Lecz nade wszystko żyjemy w świecie natłoku informacji sprzecznych ze sobą, wzajemnie się wykluczających, walczących na kły i pazury. Nasi przodkowie wierzyli, że dostęp do wiedzy przyniesie ludziom nie tylko szczęście, dobrobyt, zdrowie i bogactwo, ale stworzy społeczeństwo równe i sprawiedliwe. To, czego według nich brakowało światu to była powszechna mądrość, płynąca z wiedzy.*

Jan Amos Komenski, wielki pedagog XVII w., ukuł termin „pansofia”, w którym zawarł idee możliwej omni-scjencji, wiedzy uniwersalnej, która pomieści w sobie wszelkie możliwe poznanie. Było to także i przede wszystkim marzenie o wiedzy dostępnej każdemu. Czyż dostęp do informacji o świecie nie zmieni niepiśmiennego chłopca w refleksyjną jednostkę świadomą siebie i świata? Czy wiedza na wyciągnięcie ręki nie sprawi, że ludzie staną się rozważni i mądrze pokierują swoim życiem?

Kiedy powstał internet, wydawało się, że idee te będą wreszcie mogły zrealizować się w sposób totalny. Wikipedia, którą podziwiam i wspieram, mogłaby wydać się Komenskiemu, podobnie jak wielu myślicielom tego nurtu, spełnieniem marzeń ludzkości – oto tworzymy i otrzymujemy ogromny zasób wiedzy nieustannie uzupełnianej, odświeżanej i demokratycznie dostępnej, praktycznie z każdego miejsca na Ziemi. Spełnione marzenia często nas rozczarowują. Okazało się, że nie jesteśmy w stanie unieść tego ogromu informacji, która zamiast jednoczyć, uogólniać i uwalniać – różnicuje, dzieli, zamyka w bańkach, tworzy wielość opowieści nieprzystających do siebie albo wręcz wrogich sobie, antagonistycznych.

W 1998 roku informatyk Ryszard Tadeusiewicz posłużył się metaforą smogu informacyjnego, którą uznał za najlepszą dla scharakteryzowania zjawiska przeladowania informacyjnego (*information overload*) oraz problemu oceny wiarygodności informacji znajdujących się w zasobach sieciowych. To drugie odnosi się do wiedzy ujętej w Wikipedii.

Obecnie doszły tutaj metafory filtrów i baniek informacyjnych, pojęć wprowadzonych przez Eliego Parisela w książce „Bańka filtrująca. Co internet ukrywa przed Tobą” („The Filter Bubble: What the Internet Is Hiding from You”, 2011). Wykazuje, jak algorytmy Facebooka czy Google’a odcinają nas od informacji, które mogłyby być sprzeczne z naszymi poglądami.

Tekst Olgi Tokarczuk także ostrzega nas przed wiarą w czynienie dobra przez Google. Zresztą słynne motto „Don't be evil” usunięto z pierwszych słów kodeksu postępowania Google. Sam internet pełen jest *fake news*, fałszywych informacji, mowy nienawiści, wydumanych teorii, choćby płaskoziemców.

7. Na dodatek internet, poddany zupełnie bez refleksji procesom rynkowym i oddany graczom-monopolistom, steruje gigantycznymi ilościami danych, które wykorzystywane są całkiem nie „pansoficznie”, ku szerołukiemu dostępowi do wiedzy, ale przeciwnie, służąc przede wszystkim programowaniu zachowań użytkowników, czego dowiedzieliśmy się po aferze Cambridge Analytica. Zamiast usłyszeć harmonię świata, usłyszeliśmy kakofonię dźwięków, szum nie do zniesienia, w którym rozpaczliwie próbujemy dosłuchać się jakiejś najcichszej melodii, najsłabszego chociaż rytmu. Parafraza szekspirowskiego cytatu jak nigdy pasuje dzisiaj do tej kakofonicznej rzeczywistości: internet to coraz częściej opowieść idioty pełna wściekłości i wrzasku. Także badania politologów przeczą niestety intuicjom Jana Amosa Komenskigo, opartych na przekonaniu, że im więcej powszechnie dostępnej wiedzy

o świecie, tym politycy bardziej posługują się rozsądkiem i podejmują rozważne decyzje.

Wygląda na to, że wcale nie jest to taka prosta sprawa. Wiedza może przytłaczać, a jej skomplikowanie i niejednoznaczność, powoduje powstawanie różnego rodzaju mechanizmów obronnych – od zaprzeczenia i wyparcia, aż po ucieczkę w proste zasady myślenia upraszczającego, ideologicznego, partyjnego.

Kategoria „fake newsów” i „fake upów” stawia nowe pytania o to, czym jest fikcja. Czytelnicy, którzy wiele razy dali się oszukać, zdezinformować czy wyprowadzić w pole, nabierają powoli specyficznej nerwicowej idiosynkrazji. (...) Fikcja straciła zaufanie czytelników, odkąd kłamstwo stało się niebezpieczną bronią masowego rażenia, nawet jeśli wciąż pozostaje prymitywnym narzędziem.

Tokarczuk dostrzega finansowy i polityczny wymiar działań mediów społecznościowych, ujawniony światu w skandalu Cambridge Analytica. Ale przecież to tylko wierzchołek góry lodowej, choć doskonałe wprowadzenie do subdyscypliny medioznawstwa – ekonomii politycznej mediów.

8. Możliwe jest jednak, że powieść i literatura w ogóle stają się na naszych oczach czymś zgoła marginalnym wobec innych sposobów narracji. Że waga obrazu i nowych form bezpośredniego przekazywania doświadczenia – kina, fotografii, „virtual reality” i „augmented reality” – stanie się poważną alternatywą dla tradycyjnego czytania. Czytanie jest dość skomplikowanym psychologicznym procesem percepcji. Upraszczając: Najpierw najbardziej nieuchwytna treść jest konceptualizowana i werbalizowana, zamieniana w znaki i symbole, a potem następuje jej „odkodowanie” na powrót z języka na doświadczenie.

Wymaga to pewnej kompetencji intelektualnej. A przede wszystkim wymaga uwagi i skupienia, umiejętności coraz rzadszych w dzisiejszym skrajnie rozpraszającym świecie. Ludzkość przeszła długą drogę w sposobach przekazywania i współdzielenia własnego doświadczenia, od oralności, zdanej na żywe słowo i ludzką pamięć, po rewolucję Gutenberga, kiedy opowieść została powszechnie zapośredniczona przez pismo i w ten sposób utrwalona i skodyfikowana oraz możliwa do powielania bez zmian. Największym osiągnięciem tej zmiany był moment, w którym myślenie jako takie utożsamiliśmy z pismem, czyli konkretnym sposobem używania idei, kategorii czy symboli. Dziś – to jasne – stoimy w obliczu podobnie znamiennej rewolucji, kiedy doświadczenie może być przekazywane bezpośrednio, bez pomocy słowa drukowanego.

O komunikacji bezpośredniej w formie pierwotnej, czyli komunikacji oralnej, wiele pisano w tzw. Szkole Toronto, z Walterem Ongiem, a i Marshalllem McLuhanem na czele. Jednak dzisiaj, w erze eksplozji środków audiowizualnych, grach komputerowych, wirtualnej rzeczywistości, itp. zdaje się ona być bliższa w nowych audiowizualnych formach.

9. Nie ma już potrzeby prowadzić dziennika podróży, kiedy można fotografować i wysyłać te fotografie za pomocą portali społecznościowych w świat, zaraz

*i każdemu. Nie ma potrzeby pisać list, skoro łatwiej jest zadzwonić. Po co czytać grube powieści, skoro można zanurzyć się w serialu? Zamiast wyjść na miasto, żeby rozerwać się przyjaciółmi, lepiej zagrać w grę. Sięgnąć po autobiografię? Nie ma sensu, skoro śledzę życie celebrytów na Instagramie i wiem o nich wszystko. To już nawet nie obraz jest dzisiaj największym przeciwnikiem tekstu, jak myśleliśmy jeszcze w XX w., martwiąc się wpływem kina i telewizji. To zupełnie inny wymiar doświadczania świata – oddziałujący bezpośrednio na nasze zmysły.*

Obszernie o tym traktuje książka pisarza Jacka Dukaja *Po piśmie*, którego medialne poglądy i wpływ odnajduję w mowie Olgi Tokarczuk.

10. *Świata czegoś brakuje. Że doświadczając go przez szyby ekranów, przez aplikacje, staje się jakiś nierealny, daleki, dwuwymiarowy, dziwnie nieokreślony, mimo że dotarcie do każdej konkretnej informacji jest zdumiewająco łatwe. Męczące „ktoś”, „coś”, „gdzieś”, „kiedyś” może dziś być bardziej niebezpieczne niż wygłaszane z absolutną pewnością bardzo konkretne i określone idee – ziemia jest płaska, szczepionki zabijają, ocieplenie klimatyczne jest bzdurą, a demokracja w wielu krajach nie jest zagrożona. „Gdzieś” toną jacyś ludzie, próbujący przepłynąć przez morze. „Gdzieś” od „jakiegoś” czasu trwa „jakaś” wojna. W natłoku informacji pojedyncze przekazy tracą kontury, rozwiewają się w naszej pamięci i stają się nierealne, znikają.*

*Zalew obrazów przemocy, głupoty, okrucieństwa, mowy nienawiści, rozpaczliwie równoważone są przez wszelkie „dobre wiadomości”, ale nie są one w stanie ujarzmić dojmującego wrażenia, które trudno jest nawet zwerbalizować: Coś jest ze światem nie tak.*

Przemoc w mediach to klasyczny temat medioznawczy. Nabiera on jednak coraz większego znaczenia już nie jako obrazy fizycznej przemocy, gwałtu i okrucieństwa, ale jako przemoc symboliczna, a szczególnie jako mowa nienawiści.

11. *Jak za sprawą jednego kliknięcia, wszystko stało się inne, mniej zniuansowane, prostsze. Szept świata umilkł, zastąpiły go hałasy miasta, szmer komputerów, grzmot przelatujących nad głową samolotów i męczący biały szum oceanów informacji. Od jakiegoś momentu w swoim życiu zaczynamy widzieć świat we fragmentach, wszystko osobno, w kawałkach odległych od siebie niczym galaktyki, a rzeczywistość, w jakiej żyjemy w tym nas upewnia: lekarze leczą nas według specjalności, podatki nie mają związku z odświeżaniem drogi, którą jeździmy do pracy, obiad nijak się ma do wielkich ferm hodowlanych, a nowa bluzka do obskurnych fabryk gdzieś w Azji. Wszystko jest od siebie oddzielone, żyje osobno, bez związku.*

*Żeby łatwiej nam było to znieść, dostajemy numery, identyfikatory, karty, toporne plastikowe tożsamości, które próbują nas zredukować do użytkowania jakiejś jednej cząstki tej całości, którą przestaliśmy już dostrzegać. Świat umiera, a my nawet tego nie zauważamy. Nie zauważamy, że świat staje się zbiorem rzeczy i wydarzeń, martwą przestrzenią, w której poruszamy*

*się samotni i zagubieni, miotani którymiś decyzjami, zniewoleni niezrozumiałym fatum, poczuciem bycia igraszką wielkich sił historii czy przypadku. Nasza duchowość zanika, albo staje się powierzchowna i rytualna. Albo po prostu stajemy się wyznawcami prostych sił – fizycznych, społecznych, ekonomicznych, które poruszają nami jakbyśmy byli zombie.*

*I w takim świecie rzeczywiście jesteście zombie.*

Człowiek otrzymuje identyfikator, już nie plaketkę na ubraniu, czy paszport, ale numer – pesel, login, itp.. Stajemy się numerem, a w sieci profilem, dane są gromadzone jako Big Data, zapisywane w chmurach internetowych, segregowane przez algorytmy. Tokarczuk nazywa nas zombi, medioznawcy – cyfrowymi ludźmi. Jesteśmy realnie wirtualni, czyli jak żywe trupy w grach.

Co nas może ożywić faktycznie? Odpowiedź Olgi jest do przewidzenia – literatura.

12. *Kosmos literatury jest jeden niczym idea unus mundus, wspólnej rzeczywistości psychicznej, w której jednoczy się nasze ludzkie doświadczenie, zaś Autor i Czytelnik pełnią równoważną rolę, pierwszy przez to, że tworzy, drugi zaś dzięki temu, że dokonuje nieustannej interpretacji.*

I tu skojarzyłem tę myśl z tytułem mojej pracy doktorskiej z socjologii kultury i mediów sprzed niemal pół wieku, *Młodzi robotnicy Nowej Huty jako odbiorcy i współtwórcy kultury* (1971) – słowo odbiorcy w tytule było oczywiste, ale współtwórcy kultury już nie. Rozumiałem je jako interpretatorów, aktywnych psychicznie odbiorców. To wówczas byli robotnicy oglądający w telewizji spektakle teatralne, kabarety w stylu Starszych Panów, a także recitale np. Ewy Demarczyk. Dzisiaj serwuje się im disco polo Zenona Martyniuka. Remedium może być rozumienie i współodczuwanie czułości wykazywanej przez twórcę-narratora.

13. *Każdej rzeczy i osobie muszę przyjrzeć się z bliska, z największą powagą i uosobić je we mnie, spersonalizować. Do tego właśnie służy mi czułość – czułość jest bowiem sztuką uosabiania, współodczuwania, a więc nieustannego odnajdowania podobieństw. (...) Pojawia się tam, gdzie z uwagą i skupieniem zaglądamy w drugi byt, w to, co nie jest „ja”. (...) Jest tym trybem patrzenia, które ukazuje świat jako żywy, żyjący, powiązany ze sobą, współpracujący, i od siebie współzależny. Literatura jest właśnie zbudowana na czułości wobec każdego innego od nas bytu. To jest podstawowy psychologiczny mechanizm powieści. Dzięki temu cudownemu narzędziu, najbardziej wyrafinowanemu sposobowi ludzkiej komunikacji, nasze doświadczenie podróżuje poprzez czas i trafia do tych, którzy się jeszcze nie urodzili, a którzy kiedyś sięgną po to, co napisaliśmy, co opowiedzieliśmy o nas samych i o naszym świecie.*

Kluczowym słowem w mowie noblowskiej Tokarczuk jest nie tyle literatura i media, ani nawet wrażliwość czy miłość. Jest nim czułość.<sup>7</sup> Przywołana jest w tytule i w końcowych rozważaniach jako podsu-

<sup>7</sup> Wczuwanie to empatia, a czułość to raczej wyczuwanie. Czułki. Olga T. pisze o wyczuwaniu głosów świata via radiodiodniomik.

mowanie. Przynależy do sfery pogłębionej narracji oraz ludzkiej etyki komunikowania, a niekiedy – choć raczej wyjątkowo – mediów. Ale przecież media są środkiem komunikacji społecznej, a ta, aby była dobra, w etycznym, społecznym i ludzkim sensie, w uzupełnieniu do teorii aktu komunikacyjnego Habermasa, wymaga skupienia uwagi, dostrzega wartość i godność drugiej osoby, pewnego stopnia czułości. Komunikacja społeczna zatem być odniesieniem do tego, co Florian Znaniecki nazywał „współczynnikiem humanistycznym” w socjologii, a który należałoby wprowadzić do współczesnych badań medioznawczych na wszelkich poziomach.

#### Addenda

W publikacji Ossolineum 1919-2019. *Księga jubileuszowa serii Biblioteka Narodowa*<sup>8</sup> Olga Tokarczuk podejmuje celnie jednoakapitową analizę znaczenia tej serii wydawniczej w dziedziczeniu kulturowym:

14. *Idee „Biblioteki Narodowej” rozumiem jako swego rodzaju skarbiec najważniejszych dzieł literatury, w którym dzieła są nie tylko przechowywane i chronione przed zapomnieniem, ale także nieustannie komentowane przez następne pokolenia, ponieważ każda generacja ma swoją własną wrażliwość czytelniczą, inne perspektywy, idiosynkrazje i pomysły interpretacyjne. Jest to więc skarbiec, który z założenia nieustannie odnawia i aktualizuje. Zadania takiej instytucji jak Biblioteka Narodowa można więc traktować jako nieskończone.*

A mediolog, jak się sam określał we *Wstępie do mediologii*, Régis Debray, wyjaśniał tę rolę księgi, serii wydawniczej, biblioteki w swej deklaracji dla czasopiśmie „Medium”<sup>9</sup>

*Dłaczego Medium,*

*kiedy jest już dużo mediów?*

*Aby WALCZYĆ z lukami w czasie i między pokoleniami.*

*Aby ODNOWIĆ związki między wiedzą o umyśle i sztuką,*

*między naszą nostalgią i naszymi perspektywami,*

*między naszą kulturą a naszymi technikami.*

*Aby ZAZNACZAĆ troskę o dziedziczenie, a najwięcej o środkach zaradczych*

*do naszej skończoności.*

*PAMIĘTAJ, że przesyłamy tylko to, co przekształcamy,*

*ponieważ bez wysiłku nie przyjmować,*

*i sukcesja rymuje się z subwersją.*

*Aby SŁUŻYĆ jako miejsce spotkań między członkami tej samej sieci,*

*gotowi do przekraczania różnic między nimi.*

*Nie da się przecenić tego, co pierwszoosobowa narracja zrobiła dla literatury i w ogóle dla ludzkiej cywilizacji – przerobiła opowieść o świecie jako miejscu działań herosów czy bóstw, na które nie mamy wpływu, na naszą indywidualną historię i oddała scenę ludziom takim samym jak my. Na dodatek, z takimi samymi jak my łatwo się zidentyfikować, dzięki czemu pomiędzy narratorem opowieści a czytelnikiem czy słuchaczem rodzi się emocjonalne porozumienie, bazujące na empatii. Ta zaś ze swej natury zbliża*

*i niweluje granice – bardzo łatwo jest zatrzeć w powieści granice między „ja” narratora i „ja” czytelnika, a powieść, która „wciąga” wręcz liczy na to, że granica ta zostanie zniesiona i unieważniona, i to czytelnik, dzięki empatii, stanie się na jakiś czas narratorem. Literatura stała się więc polem wymiany doświadczeń, agorą, gdzie każdy może opowiedzieć swój własny los albo dać głos swojemu alter ego. Jest to przy tym przestrzeń demokratyczna – każdy może się wypowiedzieć, każdy może też dokonać kreacji „głosu, który mówi”.*

Tam jest jeszcze więcej fragmentów, które można odnieść do współczesnych mediów, przy czym Ona literaturę (książkę) traktuje jako jedno z mediów i fakt, że w Polsce właśnie kultura zbudowana jest na literaturze. No, np. kiedy mówi:

Dodatek Staszka J.

»Nie da się przecenić tego, co pierwszoosobowa narracja zrobiła dla literatury i w ogóle dla ludzkiej cywilizacji – przerobiła opowieść o świecie jako miejscu działań herosów czy bóstw, na które nie mamy wpływu, na naszą indywidualną historię i oddała scenę ludziom takim samym jak my. Na dodatek, z takimi samymi jak my łatwo się zidentyfikować, dzięki czemu pomiędzy narratorem opowieści a czytelnikiem czy słuchaczem rodzi się emocjonalne porozumienie, bazujące na empatii. Ta zaś ze swej natury zbliża i niweluje granice – bardzo łatwo jest zatrzeć w powieści granice między „ja” narratora i „ja” czytelnika, a powieść, która „wciąga” wręcz liczy na to, że granica ta zostanie zniesiona i unieważniona, i to czytelnik, dzięki empatii, stanie się na jakiś czas narratorem. Literatura stała się więc polem wymiany doświadczeń, agorą, gdzie każdy może opowiedzieć swój własny los albo dać głos swojemu alter ego. Jest to przy tym przestrzeń demokratyczna – każdy może się wypowiedzieć, każdy może też dokonać kreacji „głosu, który mówi”«.

Po pierwsze zwraca uwagę, na „negocjacyjny” charakter odbioru mediów, po drugie - na „głos”. W tym drugim przypadku jako *voice recognition* – metafora do *voice recognition technology*. Gdy media przywiązują dużą wagę do tworzenia, utrzymywania i angażowania odbiorców, stosunkowo niewiele uwagi poświęcają samym odbiorcom i „słuchaniu” ich głosu. Stąd zresztą ułomność badań nad mediami, zwłaszcza w odniesieniu do nowych mediów i mediów społecznościowych, które dzisiaj w wo wiele większym stopniu niż poprzednicy, demokratyzują „głos” (Couldry). Przy czym Couldry mówi że „głos” musi mieć publiczność, a po drugie, publiczność musi słuchać.

Stąd zresztą taka kariera oral history jako metody badań etnograficznych w badaniach jakościowych, również mediów. Kłaniają się polscy socjologowie-antropolodzy i „zbieracze” pamiętników – Znaniecki, Chałasiński, Jakubczak i inni. Wiesz o tym, oczywiście, lepiej niż ja.

8 Wrocław, 2019

9 <http://regisdebray.com/mediologie/medium>

JACEK CYGAN

# W I E R S Z E

## Precyzja

Dwie połówki oddechu idealnie równe.  
Wdech i wydech gdzieś w górze zmusznie policzone.  
– Oddał ostatnie tchnienie – ktoś powie na końcu.  
– Teraz się zgadza, możemy zamykać rachunek.

Pierwsze otwarcie powiek, ostatnie zamknięcie,  
Liczba otwarć i zamknięć dokładnie ta sama.  
Tego pilnują czujnie dwie zimne monety  
Stęsknione za dotykiem jeszcze ciepłych powiek.

Jeśli świat obmyślony jest z taką precyzją,  
Może będę umarły tyle, ile żyłem?  
Ani minuty dłużej nie zamierzam czekać,  
By znów drgnęła powieka i furtka oddechu.

## Stół weselny

Ona filigranowa, jak to panna młoda.  
Jej matka drobna, miła, raczej nic poza tym.  
Jej ojciec grubej kości, zawsze pewny siebie.  
Jej babcia gołąbeczka, wcielenie dobroci.  
Jaj dziadek ze złym okiem, chory z nienawiści.  
Pan młody jakby trochę za cichy, za młody.  
Z tego powodu może lekko nieweselny.  
Patrzy i pyta w myślach:  
– Czasie, za lat trzydzieści, do kogo będzie podobna?  
Czas schował się w firance, śmieje się bezgłośnie.

## Boskie błędy

Gdyby tak móc dotrzeć do projektów, według których  
Bóg stworzył człowieka.  
Musiał przecież mieć jakieś rysunki, szkice, makiety...  
Pokreślone, wielokrotnie poprawiane.  
Potem być może robił modele z gipsu,  
A może z drewna, bo pewnie nie z plasteliny.  
Człowiek z plasteliny?  
Pan Bóg z dłutem i młotkiem,  
W fartuchu poplamionym gipsem i farbą.  
A to poprawi grubość uda, a to wklęsłość brzucha.  
Odlupie trochę człowieka, przyklei trochę człowieka.  
Odsunie się, popatrzy z boku, otrze pot z czoła.  
Tu żadne cuda nie pomogą, trzeba się naprawdę  
naharować.  
Gdyby tak dotrzeć do tych papierów, nawet tych  
podartych,  
Albo znaleźć model dłoni z trzema palcami?  
Może to stoi w jakimś magazynie, zakurzone po uszy,  
nikomu niepotrzebne?  
A może jest głęboko schowane w sejfie – te wszystkie  
poprawki,  
skreślenia, nieudane kreski, odlupana część uda,  
gipsowe fałdy na brzuchu?  
Zamknięte na cztery spusty, żeby ukryć boskie błędy?

## Sen z mamą

Przyśniła mi się moja mama.  
Siedziała przy stole, wokół aniołowie.  
Śpiewy, życzenia, pachniały niebiańskie małmazje.  
– Co to, urodziny? – zapytałem.  
– My tu w niebie świętujemy rocznice śmierci –  
odpowiedziała.

## On

Mówili o nim,  
że sypia z jabłkiem w dłoni,  
żeby nawet we śnie czuć,  
że ma władzę.  
A potem na śniadanie  
je to jabłko,  
żeby czuć, że ma władzę  
nad władzą.

2019

## Przyszło niezauważone

Andrzejowi Sewerynowi z drogi do Wieliczki  
To wszystko przychodzi samo:  
Pewność, że minęła młodość,  
Przekonanie, że nastąpiło coś,  
Czego się obawiałeś, że zaczęło boleć...  
Nie uprzedziło, nie zadzwoniło,  
Przyszło.  
Myślałeś – zauważę, zdążę się przygotować.  
Przyszło niezauważone, niedostrzeżone, niekrzykliwe.  
Dlatego trzeba robić to, co się robi,  
Codziennie, wiernie, nawet beznadziejnie.  
Choćby dla paru osób,  
Choćby pozornie dla nikogo.  
... żeby w chwili, gdy to przyjdzie samo,  
być u siebie.

8 lipca 2016

## Jaskółki

Szybują wysoko, by mi pokazać,  
Że nie będzie dzisiaj deszczu.  
Dziękuję tej, która ma lęk  
Wysokości.

## Na Skałce

Odwiedzam grób Miłosza  
W podziemiach kościoła oo. Paulinów  
Na Skałce w Krakowie.  
BENE QUIESCAS – czytam,  
SPOCZYWAJ W POKOJU!  
Przepowiadam w myślach dwa wiersze poety:  
Spotkanie i Mittelbergheim – moje ulubione.  
Chwilę postoję, zmarznę, pójdę.  
Śmierć jest zimna.  
Życie jest ciepłe.

## Bar w Zakopanem

Znajomy poeta odstawił wysoki stołek barowy.  
Powiedział: – To się, kurwa, trzymaj! I wyszedł  
chwiejnym krokiem.  
Barmanka złapała kufel po nim i kieliszek po nim.  
– E, wicie, nie lubię go. Stale ino pije i godo te słowa  
na ha i ku!  
– Haiku? – podjąłem zachwycony.  
– No, haiku! A potem fiku miku na chodniku.

ADAM KOMOROWSKI

# A POTEŃ BYŁA ZMIANA: KOT GONIŁ BOCIANA

Powiedzieć, że „pokolenie 68” znalazło się w stanie oskarżenia byłoby przesadą. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że urodzeni w latach 40. zeszłego wieku wchodzą w okres starości jako podejrzani. Dotyka to także tych, którzy pokoleniowej identyfikacji unikali. Z dzisiejszej perspektywy odchodzące pokolenie zdaje się być dla krytyków wspólnotą o wiele bardziej homogeniczną aniżeli w czasach swojej młodości czy dojrzałości. Uwikłanie pokolenia w realny socjalizm nie tonuje udziału sporej liczby jego reprezentantów w jego demonstatażu. Samo trwanie pokolenia i biografie jego protagonistów są widomym znakiem historycznej ciągłości, która podważa narracje oparte na radykalnej zmianie i owej ciągłości zaprzeczaniu. Przeszkadza politycznemu formatowaniu pamięci, wręcz je uniemożliwia. Jest to zjawisko dotyczące nie tylko Polski, mamy z nim do czynienia nie tylko w krajach, które wyszły z realnego socjalizmu, ale także w Hiszpanii, Portugalii czy Niemczech. W Polsce jest widoczne najbardziej.

Andrzej Nowak w przedmowie do zbioru publicystyki Elżbiety Morawiec *Obrazki polskie* pisze: „Klasa próżniacza, częściowo rentierów odwołujących się do wcześniejszej pracy czy zasług, która nie może się pogodzić ze zmianą. Jest gotowa raczej wykląć ten świat aniżeli przyznać, że lepiej już odejść, ustąpić miejsca innym, młodszym. Woła ustami swojego wieszczca (z kontekstu wynika, że autor ma na myśli Adama Michnika, - AK): „Nie oddamy Polski gówniarzom.” Nie trudno dostrzec, że filipika wybitnego historyka, pomimo ideowego sztafażu, ma źródło w resentymentach. Tak jakby autor czegoś pokoleniowym poprzednikom zazdrościł. Jeśli jest to publiczność, to się myli. „Po-

kolenie 68”, być może poza pierwszym pokoleniem romantyków, było najbardziej wsobnym. Przemawiało głównie do siebie i najbardziej znaczące były dla niego własne hierarchie wartości. O tym dalej.

Biologia sprawia, że żyjący przedstawiciele „pokolenia 68”, to dzisiaj emeryci, którzy swoje etaty pozostawili młodszym. Być może fakt, że mają więcej niż inni wolnego czasu sprawia, że są nadreprezentowani podczas protestów i demonstracji. Nie chcą się zrzec obywatelskiej podmiotowości. Oczywiście można zadać pytanie dlaczego i czy słusznie akurat przedstawiciele tego pokolenia uważają się za depozytariuszy demokracji, wolności i praworządności. Nowak go nie zadaje. Dla niego jest to pragnienie utrzymania politycznej sprawczości poprzez blokowanie zmiany, której protagonistami byłiby młodszy, nie obciążeni w takim stopniu biografiami uwikłanymi w nie w pełni suwerenny PRL, Polskę zwasalizowaną przez Rosję. „Pokolenie 68”, podobnie jak arystokracja polska na przełomie XIX i XX wieku, „wciąż wierzy, że będzie kierować sytuacją w kraju”. Narzędziem jest „środowiskowa fatwa”, którą jego protagoniści mają się postugiwać analogicznie.

Na zakończenie Nowak pisze: „Jesteśmy świadkami, a nawet uczestnikami – końca III RP jako systemu przedłużenia PRL.” Kiedy zapytamy czym „system przedłużenia PRL” miałby być, to okazuje się nim upiorna obecność protagonistów „pokolenia 68”, tych którzy działali w opozycji, np. w KOR, redagowali „Zapiski” i pisywali w „Kulturze” paryskiej, jak i tych związanych z reformatorskim nurtem w PZPR. W skrócie można powiedzieć, że jest to obecność obecnych w PRL. Ich poglądy nie są tutaj istotne, obciążeniem jest sam



fakt obecności wtedy i dzisiaj. Upiorność tej obecności blokuje wymianę elit, bez której jakkolwiek autentyczna zmiana jest niemożliwa, a pełna suwerenność nieosiągalna.

Andrzej Nowak, pozostając najbardziej oryginalnym ideowym mentorem sprawującej obecnie władzę w Polsce formacji politycznej pokazuje, jak wielkim nieporozumieniem było od samego początku traktowanie jej jako manifestacji populizmu. Źródłowym fundamentem polityki rządzącej obecnie formacji, którą w skrócie możemy określić jako PIS, był od samego początku radykalny elitaryzm. Podmiotem dziejów są elity, a kadry decydują o wszystkim. Masy („które wszystko kupią”) są bezwolnym narzędziem w rękach elit.

Nowak przedstawił program wymiany elit o głębokości w dziejach Polski niespotykanej. Coś, co nie udało się komunistom nie wahającym się przed zbrodniczą fizyczną eliminacją. Sednem historiozofii Nowaka, którą zainfekował rządzących, jest przekonanie, że w naszym kraju wymiany elit były spowolnione, zbyt długo pozwalano zachować im znamiona prestiżu i dysponowanie nim. Nowak nie jest tak radykalny jak Jarosław Marek Rymkiewicz, który uważa, że za mało u nas ludzi elit wieszano. Ale przekonanie, że wymiana elit jest lekarstwem na wszelkie społeczne i moralne zło, ich łączy.

Nie ma tu miejsca na krytykę tego typu historiozoficznych koncepcji. Nie są one polskim monopolem. Nowak i Rymkiewicz nie biorą pod uwagę, że w przypadku Polski istniał od początków naszej państwowości sektor elit całkowicie immunizowany (choćby dlatego, że kapłaństwo jest sakramentem) na krajowe determinanty polityczne i były to elity Kościoła katolickiego. Na dobre i na złe, może się to nam podobać lub nie, ale kwestionowanie faktu, że to one były jakąś gwarancją ciągłości historii Polski, jest głupotą.

Istnienie tego sektora podważa koncepcję i samą możliwość tak radykalnej wymiany elit, o jakiej dziś wielu w Polsce marzy. Przekonanie, że w procesie wymiany elit można ten sektor, zachowując i poszerzając jego przywileje, instrumentalnie wykorzystać jest złudzeniem. Nie ma lepszego przykładu ulotności tej fantasmagorii, aniżeli manifest czołowego protagonisty elit, które muszą odejść, czyli Adama Michnika i jego książki *Kościół, lewica i dialog*. Po transformacji jej przesłanie przełożyło się na działalność Komisji Majątkowej i niezliczone przywileje dla „starych” elit kościelnych. A one szybko porzuciły swoich „dobroczyńców” z UW i PO i inaczej być nie mogło. Ten sektor elit bywa poplecznikiem, a nie sojusznikiem. By mógł się nim stać, musiałaby nastąpić schizma, powstać kościół narodowy. Utraciłby przez to legitymację powszechności, właśnie ową katolickość, którą gwarantuje związek ze stolicą Piotrową.

Ponieważ realna całkowita wymiana elit w Polsce nie jest możliwa, z czego podświadomie zdajemy sobie sprawę, pole walki sprowadza się praktycznie do kontroli dystrybucji prestiżu. W tym obszarze PRL od samych swoich początków ponosił porażki. Pomimo monopolu przyznawania odznaczeń i orderów, promowania jednych i dyskryminowania innych socjalistyczne państwo było bezbronne wobec autorytetów wyłaniających się poza jego zasięgiem. Program oparty na podminianiu społecznej, klasowej genealogii elit zawiódł. Nomenklatura kojarzyła się z „dyktaturą ciemniaków”.

Przyjrzenie się procesowi wyłaniania się elit w pierwszym pokoleniu Polski Ludowej, którym było pokolenie urodzonych w latach 40, jest szczególnie pouczające. Jeśli nawet przyjmujemy, że w części były to tzw. resortowe dzieci, nie zmienia to faktu, że prestiżu pokoleniowego nie zyskiwało się dlatego, że ojciec był pracownikiem służb czy dyplomatą. W tym pokoleniu zdobywanie prestiżu nie wiązało się z zasługami przodków. Prestiż długo ograniczał się jedynie do grupy rówieśniczej, jego projekcja poza pokolenie nie tylko była utrudniona – wiele wskazuje na to, że sami aktorzy nie byli taką projekcją zainteresowani. Dowartościowanie działań przez własne pokolenie było wystarczającą gratyfikacją. To jest jedna z osobliwości kultury studenckiej w Polsce. Temu pokoleniu dla zdobycia prestiżu nie było potrzebne ani państwo, ani Kościół. Ta autonomia wyłaniania i budowania pokoleniowych autorytetów niekiedy prowadziła do pokoleniowego solipsyzmu, który z zewnątrz mógł być odczytywany jako ekskluzywność, koteria, czyli wszystko to co nazwane zostanie „salonem”.

Autonomia pokoleniowych mechanizmów budowania prestiżu została zinterpretowana jako „salon”, działanie niemal mafijne i groźne w sytuacji odzyskania pełnej suwerenności i budowania demokracji. Pokolenie, a zwłaszcza jego cieszący się prestiżem protagoniści, znaleźli się w stanie podejrzenia w momencie ustrojowej transformacji. Przyczyną była odmowa zgody na przyjęcie statusu ofiary. Nie oznaczało to, że ofiar systemu nie było. Było ich stanowczo zbyt wiele, ale akurat nie w tym pokoleniu. Traumatyczne doświadczenia „marca 68” były nieporównywalne z politycznym terrorem powojennym czy stalinowskim. Jeśli chodzi o możliwość zdobywania wykształcenia, pokolenie było beneficjentem systemu. Powściągliwości w przyjmowaniu roli ofiary uczyły pokolenie biografie rodziców, w skrajnych przypadkach obozowy numer wytatuowany na ramieniu matki czy ojca. Dla „pokolenia 68” pokój był darem.

Odmowa przyjęcia statusu ofiary i symulacji jej syndromów może niekiedy przybrać formę prowokacji. Tak jest z książką Marcina Króla *Do nielicznego grona szczęśliwych*. To rzadki w naszym piśmiennictwie przypadek, kiedy autor decyduje się deklarować bycie beneficjentem czasów, w których przyszło mu żyć, uważając się z tego powodu za szczęściarza.

Pokoleniu udało się zdobyć alternatywne przestrzenie ekspresji tworzone przez kulturę studencką, a potem przez tzw. kulturę niezależną. Było beneficjentem kruszenia imperialnego projektu ujednoczenia wzorców kulturowych w oparciu o model narzucony peryferiom przez centrum imperium, „sorealizm”. Jeżeli przed październikiem 1956 roku żyliśmy w „priwisliańskim kraju”, to po nim znaleźliśmy się w Galicji. „Piwnica pod Baranami” była pierwszym zwiastunem tej nowej sytuacji. Innym, niemniej ważnym, był teatr Cricot. Piotrowi Skrzyneckiemu i Tadeuszowi Kantorowi udało się stworzyć całkowicie autonomiczne obszary ekspresji, które pomimo „odchodzenia od Października” były przez najbardziej aktywnych twórców pokolenia 68 nieustannie poszerzane.

Nieustannie absolutyzowana przez Nowaka alternatywa: „lojalność wobec prawa imperium albo zachowanie odrębnej tożsamości wspólnotowej” akurat

tego pokolenia nie dotyczyła. Nie jest przypadkiem, że matczynikiem najbardziej udanych alternatywnych przestrzeni ekspresji był Kraków. W odróżnieniu od Warszawy i Kongresówki, w Galicji alternatywa: zachowanie tożsamości narodowej lub lojalność wobec imperium nie występowała w tak ostrej postaci jak w imperium rosyjskim. Polacy mieli różne doświadczenia egzystowania na peryferiach imperiów jako jego część. Ewolowały one w czasie i nie ulega wątpliwości, że żywioł polski był w pierwszym okresie po utracie niepodległości bardziej represjonowany w zaborze austriackim aniżeli w rosyjskim. Polacy nie mieli jednej wspólnej pamięci imperialnego zniewolenia.

Świadomość tych różnic była w pokoleniu bardzo żywa, czego dobrym przykładem jest próba rewaloryzacji dziedzictwa Stańczyków. Andrzej Mencwel kiedyś napisał, że jako Wielkopolanin nie czuje się dziedzicem irredenty. Być może fakt, że było to pierwsze pokolenie obywateli Polski dojrzewających w jednonarodowym kraju, czego poprzednie pokolenia nie doświadczały, stymulował tolerancję dla różnicowania pamięci historycznej. W sytuacji etnicznej przemieszania w Rzeczypospolitej pamięć musiała być formatowana tak, by stanowić barierę wobec emancypacyjnych roszczeń mniejszości. Po roku 1945 ten problem zniknął.

Pokolenie wzrastające w monolitycznej narodowo Polsce nie odczuwało nieustannego ciśnienia manifestowania przynależności do narodu gospodarza w tym stopniu, jak ojcowie czy dziadkowie. Ostentacyjny patriotyzm był zbyteczny, ponieważ polska tożsamość stanowiła oczywistość także dla tych, których polskość, by posłużyć się formułą Józefa Hena, była „etnicznie wzbogacona”. Dlatego „marzec 68” okazał się dla pokolenia takim szokiem, z którego do dziś nie może się otrząsnąć.

Indyferentyzm wobec ostentacyjnego patriotyzmu ewoluował w stronę nieufności wobec każdej próby formatowania i ujednolicania pamięci. A ponieważ martyrologiczny paradygmat i przekonanie o permanentnej ofierze legły u podstaw mitu założycielskiego III Rzeczypospolitej, elitom „pokolenia 68” nie pozostawało nic innego, aniżeli odmowa przyjęcia roli ofiary. To musiało być podejrzane, ponieważ zakłócało prawomocność obowiązującej narracji. Tej narracji, której nieco infantylnym emblematem jest *Antologia Niepodległości*, firmowana przez parę prezydencką Andrzeja Dudę i Agatę Kornhauser-Duda.

Gdyby Michnik po 1989 roku, jak bohater opowiadania Sławomira Mrożka, demonstrował braki w uzębieniu wołając: „O, o tu, zęby za wolność wybite” i domagał się gratyfikacji, zamiast pójść do dentystry (co zrobił), zapewne byłby dla Nowaka do przyjęcia i mógłby drukować w „Arcanach”. Dołączyłby do nielicznych nawróconych na martyrologiczną polskość przedstawicieli pokolenia, jak Marek Baterowicz czy Elżbieta Morawiec (Jerzy Gizella to przypadek osobny). Wymieniam tylko tych, z którymi pozostawałem w pewnym stopniu zażyłości.

Nowak doskonale sobie zdaje sprawę, że udział przedstawicieli tego pokolenia w realnej władzy w III RP był raczej skromny. Była ona domeną albo starszych (Skubiszewski, Mazowiecki, Geremek, Bartoszewski), albo młodszych (Tusk, Kwaśniewski, Komorowski, Sikorski). Dlatego przypisuje nadzwyczajną sprawczość temu,

co określa jako „elity interpretacyjne”. To one są odpowiedzialne za tąpnięcie tożsamości narodowej zagrażające suwerenności w czasach globalizacji i odradzających się imperialnych aspiracji naszych sąsiadów. Ponieważ po transformacji elita interpretacyjna wyłoniła się z kręgów pokolenia 68, jej grzech jest jednocześnie skazą pokoleniową; jest nią relatywizacja martyrologii Polaków.

Trzeba przyznać, że Nowak jest jednym z nielicznych polskich historyków upominających się o pamięć martyrologii polskich komunistów, którzy zapłacili głową za chęć utrzymania żywiołu polskiego na tzw. żytomierszczyźnie i marchlewszczyźnie w „akcji polskiej” zarządzanej przez Stalina i zrealizowanej przez Jeżowa w drugiej połowie lat 30. zeszłego wieku, fizycznej likwidacji ponad 100 tysięcy Polaków, obywateli sowieckiego państwa.

Jestem skłonny zgodzić się z Nowakiem, że w „pokoleniu 68” pragnienie zdobycia hegemonii kulturowej, zmiana wzorca kulturowego było priorytetem i relatywizacja martyrologii jako źródłowego spoiwa wspólnoty narodowej była żywa. Na tym polegała wspólnota ze środowiskiem „Kultury”. Projekty były różne; inny braci Smolarów i „Aneksu”, inny Barbary Toruńczyk i środowiska „Zeszytów Literackich”, inny „Zdania”, inny Benedyktowicza i „Kontekstów”, inny Marcina Króla i „Res Publici”, inny redagujących „Śląsk” Tadeusza Kijonki i Feliksa Netza, nie wspominając o indywidualnym projekcie rewitalizacji lewicy Andrzeja Mencwela. „Gazeta Wyborcza” nie była jedyna, choć miała największy zasięg. „Arcana” mają mniej czytelników aniżeli „Nasz Dziennik”, ale na intelektualnej mapie Polski na pewno większą wagę.

Jedno jest pewne: nigdy żaden z tych projektów nie otrzymał tak potężnego wsparcia instytucjonalnego jak projekt Instytutu Pamięci Narodowej. Nowak patronując ideowo IPN przegapia, że narracja którą proponuje, ma inne konsekwencje niżby pragnął. Upominając się o martyrologię i ofiary jako fundament polskiej tożsamości, występując przeciw relatywizacji, pozostaje wierny romantycznemu mesjanizmowi. Bycie Polakiem to pozostawanie w gotowości złożenia ofiary za ojczyznę. Natomiast w narracji IPN bycie Polakiem to gotowość bycia mścicielem. Nic podobnego, czytając Nowaka, u niego nie znalazłem.

Kilka dni temu odwiedzałem groby bliskich na zakopiańskim cmentarzu. Ucieszyłem się, ponieważ porządnie osadzono złośliwie przewrócony, przypominający nieco macewę, zaprojektowany przez Henryka Berlewiego, obelisk na grobie Mieczysława Szczuki. Jest na nim tylko imię, nazwisko i lata 1898 – 1927. Na innych grobach, jak moich, zazwyczaj dopisano RIP: „Bóg tak chciał”, „Prosi o modlitwę” i ostatnimi laty „Jezu ufam Tobie”. Na nowym reprezentacyjnym grobie natknąłem się na słowa, których nigdy na żadnym cmentarzu nie widziałem. Pod krzyżem, imieniem, nazwiskiem i datami przeczytałem: „Śmierć wrogom Ojczyzny”.

Na razie przedstawiciele „pokolenia 68” umierają z powodów naturalnych, choć jak w każdym pokoleniu zdarzają się samobójstwa i tragiczne wypadki. Czasu na męczeństwo coraz mniej, a liczenie na nie czy przypisywanie go sobie jest grzechem pychy. I tak niech zostanie, aż znikniemy.

ADAM KOMOROWSKI

MARIAN STĘPIEŃ

# LOSY WZLOTU JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

W 1956 roku ukazała się powieść Alberta Camus *La Chute* (*Upadek*). Nazwisko jego bohatera, Jean-Baptiste Clemence, Czesław Miłosz odczytywał jako nazwisko znaczące, wskazujące na charakter postaci: „Clemence czyli Mięczakiewicz. »Clam« po angielsku jest to gatunek morskich mięczaków w skorupie, natomiast »clémence« po francusku to miłosierdzie, stąd ironiczna gra znaczeń w nazwisku, co u nas uprawiał Witkacy”.<sup>1</sup> Chodziłoby tu więc o człowieka zwanego potocznie mięczakiem, człowieka bez charakteru.

Rzecz dzieje się w lokalu restauracyjnym w Amsterdamie. Bohater związany dotychczasowym życiem z Paryżem opuścił to miasto, co ma związek z jego późniejszą karierą. Prowadzi – utrzymany w pierwszej osobie – nieprzerwany monolog, zwracając się kogoś, kogo nie widzimy, kto bezpośrednio się nie ujawnia. Bohater zwraca się do niego przez „pan”, zostajemy więc poinformowani o czyjejś obecności, ale ani razu ów „pan” nie wtrąca się, nie przerywa monologu bohatera.

Jean-Baptiste Clemence, monologujący o sobie i o swoich przeżyciach przedstawia się jako ceniony adwokat paryski ze specjalnością szlachećne sprawy, który zawsze znajdował się po „dobrej stronie”, co zapewniało mu spokojne sumienie. W życiu zawodowym, w swoim prawniczym środowisku cieszył się nienaganną opinią. Był zadowolony z siebie, miał poczucie własnej szlachećności. Stąd brał się jego moralny spokój, poczucie spełnionego życia. Postrzegał siebie jako człowieka wielkodusznego, żyjącego w harmonii ze sobą, z poczuciem własnej doskonałości, zdolnego do szlachećnych gestów, jak na przykład do przeprowadzenia staruszki na drugą stronę ulicy. Był przekonany, że mógł mówić o życiu udanym: „Stąd we mnie ta harmonia, to swobodne panowanie nad sobą, które czuli ludzie i o którym mówili mi niekiedy, że pomaga im żyć”.<sup>2</sup>

Jego świetne samopoczucie trwało do zdarzenia w nocy, na moście nad Sekwaną. Wracał zadowolony i w świetnym stanie psychicznym, z udanej nocnej randki ze swoją przyjaciółką. Na moście minął ciemną sylwetkę kobiety przechylonej przez barierę. Po kilku krokach usłyszał krzyk i odgłos spadającego do wody ludzkiego ciała. Pierwszy odruch – pospieszyć z pomocą. Nie ru-

szyl się jednak z miejsca: „Za późno, za daleko...”. Z wolna się oddalił. Nikomu nie opowiedział o tym zdarzeniu.

Przypomina ono przygodę bohatera powieści Józefa Conrada *Lord Jim*. Przy zasadniczej różnicy, ale sytuacja wyboru i poczucie upadku jest podobne; i jego znaczenie dla biografii bohaterów. Lord Jim skoczył, chociaż nie powinien, Bohater Camusa powinien skoczyć, lecz nie skoczył.

Lord Jim po swym „upadku” poddał się osądowi i całe życie dążył, by odzyskać zaufanie ludzi, potwierdzić zasadność swego marzenia o sobie, o swej odwadze i dzielności. Bohater powieści Camusa zachowuje się odmiennie; po zdarzeniu nad Sekwaną Clemence zaczął inaczej postrzegać siebie i innych: z obrzydzeniem myślał nie tyle o sobie, co o innych ludziach; o ich słabościach. O swojej zapominał.

Po zdarzeniu nad Sekwaną doszedł do wniosku, że nie jest tak godny podziwu, jak mu się wydawało i stał się nieufny wobec otoczenia. Świadom, że jest w nim coś, co podlega osądzeniu, zaczął myśleć o tych, którzy mogą być powołani, by go osądzać. Zauważył, że wielu ludzi jest mu nieżyczliwych, a nawet wrogich. Szukał okoliczności, które by usprawiedliwiały jego postępowanie.

Analizując swój upadek moralny po nocnym zdarzeniu na moście, prowadził proces samooskarżania siebie. Nie dochodził jednak do pogłębienia poczucia własnej winy i próby odnalezienia w sobie siły moralnej, jaka cechowała Lorda Jima po przygodzie na pokładzie „Patny”. Jego samooskarżanie miało na celu uniewinnienie siebie oraz wykazanie winy innych ludzi, winy wszystkich.

Bo kiedy Jean-Baptiste Clemence w długim monologu analizuje swój upadek, grzech, małość, upodlenie, występuje w roli „sędziego pokutnika”.

To określenie pojawia się w *Notatkach* Camusa, z krótkim komentarzem do tego ważnego motywu powieści: „Egzystencjalizm. Kiedy siebie oskarżają, można być pewnym, że po to, by obciążyć innych. Sędziowie-pokutnicy”.<sup>3</sup>

Sędziom-pokutnikom chodzi o to, by od czasu do czasu „wyznać w wielkim krzyku własną nikczemność”<sup>4</sup> i przeżyć sukces (jeśli nie triumf), gdy słuchający ich uzna się za jeszcze większego nędznika i zaczną się kajać.

1 Thomas Merton, *7 esejów o A. Camus*. Przekład R. Krempel, dodatek Cz. Miłosz. Bydgoszcz 1996, s. 218.

2 Albert Camus, *Obcy, Dżuma, Upadek*. Przekład Maria Zenowicz, Joanna Guze. Kraków 1972, s. 360.

3 A. Camus, *Notatki 1935-1959*. Wybór, przekład i objaśnienia Joanna Guze. Warszawa 1994, s. 238.

4 A. Camus, *Obcy, Dżuma, Upadek...* jw., 429.

Sędzia-pokutnik praktykuje publiczną spowiedź, oskarżanie siebie w taki sposób, by jego słuchacz prześcignął go w samooskarżaniu się. Toteż w swym samooskarżającym monologu niepostrzeżenie przechodzi od liczby pojedynczej – od pytania „kim jestem” do „kim jesteście”, by na wielu rozciągnąć poczucie winy i skłonność do ekspiacji. Tak wobec siebie, jak i w stosunku do innych, nie uznaje dobrych intencji, omyłki, niezmiernego fałszywego kroku, łagodzących okoliczności. Winni są wszyscy. Nawet Chrystus, który wiedział, że nie jest całkiem niewinny, skoro z jego powodu odbyła się rzeź niewiniątek.

Długi monolog kończy się zwrotem skierowanym do słuchacza:

„A zatem niech mi pan opowie, co zdarzyło się panu pewnego wieczora na nabrzeżnych bulwarach Sekwany i jak udało się panu nie zaryzykować nigdy swego życia. Niech pan powie słowa, które od lat słyszę po nocach i które powiem wreszcie pańskimi ustami: »O dziewczyno, skocz raz jeszcze do wody, żebym po raz drugi miał szansę uratować nas oboje!«

Po raz drugi, co, jaka nieostrożność! [...] Trzeba by to zrobić. Brr!... woda jest taka zimna. Ale bądźmy spokojni! Teraz jest za późno, zawsze będzie za późno! Na szczęście!”<sup>5</sup>

Do kogo są zwrócone słowa monologu Jeana Bapteste Clemence’a? Kto jest nieukazującym się na stronach powieści jego słuchaczem? Kogo mają sprowokować do spowiedzi słowa: „A zatem, niech mi pan opowie...”.

To o ciebie chodzi, to jesteś ty, czytelniku *Upadku*. To ty słuchałeś (czytałeś) cały czas długiego monologu sędziego-pokutnika, by utracić pewność swej niewinności, by zakończenie powieści przyjąć do siebie. I podjąć zawarte w nim pytania. A odpowiedzi na nie, jeżeli będą szczerze i prawdziwe, odstąpią twoją małość.

*Upadek* Camusa sprowokował Jarosława Iwaszkiewicza do natychmiastowej reakcji. W grudniowej „Twórczości” z 1967 roku ukazało się jego opowiadanie już tytułem zapowiadające polemiczną konfrontację. Było zatytułowane: *Wzlot* i poprzedzone dedykacją: *Albertowi Camus*. Nie dla oddania hołdu; zapowiadała ona literacką polemikę.

Opowiadanie jest bezpośrednią i szybką odpowiedzią polskiego pisarza na utwór francuskiego autora. Zbudowane na zasadzie przeciwstawienia: upadek – wzlot przy zastosowaniu takiej samej konstrukcji narracyjnej. Opowiadanie Iwaszkiewicza – odpowiedź na *Upadek* Camusa, jest monologiem bohatera, który przy stoliku w knajpie, przy butelce wódki zwierza się swemu przypadkowemu słuchaczowi ze swego życia. I – jak u Camusa – tylko pewne zwroty językowe sygnalizują obecność słuchacza. Bezpośrednio on się nie pojawia.

Monologowi Jeana Bapteste Clemence’a Iwaszkiewicz przeciwstawia w z l o t Romka – który przeżywa chwilę wzlotu, gdy przychodzi „taka niedziela”. Tęskni do lepszego, piękniejszego życia i w długim monologu skarży się na los, jaki był jego udziałem w latach wojny, a także po jej zakończeniu. Zapytuje: „Dlaczego ja nie mogę żyć jak człowiek?”

Romek jest młody, znacznie młodszy od bohatera *Upadku*, ma zaledwie dwadzieścia pięć lat. Warunki jego życia kontrastują z dobrobytem, komfortem paryskiego adwokata. Kiedy przychodzi „taka niedziela”, idzie do

knajpy, wypija ćwiartkę wódki, je bigos lub „schaboszcza” i oddaje się rozmyślaniom, które – inaczej niż u Camusa – wynoszą go do góry, do lepszego mniemania o sobie, do marzenia o sobie, jako o lepszym człowieku niż mu przyszło być.

Zwraca się do słuchacza: „Dlaczego pan nie pijesz? Pan myślisz, że to upadek? A to nie żaden upadek. Jak ja tak sam siedzę i piję, to przeciwnie, mnie się wydaje, że ja się nad wszystkim światem wznoszę. [...] Mam przez chwilę to złudzenie, że jestem ponad wszystkim. Rozumie pan, to jest mój wzlot. Ja latam ponad wszystkim, unoszę się, mam wszystko gdzieś i nawet się z tego nie śmieję. To jest mój lot”<sup>6</sup>

Matkę bohatera *Wzlotu* i jednego z jego braci władze radzieckie wywiozły do Kazachstanu. Drugi brat dostał się do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Stamtąd przyszła urna z jego – rzekomo – prochami. Ojciec należał do oddziałów partyzanckich, ukrywał się w lasach, rzadko zjawiał się w domu. Pewnego razu przyszedł ze śladami krwi na ubraniu. Syn zadrżał i nabrał wstrętu do ojca, gdy na pytanie „Tatu? A czy ty człowieka zabiłeś?” usłyszał odpowiedź: „No przecie, musiałem niejednego Niemca rozwalić”<sup>7</sup> Później dowiadywał się od ludzi, że jego ojciec wielu ma na sumieniu, że zabijał nawet swoich dla utrzymania żelaznej dyscypliny w partyzanckim oddziale.

Jako kilkunastoletni chłopiec był świadkiem, jak Niemcy przywieźli Żydów do lasu i „kosili ich” serią z karabinu maszynowego. Potem chodził z kolegą w to miejsce, przeszukiwali trupy, by znaleźć coś cennego. Kolega okazał się konfidentem i wystawił go na śmierć. Później Niemcy „kosili” tych, którzy walczyli w powstaniu warszawskim. Gdy przyszła Armia Czerwona, były liczne trupy niemieckich żołnierzy.

Po wojnie Romek znalazł się we Wrocławiu. W warunkach chaosu, grabieży strzelaniny. Tam, mając siedemnaście lat, zabił pierwszego człowieka. „Jakoś bardzo dziwnie w naszych czasach żyć i człowieka nie zabić”<sup>8</sup>

Z entuzjazmem przyjmował nowe hasła społecznych przemian, pomagał chłopom przy żniwach, chciał coś znaczyć, robić coś pożytecznego.

Spotkał się z kłamstwem podawanym za prawdę. Protestował. Dostał się do więzienia. Bito go, zmuszano do zeznań. Nie był w stanie tego znieść. Godził się na wszystko, byleby tylko wyjść na wolność. Podpisał, co chcieli, obiecał, czego od niego żądano, ale nie dotrzymywał zobowiązań. Ponownie znalazł się w więzieniu. Gdy z niego wyszedł, zaczęto go unikać. „Ja za krótko w więzieniu siedziałem i zaraz mnie zaczęli się bać”. Mówiono o nim: „Ten Romek, co to siedział za krótko w więzieniu”<sup>9</sup>

Potrzeba polemicznego nawiązania do kluczowych motywów *Upadku* Camusa powoduje psychologiczne nieprawdopodobieństwo. Młody, połamany przez życie Romek, raczej niewykształcony, dosyć prymitywny, nie tylko zna utwór francuskiego pisarza, ale ma także wyrobiony sąd o nim. Zwraca się do swego słuchacza: „Czytał pan taką książkę, że dziewczyna z mostu się rzuciła? [...] A ten facet to jej nie ratował? A jak ją miał ratować? Taki smrodzik delikacik. Jak ja miałem ratować moją dziewczynę? Nikt nie mógł ratować”<sup>10</sup>

6 Tamże, s. 19

7 J. Iwaszkiewicz, *Dziela. Opowiadania*. T. 5. Warszawa 1980, s. 24.

8 Tamże, s. 45.

9 Tamże, s. 49-50.

10 Tamże, s. 17.

W słowach: „smrodzik, delikacik” zawiera się – pośrednio wyrażona – kwintesencja opinii Iwaszkiewicza o bohaterze *Upadku*.

Bohater *Wzlotu* przeżył moment paraliżującego, obezwładniającego strachu, który nie pozwolił mu pospieszyć z pomocą, na stacji podwarszawskiej kolejki dojazdowej, gdzie niemieccy żandarmi odprowadzili pod mur wyciągnięte z tłumu żydowskie dziewczyny, kazali im rozebrać się do naga i zastrzelili je. „I widzi pan, jak ja miałem ratować te dziewczyny? Jak ja miałem wołać na żandarmów? Nikt słówkiem nie pisał, wszyscy się bali. Przecie pan wie, co to strach. Strachem my żyli długie lata”.<sup>11</sup>

Polemiczną aluzją do *Upadku* są słowa: „ale to nie są żadne historyjki, to wszystko prawdziwa prawda. Po co nam, naszemu pokoleniu historyjki, no nie?”.<sup>12</sup> Słowami włożonymi w usta bohatera *Wzlotu* Iwaszkiewicz przeciwstawia *Upadkowi*, jako pewnemu zamysłowi literackiemu, „historyjce” – realną polską rzeczywistość. Zdarzenie, które wywołało wielki strach bohatera *Wzlotu*, rzeczywiście nastąpiło. Pod datą 16 maja 1943 roku Iwaszkiewicz zapisał w *Notatkach*:

„Niedawno na stacji EKD, koło wozowni, o siódmej rano żandarmi przytąpali troje Żydów: dwóch mężczyzn i jedną kobietę. Podobno bardzo elegancko ubrani i młodzi. Zaprowadzili ich za budkę o parę kroków od stacji i tam ich zastrzelili, przy czym kobiecie kazali się rozebrać do naga”.<sup>13</sup>

Wobec ludzkich przeżyć przedstawionych we *Wzlocie* dylematy Jean Baptiste Clemence’a mają wydać się błahe, niegodne większej uwagi. Bagatelizuje się nawet tragedię kobiety, która rzuciła się z mostu do Sekwany: „Rozumie pan, bałem się. A jak nawet się nie bałem, to co miałem robić? Jakoś trzeba żyć, jakoś trzeba istnieć, a dziewczynek, co się z mostu rzucają, nie trzeba ratować”.<sup>14</sup>

Życiorys Romka ze *Wzlotu* zostaje przeciwstawiony biografii bohatera *Upadku*. Za konfrontacją tych dwóch bohaterów kryje się stosunek Jarosława Iwaszkiewicza do utworu Alberta Camusa. Polski pisarz staje w roli rzecznika zwykłych ludzi w różny sposób połamanych przez historię. Odnosi się do nich z rozumiejącym współczuciem. W przeświadczeniu, że to daje mu przewagę nad autorem *Upadku*. Dedykacją poprzedzającą opowiadanie, kreacją bohatera, utrzymaną w takiej samej konwencji konstrukcją narracyjną, nasyceniem monologu bohatera aluzjami do *Upadku* Iwaszkiewicz wzywa niejako Camusa do podjęcia literackiej dysputy.

Opowieść bohatera *Wzlotu* o sobie nie była wymyśloną fikcją. W 1953 roku pisarz poznał Jerzego Błęszyńskiego, brygadzystę przy budowie obiektów wojskowych w okolicach Brwinowa. Pisarza zainspirowały jego opowieści wysłuchiwane przy wódce w barze Oleandry. „Gdzieś mi przy wódce opowiadał to swoje życie – i to wszystko potem wkomponowałem w moje opowiadanie”.<sup>15</sup>

Pod datą 1 października 1957 roku Iwaszkiewicz zanotował: „Po długich rozmowach z Jurkiem B., który mi opowiadał swoje życie w drogich knajpach warszawskich, ukończyłem dzisiaj małe opowiadanie *Wzlot*. Oczywiście nie wiem, co to jest warte – na pewno niewiele. Niby taka dyskusja z Camusem. Ale już dawno

niczego nie pisałem z takim wewnętrznym drżeniem, przejęciem. Co najdziwniejsze, od razu na maszynę – po dziesięć stron dziennie. Ciekawy jestem, jakie będą losy tego opowiadania, jest w typie Świąteł *małego miastka*, którego w swoim czasie w ogóle nie zauważono”.<sup>16</sup>

Intencją Iwaszkiewicza było przeciwstawienie wyдуманym dramatom paryskiego adwokata realnego życia ludzi na polskiej ziemi w latach drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu. To prawda, że nie uchwycił dystansu autora do narratora *Upadku*, co pozwoliło Miłoszowi na ironiczne streszczenie *Wzlotu* i krytyczne odniesienie się do postawy Iwaszkiewicza:

„Do jakich nieporozumień dał powód *Upadek*, można śledzić na przykładzie jego recepcji w Polsce. Jarosław Iwaszkiewicz napisał w odpowiedzi *Wzlot*. Jest to jedno z najbardziej zwartych opowiadań Iwaszkiewicza i bardzo znamienne, bo wyłazi w nim anty-zachodni zajad Polaków, ale odpowiedź żadna, czyli jeden do Sasa, drugi do lasa. Traktatowi teologicznemu Iwaszkiewicz przeciwstawił obrachunek z serii »stoń a sprawa polska«: wy tam w Paryżu, wygodni i szczęśliwi, duszne zmartwienia sobie wynajdujecie, w rozpacz wpadacie, że nie uratowaliście samobójczyni skaczącej do Sekwany, a my co, od dwudziestu lat bez mała lat? »W błocie po uszy zasmarowani, jak nie przymierzając te świnię«. Iwaszkiewicz jest więc tutaj tubą polskiej opinii, wytacza ludziom Zachodu proces, oskarża ich o papierowość, sztuczność ich dramatów, te są niczym w porównaniu z prawdziwym nieszczęściem kraju deptanego i miażdżonego, otwartego na przestrzał. Ponieważ ten zajad jest w każdym z nas, nie możemy nie solidaryzować się z Romkiem, kiedy w podwarszawskim barze wygarnia swoją straszną spowiedź » Jak ja miałem ratować swoją dziewczynę? Nikt nie mógł ratować. Nikt nikogo jeszcze nie uratował. Sam się człowiek też nie ratuje«. A jednak tonąca dziewczyna u Camusa nie jest bynajmniej rzeczywista. Symbolizuje wszystkich tonących, gdziekolwiek są, w Algierze, w Kongo, w Polsce i faryzejsko zadowolony z siebie Clemence przejrzał, bo żadnych Romków ani żadnych Arabów nie ratował”.<sup>17</sup>

W rozumowaniu Romka i w postawie usprawiedliwiania go okolicznościami historycznymi Miłosz dopatruje się tego, przed czym przestrzegał Teodor Dostojewski i cytuje jego słowa: „Przecie w ten sposób powoli dojdziemy do wniosku, że w ogóle nie ma przestępstwa i wszystkiemu winne środowisko”<sup>18</sup>. I kończy ironicznie: „Odnotujmy, że o niczym innym nie marzy Clemence-Mięczakiewicz. Przeklęty ciężar odpowiedzialności na tym indywidualistycznym Zachodzie! Dopiero gdyby był Polakiem i mógł przerzucić winę na warunki, poczułby się zapewne oczyszczony”.<sup>19</sup>

Ironia ironią, a jednak coś w myślach Miłosza pozostaje po lekturze *Wzlotu*, bo krytykę utworu Iwaszkiewicza kończy wyznaniem:

16 Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1956-1963*. Opracowanie i przypisy Agnieszka i Robert Papiescy, Radosław Romaniuk. Wstępem opatrzył Andrzej Gronczewski. Warszawa 2010. S. 178.

Przywołanie tu tego opowiadania powstałego w 1947 roku nie jest przypadkowe. Autor zastosował w nim taką konstrukcję narracyjną, jaką spotkał w *Upadku*, a następnie posłużył się we *Wzlocie*. Narratorem jest młody mężczyzna, zamieszkały w niewielkim miasteczku wielkopolskim nad Wartą, gdzieś w pobliżu Gniezna, Kalisza. W monologu wypełniającym cały utwór opisuje jego ludzi, ich codzienne życie, dokonujące się zmiany w pierwszych latach powojennych.

17 Thomas Merton, s. 220.

18 Tamże.

19 Tamże.

11 Tamże, s. 21.

12 Tamże.

13 Jarosław Iwaszkiewicz, *Notatki 1939-1945*. Warszawa 1991, s. 86.

14 *Dzieła...*, jw. s. 32.

15 Cyt. za: Radosław Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*. Tom 2, Warszawa 2017, s. 357.

„A przecie jestem zanadto »człowiekiem wschodnim«, żeby uczuciowo nie opowiadać się za *Wzlotem*, choć na zdrowy rozum jest to jedynie wybuch urazy znieważonych i poniżonych”.<sup>20</sup>

W 1959 roku Iwaszkiewicz spotkał się w Paryżu z Miłoszem. Powiedział on mu wówczas, że napisał szkic o *Upadku* i *Wzlocie*. Nie został opublikowany<sup>21</sup>. Najprawdopodobniej zawiera poglądy podobne do wyżej przytoczonych. Potwierdza to zapis w *Dziennikach* Iwaszkiewicza pod datą 4 listopada 1959 roku:

„Mówiliśmy potem o książkach, o moim *Wzlocie*. Powiedział, że napisał cały szkic na temat *Upadku* i *Wzlotu*, ale go nie ogłosił. Że cała ta nasza polemika z Camusem polega na nieporozumieniu i że właśnie Camus i ja obracamy się na zupełnie innych płaszczyznach. Widziałem, że uważa *Wzlot* za zbyt prymitywną rzecz”.<sup>22</sup>

(Po wielu, bo prawie po czterdziestu latach powrócił Miłosz jeszcze do sprawy *Wzlotu*, gdy przygotowywał do druku powojenną korespondencję z pisarzami. Już bez złośliwości, szyderstwa i ironii, nadal z dystansem, ale już z większym zrozumieniem dla postawy Iwaszkiewicza: „Iwaszkiewicz w swoim patriotyzmie był sentymentalny i swojskość przeciwstawiona Zachodowi jest stałym ingredientem jego twórczości, również przed wojną [...] Poczucie skazania kraju na nieszczęście i podrzędność, miłość do niego właśnie dlatego, że jest tak nieszczęsny i podrzędny przekształca się po wojnie w przywiązanie do Polski Ludowej: jaka jest, taka jest, choć w niewoli. [...] Zadatki tego istnieją już w *Panu Tadeuszu* w przeciwstawieniu drzew polskich drzewom włoskim, a po 1945 roku niepostrzeżenie zrasta się to z patriotyzmem państwowym. Niekiedy tragizm losów Polski dostarcza argumentu, jak w opowiadaniu *Wzlot*, polemizującym z *Upadkiem* Camusa”).<sup>23</sup>

Może Iwaszkiewicz istotnie niezupełnie trafnie odebrał utwór Camusa? Niemniej to dzięki spotkaniu z nim, z tą literacką prowokacją powstało jedno z najlepszych jego powojennych opowiadań. A dążenie do jakiejś dysputy literackiej z jego autorem straciło wszelki sens wobec tragicznej śmierci Camusa w 1960 roku w katastrofie samochodowej. „Boże – pomyślałem – umarł ten człowiek. A myśmy się nie dogadali [...] myśli nasze obracały się na dwóch dyskach, które nie mają ze sobą styczności”.<sup>24</sup>

Skłonność do polemiki ustąpiła potrzebie wyjaśnienia własnych intencji: „Pragnieniem moim było przeciwstawić wyrafinowanym rozważaniom moralnym instynktowny głód prawdy i sprawiedliwości prostego człowieka, którego miażdży świat współczesny, z jego potężnym aparatem wojny, gwałtu zbrodni i strachu”.<sup>25</sup>

Wbrew oczekiwaniom pisarza, który *Wzlotowi* nadał duże znaczenie, krajowa krytyka literacka pomijała opowiadanie milczeniem.

Pod datą 27 lipca 1974 roku Iwaszkiewicz notował z goryczą: „Zastanawiające, że we wszystkich tak licznych teraz artykułach i dyskusjach o literaturze trzy-

dziestolecia, nawet w rozmowie przeprowadzonej przez »moich najukochańszych« w mojej rodzimej redakcji ani razu nie pada nie tylko moje nazwisko, ale nawet nie wymieniona jest nazwa żadnego z moich utworów.[...] Np. *Wzlot* zupełnie znikł, wyjęty spod uwagi historyków literatury i socjologów, a przecież ten utwór coś kiedyś mówił[...]. Przecież *Wzlot* jest przerażający i chyba dostatecznie głęboki”.<sup>26</sup>

Natomiast doceniony został *Wzlot* przez literacką opinią emigracyjną, mimo krytycznego nastawienia do jego autora. W londyńskich „Wiadomościach” ukazała się obszerna nota Szperacza (pseudonim Marii Danilewiczowej)<sup>27</sup> pod znamienym tytułem *Znakomita nowela*. Mieczysław Grydzewski, w liście do Jarosława Iwaszkiewicza z 2 lutego 1958 roku pisał:

„Bardzo Ci tego opowiadania wieszczę. Byłbym zmartwionym gdybyś przypuszczał, że ze względu na różne niedopowiedzenia i akcenty, które mogłyby mi jako emigrantowi odpowiadać. Broń Boże: to w tym wypadku drugorzędne. Uważam, że rzecz w swojej »historiozoficznej« kondensacji, w ukazaniu w skrócie tragedii całego pokolenia, w naturalności i prawdziwości narracji jest majstersztykiem. Słonimski swego czasu przesadził twierdząc, że cały Giraudoux nie jest wart jednej linijki ukraińskiej prozy Iwaszkiewicza, ale ja nie przesadzę, że cała literatura tutejszych *angry young men* nie jest warta linijki tego przejmującego monologu”.<sup>28</sup>

Na te słowa Jarosław Iwaszkiewicz odpowiedział: „Drogi Grycu! Bardzo mnie poruszyłeś swoim listem o *Wzlocie*. Co prawda trochę oczekiwałem czegoś w rodzaju »Wspaniałe. Grydzewski«, jak dostałem od Ciebie po *Zygfrydzie*. Bardzo mnie rozczuła twoja wrażliwość i znakomite, i zwięzłe określenie wartości mojej noweli. Napisanie tego było dla mnie wielkim przeżyciem – tak mi przyjemnie, że odczułem to mimo takiej odległości czasu i miejsca. Ty jednak jesteś zawsze jednakowy! Dziękuję Ci. Serdecznie Cię ściskam – Jarosław”.<sup>29</sup>

W kolejnym liście Mieczysław Grydzewski przesyłał Iwaszkiewiczowi opinię o *Wzlocie*, jaką otrzymał od Andrzeja Bobkowskiego: „*Szperacz* fatalnie się spisał, dając sprawozdanie z noweli Iwaszkiewicza, świetnej [»świetnej«] czerwonej czcionką]. W swojej recenzji nie wychwylił może najważniejszego szczegółu, a mianowicie że cała nowela jest umyślnie pisana »pod« Camusa, a nie tylko jemu dedykowana. Jest pisana tak samo jak *Upadek*, tym samym stylem i tym samym tonem, tylko o ileż bardziej przejmującym. Jest jakby powiedzeniem Camusowi: »Masz i porównaj to z upławami intelektu i z twoim bawieniem się Bogiem jak yo-yo«. Wydaje mi się, że jest to kawałek prozy polskiej chyba wprost wielkiej i że to zostanie”.<sup>30</sup>

Także z Jerzym Giedroyciem Andrzej Bobkowski dzielił się wrażeniami wyniesionym z lektury *Wzlotu*. Pisał do niego w liście z 21 lutego 1958 roku: „Jak go nie lubię, tak *Wzlot* Iwaszkiewicza jako odpowiedź Camusowi i »pod Camusa« jest ś w i e t n a. Zmieścił w tym potworny tragizm, odkrył jądro polskiej ciemności.

20 Tamże.

21 Niepublikowany szkic Czesława Miłosza *Polska odpowiedź Albertowi Camus* z 1957 roku znajduje się w archiwaliach poety w Beinecke Rare Book and Manuscript Library w Yale University.

22 Iwaszkiewicz, *Dzienniki*... jw., s. 338.

23 Czesław Miłosz, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945-1950*. Kraków 1998, s. 132.

24 Jarosław Iwaszkiewicz, *Albert Camus*. „Przegląd Kulturalny” 17 10 1960.

25 Jarosław Iwaszkiewicz, *Camus*. „Nowa Kultura” 1960, nr 3.

26 Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964-1980*. Opracowanie i przypisy Agnieszka i Robert Papięscy Radosław Romaniuk. Wstępem opatrzył Andrzej Gronczewski. Warszawa 2011, s. 400-401.

27 Szperacz [M. Danilewiczowa, *Znakomita nowela*. „Wiadomości” 1958, nr 8.

28 Mieczysław Grydzewski, Jarosław Iwaszkiewicz, *Listy 1946-1961*. Oprac. Małgorzata Bojanowska. Warszawa 1997, s. 121.

29 Tamże, s. 122.

30 Tamże, s. 123-124.

W pewnym sensie wstrząsające. To małe, ale w i e l k i e. Wyszło mu świetnie. Powinno by wyjść po francusku!!!<sup>31</sup>

I Konstanty A. Jeleński w liście do Jarosława Iwaszkiewicza z 26 stycznia 1958: „Nie dostałem jeszcze styczniowej »Twórczości«, ale przeczytałem szybko w »Kulturze« twój *Wzlot* – straszna, piękna i głęboka rzecz. Bardzo bym chciał, by się to mogło ukazać po francusku! Czy zgodziłbyś się dać nam to do »Preuves«? [...] Gdyby »Preuves« Ci nie odpowiadało, czy zgodzisz się, żebyśmy zasygnalizował *Wzlot* Nadeau do »Lettres Nouvelles«?»<sup>32</sup>

I w liście z 6 lutego 1958: „Trans znać na *Wzlocie*, jeśli transem nazwać tę niemal bezpośrednią komunikację z jakąś rzeczywistością, którą jest chyba każda wielka twórczość. Bardzo żałuję – nie dla »Preuves« nawet, dla siebie, miałem taką na to ochotę – że zdecydowałeś się to dać do »Lettres Nouvelles«. O *Wzlocie* mówiłem z Bloch-Michelem [...] jest największym przyjacielem Camusa [...] i miał ochotę prosić Camusa o coś w rodzaju »odpowiedzi« czy komentarza. Nie wiem zresztą, czy by coś z tego wyszło, bo Camus jest jedynym bodaj francuskim pisarzem, który swej twórczości nie komentuje. [...] Wczoraj mówiłem o *Wzlocie* z Miłoszem [...] jest także entuzjastą *Wzlotu* i chce napisać szkic o *Chute* i *Wzlocie* do »Kultury«»<sup>33</sup>

Na język francuski przełożył *Wzlot* Jerzy Lisowski. Konstanty Jeleński pisał o nim: „Bardzo mi się podobało tłumaczenie Jurka – w ogóle *Wzlot* był tu – przez moich przyjaciół w każdym razie – którym to polecałem i dawałem do czytania – bardzo gorąco przyjęty. Leonor powiedziała: »Ma che Camus! Questo a dimensioni di Faulkner!«»<sup>34</sup>

Przypomniano sobie o *Wzlocie* po śmierci pisarza, z okazji stulecia jego urodzin. Poświęcono mu dyskusję telewizyjną. Z oceną tego opowiadania wystąpił w niej Marcin Król. Uznał *Wzlot* za utwór realizmu socjalistycznego, gloryfikujący ustrój socjalistyczny, kompromitujący autora.

Skąd mogła się wziąć taka – najdelikatniej rzecz ujmując – niemądra opinia? Jaka mogła być jej przyczyna? Jakie uzasadnienie? Jedyne wytłumaczenie to takie: Marcin Król *Wzlotu* nie czytał. Słyszał być może, że jest on odpowiedzią na *Upadek* Camusa. *Wzlot* – to słowo, które brzmi optymistycznie, zgodnie z programowym optymizmem i bohaterem pozytywnym właściwym utworom realizmu socjalistycznego. Okazja więc, by zgodnie z ówczesnymi oczekiwaniami skompromitować pisarza. Nastąpiła w istocie kompromitacja, i to bardzo duża, ale nie Iwaszkiewicza, tylko Marcina Króla. Na głupstwa, które w tej dyskusji wypowiedział zareagował Henryk Markiewicz notą *Bzdura o „Wzlocie“*:

„Ostąpiłem, gdy w programie telewizyjnym »Inżynierowie dusz« ceniony historyk i publicysta Marcin Król oznajmił, że najbardziej kompromitującym tekstem Jarosława Iwaszkiewicza jest opowiadanie *Wzlot*, bo pisarz gloryfikował tu ustrój socjalistyczny [...] Marcin Król albo *Wzlotu* nie czytał, albo pomylił go z jakimś innym opowiadaniem Iwaszkiewicza. To się każdemu w rozmowie może

zdarzyć. Ale w telewizji nie wolno tak lekkomyślnie rzucać słów na wiatr (zwłaszcza jeśli są to słowa oskarżenia) i mącić w głowie setkom tysięcy słuchaczy. A redaktor programu (Elżbieta Lewandowska) powinien orientować się w temacie i nie dopuścić do emisji obelżywej bzdury o wielkim pisarzu. I to akurat na stulecie jego urodzin»<sup>35</sup>

Warto tu wspomnieć, że Jarosław Iwaszkiewicz przygarnął młodego, niepokornego socjologa, Marcina Króla do „Twórczości”, a swe *Podróże do Polski* poprzedził rozwiniętą dedykacją rozpoczynającą się od słów „Drogi Panie Marcinie” i kończącą się słowami: „Marcinowi Królowi dedykuję tę pracę przeznaczoną dla wszystkich młodszych rodaków”<sup>36</sup>

A to z kolei wywołuje skojarzenie z fragmentem z *Dzienników* pisarza:

„Okropnie pokochałem małego Tropika. Hania pyta się, co ty widzisz w tym psie? Jak to co? Pokochał mnie i będzie kochał do końca mojego czy swojego życia. Nie będzie naciągał mnie na pieniądze, nie będzie pisał książek i szukał protekcji, nie obszczeka mnie wśród innych piesków, nie będzie miał ambicji, które przerosną jego uczucia, a najwyższej będzie się napierał kawałka sera. Czyż to nie najlepszy przyjaciel?»<sup>37</sup>

\* \* \*

Zainteresowany twórczością Jarosława Iwaszkiewicza długo oczekiwał pojawienia się *Wzlotu* w wydaniu książkowym. Mijały lata, ukazywały się kolejne tomy opowiadań pisarza, wybory wzbogacane o nowopowstałe teksty; daremnie wypatrywało się w nich *Wzlotu*. Niejednemu czytelnikowi prozy Iwaszkiewicza mogło się wydawać, że przyznawszy rację Miłoszowi, zrozumiał swe nieporozumienie w sporze z Camusem i zrezygnował z przypominania swego *Wzlotu*. Ukazał się on książce po upływie jedenastu lat po ukazaniu się pierwodruku w „Twórczości”, w wydanym w 1968 roku zbiorze opowiadań *O psach, kotach i diabłach*.

Henryk Bereza mógł wtedy o *Wzlocie* napisać: „Dziś prawie dziwią wszystkie odniesienia tego opowiadania do *Upadku* Camusa, a przecież one były decydujące i dla genezy literackiej, i dla sensu tego utworu. Polemiczne w stosunku do Camusa aluzje *Wzlotu* zwietrzyły i odkryły się samoswoje, Iwaszkiewiczowskie i na wskroś polskie jego treści. Nawet dedykacja jest jedynie jakby podziękowaniem za inspirację i jej przypomnieniem, ponieważ mimo aluzji w tytule i w jednym z motywów można by przy lekturze *Wzlotu* o Camusie wcale nie pamiętać. Forma monologu przy wódce tak już spowszedniała w polskiej prozie i stała się w niej tak naturalna, że się nawet nie chce myśleć, że zrodziła ją lektura *Upadku*. Od samego początku jednak nie było w niej nic z naśladownictwa. Wyparował z niej od razu francuski intelektualizm i jego miejsca zajęła relacja empiryczna, do której wszystkie intelektualne klucze przestają pasować”<sup>38</sup>

W 2014 roku Mieczysław Wojtczak opublikował książkę *Wielką i mniejszą literą* zawierającą bogaty i bardzo interesujący zestaw materiałów archiwalnych Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej znajdujących się w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, dotyczących życia literackiego. Wśród

31 Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy 1946-1961*. Wybrał, opracował i wstępem opatrzył Jan Zieliński. Warszawa 1997, s. 510.

32 Jarosław Iwaszkiewicz, Teresa Jeleńska, Konstanty A. Jeleński, *Korespondencja*. Opracował i przypisami opatrzył Radosław Romaniuk. Warszawa 2008.

33 Tamże, s. 70-71.

34 Tamże, s. 77.

35 „Polityka” 1994, nr 13.

36 Jarosław Iwaszkiewicz, *Podróże do Polski*. Warszawa 1977, s. 7.

37 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964-1980*, jw., s. 105.

38 Henryk Bereza, *Taki układ*. Warszawa 1981, s. 57.

nich list Jarosława Iwaszkiewicza do Wincentego Kraski, ówczesnego kierownika Wydziału Kultury KC PZPR:

*Przyznam Ci się, że byłem wielce speszony naszą poniedziałkową rozmową i wszystkim, co mi powiedziałeś. Pozwalam więc sobie, pisząc, wrócić do tej sprawy listownie. Oczywiście nie ma mowy, abym się jakoś stawił waszemu wyrokowi i targował się o drukowanie „Wzlotu”. Nie, to nie – i koniec. Ale chodzi mi o inne sprawy.*

*Mianowicie chodzi mi o obronę mojego utworu, więc, o obronę mojej pozycji obywatelskiej i pisarskiej. Takie zakazanie druku jakiegoś utworu rzuca jak gdyby cień na moją sytuację spoleczną, na mój patriotyzm i nawet na moją rangę pisarską. „Wzlot” był dyskusją podjętą z „Upadkiem” Camusa. Jego treściom wymyślonym i abstrakcyjnym problemom moralnym chciałem przeciwstawić polskie i ogólnoludzkie problemy bardzo konkretne, problem walki z faszyzmem, problem prześladowań narodowościowych i rasistowskich, wreszcie to „zarażenie śmiercią”, które jest wynikiem ostatniej wojny i wszystkich wojen, które po niej się narodziły i do dziś trwają. W swoim czasie nie doceniano tej polemiki. Krytycy, a zwłaszcza krytycy emigracyjni, twierdzili, że nie ma to nic wspólnego z Camusem, że on sobie, a ja sobie. Obecnie zdanie to się zmieniło. Czuł zresztą to i sam Camus, który nowelę czytał po francusku w „Lettres Nouvelles”, i jak ostatnio się dowiedziałem w Paryżu, kategorycznie sprzeciwił się temu, aby Gallimard wydał to w książce.*

*W tym aspekcie uważałem i uważam nowelę za potrzebą, patriotyczną i bardzo daleką w swym najgłębszym sensie od tak zwanej literatury obrachunkowej, której ostatnio musieliśmy spożywać duże i bardzo ordynarne porcje. Niedrukowanie tego opowiadania wydaje mi się szkodliwe i z tego względu, że ma ono ogromny ładunek emocjonalny, oczyszczający, że tak powiem, i wynikało z głębokiej troski mojej i głębokiego umiłowania ojczyzny. I przyznam się, że mi się trudno oswoić z myślą, że na tym moim utworze, do którego jestem bardzo przywiązany, od tylu lat ciąży cień szkodliwości, czegoś napisanego „wbrew”, a nie urodzonego z przeżyć współczucia z cierpieniami mojego narratora i z trudnościami jego codziennych problemów, na których bolesność i trudność natykamy się przecież co krok.*

*Wydawało mi się przy tym, że w ciągu lat jedenastu od napisania tego opowiadania cała ostrość jego raczej się zatarta i że przypomnienie go (choćby nie jako tytułowego w tomie) nie wywoła w dniu dzisiejszym większych wątpliwości. Mieszanie zaś „Wzlotu” z aktualnymi problemami literackimi naszych dni – jak to zaznaczyłeś – nie wydaje mi się mieć podstaw logicznych.*

*Oczywiście wszystko to piszę wyłącznie dla Ciebie, ale chciałbym, abyś mój „Wzlot” nie tylko „przejrzał”, ale uważnie przeczytał. Może przekonałbyś się, że intencje moje w momencie pisania i w momencie przedłożenia go „Czytelnikowi” do wydania w książce, były w najwyższym stopniu szczerze i szlachetne. Chciałbym, ponieważ bardzo cenię Twoją opinię, abyś na naszym wewnętrznym forum przyznał mi rację.*

Ściskam Twą dłoń serdecznie  
Stawisko, 10 stycznia 1969 r.<sup>39</sup>

Jarosław Iwaszkiewicz wielokrotnie i często skutecznie brał pisarzy w obronę przed władzami politycznymi. Domagał się zwolnienia zatrzymanych przez cenzurę ich

tekstów, zniesienia zakazu publikowania autorów którzy się narazili władzom politycznym. „Utarło się przekonanie, że Jarosław Iwaszkiewicz jest jedynym człowiekiem zdolnym osłonić swym autorytetem literaturę przed samowolą władzy”.<sup>40</sup>

Jak wynika z jego listu do Wincentego Kraski, we własnej sprawie też musiał występować i niekiedy przez długi czas nieskutecznie. Na książkowe opublikowanie *Wzlotu* musiał czekać i walczyć o nie ponad dziesięć lat. Wygląda na to, że dopiero przytoczony list poskutkował. Niemniej czyta się go z dużą przykrością. Oto wybitny polski pisarz, zasłużony dla kultury narodowej, działający na jej rzecz zarówno w trudnych warunkach okupacji niemieckiej jak i w czasie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, zmuszony jest do wyjaśniania i tłumaczenia sensu swego utworu funkcjonariuszowi politycznemu, który tego utworu po prostu nie rozumiał, a od którego przyzwolenia zależy jego publikacja.

Czynniki polityczne nie dopuszczały do książkowego wydania *Wzlotu*, gdyż widziały w nim utwór antysocjalistyczny. Kontestujący poczynania władz i niechętni Iwaszkiewiczowi literaci też nie rozumieli bądź nie chcieli go zrozumieć; przypisali mu cechy utworu spełniającego wymogi realizmu socjalistycznego w intencji przekreślenia wszelkich jego wartości. Jedni i drudzy wspierali się wzajemnie – na zasadzie *les extrêmes se touchent* – w utrudnianiu drogi do czytelnika jednemu z najważniejszych i artystycznie najwybitniejszych utworów literackich opowiadających o dramatycznie powikłanych polskich losach.

## MARIAN STĘPIEŃ

(A co do postępowania owych niechętnych pisarzowi literatów warto przytoczyć trzy fragmenty z *Dzienników* Iwaszkiewicza, z 1964, 1965 i 1972 roku i jeden z listów Czesława Miłosza.

„Dopiero w tej rozmowie zrozumiałem, jak prostym i naiwnym jestem człowiekiem, jak nie orientuję się we wszystkich złożonych grach politycznych – jakim jestem naiwniakiem – i jak mnie wszyscy nienawidzą za jakiś głupi order, za rozplotkowane zarobki, za to, że piszę i że piszę wciąż. Każdy mój krok, każde moje słowo jest sądzone, ale czyha się tylko na te słowa, które można wytłumaczyć na moją szkodę, na moją niekorzyść. [...] Nienawiść do mojej osoby święci prawdziwe tryumfy, zasypywany jestem po prostu ohydnyimi anonimami, prawie co dzień dostaję takie liściki. [...] Szalona nagonka na moją osobę [...] odsądzająca mnie od czci i wiary a ja – nawet sił nie mam do obrony po bardzo strasznych rzeczach, jakie przeżywałem ostatnio w rodzinie. [...] W tych nerwowych stanach trochę gorzej znoszę ataki »przyjaciół«”.<sup>41</sup>

„Doszły mnie wieści, że [Iwaszkiewicz] czuje się zaszczuty, w W-wie ostatnia moda, to nie zostawiać na nim suchej nitki i to dopadło go równocześnie ze starością [...]. Więc my raczej powinniśmy być wielkoduszni i nie przytyczać się teraz do ataków. A nawet, gdybyś mógł, warto byłoby puścić gdzieś coś pochlebnego o jakimś aspekcie twórczości starego człowieka”<sup>42</sup>).

40 Jan Józef Szczepański, *Kadencja*. Kraków 1989, s. 21.

41 *Dzienniki 1964-1980...*, jw., s. 67. 86 i 301.

42 Czesław Miłosz Konstanty A. Jeleński, *Korespondencja. Z faksymiliami listów i wierszy oraz fotografiami*. Warszawa 2011, s. 132.



EUGENIUSZ KABATC

# IWASZKIEWICZ I HERLING-GRUDZIŃSKI

## Kontrowersje i zbliżenia

Późny wieczór w Rzymie. Przylecieliśmy z Warszawy bez hotelowej rezerwacji i prawie bez pieniędzy. Jest ze mną Andrzej Lam i Jerzy Stajuda.

– Idziemy do pani Jeleńskiej – oświadcza Jerzy.

– A jeśli nas nie przyjmie? – pytam niepewny takich wizyt.

– Przyjmie! – Jurek skądś wie, że przyjmuje także rodaków zza żelaznej kurtyny.

Nie przyjęła. Prowadzi dwa gościnne pokoje, ale akurat w jednym ulokował się Herling-Grudziński, a drugi zajęli Iwaszkiewiczowie.

Wspomina Herling-Grudziński w *Dzienniku pisanym nocą*: „Rena, od niepamiętnych czasów zaprzyjaźniona z Iwaszkiewiczami, szepnęła mi nazajutrz rano, że [...] zaprasza mnie na popołudniową herbatę z Iwaszkiewiczami. [...] Gdy po południu, lekko spóźniony, wszedłem na tę herbatę do pokoju Reny, rozpromieniony Iwaszkiewicz wstał i otworzył ramiona ze słowami: – Tak bardzo chciałem pana poznać, jestem pana uważnym czytelnikiem! Nic nie pomogło moje przypomnienie, że poznaliśmy się przecież [choć niezbyt przyjaźnie] na kongresie PEN-Clubu. „Ale skądże, pomylił mnie pan z kimś innym... Jakby można było pisarza tej rangi z kimkolwiek pomylić...”.

Istotnie, poznali się przedtem w warunkach konfliktowych, lecz oto przychodzą chwile, kiedy okoliczności sprzyjają innym stosunkom niż kontrowersja polityczna czy ideowa. Zszywam tę znajomość dwojako, także poprzez moje własne rozdarcia i uwikłania, polskość w wyroku przez całą Europę, przez kilka pokoleń w poszukiwaniu „bycia sobą”, także w „innym życiu” i w „innym świecie”. Ci wybitni artyści słowa, obrazu i wyobraźni, niespokojni o los ojczyzny, jej rozbite lustro znajdując w upartych wędrówkach od wschodu do zachodu i z powrotem, mijali się na przystankach polskiej historii, by móc spotkać się na rozstajach wciąż bliskich sobie dróg kultury i sztuki.

Wojny wyznaczały Polakom mniej lub bardziej fortunne miejsca w scenariuszu znaczeń ich żywota. Urodzony na carskiej Ukrainie Jarosław Iwaszkiewicz, w zawierusze pierwszej światowej znalazł się w wolnej ojczyźnie. Urodzony w tym czasie Gustaw Herling-Grudziński, po wybuchu drugiej światowej opuścił tę ziemię rodzinną i trafił do katorżniczej niewoli na wschodzie. Obaj przetrwali wojenną katastrofę, lecz każdy inaczej, starszy w okupowanej przez Niemców Polsce, młodszy walcząc z nimi o jej wolność pod Monte Cassino. I obaj inaczej wprzęgli się w służbę nowemu światu, pierwszy w ojczystym kraju, w jego trudnej, narzuconej realności, drugi na cudzym polu, przeciwko niej. Obaj, choć w tak różnej doli i niedoli, zajęli ważne miejsca w narodowej literaturze, w jej żywej myśli i społecznej bazie współtworzenia człowieczej kultury. Razem, ale i osobno. We wspólnym wysiłku, ale i przeciwko sobie. Kontrowersja patriotyczna, niech mi wolno będzie tak nazwać tę sytuację etyczno-obywatelską, mogła degradować oczekiwane stany powagi i mądrości humanistycznej po obu stronach poglądów i racji. I czyniło tak przez wiele lat powojennych, lecz nigdy do końca.

Psychologia twórców jest tajemnicą dla nich samych. Udział w niej założonych kompromisów, konformistycznych wyborów, ideowych złudzeń prowokowanych podziałem świata, władzy i wygód, nie demoluje ostatecznie przyzwoitości w stosunkach międzyludzkich, w ich ocenach, nadziejach i uniwersalnej konfrontacji.

Jako świadek wydarzeń w rozległej czasoprzestrzeni kultury europejskiej powojnia z szacunkiem odnoszę się do różnych postaw wybitnych osobowości twórczych. Także charakterów, które nieraz kontrowersyjnie je określały. Jarosław Iwaszkiewicz, którego znałem dłużej, a poznałem go w aureoli wieloletniego prezesa Związku Literatów Polskich i z którym na tym polu za młodu współpracowałem, był człowiekiem z pozorów pogodnym i pojednawczym, za to Gustaw Herling-Grudziński zapisał mi się w pamięci jako charakter ciosany

gniewnie, z którym nie gasił łatwo swojej spontaniczności, nawet przechodząc w stan pozornego stoicyzmu. Miał powody być innym. Szczerłość jest pojęciem mało definiowalnym, pojawia się kunktatorsko poza kontrolą świadomości, don Gustavo, jak go czasem nazywałem, a którego poznałem najpierw w Rzymie, a potem w Neapolu, pokpiwał przy mnie z siebie, okazując mi niezrozumiałą serdeczność. Odwzajemniałem im obu podobnym uczuciem, zapewne bardziej prawdziwym, a może tylko pocziwym, jak to określał Jarosław, ofiarowanym z naturalnej potrzeby serca? Wychodziłem im naprzeciw i by zrozumieć tę drogę ku wspólnotcie, próbowałem ich powiązać w sobie także po włosku i po rosyjsku – najgłębszą polskość zostawiając im samym.

Gdyby nie wojna, najpewniej spotykaliby się na drogach do Sandomierza. Są to mosty słowa polskiego, wychylone na wschód i na zachód, wystawiane z upodobaniem przez Żeromskiego, ważne dla starych ziemian, ale i młodych socjalistów, którym wkrótce świat się przewróci do góry nogami i wyświetli się po swojemu w tunelach historii.

Ekran włoski dla Polaków ujawniał od wieków bliskość losów i kultury, toteż i spotkanie się pisarzy na tych ziemiach – od Alp po Sycylię – było czymś naturalnym i oczywistym. Rodzinne wrastanie w nią Herlinga-Grudzińskiego oddalało go jednak boleśnie od rzeczywistości ojczystej, do której należał Iwaszkiewicz. Wrogi wyraz polityczny, przekazywany w *Dzienniku pisanym nocą*, gościł szczęśliwie w jego prozie artystycznej, wywołując równocześnie stany groźnego niepokoju i rozdwojenia. Tajemnicze spotkania, jakie odbywał z Andrzejem Wasilewskim z Ambasady Polskiej w Rzymie, ujawniły się jako próby przedostania się do kraju jeszcze przed transformacją, co skończyło się niepowodzeniem także w karierze polskiego dyplomaty. Kontakty z prof. Krzysztofem Żaboklickim, późniejszym dyrektorem Biblioteki PAN na Vicolo Doria, przyniosły przynajmniej odważne wobec władz włoskich wystąpienie pisarza podczas wieczoru mu poświęconemu. Moje z nim spotkania nie doprowadzały do kontrowersji ideowej, choć mogły, ani chybi... Pozostawał do końca rozdwojony, jakby dźwigając na sobie odpowiedzialność za literaturę polską w jej pełnym wymiarze. Gdy Iwaszkiewicz podtrzymywał swoje przyjaźnie z kolegami za granicą, zapewniając ich twórczą obecność w bibliotece Związku Literatów w Warszawie, Herling, psioząc na reżym, Ignął do kontaktów nie tylko z opozycją polityczną w kraju, lecz także z opozycją wobec opozycji. Odnosiłem wrażenie, że ci moi mistrzowie trochę sobie zazdroszczą, Jarosław Herlingowi rozgłosu na zachodzie, Herling Iwaszkiewiczowi sławy i chwały w ojczyźnie...

Sprzeczność w pojmowaniu świata była jednak mniejsza niż stan uczuć w kryteriach zawodowych. Gdy podjęliśmy w kraju starania o Nagrodę Nobla dla Iwaszkiewicza, koledzy na obczyźnie zrobili niemało, by ją dla „oportunisty” utracić: nagrody zagraniczne miały trafiać tylko do rąk dysydemtów. Choć sprawiedliwiej jest dodać, że nowe czasy niosły i w tym świecie [rozterek na obczyźnie] ciekawe zmiany. Oto nagrodę Mondello na Sycylii Jarosław Iwaszkiewicz otrzymuje wraz z Josifem Brodskim, a wkrótce zostaje wiceprezsem Stowarzyszenia Kultury Europejskiej w Wenecji...

Wtedy też we Włoszech szeroko otwiera się ekran rosyjski. Jest na nim niemal wszystko, od politycznych przemian po nową lewicę europejską, już bez Moskwy. Jest demokratyzacja kultury po obu stronach żelaznej kurtyny, postsocrealistyczna literatura rosyjska wpływa strumieniem emigracyjnym do Niemiec, do Francji, do Włoch, Biennale otwiera swoje podwoje weneckie na ruchy kontestacyjne, piszą o światłach laguny Iwaszkiewicz, Herling i Brodski. Centrum kultury europejskiej ożywa ekumenią rzymsko-bizantyjską na wspólnym obszarze cywilizacji śródziemnomorskiej. Sam jej odkrywczym pulsowaniem byłem poruszony, a ze mną moi przyjaciele, wybitni artyści obrazu, jak Władysław Hasiński Józef Szajna...

I przez Wenecję wielki nawrót do kultury rosyjskiej. I nie dziwota, że to tak „pięknie grało” w podróżach Iwaszkiewicza, wszak wyniósł rzecz z młodości, nie tylko zresztą z literatury, także z muzyki, jak wiemy, i do końca temu wschodniemu zapleczu wierny pozostał. Więc gdy pisał o Achmatowej po nagrodzie w Taorminie, to wszystko w tej gorzkiej nostalgii wyśpiewał:

*na Sycylii było ciepło*

*kwitły róże*

*co oni wiedzieli o ojczyźnie Anny*

*o chłodach Carskiego Siola*

*o panichidach za samobójców*

*o więzieniach o kołach polarnych*

*o światłach*

*O czym myślała tu Anna Andrejewna?*

Głębokie zanurzenie Herlinga w ten obcy „inny świat” niejednego zaskakuje. Porusza się bowiem w nim nie wrogo, co po jego przejściach obozowych byłoby przecież w pełni usprawiedliwione, lecz wrastając weń i wyrastając, do czego uczciwie i konsekwentnie się przyznaje. Od Dostojewskiego i jego przeżyć katorżniczych, przez Turgieniewa, Tołstoja, Czechowa, Hercena, po czasy współczesne, często w losie emigracyjnym niemiłosiernie wspólnotowe.

„Wszystko rozumiał tylko Puszkina”, twierdziła Anna Achmatowa. Bardzo chciał być bliżej prawdy nasz Herling-Grudziński. Jego dochodzeniem do niej, słowem, wyraźną fascynacją literaturą rosyjską zajmowało się dzielnie wielu badaczy, wśród nich najowocniej bodaj Włodzimierz Bolecki i Zdzisław Kudelski, dziś wraca na te tropy młoda Patrycja Spytek, której książka *Inny świat! Rosja Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*, która ukazała się właśnie w wydawnictwie Adama Marszałka, skupia uwagę czytelnika na tym trudnym obszarze naszych narodowych uwikłań...

Włączam ją w tych kontrowersyjnych zbliżeniach do moich rozterek wokół spraw polsko-rosyjskich, tworząc w tym konspekcie szkicu przesłanki do przekonania, że ta konfrontacja wciąż kryje w sobie do końca nieujarzmioną powściągliwość rzekomego „bycia sobą”, by nie poddać się tej wschodniej mocy dojrzewającej cyrylicy. A polskość – wraz z jej europejskim echem estetyczno-etycznym – wyrasta także z rosyjskiego ogrodu... Podobnie – zmierzając do celu – jak buzująca rozmaicie ruskość, z polskich ziaren, rozsypanych obficie po wschodnim kontynencie. [Patrz: *Wospominanija o Jarosławie Iwaszkiewiczu* w opracowaniu Wiktora Borysowa].

**EUGENIUSZ KABATC**

15.5.2019 r.

ADAM KULAWIK

# PAN IGNACY RZECKI I JEGO PAMIĘTNIK\*

*Pamiętnik starego subiekta* stanowi czwartą część tekstu *Lalki*, dokładnie dziewięć z trzydziestu ośmiu rozdziałów tej powieści, ale te rozdziały pamiętnika nie stanowią zwartej całości tematycznej, lecz przytaczane są pojedynczo lub sekwencyjnie na potrzeby narratora autorskiego, tworzącego fabułę powieści, organizującego jej akcję. Stworzył Prus Rzeckiego i napisał za niego pamiętnik po to, żeby Rzecki dokonał auto-prezentacji, sam ujawnił swoją osobowość, naiwność, rozmiary swojej zarozumiałej głupoty i na koniec swoją klęskę. Ale obdarował też Prus Rzeckiego talentem gawędziarskim, narracyjną sprawnością, jakby mu chciał wynagrodzić jego romantyczne bankructwo i defekty osobowości.

Pisze pan Ignacy w swoim pamiętniku: „W tej bowiem pisaniu chcę mówić nie o Bonapartych, ale

o sobie, ażeby wiadano, jakim sposobem tworzyli się dobrzy subiekci i choć nie uczeni, ale rozsądni politycy. Do takiego interesu nie potrzeba akademii, ale przykładu – w domu i w sklepie”. Dom Ignacego to ojciec i ciotka. Ojciec kiedyś jako młody człowiek był żołnierzem. Gdzie nasiąkł ideami napoleońskimi, nie wiemy, wiemy natomiast, w jaki sposób przekazywał te idee swojemu synowi, który ów sposób dokładnie opisuje: „Nauczył mnie czytać, pisać, kleić koperty, ale nade wszystko musztrować się. Do musztry zapędzał mnie w bardzo wczesnym dzieciństwie, kiedy mi jeszcze zza pleców wyglądała koszula. Dobrze pamiętam, gdyż ojciec komenderując: „pół obrotu na prawo!” albo „lewe ramię naprzód – marsz”... ciągnął mnie w odpowiednim kierunku za ogon tego ubrania. Była to najdokładniej prowadzona nauka. Nieraz w nocy budził mnie ojciec krzykiem: »do broni«, musztrował pomimo wymyślań i też ciotki i kończył zdaniem: »Ignaś! Zawsze bądź gotów, wisusie, bo nie wiemy dnia ani godziny... Pamiętaj, że Bonapartów Bóg zesał, aże-

\* Publikowane w „Zdaniu” studia prof. Adama Kulawika o *Lalce* ukazały się w wydaniu książkowym. Dziękujemy Autorowi za powierzenie nam ich pierwodruku. (red.)

by zrobili porządek na świecie, a dopóty nie będzie porządku ani sprawiedliwości, dopóki nie wypełni się testament cesarza»”.

Wiara starego Rzeckiego w pojawienie się Napoleona była niewzruszona. Na uwagi kolegów, pana Raczka i pana Domańskiego: „Hej! Stary, już my chyba nie doczekamy się Napoleona”, odpowiedział: „Ja tam nie umrę, dopóki o nim nie usłyszę”.

I tak się stało! Pisze bowiem pan Ignacy: „Było już z nim (ojcem – A.K.) bardzo źle, nawet przyjął ostatnie sakramenta, kiedy parę dni później wbiegł do nas pan Raczek dziwnie wzburzony i stojąc na środku izby zawołał: —A wiesz, stary, że znalazł się Napoleon? (...) Ojciec zerwał się, lecz znowu upadł na poduszki. Tylko wyciągnął do mnie rękę i patrząc wzrokiem którego nie zapomnę, wyszeptał: – Pamiętaj!... Wszystko pamiętaj... Z tym umarł”.

Jeżeli czytelnik *Pamiętnika starego subiekta* nie zwrócił uwagi, że stary Rzecki, ojciec Ignasia, jest karykaturą Symeona, to znaczy, że sprzeniewierzył się intencji znaczeniowej tekstu, a tym samym intencji Prusa. Symeon miał od Ducha świętego przyobiecane, że nie umrze, dopóki nie zobaczy Mesjasza, i Duch święty natchnął go, że właśnie niosą dzieciątko Jezus do świątyni w celu obrzezania.

„I przyszedł w duchu do kościoła: a gdy wwdzili dzieciątko Jezusa rodzicy jego, aby uczynili za nie wedle zwyczaju zakonnego, On też wziął je na ręce swoje i błogosławił Boga, i mówił: Teraz puszczasz sługę twego, Panie, w pokoju według słowa twego, Gdyż oczy moje oglądały zbawienie twoje”. (Łuk. II 25-29)

Nie jedyne to odwołanie – również karykaturalne – do przekazu ewangelii. Kiedy ojciec Ignasia mówi: „Ignas! Zawsze bądź gotów, wisusie, bo nie wiemy dnia ani godziny”, to przywołuje na pamięć słowa innego ewangelisty – Mateusza: „Czujcież tedy, albowiem nie wiecie, której godziny wasz Pan przyjdzie”. (Mat. XXIV 42) i „Przeto i wy bądźcie gotowi, bo której godziny nie zwiecie, Syn człowieczy przyjdzie”. (Mat. XXIV 44)

Tak jak stary Rzecki jest karykaturą Symeona, tak Napoleon Rzeckich jest karykaturą Mesjasza, a o Mesjaszu czytamy u Izajasza: „I będzie sądził narody, i będzie strofował ludzi wiele. I przekują miecze na lemieszce, a włócznie swe na sierpy: nie podniesie miecza naród przeciw narodowi, ani będą więcej ćwiczyć ku bitwie. (...) Albowiem maluczki narodził się nam, i syn jest nam dany, i stało się panowanie na ramieniu jego, i nazowią imię jego: Przedziwny, radny, Bóg mocny, ojciec przyszłego wieku, książę pokoju. Rozmnożone będzie państwo jego, a pokoju nie będzie końca”. (Iz IX 6-7)

Stary Rzecki przekazał synowi Ignasiowi podobną Izajaszowej niewzruszoną wiarę w sprawczą moc przyszłego Napoleona: „Niesprawiedliwość – czytamy u pana Ignacego – dopóty będzie władać światem, dopóki nowy Napoleon nie urośnie”.

Mówiąc słowami Rzeckiego, nie trzeba akademii, żeby zrozumieć, że stosunek starego Rzeckiego do idei napoleońskiej ma charakter religijny. Oto tekstowy dowód: „Na ścianach u ciotki wisieli sami święci; ale jakkolwiek było ich sporo, nie dorównywali jednak liczbą Napoleonom, którymi ojciec przyozdabiał swój pokój. Był tam jeden Napoleon w Egipcie, drugi pod Wagram, trzeci pod Austerlitz, czwarty pod Moskwą, piąty

w dniu koronacji, szósty w apoteozie. Gdy zaś ciotka, zgorszona tyloma świeckimi obrazami, zawiesiła na ścianie mosiężny krucyfiks, ojciec, ażeby – jak mówił – nie obrazić Napoleona, kupił sobie jego brązowe popiersie i także umieścił je nad łóżkiem”.

Tylko że skoro nowy Napoleon ma wstrząsać jak tamten Bonaparte Europą, by zaprowadzić na świecie porządek i sprawiedliwość, trzeba będzie przekuć miecze na lemieszce, ale lemieszce na miecze, i nie włócznie na sierpy, ale z powrotem sierpy na włócznie i od wczesnego dzieciństwa musztrować się.

Wiary Ignacego w nadejście nowego Napoleona, który istotnie pojawił się w roku 1840, nie zachwiała wiadomość przyniesiona kilka miesięcy po śmierci ojca przez panów Raczka i mocno anyżówką podchmielnego pana Domańskiego: „Nowego Napoleona wsadzili do prochni!” – jako politycznego niebezpiecznego awanturnika. Nie zachwieje również tej wiary późniejsza klęska Napoleona III, już cesarza Francji, pod Sedanem w roku 1870, gdzie dostał się do pruskiej niewoli, bo ten żał się Boże cesarz miał syna i w nim z kolei lokował pan Ignacy nadzieje na naprawienie świata.

W drugim fragmencie pamiętnika, który wypełnia dziesiąty rozdział *Lalki*, czytamy: „Pamiętam, że kiedy Ludwik Napoleon (późniejszy cesarz Napoleon III) uciekł z więzienia w roku 1846, zakotłowało się w całej Europie. Nikt nie wiedział, co będzie? Ale wszyscy ludzie rozsądni przygotowywali się do czegoś, a wuj Raczek (pan Raczek ożenił się z moją ciotką) ciągle powtarzał: »Mówiłem, że Bonapart wypłynie i nawarzy im piwa!«”.

Przygotowywał się również do tego czegoś, nie wiadomo do czego, rozsądny polityk pan Ignacy Rzecki, a do podjęcia decyzji przyczynił się nieżyjący od ośmiu lat ojciec w sposób następujący: „Dopiero w lutym roku 1848, kiedy Ludwik Napoleon już był w Paryżu, ukazał mi się jednej nocy nieboszyk ojciec tak, jak widziałem go w trumnie. (...) Stał we drzwiach mojej izdebki we front i rzekł tylko te słowa: – Pamiętaj, wisusie, czegom cię uczył!”

Więc ruszył Ignacy wspomagać Węgry w ich walce z Austrią o sprawiedliwość i porządek na świecie. A towarzyszył mu też subiekt ze sklepu Mincla – August Katz. Po dotarciu na Węgry zaczęła się dla naszych bohaterów partyzancka poniewierka: „długie marsze na spiekocie”, picie wody z kałuży, zimne noce i głód: „Tylem razy jadł od tej pory kartofle, ale żadne nie smakowały mi tak jak wówczas”. Była poniewierka, ale były również marzenia o „jeneralnej bitwie”. Czytamy w pamiętniku: „Ja bo nawet w grobie jej nie zapomnę, a jeśli kiedyś zapyta mnie Pan Bóg: po com żył na świecie?... po to – odpowiem – żeby trafić na jeden taki dzień”. Ale zanim do tej „jeneralnej bitwy” i do „trafienia na jeden taki dzień” doszło, oddział, w którym służył Rzecki, stanął pod jakąś wsią, gdzie winem i muzyką przyjmowali ich chłopci: „A jaka muzyka, a jakie dziewczuchy!... Cyganie doskonale grają, a każda Węgierka istny proch. Kręciło się ich, bestyjek, wszystkiego ze dwadzieścia, a jednak zrobiło się tak gorąco, że nasi zatłukli i zarabali trzech chłopów, a chłopci zabili nam dragami huzara”.

Jeśli dobrze rozumiem, co tu napisał ten osobliwy pamiętnikarz, to winę za to zajście ponoszą oczywiście owe Węgierki! Następnego dnia o wschodzie słońca nasi bohaterowie zobaczyli ślady pobytu wroga: bu-

dynki rozebrane na opał, napotkali uciekającą szlachtę z rodzinami, duchownych rozmaitych wyznań, w końcu chłopów i cyganów. „Na wszystkich twarzach malowała się trwoga; prawie każdy coś wykrzykiwał po węgiersku, wskazując rękoma za siebie”. Potem były płonące wsie. Wreszcie „rozbestwieni oficerowie” – to nie moje, ale pana Rzeckiego określenie oficerów – wydali komendy: „Rezerwy w ogniu!...Naprzód łajdaki!... Świnie wam paść, psubrates! I płazowali każdego, kto nawinął się im pod rękę”. Przytomny czytelnik tej „pisaniny” Rzeckiego musi uznać, że przymiotnik „rozbestwieni” odnieść należy do tej zbieraniny ochotników, którą oficerowie próbują zdyscyplinować.

Brutalna, zbrodnicza rzeczywistość wojny nie osłabia wiary Rzeckiego w wielkość idei napoleońskiej. Nie osłabi jej również takie wojenne doświadczenie: „poznałem, że nie stoję na ziemi, ale na człowieku, który jeszcze pochwyił mnie za nogę. W tej chwili wrzeszczący tłum posunął się naprzód, a ja upadłem. Lewa ręka pośliznęła mi się we krwi. Obok mnie leżał przewrócony na bok oficer austriacki, człowiek młody, o bardzo szlachetnych rysach. Spojrzał na mnie ciemnymi oczyma z nieopisanym smutkiem i wyszeptał chrapliwym głosem: – Nie trzeba deptać... Niemcy są też ludźmi...”.

Jeden z monografistów *Lalki* podaje, że słowa owe go oficera są nawiązaniem do słów Konrada Wallenroda po klęsce zadanej krzyżakom: „Już dosyć zemsty – i Niemcy są ludźmi”. Ale co innego znaczą te słowa w ustach zwycięzcy, a co innego w ustach pokonanego. W ustach Wallenroda znaczą: Nie bądź zwierzęciem, a w ustach pokonanego oficera austriackiego: Bądź człowiekiem.

Ten fakt fabularny, ta wojenna przygoda Rzeckiego ma wymowę symboliczną i znaczy: Wojna jest deptaniem człowieczeństwa i nurzaniem się we krwi. Panie Rzecki! Jeśli na pytanie Boga: Po coś żył na świecie? odpowiesz: żeby trafić na jeden taki dzień, w którym będę brał udział w deptaniu człowieczeństwa, to twój zasmucony Bóg z niedowierzaniem pokiwa głową.

I żeby czytelnik tego pamiętnika nie przeszedł nad tym obrazem deptania człowieczeństwa, tak jak pan Ignacy Rzecki, do porządku, bezpośrednio po nim czytamy: „Trafiłem na szczególną scenę. Jedni z naszych chwycili za koła armaty, drudzy ścigali woźnicę z siodła; Katz przebił bagnetem konia z pierwszej pary, a kanonier austriacki chciał zwalić go w łeb wyciorem. Schwyciłem kanoniera za kołnierz i nagłym ruchem w tył przewróciłem go na ziemię. Katz i jego chciał przebić. – Co robisz, wariacie?... zawołałem odbijając mu karabin. Wtedy rozwiścieczony rzucił się na mnie, ale stojący obok oficer pałaszem odrzącił mu bagnet. – Czego się tu mieszasz?... – krzyknął na oficera i – oprzytomniał”.

Cóż na to powiedzieć? Godna podziwu jest subordynacja Katza, ale wolelibyśmy, żeby Katz miał hamulce moralne, nie ulegał szałowi bitewnemu nawet walcząc w imię idei napoleońskiej i nie chciał mordować, kogo popadnie: konia, wroga czy przyjaciela.

Niczego nie nauczył Rzeckiego udział w bitwach, niczego nie nauczył go klęska. Nie pisze Rzecki w swoim pamiętniku o przegranej „jeneralnej bitwie”, ale kreśli obrazy skutków klęski powstania węgierskiego w wymiarze osobistym: „Przez miesiąc wyglądali-

śmy odsieczy z Węgier, z Francji, nawet z nieba. (...) W pięciu oddzielił się od reszty wojsk, połamaliśmy szpady, przebraliśmy się za chłopów i ukrywszy pod odzieżą pistolety, wędrowaliśmy w stronę Turcji”. Panie Rzecki! Jakkolwiek jeden z monografistów *Lalki* napisał, że wyobcowywał się pan z teraźniejszości w swoją bohaterską przeszłość, że pisząc swój pamiętnik powraca pan „w najpiękniejsze dni swojego życia”, a drugi monografista napisał, że „Rzecki też przede wszystkim jest – niczym Mickiewiczowska pieśń gminna – pamięcią o żołnierzach-tułaczach, o wielkich nadziejach i ważnych doświadczeniach przeszłości” – to ja takie „oddzielenie się od reszty wojsk”, czyli porzucenie podwładnych i dowódców ośmielę się nazwać **d e z e r c j ą!** Był pan dezerterem, panie Rzecki!

Tak wędrowali – czytamy – ze trzy tygodnie, pocieszając się, że może Turcja, że może Kossuth coś wymyśli, a ja – powiada Rzecki – mówiłem, że „kto jak kto, ale Napoleon nas nie opuści”. Za to napotykanymi mieszkańcy wiosek – pisze Rzecki – „bali się sprzedać nam dzbanka mleka, a chłopci jednej wsi gonili nas widłami i kosami. Mimo to humor był”.

Dlaczego ci chłopci grożący dezerterom widłami i kosami nie chcą pomóc tym, którzy dla nich walczyli o porządek i sprawiedliwość na świecie? Tego pytania pan Rzecki, porucznik piechoty węgierskiej, już sobie nie zadaje. Dlaczego uciekają przed zwycięskimi Austriakami, ci dezerterzy wiedzą, ale dlaczego muszą uciekać przed chłopami, którzy kiedyś witali ich winem i muzyką? Takie pytanie Rzeckiemu i jego kompanom nie przychodzi do głowy, ale czytelnik *Lalki*, który nie zada go sobie i nie odpowie na nie, skazany jest na sprzeniewierzenie się *Lalce* i jej autorowi, na krańcowe spłylenie rozumienia powieści i na interpretacyjne manowce. Na przykład takie: „W przygnębiającej, dusznej atmosferze *Lalki* – atmosferze »społecznego rozkładu«, jest tylko jeden epizod, w którym życie ludzkie ma swój pełny sens, godność i piękno: opowieść starego subiekta o kampanii węgierskiej” – tak napisał jeden z monografistów tej najlepszej polskiej powieści.

W drodze do Turcji August Katz, ów milczący subiekt w sklepie Mincla, popełnił samobójstwo, ale zanim do tego doszło, powiedział: „Nie ma sprawiedliwości dla tych, którzy nie umieli zginąć z bronią w ręku! – Krzyknął Katz. – Głupi wy i ja z wami... Turek albo Francuz nadstawi za was karku?... Czemużecie sami nie umieli go nadstawić?”

Czy to są skrupuły dezertera? Efekt manii samobójczej, jak sądzi inny autor monografii *Lalki*? A może moralny kac Katza? Prus zmusza czytelnika do myślenia nad tym, co dzieje się w świecie przedstawionym powieści i tej jej części, którą nazwał *Pamiętnik starego subiekta*, a także do oceny faktów fabularnych. Więc ja, pomyślawszy chwilę, pytam: Panie Katz, a na cóż byłaby panu potrzebna sprawiedliwość, gdybyś pan z bronią w ręku zginął? A czy gdybyście pokonali Austriaków, zapanowałaby sprawiedliwość na świecie? Albo chociaż porządek?

„W parę dni po śmierci Katza – czytamy w pamiętniku Rzeckiego – weszliśmy do Turcji, a przez dwa lata następnego ja, już sam, tułałem się po całej Europie. Byłem we Włoszech, Francji, Niemczech, nawet w Anglii, a i żarła mnie tęsknota za krajem. Nieraz zdawało mi się, że tracę rozum, słuchając potoków obcej mowy”.

I nieco dalej: „Może bym się zabił z desperacji, gdyby nie ciągłe wiadomości o Ludwiku Napoleonie, który już został prezydentem, a myślał o cesarstwie. Było mi lżej dźwigać nędzę i tłumić wybuchy żalu, kiedyś słuchał o triumfach człowieka, który miał wykonać testament Napoleona i zrobić porządek w świecie”.

Więc pan Rzecki, wspomagany sukcesami Napoleona prezydenta Francji, nie zabił się, pokonał desperację i ruszył do kraju. „Jedna mnie tylko myśl trapiła. – A nuż mnie i stąd wypędzą?”

Nie przepędzono go, lecz skierowano do Zamościa, do rosyjskiego więzienia dla więźniów politycznych, gdzie przesiedział ponad rok. Opuścił więzienie, bo – każe nam się domyślać Rzecki – Jan Mincel wręczył komuś łapówkę, czyli *wziatku*. I teraz raczy nas autor tego osobliwego pamiętnika następującą informacją: „...już w lutym 1853 roku mogłem jechać do Warszawy. Zwrócono mi nawet patent oficerski, jedyną pamiątkę, jaką wyniosłem z Węgier nie licząc dwu ran: w piersi i w nogę”.

I z tą informacją pięknie koresponduje rozmowa Rzeckiego z pewnym Żydem: „Jak pan dobrodziej ma węgierskie dukaty, to ja kupię. Ja rzetelnie zapłacę. (...) – Nie mam dukatów – odpartem. – Pan dobrodziej był na węgierskiej wojnie i pan nie ma dukatów? – rzekł zdziwiony. (...) – Może pan dobrodziej ma jakie kosztowności?...Pierścionków, zygarków, branzeletów? (...) – Nie mam, bracie, daję słowo... – Nie ma pan? – powtórzył szeroko otwierając oczy. – To po co pan chodził na Węgry?”

Nie tylko zamojski Żyd nie rozumiał, dlaczego i po co Rzecki udał się na Węgry. Po powrocie do Warszawy, do sklepu Mincla, Ignacy miał okazję zaspokajać ciekawość Minclów opowiadaniem „o tęsknotach tułaczki, niewygodach żołnierskiego życia albo o bitwach”, a wtedy Grossmutter mówiła: „Jezu! Jezu!... Jakie to okropne... Ale powiedz mi, kochany Ignacy, po co więc właściwie poszedłeś na Węgry?” Ani Grossmutter, ani zamojski Żyd nie dostali odpowiedzi od Ignacego. Odpowiedział za Rzeckiego Jan Mincel: No, przecie Grossmutter rozumie, że chodził do Węgier na wojnę”.

Emigracyjna tułaczka rzeczywiście musiała Rzeckiemu doskwierać, skoro więzienie w Zamościu wydawało mu się komfortowe. Mamy na to dowód tekstowy. Kiedy otwarcie nowego sklepu Wokulskiego wymagało przeprowadzki, Rzecki notuje: „Żal mi jednak było mego pokoju, w którym dwadzieścia pięć lat przemieszkałem. Ponieważ do lipca obowiązuje nas stary kontrakt, więc do połowy maja siedziałem w moim pokoju, przypatrując się jego ścianom, kracie, która przypominała mi najmiłsze chwile w Zamościu, i starym sprzętom”. Toteż został Ignacy całkowicie usatysfakcjonowany, bo ten nowy pokój, staraniem Wokulskiego, był dokładną kopią dawnego, a w oknie również były kraty.

Nie mam wątpliwości, że te kraty w oknach mieszkania Rzeckiego mają znaczenie symboliczne, brakuje mi jednak odwagi, żeby skonkretyzować ich znaczenie. Tak czy inaczej sugerują więzienną celę. Więźniem czego jest Rzecki? Sklepu? Idei napoleońskiej? Politykowania? Głupoty? A może wszystkiego razem?

To co zdumiewa w postawie Rzeckiego w kontekście jego doświadczeń węgierskich i tułaczki po Europie, to jego ustawiczne, niecierpliwie oczekiwanie na

wojnę, nadzieja, że po takim czy innym zamachu jakiegoś Nobilinga czy Hodla wojna wreszcie wybuchnie. Umowy pokojowe między mocarstwami rozzarowują Rzeckiego. Wiosną 1879 roku analizuje sytuację polityczną wynikającą z istnienia koalicji głównych graczy i konstatuje: „A jeżeli tak jest, więc znaczy, że lada chwila może wybuchnąć wojna, w której zostaną rozstrzygnięte bardzo, ale to bardzo ważne sprawy. Czy tylko będzie wojna? Bo my zawsze lubimy się łudzić. Otóż będzie, tym razem niezawodnie”.

Ma Rzecki, nie wiedzieć dlaczego, satysfakcję z sukcesów Anglii w Afganistanie: „Ale Roberts chwata; nie ma jednej ręki i pomimo to łupi Afgańczyków, aż się wata sypie. Chociaż takich dzikusów walić nietrudno; lecz zobaczyłbym cię, panie Roberts, jak byś sobie poczynał, mając sprawę z węgierską piechotą!”

Zastanawia się pan Ignacy w jakimś momencie, dlaczego wojny nie prowadzi się zimą, skoro spiżarnie chłopów są pełne, a drogi jak mur. To prawda – pisze Ignacy – że noce zimowe są długie, wojsku grozi tyfus, ale wojna na wiosnę też ma swoje minusy: roztopy, „przejedzie bateria i można się kąpać”, a po wsiach przednówek. Toteż nasz drogi subiekt gotów współczuć feldmarszałkowi Prus Moltkemu, który na jakąś porę na wszczenie wojny musi się przecież zdecydować.

No a jak ustawiczne oczekiwanie na wybuch wojny, to i politykowanie, i dopatrywanie się w nieistotnych codziennych zdarzeniach przyczyn politycznych, także wmawianie sobie, że w jakieś akcje polityczne zaangażowany jest Wokulski. Kiedy Wokulski wyjeżdżał na wojnę turecką po majątek dla Izabeli, pan Ignacy mówił tak: Jeżeli ma się w banku trzydzieści tysięcy rubli i dobrze prosperujący sklep, to nie jedzie się na wojnę po majątek. Przyczyną pojedynku Wokulskiego z baronem Krzeszowskim był w przekonaniu Rzeckiego jakiś powód natury politycznej. Pojawienie się Wiliama Colinsa, nauczyciela angielskiego, ukazuje rozbijającą głupotę Ignacego: „Pamiętam, w początkach maja, wchodzi do sklepu jakiś bardzo niewyraźny jegomość (rude faworyty, oczy paskudne) i położywszy na kantorku swój bilet wizytowy, mówi dosyć potamanym językiem: »Proszę powiedzieć pan Wokulski, ja będę dziś siódma...« I tyle – spojrzałem na bilet, czytam: »Wiliam Colins, nauczyciel języka angielskiego...« Cóż to za farsa?... Przecie chyba Wokulski nie będzie uczył się po angielsku?... Wszystko jednak zrozumiałem, gdy na drugi dzień przyszły telegramy o... zamachu Hodla...”.

Inny przykład podejrzeń Rzeckiego. „Ej!... panie Ignacy – nie spiesz się ty z sądami o panu W. (w takich razach lepiej nie wymawiać całego nazwiska), nie potępiaj go, bo możesz się ośmieszyć. Tu gotuje się jakaś gruba kabala: ten pan Łęcki, który kiedyś był u Napoleona III, i ten niby aktor Rossi, Włoch... (Włochy gwałtem upominają się o Triest...), i ten obiad u państwa Łęckich przed samym wyjazdem, i to kupno kamienicy...” – wszystko to musi mieć jakąś polityczną wykładnię w przekonaniu pana Rzeckiego i wszystko to nie ma sensu.

Pani Meliton, warszawska rajfurka, dobrze przez Wokulskiego wynagradzana za informacje o porach spaceru panny Łęckiej w Łazienkach, również – zdaniem Rzeckiego – zaangażowana jest w jakąś grę po-

lityczną. Według Rzeckiego nauczyciel angielskiego, rajfurka warszawska i warszawski kupiec galanteryjny Wokulski biorą udział w jakiejś politycznej operacji. Najpewniej napoleońskiej. Żalotne i śmieszne jest to politykowanie Rzeckiego. Żalotna jest ta jego napoleońska monomania i marzenia o wojnie.

Na samym początku swojego pamiętnika pan Ignacy notuje: „Ród Bonapartych trząsł Europą za Napoleona I, potem za Napoleona III, a i dzisiaj, choć niektórzy nazywają go bankrutem, wpływa na losy Francji przez wierne swoje służki, Mac-Mahona i Ducrota. Zobaczycie, co jeszcze zrobi Napoleon IV, który po cichu uczy się sztuki wojennej u Anglików!”

Cóż na to powiedzieć? Napoleon III tak trząsł Europą, że dał się ograbić Bismarkowi jak dziecko – wypowiedział Prusom wojnę, na którą Bismark tylko czekał. Cesarz Francji dostał się do pruskiej niewoli, Francja utraciła Alzację i Lotaryngię, zapłaciła Prusom horrendalną kontrybucję. W efekcie we wrześniu 1870 roku cesarz został zdeponowany, po czym wyjechał do Anglii, gdzie trzy lata później zmarł. Jeżeli to nie jest bankructwo, panie Rzecki, to co to jest?

Spektakularna klęska Francji pod Sedanem i jej konsekwencje spowodowały rewolucyjne wystąpienia ludności Paryża, które kulminowały powstaniem Komuny Paryskiej. O tym w pamiętniku naszego subiekta nie ma ani słowa. Rzecki ani słowa nie poświęcił stłumieniu tej rewolucji i utopieniu Paryża we krwi. „Z każdej ulicy jak z aorty / upływa krew paryska” – to nie Rzecki, to Broniewski. A kto tego dokonał, panie Rzecki? „Wierny sługa” cesarza Edme Patrice Maurice Mac-Mahon, głównodowodzący wojskami Francji, a od 1873 roku jej prezydent. W walkach ulicznych i na barykadach zginęło ponad trzy tysiące komunardów, a potem były egzekucje: „Żołnierze, trzeba wytępić / to bydło, nie bierzcie jeńców”. Stracono dwadzieścia siedem tysięcy ludzi, w tym ponad pięćset nieletnich, a w tej liczbie siedemnaścioro dzieci poniżej lat dwunastu. „Generale Gallifet, za egzekucje/ wdzięczność Francji cię czeka i order, / generale Gallifet, krew masz na bucie./ generale Gallifet, cuchniesz mordem”. Tak zrehabilitowała się francuska armia za kompromitującą klęskę pod Sedanem. Gdybym był złośliwy, zapytałbym: Panie Rzecki, czy taka kara wymierzona komunardom za zburzenie kolumny Vendome z posągami pańskiego bożyszczka Napoleona Bonaparte usatysfakcjonowała pana?

Napoleon I zmarł na odległej wyspie Świętej Heleny, bo z tej bliższej Elby wrócił do Francji, żeby wy targować od historii swoje sto dni. Napoleon III zmarł praktycznie na wygnaniu w Anglii. Napoleon IV, na którego wstrząsanie Europą tak bardzo liczył Ignacy, zginął w Afryce, ale w to Rzecki uwierzyć nie chce: „Od kilku miesięcy – notuje Rzecki – utrzymuje się pogłoska, że w dniu 26 -go czerwca bieżącego roku zginął w Afryce książę Ludwik Napoleon, syn cesarza. I to jeszcze zginął w bitwie z dzikim narodem, o którym nie wiadomo, ani gdzie mieszka, ani jak się nazywa? Bo przecie Z u l u s a m i nie może nazywać się żaden naród”.

Może ukrył się Napoleon IV gdzieś przed „agentami Gambetty?”, podejrzewa Rzecki. Jak panu nie wstyd, panie Rzecki, podejrzewać Gambettę o agenturalną

działalność! Gambetta miał dość charakteru i odwagi, żeby trwać w opozycji do Napoleona III, kiedy ten był cesarzem Francji. Pardon: L'Empereur des Francais. Żeby wylecieć balonem z obłąkanego przez Prusaków Paryża i organizować nową armię na miejsce przegranej pod Sedanem i – na koniec – żeby nie podpisać się pod traktatem kończącym wojnę francusko-pruską, na mocy którego Francja utraciła Alzację i Lotaryngię, zapłaciła Prusom pięć miliardów franków w złocie, utrzymywała stacjonujące we Francji wojska pruskie do czasu, aż owe miliardy zostaną przetransferowane do Berlina, i musiała zezwolić na triumfalną defiladę wojsk pruskich w Paryżu. Panie Rzecki! Takie były skutki polityki pańskiego naprawiacza świata. Dlaczego uznał pan, że nie warto o tym wszystkim choćby wspomnieć na kartach pamiętnika?

Niedługo przed śmiercią pan Ignacy Rzecki jakby otrzeźwiał i powie: „Napoleonidzi już nie poprawią świata i nikt go nie poprawi, jeśli nadal będziemy postępować jak lunatycy”.

Ale ma pan Ignacy w zanadru jeszcze Wokulskiego, który gdzieś przepadł, więc pyta Ochockiego, co z nim będzie? Ochocki odpowiada: „Czy ja wiem?... (...) Dziś jest on podobny do wyrwanego drzewa. Jeżeli znajdzie grunt właściwy, a w Europie może go znaleźć, i jeżeli ma jeszcze energią, to wlezie w jakąś robotę i bodaj czy nie zacznie naprawę żyć... Ale jeżeli wyczerpnął się, co także w jego wieku jest możliwym... Rzecki podniósł palec do ust... – Cicho!... cicho!... – przerwał. – Stach ma energią... o, ma!... On jeszcze wyptynie... wypty... Odszedł do okna i oparłszy się o framugę, zaczął szlochać”.

A uważny czytelnik *Lalki* już wie, bo Prus to napisał, tyle że nie na ostatniej stronie powieści, że pojechał Wokulski do Geista i przepadł razem ze swoim majątkiem, a pan Ignacy jako romantyczny lunatyk nie wszystek umrze, skoro raczy nas jeszcze takimi zapisami w swoim pamiętniku: „Nie warto żyć... Gdyby nie Stach i Napoleon IV, to czasem jest mi tak ciężko, że zrobiłbym sobie co... Kto wie, stary kolego Katz, czy nie najsmardziej postąpił? Nie masz wprawdzie żadnych nadziei, ale też i nie boisz się zawodów... Nie twierdź, że bym się ich lękał, bo przecie ani Wokulski, ani Bonaparte... Ale zawsze ... tak coś...”.

Ale dwie strony dalej wraca panu Ignacemu wiara w naprawiacza świata, który, jego zdaniem, zaradzi nawet polskiemu antysemityzmowi: „Facecje, przywidzenia! Wszystko to odrobi cesarz Napoleon IV. Wówczas i Szlangbaum przestanie być arogantem, i Szuman przestanie chełpić się swoim żydostwem, i Klejn nie będzie im groził”.

A jakim sposobem dokona tych cudów Napoleon IV, o to nasz sympatyczny skądinąd pamiętnikarz nie pyta i zakończy swój pamiętnik taką konstatacją: „Czy to ja nie miałem przeczuć, że książę Napoleon zostanie cesarzem Francuzów? Ha! Jeszcze zaczekamy, bo mi ta śmierć w bitwie z gołymi murzynami jakoś dziwnie wygląda”.

ROMAN WYSOGLĄD

# DZIELIŁA ICH ZNACZNA RÓŻNICA

1.

Urodziła się w odwrotnym kierunku. Zdarza się, tylko poza podpitym księdzem bardzo rzadko, można napisać, że to nieprawda, ale nikt w miasteczku nie wiedział, co to miało znaczyć w przyszłości. A tym bardziej w zaświatach.

Jeżeli, oczywiście, coś tak abstrakcyjnego jak przyszłość czy zaświaty istnieją.

Nie była zbyt urodziwa, to prawda, ale co to ma za znaczenie? I dla kogo? Jeżeli ktoś chciał jej użyć, nie wybrzydzał, wprost przeciwnie. Zapraszał ją do siebie, pokazywał zdjęcia z pochodu pierwszomajowego z 1957 roku z tak zwanym towarzyszem Gomułką na trybunie i po kilku ruchach było już po wszystkim. Jak to się w 99 procentach odbywa.

Ale, niestety, któregoś dnia zakochała się w sobie. A to stał się już poważny problem, tym bardziej że nie wiedział, jak go rozwiązać.

Zmiana płci nie wchodziła w rachubę, gdyż na jaką? Petru? Schetyna? Kaczyński? Obrzydlistwo.

Stłukła wszystkie lustra w mieszkaniu (czyli jedno odziedziczone jeszcze po babci), ale, niestety, w niczym jej to nie pomogło. Wręcz przeciwnie. Teraz nawet nie miała gdzie uczesać przedziałka. Wiadomo, w którym miejscu, czyli na głowie.

Przestała jeść, popijać, a co najgorsze, palić te wstrętne papierosy.

– Miłość bywa zabójcza – powtarzała każdej napotkanej osobie bez względu na fakt, czy ten ktoś chciał ją słuchać.

Wyraźnie posmutniała, nawet przestała czytać „Gazetę Codzienną Poranną”.

Wariactwo do potęgi. Aż pewnego deszczowego popołudnia zupełnie przez przypadek poznała dziewczynę z podobnym co ona problemem, tyle że ta nie stłukła lustra, gdyż go zwyczajnie nie posiadała.

Wynajęły pokój w najtańszym hotelu, rozebrały się, ale jako nieoświadczone w tych sprawach kompletnie nie wiedziały, co mają ze sobą robić.

Gdzieś po trzech dniach ubrały się (naturalnie do żadnego zbliżenia nie doszło), zeszły do recepcji, w której okazało się, iż nie mają za co zapłacić rachunku.

Wyklejany recepcjonista (notabene aktywny członek Ducha Odnowy w Nowej Wierze) z łaski za nieuiszczony rachunek zaproponował im seks. Grupowy. Miał polegać na bieganiu dziewczyn po mieście, w której egzystowały, przez 24 godziny z transparentem: Nigdy więcej aborcji!

Zgodziły się, gdyż jakie inne miały wyjście? Ale w ten sposób właśnie umarła śmiercią – nazwijmy ją naturalną – szansa na wielkie uczucie.

Jednak pozostało w każdej z nich poczucie pełnego spełnienia. Diabli wiedzą jakiego, ale na szczęście to nie nasz problem. Ani społeczeństwa, naturalnie bardzo, ale to bardzo przypadkowego.

2.

Padają pieniędzmi. Co najmniej przez trzy dni. Ludzie wariowali, ale bardziej bankowcy. A najgorzej, gdyż nawet Straż Pożarna (zawodowa, 2 400 na rękę plus sorty mundurowe i – czasami – znaleziona gdzieś w czasie akcji butelka denaturatu) – nie potrafiła lub nie chciała zlokalizować, skąd ten przykry smród pieniędzy dochodzi.

Nie pomogła nawet specjalna msza zamówiona przez niby bezpartyjnego wójta w intencji śmierdzących pieniędzy.

Smród, owszem rozszedł się, ale w kościele. I też Straż Pożarna, zawodowa i tak dalej, także miejsca pochodzenia tego smrodu nie potrafiła zlokalizować.

Wynika z powyższego – i Straż Pożarna zawodowa, i tak dalej użyteczna jest jedynie w czasie tak zwanych Uroczystości Kościelnych, jak na przykład Nawiedzenie Ducha Świętego w studziesięciotrzyletnim krzaku w pobliżu – podobno – wysikał się jakiś bardzo ważny (tylko dla kogo?) święty – bardzo rzadko w czasie państwowych przemarszów przez miasteczko z jakichś tam, wymaganych przez akurat rządzących jakichś pseudo-uroczystości.

A jak to bywa w życiu, przyczyna smrodu okazała się nadzwyczajną prosta. Stary Józef Maciaszek nie wiadomo skąd wydobył na tak zwane światło dzienne banknot dwuzłotowy, stary, przedwojenny, a że wietrzył swój pałac (jedna izba, dwie krowy, zdjęcie Piłsudskiego przybite



do ściany krzywym gwoździem) nadzwyczaj często, czyli wcale, smród w jakiś sobie tylko wiadomy sposób wydostał się na zewnątrz i wzbudził wyżej opisany popłoch.

Zupełnie niepotrzebnie, ponieważ pan Maciaszek zaniósł odnaleziony banknot do nowocopowstającego Muzeum Żołnierzy Wyklętych (tylko przez kogo) i jako pierwszy darczyńca został przez dyrektora tegoż muzeum (wcześniej kierownika złomowisk) poczęstowany symboliczną lampką czerwonego wina, która w praktyce okazała się butelką całkiem niezłego bimbrowa.

Mocno zmęczony pan Maciaszek jakoś o własnych siłach dowlókił się do swojego pałacu, padł na podłozę i pomyślał, iż chyba zwariował.

Mógł przecież znaleziony banknot upchnąć w miejscu, w którym go znalazł (w szczelinie w zbutwiełej od nowoczesności ścianie) i wszystko byłoby po staremu.

A tak gównie. Nadeszło nowe, tylko nie za bardzo wiadomo co to jest i czym się to coś je.

### 3.

Posiadała trzech kochanków. Zdarza się czasami, a może nawet częściej niż czasami, ale w jej przypadku problem polegał na drobiazgu: nie miała kogo zdradzać, ponieważ była panną, co w mieście może jeszcze jakoś ujść płazem, ale nie w Warszawie.

W tym obrzydliwym pod każdym względem mieście (mam na myśli tak zwaną mentalność ludzi, a nie architekturę) posiadanie trzech kochanków uchodzi za przeciwność. Z wyjątkami.

Na przykład mój serdeczny przyjaciel, niestety, żonaty, ale żona to, niestety, zupełnie inna kategoria kobiety, strasznie ubolewa, iż On/Ona posiadają tylko po dwoje pseudopartnerów, ale to zupełnie inna bajka.

Moja bohaterka (ta od trzech kochanków) któregoś dnia tak zwanego zaniku umysłu (jeżeli naturalnie coś takiego posiadała) w „Gazecie Wyborczej” zamieściła płatne ogłoszenie, w którym podła, nie zważając na obowiązujące idiotyczne przepisy o ochronie tak zwanych danych osobowych, ich nazwiska, adresy oraz stan cywilny każdego z poszkodowanych.

I nic. Dostłownie. O dziwo, redakcja nie powołała się na zapis cenzury z 1957 roku (UPS/1237b.poz 456) i ogłoszenie wydrukowała.

W ciągu kilku najbliższych dni nie potrafiła odgonić się od natrętnych propozycji seksualnych. Nawet jej szef, którego od lat uważała nie za geja – to nieelegancko tak pisać – tylko za kochającego inaczej, zaproponował jej kolację. I to nie u niego w domu, tylko w jednej z najbardziej popularnych w Warszawie restauracji.

Drobiazg, iż od razu awansowała o trzy stopnie w hierarchii firmy, co wiązało się już teraz z niebotycznymi – jak dla niej – zarobkami, nie ma w tym przypadku żadnego znaczenia.

Najważniejszy w tym wszystkim jest fakt, iż od dnia, w którym zamieściła w „GW” sławne po dzisiaj ogłoszenie, przestała z dnia na dzień sypiać z kimkolwiek. Aż do dnia, kiedy poznała mnie. Ale to już zupełnie inna historia. Notabene bez ani jednego Żołnierza. Nawet wyklętego.

### 4.

Padają już przez kilka wieków. I to wszystko. Deszcz, ludzie, zwierzęta, a nawet myśli. Nawet te o wszystkim, czyli *de facto* nie wiadomo konkretnie, co o czym.

Najważniejsze jest, iż wcale nie zamierzało przestać padać. Gdyby żył sławny pan Wicherek, może – chociaż bardzo wątpliwe – sobie tylko znanymi sposobami mógłby tym opadom zapobiec. Ale zmarł, a francowate padanie nie zamierzało poprzestać. Nawet przybierało na sile i to w każdej postaci. Nawet tej najbardziej bezczelnej, czyli bezwietrznej.

Aż nagle, bez żadnego związku z czymkolwiek, nagle przestało padać. Ludzkość – jeżeli coś takiego wtedy istniało – zwariowała i pozostało to jej do dzisiaj, nawet pomimo wynalezienia durszlaka i Przełomu Dunajca.

W parku imienia Janka Krasickiego, szybko przemianowanego na nowego świętego, od lat na tej samej wyleniającej po granice wyobraźni (i nie tylko) ławce spotykało się dwoje starszych mężczyzn. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, może poza wiekiem i mieszkaniem w pobliskich tak zwanych blokach. Spotykali się od lat kilka minut po dziewiątej, wcale ze sobą nie rozmawiali, gdyż według nich od dnia Chrztu Polski wszystko było już jasne i ustalone. Po czas co najmniej ostateczny.

I nagle w mglisty, deszczowy poranek jeden z nich – ten bardziej pomarszczony, zresztą w każdym miejscu, wyciągnął przed siebie prawą, wykręconą od reumatyzmu dłoń i niespodziewanie zapytał:

– Po chuja to wszystko? – i rachityczną dłonią zakreślił daleko prowizoryczne koło.

W pierwszej chwili kolega z ławki nie rozumiał, o co tamtemu chodzi, więc by ratować tak zwany honor zapytał:

– Codziennie, kiedy rano przed wyjściem sznuruję buty, żona ostrzega mnie przed tobą. I to już pewnie z trzydzieści lat.

Przyjaciel nie wytrzymał i wypalił:

– Jak masz czelność to kwadratowe babsko w każdą z możliwych stron świata nazywać żoną. Do tego kościelną. Przecież, jeżeli pamięć mnie nie zawodzi, nawet przed urodzeniem należałeś do Partii. Najpierw do SDKPiL. Później BBWR, w czasie wojny do... lepiej nie wspominać, a po 1945 zapisałeś się, wiadomo, gdzie.

– Ale Partia nigdy oficjalnie nie zabraniała nam brać ślubów kościelnych. Takie wywalczyliśmy niepisane prawo, przynajmniej u nas na Śląsku.

– Cieszyńskim

– Jeden chuj.

Kolega z początku nie zrozumiał o co tamtemu chodziło. Bardziej spodziewał się wygranej w Lotto, chociaż nigdy nie wysłał żadnego kuponu, nawet pustego, niż tego rodzaju pytania.

– Co miałeś na myśli pytając, cytuję z pamięci: a po jasnego chuja to wszystko?

– Nie jesteś zbyt dokładny. Nie użyłem słowa: po jasnego.

– A w gruncie rzeczy co miałeś na myśli?

– Potop, ten biblijny.

Tego było już za wiele, rozstali się, nawet nie umawiając się na następny dzień, ani nie mówiąc obowiązkowego: do zobaczenia jutro.

Skończyło się to wszystko jak musiało. Umarli w przeciągu kilku dni, ale o dziwo nie pochowano ich razem. Jak stwierdziły żony na specjalnej naradzie zwołanej w pośpiechu, naturalnie w zakrystii, dzieliła ich znaczna różnica płci. Cokolwiek to znaczy. ■

(Z tomu *Ten most, nie ta balustrada*)

WIKTOR KUBICA

# KULT CARGO

W głośnym przed laty filmie *Mondo cane* znajduje się epizod, nakręcony gdzieś na wyspach Pacyfiku. Ukazuje tubylców, czuwających przy modelach samolotów na wykarzowanych w dżungli, wymaganych pasach startowych. Ci tubylcy to wyznawcy kultu cargo.

Ten rodzaj kultu powstał ponoć jeszcze w XIX wieku, a rozprzestrzenił się szerzej i stał się widoczny w latach II wojny światowej. Wziął się z obserwacji stacjonujących na wyspach żołnierzy amerykańskich, do których przylatywały samoloty z zaopatrzeniem. Przylatywały z nieba, więc w prymitywnej świadomości tubylców były przesyłkami od rozdającego wszelkie dobra Boga.

Samoloty mają kształt krzyża, krzyżem nawracali tubylców misjonarze, a krzyż jest przy tym jedną z najprostszyc figur geometrycznych. Równie prosta asocjacja sprawiła więc, że stał się symbolem kultu cargo.

Czy jest to sprzeczne z chrześcijaństwem? Znaczący temat, książkę Mieczysław Maliński, tak definiuje termin kultu w *Katechizmie*

*dla niewierzących:*

„(...) Kult jest to najwyższe uwielbienie składane Bogu przez człowieka lub społeczność. (...) Kult odnosi się tylko do Boga.

*Świętych czcimy. Ale ten akt jest tylko pośredni. Bo w gruncie*

*rzeczy w nich wielbimy Boga. Świętych czcimy ze względu na Boga.*

Za ich stosunek do Boga, za ich miłość ku Niemu, na ich

służbę ludziom z miłości ku Niemu.

Wobec tego, używając nawet *słowa »kult świętych«*, mamy na myśli: kult Boga”.

Istnieje więc pewnego rodzaju pośrednictwo, przy czym pośrednik jest wprawdzie ważny, ale nie należy z tą ważnością przesadzać.

Gwoli ścisłości, mowa jest tylko o świętych, czyli o osobach; nic natomiast nie ma w wywodzie X. Malińskiego o przedmiotach kultu – symbolach czy relikwiiach – a sprawa bynajmniej na błahą nie wygląda. Wystarczy przypomnieć, ile razy wybuchały historie

w związku z ukazaniem się wymagowanego wizerunku na szybie czy ramie okiennej. Wystarczy przypomnieć zwirowisko w Oświęcimiu, na którym pewien zasłużony hodowca serków stawiał krzyże w intencji co najmniej równie dziwacznej jak tubylcy z wysp Pacyfiku.

Także w działaniu tzw. „obrońców krzyża” spod pałacu prezydenckiego można się doszukać wielu analogii z jedną z najbardziej egzotycznych odmian kultu cargo. Odmiana ta powstała na wyspie New Hanover – dawnej kolonii australijskiej, wchodzącej obecnie w skład Papui – Nowej Gwinei. Otóż w 1964 roku, w pierwszych wyborach po uzyskaniu niepodległości, ludność opowiedziała się tam za... prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Ten wybór, acz rodem z *science fiction*, oznaczał *de facto* lokatę nadziei w osobę hojną, zdolną przysyłać z nieba wszelkie dobra. W ten sposób Lyndon B. Johnson stał się obiektem kultu i żałować tylko trzeba, że się na tym nie poznał. Pewnie z powodu licznych wówczas zajęć, związanych z hojnym obdarowywaniem Wietnamczyków.

Tutaj zaznacza się różnica między kultem, o którym pisze X. Maliński, a kultem cargo. Ten ostatni miesza elementy chrześcijaństwa z rodzimymi mitami, wierzeniami i obrzędami, a za czią dla przedmiotu czy osoby nie kryje się kult Boga, lecz konkretne wyobrażenie, które badacze określają jako „kanon cargo”. Kanon ów, wspólny dla wszystkich odłamów i odcieni kultu, oznacza atawistyczną tęsknotę za lepszym życiem w świecie powszechnego dostatku. Idzie więc o raj, który jednak nie ten Bóg ma zapewnić, co powinien i dlatego kult cargo należy uznać za bałwochwalcy.

Mimo to niektórzy wciąż wypatrują samolotów. Na wyrąbanych w dżungli ścieżkach i w samym sercu europejskiego miasta. Jeżeli odrzucić znamiona zewnętrzne, nic ich nie różni. Pcha ich ten sam zapal do stawiania pomników kultu cargo i ten sam imperatyw kupienia się wokół. Jak mawiali przodkowie, kupą mości panowie...

Byle nie na wycieraczki... ■

ANDRZEJ MENCWEL

# PRZED WOJNĄ\*

Po nagłej i niespodziewanej śmierci mojej mamy ojciec nie został sam na sam z bezrozumnym i bezwzględnym noworodkiem, gdyż miał dwie dojrzałe, prawie dorosłe córki, które się mną zajęły. Bez nich na pewno by sobie nie poradził, bo w tamtych czasach i rodzinach ojcowie nie byli od tego, żeby karmić, przewijać i usypiać niemowlaki, a mój w tej sprawności nie był żadnym wyjątkiem. Lękam się myśleć, co by ze mną było, gdyby nie starsze siostry, na żadną niańkę w warunkach wojennego wygnania nie było nas stać, a na zdjęciu, jakie zrobiono w pierwsze moje Boże Narodzenie, trzy i pół miesiąca po urodzeniu, zasępiiony ojciec trzyma mnie tak, jakby odsuwał od siebie i komuś oddawał, siostry zaś, choć straciły mamę, pogodnie się do mnie zwracają.

Fotografie zawsze mówią prawdę zarówno tym, co ukazują, jak i tym, co ukrywają. Jeśli nie od pradziejów, to od wieków pokolenia za pokoleniami u nas, w rodzinach rolniczych i rzemieślniczych, role życiowe były trwale wyciosane i wyraźnie rozdzielone, jak w hordzie pierwotnej, jeśli istniała ona kiedykolwiek, a nie była wymysłem uczonych, którzy lubili ewolucyjny porządek – zaczynamy od dzikości i przez barbarzyństwo, stopień po stopniu, dochodzimy do cywilizacji. Kobiety zawsze podsycaly ognisko domowe oraz rodziły i doglądały potomstwa, w czym skupiała się cała treść domu – mężczyznę trzymano właściwie za progiem tego domu, a pozwalano na jego przekroczenie, aby rodzinę posilił i kobietę zapłodnił. Jego zadaniem było iść na łowy lub po łup, w pole czy na pastwisko, do warsztatu lub sklepu i tam zdobywać to, co niezbędne

do życia. Właściwie przypominał basiora płądrującego swoje terytorium, aby dostarczyć świeże ścierwo karmiącej młode waderze.

Wokół i wewnątrz rodziny, w dziejach i pradziejach wiele się zmieniało – oracz czy zegarmistrz tylko anatomiczną sylwetką przypomina pierwotnego myśliwego lub rybaka, podobnie jak źródło ognia i zadaszenie łączy rolnicze i rzemieślnicze siedziby z grotami i siedliskami. Jedno wszelako pozostawało niezmiennie – kobieta była tu, przy ogniu i przy dzieciach, mężczyzna tam – poza domem, wnosząc na próg swoją zdobycz.

Dopiero w naszych czasach, w minionym stuleciu, wyraźniej po drugiej wojnie światowej, podczas której się urodziłem, stosunki te, częściowo z konieczności, częściowo z wyboru, zaczęły się wyraźnie zmieniać – kobiety wyruszyły w świat po zdobycz, mężczyźni zbliżyli się do rodzin i dzieci. Zmiany te obnażyły nie tyle dawne przywileje mężczyzn, co ich dziedziczne niedołęstwo – nie umieją pojąć kobiet i przyswajają dzieci. Mojego ojca zmiany te raziły piorunem nagłej śmierci żony i narodzin syna, a pewnie by się z tego nie podniósł i oddał mnie babci, gdyby nie oparcie w córkach, zatem kobietach.

Nie wiemy ile potrzeba czasu, aby zrównoważyć nierównowagę utrwaloną przez sto pokoleń – czy tych pokoleń musi minąć dziesięć, może wystarczą trzy? Tym bardziej wtedy, kiedy nie chodzi o kategorie intelektualne, bo te można zmienić na paru seminariach, lecz o stosunki uczuciowe i odruchy zmysłowe. Mnie osobiście cała epoka dzieli od wzoru życia moich rodziców, a zwłaszcza dziadków, którzy w obu liniach byli wieśniakami, choć ojciec ojca był rzemieślnikiem, wiejskim partaczem, jak już wspominałem, a nie rolnikiem.

\* Fragment większej całości, której ukończenie nie daje się przewidzieć.

Jedno wszelako jest pewne – ostatnią czynnością, jakiej można ode mnie oczekiwać, jest niańczenie niemowlaków. Mam do nich zmysłowo taki sam stosunek, jak wszyscy moi mężczyźni przodkowie – trzymać się z dala od tego niewydarzonego kłębaka materii, troszczyć się o dom w miarę sił i możliwości. Dzieci interesują mnie bliżej dopiero wtedy, gdy nadają się do kształcenia, i pewnie dlatego zostałem nauczycielem akademickim, nie elementarnym, jak moje siostry, co przecież jest ważniejsze.

Siostry te, gdy się urodziłem, miały odpowiednio siedemnaście i szesnaście lat, i były zapewne nad wiek dojrzałe, bo wymuszała to sytuacja rodzinna i wojenna, ale to nie znaczy, że nagła śmierć matki i moje przybycie ich nie zmieniły. Choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy, bo w takich odwiecznie zapracowanych rodzinach na uczuciach można polegać, ale się o nich nie mówi, jestem przekonany, że mamę kochały bardziej niż ojca i dzięki temu dostałem od nich więcej miłości niż ta, która zwykle przypada młodszemu bratu.

Wszystko w ich życiu mogło potoczyć się inaczej, gdyby nie ten fatalny zbieg okoliczności historycznych i osobistych – wygnanie z rodzimego matecznika, rujnujące byt materialny rodziny i jej sytuację społeczną, na dodatek przedwczesna śmierć matki, która podcięła istnienie rodziny. Siostry zapewne skończyłyby gimnazjum, bo uczyły się dobrze, zdały chlubnie tak zwaną wówczas małą maturę i może nawet liceum lub seminarium nauczycielskie, aby potwierdzić swój awans edukacyjny i społeczny.

Ów awans wbiłby rodziców, zwłaszcza ojca, który właściwie był samoukiem, w dumę, okazywaną sąsiedom i znajomym, podczas sobotnich wieczorów knajpianych i niedzielnych nabożeństw porannych. Widzę ich okiem wewnętrznym, jak poważnie, może nawet dostojnie, a na pewno godnie kroczą po sumie główną ulicą miasta, nazwaną imieniem Paderewskiego, bo to on, a nie Piłsudski był patronem wielkopolskiej niepodległości, co w Rawiczu, tuż przy granicy, należało upamiętniać, idą sami, gdyż córki pojechały do szkół, w ich wyobrażeniu wyższych i to, że idą sami jest właśnie racją ich dumy, mama wdzięcznie skłania głowę oddając ukłony, ojciec statecznie uchyla kapelusza, a chwilami nawet, gdy spotyka towarzyszy broni i pracy, zamasyście go zdejmując, jakby chciał im powiedzieć:

– *Wystawcie sobie, że one obie są na szkołach!*

Zdaje się, że w całej tej wielkiej rodzinie, po stronie ojca i po stronie matki liczącej wówczas kilkadziesiąt, jeśli nie setkę osób, oni pierwsi zapewnili dzieciom to półśrednie wykształcenie, nie pamiętam, żeby kiedykolwiek o którymś z wujów lub starszych kuzynów, ciotki i kuzynki należały wtedy naprawdę do oświatowej rezerwy, mówiono, że „ma maturę”, choćby i małą. Ten zwrot, nobilitujący jeszcze po wojnie, do nich się nie odnosił, oni się wysferzyli, czyli awansowali, jak tylko mogli, szli do miasta i nosili się jak miastowi, w trzewikach i marynarkach, a nie w jakach i kamaszach, ale w ich zasięgu było to, co robiło się rękami i nogami: rzeźnictwo, murarka, krawiectwo, szewstwo, jeden nawet wybił się na tomistrza, praca na kolei to była prawie nobilitacja.

Pomijając na razie trudności duchowe, czyli idealne, do których zaraz wrócimy, przypomnieć muszę, że kształcenie takie, na poziomie średnim było w ówczesnej Polsce dość kosztowne, ojciec musiał uszyć

dwa garnitury, żeby opłacić jeden gimnazjalny semestr jednej z córek. Za całe czteroletnie gimnazjum było to osiem semestrów pomnożonych przez dwa, czyli, za jedną córkę szesnaście garniturów, łącznie za obie trzydzieści dwa, czyli krawiectwo prawie masowe. A były to nierzadko garnitury dwurzędowe, obowiązkowo trzyczęściowe, czyli z kamizelkami, spodnie zaś koniecznie z mankietami. Guzików w takim garniturze było około dwudziestu, dziurek użytkowych i ozdobnych odpowiednio więcej, a wszystkie je własnoręcznie przyszywała i obszywała moja mama, która opuszczał palców od tych obszyć miała stwardniałe jak kościane napastrki, więc kiedy w niedzielne popołudnie rodzice paradowaliby główną ulicą miasteczka, przy której mieli warsztat i sklep, to naprawdę mogliby się szczylić, że za cenę tych wyrobionych kilkudziesięciu garniturów i przyszytych setek guzików oraz obszytych dziurek, jako pierwsi w wielkiej naszej wówczas rodzinie, zapewnili swoim dzieciom zdobycie małej matury.

I tutaj moje imaginacje edukacyjne i historyczne natrafiają na pewną przeszkodę, która nawet tak rzeczowym i materialnym słowem nie może być nazwana, gdyż jest idealna, czyli mentalna, a przejściowo tylko została powyżej pominięta. Dlaczego mianowicie, zapytuję sam siebie, przed wojną, oddaloną w czasie lub najchętniej całkiem wykluczoną, w tej historii możliwej, choć nieprawdopodobnej, jaką tu kreślę, z ustaloną i pomyślną zasadniczo sytuacją życiową rodziców, ojciec prowadził renomowany zakład krawiecki oraz rozwojowe przedstawicielstwo bielskiej wełny, ówczesnej perły tkanin ubraniowych, nie mogę sobie wyobrazić, że moje siostry po wielkiej, a nie tylko małej maturze idą studiować na uniwersytecie poznańskim, na przykład historię u Kazimierza Tymienieckiego, albo socjologię u Floriana Znanieckiego? I Gertruda bada protestancką lokację rodzinnego miasta, zaś Letosława pisze pracę magisterską pod tytułem: *Rawicz w świadomości swoich mieszkańców*.

Specjalnie w tych wymarzonych dziełkach naukowych moich siostr zatrzymuję je w rodzinnym powiecie, do czego zapewne i obaj mistrzowie by je skłaniali, aby nie odlecieć zbyt daleko w tych imaginacjach, wysyłając je do Wernera Sombarta w Breslau, zaledwie sześćdziesiąt kilometrów, Henri Pirenne'a w Gandawie, jakieś sześćset, czy Bronisława Malinowskiego w Londynie, około tysiąca, i pozostać przy niepokojącym pytaniu: dlaczego najdalszy, a raczej najwyższy horyzont ich możliwości edukacyjnych wyznaczało wówczas seminarium nauczycielskie? Chociaż to, które od czasów pruskich istniało w Rawiczu, było tylko męskie, a zamknięte je akurat w 1935 roku, jakby moim siostrą przed nosem.

Czy kształcąc córki w gimnazjum i doprowadzając je do małej matury rodzice już osiągnęli granicę swoich materialnych możliwości? Gdyby przyszło im kształcić je dalej czy nie, zakłuli by się sami krawieckimi igłami przy koniecznym szyciu tych setek garniturów i kostiumów? Może wydawało im się, że mała, a najwyżej duża matura, to już szczyt możliwości edukacyjnych, zatem i umysłowych, osiągalnych wówczas dla młodej kobiety z ich środowiska? I obawiali się też, że jeśli córki szczyt ten przewyższą, wówczas spojrzą złym okiem na swoich małomiejskich rodziców, zaczną się ich wstydzić, a może się wyprą? Czy bali się wielkiego miasta, jakim,

zwłaszcza matce, która po ślubie dopiero co wyszła ze wsi, mógł im się przedstawiać Poznań ówczesny i lękali się postać tam dziewczęta ledwie dojrzałe? Które mogłyby, na przykład, zakręcić się koło kabaretu *Tin-gel-Tangel*, manifestować przeciw reformie szkolnej, albo, co najgorsze, znaleźć się pod wpływem „kultur-bolszewizmu”, zwalczanego przez Akcję Katolicką, do której należały? Wszystko to po części, lub przynajmniej po trosze, bo przecież proporcji tych obaw i lęków w mentalnych alembikach naszych małomieszczańskich rodziców, nikt już nigdy sprawiedliwie nie wydzielił i nie wyważył.

Podejrzewam jednak, że od takich i innych, ponieważ zewnętrznych strachów materialnych, socjalnych i kulturalnych, w takim ich zmieszaniu, jakie dostali przyrządzone, mocniejszy był lęk wewnętrzny, duchowy czy też psychiczny – uniwersytet bowiem odległy od ich życiowego doświadczenia, w odróżnieniu od parafii, magistratu lub komisariatu, wydawał im się niebotyczną fortyfikacją symboliczną, jakimś Kamelotem lub Olimpem. W nim skupiało się wszystko to, co mimo zaciętego, upornego przesuwania się po społecznej ścieżce – kura w rosole, miejsce w kościele, chór „Lira”, harcerstwo dziewcząt – jakiego nieprzerwanie dokonywali, pozostawało nie tylko niedostępne, lecz i ponieważ niewyobrażalne.

Ważono w tym zamczysku jakieś strawy intelektualne, nie używali zresztą tak wyszukanego przymiotnika na ich określenie, miały one wartość nieomal religijną, nie przekładały się jednak na cokolwiek uchwytne w ich doczesnym życiu, a nie mogąc być wewnętrznie uobecnione pozostawały prawdziwie abstrakcyjne. Kościół ze swoją powszechnością, rytuałem i przesłaniem był immanentny ich doświadczeniu i wygrzewali się, można powiedzieć, w jego promieniach – jak nie na mszy, to na niesporach, albo na majowym. Uniwersytet dla nich ekskluzywny i ezoteryczny był wobec tego doświadczenia transcendentny, odpychał ich domniemanym hieratycznym zimnem i odsuwał się od niego usilnie, przemilczając, a właściwie pomijając jego istnienie.

Wiele lat później, to znaczy parę minionych pokoleń, to ja, ich syn zadamowiłem się w nim do tego stopnia, że w obcym mieście czy świecie odnajdywałem się zawsze jak u siebie, w uczelnianej czytelni lub kafeterii. Gdyby tego dożyli, pewnie by nie pytali, co ja tam rzeczywiście robię, a ja nie próbowałbym im tego wyjaśnić z góry uznając takie próby za bezowocne. W odwiecznym doświadczeniu moich przodków i moich bliskich robota fizyczna była codziennie i cieleśnie, mięśniowo i kostnie, niechybnie i dogonnie, jedynym sposobem utrzymania się przy życiu, pracą umysłową czyli frazesami, nawykowo uznając ją za przywilej lub rozrywkę przynależne sytym i bogatym – krzyżówkę czy rebus rozwiązywane dla zabicia czasu, jeśli się trafi zbędny.

Wszyscy w mojej rodzinie, choć od tamtego przedwojnia minęły nie lata, lecz epoki, byli instynktownie zgodni w tym, że można mnie raptownie odwołać do jakiejś pracy prawdziwej czyli fizycznej, skoro siedzę właściwie beczynnie, grzebiąc się w papierach albo czytając książki. W głębi serca i ja tak odczuwam, bo z nieustannych zwałpień ducha wydobywam się tylko wtedy, kiedy rzecz jakąś zrobię własnoręcznie: wypielę grządkę, przyszyję guzik lub wygładzę kawałek drewna.

Jedynym dostępnym moim rodzicom ucieleśnieniem egzotycznych wartości uniwersytetu byli tacy jego przedstawiciele, jakich można było spotkać w parafii i w mieście: doktor, mecenas, rejent. Reprezentowali oni jednak głównie kosztowne pieniądze usługi, a nosili się wtedy przeważnie tak, żeby mieli mieszczenie odczuwali wobec nich autentyczną obcość – to była „sfera towarzyska”, a sfery towarzyskie w tamtej Polsce istniały na sposób sfer niebieskich: widywało się je, ale ich nie dosięgało.

Wszystko to razem jeśli nie było groźne, to obce i trzymało w społecznych ryzach nawet prezesa powiatowego koła powstańców wielkopolskich, na którego wybrano krawca Antoniego Mencwela. Kiedyś przyznał mi się, że jako prezesa zaszczytali go podaniem ręki oficerowie, przeważnie ziemiańskiego pochodzenia, i wtedy pomyślałem sobie, że skręca mnie od takich zaszczytów i nie chcę żyć w kraju, w którym spotykają one człowieka pracy. Mój ojciec, będąc świadomym obywatelem miejskim, pozostawał poddany feudalnym zależnościom obyczajowym, a żyjąc w państwie formalnie demokratycznym był uciskany przez społeczny system stanowy. Poszczęściło mi się niewątpliwie, że nie musiałem wrywać się z takich zależności i rozwać tamtego ucisku, co w rodzinnym przed wojną mieście zapewniłoby mi raczej miejsce w sławetnym więzieniu niż w „sferze towarzyskiej”.

I pomyśleć, że plebej z powiatu, w którym urodził się mój ojciec, czyli Andrzej z Buku, najpierw student Uniwersytetu Krakowskiego, potem bakałarz dwóch fakultetów, był w latach 1423-1436 dziekanem wydziału *artium* i rektorem całej uczelni. Podobnie jak małomieszczanin Andrzej Ruczel z Kościana, czyli z powiatu mojej mamy, również profesor wydziału *artium* tegoż uniwersytetu (w latach 1449-1460) i uznany komentator Arystotelesa. Dla nich uniwersytet nie był podniebną fortyfikacją symboliczną, lecz domem własnym, podobnie jak dla wielu innych plebejuszy oznaczonych tylko imionami i miejscami pochodzenia, którzy w piętnastym wieku nauczali sztuk wyzwolonych, prawa i teologii, współtworzyli język naukowy, popularyzowali klasyków, rozprawiali o reformie Kościoła (sławny Jakub z Paradyża, co pochodził z chłopów), chwalili pracę i ganili próżniactwo, jak profesor medycyny i orator Jan z Ludziska (chłop kujawski), a przypominam tylko tych, którzy działali w wieku piętnastym i byli krajanami. Co się więc takiego w tej Polsce działo przez następne stulecia, że, jak podają leksykony biograficzne, pierwszym górą, który zdobył wyższe wykształcenie i to dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku, był słynny potem zakopiański lekarz i społecznik Andrzej Chramiec (1859-1939).

Trapię się przeto kwestią taką oto: czy w dostępie do wyższych studiów panowała w Polsce podobna do apartheidu, segregacja społeczna? Jeśli segregacja ta realnie trwała ponad czterysta lat, to jak długo po jej zniesieniu ćmić nas mogą jej mentalne opary? Zapewne mroczyły one moich rodziców w latach trzydziestych zeszłego wieku, kiedy troskali się o przyszłość swoich dorastających córek nie pojmując, że zamknięto je w getcie edukacyjnym i to właśnie wtedy, kiedy na uniwersytetach nikczemnie wprowadzano getto ławkowe. A nie mówili nam przecież, że zostaliśmy stumanieni.

JAN PIESZCZACHOWICZ

# WOKÓŁ JANA BŁOŃSKIEGO

Kiedy skończyłem 80 lat, wzmogła się fala wspomnień o ludziach, z którymi się zetknąłem, współpracowałem, przyjaźniłem. Należał do nich głośny w swoim czasie krytyk prof. Jan Błoński, dzięki któremu zadebiutowałem, o czym za chwilę. Błońskiego znałem, zanim go naprawdę poznałem. W rodzinnym Sandomierzu po okresach, kiedy chciałem zostać lotnikiem, ogrodnikiem i dyplomata, doszedłem do wniosku, że tak naprawdę chciałbym być krytykiem literackim. Czytywałem pilnie czasopisma literacko-kulturalne, w których nie mogłem przeoczyć tekstów Błońskiego. Podobały mi się, bo były dobrze i z werwą napisane, kompetentne (wtedy to bardziej przeczuwałem, niż rozumiałem) i pełne erudycji, czego mu szczerze zazdrościłem. Błoński wydawał mi się – i tak już pozostało – jednym z niedościgłych ideałów, obok oczywiście Kazimierza Wyki, który był mistrzem i dla niego i dla mnie. Kiedy więc znalazłem się na krakowskiej polonistyce uniwersyteckiej w 1958 roku, chciałem głośnego krytyka poznać osobiście, ale jakoś się rozmijaliśmy. Zresztą on był już kimś, a ja dopiero marzyłem, żeby coś i gdzieś wydrukować.

Najwidoczniej Błoński tkwił w moich myślach, bo kiedy redakcja „Współczesności” ogłosiła ogólnopolski konkurs na debiut krytycznoliteracki, postanowiłem zmierzyć się z jego głośną wówczas *Zmianą warty*, wydaną w 1961 r. i żywo komentowaną. Cóż może zrobić debiutant w tej sytuacji? Zaatakowałem to, o czym się mówiło w kawiarniach literackich – otrzymałem drugą nagrodę w rzeczonym konkursie (pierwszą dostała

pewna polonistka, a tak naprawdę mój nieco starszy kolega z sandomierskiego liceum Tomek Burek, który po jakimś czasie do autorstwa się przyznał i nagrodzony tekst przedrukował w kolejnym zbiorze).

Ja nie byłem swoim szczególnie zachwycony i rozmyślałem nawet, czy nie przesadziłem z krytycznymi uwagami pod adresem mojego idola. No i pewnego razu mgr Błoński spotkał się przypadkowo w gabinecie prof. Wyki z dobiegającym do końca studiów przybyszem z Sandomierza. Spojrzał na mnie nieco kpiąco, zaśmiał się tym swoim charakterystycznym, krótkim i nerwowym śmiechem, do którego trzeba było się przyzwyczaić, żeby zrozumieć, iż był to wyraz jego emocji, dystansu i autodystansu oraz wrodzonego poczucia humoru, a nie jakiejś szczególnej złośliwości.

Wpadłem w zdumienie; lepiej go znający Wyka śmiał się, a ja sobie zapamiętałem, że przekonania i sądy trzeba artykułować otwarcie i bez osłonek. Bo Błoński, człowiek i pisarz nadzwyczaj kulturalny, jeśli już atakował, to na całego, wywołując nie jedną twórczą dyskusję, w której energicznie bronił swoich racji. Tak też było w przypadku *Zmiana warty* (jedno z wielu sformułowań Błońskiego, które weszło do powszechnego użytku). Ten opis zarówno pewnych osiągnięć, jak i artystycznej nędzy popaździernikowej debiutantów w dziedzinie głównie prozy początkowo mnie zmylił. Miałem autorowi za złe, że z dystansem, ale zarazem serio zajmuje się czwartorzędnymi autorami, o których dziś dawno słuch zaginęła, bo i po co?

Wkrótce zrozumiałem, że to coś więcej niż „streszczenia” podrzędnych na ogół utworów, że to oskarżenie polskiej kultury i twórczości o miątkość myślową i artystyczną, o żenujący prowincjonalizm i „mały realizm”, a przez pryzmat opisywanych przez Błońskiego książek młodych pisarzy widać ówczesną, nie nazbyt radosną rzeczywistość „naszej małej stabilizacji”. Nie był to niestety stan przejściowy i Błoński dobrze o tym wiedział, gdyż książkę tę w towarzystwie innych tekstów powtórzył w *Odmarszu* (1978). Bo odmarsz od szerszych ambicji na miarę europejską trwał, a ktoś to mógł dostrzec jaśniej niż krytyk, który słusznie się chwalił, że całego Prousta przeczytał po francusku, bo język ten znał doskonale z tradycji rodzinnej, gdzie, bywało, rozmawiano się w nim na co dzień. Głównie poprzez Francję (choć znał też inne języki) kontaktował się z literaturą europejską czy światową, pośredniczył aktywnie w przeszczepianiu jej osiągnięć na grunt polski. Robił to z wyczuciem, umiejętnie, Bo Błoński miał jak gdyby dwie splecione z sobą osobowości: rzeczowego, niemal chłodnego w eksplicacji i wyważaniu racji analityka oraz krytyka reagującego emocjonalnie, po prostu kochającego „przedmiot opisu”. Klasycznym, rzadko spotykanym przykładem (tak kiedyś pisywali *con amore* romantycy, później moderniści) była niewielka książka *Widzieć jasno w zachwyceniu*, esej o twórczości Marcela Prousta widzianego przez pryzmat intelektu i emocji Błońskiego. To najbardziej osobisty tekst jaki napisał, wydany w 1965, wznowiony w roku 1985.

Interesowała go nie tylko modernistyczna klasyka. Wraz z Markiem Kędzierskim napisał do serii „Klasyki literatury XX wieku” szkic o Samuelu Beckettcie. Z kolei w serii „Wielcy pisarze w oczach krytyki światowej” w jego wyborze i przedmową ukazał się *Proust w oczach krytyki światowej* – kolejny hołd dla tego pisarza. Udostępniał dorobek francuskiej krytyki literackiej m. in. w wyborze tekstów Rolanda Barthes’a *Mit i znak*, Georges’a Pouleta, Gastona Bachelarda. Tłumaczył sztuki E. Ionesco, A. Artauda, J. Geneta, bo interesował się nurtem egzystencjalno-groteskowym, w Polsce – Witkacym, Gombrowiczem, Mrożkiem.

Lubił paradoksy, nie znosił zasiedziały form ani sądów zastałych, szukał pierwiastków intelektualnego ożywienia wszędzie, gdzie dostrzegał oryginalny i niepozbawiony dystansu stosunek do świata i człowieka. Dlatego w jego rozważaniach nierazko śmieszne, labilne (ulubione słowo Błońskiego) sąsiaduje z poważnym, dramatycznym, paradoksalnie ze stabilnym, elementy klasyczne poddawane są czemuś, co w tytule jednego ze swoich esejów nazwał „romansem z tekstem”. Powiadał: tekst nie czytany, nie kochany (lub nie drażniący!) przestaje się mienić znaczeniami. Traci smak, blask, głębię, przestaje opalizować i wieloznaczyć. Zapewne przenikliwość nie zawsze idzie w parze z dobrymi uczuciami. Z goryczy i nienawiści powstawały także (choć rzadziej) znakomite książki krytyczne. Ale ta nienawiść była jeszcze zawiedziona miłością...

Nie darmo spotykamy tu słowo „smak”, oczywiście – dobry smak, może podobny do tego z głośnego wiersza Zbigniewa Herberta. I rację ma Jerzy Jarzębski, który napisał: „Bo życie, tak jak literatura, było dla Błońskiego przedsięwzięciem naprawdę serio, należa-

ło przeżyć je godziwie – niezależnie od wszelkich przeciwności losu i od politycznej sytuacji”. Był przywiązany do wartości katolickich, ale także innych, godnych szacunku. Bywał w pewnych sprawach pryncypialny, ale i tolerancyjny, jak intelektualiście europejskiego pokroju przystało. Krytyczny wobec pewnych właściwości polskiej historii i tradycji, swobodnie poruszający się po duchowej i literackiej Europie, chciał jednak żyć i pisać „tu i teraz”, szukał więc takich dokonań, jak twórczość Gombrowicza czy Miłosza, by włączyć polską kulturę w nurt szerokiego świata.

Był człowiekiem odważnym w sprawach publicznych. Najgłośniejszym tego przykładem stał się artykuł opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” *Biedni Polacy patrzą na getto* – o polskim antysemityzmie, który to artykuł sprowadził na jego głowę wściekłe ataki i obelgi „jedynie słusznych” polskich patriotów. Artykuł, a także wyrosła na jego podstawie książka pod tym samym tytułem, to kamień milowy w powojennej polskiej świadomości.

Na koniec zostawiłem fundamentalne dzieło naukowe, które – pisane jako praca doktorska – przyniosło mu habilitację: studium *Mikołaj Sęp Szarzyński a początek polskiego baroku* (1967). Z imponującą erudycją i precyzją wpisał wybitnego i ciągle zbyt mało znanego polskiego poetę w kontekst europejski. Zaskoczył tym wielu przekonanych, że pozostanie już na zawsze przy literaturze współczesnej. Zarysowała się więc znamienna dwubiegunowość jego twórczości: od felietonu literackiego po solidną rozprawę naukową, w której widać wszakże rękę bystrego krytyka.

Początkowo pracował jako dziennikarz w krakowskim „Przekroju” (1950-1960), prowadząc dział literacki. Był pracownikiem Instytutu Badań Literackich PAN, lektorem na paryskiej Sorbonie, wykładowcą uniwersytetu w Clermont-Ferrand, dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej i prorektorem UJ. Przez 20 lat pełnił funkcję kierownika literackiego Starego Teatru w okresie jego największego rozkwitu. Redagował serie wydawnicze Biblioteki Narodowej i Biblioteki Polskiej, był współtwórcą i redaktorem naczelnym czasopisma „Teksty”, pod jego patronatem ukazały się pisma Witolda Gombrowicza w Wydawnictwie Literackim itd.

Znaliśmy się przez wiele lat, choć nie należałem do najbliższego kręgu jego przyjaciół, bo spotykaliśmy się nieregularnie, odbyłem z Błońskim wiele interesujących rozmów, m. in. wtedy, gdy zostałem redaktorem naczelnym miesięcznika „Pismo”. Janek zachęcał mnie – by tak rzec – do rozważnej odwagi i przestrzegał przed pułapkami; miał rację, gdyż w 1983 r., pod koniec stanu wojennego otrzymałem dymisję, a zespół, którym kierowałem, został rozproszony. Lubiłem z nim rozmawiać, choć nie zawsze był rozmówcą łatwym: potrafił wypalić bez osłonek sąd surowy, choć po bliższym przyjrzeniu się jakoś tam życzliwy, a już na pewno sprawiedliwy, przyzwoity i opierający się nie na doraźnym kontekście, lecz na przeświadczeniu etycznym.

Okrutna choroba od lat wyłączyła ten świetny umysł, wygaszała niezwykłą, błyskotliwą inteligencję, ale okazało się, że owo wyłączenie nie zatartło jego autorytetu. Stał się ważną ikoną polskiej humanistyki, zostawił wielu znakomitych uczniów. ■

ANDRZEJ LAM

# ZNANI I NIEZNANI POECI HELIONU

Koło Literacko-Artystyczne Helion, skupiające od 1921 roku studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego z ambicjami literackimi, stworzyło ośrodek, który miał obok „Zwrotnicy” Peipera trwale wpłynąć na rozwijającą się w Krakowie lat dwudziestych i trzydziestych literaturę niż wcześniejsze inicjatywy futurystów – tamte donioślejsze może jako fakt kulturowy, ale o płytszym oddziaływaniu społecznym. Na spotkania autorskie, odczyty i dyskusje w sali kopernikańskiej Collegium Novum przychodziły tłumy krakowian, także profesorowie, a wykładów profesorskich słuchali nie tylko studenci. Kuratora Stanisława Windakiewicza nazywano pieśczośliwie „Windasiem”. Wielu helionistów publikowało wiersze w „Głosie Narodu”, dzienniku zbliżonym do krakowskiej Kurii, a w dziale literackim otwartym na wartościową pozycję spod różnych znaków.

Pochodząc z wielu środowisk, wnosili do poezji nową wrażliwość, przełamaną w pryzmacie doświadczenia pokoleniowego, jakim była dla nich wojna. Do Legionów wstąpił Janusz Junosza Stępowski, w wojnie polsko-bolszewickiej uczestniczyli Jerzy Braun i Józef Gałuszka. Jak obłok legendy unosił się nad nimi cień Romana Eminowicza, założyciela zaraz po wojnie grupy poetyckiej „Sympozjon”, czerpiący inspirację z ekspresjonistycznego „Zdroju”. Już wtedy zarysowały się przyszłe opcje Helionu: dionizyjskie wloty ducha, który po zagubieniu moralnej busoli ma się odrodzić przez związek z teraźniejszością, także z jej nowoczesnymi przejawami, budzącymi na przemian grozę, podziw i nadzieję. Radykalna awangarda, formiści, futuryści i „Zwrotnica”, budowała na surowym korzeniu, nurty ekspresjonizujące przyjmowały za patronów wielkich wizjonerów przeszłości. Opisał je po latach Stanisław Kasztelowicz w książce *Tragiccy doby bez kształtu*. W pokoleniu wojennym zabarwiły się głębokim, dalekim od pustego frazesu patriotyzmem. Uroczyste zebranie poświęcone pamięci Eminowicza, który w dwudziestym roku życia zmarł w listopadzie 1920 z ran odniesionych na Wołyniu, odbyło się staraniem Akademickiego Koła Artystyczno-Literackiego w sali Kasyna Wojskowego. Jego utwory recytował Tadeusz Białkowski, uczestniczyli współtwórcy „Sympozjonu” Jerzy Braun i Józef Gałuszka, romanisci Mieczysław Brahmaer i Stefan Essmanowski.

Wśród poetyckich inicjatyw „pokolenia niepodległości” znalazł się też utworzony przez braci Przybosiów w czerwcu 1921 akademicki klub Dionizy (nazwa świadczyła o włączeniu się w nurt dionizyjski) z almanachem „Hiperbola”<sup>1</sup>. Dołączył do nich Juliusz Feldhorn, zarazem

członek Helionu. Julian Przyboś rwał się do boju o polski Lwów, a potem do wojny z bolszewikami, zachwycał się Leśmianem i pisał ekstatyczne, idące w poprzek istniejących poetyk wiersze. Potem wraz z Jalu Kurkiem przystał do „Zwrotnicy” Peipera i wreszcie obaj wraz z Janem Brzękowskim założyli własne czasopismo awangardowe „Linia”.

Formującą się po wojnie kulturę literacką ówczesnego Krakowa zasilali różne źródła. Józef Kallenbach, syn księgarza i wydawcy, urodził się w Kamieńcu Podolskim, Ignacy Chrzanowski w rodzinie ziemiańskiej na Mazowszu, Stanisław Windakiewicz, syn urzędnika pocztowego, w Drohobyczu. Różni pochodzeniem byli też helioniści, urodzeni w większości na przełomie wieku i trochę później, obok miejscowych przybywający na studia z bliższej lub dalszej okolicy – z czasem znani poeci, pisarze, dziennikarze, redaktorzy i nauczyciele: Jerzy Braun w Dąbrowie Tarnowskiej, najstarszy Józef Gałuszka, syn rzeźbiarza, w Szczurowej (powiat brzeski), Stanisław Kasztelowicz w Szebniach (koło Jasła), Adrian Czermiński, taternik, w Tetewczycach na Wołyniu, Adam Polewka, syn podmajstrzego murarskiego, w Półwsiu Zwierzynieckim. Z rodzin od niedawna mieszkających w Krakowie pochodzili Juliusz Feldhorn, z Tarnopola, doktor ze szkoły Windakiewicza, poeta, tłumacz, po studiach polonista w krakowskim gimnazjum hebrajskim, Mieczysław Agatstein (w Helionie, potem jako Jastrun) w Korolówce między Tarnopolem i Czerniowcami, Jalu Kurek, syn chłopa spod Tarnowa i matki z Naprawy. Z rodzin zasłużonych dla miasta – Janusz Junosza Stępowski, Jan Alfred Szczepański, syn pisarza i publicysty Ludwika, oraz Witold Zechenter, najmłodszy, przyjęty do Koła jako uczeń klasy maturalnej i już wtedy zatrudniony w „Głosie Narodu”. Krakowianinem był Jan Sztudynger, syn urzędnika, który zwieńczył studia wczesnym doktoratem. O zasłużonym dla Koła poecie, prozaiku i krytyku Jarosławie Janowskim (był w 1923 roku jego prezesem) napiszę osobno, bo wiadomo o nim najmniej, ale też z innego powodu.

Do helionistów mniej jako poeci znanych zaliczają się Roman Tuszowski, absolwent w 1922 roku liceum w Zamościu, potem autor romansu folwarcznego *Upały* i współautor *Szopki hrubieszowskiej*, tłumacz poezji francuskiej; poetka Maryla Krzetuska, z czasem spikerka krakowskiego radia; Jerzy Polański, urodzony w Mościcach na Wołyniu, absolwent zakopiańskiego gimnazjum, student medycyny, poeta i kompozytor, w dalszym życiu działacz społeczny i animator dziecięcego zespołu muzycznego w Skawinie; poeta Marian Sewi (Seeliger), autor wydanych pośmiertnie wierszy *Pieczenie* (ze wstępem Sztudyngera); Józef Łabuz, od 1926 członek KZMP; Helena Moskwianka, późniejsza autorka poezji dla dzieci i żona Ignacego Fika. Wojny nie przeżyli Gałuszka, który popełnił samobójstwo w pierwszych dniach

<sup>1</sup> Pozwolę sobie na dygresję: we wczesnym wierszu Przybosi *Dachy*, zamieszczonym w antologii *Manifesty i protesty* (1969), nie rozumiejąc frazy „kuczą dachy”, zapytałam o nią autora, i ten doradził, aby zamienić orzeczenie na „huczą”. Może nie pamiętał już, że „kuczą” to gwarowa forma „kucają” (uwaga R. Skrepta w *Pismach zebranych* Przybosi), powinna więc pozostać.



wojny 1939, i Józef Feldhorn, pojmany w Swoszowicach i rozstrzelany wraz z żoną przez Niemców (album pamiętkowy z bogatą dokumentacją fotograficzną poświęcił mu Aleksander B. Skotnicki).

Michał Dadlez, pierwszy prezes Koła, był w tym środowisku postacią meteorytową. Urodzony w Rawie Ruskiej w 1895 roku, wstąpił do Legionów, znalazł się w niewoli rosyjskiej 1914–1917, potem służył w II Korpusie Polskim na Wschodzie i pisał korespondencje z wojny polsko-bolszewickiej. Studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim przypięczętował doktoratem 1923, potem był czynny w szkolnictwie w Ciechanowie i w Warszawie. Trudno się domyślić, dlaczego właśnie jemu powierzono redakcję zamierzonego jako miesięcznik „Helionu”, którego jedyny zeszyt ukazał się z datą listopadową 1924. W osobnej nocie redakcja tłumaczyła się, że numer „wychodzi w pierwszych dniach grudnia (...), dlatego kilka artykułów dawniej nadesłanych i umieszczonych – musiało pozostać mimo nieaktualności”. Być może, chodziło też o usprawiedliwienie dość przypadkowej zawartości, bo zeszyt przypominał raczej pospiesznie sklecony almanach niż pismo programowe. Skład „komitetu redakcyjnego” był ni to spisem autorów, ni wykonawców: jako naczelny podpisał się Dadlez z lokalizacją w Ciechanowie i z tego miasta pochodzili jeszcze trzy osoby: Paweł Mazanek, autor okładowego lineorytu z promiennym wschodzącym słońcem, i Edward Stamm, matematyk i filozof, tamtejszy nauczyciel gimnazjalny, wraz żoną Heleną. Dopełniali listy Jerzy Braun, Józef Gałuszka, Jarosław Janowski (w nawiasie: Warszawa – czy jako kontakt środowiskowy?) i Mieczysław Jurgielewicz, warszawski malarz i grafik, autor wkładkowego suchorytu przedstawiającego trzy gracze w kąpiel. W zeszycie znalazły się też wiersze Stępowskiego i Agatsteina, a Janowski napisał większość kronikarskich not. Dadlez był autorem wstępnego *Słowa o Helionie*, napisanego napuszonym stylem, z którego spoza promieniście słonecznego wielostowia da się wydobyc takie określenia postawy helionistów, jak czynna reakcja na „neurastenizm powojenne”, ekonomia słowa i skróty treściowe, szybkość przepływu znaczeń i futuryzm – ale nie w znaczeniu kierunku artystycznego, lecz ogólnym, wychylenia w przyszłość. Tytuł pisma tłumaczył się cytatem z *Genezis* z *Ducha* Słowackiego: „Pozwól mi teraz, Helionie, że cię nazwę duchem słonecznym”.

Ostatnim prezesem Koła był Janusz Stępowski. Almanach Helionu z początku 1926 roku profesjonalnie zredagował Witold Zechenter. Po gorących dyskusjach Koło w odnowionym składzie o orientacji lewicowej (Braun, Łabuz, Moskwińska, Polewka, Sewi, Stępowski, Tuszowski, Zechenter) przybrało nazwę „Litart”. Już w lutym udało mu się powołać do życia dwutygodnik „Gazeta Literacka”, który zajął eksponowane miejsce w krakowskim pejzażu prasowym. Był to – nie całkiem spodziewany – sukces, ciąg dalszy, ale historia już inna.

Jarosław Janowski, urodzony 2 kwietnia 1903 w m. Stawiszczach (czy miasto koło Białej Cerkwi?), syn Włodzimierza i Kazimierzy z Mazarakich, uczył się w gimnazjum zakopiańskim, ochotnik w Wojsku Polskim 1920, po studiach romanistycznych i polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim karierę etatowego dziennikarza rozpoczął w „Głosie Narodu”. Poezję uprawiał rzadko i miał w tym, co drukował, nieoczywistą na pierwszy rzut oka intencję, aby pozawerbalnie dochodziło do gło-

su to, co uznał w danej sytuacji za ważne dla istnienia zbiorowego.

Jedyny jego tom poetycki, *Siejba tęczy*, dziś rzadkość, ukazał się w 1923 roku u Gebethnera i Wolffa. Zbudowany na kontrastach, skupiał cechy wszystkich objawionych wcześniej tendencji, ale żadnej nie pojmował doktrynalnie. Naczelną osnową jest tu kontrast między ostrymi akordami współczesności i ucieszeniem, obiektywizującą ekspresją i lirycznym wyznaniem. Regularna składnia i uporządkowany rytm występują obok swobodnej frazy i luźnych szeregów wyrazowych (i wyrazopodobnych), może pod wpływem Tytusa Czyżewskiego i Stanisława Młodożeńca, a w wenie słowotwórczej – Leśmiana. Harmonia muzyczna miesza się ze zgrzytliwym dysonansem, entuzjazm z niepokojem. Nawet jeżeli nierówny jakościowo, nie tyle eklektyczny, co eksperymentalny, tomik budzi sympatię szczerością podmiotu formującego wśród prób swoją poetycką osobowość. Przy bliższym wejrzaniu – intrygująca, z jakąś ukrytą tajemnicą.

Tytuł łączy gest siewcy ze słonecznym łukiem nadziei. Cykl pierwszy, *Świtanie*, zaczyna się daktyliczną onomatopieją: „prysły wraz z szczękiem szczekotem pojęciem bryzgi-odrugi, rozpryski i drzazgi”, by poprzez ogłoszoną „niebieskim hejnałem” kosmiczną katastrofę, zakończyć się wołaniem „tęsknego fletu pastuszego” o wielką ciszę. Przypomina ta skala Czechowicza. Ekstatyczną brutalizację: „radość uderza pięścią w smęt i szarość” potęguje paronomazja: „śmiej się wytryska trzaskiem miast”. Cykl *Krzyż w stokrociach*, wznosi się na koturnie modlitewnego patosu i przynosi jego rewidujące uwiecznienie w obrazie przydrożnego krzyża: „a nie jest to skrzydlaty znak / natchnień i potęg: / blacha – świecیدło i forma czcza – / promień księżycy – i przeżroczyście ćma – –”. Poemat cieszył się powodzeniem, był recytowany i powielany. W cyklu *My* uwydatniona została ironicznie rola poety jako ekscentryka rzucającego piłką na niewiadomy lot (takim porównaniem posłużył się wcześniej Rilke). Utrwalone ślady czcionek zachowują się niesfornie, stają się bezosobowe, by w końcu zastępnąć w bezruchu: „o, potworny najeździe szalejących czcionek! (...) zakłębłem was w martwość białych kart”. Po tym dynamicznym obrazie nieoczekiwane liryczne intermezzo przynosi cykl *Na płatkach jaśminu*. Wymagało odwagi awangardowego poety, aby zdobyć się na *Romantyczne wyznanie* z rokokowym sztafażem zachodu słońca w Tatrach: „duża – róża swych całunków / na śniegi wierzchów strąca” – a przecież wiersz sprawia wrażenie, jakby wzajemnie miały się ironizować niespójne poetyki. Metafora „różaniec zmierzchu” oznacza i statyczny nastrój, i stopniowe gęstnienie mroku. Zamyka tomik cykl *Z dnia powszedniego*; są tu „kanciaste strofy footballisty”, rozgrywanego „match” we własnym pokoju: „gorzała bramka rubinem pożądań” – ze zdaniem godnym Peipera, a potem przedśmiertny nastrój, bokserskie starcie tatrzańskiej przyrody: „O twarde pięści Tatr / zęby swe skruszył wiatr” i pochylenie się w ekspresjonistycznym geście nad ludzką niedolą: „nędzarza głos na widok chleba”.

Klasę intelektualną okazał w wydanej w 1926 roku u Gebethnera i Wolffa broszurze *Rewizja na Parnasie*. To ona pozostanie miarodajnym manifestem Helionu. Zaczyna się uwagą, że zainteresowanie poezją maleje i mniej słuchaczy zjawia się na wieczorach poetyckich. Otwarcie poezji Polski niepodległej były poezje Leśmiana z tomu *Łąka*, a dogmatyzm futurystów „wyrzuci-

liśmy za drzwi”. Posągowo rośnie Norwid z jego słynną dewizą o poecie jako organizatorze narodowej wyobraźni. Zauważmy: wyobraźni, a nie werbalnej apologii czynu. Żeby nie został utracony metaforyzujący styl i retoryka manifestu, niech mówi sam autor: „popielata włóczka codzienności barwi się tęczowo”; „tworzenie pięknych zdań – tylko tyle?” w czasie, kiedy powstaje „nadrealistyczna budowla sztuki” (to o *Nowych ustach* Peipera, który o surrealizmie wypowiadał się lekceważąco). Wobec ostrego rozgraniczenia przez Peipera poezji i prozy Jankowski ukazuje, jak zdobywcze poetyckie zagarniają mowę niewiązaną: „huczy z oddali ogromne morze prozy”: wersetowa budowa utworów Paula Claudela, zbliżenia przypominające najazdy kamery, u Prousta „technika kontemplacyjna” i „błyski świadomości”, ogólnie – „głód wrażeń pozazmysłowych, niespotykanych co dzień”. Sypią się nazwiska: Gide, Duhamel, Morand, Giradoux, Montherlant, Cocteau, Jabob, Radiguet, Romain, Orlan, Delteil, Durtain. W Polsce widzi podobne skłonności u Witkacego z jego doznaniem metafizycznymi i w misticznej Tadeusza Micińskiego, pamięta o zapisie wrażeń z norweskiego fiordu w ekspresjonistycznej prozie Przybyszewskiego *Nad morzem*. Przekonuje, że był to nurt całkowicie oryginalny, „suwerenny w obliczu źródeł”, most od Norwida do Leśmiana. Z perspektywy widać, że miał rację, wtedy nie było to oczywiste.

Na broszurę złożyły się dwa odczyty, tytułowy i *Apo-logia teatru*. Skrócone zostały cytaty z powieści francuskich, a rozszerzone uwagi o kinie. Kiedy Janowski pisał w 1932 roku dla „Gazety Literackiej” artykuł *Sztuka jako rzemiosło*, uznał go za uzupełnienie tamtego manifestu.

Snując paralele między teatrem, filmem i muzyką, powołuje się na francuskiego teoretyka Emila Vuillermozę, autora książki *Musique d'aujourd'hui*, i na mistrza montażu René Claira. Artykuł Irzykowskiego *Uroki naturalizmu*, opublikowany niedawno w „Przeglądzie Warszawskim”, opatruje uwagę: „między krańcowym naturalizmem a ‘programowym bezsens’ czy ‘czystą formą’ widzę szerokie obszary możliwości twórczych”. Potępia „pseudonarodowe”, ciekające się do pustych symboli wystawienia *Dziadów* i *Kordiana*, a przeciwstawia im „Redutę” i hasła wywoławcze brzmiące jak ze „Zwrotnicy”: sport, technika, miasto, ulica. W świetle tych uwag warto czytać zarówno jego wrażliwe na nowoczesną obyczajowość i narrację nowele z tomu *Dzień jak noc* (1934), jak rozproszone wypowiedzi o teatrze.

Znajomość literatury francuskiej pogłębił podczas studiów w École des Hautes Etudes Sociales w Paryżu (1927–1929). Swoją drugą pasję realizował w dziale sportów motorowych „Przeglądu Sportowego”. W 1934 roku redagował w Warszawie „Naokoło Świata”, samodzielny dodatek do „Tygodnika Ilustrowanego”<sup>2</sup>. Recenzje literackie, teatralne i filmowe zamieszczał w „Czasie” i „Kurierze Literacko-Naukowym”, współpracował z „Nową Książką”. Kiedy wybuchła wojna, ewakuował się na krótko do Lwowa. Wiersze z tego czasu ogłaszał potem w czasopiśmie. Po wojnie pomagał w Łodzi redagować „Tygodnik Demokratyczny”. We wrześniu 1945 ukazał się tu jego wiersz z 1942 roku *Okrutnym bogom*, w numerze majowym 1946 proza poetycka *Listy bez adresu*, skierowana do utraconej drogiej osoby – idei? – i datowana o rok wcześniej: „Grzmiały działa, a przecież nikt nie pada./

To salwy oznajmiające zwycięstwo (...) teraz, gdy wydo-stawszy się z piekła – nie widzę cię koło siebie”. Równoległe ukazał się w łódzkim „Głosie Robotniczym” wiersz *W cieniu skrzydeł*, o wszechobecności aeroplanów.

Potem znów mieszkał w Krakowie. Od roku 1947 związał się z „Echem Krakowa”, gdzie znalazły się jego wiersze dla dzieci, wśród nich wymowny *Kameleon*, który „drży, że maskarada zda się na nic”, poetycka retrospekcja *W roku 1943...*, fragment powieści *Karuzela* i recenzja *Małych ód i trenów* Pawła Hertz. „Życiu Literackiemu” powierzył w 1953 roku wiersz *O Polsce*, tak zatytułowaną teraz replikę wiersza-sztandaru, który zaraz po wojnie ukazał się w dwutygodniku „Wieś” z incipitem *Nie zmożła nas woda* i frazą końcową: „Nawet schwytani za gardło/ zdeptani siłą/ – – wiedzieliśmy: Tyś przystań”. Na stronie z winiętą „Życia Literackiego” widniał nad wierszem napis: Kraków – Stalinogród. Ostatnie publikację Janowskiego w „Echu Krakowa” to uwagi o studenckim zespole dramatycznym przy Uniwersytecie Jagiellońskim i wsparcie starań o powołanie muzeum teatralnego. Po roku 1955 zamilkł. Jego śmierć 21 października 1959 pozostała niezauważona<sup>3</sup>. Czy to znaczy, że umarł samotnie? Zechenter pisał o długotrwałej chorobie nerwów, trudnościach z gestykulacją i wymową.

Na przełomie lat 1943 i 1944 najazd niemieckich urzędników na Kraków osiągnął poziom szczytowy i wtedy rodzice przyjęli na przechowanie meble znajomych osób. Odbywały się w naszym domu różne konspiracyjne wizyty. Trafiła tu także wielotomowa biblioteka Janowskiego. Po ucieczce Niemców nikt się po nią nie zgłosił<sup>4</sup>. Może Janowski nie znalazł zatrudnienia w prasie krakowskiej (czy ze względu na dawne powiązania z prasą pravicową?), skoro przeniósł się do Łodzi. Po śmierci ojca w połowie kwietnia 1945 wzięli mnie i młodszego brata w opiekę ojcowie augustianie do swoich pomieszczeń klasztornych przy kościele świętej Katarzyny. Matka umarła z początkiem 1946 roku. Dom trzeba było opróżnić, książki trafiły do krakowskich antykwariatów, a zatem w dobre ręce. Mają pieczętki z imieniem i nazwiskiem właściciela i są łatwo rozpoznawalne.

Tę bibliotekę pamiętam, bo często wchodziłem na strych i oglądałem z przejęciem różne przedwojenne wydawnictwa literackie, w tym druki awangardowe, a wśród nich *Tram wpoposzek ulicy* Yeżego Yankowskiego i Jarosława Janowskiego *Siejbę tęcz*. Biblioteka ojca zatrzymała się na Młodej Polsce i był to dla mnie nowy świat młodzieńczych lektur. Szczególnie wrył mi się w pamięć inicjalny wiersz *Życ pełnią życia*, i nie zająłbym się może potem tak gruntownie fenomenem poezji awangardowej, gdyby nie rozbudzona tą strofą świadomość, że skoro nie wypadła już ścigać motylą pieszko, to czas żegnać się z epoką rodzinnego domu: na motocyklach gonić motyle – / niebieskie, szumiące motyle, / co skroń całują złotą pieśnią – / wsłuchać się w serc kowadlane bicie / i zagrać hymn: „wszak szczęścia tyle...”

## ANDRZEJ LAM

3 Datę podał Piotr Grzegorzczak w rubryce nekrologowej „Znaku” 1961 nr 4.

4 Ojciec napisał w styczniu 1945 wiersz *Na przełomie* i przesłał maszynopis redakcji „Dziennika Polskiego” z nadzieją, że trafi może w ręce Janowskiego. Jedna z sześciu zwrotek brzmiała: „Straszliwy huk, / jeden, drugi trzeci... / Dom w posadach drży / A więc to już! / Z serca spada głaz, / to kres cierpienia”. Całość znajduje się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej.

2 Informator Łoży *Czy wiesz kto to jest 1938* wymienia adres warszawski: ul. Piusa XI (Piękną) 5.

KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

# W O B J Ę C I A C H S E R I A L I

Na przełomie XX i XXI wieku wzmogły się w całym świecie rozmaite chorobowe symptomy medialnych uzależnień. Obok niestabnącej nigdzie, to znaczy: pod każdą szerokością geograficzną – nieznośnej, bo nachalnej politycznej propagandy każdej partii u władzy (na Wschodzie i na Zachodzie) – jaźń zwykłego, codziennego „zjadacza medialnego chleba” opanowały niekończące się „sezony serialowe”.

Wydawać by się mogło, że serial, czyli „wieloodcinkowy film” (taka była jego pierwsza gatunkowa definicja), początkowo królujący w telewizji poprzez swój „szeroki oddech” zapewni odbiorcy poczucie wolności, jakie zachwiać w nim zdołał niemal każdy polityczny reżim ze swoją podobnie zakłamaną propagandą troski o jednostkę, czyli o swojego wyborcę. Ale przełom tych dwóch ostatnich, a najbardziej w historii ludzkości skomercjalizowanych, wieków uświadomił wszystkim chyba dostatecznie a bardzo wyraziście, że serial to tylko obliczony na zysk ze sprzedaży »medialny towar«, który żonglując naszymi marzeniami, oczekiwaniami i nadziejami, potrafi nie tylko nas zmanipulować, ale i głęboko i trwale – uzależnić.

Rozwój seriali na świecie bowiem przypomina erupcję uszpiętego wulkanu, którego niszczycielskich możliwości ani nikt nie przewidział, ani nawet nie przeczuł. By sobie globalną skalę tego zjawiska uświadomić, wystarczy przywołać jedno chociażby zestawienie produkcji USA z ostatniej dekady. I tak: podczas gdy rok 2010 zamknął się tam liczbą 253 seriali, siedem

lat później było już ich w medialnym obiegu – nie tylko amerykańskim – ...487.

Podobny wzrost w postępie geometrycznym zanotowały seriale naszej rodzimej produkcji, zagnieżdżone głównie w ramówkach telewizyjnych wszystkich polskich nadawców. A przecież od pojawienia się pierwszego telewizyjnego „tasiemca” polskiej produkcji minęło w styczniu 2020 zaledwie lat... 55. Przypomnijmy zatem, że serial ten, wyprodukowany w roku 1964, a wyemitowany rok później – nazywał się *Barbara i Jan*, że wiodące partie tytułowych bohaterów kreowali Janina Traczykówna i Jan Kobuszewski, że – wreszcie – reżyserami tej siedmiodcinkowej serii o przygodach par »nieopierzonych« młodych, warszawskich dziennikarzy byli Jerzy Ziarnik i Hieronim Przybył.

Tyle liczb światowej statystyki, a na dodatek – szczypta polskiej prehistorii – zamiast „uczonego” wstępu.

Warto jednak z ustaleń światowych medioznawców skorzystać, dorzucając kilka historycznych, a szerzej nieznanych faktów istotnych dla rozwoju tego gatunku. Wtedy okaże się, że serialowi antenaci pochodzą nie tylko z Ameryki.

Wprawdzie za „ojca” serialu telewizyjnego uważa radio amerykańskie, ale już „matką” serialu kinowego jest na pewno Francja. Zaczęło się bowiem w Ameryce od serialu radiowego z roku 1925 *The Smith Family*, ale już lata trzydzieste zaowocowały „seryjnymi” francuskimi filmowymi przygodami fabularnymi „Nic a Cartera”,

przeniesionymi za Wielką Wodę dopiero po sukcesie paryskim.

Polskie paternalistyczne podobieństwo jest zadziwiające. Otóż polski film, pozostający długo na usługach telewizji »zapłodnił« najpierw gatunkowo również radio. Pierwszy radiowy polski serial *Dni powszechne państwa Kowalskich* narodził się bowiem za sprawą prozy Marii Kuncewiczowej już w roku 1938, a jej »potomkami« stały się noszące cechy »oper mydlanej« powieści radiowe, zrodzone po Październiku 1956, a do dziś obecne w radiowej ramówce – powieści rodzinne *Matysiakowie* i *W Jezioranach*. Ich pokrewieństwo ze zrealizowaną przez Jerzego Gruzę w następnej dekadzie (w roku 1965) *Wojną domową* (według scenariusza Miry Michałowskiej piszącej pod pseudonimem Maria Zientarowa) jest oczywiste.

Wyjaśnić od razu trzeba termin »opera mydlana«, którym to teoretycy mediów określają coraz częściej ciągle produkowany przez TVP 1 (od roku 1997) *Klan* zarówno ze względu na jego „wielowątkowość” i „olbrzymią liczbę sfabularyzowanych odrębnie odcinków” (do stycznia 2020 było ich 8596).

O *Klanie* jako »operze mydlanej« decyduje według uczonych w medialnym piśmie również narzucony mu przez scenarzystów „schemat literatury kobiecej” – tak charakterystyczny dla amerykańskiej klasyki tego gatunku, do którego zalicza się również i bardzo popularną w Polsce w latach 90. o 10 lat wcześniej wyprodukowaną *Dynastię* (z 220 odcinkami), i obecny na antenie od roku 2003 TVN-owski serial obyczajowy *Na Wspólnej* (dotychczas 3012 odcinków).

Przypomnijmy jeszcze, że pejoratywno-ironiczne gatunkowe określenie »opera mydlana« wylansowane przez prasę amerykańską było prostym następstwem zarówno charakterystyki adresata, do którego serial miał przemawiać (a były nim przede wszystkim gospodynie domowe), a także reklamowego message’u, jaki stanowiła w przerwach serialu nakierowana bezpośrednio na odbiorcę serialowej fabułki prezentacja »nowalijek« – środków... czystości.

Najbardziej znane »oper mydlane« zwie się też »telenowelami« – tu tkwi nierozstrzygnięty dotąd spór klasyfikacyjny filmologów i medioznawców. »Oper mydlane« »telenowelami« bywają jako to cotygodniowe relacje kształtowane i dzielone na odcinki przez czas rzeczywisty, w którym powstają. Co więcej – reprezentując kino »stylu zerowego« to w swej istocie telewizyjne »dramy« środowiskowe w rodzaju dwóch ciągle produkowanych brytyjskich molochów serialowych *Coronation Street*, który przytłoczył widzów ITV dziesięcioma tysiącami odcinków w okresie ostatniego 60-lecia czy towarzyszące mu na kanale BBC 1 *East Enders* (6 tysięcy odcinków w latach 1985-2020). Do nich dołączyli podążający zresztą ich śladami bardzo popularni w całym świecie australijscy *Neighbours* (8 tysięcy odcinków w ostatnim 35-leciu).

Kwartet najczęściej produkowanych i oglądanych »oper mydlanych« kształtuje również będąca światowym przebojem amerykańska *story* o miłosnych podbojach członków dwóch kalifornijskich rodzin Forsterów i Spectrów – *The Bold and the Beautiful* (od 1987 – osiem tysięcy odcinków). Co ciekawsze – tę sprzedaną do stu krajów i znaną w Polsce po tytule *Moda*

*na sukces* (6047 odcinków emitowanych w TVP 1 w ciągu 20-lecia 1994–2014) *soup operę* zalicza się do jej podgatunków, a sygnując ją skrótem *soras* (Soup Opera Rapid Aging Syndrome), podkreśla się stosowaną w jej scenariuszach zasadę „procesu szybkiego dorastania” bohaterów.

Jest znanym w Polsce faktem, że »opera mydlana« otrzymała też formę... animacji. Najbardziej popularnym przykładem w tej materii jest emitowany w stacji Fox, a produkowany od roku 1989 amerykański serial komediowy o mieszkającej w Springfield typowej prowincjonalnej rodzinie – *Simpsonowie* (31 sezonów, 673 odcinki).

W ramówce wielu telewizyjnych stacji – obok seriali określanych gatunkowo jako »opera mydlana« czy »nowela telewizyjna« – swoje stałe miejsce wywalczył również »sitcom« (*situation comedy*) wywodzący się zarówno z amerykańskich form telewizyjno-estradowego show (klasycznego wodewilu i „minstrel show”, czyli XIX-wiecznej estradowej mieszanki gagu, tańca i piosenki).

Dla pierwszego polskiego »sitcomu«, jakim był *13 Posterunek* (produkcja Canal + i Polsatu z lat 1990-1993 i 2000, dwie serie) z Cezarym Pazurą, Markiem Perepeczką i Markiem Walczewskim – inspiracją były nie tylko sceny z polskich komedii Barei i Chmielewskiego, ale i brytyjskie sitcomy, które powoli zaczęły przenikać do polskie telewizyjnych ramówek.

*13 Posterunek* nie tylko potwierdził, że Ślesicki jako reżyser tego sitcomu nie dorasta nawet do pięt swym polskim poprzednikom umiejętnie przemycającym w czasach cenzury zakazane poczucie humoru. Więcej – wyspiarskie wzorce okazały się dla wolnych Polaków również nieosiągalne. Były po prostu i dla naszych rodzimych twórców, i publiki polskich stacji zbyt...wyrafinowane zarówno w treści (poprzez słaby scenariusz *13 Posterunku* i jego mało odkrywczą realizację), jak i w formie (dzięki kiepskim rolom – mimo udziału wielu aktorów osobowości).

Nie opisując się zatem miażdżącą analizą żenujących partii *Posterunku* przywołajmy trzy przykłady brytyjskich sitcomów z przełomu lat 80. i 90. jako wyrazistego dowodu, że nawet w tej dosyć prymitywnej formule filmowo-telewizyjnej rozrywki osiągać można efekty artystyczne.

*Allo, Allo* – 85-odcinkowy sitcom BBC 1 z przełomu lat 80. i 90. (1982-1992) – to zdawałoby się prymitywna farsa z czasów II wojny światowej, w której królują niezbyt wyrafinowane dowcipy wynikające zarówno z prymitywizmu szeregowych niemieckich okupantów Francji, jak i całej nieporadności francuskiego ruchu oporu sprzeciwiającego się zdrajcom i petainowskiemu kolaborantom. Dlatego dla obydwu stron prawdziwym „konfesjonatem” prawdy staje się bar w prowincjonalnej francuskiej mieścinie. Bar, gdzie dochodzi do konfrontacji postaw i ich ośmieszenia. Ale to twórcom serialu nie wystarcza. W swym antywojennym rozrachunku postanowili posunąć się o wiele dalej. Dlatego też z germańską butą i francuskim konformizmem zderzyli naiwne myślenie spieszących na pomoc okupowanej Europie głupkowanych angielskich cichociemnych, zupełnie nie zorientowanych w sytuacji, w jakiej przyszło im wspierać „konspirację”.

Twórcy *Allo, Allo* słusznie wykalkulowali, że konfrontacja tych wszelkich odmian głupoty zmusi widza najpierw do śmiechu, ale w konsekwencji wywoła w nim refleksję nad bezsensu wojny jako okrutnego sposobu międzyludzkiej konfrontacji. Nie mówiąc o tym, że sitcom *Allo, Allo* jeszcze bardziej świadomie i trafnie odheroizowuje wojenną bohaterszczyznę aniżeli pełen sprzeczności jego rodzimy brytyjski poprzednik – serial wojenny (produkcja 1977-1979) *Secret Army*. Poszczególne partie *Allo, Allo* bowiem to wyrafinowana parodia sekwencji niepozbowionej angielskiego humoru *Tajnej Armii*.

Jeszcze więcej satysfakcji dało widzom w pierwszej połowie lat 90. szesnaście serialowych odcinków *Jasia Fasoli (Mr Bean)*, które dzięki wspaniałej kreacji milczka nicującego bezwzględnie otoczenie (Rowan Atkinson) znalazło sposób na odkrywanie śmiesznych, ale i przerażających, absurdów otaczającej rzeczywistości. Mr Bean Atkinsona bowiem to kreacja na miarę francuskiego Pana Hulot Jacques'a Tatiego.

Exemplum trzecie – to serial *Pan wzywał, Milordzie?* (43 odcinków w seriach z 1990-1993 w BBC 1) rozgrywający się w II połowie lat 20. w londyńskiej rezydencji zamożnego arystokraty – konserwatysty serial tropiący perypetie czynnego polityka, któremu działalność publiczna nie pozwala na normalny tryb życia, co powoduje coraz to nowe, czasami bardzo komiczne scysje. Serial *Pan wzywał, Milordzie?* jednym słowem - to tra satyra na politykę, bardzo trafna i gryząca, na co pozwala jej historyczne oddalenie w czasie. Dzięki tej czasowej perspektywie ten sitcom obdarzono adekwatną i bardziej zjadliwą oceną brytyjskich władz aniżeli serial BBC 2 z lat 80. (1980-1988) *Yes, Minister* i jego kontynuacja (w związku ze społeczno-politycznym awansem bohatera) *Yes, Prime Minister* – prześmiewające pracę Downing Street Number 10 (to, jak wiadomo, londyński adres urzędującego brytyjskiego premiera).

Fakt, że wzorem dla polskiego rekordzisty sitcomu (528 odcinków) czyli Świata według Kiepskich produkowanego od roku 1995 był na pewno Świat według Bondych (oryginalny tytuł: *Married...with Children*) – amerykański serial kanału Fox, którego produkcja (263 odcinki) zamknęła się w 12-leciu 1987-1999, stanowi małe pocieszenie. Świat według Kiepskich bowiem to kicz nad kicze i nikt mu Złotej Maliny za najgorszy polski serial kilku dziesięcioleci nie odbierze.

Kłopoty z „gatunkową klasyfikacją” seriali – o czym już wspominałem – trwają od lat nieprzerwanie. Przykład *Klanu* określanego jednocześnie jako »opera mydlana«, »telenowela« i »saga rodzinna« świadczy nie tylko o niewątpliwym materii naukowej pomieszaniu, ale i nieostrości kryteriów teoretycznej analizy. Co pod ręcznik, to inne klasyfikacje, co encyklopedia, to inna definicja, co artykuł, to zupełnie inne kryteria gatunkowych podziałów.

Dlatego dla bardziej szczegółowego rozeznania się w materii najskuteczniejszym sposobem będzie wybór uporządkowania czysto tematycznego, choć wtedy dopadnie nas zapewne rozpoznanie tej nieuleczalnej choroby cywilizacyjnej, która już sprawiła, że seriale dotknęły swymi mackami wszystkich dziedzin ludzkiego życia.

Oto jednak kilkanaście tytułowych przykładów z próby takiej prezentacji.

Wróćmy zatem do początku naszych rozważań. Przywołany tam trzeci na polskiej liście wszechczasów co do liczby wyprodukowanych odcinków – serial *M jak miłość*, produkowany bez przerwy przez TVP 2 od roku 2000, który osiągnął dotychczas 1487 odcinków, a którego zarówno cechy »oper mydlanej« i »noweli telewizyjnej«, czego dowiodły przywołane już powyżej analizy, nazywany też bywa w medialnym obiegu »serialem obyczajowym«. Podobnie zresztą jak produkcja TVN *Na Wspólnej* obdarzana tymi samymi gatunkowymi określeniami, co *M jak miłość*. Nie inaczej jest z tasiemcem telewizji publicznej (TVP 2) *Na dobre i na złe* od roku 1999 dysponującym 764 gotowymi odcinkami.

Serialem obyczajowym nazywano też wzmiankowaną już jako pionierskie serialowe dokonanie *Wojnę domową*, a także inny hit polskiej oglądalności z roku 1982 – *Jana Serce*, 10-odcinkowy serial Radostawa Piwowarskiego o sercowych perypetiach warszawskiego kanalarza z Woli (w roli tytułowej Kazimierz Kaczor).

Niemniejszą popularnością cieszyły i cieszą się nadal seriale kryminalne. Należą do nich przecierające w Polsce »zachodnie spojrzenie« jeszcze w Gomułkowskich czasach lat 60.: francuski *Belfegor - upiór z Luwru* (produkcja: 1965) czy angielski *Sherlock Holmes* (1964-1968), a potem – już za Gierka, w latach 70.: Święty (produkcja: 1962-1968 – 118 odcinków w 3 seriach), *Colombo* (1968-1975 – 7 pierwszych serii, 29 odcinków) czy *Kojak* (w latach 1973-1978 – 119 odcinków), jak i wciąż obecne na szklanym ekranie produkcje polskie telewizyjnej Jedynki *Komisarz Alex* (początek produkcji r. 2012 – 165 odcinków na koniec 2019) czy *Ojciec Mateusz* (od 2008 – 244 odcinki).

Różnice między niegdysiejszymi wzorami brytyjsko-amerykańskimi lat 70. a polskimi produkcjami początku XXI wieku są jednak zasadnicze. Po pierwsze, wszystkie produkcje anglojęzyczne to realizacje autentycznych rodzimych scenariuszy, podczas gdy obydwa polskie skrypty – to wersje zagranicznych fabuł (*Komisarz Alex* jest polską kopią niemiecko-austriackiego oryginału, *Ojciec Mateusz* stanowi »spolszczenie« włoskiego prototypu). Po drugie zaś, żadnemu z polskich wykonawców nie udało się na ekranie stworzyć tak przekonujących osobowości, jak kiedyś zrobili to tacy mistrzowie, jak Roger Moore (Simon Templar w Świętym), Peter Falk (*Porucznik Colombo*) czy Teddy Savalas (Porucznik Theo Kojak), choć zdolności Artura Żmijewskiego (*Ojciec Mateusz*) pomagają mu przebić się czasem przez obowiązujące w naszych rodzimych produkcjach polskie charakterologiczne schematy.

Podobnie jak seriale sensacyjno-kryminalne, wśród których króluje obecnie (2018-2019) czteroseryjna produkcja amerykańska Netflixu o latynoskim „królu narkotykowym” Paolo Escobarze zatytułowana *Narcos* (stała, bieżąca emisja na kanale Stopklatka TV), tak niedostępnymi dla udanych prób polskich twórców są ukochane przez Polaków, bo egzotyczne amerykańskie seriale westernowe typu *Bonanza*. Ta 20-letnia produkcja z lat 1953–1973 uatrakcyjnia przez lata polską telewizyjną ramówkę i pozostanie na zawsze ma-

rzeniem u nas, w kraju niespełnionym. Lepiej już było z chętnie nad Wisłą i Odrą oglądanymi serialami medycznymi, które pojawiły się jeszcze w czasach „naszej małej stabilizacji” późnego Gomułki za sprawą pięcisezonowego tasiemca *Dr Kildare* z Richardem Chamberlainem – pierwszego w historii telewizyjnego serialu medycznego.

*Dr Kildare* nie tylko podbił serca większości Polek, ale ośmielił naszych mężczyzn do rodzimej... serialowej produkcji. Stał się na pewno inspiracją dla narodzin *Doktor Ewy* – 9-odcinkowej opowieści (1970) w reżyserii Henryka Kluby o wstępującej w zawodowe życie młodej lekarce, której atrakcyjny ekranowo wygląd zapewniła piękna Ewa Wiśniewska.

Prawdziwym polskim sukcesem pozostają do dziś produkcje seriali wojennych. Tu niedościgłym mistrzem okazał się ich reżyser. Był nim Janusz Morgenstern, najpierw jako - wraz z Andrzejem Zbychem - ojciec największego polskiego serialowego sukcesu, jakim była zrodzona w bólach walki z cenzurą sensacyjna opowieść o Hansie Klossie *Stawka większa niż życie* (1966). Potem zaś – główny autor sukcesu *Kolumbów* (1970), pięcioodcinkowej telewizyjnej adaptacji znanej powieści Romana Bratnego o losach pokolenia młodych konspiratorów i żołnierzy niepodległościowego podziemia walczącego z niemieckim okupantem.

Jednocześnie serialowe sukcesy Morgensterna uzupełniła dokumentująca polsko-radzieckie braterstwo broni i krzepiąca optymizmem przeżycia trudnego żołnierskiego szlaku opowieść o wojennych losach związanej prawdziwą przyjaźnią czterooosobowej załogi frontowego czołgu *Cztery pancerni i pies* (1966-1970) według scenariusza Jerzego Przymanowskiego w reżyserii Konrada Nałęczkiego z prawdziwymi kreacjami aktorskimi (obok psa Szarika – przede wszystkim Franciszka Pieczki i Janusza Gajosa). Te kreacje właśnie zdecydowały, że propagandowo »barwiona« przyjaźń przemawia swoją prawdziwością i jest – ku zdumieniu ortodoksyjnych antykomunistów – masowo akceptowana przez odbiorców – obywateli wolnej III Rzeczypospolitej.

Pomni tych polskich umiejętności opowiadania o wojnie Brytyjczycy zaproponowali w roku 2014 (w 100 rocznicę wybuchu I wojny światowej) bezprecedensową polsko-angielską koprodukcję miniseriale o przeżyciach dwóch zwykłych szeregowców, młodych żołnierzy – uczestników I wojny światowej: Anglika i Niemca. Ta pięcioodcinkowa serialowa opowieść, wyemitowana w roku 2014, nosiła tytuł *Dzwony wojny* i jako koprodukcja BBC i TVP miała mieszaną obsadę polsko-angielską.

To nie jedyna nadzieja polskiego serialu.

Wychodząc naprzeciw idei „telewizji jakościowej” jako »antydotu« zarówno na »przaśny« oplotkowy model telewizji państwowej, jak i komercję stacji prywatnych, Agnieszka Holland realizując wraz z Kasią Adamik polityczny serial *Ekipa* podążyła śladem telewizyjnych widowisk teatralnych Ryszarda Bugajskiego (*Układ zamknięty*) i pełna nadziei wskazała drogę przyszłości seryjnych produkcji, które przymuszają przeciwnego zjadacza medialnego chleba do... myślenia. Nie tylko o sobie. I choć na jej pierwszy twórca apel odpowiedziało zaledwie 2 miliony widzów, co

przy średniej ośmiomilionowej oglądalności każdego odcinka *M jak miłość* stanowi procent znikomy, nadziei tracić nie wolno. Nawet w sytuacji, gdy Patryka Vegę, który tę próbę ponowił proponując serialową wersję swej *Polityki*, nie spotkała większa akceptacja. Ważne jest, że takie próby zaistniały. O przyszłościowej słuszności tej inicjatywy bowiem zadecydują przemiany gatunku.

Już mówi się głośno o plajcie ostatniego sezonu *Gry o tron* podnosząc znaczenie *Czernobyla*, amerykańsko-brytyjskiego serialu, który w 5 odcinkach I sezonu w roku 2019 znalazł przyczynę ukraińskiego katalizmu w karygodnej zbrodni biurokratycznych niekompetencji nieodpowiedzialnego całkowicie totalitarnego systemu. Klęsce zaś angielskiej noweli o erotycznych podbojach Katarzyny Wielkiej – mimo udziału wspaniałej Hellen Mirren – przeciwstawia się sukces irlandzkiej sagi rodzinnej *Peaky Blinders* nicującej kulisy społeczno-politycznego awansu gangsterskiej rodziny Shelby. Mieszkańców Wysp Brytyjskich – mimo całej ideologii Brexitu – bardziej niż sfabularyzowane, a znane z doskonałych telewizyjnych dokumentów plotki o królewskiej rodzinie (*The Crown* – 3 sezony BBC 1 – po 10 odcinków) bardziej wciągnęły losy pary wielkich amerykańskich artystów musicalu.

*Fosse/Verdon* (8-odcinkowy serial w BBC 2 jeszcze w Polsce nieosiągalny), kreśli bowiem dzieje tragicznej miłości prawdziwych bezkompromisowych (i w życiu, i w twórczości) twórców: on Bob Fosse – twórca *Kabaretu*; ona Gwen Verdon – musicalowa gwiazda Broadwayu – wspaniała aktorka, piosenkarka i tancerka).

Jednym słowem: wchodząc w nowy rok 2020 bardziej niż karierą międzynarodową *Wiedźmina*, któremu producent (Netflix) ukończoną już I serii (8 odcinków z Henry Cavillem w roli tytułowej) wróży wielki międzynarodowy sukces na miarę *Gry o tron* i *Podręcznej* – radzę zająć się trzema nowymi polskimi propozycjami roku 2020: serialem komediowo-kryminalnym Juliusza Machulskiego *Mały zgon* (produkcja: Canal+, 10 odcinków), opowieścią biograficzną *Osiecka* (produkcja: TVP 1, 13 odcinków) w reżyserii Roberta Glińskiego i kryminalnym dramatem obyczajowym *Odwilż* (produkcja: HBO, 6 odcinków) w reżyserii Xawerego Żuławskiego. Te produkcje serialowe budzą bowiem antyserialową nadzieję.

Moja propozycja wynika i z nadziei, jaką zaszczepiła we mnie Agnieszka Holland i z coraz większego przekonania, że w czasach całkowitej dominacji seriali kino przestało być medium, w którym doświadczamy sztukę zbiorowo.

Zgadzam się bowiem z receptą Paolo Sorrentino, twórcy serialu *Nowy papież*, który dowodzi: „Nie da się dziś wybronić kina jako miejsca, w którym z wielkiego ekranu spłyną na nas wielkie emocje. Wystarczy laptop i nasz nos do niego przyklejony: emocje będą te same”.

I jeszcze jedno – jako odpowiedź na niepokoje na wstępie zarysowane: nie mogąc zwalczyć serialowej erupcji, trzeba z niej chytrze skorzystać.

**KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI**

(Londyn, grudzień 2019; Warszawa, styczeń 2020; Kraków, luty 2020)

# OFICER I SZPIEG ROMANA POLAŃSKIEGO

W sztuce późna twórczość artystów ma szczególną wartość. Najwyższą. Wtedy malarz, rzeźbiarz, kompozytor lub reżyser już wszystko wie, a w każdym razie tak dużo jak nigdy wcześniej. Potrafi odróżnić rzeczy główne od pobocznych, istotę od ozdoby, rezygnuje z nadmiaru, zaprzestaje ulegania pokusie uwodzenia publiczności, a zwłaszcza krytyków. Staje się nieuległy.

Artysta taki odrzuca następujące po sobie mody, wyzbywa się pokus uczestniczenia w dworskich piasach i przestrzegania konwenansów. Te wszystkie cechy kształtują się w twórczości i postawie artysty stopniowo, choć to nie znaczy, że w sposób płynny. Życie przebiega podobnie. W każdym razie wtedy, w późnym okresie twórca staje się wolny w stopniu znacznie większym niż kiedykolwiek wcześniej. Nie musi się buntować, bo inni twórcy są gdzieś obok, a nie przed nim. Zostaje istota; egzystencja artysty zbliża go do istoty sztuki. Istnieje, co prawda, narastający czynnik ograniczający: słabość fizyczna, która wiele pomysłów hamuje, ale też wnosi nowy czynnik dramatu. W mniejszym stopniu powstaje on już w zderzeniu z otoczeniem, jednak w rosnącym – z samym sobą. Z tego wynikają późne rzeźby Michała Anioła (a zwłaszcza pozaczasowa klasyczna i nowoczesna zarazem *Pieta Rondanini*), takie są ostatnie dzieła Hansa Arpa, Marka Rothki, Ludwiga van Beethovena czy, jako aktora, Tadeusza Łomnickiego.

Taki też jest ostatni jak dotychczas film Romana Polańskiego, emitowany w polskich kinach pod tytułem *Oficer i szpieg*. Przedstawia z wielką rzetelnością sprawę Dreyfusa będącą elementem fundamentu Republiki Francuskiej, a także aksjologii całej europejskiej kultury. To dzieło spełniające wszelkie warunki późnej twórczości, wyznaczającej pewność decyzji, jasność formy, wyrazistość przekazu, odwagę własnego, osobistego wyrazu i minimalizm. Określenie późna twórczość tyle właśnie tu znaczy. Przy tym polskiemu i światowemu reżyserowi nie kofysze się głowa ani nie drży ręka, pełne panowanie nad techniką pozwala mu podporządkować ją idei.

Zrobił i przedstawił film o osobie, wydarzeniu i okolicznościach, które w 1898 roku rozstrawił Emil Zola swoim i naszym *J'accuse*. Są w nim wszyscy ówczesni protagoniści, obok Dreyfusa też Picquart, Henry, Esterhazy i inni aktywni wtedy przedstawiciele wojska, polityki, prawa i dziennikarstwa. Rzeczywiste wydarzenia i ludzie, udokumentowane fakty wypełniają ten film. Ale nie one są najważniejsze, bo służą czemuś innemu. Nadrzędnemu.

Jest to bowiem dzieło o osaczeniu, o zniewoleniu jednostki przez ludzki krąg, przez instytucje, paragrafy, słowa i tzw. oczywistości. Przede wszystkim przez atmosferę, a nie ma nic bardziej niż ona przenikającego skórę, oczy, umysł i wnętrze. Nic mocniej wpływającego na bieg dni i nocy, zdania i gesty. Rangę tego dzieła ustanawia splot estetyki i idei, związek obrazu z myślą. W tym właśnie manifestuje się dojrzałość późnej twórczości.

Film zanurzony jest w ciężkim klimacie i szarym świetle. Nad Paryżem ciągle wiszą chmury, niebo jest niskie i bezbarwne. Pada deszcz lub dopiero od niedawna nie pada. Nie ma słońca i światła. Mamy półmrok. Plany, a więc sposób przedstawiania akcji i scen, są małe i ściśnięte. Większość wydarzeń i działań aktorskich toczy się we wnętrzach, niewielkich lub zatłoczonych, dusznych. Okien nie można otworzyć, wszędzie jest gęsto, ulice niewielkie, zaułki dopasowane do domów, klatek schodowych, korytarzy, pokoi i sal. Jedyne szersze obrazy otwiera film, a pokazuje musztrę, zbiorowy marsz umundurowanych, pozbawionych indywidualności, ćwiczących subordynację żołnierzy. Idą wśród kałuż, nad głowami mają ciemne, zachmurzone niebo, pod nogami ziemię, która staje się błotem. Przyroda, zwana często naturą, osacza człowieka. Podobnie okrążają go inni ludzie, a oni, wyznawanymi przesądami, afektami i myślami zniewalają się sami. Dreyfusa poniewierają i osaczają, ale nie staje się on ofiarą. Nieprzypadkowo, świadomie i z własnego wyboru, taka rola bowiem degraduje, upokarza i eliminuje. Główna postać tamtych dni, ich podmiot – pokazuje to Polański wprost w jednej z ostatnich scen – chroni się przed tym. Inni odwołują się do regulaminów, jaźni zbiorowej, tzw. interesu narodowego, państwa i rozmaicie rozumianego honoru, on – do prawa egzystencji człowieka i tego, co w każdej jej postaci się zawiera. W filmie podstawą prezentowanego samozniewolenia, zniewolenia innych, głównym składnikiem duszącej aury jest powszechny, uznawany za naturalny, antysemityzm. Tak było wówczas, tak bywa teraz. Ale nie owa fobia jest decydująca, bo osaczenie może mieć inne źródła. I dotyczyć każdego.

*Oficer i szpieg* ma estetykę minimalistyczną i zarazem rzeczową treść. Nie ma w nim przypadkowego mgnienia, nadmiernego słowa, ozdobnego elementu lub wypełniającego ubóstwo obrazu dźwięku. Każda kłamka drzwi i okna, guzik, mur, stół i krzesło, papier, kształt pisma, ściany i schody są prawdziwe. Autentyzm buduje zaufanie, wiąże odbiorcę z dziełem i jego twórcą. Również dialogi, wymiany myśli i wygłaszane zdania są znaczące. W filmie są tylko takie. Pamiętamy zalecenie ponadczasowego artysty mówiącego, że rzeźba powstaje wtedy, gdy z kamienia zostają odkute niepotrzebne części. Wiemy o postulatcie, by wiersz składał się z jak najmniejszej liczby słów i zawierał maksimum treści. Znamy scenografię ograniczoną do niezbędnych elementów i muzykę skomponowaną tylko z uzasadnionych nut.

Romana Polańskiego film o osaczeniu taki właśnie jest. Jego sceneria to Francja końca XIX wieku, przedstawia tamte wydarzenia i tylko związane z nimi fakty. Takie, które wraz z niebem, ścianami i podłogą tworzą całość. Pokazują osaczenie, szczególnie mocną postać zniewolenia. Rewersem tego filmu jest wolność i rozwój życia. „A przecież biel najlepiej opisać szarością”.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

MARCIN KULA

# ODKOPYWANE ZAKOPANE

Jest to ciekawa praca z historii społecznej\*. Wykorzystano w niej wiele materiałów źródłowych. Za najbardziej oryginalne źródło uważam teksty wypracowań, które na ukierunkowane tematy zadawał swoim uczniom socjolog prof. Włodzimierz Winclawski, wówczas nauczyciel na Podhalu. Oryginalne są również wypowiedzi tamtejszych mieszkańców, zgromadzone w trakcie badań prowadzonych przez Radio Wolna Europa – bowiem, choć rzecz zaskakuje, rozgłośnia je prowadziła (korzystał już z nich Michał Przeperski, acz niespecyficznie dla Zakopanego). Takie materiały pozwalają przynajmniej częściowo ominąć kłopot częsty w badaniach nad Polską Ludową. Polega na niedostatku źródeł, które by były wytworzone oddolnie, a nie przez władze, oraz takich, które by nie przeszły przez sito cenzury. Pochodzące od władz też są cenne (a zresztą, skoro innych jest mało...). Czasem nasuwa się wszakże pytanie, czy mówią one więcej o temacie, czy o sposobie myślenia na przykład aparatu partyjnego – co zresztą też może być bardzo ciekawe. Miałem to pytanie w głowie zwłaszcza przy czytaniu o wnioskach z analizy fundamentalnego dla książki, oczywiście ogromnie ciekawego raportu komisji tow. Wiesława Mysłka z Zakopanego. Ten towarzysz miał szczególną sylwetkę.

Autor zajmuje się Zakopanem jako swego rodzaju „niecką”, w pewnym sensie tworzącą świat dla siebie, gdzie występował splot czynników lokalnych i ogólniejszych. W studiach nad PRL brakuje nam lokalnych monografii historii społecznej, zbliżenia się do życia ludzi, którzy w końcu mieszkali nie tylko w Warszawie, którzy żyli życiem realnym, a nie sloganowym (ze sloganów

dawnych lub dzisiejszych). Doceniam akcenty autora, który zaznacza cechy świata miejscowego stanowiące o jego specyfice porównywalnej jednak z innymi światami podobnie naznaczonymi (regiony górskie, pogranicza, tereny naznaczone specyficzną kulturą i tradycją, środowiska turystyczne...). Doceniam, że omawiając na przykład „lewy” handel miejscowy, autor pamięta o obrocie podobnego charakteru dokonywanym przez marynarzy i sportowców. Sam poszedłbym znacznie dalej w porównaniach i tym samym wyjaśnianiu różnych zjawisk poprzez spojrzenie na nie na różnych terenach. To, że żadna władza nigdy nie zapanowała nad społecznością pogranicznych gór, jest całkowicie porównywalne z przysłowiową swobodą *gaúchos* na argentyńskiej pampie czy nawet z sytuacją na Dzikim Zachodzie – razem stanowiąc ciekawy przyczynek do znacznie szerszego zagadnienia naznaczenia życia społecznego przez warunki otoczenia. Rozumiem jednak, że autor chciał zrobić przede wszystkim studium monograficzne o Zakopanem w ramach międzynarodowego programu poświęconego „wolnym przestrzeniom” w realnym socjalizmie.

Przy lekturze wciąga autorskie śledzenie, jak generalne sprawy PRL przełamują się w tym specyficznym na swój sposób wydzielonym zakopiańskim świecie. Niektóre lokalne przebiegi zjawisk ogólnopolskich są przedstawione wyjątkowo ciekawie („październik”, „marzec”). Ciekawie zostało pokazane większe lub mniejsze (to właśnie problem!) znaczenie FiS dla Zakopanego – a to prowadzi do szerszego zagadnienia znaczenia różnych imprez międzynarodowych dla ewolucji PRL (poczynając od festiwalu 1955 r.).



Przyznaję, że mnie jednak wciągnął odwrotny od autorskiego kierunek myślenia: w jak wielkim stopniu poszczególne zagadnienia, zaakcentowane przez miejscową specyfikę, pozwalają zobaczyć system komunistyczny. Z książki widać, że tam ukształtował się system paralelny, w którym życie oficjalne było „życiem na niby”. Jest to ciekawsza sytuacja niż obserwowana przez prof. Kazimierza Wykę – bowiem nie występował w niej zdefiniowany okupant. Zarysowana sytuacja mocno kojarzyła mi się z obrazem ZSRR zwłaszcza ze wspomnień K.S. Karola – gdzie czy to w codziennym życiu ludzi, czy w zakładzie pracy, czy nawet w służbach nadzorujących społeczeństwo... polityka Kremła płynęła w warstwie powierzchniowej, zaś życie organizowało się poprzez inne działania<sup>1</sup>. Nawet te socjalistyczne organizacje „społeczne”, z TPPR włącznie, można było wykorzystać dla celów niekoniecznie nominalnych (prawda, że aparat partyjno-państwowy też potrafił je wykorzystywać, na przykład swoje domy wypoczynkowe zaliczać formalnie do placówek FWP). Kierownikami ośrodków Orbisu zostawali dawni właściciele. Zlikwidowano kilka małych schronisk, zbudowano kilka przeogromnych pod firmą PTTK (wszystko zgodnie z tendencjami ustroju), ale te duże w praktyce weszły w gestię poszczególnych rodzin...

W sumie jest to trochę praca o tym, jak ludzie uczyli się współżyć z systemem – *per fas et nefas*. Sam system stwarzał oczywiście możliwości i bodźce do organizowania paralelnego życia. Jeżeli nie można było kupić zamków błyskawicznych i guzików, to stanowiło to prawie zachętę do przemycania ich z □SRS (na dodatek jest to towar wyjątkowo wygodny do przemytu). Notabene kiedyś jakiś szewc czy krawiec prosił mnie o przywiezienie takich rzeczy z Paryża, obiecując dobre przebicie (nie przywozłem).

Jeżeli na budowanym domu wieszano tablicę informacyjną z napisem „Budowa domu systemem gospodarczym” – co było masowe – to znaczy, że w żadnym aspekcie nie budowano zgodnie z państwowym planowaniem gospodarczym. Jeżeli gospodarka funkcjonowała jak funkcjonowała, to na marginesie budowy drogi do Morskiego Oka przez Głodówkę Bukowina z drewnianej zmieniła się w murowaną. Jeżeli trudno było pojechać gdziekolwiek zagranicę, to cała elita, łącznie z elitą władzy jeździła do Zakopanego – co wywoływało skutki bardzo różnorodne. Jeżeli wszystko trzeba było załatwiać w Warszawie, a najwyżsi dostojnicy partii i państwa odpoczywali w Zakopanem, to już nawet krakowskie władze wojewódzkie, nie mówiąc o lokalnych, były mało istotne. Może dlatego Kraków, choć położony tak blisko, zaskakująco prawie nie odgrywa roli w książce.

Jeżeli PRL trochę „bokiem wychodziła” znacznej części inteligencji twórczej – wbrew pozorom często nawet tej, która skądinąd była aktywnie związana z establishmentem – a na Bahamy praktycznie nie dawało się wyjechać na urlop, to owo Zakopane stawało się zaskakującym azylem. W liście mego Ojca, „inteligenta pracującego”, do Jerzego Jedlickiego z 15 kwietnia 1964 r. znalazło się zdanie: „Od chwili wyjścia z pościgu w Zakopanem na Kościuszki – zaczynam być w lepszym humorze i mieć inny, bardziej optymistycz-

ny, przedsiębiorczy i aktywny charakter”. Jeżeli elita władzy i elita kultury jeździły do Zakopanego, to silne zakłady pracy przepychały tam budowę swoich domów wypoczynkowych – bo w PRL były silne; podobnie wojsko przepychało budowę sanatoriów na zboczu Gubałówki. Skoro nie lubiło się specyfiki regionalnej, a skądinąd także rzemiosła, to trzeba było stworzyć Cepelię, a ona musiała otworzyć wielki zakład, gdzie produkcja odbywała się tak samo rzemieślniczo, tylko pod jednym dachem.

Ciekawy jest zarysowujący się w książce całościowy obraz PRL jako systemu beznadziejnie niesprawnego – albo niekonsekwencji jego wersji popaździernikowej. Chce się napływu turystów zagranicznych, ale nie robi się dla nich stref wydzielonych, jak w wielu krajach socjalistycznych. Dopuszcza się do ich obsługi sektor prywatny – bo już w ogóle bardziej dopuszcza się go, ale rzuca mu się kłody pod nogi.

Z kolei – wróćmy do sprawy już wspomnianej – ludzie wypracowują sposoby na współżycie z systemem. Skoro nie można budować domów o dużej powierzchni, to można zrobić przyzwoite przyziemie bądź strych. Skoro bogaty rzemieślnik nie może sobie zbudować domu w Zakopanem, bo to zbyt niebezpieczne, to rzemieślnicy wspólnie budują dom „Rzemieślnik”, na swój czas luksusowy, który jako przedsięwzięcie kolektywne już nie wzbudza czujności władz. To całe bezhołowie i niedeklarowany opór może miały swoje dobre strony długofalowe. Stefan Kisielewski powiedział kiedyś, że jest gotów wystawić pomnik nieznanemu przemysłowici, który udowodnił, że każdy pieniądz jest wymierny na każdy.

Ciekawy jest widoczny przez lokalny pryzmat mechanizm wzrostu i z czasem upadku socjalizmu w Polsce. PRL buduje nowotarski kombinat obuwniczy, a w ogóle rozładowuje przeludnienie wsi podkarpackich, tworzy możliwości pracy „na państwowym”, także rynek zbytu na produkty rolnicze. Potem zaś robotnicy w Nowym Targu witają papieża na lokalnym lotnisku, zaś Nowa Huta staje się wciąż ukochanym, ale bardzo krnąbrnym dzieckiem socjalizmu.

Czy ta cała ludność przez cały czas zachowywała postawę „brać, nie kwitować”? Sam byłem kiedyś, jeszcze za solidnego socjalizmu, w Ludźmierzu podczas koronacji Matki Bożej Ludźmierskiej, gdzie nabożeństwo odprawiał wobec tłumów prymas Wyszyński (jak zaznaczono: w ornacie, w którym prymasi koronowali królów Polski!). Tłumy piły z ust Prymasa. Czy też – co zresztą nie byłoby sprzeczne – mechanizm PRL zadziałał zgodnie z dialektyką marksistowską: system stworzył siły, które go zniszczyły? Prawda, że Marks formułował tę zasadę z myślą o kapitalizmie i jego przewidywanym końcu – ale można testować jej stosowność także bliżej nas. W pracy widać jeszcze jeden mechanizm ważny dla rozważań nad wzrostem i upadkiem PRL – mianowicie burżuazyjnienie (obrastanie w piórka) aparatu partyjno-państwowego. W Zakopanem wystarczyło spojrzeć na dom wypoczynkowy „Antałówka” znakomicie położony. No i taki aparat nie był już obrońcą ustroju, który go stworzył i dał mu szansę.

Z ogólniejszych, istotnych dla wielu historyków spraw, ciekawe są widoczne w książce zjawiska długiego trwania – takie jak łączność ziem złączonych kiedyś

<sup>1</sup> K. S. Karol, Solik: tribulations d'un jeune polonais dans la Russie en guerre, Fayard, Paris 1983 (także tłumaczenia).

w ramach państwa, którego już nie ma (Austro-Węgry), rola emigracji amerykańskiej dla regionu (pytanie, czy także dla jego modernizacji, a jeśli, to w jakim wymiarze), trwanie specyficznej kultury (a dlaczego zachowała się ona w znacznie mniejszym stopniu po słowackiej stronie Tatr?).

Pytanie, czy lokalne zjawiska długiego trwania – skądinąd porównywalne do znanych z innych regionów świata – sprzyjały tworzeniu się mechanizmów mafijnych, wyraźnie widocznych w obrazie zarysowanym przez autora? Rodziny są powiązane, ma się swoich ludzi wszędzie, z milicją i WOP-em włącznie. Drobne wspomnienie osobiste właśnie z Zakopanego: właścicielka domu, w którym swego czasu wynająłem pokój na wakacje, któregoś dnia poprosiła mnie o zabranie samochodu z podwórka. Było jasne, że została ostrzeżona, iż ktoś będzie liczył ilu ma gości (gdyby kogoś interesowało: samochód wyprowadziłem na ulicę, bez wyrzutów sumienia). Ciekawe jest jednak, jak taka miejscowa społeczność mogła utrzymać swoją zwartość w sytuacji, gdy PRL robiła z nas wszystkich „piasek” (określenie Stefana Nowaka). Także skoro PRL w ogóle źle tolerowała specyfikę wszelkich mniejszości i regionów.

Można rozszerzać rozważania nad stopniem, w jakim zjawiska długiego trwania łączyły się, bądź były modyfikowane pod wpływem doraźnych bodźców. Tradycja robienia kozuchów była w tym regionie zadawniona, podobnie jak obrót „ciuchami” amerykańskimi. Na to tło padł wszakże silny bodziec paralelnego rynku PRL-owskiego... no i przyniósł rozkwit Nowego Targu jako centrum handlu wyrobami ze skóry czy z wełny. Rozwój Zakopanego jako ośrodka relatywnie luksusowej turystyki przyniósł aktywizację kobiet na rynku pracy – co jest ciekawie omówione w książce, a co stanowiło zerwanie tendencji długiego trwania. Obawiam się jednak, że zajęcia, które przypadły kobietom, raczej utwierdzały tradycyjny podział na przypisane do jednej płci lub drugiej.

No i na koniec sentymentalna refleksja człowieka, który od bardzo wczesnego dzieciństwa jeździł (był wozony) do Zakopanego, a teraz już patrzy na góry przede wszystkim z Krupówek. Dawnego Zakopanego już mało teraz widzę. Tradycyjne miasto coraz bardziej zanika. To oczywiście normalne.

Pytanie jednak, co wyrasta. Otóż wyrasta nowy, fatalny dom „Krupówki. Centrum Handlowe”. Na dolnych piętrach galeria handlowa jak każda inna, ze sklepami światowych marek. Niczym się to nie różni od dowolnego miasta w Europie. Na najwyższym piętrze kawiarnia z dobrym widokiem. Przystrojona drewnianymi elementami z rzeźbą w góralskim stylu, kręcące się koło młyńskie, parę tradycyjnych kilimków, jakieś obrazki na szkle i przychepione na ścianie takie narty, jakie miałem w dzieciństwie... Z taśmy cicho odtwarzana jest góralska muzyka. Przy wejściu siedzi (a raczej przysypia) góral we właściwym stroju. Nawet nie siedzi na typowej ławie, lecz na miękkim fotelu czy kanapie. On nic nie robi. Siedzi jako element góralskiego kolorytu. W pierwszym momencie myślałem, że to figura z plexi. Poruszył się jednak.

W sąsiednim domu luksusowy sklep cukierniczy i zarazem kawiarnia. Można tam kupić (drogo!) luksusowo opakowane tabliczki czekolady w formie pa-

noramy Tatr lub szarotek. W jednej i drugiej kawiarni pewna, zauważalna liczba rodzin arabskich z kobietami w typowych strojach. Zakopiańskie kramy oferują więcej chust z dekoracjami, które chyba pasują Arabkom, niż zwykłych chust góralskich zdobionych motywem kolorowych kwiatów. Muzułmanie wyraźnie dobrze się tu czują. Podejrzewam, że ci, którzy tu przyjeżdżają, mogą czuć się tu bogatszymi niż gdyby pojechali na Zachód. Widzi się ich w najlepszych kawiarniach, czy jeżdżących we fiakrach. Z pewnością nie ma atmosfery, a tym bardziej czynów im przeciwnych, co skądinąd mnie cieszy. Oni są wyraźnie letnikami, którzy przynoszą pieniądze, a to wszędzie byłoby coś warte – zaś tym bardziej tutaj, gdzie pieniądze się lubi. Jednocześnie owi muzulmanie to świat dla siebie, wyodrębniony wyglądem i zwłaszcza strojami. Ponieważ wyraźnie wyróżniają się i wszyscy ich muszą zauważyć, a są widoczni na głównych ulicach, w pogaduszkach oczywiście przecenia się ich liczbę.

Na Piłsudskiego nowa, wielka kawiarnia, restauracja i luksusowy sklep z delikatesami. Strasznie to wszystko nowobogackie. Elementy metalowe w wyposażeniu w kolorze złotym, pełno luster, desery pod oszklonymi ladami przeogromne i dosłownie przelewające się poza brzegi pucharów – śmietaną, lodami i owocami. Do tego wszystkiego góralszczyzna – motywy roślinne wyrzeźbione w drzewie i popiersie Piłsudskiego. Poza tym popiersiem można by sądzić, że bogactwo wystroju jest jakoś dostosowane do gustów lub pieniędzy muzulmanów, których tam pełno.

W księgarni w dziale historii prawie wyłącznie książki autorów mocno odległych od mojego podejścia do analizowania przeszłości. U któregoś z przechodniów czarna koszulka z białym orłem i napisem „Nigdy nie zapomnij skąd jesteś”. No cóż, mogę pytać skąd w ogóle domniemanie, że ktoś mógłby zapomnieć. Mogę pytać, czy to wszystko musi być ustrojone tak nowobogacko, a książki historyczne w przewodze mi dalekie... Prościej jednak będzie zapytać dlaczego publiczność jest tak nastawiona. Bo przecież sprzedawcy dostosowują się do publiczności, czyli potencjalnych klientów.

Miły kontrast: za sprawą miasta i z pomocą funduszy europejskich stworzone Centrum Kultury Rodzimej „Czerwony Dwór” – obiekt odbudowany w dobrym, góralskim stylu, z ciekawymi zdjęciami dawnego Zakopanego, z dobrymi lokalnymi meblami i akurat ze znakomitą wystawą „Madonny Podhalańskie” (obrazy na ogół na szkle, przygotowane na jakiś konkurs przez miejscowych artystów).

No i już naprawdę na koniec odnotowuję rozmowy zastyszane blisko Krokwi:

– na widok sarenki, która przyszła aż do zarośli niedaleko ulicy, babcia do dziecka: patrz, może to osioł?

– babcia do matki idącego obok dziecka, ze złością: on ciągle pyta o coś, już trudno wytrzymać...

Mój komentarz: mądrzy ludzie pracują dla mądrej przyszłości (sic!).

#### MARCIN KULA

\*Jerzy Kochanowski, „*Wolne miasto*”. Zakopane 1956 – 1970, Znak Horyzont, Kraków 2019, s. 332.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

# STARE BAŚNIE

Baśń to fabuła dowolnie kształtowana przez licznych, anonimowych twórców, której polem jest świat cudów. Bajka zaś to baśń okraszona sosem, który Melchior Wańkiewicz podejrzewał o wydzielanie „smrodku dydaktycznego”. Ten podział uwzględnia trzy arcydzielne wyjątki autorskie: *Baśnie* Andersena, *Bajki* La Fontaine’a oraz *Baśnie i legendy* braci Grimm. Może jeszcze *Bajki* Krasickiego.

Literaturoznawcy wyjmują baśń z oceanu bajek i definiują ją jako bajkę magiczną.

Nie chcę powtarzać tego, co o baśniach napisano w wielu monografiach – na przykład w *Morfologii bajki*. Zresztą Włodzimierz Propp<sup>1</sup> zajmuje się analizą strukturalną bajki (rosyjskiej) a mnie interesują jej funkcje. Napiszę o wrażeniach, jakie wyniosłem czytając baśnie Wschodu. Ich podobieństwo do baśni Zachodu wynika stąd, że obydwa typy są synkretycznym amalgamatem informacji, traktatu politycznego i literatury ludowej. Jedne były wcześniejszymi od drugich lub powstawały niezależnie od siebie, a ich podobieństwo wynika z identyczności prawd ostatecznych we wszystkich kulturach. Tu jednak zaskoczeniem może być odkrycie, że żadna baśń nie respektuje dekalogu czy innych przykazań, na przykład trzystu buddyjskich.

Baśniom staroindyjskim bliżej do tekstów świętych niż europejskim. Baśniowe opowieści Starego Kontynentu cechują się nie świętością, a pokrewieństwem z filozofią.

Druga różnica międzykontynentalna dotyczy początku i końca baśni. W Europie opowiadamy: *Za górami, za lasami*. W Azji inaczej: *Był sobie król*. Nasz początek objawia ciekawość świata, ich początek jest oświadczeniem natury politycznej. Finały bajek też dają do myślenia: u nas *Zyli długo i szczęśliwie*. W Azji baśń kończy się horrorem: *On ginie, a ona skacze za nim w ogień* (jako kobieta *sati*). W Europie musi być happy end, w Azji – prawda ostateczna. Baśnie braci Grimm są okrutne, bo wyrosły na tematach staroindyjskich. W Europie dzieci się nie straszy, w Azji – i owszem.

Trzecią różnicę tworzą gatunki, które wyrosły z baśni. W Europie jest to teatr, a także gawęda będąca rodzajem reportażu mówionego. Także – potem – podanie (legenda oparta na micie) i saga (islandzka). W Azji to epepeje jak *Mahabharata* czy *Ramajana*, które same będąc baśniami, dały początek wielu innym baśniom, filmów Bollywood nie wyłączając

Melodii z baśni nie wywiedziesz, chyba że baśń jest poezją śpiewaną. W tradycji staroindyjskiej opowiadać

znaczyło śpiewać. Łatwiej wtedy zapamiętuje się tekst. W tradycji polsko-litewskiej z pobliza sanskrytu zapisano się dzięki Mickiewiczowi improwizacja, czyli pełne natchnienia wyznanie metafizyczne, zwane gdzie indziej objawieniem (jak *Koran*).

„Trzeba tu odróżnić starannie, co było u Słowian istotnie własnym, narodowym, a co wzięli i przyswoili od obcych. Wyobrażenia ich religijne pozostały czyste, ale niektóre nazwiska i rzeczy albo wniesione przez ludy, nadchodzące później z Azji, albo pożyczone u sąsiadów, zamąciły jedność pojęć słowiańskich. W języku i tradycjach znajdujemy już zabytki indyjskie. Bóstwo Trygław widocznie jest to samo co Trimurti Indyan, Żywie i Marzanna czyli pierwiastek życia i śmierci, mają podobne brzmienie w sanskrycie; wyrazów tych nawet nie można zrozumieć bez znajomości mowy słowiańskiej. Trudno na karb samego przypadku policzać takie zejścia się słów i znaczeń. Jakim że sposobem wyrazy te przeleciały ogromną przestrzeń, dzielącą siedzibę Słowian od Azji Środkowej? Wyszli-ż oni z tamtych okolic, kiedy już braminizm w nich panował – albo skądinąd zachwycili te słowa? Zagadkę rozwiązuje się łatwo, skoro zważymy podobieństwo języka litewskiego z sanskrytem”<sup>2</sup>.

Ceremonię Dziadów, tak wiele znaczącą w tradycji teatru polskiego, opisuje Maria Rodziewicz<sup>3</sup>. Mowa w opisie o odwiedzinach cmentarnych i ucztowaniu na mogiłach, wzywaniu duchów i wróżeniu. Tradycja rzymsko-katolicka nie zachowała Dziadów. Co nie przetrwało w zwyczajach, obecne jest na scenie dzięki Adamowi Mickiewiczowi.

Baśnie europejskie pisane były dla dzieci, staroindyjskie – dla dorosłych. Czasami jednak i jedne, i drugie wymykały się wyobraźni słuchaczy – w Europie dziecięcej, a w Azji – plebejskiej. U nas w Polsce różnie z tym bywało. *Klechdy sezamowe* i *Przygody Sindbada Żeglarza* pisał Leśmian nie dla dzieci. Natomiast Andersen tworzył dla siebie, żeby uciec w marzenia od koszmaru nędzy. Pisał wiele. Pozostawił głównie poezję i dramaty, także drobiazgowy dziennik, ale to nie one przetrwały. Leśmian pisał niewiele. Pozostawił wspaniałą, baśniową poezję.

2 A. Mickiewicz, *Literatura Słowiańska Rok I i II, lekcya VII*, w: *Dziela prozą*, nakładem Komitetu Mickiewiczowskiego Nowogródek 1933 s. 22.

3 M. Rodziewicz, *Dziady wiosenne czyli piąty dzień po Wielkiejnocy*, w: Z. Gloger *Rok polski w życiu, tradycji i pieśni*, reprint, Biblioteka Narodowa De Agostini 1900/2012 s. 214.

1 W. Propp, *Morfologia bajki*, KiW, Warszawa 1976.

## Źródła

Autorem prawdziwych baśni czy bajek jest lud, co słycać w języku. Musi być tam wszytkowiedzący narrator, czyli bóg. Bóg pochodzi od Bhaga, boga mitologii staroindyjskiej, drugorzędnego zresztą. Jego pozycja rosła z czasem, aż stał się pod każdym względem Najważniejszy i Najwspanialszy, tak doskonały, że brakło słów, dlatego w judaizmie stał się Niewymawialnym Jahve (Jehova). Na Jego cześć układano hymny, a niektóre utwory – jak w islamie – dyktował sam. Literatura i religia stały się nawzajem sobie pomocnymi. Mojżeszowi powiedział „Jestem kim jestem”. W liczbie mnogiej wystąpił jako Elohim. Książd Benedykt Chmielowski<sup>4</sup> spisał imiona Boga nie wiedząc wtedy jeszcze, że wszyscy prorocy byli Azjatami: Alfa&Omega, Dominus, Deus, Dieu, Gott, Ałta.

Adam Hanuszkiewicz<sup>5</sup> zapytany o źródła teatru, odpowiedział: bajka. W Indiach źródłem teatru jest mit, któremu poświęcono traktat encyklopedyczny *Natjaśastra*<sup>6</sup>. Jest to pierwsza w świecie encyklopedia teatralna, która wywodzi teatr od relacji o świętym pra-cudzie. Pierwszym spektaklem było stworzenie świata. Prof. Byrski uważa, że teatr staroindyjski istniał już przed przybyciem Arjów do Indii, a źródła tego ni to jarmarku ni to święta upatruje w wedyjskim rytuale ofiarnym. Nasuwa się skojarzenie ze źródłami teatru starogreckiego odkrytymi w obrzędach i rytuałach ku czci Dionizosa. Stąd blisko już do spostrzeżenia Ennis Rees<sup>7</sup>, że baśnie czy bajki starożytnych Indii i Chin mają swoje odpowiedniki w kulturze starożytnych Grecji i Rzymu.

Indusi lubią się powoływać na tezę orientalistów z Sorbony z początku XIX wieku, że źródłem wszechrzeczy są Indie. Nie da się jednak nie zauważyć, że traktat o sztuce rządzenia *Arthaśastra* Kautiliji ukazał się dwa i pół tysiąca lat przed *Księciem Machiavelego*. Nie da się też nie zauważyć, że bajkę opowiada się dużo łatwiej niż dzieło polityczne. Baśń była pierwsza. Pierwsza przed teatrem i pierwsza przed mitem. Mit bowiem trzeba było opowiedzieć. On już istniał. Został stworzony przez bogów. Do opowiadania stwórcy wyznaczili mistrzów ceremonii, a w Indiach braminów. Podobieństwo mitów o początkach teatru budzi zastanowienie. W Indiach niebianie – pod dowództwem Indry – walczyli z ziemianami. W Grecji Dionizos walczył po stronie Zeusa przeciwko Tytanom. Widać podobieństwo Dionizosa (radość i lęk) do Śiwy (odrodzenie przez zniszczenie).

Ale nie możemy szukać genezy baśni posługując się baśnią. Baśń pojawiła się w miejscu, w którym powinna się była pojawić religia, czyli boska interpretacja zjawisk, a potem na jej miejsce lub równolegle telewizja, może internet. Baśń przekazywano ustnie, dlatego w Indiach nie matematyka była królową nauk, a gramatyka, nauka o instrumentach i sposobie przekazu. Natomiast matematyka przysłała w sukurs teatrowi. Szczęście plus nieszczęście to zero – pisze Byrski. Tak zapewne przedstawiała się starożytna dialektyka w dramatach sanskryckich. U Aischylosa<sup>8</sup> jest to pierwiastek kobiecy wrogiej męskiemu.

4 B.Chmielowski, *Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej Scyencyi pełna*, P.I.Golczewski Lwów 1745.

5 W rozmowie dla tygodnika studenckiego „ITD”.

6 *Dramat staroindyjski*. Przekład, wstęp i opracowanie Maria Krzysztof Byrski, Ossolineum, Wrocław 2017.

7 E. Rees, *Fables from Aesop*, Oxford University Press, New York 1966.

8 Aischylos, *Tragedie. Przełożył i opracował Stefan Srebrny*, PIW, Warszawa 1954.

Prawzór baśni da się opowiedzieć w kilku słowach. Słowa te przy kolejnych powtórkach powinny ułożyć się w aforyzm. Depesza prasowa daje początek reportażowi. I sugeruje dalszy ciąg treści. Dziś ten prawzór przybrał formę sms-u. A jeśli autor, tak samo anonimowy jak w starożytności, ma trochę wyobraźni przestrzennej, mamy kilkusekundowy film. García Márquez na takie scenariusze proponowane przez jego studentów w Hawanie odpowiadał: „oto jest literatura”.

Że baśń opowiadana przez jedną osobę była początkiem teatru, świadczy podkreślony przez Stefana Srebrnego fakt, że Aischylos wprowadził kolejnego (drugiego) aktora w *Błagalnicach*. Ten najstarszy, jaki posiadamy, utwór teatralny przynosi jeszcze jedno odkrycie. Że baśń będąca pra-scenariuszem *Błagalnic* zawiera przykazanie obecne do dziś w afgańskim *Pusztunwali*, kodeksie etycznym: szanuj Boga, szanuj rodziców, szanuj gościa. Tu chodzi przede wszystkim o gościa, któremu należy się ochrona, jeśli o nią poprosi, choćby był wrogiem.

Skoro mowa o plemionach, warto ten wybór zacząć od baśni Santalów, plemienia żyjącego do dziś dżiko w rejonach Orissy, Bengalii i Biharu. Została zapisana przez badacza indyjskiego Indu Roya Chaudhury’ego<sup>9</sup>. Prawdopodobnie jest utworem niewiele odbiegającym od pierwowzoru, bo Santalowie nie mieli jak poddać się wpływom i naleciałościom, których nie da się uniknąć, jeśli żyje się w mieście, a nie w lesie. Autorzy tej opowieści od razu chwycili byka za rogi, co w narracji indyjskiej ma swoje, dodatkowe znaczenie, gdyż byk był i jest wierzchowcem Śiwy. Za temat obrali stworzenie świata, co nie zdarza się w innych baśniach. Jeśli gdzie indziej mówi się o prapoczątkach, to w tekście świętym, nie w baśni. Znaczy to, że teksty święte są młodsze od baśni, znacznie cięższe od niej i znacznie bardziej skomplikowane konstrukcyjnie. Oto zatem „biblia” Santalów:

## Początek świata

„Kiedy nie było ani mężczyzny ani kobiety, zwierząt ani ptaków, drzew ani gór, cały ten wielki świat wokół nas był tylko wodą wszędzie. W niektórych miejscach zachowywała się jak niebieska tafla, a gdzie indziej ryczała potężnie wzbudzając pienne fale. Nie było życia, które mogłoby podziwiać naturę.

Thakur<sup>10</sup> Jiu czyli Thakur Baba<sup>11</sup> (najwyższy z Bogów) pomyślał: „Świat Jest wielki, ale gdzie żywe stworzenia?” I tak Bóg stworzył kilka zwierząt wodnych - krokodyla i żółwia. I wtedy pomyślał o stworzeniu mężczyzny i kobiety. Wziął trochę błotnistej ziemi z kałuży i uczynił dwie formy człowieczego kształtu. I kiedy Thakur Jiu zamierzał tchnąć w nie życie ludzkie, wielki dziki koń spadł nagle z palącego słońca i kopnął ulepione figury tak, że się rozpadły na kawałki. Konia wysłał Bóg-Słońce, który nie życzył sobie żadnych mężczyzn i kobiet na świecie.

Thakur Jiu pomyślał raz jeszcze: zanim stworzę ludzi, niech będą jakieś ptaki, które zatrzepoczą skrzydłami, niech się stanie solidny grunt, niech będą drzewa i krzewy. Bo jak i gdzie ptaki uwiją sobie gniazdko?

I Thakur Jiu kazał krokodylowi, languście i wielorybowi przypłynąć z ziemią i utworzyć brzeg. Ale jak tylko

9 I.R.Chaudhury, *Folk Tales of the Santals*, Sterlig, New Delhi 1979.

10 Znak kastowy będący nazwiskiem Radźputów, królewskiego plemienia w Radźastanie.

11 Baba – ojciec.

stwory umieściły cząstki ziemi na powierzchni, woda zmywała je precz. To był problem.

Thakur Jiu rozkazał dżdżownicom pojawić się z ziemią i złożyć ją na pancerzu żółwia. Poprosił go, żeby ten pływał po powierzchni. Żółw postąpił, jak mu kazano a wtedy dżdżownice, żrąc dno i przepuszczając je przez siebie, wypchnęły ziemię od tyłu na jego pancerz. W ten sposób niezliczone mnóstwo żółwi i dżdżownic pracowało dzień i noc, i podniosło dno na powierzchnię. I wtedy Thakur Jiu stworzył parę wielkich ptaków, wiele drzew wysokich i potężnych, i wiele krzewów.

Oto w jaki sposób zrodziły się świat i ziemia. Wtedy Thakur Jiu polecił ptakom, żeby uwiły gniazda. Ptaki zastosowały się do tej instrukcji. Zostały złożone dwa wielkie, lśniące jaja. I kiedy skorupki pękły od wewnątrz, wyszli na świat uśmiechnięty chłopiec i piękna dziewczynka. Wystraszyło to ptaki, które załopotwały skrzydłami i poleciały do Thakura Jiu. „Oh, Thakurze Jiu, przybądź i zobacz. Jaja nie wydały ptaków. Wtedy Thakur Jiu uśmiechnął się i powiedział: „Tak, wiem, urodzili się chłopiec i dziewczynka, ale staną się mężczyzną i kobietą”.

Podrośli i stali się znani jako Pilchu-Haram i Pilchu-Burhi<sup>12</sup>. Byli zupełnie nadzy. Thakur Jiu sporządził mocny napój, który wypili. Zaznali poczucia wstydu, zrobili sobie ubrania ze skóry i żyli jak mąż i żona.

Mieli wiele dzieci a każde stało się głową rodu. Znani są jako Santale. Ziemia zrobiona przez żółwie i robaki okazała się dla nich za mała. Santale zaczęli emigrować, a tymczasem ich ziemia stała się trochę większa. Oto w jaki sposób stworzeni zostali świat i Santale.

Dzieci mnożyły się i nadmiar ludności zaczął przenosić się z miejsca na miejsce. Przez pewien czas żyli w pobliżu Harat<sup>13</sup>, po czym przenieśli się na płaskie nabrzeża rzeczne, gdzie rośnie kurkuma. Brzeg rzeki to w ich języku *beda*, kurkuma to *sasan*. Ich ojczyzną stał się Sasan-Beda. Tam Santale podzielili się na plemiona i ruszyli w świat, mając przed sobą bardzo wysokie góry<sup>14</sup>. Starając się przez nie przejść, o mało nie wyginęli do szczytu. Pasma górskie było tak wysokie, że trzeba było sporo czasu od przedpołudnia, żeby można było zobaczyć słońce – dowód na to, że szli na wschód, aby uniknąć trudności w przechodzeniu przez góry. Modlili się do Wielkiej Góry. Szli i szli, i w końcu doszli do krainy Čai, skąd ruszyli do Čampa.

Santalowie panowali nad tym krajem długo i żyli w pokoju z hindusami, a nawet pomogli Ramie w wojnie z Ravaną<sup>15</sup>.

Santalowie modlili się do Thakura, Boga. W dawnych czasach ryż rósł obłuskany, a krzaki bawełny kwitły gotowymi sztukami utkanego materiału. Santalowie byli czysti. Nie musieli iskać sobie nawzajem wszy. Ale służąca, którą zatrudnił Radża Čhampy, znana była z niechlujstwa. Kiedy sprzątała wokół obory, wycierała ręce w sukienkę. Jadła rankiem ryż nie dbając o to, czy jest oczyszczony. Thakur-Ojciec zezłościł się i rozkazał, aby ryż rósł w łuskach, i żeby bawełna kwitła suro-

wym puchem, który człowiek będzie musiał przerabiać na nitki.

W owych dobrych dawnych czasach niebo wisało nisko nad ziemią, a Thakur-Ojciec odwiedzał czasem mieszkańców kraju w ich domach. Polecił im, aby nie wyrzucali talerzy-liści przed próg gdzie popadnie i żeby nie zostawiali naczyń brudnych do następnego dnia. Ale któreś nocy dostrzegł górę nieposprzątaną talerzy-liści przed drzwiami domów. Zezłościł się i przestał odwiedzać swoje dzieci tak często. Ale mężczyźni nie przejęli się tym i po dawnemu składali brudne liście na kupę przed drzwiami. Thakur postanowił ich zniszczyć.

Thakur Baba to Sing Chando czyli Słońce. Księżyc był jego żoną, a gwiazdy – dziećmi. Słońce tak wściekle przygrzało, że ludzie i bestie wijąc się z bólu zaczęli modły. Księżyc poprosiła Thakura Babę, żeby nie palił wszystkich mężczyzn. Ale Słońce powiedziało, że obiecało sobie zniszczyć ich wszystkich i zachować rasę. Wybrało chłopca i dziewczynę, i kazało im pójść do jaskini w zboczu góry. Wejście było zastonięte surową skórą. Jedyne ci dwoje przetrwali pożar, który trwał pięć dni i nocy, paląc na śmierć wszystkich pozostałych.

Dwoje tych, co przetrwali, stworzyło nową rasę. Księżyc była dla nich bardzo miła i ochroniła nowonarodzone dzieci chowając je w dużym koszu, którego wieko zasmarowała gliną. W ten sposób Santalowie przetrwali i są dziś twardym narodem o prostych zwyczajach i radosnej naturze”.

## Śiwa i Woda

A więc horror i zniszczenie w płomieniach, czyli typowe zakończenie większości bajek staroindyjskich. Słońce Santalów to trochę cech Śiwy hindusów. Bóg Śiwa niszczył, aby odrodzić to, co zniszczył. W Europie zadamy praktyczne pytanie: po co niszczyć? Nie można zostawić w spokoju, wtedy na jedno wyjdzie? Otóż w Azji takich pytań się nie zadaje. Jeśli Bóg spalił, to widocznie tak miało być, bo życie to śmierć i narodziny, i śmierć i narodziny czyli ćakra.

Początek, jak wiele tekstów świętych różnych wyznań, ma związek z wodą. *Popol Vuh*, *Enuma Eliš*, *Gilgamesz*, *Koran*, *Kalevala*, *Atharwaweda*, *Biblia* to księgi, w których woda pojawia się najdalej w siódmym wersie. Z drugiego zdania *Genezis* wynika, że woda była już, zanim Bóg stworzył niebo i ziemię. Znaczy to, że jest przedwieczna. I ludzkość przyzwyczaiła się do takiego jej traktowania. Skoro była zawsze to i będzie zawsze.

W „biblii” Santalów już się nie pojawia inaczej, jak *implicite*. Noworodek chowany jest w koszu, który zapewne wrzucił się jak Mojżesza i wiele innych świętych noworodków do wody. Inne składowe elementy narracji jak Słońce, Księżyc i Gwiazdy, lepienie człowieka z gliny, pojawiają się wszędzie. Bajka Santalów dźwiga wątek dydaktyczny – czystość. Ogranicza się on co prawda do czystości naczyń, czyli wielkich liści bananowca, ale mógłby służyć dziś nawet jako reklama płynu do prania Vizir.

Pierwsi ludzie, jak w raj, chodzą zupełnie nago. Można ich okryć skórą zwierzęcą. Widać pierwotną dzikość człowieka. Krowa je trawę i przerabia ją na biało, my jej zabieramy połędwicę czyli gotowe mięso. Wilk ma skórę, futro. My nie mamy. Zabieramy gotowe futro wilkowi, obdzierając go ze skóry. Santalowie przyszli na świat przed wyznawcami buddyzmu („Żyj i daj

12 Imiona santalskie nie występują w słownikach imion ani znaczeń, pojawiają się natomiast i to dopiero dziś w nazwach grup muzycznych w północno-wschodnich Indiach.

13 Prawdopodobnie wzięte z arabskiego, co znaczy „kłopot”. Santalowie żyją na pograniczu Bengalu, którego część wschodnia (dziś Bangladesz) zamieszkała jest przez wyznawców islamu. Stąd naleciałości językowe.

14 Zapewne Himalaje.

15 Bohaterowie *Ramajany*.

żyć innym”). Na szczęście w dżungli Santalów nie było krów ani wilków, jak w Europie. Były natomiast pożary lasów trwające dni i noce, jak dziś w Australii.

Przyjrzyjmy się teraz, jak powstał Czas.

Był sobie król – to już jest czas. Ktoś był. Słychać rozciągłość chwili. Nie można być tylko ułamek sekundy. Musi być tego „bycia” więcej.

Czas to obok aktu stworzenia wartość pojawiająca się we wszystkich tekstach – od mitu, baśni, bajki, pisma świętego, prasy do literatury eschatologicznej. Nie ma opowieści czy książki, w której nie byłoby czasu. Ponieważ świat jest dynamiczny, a nie statyczny, wszystko się w nim rusza, to znaczy, że zmiana będzie jednym z wyznaczników określających istotę czasu. Przyjmujemy, że czas jest wszędzie, ale już samo „jest” budzi powątpiewanie, bo odnosi się ono do czegoś, co ma być. Jeśli tak, to czy poprawne będzie zdanie-pytanie: czy m a j e s t c z a s ?

## Czas

Santalowie zaczynają od podziału czasu na dzień i noc<sup>16</sup>.

„Na początku świata nie było księżycyca. (Księżyc wskazuje nazwiskiem pochodzenie od ojca księdza lub księcia. Być może także od książ-ki). Na niebie było jedynie słońce, które nigdy nie zachodziło.

Pewnego dnia Najwyższy zszedł na świat i zauważył, że człowiek uprawia pole. Mężczyzna nie zdawał sobie sprawy z tego, że przygląda mu się Najwyższy, który przybrał postać ludzką. Bóg spytał: Kiedy obrobiłeś to pole? Człowiek odpowiedział: uprawiam je teraz. Bóg znowu spytał: kiedy obrobiłeś sąsiednie pole? Mężczyzna odpowiedział: uprawiam je teraz. Najwyższy zapytał: kiedy obrobiłeś te dalsze pola? Mężczyzna odrzekł: obrabiam wszystkie te pola jednocześnie, Panie.

Bóg miał przed sobą łamigłówkę. Spostrzegł Najwyższy, że są tam duże liście, z których ktoś jadł. Bóg spytał: kiedy jadłeś z tych wielkich liści? Mężczyzna odpowiedział: teraz. Wtedy Bóg wskazał na kilka suchych, wielkich liści i zapytał człowieka, kiedy z nich jadł. Teraz – odpowiedział mężczyzna. Łamigłówka zdawała się być coraz bardziej skomplikowaną. Wtedy zapytał: kiedy pracujesz, a kiedy odpoczywasz? Człowiek odpowiedział: pracuję i odpoczywam teraz. Nie ma innego czasu niż „teraz”. Kiedy więc miałbym odpoczywać? Wtedy Bogu otworzyły się oczy. Pomyślał, że musi coś zrobić, żeby człowiek miał kiedy pracować i kiedy odpoczywać. I powiedział mu: będziesz miał wiele czasu, aby odpoczywać. Zrobię tobie noc, żebyś mógł spać.

Mężczyzna odrzekł: „Nie wiem, Panie, co to takiego noc i kim jesteś, żebyś mógł ją zrobić”. Najwyższy uśmiechnął się i zniknął. Bóg wysłał po słońce. „Nie możesz świecić bez przerwy. Jeśli nie przestaniesz, nie będzie różnicy między czasem, kiedy człowiek pracuje, kiedy je i kiedy odpoczywa. I jeśli tak to pójdzie dalej, człowiek umrze z przepracowania. Musisz chować się na tyle czasu, ile świecisz. Kiedy znikniesz, człowiek nie będzie niczego widział i odpocznie”.

Od tego czasu słońce zaczęło się chować wieczorem. Nad ziemią zapadała ciemność. Człowiek dziwił

się. Nic nie widział i nie pozostawało mu nic innego, jak kończyć pracę. Ale ciemność sprawiała, że człowiek wpadał do rowów i wylaził z nich potłuczony. Zaczął pracować teraz od rana i kończył z zachodem słońca.

Bóg znowu zszedł do człowieka i powiedział: „Teraz już wiesz, co to takiego noc. Kiedy jest jasno, pracujesz, kiedy robi się ciemno, odpoczywasz. A rano znów zaczynasz i wieczorem znów odpoczywasz”. I wtedy człowiek zrozumiał, że przychodził do niego Sing Bonga<sup>17</sup> – Bóg Najwyższy. Człowiek pozdrowił Go po swojemu i rzekł: „Panie, rozumiem, mówisz o »poranku« – co to takiego jest?” Bóg odparł: „Nazywam »dziś« czas światła, dopóki nie nadejdzie noc. A »porankiem« jest czas, który przychodzi po nocy”. Człowiek pozdrowił Go ponownie i powiedział: „Panie, teraz wiem. Będę pracował i odpoczywał zgodnie z Twoim przykazaniem, ale jest pewien mały szkopuł”. „Co to za szkopuł”, zapytał Bóg. „Panie, kiedy nadchodzi noc, przestaję pracować, i wpadam więcej niż raz do rowu. Jest ciemno. Jak mogę wrócić do domu bezpiecznie na positek?”

Bóg zdał sobie sprawę z ograniczeń, jakie przyniosły wprowadzone przez niego zmiany. Pomyślał, że trzeba wprowadzić jakieś inne zasady podziału. „W porządku, sprawię, że zacznie przychodzić księżyc i trochę ci poświeci, żebyś mógł chodzić także w nocy”. I Bóg zniknął.

„W taki to sposób pojawił się księżyc na niebie i świeci w nocy”.

A my powiemy teraz: w ten sposób pojawił się koncept pierwszego zegara na świecie, tej samej marki w każdej kulturze. Podział na dzień i noc nie wymagał żadnych przyrządów. Wystarczyło ludzkie oko. Stąd daleko jeszcze do baśni zaczynającej się od słów „Dawno, dawno temu”. W literaturze staroindyjskiej nie ma jej zresztą w ogóle, bo czas tam jest kołowy. Dziś znaczy wczoraj. W takiej sytuacji nie może być „dawno”.

Gdzie tu horror? Ano czas to lęk przed śmiercią. Większego horroru nie ma.

Barbara Adam<sup>18</sup> w monografii *Czas* podaje, że ludzie pierwotni obserwowali najpierw Księżyc, a potem dopiero Słońce. Można to wyjaśnić niedoskonałością pierwszego teleskopu czyli oka. W księżyc można było wpatrywać się godzinami, słońce paliło w oczy. Nie dawało się dłużej niż moment patrzeć prosto w słońce.

Dzięki wnioskowi z obserwacji mówiącej, że czas płynie w rytmie: dzień-noc-dzień-noc i tak w koło, człowiek pierwotny zwrócił uwagę na policzalność, czyli bierną cechę czegoś, co dało się zaobserwować jako podobieństwo rzeczy, które nie istnieją w jednym egzemplarzu. Tak zaczęła się matematyka. Mnogość i powtarzalność to pierwsze rachunki. Do tego potrzebna była koncepcja niczego. „Nic” Indusi oznaczyli kropką, która potem urosła do okręgu czyli zera.

## Sygnaly i znaki

Arytmetyka jako nauka praktyczna pojawiła się najpewniej wraz z opowieścią, czyli literaturą. Opowieść przekazywano ustnie (powie-ść – powie-dzieć). Znaki, kolejne kreski wycinano na kiju czy na ścianie. Żeby coś opowiedzieć, trzeba było znać mowę. W Indiach ma ona swoją boginię – Wać. Pierwszym sygnałem głosowym człowieka jest płacz dziecka. Tego nie można zapisać.

<sup>16</sup> Zanotował to cytowany już Indu Roy Chaudhary, który zresztą zwraca uwagę na fakt, że baśnie Santalów notowali przed nim skandynawscy misjonarze w XIX wieku. Do tego dodaje, że badacz folkloru T. Benfey postawił tezę w 1859, iż na każdej baśni europejskiej widać stempel indyjski.

<sup>17</sup> Bonga znaczy duch.

<sup>18</sup> B.Adam, *Czas, Sic!* Warszawa 2010 s. 126.

Można co najwyżej naśladować lub przedrzeźniać. Drugim sygnałem jest krzyk. Tego też nie da się zapisać. Trzecim będzie zapewne śmiech. Dzisiejsza sztuka, zwłaszcza plakatu, potrafi oznaczyć te trzy rodzaje ekspresji. Do tego potrzebny jest pomysł na skrót. Ale jak skracać coś, co jest krótkie? W baśniach staroindyjskich mamy opis mowy jako środka komunikacji, najpierw człowieka z Bogiem. W *Genesis* mowa pełni funkcje twórcze w rozumieniu dosłownym: I rzekł Bóg: „niech będzie światłość”. Do kogo rzekł? Do nikogo. I do niczego. I stała się światłość. W baśni Santalów światło, a właściwie brak światła, też jest skutkiem mowy a właściwie roz-mowy, wieśniaka z Najwyższym.

Ile musiało upłynąć czasu, żeby trzy podstawowe ekspresje używające dźwięku przekształciły się w potoczny strumień informacji? Pisma święte mówią o człowieku, jak gdyby urodził się z darem mowy, której nie trzeba się uczyć. A przecież wiadomo z własnych obserwacji każdego rodzica, że pierwsze słowa dziecka to twórczość najpierw naśladowcza, potem samorodna.

Pierwszy człowiek zapisywał najpierw kreski, a potem zmieniał ich położenie i tworzył z nich obrazki, czyli ideogramy.

### Uczucie, ogień i prawo

Mamy zatem poza wodą, aktem stworzenia i czasem – pierwszy znak pokazujący zdolność liczenia i tworzenia pierwszych słów, a także obrazów czy nawet historyjek obrazkowych.

Jak zapisać miłość, wcześniej zapewne lęk, który jest źródłem religii, rozpacz, może zadowolenie, radość, może rozkosz? To uczucia lub wrażenia. Przychodzą same, nie można się ich nauczyć. Nie my je odkrywamy. One odkrywają nas.

Zanim znajdziemy baśnie o kochaniu, parę słów o ogniu (w sanskrycie *Agni*). Służył on nie tylko miłości (płomiennej), lecz wcześniej – do gotowania i wypalania naczyń. Liść-talerz pojawia się jako pierwszy statek w „kuchni”, bo jedną z pierwszych potrzeb jest jedzenie. Ogień pod postacią błyskawicy przyszedł z nieba i zapalił las. Dotarł do jaskini i spalił to, co było przygotowywane do jedzenia. Tak pojawiła się pierwsza potrawa smażona czy gotowana w wodzie. Nadto – był już chleb i deszczówka, czyli woda spadająca z chmur. Tak powstało piwo.

### Jak pojawił się ogień?

„Pewnego dnia wielki bóg (birmański z Mjanmaru) Wa Magum zszedł do Górnej Doliny nad rzeką Irawadi i urządził sobie spacer, gdy tu nagle bóg ognia zjawił się przed nim i zaczął tańczyć. Po chwili jego hołubczyce podpalił ułamane gałęzie drzew. Dwaj bogowie leniwie przyglądali się płomieniom, które radośnie migotały ku uciechu psotnych chłopców.

Z drugiego brzegu rzeki przyglądali się temu dwaj przyjaciele, którzy nigdy nie widzieli ognia ani dymu. Z czystej ciekawości wskoczyli do wody starając się przepłynąć rzekę. Jednego porwał prąd, drugiemu udało się wyjść na brzeg. Przemoczony i drżący z zimna spojrzął na bogów i ogień. Kiedy się osuszył i odzyskał oddech ogrzany ciepłem ogniska, poprosił wielkiego boga Wa Magum aby mu pozwolił wziąć płonącą głownię na drugą stronę rzeki. Wa Magum milczał chwilę, po czym rzekł: bóg ognia jest kapryśny, będzie ci trud-

no zapanować nad nim. Innymi słowy ogień jest niebezpiecznym darem, który może przynieść także nieszczęście i zniszczenie. Muszę cię więc uprzedzić, że trzeba być zawsze ostrożnym z ogniem.

Chłopiec z radością wyciągnął głownię z ogniska i ruszył ku rzece. Zręcznie związał tratwę i popłynął w dół. Wtedy wielki bóg Wa Magum krzyknął: Wieśniaku, jeśli ogień zgaśnie, musisz zawołać mężczyznę, którego imię zawiera „tu” i kobietę, której imię zawiera „htu” i daj im potrzeć o siebie dwa kawałki bambusa. Wieśniak usłyszał te słowa i uśmiechnął się. Powiedział: ja nigdy nie pozwolę temu cennemu darowi zgasnąć. Kilka mil niżej zobaczył swego opuszczonego przyjaciela, który siedział na brzegu. Podpłynął tratwą do niego i razem ostrożnie ponieśli wciąż rozżarzoną głownię do wioski. We wiosce rozdmuchali żar i wezwali mieszkańców, aby podziwiali cudowny płomień. Wieśniacy zaczęli tańczyć wokół ognia, grzejąc się przy nim coraz śmieiej i każdy wziął płonącą gałązkę i poniósł ogień do swego domu. Wkrótce nauczyli się przyrządzać na ogniu posiłki. Dwaj przyjaciele uznani zostali za bohaterów.

Minęły długie miesiące zimy i ludzie nie musieli już grzać się przy ogniu. Wiejskie ognisko zostało zapomniane i dogasało. W domach ludzie ciągle używali ognia do gotowania i kiedy dni stawały się coraz gorętsze, nie musieli już siadać blisko paleniska. Wkrótce niewygasły węgielek strzelił w bok i podpalił cały dom. Płomienie przeniosły się na inne domostwa i cała wioska spłonęła. Poirytowani wieśniacy przekleli ogień i wypędzili przyjaciół, którzy go przynieśli. Po kilku dniach ludzie zdali sobie sprawę z tego, że nie mogą już jeść surowych potraw.

Kiedy przyszła zima, poszli do lasu szukać przyjaciół, którzy zamieszkali poza wsią. Znalazłszy ich zaczęli prosić o ponowne zdobycie ognia. Przyjaciele popłynęli na drugą stronę rzeki, ale nie spotkali tam już ani bogów, ani ognia. Przygnębieni powrócili do wioski, która znów pogrążyła się w zimnie i mroku. I wtedy jeden z przyjaciół przypomniał sobie słowa boga. Zwołał wszystkich mieszkańców, wybrał mężczyznę, którego imię zawierało „tu” i kobietę, której imię zawierało „htu” i polecił im trzeć bambus o bambus. I hej, w ciągu kilku chwil trysnęły iskry, a kawałki bambusa stały się pochodniami<sup>19</sup>.

Warto dostrzec, że baśń ta zbudowana jest z elementów, które według Proppa tworzą każdą bajkę. Jest tam więc Bóg bohater, drugi bóg – dawca magicznego ognia, nakaz (pilnowania ognia), bracia lekkomyślni, praktyczna nauka krzesania ognia.

W Myanmarze mówi się kilkunastoma językami<sup>19</sup>, więc lepiej uznać, że „tu” i „htu” to dźwięki magiczne i że nie mają żadnej znaczeniowej mocy. Maung Htin Aung<sup>20</sup>, którego środkowe imię bliskie jest znaku „htu”, zwraca uwagę na coś wyjątkowego: jeden z sześciu typów baśni birmańskich jest zbiorem praw. Pozostałe to baśnie o zwierzętach, baśnie o cudach, baśnie zawierające przysłowia (to już jest bliskie praw), baśnie o dowcipach (czyli tzw. kawały) i baśnie o duchach. Baśń o ogniu najwyraźniej nie pasuje do żadnej grupy. Powiedzmy, że jest to baśń o wiedzy praktycznej.

<sup>19</sup> Są to języki etnicznych grup Arakanesów, Monów, Chinów, Kachinów, Shanów, Karenów i Kayahów. Monowie i Shanowie są grupami odmiennymi, reszta mówi językiem birmańskim, który należy do grupy tybetańsko-birmańskiej.

<sup>20</sup> Maung Htin Aung, *Folk Tales of Burma*, Sterling, New Delhi 1983.

Baśnie birmańskie cechuje poczucie humoru. Te o duchach mają nie straszyć słuchacza, a dziwić go. Birmańskie prawo było zwyczajowym. W początkach naszej ery, kiedy tworzyły się etnie birmańskie, robotą sędziów obarczano starszych wiosek, którzy posługiwali się prawem baśni. Było to coś w rodzaju angielskich zasad precedensu. Starszy żył dłużej, przeto – zakładano – pamiętał więcej.

Pora już zapytać, w jaki sposób przekazywano baśnie. Opowiadanie mówi o tym, co się zdarzyło. Baśń opowiada zaś o cudzie, czyli o tym, co mogło się przydarzyć jedynie za sprawą mocy nadprzyrodzonych. Mówi też o czarach, czyli o sposobach wywoływania zjawisk przez osoby lub przedmioty wyposażone w zdolność sprawiania dziwów. Tak czy owak opowiadanie lub baśń pojawiały się w przestrzeni międzyludzkiej. Gdyby człowiek żył w pojedynkę i nie rozmnażał się dzięki mocom własnym lub bocianim, jak po orgiach Kupaty, nie powstałaby kultura. Zatem mamy pomysł i potrzebę podzielenia się nim, mamy przestrzeń i słuchacza. W czasach pierwotnych tworzyć znaczyło mówić. Zbiór bliskich (krewnych i sąsiadów) używał miejsca i światła, to znaczy izby lub przyzby i ognia. Opowiadacz za swoje opowieści, a czasem brednie, dostawał honorarium (na Białorusi jeszcze na początku zeszłego wieku było to jedno jajko). Był to zatem prawnik teatru i telewizji.

### Konstrukcja

W pierwszych baśniach narrator od razu bierze byka za rogi. Nie ma tam niepotrzebnego tworzenia pięt, które opisywałyby najpierw miejsce opowiadania: zebraliśmy się pod wielkim drzewem i zapalili ogień. I przyszedł Opowiadacz. I Opowiadacz rzekł: pewnego razu Król powiedział.

W pierwszych opowiadaniach Król od razu powiedział: A najlepiej jeśli to Bóg od razu powiedział, bo wtedy mamy nie tylko początek kultury, ale i początek religii:

„Wielki Bóg wezwał Boga Nieba i Boga Deszczu i oznajmił: mimo że stworzyłem ten świat, to jednak nie chcę nim rządzić. Wyznaczam do tej roli was dwu. Zdecydujcie, czy będzie rządził jeden z was, czy będziecie rządzić obydwa. Dwaj bogowie obiecali zastanowić się nad tym i odeszli.

Bóg Deszczu powiedział do Boga Nieba: „sądzę, że powinienem rządzić światem sam, bo ludzie modlą się do mnie”. „Nie zgadzam się, przyjacielu” – odparł uprzejmie Bóg Nieba. „Ludzie modlą się do ciebie tylko wtedy, kiedy pragną deszczu, a do mnie modlą się cały czas. Ponadto jesteś dla nich widzialny tylko pod postacią chmur i kropli, podczas gdy ja jestem widzialny cały czas. Nie zapominaj, że niebo jest przykryciem dla ziemi, na której oni mieszkają. Bóg Deszczu pomyślał chwilę i kontynuował swój wywód: „Jestem potężniejszy. Sprzyjam trwaniu roślin, potrafię zniszczyć tysiące gospodarstw i domostw, wywołując sztorm i powódzie. I trzymam w dłoni pioruny”. „Same moce fizyczne nie czynią nikogo potężnym” – odpowiedział Bóg Niebo. „Potrzeba także inteligencji. Na próbę zagrzmym<sup>21</sup> w chowanego”. Bóg Deszczu zgodził się i poprosił o przywilej rozpoczęcia gry. „Zamknij oczy” – powiedział do Boga Nieba. „Szukaj mnie po odliczeniu do dziesięciu”<sup>22</sup>. Wtedy Bóg Deszczu lunął na ziemię i wdarł się

w jej wnętrzości, i schował się tam. Bóg Nieba po odliczeniu zobaczył Deszcz chowający się w ziemi. „Chodź tu przyjacielu, widzę cię, jak znikasz w ziemi” krzyknął Bóg Niebo. Wtedy Bóg Deszczu potulnie wyszedł ze swojego schronienia i powiedział: „Teraz twoja kolej”.

Bóg Deszczu zamknął oczy i po odliczeniu do dziesięciu spojrzął w bebecchy ziemi, popatrzył w niebo, poza słońce, księżyc i gwiazdy, popatrzył wszędzie, lecz nigdzie nie było Boga Nieba. Po dokładnych poszukiwaniach krzyknął:

– Boże Nieba, nie mogę cię znaleźć, poddaję się, wychodź. Bóg Nieba mruknął sam do siebie:

– Jaki głupi byłem nie chowając się pod jego powieki.

– Nie martw się, przyjacielu – powiedział Bóg Nieba. Jestem rzeczywiście bardzo potężnym Bogiem. Jeśli masz wątpliwości – popatrz. I Bóg Nieba zwinął w rulon cały świat, jak gdyby to była mata i odpinając złoty kolczyk z lewego ucha wetknął tam zrolowany świat.

– Chciałbym, żeby Wielki Bóg stworzył dwa światy – zażartował Bóg Nieba – wtedy miałbym doskonałą parę nowych kolczyków.

Bóg Deszczu uznał więc wyższość Boga Deszczu i powiedział:

– Teraz Mistrzu możesz panować nad światem.

– Przeciwnie, powiedział Bóg Nieba wyciągając świat z ucha i rozwijając go znów. – Nie mogę rządzić tak wielu ludźmi. Będę panował nad bardziej kulturalnymi, ponieważ są sprytniejsi, lecz pozostawię twojej pieczy mniej obytych, prostych i uczciwszych. Pośród niekulturalnych Kachinowie to najwykleszi. Pilnuj ich dobrze.

Tak oto do dziś Birmańscy i Shanowie modlą się do Boga Nieba, podczas gdy Kachinowie zanoszą modły do Boga Deszczu”.

W baśni tej zaznaczono podział zajęć bogów według kompetencji. Może tysiące lat temu Bóg Deszczu miał więcej roboty, bo w każdej mitologii dość wcześnie pojawia się potop<sup>23</sup>. Współcześnie zależności między deszczem a społeczeństwem układają się w ten sposób, że ludzie mają do deszczu tylko dwie prośby wyrażane (jak w Gudżaracie czasu suszy) śpiewem. Zanoszą prośby do deszczu cały czas – żeby padał albo żeby przestał.

### Operowanie strachem

Jednym z celów baśni starożytnych było budzenie respektu, czasem za pomocą strachu. Operowanie cudzym strachem przypadkowych lub wybranych osób to terroryzm. Nieskuteczne operowanie. Natomiast skuteczne to cel pedagogiki starożytnej.

Terroryzmem literackim zajmują się niemal wszystkie opowieści pakistańskie. Pochodzą one z XV-XVI wieku. Tworzono je i rozpowszechniano na terenach styku kultur islamskiej i hinduskiej. Zanim powstała tam religia sikhów łącząca najbardziej humanistyczne pierwiastki obydwu tych religii, obszary graniczne spływały obficie krwią. Do baśni włączano ogień – siłę oczyszczającą przez zniszczenie. Pierwsza z brzegu baśni pakistańska<sup>24</sup> – przytoczę tylko puentę, bo anegdota jest bardzo skomplikowana i długa – aż zionie ogniem:

tysiącletnim Azją, przeto zakładam, że socjologowie kultury zbierając opowieści w terenie zapisywali je współczesnymi terminami.

23 „Bajka” współczesna mówi: Arkę Noego budowali amatorzy, a „Titanika” fachowcy”.

24 Laxman Komal, *Folk Tales of Pakistan*, Sterling Publishers, New Delhi 1980, s.23.

21 Gra jest starsza od kultury – twierdził Johann Huizinga.

22 Ponieważ sam bawiłem się w dzieciństwie w chowanego, a nie jestem



„...Przybywszy pod jej pałac podłożyła ogień i kiedy płomienie sięgnęły nieba, skoczyła w nie. Kiedy Rano (Ogon Pawia, minister lokalnego rządu maharadży) domyślił się był intencji Moomal (najpiękniejszej córki maharadży), ruszył na miejsce dramatu. Widząc swą ukochaną w płomieniach, krzyknął: „Wybacz mi Moomal, uciekaj z ognia i ratuj swoje życie dla mnie. Byłem ślepy, teraz żałuję”. Ale ogień ją już pochłoniął. Rano nie mógł tego znieść i z wyrzutami sumienia sam padł w płomienie”.

Zdarzyło się raz, braciom Grimm, że na głównego bohatera bajki powołali to, co straszy<sup>25</sup>: *Bajka o takim, który chciał poznać strach*. Chłopak niezbyt mądry, wygnany został w świat, aby nauczył się czegoś i nie jadał na próżno chleba. Szedł koło cmentarza, siedział pod drzewem, na którego gałęzi kołysali się hultaje, zabijał straszne koty, składał paskudę z dwu części, żeby grać z nią czaszkami w kręgle, wskrzesił dawno zmarłego kuzynka i po każdej przygodzie mówił, że bardzo by chciał dowiedzieć się, co to takiego strach. Przypadkiem, łapiąc starca za brodę w imadło uwolnił zamek od zaklęcia, dostał za to od króla piękną księżniczkę za żonę i w toż małżeńskim wyznał, że bardzo by chciał poznać strach, aż piękna żona nałapała piskorzy i w nocy obłożyła go nimi. Wtedy z wrzaskiem wyskoczył z łóżka.

Narracja jeży się od straszliwości, a puenta ucieka niespodziewanie w krainę śmiechu.

### Miłość

Król, księżniczka i turniej o jej rękę to trójkąt kanoniczny, obecny w każdej literaturze oralnej wszystkich kultur. Wyjątkiem jest Tajlandia, gdzie król nie może być bohaterem baśni ze względu na boski szacunek dla rodu panującego<sup>26</sup>. Wyjątkiem od wyjątku jest baśń o księżniczce Manorze i jej ojcu królu ludzi-ptaków.

„Król ludoptaków rządził ze swojej stolicy w Suwan Nakon (Mieście Złota) gdzieś w wielkich lasach Himapun u podnóża Himalajów. Miał siedem córek. Wszystkie księżniczki były małe i śliczne. Ubierały się zawsze w lśniące, jedwabne szaty. Manora była najpiękniejszą ze wszystkich.

Każdej pełni księżycy siostry uwielbiały latać nad jezioro w pobliże pustelni mnicha. Odpinały swoje skrzydła i ogony, i pływały w jeziorze do świtu<sup>27</sup>. Kiedy złota piłka słońca błyskała pierwszymi promieniami, ubierały się i frunęły do domu radośnie.

Jezioro znajdowało się w pobliżu królestwa Pawnkali. Bun, poddany króla był znakomitym myśliwym. Pewnego razu ocalił życie Króla Wężów, a wtedy monarcha obiecał mu każdą pomoc, gdyby kiedykolwiek była mu potrzebna.

(Nigdy w tej baśni ani w poprzednich nie było czegoś, co jest drugim zdaniem powieści. W rodzaju: a wiosna była piękna tego roku).

Pewnej nocy Bun przebywał w pobliżu jaskini mnicha. Usłyszał lekki szmer i ukrył się. Ujrzał siedem księżniptaszyc, które lądowały w radosnym nastroju. Widział, jak się rozbierają z piór i wskakują do wody. Poraziło go ich piękno.

Bun zapytał mnicha w jaki sposób można by pochwytać jedną z tych czarodziejskich istot i podarować

ją przystojnemu księciu Sutone. Pustelnik odpowiedział, że jedynym na to sposobem jest złapanie ich w pętlę Króla Wężów. Buna to podekscytowało. Zwrócił się do Króla Wężów i dostał od niego pętlę.

Waż od Króla nauczył Buna, jak posługiwać się pętlą skutecznie. Bun czekał do następnej pełni księżycy. Kiedy nadeszła, schował się za drzewem i związał pętlę. Kiedy księżniczki wyszły z wody i gotowały się do powrotu, Bun wycelował w najpiękniejszą i rzucił łąso. Manora została schwytana. Próbowła się wyrwać, bez skutku. Pozostałe księżniczki odleciały smutne. Bun podniósł pióra Manory i wziął ją do Sutony. Książę był młody i piękny. Natychmiast zakochał się i ożenił z nią. Przez pewien czas Manora była bardzo nieszczęśliwa. Myślała o swoim domu w Himalajach i jego niebiańskich mieszkańcach, ale po pewnym czasie pokochała księcia głęboko i zapomniała, że jest ptakoksiężniczką.

Pawankala została zaatakowana przez potężną armię. Książę Sutone musiał stanąć na czele swojego wojska. Było mu smutno opuszczać Manorę, ale nie dało się inaczej. Król i Królowa obiecali zaopiekować się nią.

Książę Sutone miał wroga na królewskim dworze, wpływowego ministra sprawiedliwości. Ten od dawna wiedział, że nie zdoła podporządkować sobie księcia. Nieobecność następcy tronu dawała mu szansę zażądania dworem.

Pewnej nocy król miał zły sen i zapytał ministra, co to znaczy. Minister zrobił bardzo mądrą minę, zamilkł na chwilę i zamknął oczy, jak gdyby chciał wydobyć ducha tajemnicy z tego snu. Szybko obmyślił plan. Otworzył oczy i powiedział: „Panie, widzę śmierć za tobą, lecz możesz jej z pewnością uniknąć, jeśli poświęcisz kogoś, kto dla ciebie jest drogi. To musi być Manora. Duchy, które są na ciebie złe, dadzą się udobruchać tylko wtedy, kiedy podaruje się im Manorę. Nie ma innego wyjścia.

Król i Królowa byli przerażeni. Chcieli, aby poświęcono kogoś innego. Ale przepowiedni nie dało się zmienić. Nie było dla niej alternatywy. Manora dowiedziała się o tym wszystkim. Powiedziała Królowi, że byłaby gotowa poświęcić się, żeby ratować życie monarchy, ale chce na pożegnanie zaproponować jeden taniec. Zgodzono się na to.

Manora przypięła skrzydła z piór i rozpoczęła swój wspaniały taniec. Był wzniosły. Jej oczy błyszcząły. Z każdym krokiem wykwintnego tańca jej skrzydła rosły i stawały się mocniejsze. W pewnej chwili pofrunęła w niebo i wylądowała w pałacu ojca u podnóża Himalajów.

Książę Sutone odniósł zwycięstwo i po pewnym czasie wrócił. Powiedziano mu, co się stało Manorze. Książę wtrącił nikczemnego ministra do lochu. Gotów odnaleźć Manorę udał się do owego pustelnika nad jeziora. Mnich powiedział: „Książę, weź ten pierścień, który Manora zostawiła dla ciebie. Dam ci także małpę, która poprowadzi cię drogą długą i trudną, co potrwa siedem lat, siedem miesięcy i siedem dni, zanim osiągniesz cel. Niech ci Bóg sprzyja i twojej misji”. Sutone przyjął błogosławieństwo pustelnika i ruszył w drogę z małpą. Droga była ciężka. Małpa prowadziła go przez wzgórza i dżunglę.

Po wyczerpującej podróży książę znalazł się w kraju ludzi-ptaków. Usiadł w pobliżu studni ze swymi towarzyszami, gdy jakieś ptaki-ślugi przyleciały po wodę i napełniły swoje naczynia. Z ćwierkania – plotkowania wynikało, że brały wodę na ceremonię oczyszczenia

25 Bracia Grimm, *Wszystkie baśnie i legendy*, Rea, Warszawa, brak roku wydania.

26 Król Tajlandii jest rzeczywiście postacią z baśni.

27 Kojarzą się tu *Jezioro łabędzie Czajkowskiego* i *Świtezianka Miskiewiczza*.

Manory z ostatnich śladów kontaktu z ludźmi. Małpa doradziła księciu wrzucić pierścień do naczynia. Sutone zdołał to zrobić niepostrzeżenie, wybierając jeden z dzbanów. Manora nie zapomniała księcia, a jej serce wciąż biło dla niego. Kiedy wylała się na nią woda, pierścień upadł u jej stóp. Rozpoznała go i podniosła pierścień z wielką radością. Na pytanie Manory służące-ptaki odpowiedziały, że przystojny cudzoziemiec siedział w pobliżu studni. Manora poszła do ojca i powiedziała, że jej mąż przybył po siedmiu długich latach, miesiącach i dniach, i poprosiła o zmiłowanie dla niego.

Król był zmartwiony tym wszystkim, co spotkało Manorę. Posłał po księcia. Sutone przybył i okazał hołd królowi. Padł mu do stóp. Król był z tego zadowolony, ale zażądał, aby księżę zidentyfikował Manorę. Chciał go sprawdzić.

Siedem księżniczek ubrało się tak samo i usiadło kołem. Sutone był oszołomiony. Wszystkie wyglądały cudownie i były jednakowo piękne. Księżę dostrzegł małą magiczny pierścionek na małym palcu rączki jednej z nich. Poczł dreszcz. Wyciągnął dłoń i wskazał Manorę.

Wielka zapanowała radość w ptasim królestwie. Król urządził uroczyste pożegnanie. Księżę Sutone i Manora wrócili do Pawkali. Sutone został królem, kiedy stary król zmarł. Król Sutone i królowa Manora żyli i rządzili bardzo szczęśliwie. Każdego roku wizytowali ptasie królestwo w Himalajach i spędzali tam miłe chwile. Kraj Pawkala i królestwo ptaków połączyły więzy miłości. Ptako-ludzie polubili spotkania z mężczyznami i kobietami na całej ziemi”.

Tu mamy zakończenie nie-azjatyckie. Nie ma ognia, a jest oświadczenie europejskie: i żyli długo i szczęśliwie.

### Człekozwierz

Człeko-zwierzciem był w Azji Południowej także yeti, człowiek śniegu. Kolekcjonerzy legend nie mogą się zdecydować – postać to mityczna czy legendarna? Rzeczywista czy wyśniona?

Yeti to postać, którą straszy się nepalskie dzieci. Gdyby kobieta usypiała swoją pociechę, pewnie opowiadałaby, jak to kobieta, historyjki przyjemne. Tymczasem wychowawcami małych Szerpów i Gurkhów są ojcowie. Twarde warunki życia na wysokościach wymagają odpowiedniej edukacji, którą mogą zapewnić jedynie twardzi mężczyźni. Kobiety zajmują się uprawą mikroskopijnych poletek wiszących niemal w powietrzu.

Szerpowie żyją w kamienistych okolicach szczytu Sagarmatha (Matki Wszechświata). W języku Szerpów yeti znaczy człowiek ze skał (mieszkający w górach). Inne jego imiona to *Metoh* (*Niekąpany*), *Kang* (Śnieg) i *Mi* (*Człowiek*). Widział go ojciec Tenzinga Norgaya Sherpy, zdobywcy (wraz z Edmundem Hillarym) Mount Everestu. Yeti przypominał małpę ze stożkową głową, głęboko zapadniętymi oczami i siwymi włosami, które spadały mu na ramiona. To jedyna postać ze świata baśni, którą widzieli ludzie.

Syn Norgaya, który był na Evereście 72 razy, pamięta z przekazów rodzinnych, że yeti to zarówno samiec jak i samica. Mieszka na wysokości 4-5 tys. metrów, czyli niemal na całym obszarze Nepalu i Tybetu, a także w Bhutanie i indyjskim Sikkimie. Oraz w Chinach.

Stwory yeti-podobne to *Mitre* – ludożerca i ścierwojad, *Dzuteh* – drapieznik na czterech łapach podobny

do niedźwiedzia, 2,5 metra wzrostu na stojąco, włochoaty, poczciwy i niegroźny. I *Thelma* – podobny do człowieka.

Po raz pierwszy zwierzolut został „złapany” literacko przez B.H.Hogsona, autora pierwszych o nim opowiadań podróżniczych, w 1832 r. Yeti wystąpił w nich jako obrzydliwy człowiek śniegu.

W Indiach historie o yeti opowiada się od czasów *Mahabharaty*, czyli pierwszego wielkiego eposu w literaturze sanskryckiej. W sanskrycie „yeti” znaczy „pustelnik”.

Nepalczyk Ramkumar Panday w monografii poświęconej człowiekowi śniegu (*Yeti Accounts*) zgromadził wszystko, co dotyczy zwierzoluta, także egzotyczne w Nepalu relacje polskich podróżników. Przywołuje relację jednego z nich, bardzo krytycznie: „Janus Tomarzcuk z Polski opowiedział o swoim spotkaniu z yetim, które odbyło się podczas wyprawy do Sagarmatha w marcu 1975. Ukazała się w „The Rising Nepal”. Jego relacja budzi poważne wątpliwości, a opis stworu wskazuje na halucynacje, które spowodowała najprawdopodobniej bardzo męcząca podróż”.

### Zwidy

Majaki w górach są zjawiskiem starym jak góry. Opowiadał mi drugi po Messnerze zdobywca korony, Jerzy Kukuczka, że kiedyś w samotnym ataku szczytowym na Lhotse miał wrażenie, że ktoś mu cały czas towarzyszy. Nawet, gotując herbatę, powiedział do siebie: „Za mało wzięteś śniegu. To nie wystarczy dla dwóch”.

A potem dodał: „Wiesz, najczęściej yeti widywany był w górach przez uczestników tych wypraw, którym się nie powiodło”.

Ale w gruncie rzeczy każdy himalaista wierzy, że yeti istnieje. Gdyby go nie było, góry zubożałyby o jedną z najważniejszych tajemnic.

### Guliwer

O półludziach, biorąc pomysły z kolonii, pisali Anglicy (Jonathan Swift *Podróże Guliwera*). W Azji nie brakowało takich stworów, nie było natomiast krasnoludków. Miniaturyzacja świata wydawała się koniecznością dopasowywania świata do rozmiarów sceny, na której rozgrywały się bajki, bo już nie baśnie. Nie dziwiota, że wylęgły się z tego teatru lalek, rąk i cieni.

„Jakim rodzajem literackim są *Podróże Guliwera*? – zastanawiał się Jan Kott<sup>28</sup>. „Powieścią przygód czy parodią? Romansem awanturniczym czy satyrą na romans awanturniczny? Alegorią, utopią społeczną czy wyszydzeniem utopii? Pamfletem politycznym, gorzkim żartem czy traktatem filozoficznym? Jaka jest tajemnica tego dziwaczego realizmu, który zaludnia świat człowieczkami małymi jak palec i wielkoludami jak wysokie dęby, gdzie latająca wyspa unosi się w powietrzu, istnieje państwo rozumnych koni i żyje ród nieśmiertelnych, a jednocześnie z przerażającą jasnością zarysowane zostają prawa społecznego życia, obnażone wielkie historyczne konflikty, rozwiane złudzenia i nadzieje wieku?”

I nie znajduje odpowiedzi. Wymyka mu się gdzieś udany termin „utopia geometryczna”, lecz bliższy jest uznaniu *Guliwera* za powiastkę filozoficzną, natomiast nie widzi tam nienaukowej, a więc reakcyjnej w latach

28 J.Kott Wstęp. *Pamflet na okres pierwotnej akumulacji* w: J.Swift *Podróże Guliwera* PIW Warszawa 1956.

50. literatury *science fiction*. Zresztą nie mógłby widzieć, bo gdzie nie ma technologii, tam nie ma SF. A wtedy nie można sobie było wyobrazić fruujących lub podwodnych traktorów ani promieniującej czy magnetycznej broni. Przy tym wszystkim uznał Kott, skądinąd przenikliwy znawca teatru szekspirowskiego, że *Guliwer* obok *Robinsona Crusoe* to wielkie dzieła angielskiego Oświecenia!

### Archetyp

Przeskoczmy teraz osiemset lat wstecz do Indii i dwieście – do Danii.

Wiśwaswamin – Pan Uniwersum (imię, nie funkcja) przygotowywał się do złożenia ofiary. Uświadomił sobie, że zabrakło mu złotwa. Posłał po trzech synów i kazał im go znaleźć. Poszli więc na plażę i znaleźli zwierzę wygrzewające się na piasku. Najstarszy powiedział „Nie dotknę go, bo jest pokryty szlamem. Wy dwaj zanieście złotwa ojcu”. Zdziwili się. Dlaczego mają robić coś, czego najstarszy nie chce? „Bo ojciec nie będzie mógł wtedy odprawić ofiary” – wyjaśnił. „To co z tego” – powiedział najmłodszy. „To jeszcze nie wyjaśniasz, dlaczego my mamy zanieść złotwa, a nie ty”. „Nie bądź głupi” powiedział najstarszy. „Wiesz, jak bardzo dbam o potrawy wszelkiego rodzaju. Będąc drobiazgowym nie mogę dotknąć czegoś tak obrzydliwego”. „Możesz sobie być drobiazgowym – powiedział średni – ale prawdziwym znawcą jestem ja. Kiedy widzę kobietę o piękności lekko skażonej, dostaję pokrzywki.

Tak się przekomarzali, aż zapomnieli o złotwie. Postanowili poddać rzecz osądowi króla. Monarcha zarządził na kolację ryż z mango. Najstarszy nie tknął, bo ryż rósł w pobliżu miejsca palenia zwłok i zapach dymu budził w nim mdłości. Król posłał po kucharza, żeby go zapytać, skąd jest ryż. Ku jego zdziwieniu kucharz powiedział, że z pobliska *ghat*<sup>29</sup>. Po kolacji król wezwał najpiękniejszą damę z pałacowego harem i kazał jej zabawić chłopców. Średni mruknął: „Ona śmierdzi koźlem”. Król oburzony chamstwem syna dowiedział się ku swemu zdumieniu, że dziewczyna w dzieciństwie piła kozie mleko. Kiedy przygotowywano chłopcom posiłek na noc, najmłodszy poprosił, żeby mu położono siedem materaców i jedwabną kapę. Rano niewyspany pokazał rysę na plecach. Pod materacami leżał ludzki włos i on to był przyczyną bezsenności.

Król wezwał ich i powiedział, że zapłaci każdemu trzysta tysięcy sztuk złota, aby zostali przy nim do końca życia, bo chce mieć w swoim najbliższym otoczeniu najbardziej wyrafinowanych spośród ludzi. Chłopcy poczuli się szczęśliwi. O złotwie nie było już mowy. Jasne było, że synowie uniemożliwili ofiarę. Nie przeszkadzało im to zostać w pałacu na zawsze.

Nie ma potrzeby powtarzać, że jest to prawzór *Księżniczki na grochu* Andersena, który nie wiadomo skąd wzięty pomysł dla swojej króciuteńkiej baśni. Andersenowska jest o jedno piętro niższa. Sen na grochu to tylko test na błękitną krew. Sen na włosie ludzkim to ratunek dla złotwa. Król nie dokonał ofiary, złotw przeżył. *Kalosze szczęścia* to z kolei powtórka konstrukcji z *Tysiąca i jednej nocy*. Opowieść szkatułkowa czy raczej „amfiladowa” przepleniona wierszami, które pełnią rolę między-puent. Bez nawiązywania treściowego do tajemnic Wschodu. Tak jak reportaż zagraniczny

w PRL, baśnie ze świata były w czasach Andersena substytutem podróży w marzeniach.

Udało mu się także opisać sen śmierci. Nikt ani wcześniej, ani później tego nie zrobił, bo śmierć nie śni, ani nie może się przyśnić, dlatego nie wiadomo jak ją opisać.

### Prawdy ostateczne

Wydawać się może, że w kulturach pierwotnych wspólnymi były wartości, czyli prawdy ostateczne. Nazwiemy tak skrajne doświadczenia człowieka z dobrem. Ale nie złem. Prawo Sienkiewicza-Kalego rozdziela jedno od drugiego metodą orzeczenia sędziego, który opowiada się we własnej sprawie. Wspólne było to, co uważano później za grzechy, czyli przestępstwa. Dopóki kultura nie wyłoniła z siebie religii, nie można było mówić o grzechu. I wspólne były – jak widać – tematy opowieści. Jakie byłyby przykazania, gdyby je wymyślono przed Mojżeszem? Pilnuj ognia? I domowego ogniska? Idź po wodę, to znaczy zadbaj o jej zapas? Świat był wtedy mały, przeto ogrom spraw też nie był duży.

### Plagiat

W czasach Średniowiecza i Odrodzenia praktyką powszechną było powtarzanie narracji wziętej od kogoś innego, wcześniejszego. Prześledźmy to na przykładzie *Romea i Julii*. Szekspir wzięł temat od XVI-wiecznego pisarza Matteo Bandelli<sup>30</sup>, ten zaś od Luigiego da Porto, ów z kolei od Masuccia Salernitano. Jest to wędrówka w pionie. W poziomie (geograficznym) wędrówka z kolei persko-indyjskie *Opowieści z Tysiąca i Jednej Nocy*. Europa poznała je w wersji arabskiej. Zostały zredagowane w Bagdadzie. Stamtąd trafiły do Egiptu. Są literaturą dla mężczyzn. Twardą, pełną okrucieństwa i seksu. Królowe-rozpustnice giną tam w objęciach kochanków-niewolników, lub urządzają orgie. Opowieści mogły wywrzeć wpływ na markiza de Sade. Były tłumaczone na francuski w początkach XVIII wieku. Indyjski prawzór przetrwał w postaci popularnego zbioru *Indyjskich opowieści erotycznych*, które przetłumaczył z sanskrytu profesor G.L.Mathur z Uniwersytetu Radżastańskiego<sup>31</sup>.

Co do plagiatów zaś – nie uchodziła za wszeteczność praca, której autor relacjonował po swoim zasłyszanej anegdotę. Legenda o trójkacie Faust-Mefistofeles-Małgorzata doczekała się w Europie 22 tysięcy wersji. Pierwszy bodaj, kto uznał powtarzanie po kimś za złodziejstwo, był Cervantes. Plagiat w literaturze popełnić łatwo. Wpaść też. W malarstwie i rzeźbie nie sposób. Fałszerz musiałby mieć talent autora pierwotnego. Metternich zamierzał zająć się plagiatem na Kongresie Wiedeńskim. Planowano skończyć z piractwem morskim i literackim. Austria Metternicha nie miała ani morza, ani literatury, więc niewiele z tego wyszło.

Tematy wędrujące jako anegdoty literackie pojawiły się w czasie, kiedy literaturą zaczęto handlować na bazarach. Była to drugorzędna fabuła. Możemy ją nazwać masową. Nikt nie próbował sprzedawać fragmentów wielkich dzieł, bo przykrwanie arcydzieł do rozmiarów bazarowych było zbyt trudnym zadaniem.

30 J.Gałuszka, *Postowie*, w: *Luigi da Porto, Romeo i Julia*, PIW, Warszawa 1963.

31 *Erotic Indian Tales from the Sanskrit Classic Suksaptati*, Orient Paperbacks, New Delhi 1971.

29 Nabrzeże rzeki, gdzie się pali zwłoki.

Narracje przechodziły z utworu do utworu korzystając z możliwości zaistnienia w innym niż pierwotny czasie. Ale przechodziły też z języka do języka w ślad za słowami, które nazywano germanizmami, rusycyzmami etc.

Język litewski starszy od sanskrytu, bliższy jest prajęzykowi niż języki indoaryjskie. Józef Ignacy Kraszewski znał język cygański (romski) pochodzący z Indii (Radżastanu). Rozumiał też litewski. W trytomowej powieści poetyckiej pojawia się w tytule i na jej kartach święta góra Anafielas<sup>32</sup>. Na Górę Wieczności prowadzi ściana, po której wspinają się dusze. Na szczycie obraduje sąd, który skazuje je na raj lub piekło. Grzechy i zasługi utrudniają lub ułatwiają duszom wspinaczkę. Dusza z garbem grzechów musiała przywędrować na Litwę z Indii, lub raczej – zważywszy wiek języka starszego od sanskrytu, powędrowała wraz z Arjami z Europy do Indii. Wspinaczka to – nawet w roku wydania *Anafielas* – coś nowego. W świętych Himalajach łażenie po górach było zakazane, a gdzieś tam zakaz ten (Bhutan) obowiązuje do dziś. Nie wolno deptać świętości.

W inwokacji przyznaje się Kraszewski do poszukiwania źródeł legend w mitologii:

„Dla czego duchem po rodzinnej ziemi  
Błądzą ja zawsze, rozkopując groby,  
I szukam życia zgasłego pod niemi,  
Życia wśród prochów, śmierci, wśród żałoby?”<sup>33</sup>

Wejście w przeszłość językową przynosi nieoczekiwane efekty. Popatrzmy na podobieństwa słów sanskryckich i polskich:

Agni – Ogień; Babel – Wawel; Bhaga – Bóg, bogaty (u-bogi); Bharat – brat; Bol – bał; Brahma – brama; Dam – dom; Davanagiri – Bóg na górze; Dharma – dar; Dimahē – dumać; Dosha – dusza; Gandharva – gawęda; Goswami – guślarz; Guru – górować; Issa – ten który jest; Indra – Perun; Jara – starość; Jiva – żywa, dziwa, dziewczyna; Karma – kara; Krishna – Krzysztof; Ksatrija – książę, książdz; Kupidyn – Kupała; Manah – myśleć; Mata – matka; Maya – nicość; Mri – mór; Om – amen; Paraveda – prawiedza, prawda; Parikrama – pielgrzymka; Pra – pra; Prada – sprzedać, dać; Prapati – przepaść; Purusha – borusz, pan, rusz, ruś, prus; Radha – radość; Raja – król, radzi-wił bogacz; Rsi – umięjący pisać, rysować; Rudra – rodzic; Sattva – światło; Smera – śmiech; Suria – słońce, zorza; Soma – sok; Svanti – święto; Svit – świt; Sarkara – cukier; Sila – siła; Sramana – szaman; Sravas – sława, słowianie, Arias, irans; Supah – zupa; Trimurti – Trzyglów; Uda – woda; Urwa – k... starożytna bogini płodności; Ulva – mowa; Waju – wiatr wieje; Weda – wiedza<sup>34</sup>.

Idźmy za Kraszewskim, a jeszcze bardziej za księdzem Benedyktem Chmielowskim i jego *Atenami* na Żmudź. Wyśmiano go za opis konia, któremu poświęcił całą kartę, a prześmiewcy wyrwali tylko jedno zdanie: „Koń jaki jest każdy widzi”. Przywróciła mu obecność w literaturze polskiej Olga Tokarczuk w poemnikowych *Księgach Jakubowych*. On tę obecność wywalczył sobie, o czym dłużej należałoby napisać

w innym miejscu. Oto jego panteon bogów żmudzkich<sup>35</sup> z roku 1413:

Auxtejas Wissagistis Wszzechmocny; Bóg Zemolaciów czyli ziemskich bożków Perun, „któremu oracze podczas grzmotów słońcę ofiarowali, gdy przestał, sami tej ofiary z kaszą albo kluskami stali się *participes*”<sup>36</sup>; Audres morza i wód bożek; Algis niby anioł; Ausera bogini promieni; Bezlea bogini wieczorna; Bregsta bogini ciemności; Ligez bożek ligi albo zgody; Kirnis bożek wiśni i jagód; Lizjusz bożek młodzianów; Gondu bożek panienek i dziewczek; Modeyina, Ragainia, Kirkieza, Silimicza bogini leśnych Deastrów (zjaw?); Kurwarczyna i Erayczyna bogini owiec i jagniąt; Prigerstittis bożek mrużenia i słuchania „dlatego wielką cichość i modestię prezentowali”<sup>37</sup>; Derfintos bożek pokój i zgodę czyniący; Laupatim czczony przez oraczy; Ratainicz bożek wzywany do pilnowania koni; Krystosy bożkowie pilnujący krzyży na grobach; Tawols bożek bogactw i chudoby; Ulanicza bogini wszelkich sprzętów domowych i budząca śpiących; Krukis bożek świń; Alabathis bożek Inu i przędzy; Waszganthos patronka panienek i dziewczek; Ziemiannik bożek 2 listopada, kiedy stoły potrawami zastawiano, a w ofierze składano siano, chleb, piwo, cielę, świnie, koguta i gęś dziękując za plony i prosząc o nowe.

Językiem Żmudzinów był i jest litewski. Nie słycać w nim związków z sanskrytem, co potwierdza tezę, że litewski jest starszy. Widać natomiast znacznie mniej finezji w dzieleniu kompetencji bogów na departamenty niż to jest w hinduizmie. Zresztą bożkami Indii książdz Chmielowski też się zajmuje. Napisał o kobietach, które skaczą w ogień (*sati*), o mędracach zwanych braminami, co śpią na ziemi, a jedzą trawę i liście. Cześć słońcu oddają, jak większość ludów, kąpią się w Gangesie, mają różny język i pismo, na głowach turbany lub mitry jakoweś, do pagód na nabożeństwo chodzą boso.

Adam Mickiewicz próbował zebrać trochę baśni litewskich. Na dwóch się skończyło. Ale obydwie dowodzą, że straszono nimi ludzi, jak w Azji. Żywila to imię żeńskie i tytuł jednej z nich. Około roku 1400 przesłał w Nowogródku potężny książę Koryat. Miał prześliczną córkę. Żywila czyli Diana było jej na imię. Odsyłała z kwitkiem każdego pośta, który po nią przyjeżdżał. Nie chciała być dziewicą do śmierci lecz kochała się po kryjomu w Litwinie-rycerzu, Porayu. Ojciec uznał córkę za wyrodną i wtrącił do lochu.

Przesiedziała tam lata, aż tu nagle Rusin Iwan przyszedł oblegać stolicę Koryata. Wtedy Poray urządził obronę i w zamian poprosił o rękę Żywili. Odesłał go ojciec precz. Wtedy przeszedł na stronę Iwana i jeszcze raz poprosił o rękę Żywili grożąc zniszczeniem stolicy. I wtedy Żywila wyjęła miecz Poraya wiszący u jego boku i przebiła mu pierś wyzywając od zdrajców. Potem *padła bez duszy*. Jej imię powtarza się dzieciom do dziś. Można zapytać, co ta opowieść ma dzieciom przekazać. Że miłość kobiety do mężczyzny nie jest tak ważna jak miłość do ojca i ojczyzny? Ofiara to wyraz wdzięczności za wyproszone łaski boże<sup>38</sup>. Żywila zło-

32 *Anafielas. Pieśni z podań Litwy*. Przez J.I.Kraszewskiego. Pieśń trzecia i ostatnia. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego Wilno 1845.

33 *Ibidem* s.9.

34 Forum Wisnuczkie bhaktijoga.pl *Sanskryckie podobieństwa do języka polskiego Wejście* 30.10.2019, godz. 14:38.

35 B.Chmielowski, *Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej scyencyi pełna*, P.I.Golczewski, Lwów 1745, reprint Graf\_ika Warszawa 2018 s. 22.

36 Tamże.

37 Tamże.

38 Al.Lubicz L, *Mitologia słowiańska*, M.Arct, Warszawa 1911 (reprint Miniatura Kraków).

żyła w ofierze swoją miłość i Poraya, bo łaską bożą były prawdy ostateczne, wśród których miłość nie figuruje, chyba że dopiero teraz.

Każda z mitologicznych postaci w każdej kulturze mogła być i była bohaterem legendy, czyli literatury oraz obrzędu, czyli teatru. Formy wypowiedzi odpowiadały mądrości ludowej.

### Co to jest mądrość ludowa?

W *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* mamy sporo wyjątkowo oryginalnych cech, które świadczą o nadzwyczajnych talentach opowiadaczy. Pierwszym jest konstrukcja szkatułkowa. Opowiadana historia otwiera w puencie drogę następnej historii, która otwiera na puentę drogę następnej historii i tak dalej. Genialnymi naśladowcami tego typu autorstwa byli Miguel Cervantes Saavedra (*Don Kichote z La Manczy*) i Jan Potocki (*Rękopis znaleziony w Saragossie*). Opowiadacz baśni arabskich powtarza kilkakrotnie zwrot o pisaniu igłą w kącie oka. Dostyc to osobliwy sposób tworzenia manuskryptów, gdzie indziej niespotykany. I oryginalna forma odpowiedzi: „Słyszę i jestem posłuszny”. Słyszeć – piszą autorzy mitologii irańskiej<sup>39</sup> – to posłuszeństwo. Wygodna forma sprawowania władzy. Powiem i staje się (prostactki zwrot polski – dzisiejszy: „mówisz – masz”).

### Baśniowa ekonomia polityczna

Nie ma baśni, w której nie byłoby króla, pięknej dziewczyny i gór złota. A także kilometrów najwyższych jedwabi. Nie wiadomo jednak, skąd się te skarby brały. We współczesnych baśniom traktatach o władzy mowa jest o podatkach. W baśniach podatków nie było. Co najwyżej czary. Ale za to znajdziemy tam przestrożę przed niepohamowaną rozrzutnością władców i zarządców, albowiem ich skarby nie są niewyczerpane. Wspomniana też jest pewna metoda zdobywania władzy: wojskowy zamach stanu.

W baśniach Wschodu mamy sporo o podróżach, które w indyjskim systemie kastowym były zakazane, chyba że chodziło o pielgrzymki do świętych miejsc jak góra Meru<sup>40</sup> czy Siwling albo miasto Varanasi. Podróże arabskie były poddawane mniejszym rygorom. Jedna obowiązkowa prowadziła do Mekki, większość natomiast – do miast, gdzie spotykali się na bazarach kupcy. W baśniach wspomniane są Basra i Bagdad i morele chorasafske, czyli owoce z południa Iranu. Podróże baśniowe to podróże morskie, także u Leśmiana (Sindbad Żeglarz). Lub na latających dywanach. Jest tam też o sztuce pisania: „Proza to słowa, za zdaniem zdanie, ale poezja to pereł nizanie”<sup>41</sup>.

Teksty narracyjne baśni perskich poprzecinane i powiązane są cytatami, które narrator lub bohaterowie wypowiadają wierszem. Dotyczy to zawsze wyższych stanów ducha. Na przykład zachwyty nad pięknem. Nie ma w baśniach jego definicji, ale można się domyślić, że to zbiór zachwycających cech, których ocena przynosi satysfakcję wrażliwym zmysłom obserwatora. Często spotykamy prozatorską informację o tym, że księżniczka jest najpiękniejszą istotą na zie-

mi. A potem następuje poetycki zbiór metafor wspomagających opis oceną rysów twarzy, koloru cery, magii oczu, wyrazu ust.

Już człowiek pierwotny wiedział, co to takiego piękno. Potrafił powiedzieć, co nim jest, a co nie jest. Natomiast do dziś nie potrafimy powiedzieć – dlaczego. Nie ulega wątpliwości, że twarz kobiety uchodząca za piękną tysiąc lat temu uznana byłaby za piękną także i teraz. Kwestia różnic w gustach obserwatorów byłaby tu bez znaczenia. Piękno jest jedną z prawd ostatecznych.

Mądrość ludowa to trafne, często alegoryczne sprostowanie niewiadomego pochodzenia, które zyskało popularność i stało się przysłowiem. To najkrótszy utwór literacki puszczonej w obieg przez filozofa-analfabetę.

W polskiej kulturze ludowej występuje praczas i raj. Biblie ludowe tak samo jak eposy staroindyjskie powstawały metodą modyfikowanego przekazu ustnego. Czerpały bardziej z rzeczywistości niż z teologii. Początki ludzkości to organizacje wiejskie, ludowe. Miasto jest dużo późniejsze i liczebnie – w porównaniu ze wsią – mikroskopijne. Ale za to wykształcone i cywilizowane. Za to ludzie mają wzrost gór i żyją 300 lat (u Kolberga)<sup>42</sup>. Biblie ludowe są dalekie od przeuczonych tekstów teologicznych. Bliżej im do mitologii słowiańskiej, gdzie, jak w Oriencie, występują księżęta dnia i nocy, światła i ciemności, a Bóg czy Pan Jezus powołują swoje stwory w istniejącym już świecie.

I żyli długo i szczęśliwie

Kiedy baśń wydała z siebie wszystkie inne rodzaje i formy literackie, uznani pisarze i poeci zaczęli traktować ją jako użyteczną formę opowiadań dla dzieci. Julian Tuwim i Jan Brzechwa sięgnęli po mistrzostwo w tej dziedzinie. Antropomorfizacja zwierząt i przedmiotów stała się ich ulubionym sposobem wprowadzania bohaterów w świat dzieci.

To baśniowe koło pokazuje, że pewne gatunki literackie kończą się wydając meta-literaturę. Olga Tokarczuk mówi, że dla powieści pozostała już tylko historia pisana na nowo i futurologia. Nawiasem powiedziawszy, czas przyszły istnieje w każdym języku, bo wszystkich nas interesuje, co będzie się działo. Noblistka poszukuje dla powieści nowej przestrzeni narracyjnej. Poezja od dawna eksperymentuje. Prozie przychodzi to z trudem. Kapuściński próbował przenieść moralitet w czasy dzisiejsze. Moralitet to utwór średniowieczny. Cesarz to władca średniowieczny. Połączenie baśni z alegorią i reportażem udało się w *Cesarzu*.

Jednak najwięcej nowego wniósł do literatury teatr, a potem film. Opowieść ułożona z obrazów to w świecie komunikacji międzyludzkiej największy wynalazek od czasu stworzenia znaku z dźwięku, czyli mowy.

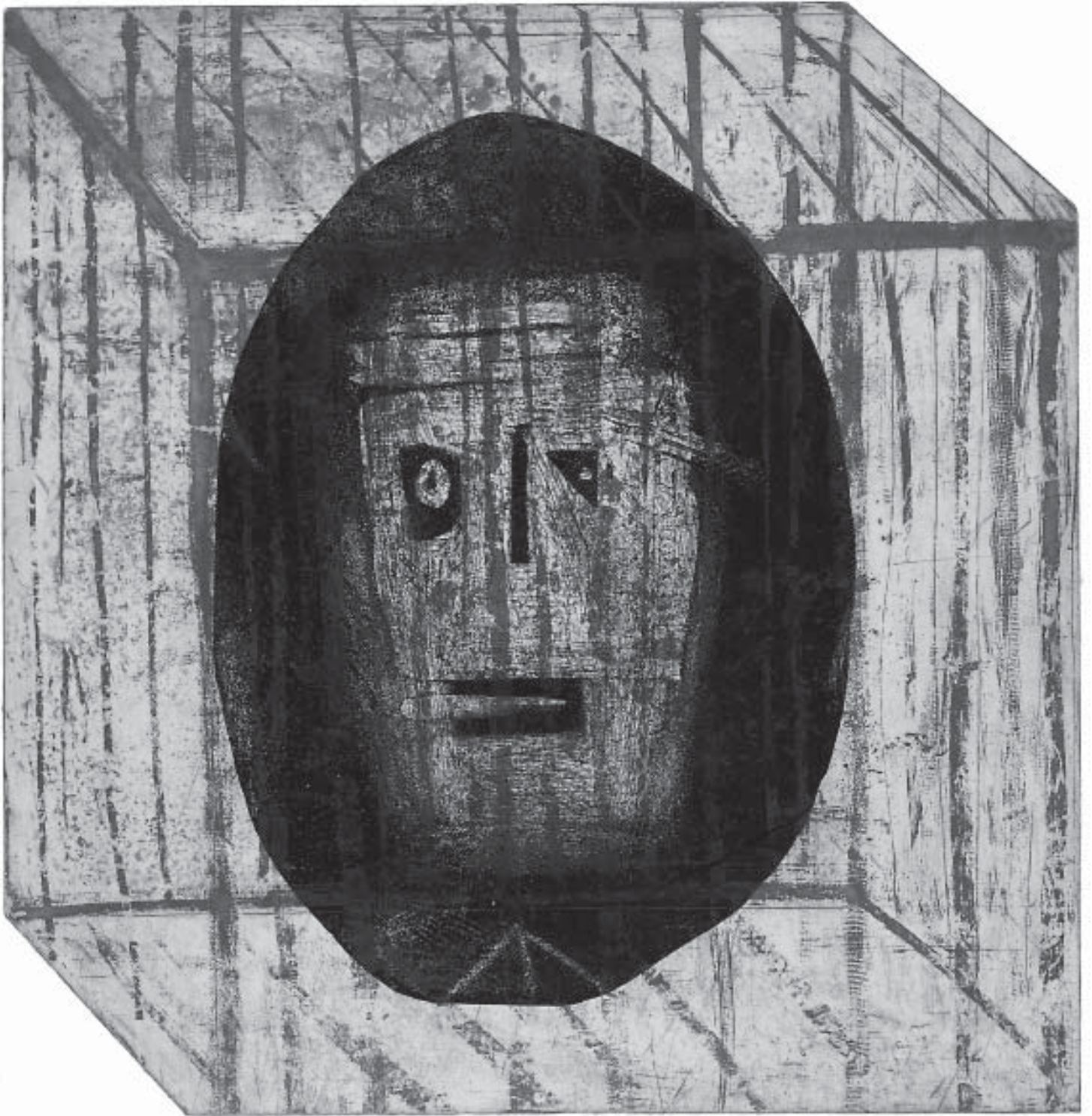
### KRZYSZTOF MROZIEWICZ

39 *Ludy starożytnej Persji*, Rzeczpospolita, Warszawa, brw, s. 57.

40 Mongołowie mają swoją górę kosmiczną o podobnej nazwie Sumber.

41 *Księga tysiąca...* op.cit. s.136.

42 T.Kalniuk, *Folklorystyczne opisy początków świata i człowieka*, w: *Annales Misiologicci Posnanienses*, t. 23, za Wikipedią, otwarcie 13.11.2019.



Anna Sobol-Wejman, *Super Sam* (grafika, 1996). Reprod. Piotr Witosławski

# KACZKA CIĄGLE GRA NA DUDACH...

No więc nadszedł – miły Edziu – jakby powiedział klasyk: *le temps déchirants des adieux et des pourboirs*.

Spółeczność wójtowicka wraz ze swym przywódcą, giermkami: Rypsem, Biderą i Porwisiakiem, a także wypuszczonymi na tę okoliczność z kennela Pestką – jamniczką czarną i Boogim „Doc” Donovanem – jamnikiem w koszuli brunatnej – żegnają Cię i dziękują za wieloletnie starania w kierowaniu „Zdaniem”. W okresie tym krajobraz nieco się zmienił i Ty masz w nim swoją cegiełkę.

Przede wszystkim Twoje niezłomne i niezachwiane przekonanie doprowadziło do tego, że tzw. Stragan (Szydło, Kempa, Zalewska i Wiśniewska) straszy nas z dala, i tylko mimochodem się dowiadujemy, że były minister spraw zagranicznych Waszczykowski częściej na posiedzeniu plenarnym swojego byłego szefa „bucem” oraz że nocne Polaków rozmowy – Bielana z Legutką o pederastach, dochodzić będą do nas z Brukseli tylko w przekazie pisany. Co prawda „buca” zastąpiła Lichočka gestem *fuck you all*, ale może jednak to sprawi, że Duda ustawę o 2 miliardach dla TVP zawetuje, bo chyba nie będzie taki głupi, żeby dawać takie pieniądze na rozwój nowotwora.

Tylko nieszczęsny Duda, do maja nadal nietknięty, jak na prezydenta przystało miał w naszym domu raz w roku, czyli w wieczór wigilijny swą chwilę, kiedy wszyscy śpiewaliśmy:

*Kaczka pstra, dziatki ma....*

*Siedzi sobie na kamieniu,*

*Trzyma dudy na ramieniu,*

*I wciąż gra...*

Przeto proces o zniesławienie polskiej patriotycznej krzyżówki Mussoliniego z Krzaklewskim mamy jak w takim banku.

Łatwo nam się rozmawia o formatach patriotycznych, gdyż my w „Zdaniu” – jak powiedział kiedyś Horodyński – wzięliśmy się w okolicach 1986 roku „z czytelników”. Od kiedy bowiem to pismo zaczęło wychodzić, w naszym domu pojawiał się raz w miesiącu listonosz z najnowszym numerem, a my jako prenumeratory uznawaliśmy ten dzień za ważny. I w „Polityce” napisałem, że bardziej niż udany...

Po jakimś czasie zaczęliśmy przyjmować redakcję „Zdania” w Wójtowicach, sami wpadaliśmy, by obchodzić już wtedy nasze wspólne rocznice do Krakowa, a na łamach pojawił się „List z Wójtovic”. Zaczęliśmy siebie uważać za dolnośląską filię tego z daleka rozpoznawalnego czarno-złotego wydawnictwa, jeszcze przed rozpoczęciem regularnej sprzedaży w Empikach rozprowadzaliśmy 20 egzemplarzy każdego numeru wśród łaknącej lewicowej strawy inteligencji. Udało się nam znaleźć środki na wydanie oddzielnego numeru „Zdania” w związku ze światowym Dniem Ochrony Środowiska, którego specjalnością stał się przemarsz przez

Kotlinę Kłodzką „Człowieka Polucji” w czasie, gdy nasi bili w tarabany, a młodzież szkolna wykrzykiwała, ku oburzeniu proboszczów, wymyślone przez Natana Tenenbauma motto:

„Apokalipsy dzień już blisko,  
Człowiek, Bystrzyca, środowisko”.

Edward poprzeczkę stawiał wysoko. Każdorazowy kontakt z Naczelnym powinien owocować zdobyciem przez nas nowego autora, czyli w naszej gwarze zaniemieniem „żytki” i naprowadzeniem jej „na patafiana”.

Z perspektywy czasu ta galeria nieźle wygląda, choć mogła by być bogatsza. Pojawiła się nasza sudecka sąsiadka Ola Tokarczuk – na długo przed swoim Noblem. Specjalista od regionalizmów Sergio Najar zadowolił swym tekstem na rzeczony temat nawet tak wyśmienitego fachurę, za jakiego uchodzi w branży sam Edzio. Po dłuższych staraniach ukazał się tekst Janka Waszkiewicza, pierwszego marszałka dolnośląskiego, przewodniczącego komisji ds. samorządu Zjazdu Solidarności w Sali Oliwii. Lidia De Oedenberg pokazała, jak w Brukseli walczyć można o własność intelektualną, a humor, z jakim napisała ten tekst, zawstydzająco będzie już zawsze jazgoczący Stragan. Swą przyjaźń ze „Zdaniem” zaczął za pośrednictwem Wójtovic sam Karol Modzelewski, a jeden ze zdaniowych projektów o odnawianiu *Korzeni (Die Wurzeln-Koreni)* przedstawiła świeżo wtedy upieczona magister UJ Zuzanna Komornicka.

Miły Edwardzie, nieszczęśliwym trafem zdarzyć się może, że nową drogę życiową rozpoczniesz wraz z drugą kadencją prezydenta Dudy. Można co najwyżej mieć w przyszłości nadzieję, że partia desygnuje na to stanowisko kandydata poważnego i zdolnego w jakiejś mierze odnaleźć się w roli prawdziwego strażnika różnych ważnych wartości. Sięgnijmy do felietonisty Hartmana, który pisze, że „powinniśmy mieć wreszcie kogoś, kto poważnie traktuje polską konstytucję i suwerenność naszego kraju. Takiego kogoś, który będzie umiał stanąć na straży praw mniejszości i takiego, kto nie zająknie się na temat neutralności światopoglądowo-religijnej państwa, takiego, kto wykonując swój mandat nie będzie całował po rękach Rydzyka, kto sprzeciwiać się będzie prawdziwym kastom jak księża czy myśliwi”.

Kogoś – dodam od siebie – kto spowoduje, że pewnego dnia ten na wpół upadły i ośmieszony przez Dudę urząd znajdzie się w rękach osoby kulturalnej, dojrzałej i życiowo doświadczonej. Kogoś w miarę skromnego i naturalnego w sposobie bycia, kogoś, kogo w ogóle nie trzeba się wstydząć, bo przeciwieństwo takich ludzi jest mnóstwo. Do nieustannej wiary w tę prostą prawdę, prostą z perspektywy mojego obserwatorium z triangulacyjnej wieży w Wójtowicach Ciebie, Edziu, zachęcam.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

JÓZEF ROZWADOWSKI

# LATARNIE SĄ OŚWIETLONE

Jeżeli ustawimy kamerę sztywno na poziomie brucha i sfotografujemy świat, to nam wydzie, że Miss Świata to są jakieś biodra w coś ubrane, Albert Einstein to są jakieś spodnie, a Tadeusz Kościuszko to jest zad koński i jakaś noga luzem. Teoria widzenia nie przewiduje, że z takiego ustawienia kamery może wyjść coś ciekawego. A jednak Pawłowi Kozłowskiemu ( *Niekiedy. Dziennik profesora nadzwyczajnego – kontynuacja*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, 2019) się udało.

Cała sztuka polega na pokazaniu, że ograniczenie widzenia służy ukryciu tego, że poza tym niczego nie ma. Nie ma Einsteina, są tylko te spodnie. Nie ma ani kraju, ani prawa, jest tylko „elity waaadzy”. Nie ma żadnego upowszechniania wyższego wykształcenia, jest tylko masowe nadawanie za pieniądze zaświadczeń o ukończeniu studiów wyższych (autor prezentuje to jako wzmocnienie armii przez nadanie wszystkim żołnierzom stopni generalskich). Nie ma nauki, jest napuszone żonglowanie „narzędziami poznawczymi” i widzenie dość dokładnie, ale bardzo niewiele i na ogół nie tego na co warto patrzeć; zawsze z użyciem dużej liczby niezrozumiałych słów. Pozory stają się częścią główną wszystkiego – na przykład kupujący podbija cenę, bo chce mieć rzecz bardzo wartościową.

Czytelnik bezustannie obcuje z absurdem. W końcu się do niego przyzwyczajają i kiedy czyta „Leżą tam zmarli. Muszą, bo tam mają swoje groby” to w pierwszej chwili myśli, że przecież to jest słuszna uwaga.

Powiedzmy, że są dwa rodzaje absurdu. Pierwszy polega na braku zdziwienia brakiem logiki („spotkanie otwarte ale tylko dla swoich”). Także na wytrwałości w powtarzaniu braku logiki („mój numer był zajęty. Zawsze tak jest, gdy dzwonię do siebie”). Drugi – na całkowitej logice interakcji przy nonsensowności całości sytuacji. Tu Sławomir Mrożek był artystą najdoskońalszym. Paweł Kozłowski wykorzystuje ten pierwszy rodzaj i przenosi absurdalność na proste sytuacje codzienne, dzięki czemu jest ona widoczna wyraźniej.

Sam się zdziwiłem, gdy po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że autor wcale się z tego absurdu nie wypisuje. Tkwi w nim, bo taka jest przemożna natura naszego świata. Ale usiłuje także coś z tego świata zrozumieć. Maniera krótkich zdań podkreśla to usiłowanie, bo sugeruje, że klucz do zrozumienia leży gdzieś u samych podstaw, że daje się wyrazić krótko i nieskomplikowanie.

Technika stojącej kamery pozwala dokładnie pokazać, że na przykład, żeby gdzieś dojść, trzeba tam pójść. Na poziomie drogi z windy do mieszkania wie o tym każdy, ale na poziomie celów nieco bardziej złożonych, już nie – zwłaszcza gdy chodzi o polityków.

Tok każdego rozdziałku nie jest dyskursem, jest strumieniem świadomości, celowo sprymitywizowanym, nie różnicującym wagi poszczególnych obserwacji. W tym strumieniu autor pokazuje świat, do którego udajemy się, gdy chcemy się wyobcować i przestać rozumieć. Narracja – zawsze o sobie, czasem tylko pojawia się trochę mityczna koleżanka. Bohater ciągle się waha, choć rzadko wiadomo między czym a czym. Ironia jest wszechobecna. Tekst nie formułuje żadnych gotowych odpowiedzi, jedynie stawia pytania (poprzez zdania oznajmujące).

Maniera pisarska: inteligent z Marsa zwiedza Polskę, nieźle kojarzy, chociaż nic nie wie. To pozwala autorowi zastanowić się nad rolą kultury w naszym życiu. Pokazuje, jak bardzo kultura nas ujednocza i że im kultura bogatsza, tym ujednoczenie większe – ale jednocześnie tym więcej jest możliwości wyjścia poza kulturę. Stara prawda: jeśli wszystko wolno, to nie czuje się wolności. Wolność odbieramy wtedy jako stan normalny i dopiero zakaz uświadamia, że mogłoby go nie być i byłoby wtedy więcej wolności. To oznacza, że kultura jest nam nieodzownie potrzebna do poczucia sensu. Również tym, którzy przeciwko niej protestują i uważają ją, na przykład, wyłącznie za źródło cierpienia i patologii.

Można tę książeczkę potraktować jako kolejną pozycję z serii „wykpiwanie polskich absurdów”. Ale chyba tu chodzi o coś więcej. Nie o ustrój tylko o NAS. Świadczy o tym przeniesienie akcji do świata czynności codziennych i niemal całkowite wypranie tekstu z bezpośrednich odniesień politycznych. Autor wykpiwający absurdy strukturalno-ustrojowe zawsze – to widać – dystansuje się; zawsze pisz o „onych”, nie o nas. Kozłowski pisze o nas. Można by te monologi nazwać logiką jednej przesłanki. Na przykład, przesłanką jest: „chodzi o to, że jak się ściskają dwie ręce, to muszą być zgięte.” Wniosek (nawiązujący do słynnego gestu Kozakiewicza): „W połowie.”

Wzruszyłem się, gdy napotkałem wyrażenie „woda sodowa”. Ech, dawne czasy... Teraz wodę sodową można już znaleźć tylko w głowach.

Na okładce jest sowa. Minę ma raczej łagodną, ale te szpony... I tu jeszcze jedna sprawa. Jest taka dziedzina sektora wydawniczego, na którą zwraca się uwagę tylko wtedy, gdy funkcjonuje wyjątkowo źle. Chodzi o jakość i staranność wydania. W tym przypadku wydawnictwo zaprezentowało się wyjątkowo dobrze – zarówno pod względem redakcyjnym (Małgorzata Yamazaki) jak graficznym (Wojciech Markiewicz). *Dziennik profesora nadzwyczajnego* tom I był wydany w 2015 roku, a pod względem edytorskim oba tomiki są doskonale zgrane ze sobą. Brawo!

JÓZEF ROZWADOWSKI



TOMASZ GOBAN-KLAS

# SPODZIEWAJ SIĘ NIESPODZIEWANEGO

**Expect the unexpected** to zasada i motto amerykańskiej piechoty morskiej (marines) także w czasie urlopu. A może szczególnie wówczas. Jednak „niespodzianki” są możliwe w każdej chwili, nie tylko w życiu marines. Marjorie M. Liu w swej książce z gatunku science fiction *Pocałunek Łowcy* ostrzega: „Spodziewaj się niespodziewanego, bo niespodziewane prawie na pewno będzie się spodziewało ciebie”.

To przysłowiowy zbój zza węgła, który czyha na naszą sakiewkę. To zły człowiek ze złym zamiarem, niekoniecznie działający w mroku i nam nieznan.

Częściej jednak niespodziewane zdarza się nieszczęście w wyniku koincydencji, przysłowiowego niepomyślnego układu gwiazd. Kazali sobie przeto wróżyc królową i wodzowie przed wyruszeniem na wyprawę wojenną, podjęciem bitwy, nawet wyborem stosownej małżonki.

Dzisiaj astrologia, w naszym prywatnym życiu ma raczej ograniczony zakres; choroba, wypadek – tego obawiamy się najczęściej. Bardziej zaskakujące, a i odległe od naszego doświadczenia są niespodziewane zdarzenia, o których codziennie informują nas media. To wszelkiego rodzaju katastrofy, jak np. niedawna kraksa helikoptera z legendarnym koszykarzem Kobe Bryantem. To także nagłe erupcje wulkanów, ogromne pożary dżungli amazońskiej, zamachy terrorystyczne, afery finansowe typu Getbacku, o skandalach politycznych już nie wspominając.

Wszystkie razem kształtują obraz zawirowanego, nieprzewidywalnego świata, z którym, jak to ujęła nasza noblistka, Olga Tokarczuk, „coś jest nie tak”. Nie poważając jej słów, uzupełnię je dodatkiem: i z nami też. Nami, to nie tylko z ludźmi, ale i ich mediami, a dokładnie lękami, które wzbudzają. A przecież papież, ten Papież, wzywał: „Nie lękajcie się”. No i się nie lękano – komunizmu. Ten padł w 1989 roku, jak Janek Wiśniewski w 1970, ale w jego miejscu rozkwitły dziesiątki i setki nowych lęków.

Sektor informacyjny mediów nie różni się wiele od sektora rozrywkowego, który żeruje na zbrodniarzach i bohaterach – w poszukiwaniu sukcesu kasowego. Jeśli nie zdarzają się codziennie niecodzienne niezwykle wydarzenia w naszym ustabilizowanym życiu, to przecież codziennie otrzymujemy porcję wiadomości zaskakujących, zdumiewających, przeczających normie. W niekoniecznie zamierzony sposób, ale jednak kształtują one kulturę strachu, epatowania grozą, tak bowiem najskuteczniej, a może i najłatwiej można przyciągnąć uwagę odbiorców, aby ją z kolei „monetyzować”, czyli na niej zarabiać „sprzedając” ją reklamodawcom.

Strach rodzi lęki, a lęki – paradoksalnie – niekiedy wyrażają się w mowie nienawiści oraz agresji. Takie postawy nie wzięły się z historycznego dziedzictwa ani osobistych obserwacji Polaków, choć mają podstawę w ksenofobicznych elementach kultury społecznej, resentymentach etnicznych i religijnych.

Niewątpliwie istnieją dwa czynniki tej agresywnej aktywizacji. Pierwszy to wpływ mediów w szerokim znaczeniu – masowych i społecznościowych. Według badaczy z Oksfordzkiego Obserwatorium Migracji, którzy przeanalizowali prasę brytyjską, słowem najczęściej opisującym „imigrantów”, było określenie „nielegalni”. Inne słowa łączone z imigrantami odnoszą się do bezpieczeństwa, na przykład „terrorystów” czy „podejrzani”, oraz określeń „napływ”. W polskiej prasie słownictwo bywa podobne, a w komentarzach internetowych – jeszcze bardziej negatywne, wręcz wulgarne i rasistowskie.

Drugim czynnikiem jest działanie pewnych radykalnych, „nacjonalistycznych” i fundamentalistycznych organizacji, oraz – coraz wyraźniej – polityków i partii politycznych szukających dla siebie wyborczego poparcia.

Jaki jest kontekst tego zagrożenia? Odwołać się tu można do koncepcji niemieckiego socjologa Ulricha Becka, przedstawionej w książce *Spółczesność ryzyka*. Jego zdaniem we współczesnym społeczeństwie wzrastają różne nieznanne i niespodziewane ryzyka. Jak pisze: „W dawnym społeczeństwie siłą napędową było odczucie: »Jestem głodny«. Społeczeństwo ryzyka natomiast jest motywowane zdaniem: »Boję się!«. Miejsce wspólnoty biedy zajmuje wspólnota strachu. Społeczeństwo ryzyka wyznacza w tym sensie swoistą społeczną epokę, w której rodzi się solidarność wynikająca z lęku i stająca się polityczną siłą. Ciągłe jednak zupełnie nie wiadomo, jak działa siła łącząca lęku. (...) Czy lęk popycha ludzi ku irracjonalizmowi, ekstremizmowi, fanatyzmowi?” – pyta Beck. Dzisiaj dodamy, że „teorie spiskowe” to forma pocieszenia, bowiem prawda jest przerażająca – nikt nie rządzi światem oprócz chaosu. Dlatego wielu woli wierzyć w zakulisowe gry tajnych sił, albo nostalgicznie wspominać komunizm.

Jak pisał Zygmunt Bauman w swej ostatniej książce *Retropia* (PWN, 2017): „Musimy się przygotować na długi okres naznaczony mnogością pytań i niewieloma odpowiedziami, naznaczony mnogością problemów i niewieloma rozwiązaniami – jak również na to, że będziemy działać w cieniu delikatnej równowagi między szansą na sukces i na porażkę. (...) Bardziej niż kiedykolwiek przedtem jesteśmy postawieni – my, ludzie, mieszkańcy Ziemi – w sytuacji albo-albo: albo wkroczymy we wspólną przyszłość, albo skończymy w zbiorowej mogile”.

Oto jest zaskakująca, a więc niespodziewana alternatywa: ludzie razem – na naszym globie, albo samodzielnie – czy to w niebycie, czy w niebie. To już do wyboru wedle społecznych, politycznych i religijnych przekonań.

I tym niespodziewanym akcentem kończę, wraz z Redaktorem Naczelnym Doktorem Edwardem Chudzińskim wieloletnią – Jemu zawdzięczaną – felietonową obecność na łamach „Zdania”. Razem, starzy przyjaciele!

TOMASZ GOBAN-KLAS

# KASTA

Podpisanie przez jeszcze miłościwie nam panującego prezydenta ustawy zwanej kagańcową to był – jak się powszechnie sądzi – sądny dzień dla sędziów i sądów. Głowa państwa piętego co do wielkości w Europie wiedziała zapewne co robi, składając swój podpis pod potencjalnym wyrokiem na niepokornych kolegów po fachu. Tym bardziej że w tej głowie wcześniej pomieścić się doktorat z zakresu nauk prawnych uzyskany na najstarszym polskim uniwersytecie. Historycy dziejów praworządności w Polsce niewątpliwie nie przeoczą „zasług” prezydenta Dudy w tej dziedzinie, natomiast kasta sędziów, która awansowała do tego miana w oficjalnej propagandzie, odkąd PiS sprawuje rządy, zapewne zachowa go we wdzięcznej pamięci.

W wojnie toczonej przez PiS ze środowiskiem sędziowskim okazało się, że jesteśmy społeczeństwem kastowym. Jakoś nikt tego wcześniej nie zauważył. I dopiero opanowanie ministerstwa sprawiedliwości przez Ziobrę i jego ludzi z tytułami magistra przyczyniło się do epokowego odkrycia, że również w Polsce istnieją kasty, a właściwie jedna – sędziowie w liczbie 10 tysięcy!

\* \* \*

Atak na tę grupę zawodową zaczął się niemalże najajutrz, jak suweren – nowy bożek państwa PiS – skuszone obietnicą 500 plus i innymi transferami socjalnymi dał w wyborach przyzwolenie na „dobrą zmianę”. Także w sądach. Tutaj jednakże Ziobro napotkał opór, którego skali i zasięgu nie przewidział. Okazało się bowiem, że pewność siebie, przeradzająca się nierzadko w butę i arogancję, z jaką kierownictwo ministerstwa wdraża „deformę”, nie przynosi oczekiwanych przez prezesa, i suwerena również, rezultatów. Jak wiadomo, wybrańcy ministra Ziobry objęli niemal wszystkie kierownicze stanowiska w sądach, a poprawy nie widać... Co gorsza – jest gorzej!

Oczywiście za te niepowodzenia, błędy kadrowe i inne oraz kompromitujące wpadki, jak choćby ulokowanie w ministerstwie centrali hejterskiej, kogoś trzeba obwinąć. A ponieważ najlepszą formą obrony jest atak, więc przypuszczono go z niebywałą wręcz zaciekłością na środowisko sędziowskie, które w zdecydowanej większości nie akceptuje wprowadzanych zmian, solidaryzuje się z represjonowanymi – teraz już w majestacie ustawy – kolegami i ma odwagę demonstrować swoje stanowisko publicznie.

Ani kroku wstecz – ta dyrektywa obowiązuje nie tylko w ministerstwie sprawiedliwości. Przeciwników reformy, w tym zwłaszcza niepokornych sędziów, przedstawia się jako zadufanych w sobie, żądnych władzy osobników w togach, pilnujących korporacyjnego interesu.

\* \* \*

Pan prezydent na jednym z wieców, przypominających jako żywo organizowane protesty przeciwko zdracom i warchołom w PRL-u, zapewnił suwerena, że nie będą nam w obcych językach mówić, jak Polskę urządzać mamy. Fani prezydenta może tej aluzji nie kupili, ale Komisja Wenecka i europejska komisarz, która w Polsce zło-

żyła niedawno wizytę, raczej problemów z tym nie mieli. W sukurs reformatorowi Ziobrze przyszedł także pan premier, skupiając swoją uwagę na lustracji. Skoro bowiem powtarzane w kółko dyżurne przykłady pokazujące sędziów jako złodziei i pijaków nie odniosły spodziewanego skutku w ramach totalnej kompromitacji całego stanu, trzeba było sięgnąć po argumenty z grubszej rury. Przywołał je premier RP, historyk z wykształcenia, a bankier z zawodu, który przy każdej okazji wypomina temu środowisku, że nie przeprowadziło po 89 roku samooczyszczenia i w związku z tym ma w swoim gronie wielu komuchów. Tymczasem byłych komuchów w sądach łatwo można policzyć (jednego właśnie wybrał PiS do Trybunału Konstytucyjnego) i nie zmieni to w niczym średniej wieku sędziów w Polsce, która ledwo przekracza czterdziestkę. Ale jak nie kijem go, to pałą. Pan premier użył więc argumentu godnego prawdziwego męża stanu: wprawdzie do partii komuszej z racji wieku dzisiejsi sędziowie należeć nie mogli, jednak na studiach zostali ukształtowani przez peerelowską profesurę. A wiadomo, czym skorupka za młodu nasiąknie...

Nad tą wypowiedzią, a właściwie oskarżeniem mało kto się pochylił. Może dlatego, że było tak niedorzeczne, a mówiąc wprost – haniebne. Jednak tego nie można tak zostawić. Na usta bowiem ciśnie się pytanie: kto ukształtował Mateusza Morawieckiego na Wydziale Historii Uniwersytetu Wrocławskiego w latach 80/90? A także jego tatusia 30 lat wcześniej, skądinąd doktora nauk fizycznych. I wreszcie czy pan premier wie, pod czym wpływem był na studiach i seminarium doktoranckim prezes PiS-u i jakie to ma do dziś konsekwencje?

Na to ostatnie pytanie odpowiedź znamy: Stanisław Ehrlich, profesor UW, kierownik Katedry Teorii Państwa i Prawa, promotor pracy magisterskiej i doktorskiej Jarosława Kaczyńskiego, jego mistrz i guru! A tak w ogóle – człowiek lewicy, oficer polityczny I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, z którą wrócił do kraju, w latach 50. I sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR na UW. Może zatem premier Morawiecki, zamiast wypominać sędziom ich profesorów rodem z PRL-u, powie nam, kto jego edukował i z jakim skutkiem. A od prezesa niech się nauczy szacunku dla swoich byłych nauczycieli, nawet jeśli mieli inne niż jego poglądy.

\* \* \*

Stowarzyszenie Sędziów Polskich Iustitia, liczące 3 500 członków, opublikowało raport: *Wymiar sprawiedliwości pod presją. Represje jako metoda walki o przejęcie kontroli nad władzą sądowniczą i prokuraturą w Polsce. Lata 2015–2019*. Jest dostępny w internecie. W nim znajdziemy odpowiedź, gdzie się usadowiła prawdziwa kasta w wymiarze sprawiedliwości, kto do niej należy i jakie ma z tego profity. Okazuje się, że poeta pamięta i sędziowie też. Spisane zostały czyny i rozmowy. Więc nie bądź bezpieczny – ty, który skrzywdziłeś.

SCEPTYK

# NIKT TAK ZE SMOGIEM NIE DAŁ SOBIE RADY, JAK MY

**Rozmowa z Marianem Łyko,  
prezesem Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej w Krakowie**

**– Na niedawnym spotkaniu ciepłowników w Warszawie musiał Pan zabrać głos w imieniu Krakowa. Nieco wbrew głoszonych tam prawdom...**

– To, o czym mówiono tam jako o nowościach, u nas nowością nie jest. Od lat funkcjonuje w Krakowie spalarnia śmieci, z której otrzymujemy prąd w kogeneracji, a ciepło przesyłamy do sieci. Jest zespół oczyszczalni, który wytwarza biogaz i nikt tak ze smogiem nie dał sobie rady jak my. Od 2006 r. zlikwidowaliśmy 4400 palenisk.

**– To krakowska akcja wymiany „kopciuchów”...**

– ... i trzeba pamiętać, że decyzje Prezydenta Miasta i decyzje Rady stworzyły niezbędny fundusz na wymianę pieców, a to była wówczas rzecz unikatowa! Także rola Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej była ważna, bo to my ponosiliśmy najwyższe koszty. Rurą gazową można przejść wszędzie, kabel elektryczny położyć łatwo, a my musimy pruć miasto!

**– Dośłownie pruć miasto, i to w Krakowie! A badania archeologiczne?**

– Na Skawińskiej odkryliśmy nagle trzy rzędy murów. I stoimy. A wkrótce potem na Augustiańskiej odstąpiliśmy blisko dwa metry pod powierzchnią, starą drogę wapienną...

Zmieniliśmy system zaopatrzenia w ciepło Sukienic, wieży Ratuszowej, podziemnego muzeum w Rynku. Zastosowaliśmy nowatorską jak na nasze warunki metodę dostawiania ciepła rurą elastyczną, którą można omijać przeszkody i uniknęliśmy rozkopywania Rynku. Teraz czeka nas wejście na ulice Szczepańską, na Jana i zbudowanie systemu pierścieniowego dostaw ciepła wokół całego Starego Miasta.

**– Zmiana systemu... Czyli?**

– Chodzi o obniżenie temperatury w rurach i przyspieszenie przepływu. W sumie prowadzi to do obniżenia kosztów, bo mniej paliwa zużywa producent ciepła i tańsza jest, nazwijmy to, „energia zakupu”.

Dziś w Krakowie i w Skawinie mamy 900 km sieci ciepłowniczej, co oznacza przestrzennie jedną trzecią pokrycia miasta. Niemal 65 proc. mieszkańców Krakowa jest ogrzewanych przez MPEC i znaczna ich część korzysta z ciepłej wody. Kraków, przynajmniej od czasów prezydentury prof. Jacka Majchrowskiego, nie zdecydował się na prywatyzację ciepłownictwa i wszelkie płynące stąd dochody kierujemy na rozbudowę i modernizację sieci. W programie dostarczania ciepłej wody do mieszkań zlikwidowaliśmy dziś 37 tys. gazowych piecyków.

Dodam, że mierzymy się dziś z ogromną liczbą nowych wniosków na przyłączanie budynków do sieci, co dowodzi, że deweloperzy liczą na utrzymanie się wysokich trendów w mieszkaniówce. Kraków będzie rósł!

**– A co poza Krakowem?**

– W listopadzie ub. roku byliśmy z wiceprezydentem Jerzym Muzykiem, który odpowiada za rozwój przestrzenny miasta, w Krajowej Izbie Gospodarczej na spotkaniu *Miasta wobec czwartej rewolucji technologicznej*. Mówiliśmy o przyszłości przemysłu, o kwestiach zatrudnienia i – generalnie – gospodarki. Dla mnie jest rzeczą oczywistą, czemu dałem tam wyraz, że za ćwierć wieku każdy budynek będzie się sam, autonomicznie, zasilał. Będzie się na masową skalę wykorzystywało i fotowoltaikę, i pompy ciepła. Jestem przekonany, że dzisiejsze źródła energii zastąpią ogniwa wodorowe. Jedynym problemem jest bezpieczeństwo transportu wodoru, dziś już w znacznej mierze rozwiązane przez firmy z Izraela czy w Australii.

**– Przypominam sobie, że jednym z pierwszych podmiotów zainteresowanym fotowoltaiką na poważną skalę był kilkanaście lat temu jeden z małopolskich klasztorów...**

– Dobrym przykładem wejścia w nowoczesność jest zastosowanie głębinowych pomp ciepła przy sanktuarium w Łągiwnikach. Teraz tworzona jest tam cała jedna ściana fotowoltaiki, co praktycznie uniezależni tę instytucję od zewnętrznych systemów grzewczych i energetycznych.

A w sprawie pomp ciepła wzorem dla nas może być Austria. Gdy sieć ciepłownicza na wejściu ma 130 stopni, a po wykorzystaniu wraca woda o temperaturze 70 st., to za pomocą pomp ciepła można odzyskać temperaturę bliską początkowej. To ogromna oszczędność! Współpracujemy w tym zakresie z zespołem prof. Michała Stefanika z AGH, który przygotował też *Mapę potencjału geotermicznego Krakowa*. Podstawą jest analiza geologiczna i hydrologiczna miasta. Dziś szukając lokalizacji pomp ciepła patrzę, gdzie są podziemne zbiorniki wodne, bo one najlepiej przewodzą ciepło. Teraz wspólnie z Politechniką Krakowską będziemy budować studnie głębinowe, podobnie jak Austriacy, którzy swój system pomp ciepła tworzą w oparciu o dorzecze Dunaju, który utrzymuje stały poziom wód gruntowych.

**– Obecnie w Polsce, jak w całej Europie, problemem jest odejście od węgla.**

– Generalnie jest on zastępowany gazem, ale moim zdaniem jest to rozwiązanie przejściowe.

Kiedys Sawka ten problem przedstawił we wspaniałym skrócie: jest słup telegraficzny, od niego odchodzą druty, na nich siedzą ptaki, a jeden siedzi w powietrzu. Pytają: – Na czym siedzisz? A ten dopowiada: – Na Wi-Fi!

**Rozmawiał FILIP RATKOWSKI**

# Zielony rok w Krakowie

**Kolejny rok z rzędu w Krakowie trwa zielona rewolucja. Mieszkańcy zobaczą nie tylko nową odsłonę otoczenia Zalewu Nowohuckiego, przy którym budowana jest długo oczekiwana łąźnia solankowa. 2020 rok upłynie również pod hasłem zielonych nowości między innymi w parku Lotników Polskich, parku w Czyżynach, parku Jerzmanowskich czy parku Tysiąclecia.**

- Kolejny rok z rzędu na rozwój i utrzymanie miejskiej zieleni przeznaczaliśmy około 200 mln zł. Angażując te środki, Zarząd Zieleni Miejskiej stawia nie tylko na ilość, ale przede wszystkim na jakość terenów zielonych – mówi prezydent Krakowa Jacek Majchrowski.

## Otoczenie Zalewu Nowohuckiego

Pozytywne zmiany widoczne są już nad Zalewem Nowohuckim. To jedno z najbardziej rozpoznawalnych miejsc Nowej Huty zyskuje nowe oblicze, które coraz bardziej podoba się mieszkańcom. Zmodernizowana została aleja główna, aby ułatwić organizację różnego rodzaju wydarzeń plenerowych, które coraz częściej odbywają się w tym miejscu i mają już swoje stałe grono odbiorców.

Prowadzone prace to również wykonanie plaży miejskiej z drewnianym pomostem, który stanowi zaplecze rekreacyjne z ławkami, zacieniaczami dającymi wytchnienie w upalne dni. Nieopodal powstał również pierwszy w Krakowie oświetlony plac zabaw, który najmłodszym dostarczy mnóstwo radości.

Latem będzie można korzystać również z powstającego w tym momencie boiska do siatkówki plażowej. Wszystko to w bezpośrednim sąsiedztwie odbudowanej łąźni solankowej. Staramy się, aby Zalew Nowohucki stał się ponownie miejscem, w którym z ogromną

przyjemnością będą spędzać czas krakowianie – podkreśla ZZM i zapowiada, że to nie koniec zmian. Kolejny etap prac zakłada także zmodernizowanie wielofunkcyjnego boiska sportowego oraz nasadzenia dużej ilości zieleni, w tym roślin wodnych. Realizacji doczekają się również pływające fontanny, a przestrzeń wykorzystywana bardzo często pod działania Bulwar[ti]u Sztuki zyska scenę plenerową.

## Staw w parku Lotników Polskich

Niespodzianką dla krakowian niewątpliwie będzie staw, który pojawi się na początku wakacji w parku Lotników Polskich. W ramach rewitalizacji przewidziano budowę stawu o powierzchni około 80 arów, w którym posadzone będą liczne rośliny wodne i szuwarowe. Nad stawem przewidziano budowę pawilonu kawiarniano-edukacyjnego z pergolą oraz tarasy drewniane i plażę z ławkami oraz leżakami parkowymi.

W parku pojawi się też wiele ciekawych gatunków drzew takich jak klon czerwony, meta-sekwoja, dąb błotny oraz roślin wodnych i mniej znanych roślin szuwarowych: grzybień biały, grąźel żółty, przętka pospolita, oczeret jeziorny, rdestnica połyskująca, łączeń baldaszkowaty, kosaciec żółty, strzałka wodna, pałka wąskolistna, turzyca nibyciborowata, turzyca zwisła, turzyca sztywna.

## Park w Czyżynach

Także pod koniec czerwca na mieszkańców otworzy się nowy park w Czyżynach. Jego powstanie jest odpowiedzią na potrzebę utworzenia nowych terenów zielonych w mocno zabudowanej okolicy rejonu ul. Stella Sawickiego w bezpośrednim sąsiedztwie nowego, dużego osiedla mieszkaniowego. W 2016 r. projekt zgłoszony do Budżetu Obywatelskiego zyskał poparcie mieszkańców Krakowa i został zatwierdzony do realizacji.

Teren przeznaczony do rewitalizacji był dotychczas terenem prawie na całej powierzchni pokrytym nawierzchnią utwardzoną po dawnej zajezdni MPK oraz fragmencie drogi dojazdowej dla samolotów. Powierzchnia obecnie budowanego parku to w przybliżeniu 3 hektarów. Rewitalizacja całkowicie odwróci proporcje powierzchni biologicznie czynnej. Pierwotnie teren 3 ha składał się z ok. 2 ha powierzchni utwardzonych (stare nawierzchnie asfaltowe i betonowe) i 1 ha powierzchni zielonych.

Projekt zieleni to kontrast dwóch odmiennych spojrzeń na zieleń. Pierwszy model to uporządkowana zieleń z alejami drzew i trawnikami w stylu angielskim uzupełniona o nową nawierzchnię. Drugim jest model reprezentowany przez chaotyczną roślinność o charakterze ruderalnym z nawiązującą do niej pozostawioną wokół podniszczoną nawierzchnią starej zajezdni.

Dodatkowo ciekawym rozwiązaniem jest stworzenie nasypów, na których od strony parku posadzone będą trawniki, natomiast od strony ul. Stella-Sawickiego projekt przewiduje kompozycję roślin spełniającą rolę ekranu akustycznego i wizualnego (na nasypach zostaną posadzone m.in. sosny czarne, jarząby szwedzkie w odmianie wielopniowej, derenie świdwa i rozłogowe, wysokie trawy). Osłoni to użytkowników parku od ruchliwej ulicy.

Park to również bogata oferta rekreacyjna zarówno dla dzieci, jak i dorosłych, na terenie znajdziemy plac zabaw dla dzieci, urządzenie zabawowe Wall-holla, jak również huśtawkę dla dorosłych, boisko do gry w koszykówkę oraz bulodrom. W parku znajdziemy również siłownię dla dorosłych i parkur.

Projekt nowego parku zakłada poprawę jakości zaniedbanej przestrzeni publicznej tak,

aby ten rejon miasta stał się atrakcją zarówno dla mieszkańców okolicznych terenów, jak i dla mieszkańców całego Krakowa.

## Park Jerzmanowskich

Jeszcze w sierpniu zakończą się prace modernizacyjne w parku Jerzmanowskich. Ten piękny, zabytkowy park w krakowskim Prokocimiu przechodzi obecnie „lifting”. W celu przywrócenia świetności tego cennego terenu Zarząd Zieleni Miejskiej w Krakowie w 2019 r. rozpoczął jego rewitalizację.

Zabytkowy zespół pałacowo-parkowy Anny i Erazma Jerzmanowskich położony jest na terenie Dzielnicy XII Bieżanów – Prokocim. Jest to jeden z najstarszych terenów zieleni na obszarze Krakowa. Całość została wpisana do rejestru zabytków.

Rewitalizacja zakłada przebudowę alejek, jak również wykonanie nowych ciągów pieszych, naprawę kładek nad rzeką Drwinką, wprowadzenie nowych elementów małej architektury (ławki, kosze, leżaki parkowe, stojaki na rowery) nowe oświetlenie oraz ogrodzenie parku. W projekcie przewidziano rozbudowę placu zabaw i podzielenie go na części dla dzieci młodszych i starszych. Urządzenia wykonane będą z drewna tak, aby wpisywały się w zabytkowy charakter parku.

Dla mieszkańców przewidziano również strefę piknikową oraz siłownię plenerową, jak także budowę toalety. Projekt zakłada przeniesienie fontanny prof. Zina, która znajdowała się na Rynku Głównym w Krakowie na teren parku oraz remont drugiej fontanny znajdującej się przed pałacem. W ramach przebudowy parku pojawi się 220 nowych drzew, ok. 8 tys. krzewów i kilkadziesiąt tysięcy bylin i roślin runa parkowego.

## Park Tysiąclecia

Z końcem sierpnia 2020 mają zakończyć się również prace w parku Tysiąclecia. Polegały one na utworzeniu parku sensorycznego z punktem widokowym między osiedlami Tysiąclecia oraz Oświecenia, wymiana elementów małej architektury, remont alejek, remont fontanny oraz nasadzenia zieleni.

*Przekazując 1% od podatku na „Zdanie” i „Kuźnicę”*

*KRS 0000300613*

*wspomagasz polską lewicę*

Przypominamy, że „Zdanie” jest dostępne w sieci **empik** w 80. polskich miastach. **Szukajcie nas w megastorach oraz salonach I i II kategorii.** Informujcie o tym wszystkich, którzy są zainteresowani kupnem oraz lekturą naszego pisma. Egzemplarze archiwalne można otrzymać w sekretariacie Stowarzyszenia „Kuźnica” (30-018 Kraków, Al. Słowackiego 44) oraz w Klubie Księgarza (Warszawa, Rynek Starego Miasta 22/24).

„Zdanie” jest też w **internecie**: w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (za lata 1994-2019) oraz w internetowym Katalogu Czasopism (okładki i spisy treści wszystkich numerów za ten sam okres). Bieżące informacje można znaleźć na stronie internetowej „Kuźnicy” oraz na facebooku.

REDAKCJA

**PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY  
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA**



---

# ZDANIE

---

**PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<**

---

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,  
Paweł Kozłowski, Krzysztof Mroziewicz, Lech M. Nijakowski, Filip Ratkowski,  
Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji), Paweł Sękowski.

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

**Adres Redakcji: 30-018 Kraków, Al. Słowackiego 44**

**www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl**

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Imago. Centrum Sztuki Ludowej, sp. z o.o.

31-141 Kraków, ul. Słowiańska 3

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.

 **Kraków**



# Dołącz do nas! Zostań urzędnikiem.

Sprawdź oferty pracy w Urzędzie Miasta Krakowa na  
[www.bip.krakow.pl](http://www.bip.krakow.pl)